

Eric Nylund

Wrzawa Śmiertelnych

Mortal Coils

Przełożyli Joanna i Adam Skalscy

Każdemu, kto ma rodzinę...
dzięki więzom krwi, małżeństwu
czy okolicznościom

PODZIĘKOWANIA

Syne, pisarze mogą stać się pustelnikami, niedźwiedziami siedzącymi w jaskiniach i szczerzącymi zęby na widok obcych. Kto, jeśli nie inny pisarz, miałby wyciągnąć mnie z tej groty i swoją miłością uchronić od szaleństwa czy zdziczenia? Jesteś moją idealną drugą połową.

Kai, mój cudowny synu, miałeś trzy lata, kiedy zacząłem pisać ten tekst. Twoja obecność pomogła mi ożywić zarówno fikcyjnego syna, jak i ojca. Tatuś obiecuje, że nie jest Księciem Ciemności.

Moja siostró, mamó, tato... i wielu innych, których nazywam rodziną – wszyscy byliście dla mnie nieustannym źródłem inspiracji. Jesteście zawsze bliscy mojemu sercu.

Dziękuję moim pierwszym czytelniczkom, Elisabeth Devos i Jenny Gaynor, które pomogły mi na nowo skoncentrować uwagę na bliźniętach.

U moich ostatnich czytelników, Johna Sutherlanda i Alexis Ortegi, zaciągnąłem dług wdzięczności ze względu na ich entuzjazm i miłe słowa.

Tomowi Doherty'emu i Richardowi Curtisowi przekazuję wyrazy uznania za cierpliwość, wskazówki i wsparcie.

Szczególne podziękowania dla Erica Raaba. Twoje umiejętności redaktorskie i przyjaźń były bardzo ważne.

I dla wszystkich moich czytelników wielkie dziękuję; szczególnie dla tych, którzy w ostatnich latach przysłali mi list czy e-mail.

NOTA OD WYDAWCY

Z uwagi na kontrowersyjny charakter wszystkich historii dotyczących rodziny Postów i ostatnio pojawiające się informacje, że niektóre książki oparte na faktach nie do końca wiernie opisują rzeczywistość, redakcja TOR Books podjęła decyzję o zaklasyfikowaniu *Wrzawy śmiertelnych* przynajmniej tymczasowo do działu powieści fikcyjnych. Nie interesuje nas włączanie się do toczącej się w prasie debaty nad autentycznością tej historii.

Aby jednak ułatwić entuzjastom i specjalistom od współczesnej mitologii kontynuowanie badań i wyciąganie własnych wniosków w sprawie najbardziej fascynującej legendy naszych czasów, w całej książce dodano przypisy odsyłające do odpowiednich tekstów źródłowych.

Eric Raab
redaktor TOR Books
Nowy Jork

Bowiem sny owe, które mogą nadejść
Pośród snu śmierci, gdy już odrzucimy
Wrzawę śmiertelnych, budzą w nas wahanie,
Zmieniając życie nazbyt długie w klęskę.
Któż by zniósł bicze i szyderstwa czasu,
Krzywdy ciemieżców i zniewagi pysznych,
Boleść okrutną wzgardzonej miłości (...)

William Szekspir, *Hamlet*, akt III, scena I¹

¹ Wszystkie cytaty z dzieł Williama Szekspira w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego.

CZĘŚĆ I

URODZINY

DWOJE NIEISTOTNYCH DZIECI

Eliot Post i jego siostra Fiona mieli skończyć piętnaście lat następnego dnia i do tej pory nigdy nie przytrafiło im się nic interesującego. Mieszkali razem z babcią i prababcią, które trzymały ich krótko – choć dłońmi w aksamitnych rękawiczkach – i chroniły przed wszystkim, co mogłoby być choćby odrobinę ciekawe.

Eliot przysunął do szafki plastikową skrzynkę po mleku, wszedł na nią i spojrzął w lustro. Skrzywił się na widok swojej czarnej czupryny; po równym cięciu nie zostało śladu. Przynajmniej włosy zakrywały odstające uszy. Ale i tak wyglądał jak idiota.

Przesunął palcami po głowie i na chwilę wszystko znalazło się na swoim miejscu... po czym ciemne kędziory znów zaczęły odstawać.

Gdyby tylko miał żel do włosów... Ale nic z tego – jedna z reguł zakazywała używania markowych szamponów, mydeł i innych „luksusowych” kosmetyków. Prababcia przygotowywała zamiast tego ich domowe wersje. Można było się nimi umyć (czasami zrywając przy okazji sporo naskórka), ale pozostawiały wiele do życzenia, jeśli chodziło o nadażanie za aktualnymi trendami w modzie.

Eliot zerknął na przyklejone do drzwi jego pokoju kartki. Zapisano na nich 106 reguł babci, które rządziły każdym jego oddechem. Brak żelu do włosów pojawiał się

w regule 89.

Reguła 89: *Żadnych ekstrawaganckich produktów kosmetycznych, w szczególności kupowanych w sklepach mydeł, szamponów, papierowych ręczników i innych towarów ulegających zużyciu, które wcale nie są nieodzowne (powyższa lista nie jest wyczerpująca).*

Na szczęście nie było tam mowy o papierze toaletowym.

Zegarek na szafce wydał z siebie zachrypnięte „bim”. Minęła dziesiąta. Południowa zmiana w Pałacu Amerykańskiej Pizzy „U Ringo” zaczynała się za czterdzieści minut. Eliot na myśl o słodkim cieście i tłuszczu z pepperoni, których zapachami znów przesiąknie jego skóra, z trudem powstrzymał dreszcz. Zgarnął z biurka pracę domową i poruszył kilka razy nadgarstkiem zeszywniałym od pisania przez całą noc. Opłacało się – był naprawdę dumny ze swojego wypracowania o wojnie brytyjsko-amerykańskiej z 1812 roku. Babcia będzie musiała postawić mu piątkę.

Ale rozważania o obronie zatoki Chesapeake i gwiazdzystym sztandarze natychmiast uleciały mu z głowy, gdy ulicą przejechał samochód. Dźwięk radia wspiał się z łatwością na wysokość trzeciego piętra i wpadł do pokoju chłopca, wypłukując z niego wszystkie myśli o pracach domowych, pizzy i regułach. Na chwilę Eliot stał się bohaterem jakiejś przygody i znalazł się gdzie indziej, na otwartym morzu wśród huku armat i łopoczących żagli.

Samochód się oddalił i muzyka ucichła.

Eliot oddałby wszystko za własne radio. Ale babcia wciąż powtarzała: „Muzyka tylko rozprasza”. I oczywiście ten zakaz także stanowił jedną z reguł.

Reguła 34: *Żadnej muzyki, włączając w to grę na instrumentach (oryginalnych bądź wykonanych własnym sumptem), śpiew, nucenie i odtwarzanie rytmicznych form melodycznych przy użyciu urządzeń elektronicznych czy mechanicznych.*

Do kitu. Tak jak wszystkie babcine reguły. Nie mógł robić niczego, na co miałby ochotę... Oczywiście z wyjątkiem czytania.

Trzy ściany jego pokoju całkowicie pokrywały sięgające od podłogi do sufitu półki na książki, zamontowane dawno temu, chyba jeszcze w erze prekambryjskiej, przez prababcię. E)wa tysiące pięćdziesiąt dziewięć tomów ustawionych jeden obok drugiego w niewielkiej sypialni – z czerwonymi grzbietami, płóciennymi oprawami, wyblakłymi papierowymi obwolutami i błyszczącymi złotymi literami, wszystkie pachnące pleśniejącym papierem i starzejącą się skórą. Całość emanująca wiekiem i powagą².

² Podczas wykopalisk prowadzonych na terenie uznawanym przez ekspertów za lokalizację Oakwood Apartments (rzekomego miejsca zamieszkania rodziny Postów) odkryto pozostałości ponad stu tysięcy książek, przechowywanych na wszystkich piętrach - skórzane oprawy, pojedyncze strony, dosłownie tony pergaminowego popiołu oraz nieliczne zachowane w całości woluminy. To właśnie te książki stały się zaczątkiem pożaru, który doprowadził do całkowitego spalenia miasta Del Sombra (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XI, *Mitologia rodziny Postów*, wyd. 8, Zyperon Press Ltd.).

Eliot przesunął dłonią po grzbietach – Jane Austen, Platon, Walt Whitman. Uwielbiał swoje książki. Ile razy pozwoliły mu uciec do innych krajów, do dawno minionych lat, do towarzystwa barwnych postaci? Gdyby tylko jego życie mogło być takie interesujące.

Podszedł do drzwi, ale zatrzymał się przed kartkami z babcinymi regułami. Wpatrywał się w nie zły, wiedząc, że najważniejszej i tak nie zobaczy – reguła 0: „Od reguł nie ma ucieczki”.

Westchnął, przekręcił klamkę i otworzył drzwi.

Światło wylało się na ciemny korytarz w tej samej chwili, gdy pojawił się na nim drugi jasny prostokąt – to otworzyły się drzwi pokoju Fiony. Dziewczyna miała na sobie zieloną kraciatą sukienkę, przetarty zamszowy pasek i rzymianki.

Ludzie często mówili, że Fiona i Eliot są do siebie podobni, ale ona miała metr sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a on zaledwie metr sześćdziesiąt. Poza tym wcale go nie przypominała – garbiła się jak miękka nitka makaronu, a kręcone włosy wpadały jej do oczu, jeśli nie związała ich w koński ogon. Na dodatek obgryzała paznokcie.

Wyszła ze swojego pokoju dokładnie w tej samej sekundzie, co Eliot. I zapewne znowu zrobiła to, żeby go zirytować. Zawsze udawała, że robią różne rzeczy jednocześnie, chcąc udowodnić, iż bliźnięta są w zasadzie niemal jedną osobą.

Na pewno nasłuchiwała pod drzwiami, czekając na skrzypnięcie klamki w pokoju Eliota. Tak łatwo go nie nabierze.

– Nie wyglądasz za dobrze. – Głos Fiony ociekał

falszywą troską. – *Naegleria fowleri*?

– Ostatnio nigdzie nie pływałem – odpowiedział. –
Może to twój mózg zjadają ameby.

Też czytał trzeci tom *Rzadkich nieuleczalnych pasożytów*. Zabawa w słownikowe obelgi należała do ich ulubionych.

– Lochsmere – rzucił Eliot i spojrzał na Fionę z pogardą.

Zmarszczyła brwi, usiłując się skoncentrować. Zagadka była trudna – chodziło o postać z trzynastowiecznych kronik Twixtbury spisanych przez Vandena Du Bura, chorego na ospę złośliwego karła, który nie zawahałby się przed utopieniem bezbronych szczeniąt. Tom zawierający te opowieści leżał pokryty warstwą kurzu na jednej z najwyższych półek w korytarzu. Fiona na pewno go nie czytała. Ale siostra zauważyła jego spojrzenie, rzuciła okiem na regały i uśmiechnęła się.

– Pomyliłeś mnie ze szlachetnym G'meetello, mistrzem Lochsmere'a... Lochsmere'a, którym bez wątpienia sam jesteś.

A więc czytała. Trudno. Wciąż było zero do zera.

Fiona przymknęła oczy i zamruczała:

– Czasami, braciszku, myślę, że twój dowcip tak się wyostrzył, że dla wszystkich byłoby lepiej, żebyś znalazł się na Tristan da Cunha.

Tristan da Cunha? Tego nie znał.

– Ej, obcych języków nie używamy.

Fiona miała do nich talent, on wręcz przeciwnie. Umówili się więc, że ona nie będzie sięgać do obcych wyrazów, a on w zamian powstrzyma się od wymyślania nieistniejących słów, bo Eliot niemal na zawołanie potrafił

sypać barwnymi, ale bezsensownymi terminami, które nie znalazły się w żadnym słowniku.

– To nie w obcym języku! – Aż biło od niej zadowolenie.

Wierzył jej. Nigdy nie oszukiwali w tej grze. Spróbował się domyślić, o co może jej chodzić. Tristan... Tak jak rycerz z legendy? Może zamek? Fiona bez przerwy czytała jakieś wspomnienia z podróży. To musiało być to.

– Tak – powiedział, starając się nadać swoim słowom ironiczny ton. – Za jego murami nie musiałbym przynajmniej oglądać twojej twarzy.

Fiona mrugnęła.

– Dobry strzał, ale kompletnie niecelny. Tristan da Cunha to wyspa na południowym Atlantyku, ponad dwa tysiące kilometrów od najbliższego zamieszkanego lądu. Populacja: dwieście osiemdziesiąt głów. Zdaje się, że oficjalną walutą jest ziemniak.

Z Eliota uszło powietrze.

– OK, wygrałaś – burknął. – Wielkie rzeczy. Zresztą pozwoliłem ci wygrać. Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, przed czasem.

– Nigdy nikomu nie dałeś wygrać – zaśmiała się. – I nawzajem wszystkiego dobrego urodzinowo.

– Chodźmy.

Eliot przecisnął się obok siostry, a ta ruszyła za nim wąskim korytarzem, którego obie ściany od parkietu po pełen zacieków sufit zasłaniały półki z książkami.

Przejście z ciemnego korytarza do jadalni zmusiło ich do zmrużenia oczu. Przez szerokie okno, tylko częściowo zastawione regałami, widać było ceglany

budynek po drugiej stronie ulicy i błądy pasek nieba pociętego liniami wysokiego napięcia. Prababcia Cecilia siedziała przy stole i pisała listy do swoich licznych kuzynów. Jej cienką jak papier skórę pokrywała sieć zmarszczek. Miała na sobie brązową sukienkę zapinaną pod szyję i wyglądała, jakby przed chwilą zeszła z dagerotypu.

Dała im znak, żeby podeszli bliżej. Uściskała Fionę, potem Eliota i na koniec dała mu suchego buziaka.

Chłopiec bardzo ostrożnie odwzajemnił jej drżący uścisk. Sto cztery lata to już wiek, z którym nie ma żartów. Eliot kochał Cecilie. Zawsze miała dla niego czas i nigdy nie pouczała go, jak powinien postępować. Po prostu była przy nim, kiedy tego potrzebował.

– Dzień dobry, moi kochani – wyszeptała, a jej głos brzmiał jak szelest liści.

– Dzień dobry, Cee – Fiona i Eliot odpowiedzieli jednocześnie.

Chłopak spojrzał na siostrę spod oka. Znowu się w to bawiła. Cecilia pogłaskała go po dłoni.

– Wczorajsza praca domowa – kiwnęła głową w stronę papierów leżących na brzegu stołu.

Fiona stała trochę bliżej i sięgnęła po kartki pierwsza. Przerzuciła kilka z wierzchu i zmarszczyła brwi. Podała je bratu.

– Twoje – wymruczała, przyglądając się reszcie papierów.

Eliot wziął swoją pracę zirytowany tym, że Fiona zdążyła zobaczyć jego ocenę przed nim. Na samej górze wypracowania o Jefferson Memorial widniało duże trzy z plusem, a obok uwaga: „Ogólne założenia dobre.

Wykonanie kiepskie. Styl bliższy aborygeńskiemu niż. angielskiemu". Eliot aż się skrzywił. Tak bardzo się starał. W jego głowie wszystkie idee wydawały się bardzo jasne, ale kiedy próbował przelać je na papier, wszystko mu się mieszało. Zerknął na Fionę. Jej oliwkowa cera nieco zbladła. Podszedł bliżej i zobaczył na jej pracy duże trzy z minusem.

– Moje wnioski były „dyletanckie” – wyszeptała.

– Nie przejmuj się. Wieczorem pomożemy sobie napisać to na nowo.

Fiona kiwnęła głową. Przeżywała złe oceny bardziej niż brat, jakby chciała udowodnić coś babci. Eliot zaś już dawno przestał próbować sprostać stawianym przed nim wymaganiom. Nic nie było wystarczająco dobre. Dlatego czasami po prostu chciał, żeby mu dano święty spokój.

– Nieważne, czy razem, czy osobno – odezwała się babcia. – Tak czy inaczej spodziewam się, że wieczorem dostanę od was nowe wersje. Oczywiście razem z dzisiejszą pracą domową.

Eliot podskoczył i obrócił się. Babcia stała w korytarzu tuż za nimi z rękami założonymi na piersiach. W jednej dłoni trzymała dwie równo zadrukowane kartki.

– Dzień dobry, babciu – przywitał się z nią Eliot.

Zawsze mówili do niej „babciu”. Nigdy „Audrey” czy „babuniu”. Nie używali też żadnego zdrobnienia jak w wypadku Cecilii. W tej kwestii nie istniał zakaz; po prostu nie przyszłoby im do głowy inaczej ją nazwać. Tylko określenie „babcia” niosło w sobie pełnię autorytetu towarzyszącego jej osobie.

Ta szczupła, wyprostowana postać górowała nad

nimi, osiągnąwszy równe sto osiemdziesiąt centymetrów. Miała krótkie siwe włosy przycięte z wojskową precyzją, a jej skóry o oliwkowej karnacji nie znaczyły żadne zmarszczki, chociaż skończyła już sześćdziesiąt dwa lata. Zapięta pod szyję flanelowa koszula w kratę, dżinsy i buty o stalowych noskach dopełniały jej niezwykłego obrazu. A wyraz jej twarzy najlepiej opisywało określenie: „ironiczna nieprzeniknioność”.

Wręczyła im kartki z pracą domową na dzisiejszy wieczór: siedem dowodów z geometrii i wypracowanie na temat prywatnego życia Isaaca Newtona.

Eliot poruszył nadgarstkiem i zaczął się zastanawiać, jak krótkie może być nowe wypracowanie, żeby wciąż miało szansę na pozytywną ocenę. A pozytywne oceny zdaniem babci zaczynały się od piątki z minusem. Zawsze powtarzała im: „Oczekuję od was przynajmniej doskonałości” – i zmuszała ich do pisania wypracowań na nowo dopóty, dopóki nie były wystarczająco dobre.

– Zjedli już śniadanie? – zapytała babcia Cecilie.

– O wpół do dziewiątej. – Cecilia zebrała listy i koperty w równy stosik. – Owsiankę, sok, po jednym jajku na twardo.

Zagotowanie wody stanowiło szczyt kulinarnych umiejętności Cecilii. I choć Eliot zawsze proponował prababci pomoc, ta nigdy się na nią nie zgadzała.

Babcia zebrała ich najnowsze wypracowania. Jej szare oczy szybko i bez emocji przebiegły po pierwszych zdaniach.

– Muszą już wyjść – powiedziała. – Spóźnianie się do pracy nie wchodzi w grę.

– Czy nie mogliby... – Cecilia złapała się wysuszoną ręką za gardło. – Chciałam powiedzieć, że jutro mają urodziny. Naprawdę muszą robić pracę domową na dzień przed...

Spojrzenie babci zamknęło usta Cecilii w pół zdania. Prababcia opuściła wzrok na swoje listy.

– Oczywiście – wyszeptała. – Głupi pomysł.

Nawet Cecilia nie mogła nagiąć babcinych reguł. Eliot jednak kochał ją za to, że próbowała.

Babcia spojrzała na wnuki i znacząco zastukała w zegarek.

– Tik-tak – powiedziała i nachyliła się.

Fiona grzecznie pocałowała ją w policzek. Eliot zrobił to samo, ale w jego geście było znacznie mniej uczucia. Chodziło o formalność, zwykły poranny rytuał.

Babcia lekko go uściskała. Chłopiec wiedział, że go kochała – przynajmniej Cecilia zawsze tak twierdziła. Wolałby jednak, żeby ta miłość objawiała się nie tylko regułami i ograniczeniami. Żeby choć raz odwołała zadaną pracę i zabrała ich wszystkich do kina. Czy to też nie byłby dowód jej uczuć?

– Kanapki są na stole przy drzwiach – powiedziała Cecilia. – Wczoraj nie dałam rady wyjść do sklepu....

Eliot i Fiona spojrzeli po sobie, rozumiejąc, co to oznacza. Siostra rzuciła się w stronę drzwi pierwsza, brat tuż za nią, ale zbyt późno, żeby mieć jakiegokolwiek szanse. Fiona chwyciła większą z papierowych toreb, do której Cecilia wsunęła ostatnie jabłko, i wybiegła z mieszkania. Eliot niechętnie sięgnął po drugi pakunek, wiedząc, że znajdzie w nim tylko suchą kanapkę z chleba razowego z tuńczykiem.

– Miłego dnia, kochani. – Cecilia uśmiechnęła się i pomachała im na pożegnanie.

Babcia odwróciła się bez słowa.

Eliot pobiegł korytarzem za siostrą, przemknął obok windy i rzucił się w dół po schodach. Fiona zawsze próbowała go przegonić – nie przepuszczała żadnej okazji do rywalizacji. Nie miał zamiaru pozwolić jej wygrać. Zanim jednak dobiegł do półpiętra, miała już kilkanaście stopni przewagi, gdyż dłuższe nogi niosły ją znacznie szybciej.

Gonił ją przez trzy piętra, pokonując kolejne zakręty schodów, aż dystans między nimi zmniejszył się do kilku kroków. Przez wzmocnione stalowe drzwi wybiegli już prawie jednocześnie.

W jasnym słońcu ceglana fasada ich domu rzucała wąski cień. Zatrzymali się w nim, by chwilę odpocząć.

W donicach ustawionych wzdłuż Midway Avenue rosły drzewka brzoskwiniowe. Wiatr kołysał ich gałęziami i zrywał nie do końca dojrzałe owoce, które kończyły pod kołami samochodów turystów pędzących przez Del Sombregę do Sonoma County.

– Wygrałam! – rzuciła Fiona, łapiąc oddech. – Drugi raz tego samego dnia. – Potrząsnęła swoją torbą z kanapkami. – Na dodatek mam jabłko. Musisz być szybszy, *Bradypusie*.

Humor Eliota jeszcze się pogorszył, *Bradypus* bowiem był łacińską nazwą leniwca trójpalczastego, jednego z najwolniejszych ssaków na świecie. Ale nie dał się już siostrze wciągnąć w kolejną rundę słownikowych obelg. Zamiast tego rzucił jej tylko złe spojrzenie.

Z papierowej torby, którą przez całą gonitwę

ściskał mocno w dłoni, wydobył się teraz metaliczny dźwięk. Chłopiec zajrzał do środka i zobaczył dwie ćwierćdolarówki. Na pewno włożyła je tam Cecilia, starając się w ten sposób zrekompensować brak jabłka. Wyciągnął monety i przyjrzał im się pod słońce. Błyszcząły jak rteć.

Fiona próbowała mu je wyrwać, ale tym razem był szybszy.

– Ha! – krzyknął, zaciskając je bezpiecznie w dłoni.

Już wiedział, że podczas przerwy kupi sobie za nie w sklepie ze zdrową żywnością sok marchewkowy, o wiele lepszy od wygazowanej wody mineralnej czy zwykłej kranówki, które dostawali w „U Ringo”. Wrzucił pieniądze z powrotem do torby.

Fiona wzruszyła ramionami, jakby wcale jej nie zależało, i energicznym krokiem zaczęła maszerować w stronę restauracji. Ale Eliot dobrze znał siostrę i wiedział, że jej zależało. Dogonił ją kolejny raz i zapytał:

– Myślisz, że jutro coś się wydarzy?

– Na przykład co? Pojawią się nowe reguły?

Zwolnił. W sumie było to całkiem prawdopodobne. Lista babcinych reguł co roku stawała się coraz dłuższa. Najnowsza pojawiła się niecałe pięć tygodni temu.

Reguła 106: *Żadnych randek, spotkań we dwoje czy we czworo w kinie, w barze, w parku, w towarzystwie przyzwoitki lub bez, ogólnie w żadnej sytuacji.*

Jakby w ogóle mogło mu się to przytrafić! A może chodziło o Fionę? Faceci w pracy czasami do niej zagadywali.

– Po prostu pomyślałem... – znów musiał podbiegać, żeby nadażyć za siostrą. – Nie wiem. Może szkoła? Może pójdziemy do prawdziwej szkoły? Tak jak wszyscy w naszym wieku? Chyba byłoby to lepsze niż odrabianie codziennie wieczorem prac domowych zadanych przez babcię?

Fiona milczeniem wyraziła swoje zdanie.

Rodzeństwo Postów miało czasem problemy z towarzystwem swoich rówieśników. Eliot wiedział, co jest stolicą Angoli (Luanda) i ile genów ma nicien *Caenorhabditis elegans* (około dziewiętnastu tysięcy), ale jeśli miał odbyć swobodną pogawędkę z jakąś dziewczyną, jego współczynnik IQ. spadał o trzydzieści punktów.

– Ta – westchnął. – Może to nie jest taki dobry pomysł.

Ale coś nowego musiało się przecież zdarzyć. Mieli już prawie piętnaście lat. Ich dni nie mogą wyglądać tak samo już do końca życia: zmiana „U Ringo”, odrabianie lekcji, czytanie, sprzątanie, sen. A może babcia będzie ich trzymać w domu do osiemnastego, a nawet dwudziestego pierwszego roku życia? Do czterdziestego? Dopóki nie zestarzeją się tak jak Cee?

Fiona odgarnęła włosy z czoła, zakładając kosmyk za ucho.

– Chciałabym podróżować – powiedziała nieobecny głosem. – Pojechać do Aten, do Tybetu... Zobaczyć choć jedno z tych miejsc, o których czytaliśmy.

Rozumiał ją doskonale. W jego głowie też codziennie pojawiała się ta sama fantazja: uciec gdzieś daleko. Ale dokąd by pojechali? I, co ważniejsze, jak

mieliby się sprzeciwić babci? Równie dobrze mogli być zakorkowani w butelce i żeglować donikąd na małym stateczku z balsy.

– Mogło być gorzej. – Fiona skinęła głową w kierunku bocznej alejki. – Mogliśmy skończyć tak jak twój kolega tam.

Z cienia zalegającego w alejce wystawały podarte adidasy bez sznurówek. Przez dziury w podeszwach było widać gołe stopy.

– To nie jest mój kolega – burknął Eliot. – Po prostu jakiś gość.

Fiona przyspieszyła kroku.

Teraz widzieli już, że adidasy łączyły się z obszarpanymi dzinsami i płataniną szarych szmat, która kiedyś mogła być prochowcem. Widzieli tego faceta codziennie w drodze do pracy. Czasami kulił się na jakimś rogu, czasami, tak jak dziś, siedział w cieniu. Przemieszczał się z miejsca na miejsce, ale jego smród... zawsze był taki sam – połączenie fetoru zepsutych sardynek, spoconego ciała i spalonych zapalek.

Eliot się zatrzymał.

Facet zmrużył oczy, wpatrując się w chłopca. Jego wysuszona skóra skręcała się w masie białych blizn i głębokich zmarszczek. Przechylił się i wyciągnął w stronę Eliota baseballówkę z napisem „Angels”. Jego wargi rozchyliły się w oślizgłym uśmiechu. Na kawałku tektury wetkniętym w brzeg czapki znajdowało się słowo „weteran”. Eliot uniósł dłonie.

– Przykro mi, nie mam... – Nagle urwał, zobaczywszy podłużny kształt leżący za mężczyzną.

Skrzypce.

Niemal poczuł fale dźwięku odbijające się od pudła, poszczególne nuty, słodkie i drżące, oscylujące w głębi czaszki. Nigdy wcześniej nie grał na żadnym instrumencie, ale nie mógł opanować pragnienia, by dotknąć tych skrzypiec.

Mężczyzna zorientował się, na co patrzy Eliot, i uśmiechnął się szerzej, odsłaniając żółte zęby. Przyciągnął skrzypce na kolana i przejechał palcem po popękany gryfie... Na próżno, instrument nie miał strun. Muzyka w głowie Eliota nagle ucichła.

Oddałby wszystko, żeby tylko usłyszeć, jak bezdomny gra. Ten zaś przestał się uśmiechać i nakrył skrzypce pustą czapką.

Chłopak zagryzł wargi, rozwinął torebkę z kanapkami i wyciągnął dwie ćwierćdolarówki.

Fiona przystanęła, widząc, co się dzieje. Wzięła się pod boki i pokręciła głową ze zdziwienia. Ale Eliota nie obchodziło, co sobie pomyślijego siostra. Pieniądze należały do niego i mógł z nimi zrobić, co chciał.

– Powinien pan kupić nowe struny – szepnął do mężczyzny. – Założę się, że jeśli zacznie pan grać, datki będą większe – stwierdził i wrzucił monety do czapki.

Facet wziął pieniądze do ręki, przejechał po nich palcami i przyjrzał się czule skrzypcom. Potem znów spojrzął na Eliota. Nic nie powiedział, ale jego zmętniałe niebieskie oczy zaszkliły się od łez.

CZEKOLADOWE SERCE

Fiona nie wierzyła własnym oczom. Jej brat właśnie oddał dwie ćwierćdolarówki bezdomnemu. Była tylko o dziesięć minut starsza od Eliota, ale czasem miała wrażenie, że zachowywał się tak dziecinnie, jakby to było dziesięć lat!

Cofnęła się, żeby go odciągnąć, zanim odda też kanapki.

Starszy mężczyzna spojrział na nią i wyraz jego twarzy natychmiast stał się surowszy.

Przyjrzał się jej dokładnie, ale nie tak, jak robią czasem chłopaki – z góry na dół, co dziewczyny nazywają spojrzeniem-windą. Zdawał się przenikać wzrokiem jej skórę, sięgać aż do kości.

Czuła bijący od niego smród, ale jej obrzydzenie było silniejsze. Chciała jak najszybciej znaleźć się daleko od tego faceta. Wywoływał w niej dreszcze. Złapała Eliota za rękę. Dłoń brata była dziwnie zimna.

– Chodźmy stąd – szepnęła. – Spóźnimy się. – Szarpnęła go.

– Dobra – niechętnie się zgodził, wciąż patrząc na mężczyznę.

Znów zaczęli iść szybko.

– Równie dobrze mogłeś wrzucić pieniądze do studzienki kanalizacyjnej – powiedziała. – Ten gość pewnie nawet nie umie grać, a skrzypce znalazł na

śmietniku.

– Jestem przekonany, że potrafi – odburknął Eliot, pocierając dłonie. – I to bardzo dobrze.

Eliot był czasem zbyt miły i ludzie to wykorzystywali. Przez chwilę rozważała podjęcie próby odzyskania pieniędzy, ale zdecydowała, że może lepiej będzie, jeśli Eliot w końcu zrozumie, że nie wszyscy zachowują się według 106 babcinych zasad. Pięćdziesiąt centów to niewysoka cena za taką lekcję.

Zawsze miał ten rozmarzony wyraz twarzy, kiedy mówił o muzyce. I wiedziała, że nie ma co przypominać mu o regule 34 – równie dobrze mogłaby dyskutować o estetyce z koszem na śmieci albo o aerodynamice ze ścianą.

Zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie musiała ciągle uważać na Eliota. Zawsze próbował znaleźć sposób na to, żeby ominąć zasady, i stale pakował ich w kłopoty. Ale czy jej się to podobało, czy nie, był jej bratem – jakby trzecią ręką, niesamowicie irytującą i niepotrzebną, ale też trudną do usunięcia.

– Cee powiedziała mi, że jesteś adoptowany – odezwała się. – Widziałam akt urodzenia. Było na nim napisane: „Eliot Post. *Sarcoptes scabiei*”.

Chodziło o mikroskopijne roztocze wywołujące świerzb. Eliot podrapał się po głowie.

– Musisz czasami wychylić nos poza książki o medycynie. Też je wszystkie przeczytałem. A może dopadła cię *Mycobacterium leprae*?

Tym razem była to odmiana bakterii odpowiedzialna za trąd. Ładna gra słów.

Skręcili na rogu Midway i Vine. Z kwiaciarni Sol

Granda po drugiej stronie ulicy unosił się zapach setek róż i naręczy lawendy. Fiona marzyła o tym, żeby ktoś przysłał jej takie róże. Choć raz w życiu. Ktokolwiek.

Dalej mieścił się Różowy Królik, sklep ze zdrowym jedzeniem, w którym można też było napić się soku. Królik z dykty stojący na dwóch łapach popijał zielony pieniaący się płyn z plastikowego kubka. Eliot lubił tam zachodzić. W czwartki po południu w sklepie organizowano otwarte sesje muzyczne – zawsze wtedy siadał w rogu i udawał, że nie słucha.

Za Różowym Królikiem przycupnęły wykonane w stylu kolonialnym kolumny „II Ringo”, Pałacu Amerykańskiej Pizzy. W zamierzeniu budowla ta miała przypominać miniaturową wersję Białego Domu, tyle że zamiast jednego skrzydła miała nie otynkowany blok z pustaków – nową przybudówkę, w której będą się kiedyś mieścić cztery tory do kręgli. Na ścianie obok przeszklonych drzwi wejściowych namalowano Wuja Sama trzymającego w jednej ręce kulę do kręgli w kolorach amerykańskiej flagi, a w drugiej – trójkąt gumowatej pizzy.

Na skrzyżowaniu zderzały się zapachy z tych trzech lokali: róże i lawenda, świeżo wyciśnięty sok z marchwi i pomarańczy, drożdże oraz pepperoni.

Oczywiście szczytem niedopasowania była restauracja „U Ringo”. Pizza wywodzi się z Neapolu, kręgle z Niemiec, a może nawet ze starożytnego Egiptu, a styl kolonialny nawiązywał do architektury renesansowej. A wszystko to razem łączyło się w Pałac Amerykańskiej Pizzy.

Zatrzymali się przed szklanymi drzwiami.

Fiona naprawdę nie miała ochoty wchodzić do środka. „U Ringo” wiele rzeczy było nie tak – i nie chodziło tylko o kłującą w oczy mieszankę stylów, sprzątanie ze stołów czy zmywanie brudnych naczyń. Niewidzialna ręka babci jednak popychała ich do przodu. Praca kształtuje charakter – tak im zawsze powtarzała.

Fiona ruszyła się pierwsza. Sięgnęła dłonią do klamki i otworzyła drzwi przed Eliotem.

– Chodź, zmiana trwa tylko cztery godziny. Damy radę.

– Taa. – Twarz Eliota zamieniła się w zmartwioną maskę. – Bez trudu.

Przekroczyła próg tuż po nim. Klimatyzacja uderzyła ją w twarz arktycznym wichrem. W Pałacu Amerykańskiej Pizzy zawsze było za zimno. Szkoda, że nie włożyła swetra na sukienkę.

Mike, szef dziennej zmiany, stał przy wejściu z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Pięć minut spóźnienia – ogłosił. – Odliczam wam godzinę z wypłaty.

Eliot chciał coś powiedzieć, ale Fiona szturchnęła go łokciem, żeby siedział cicho.

Wcale się nie spóźnili. Nawet mimo zatrzymania się przy bezdomnym mieli całe piętnaście minut na to, żeby dotrzeć do pizzerii. Ale z Mikiem lepiej było nie dyskutować. Mógł zacząć odliczać im od wypłaty kary za inne rzeczy, których nie zrobili.

Mike Poole wrócił do Del Sombry na lato. Był studentem drugiego roku w Berkeley i ze swoją burzą delikatnych rudych włosów i piegowatymi przedramionami wyglądał może i nawet przystojnie, ale w

jego oczach widać było inteligencję krowy i przebłycki okrucieństwa. Wsunął cienką książkę pod leżący na stoliku kalendarz z rezerwacjami. Fiona zdażyła zauważyć, że było to opracowanie *Makbeta*. Czytała ten dramat chyba z dziesięć razy³ i jeśli musiałyby, pewnie dałaby radę wyrecytować go Mike'owi z pamięci, pomagając mu przy wymawianiu trudniejszych wyrazów.

– A więc... Fiona. – Mike wyszedł przed stolik. – Przemyślałaś już moją propozycję? Awans na hostesse? Mógłbym cię wszystkiego nauczyć. To nic trudnego. – Uśmiechnął się, przesuając po niej spojrzeniem-windą. – Świetnie byś się sprawdziła.

Dziewczyna odwróciła wzrok, zgarbiła się i poczuła oblewający ją rumieniec.

– Nie najlepiej daję sobie radę w kontaktach z ludźmi – wyszeptowała. – Ale dzięki.

– To by było częścią szkolenia – wyjaśnił Mike lukrowanym głosem.

Eliot zacisnął pięści. Fiona wyszła przed niego.

– Nie ma takiej potrzeby. Sprzątanie ze stołów jest OK. Naprawdę.

– Jak chcesz – prychnął Mike. – Ktoś na nocnej zmianie się pochorował i zostawili ci sprzątanie sali prywatnych przyjęć. – W końcu Mike zauważył Eliota i dorzucił: – Młody, dzisiaj trzeba umyć kosze na śmieci. Zabierz się do tego przed zmywaniem. I nie zapomnij o

³ Jednym z nielicznych artefaktów znalezionych w Oakwood Apartments w nienaruszonym stanie były opublikowane w XVIII w. *Dziela zebrane* Williama Szekspira (numer katalogowy 49931-D). Co ciekawe, wszystkie odwołania mitologiczne zostały przekreślone niezmywalnym mazakiem. Na przykład z *Makbeta* usunięto fragmenty, w których pojawiały się wzmianki o Hekate, a także całą scenę z trzema wiedźmami (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku, op.cit.*).

wybielaczu.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała za brata Fiona.

Ominęli Mike'a i razem weszli do jadalni. Z tyłu znajdowała się sala, w której odbywały się prywatne przyjęcia, a wahadłowe drzwi z lewej prowadziły do kuchni. Fiona cały czas czuła na plecach wzrok Mike'a. Zmieniła zdanie, jego oczy wcale nie były krowie. Takim porównaniem krzywdziła te zwierzęta. Mike miał oczy szczura.

Słońce wpadało do jadalni przez szerokie okna. Przy pięciu z piętnastu stolików siedzieli już klienci, którzy przyszli na obiad. Wyglądali na typowych turystów odwiedzających krainę winnic: mężczyźni w spodniach koloru khaki i luźnych jedwabnych koszulach, kobiety w markowych dżinsach i swetrach, obwieszane kilogramami złotej biżuterii. Do jedenastej trzydzieści cała sala wypełni się gośćmi, a Eliot i Fiona będą biegać jak szaleni, żeby zdążyć wszystko wyczyścić przed południem, prawdziwą godziną szczytu. Pizzeria „U Ringo” mogła przedstawiać sobą żenująco eklektyczny styl architektoniczny, ale jej lokalizacja na najpiękniejszej z widokowych tras prowadzących z San Francisco do serca krainy winnic sprawiała, że właściciele lokalu z łatwością wyciągali pieniądze od przejeżdżających tędy turystów.

Eliot wpadł na siostrę, jakby jej wcale nie zauważył. Odwróciła się i szybko zorientowała dlaczego. Brat gapił się na Lindę, kelnerkę, która też miała dziś dyżur. Zresztą Linda wpływała w podobny sposób na wszystkich chłopaków.

Fiona złapała Eliota za ramiona i wskazała mu drzwi do kuchni.

– Próbuj wyglądać na zajętego, gdy pojawi się tu Mike – wymruczała.

Chłopak mrugnął.

– Jasne.

– I postaraj się utrzymać głowę na powierzchni.

– Fiona nawet niespecjalnie starała się ukrywać aluzji do wzrostu Eliota, jego braku umiejętności pływania oraz olbrzymiego zlewu, przy którym miał spędzić następne cztery godziny.

Chłopak popatrzył na nią złym wzrokiem, ale po chwili się rozchmurzył – wpadł na to, jak się odgryźć.

– A ty staraj się nie pobrudzić.

To był przytyk do zadania Fiony. Sprzątanie ze stołów bowiem oznaczało bliskie spotkania trzeciego stopnia z rozciapanym sosem marinara, rozlaną oliwą, rozsypaną prażoną kukurydzą... I wszystko to dostawało się jej we włosy i na ubranie niezależnie od tego, jak bardzo uważała. I chociaż codziennie wieczorem brała prysznic, nie mogła się pozbyć ze skóry tego charakterystycznego zapachu pizzerii.

Eliot ruszył do kuchni, a Fiona złapała stojący przy ścianie wózek do naczyń i pchnęła go w stronę sali przyjęć.

Przyglądała się Lindzie rozmawiającej z klientami o pogodzie i ruchu na drodze. Goście zawsze śmiali się z jej żartów, a kiedy sugerowała im danie dnia, zwykle przystawali na jej rekomendację. Być może chodziło o urodę dziewczyny, która ze swoim idealnym makijażem, nastroszonymi blond włosami i dopasowanymi kolorystycznie spódniczką, różową koszulką i długimi paznokciami mogłaby być modelką. Ale Linda umiała

sobie poradzić nawet z zaczepkami Mike'a, uśmiechając się niewinnie, gdy stał zbyt blisko niej i głupio się na nią gapił. Zawsze miała jakąś wymówkę, żeby się z nim nie umówić, mimo to nigdy się na nią nie złościł.

Teraz Linda zobaczyła Fionę. Kiwnęła do niej głową i na krótką chwilę na jej twarzy pojawił się uśmiech. Trzeba przyznać, że dziewczyna potrafiła sprawiać wrażenie miłej nawet w stosunku do niej, choć tak naprawdę nie czuły do siebie sympatii. Dokładnie jak Mike.

Fiona niezgrabnie jej pomachała i odwróciła wzrok. Wygładziła sukienkę, choć niezależnie od wysiłków ta wciąż była pognieciona. Chciałyby mieć tyle odwagi, żeby powiedzieć Cee, że nie znosi szytych przez nią ubrań, ale wiedziała, że to złamałoby staruszce serce. Znów zerknęła na Lindę śmiejącą się razem z klientami. Tu nie chodziło tylko o urodę. Linda wiedziała, jak rozmawiać z ludźmi. I Fiona wiele by dała, żeby zdobyć taką pewność siebie. Za każdym razem, kiedy musiała odezwać się do kogoś obcego, serce waliło jej tak mocno, że ledwie słyszała swój mysi głosik usiłujący wypiszczęć coś mądrego. Jeśli nieśmiałość uznawano by za chorobę, Fiona natychmiast trafiłaby na intensywną terapię, gdzie podłączono by ją do towarzyskiego respiratora.

Westchnęła i zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami do sali przyjęć. Coś było nie tak.

Zwykle pokój zostawał otwarty, tak żeby klienci widzieli duży stół, przy którym mogło usiąść ponad dwadzieścia osób, bar z umywalką i telewizor. Miało to skusić ich do rezerwowania pomieszczenia na imprezy urodzinowe czy wspólne oglądanie meczu. Za czterdzieści

dolarów było do ich dyspozycji przez cały wieczór.

Wtedy dotarł do niej ten smród: wanilia, pesto i kwaśny odór czegoś, co już dawno przestało być jedzeniem.

Napięła mięśnie i rozsunęła drzwi. Od razu pojęła, co tu się działo poprzedniego wieczoru.

Pod pretekstem urodzinowego przyjęcia dla sześciolatków zamknięto w sali dwadzieścioro pałających żądzą słodczy małp. Na ścianach, podłodze i – zupełnym przypadkiem – również na stole zobaczyła rozrzucone grudki makaronu, kawałki pizzy, bezkształtnego żółtego sera i błękitnego lukru. Między nimi połyskiwały kałuże roztopionych lodów, a wszystko szczerze posypane było po wierzchu konfetti. W rogu sali widniała spora pomarańczowa plama i Fiona zrozumiała, że kiedy Mike wspomniał o tym, że ktoś na nocnej zmianie się pochorował, nie miał na myśli jednego z pracowników.

Wepchnęła wózek do środka i zamknęła za sobą drzwi. Klienci nie musieli na to patrzeć. Włożyła siatkę na włosy i zawiązała wokół niej chustkę. Potem przyszła kolej na sięgający od brody do kolan biały płócienny fartuch i grube gumowe rękawice. To była jej zbroja.

Zamiotła konfetti, resztki jedzenia i skrawki papieru do pakowania prezentów ze wzorem w malutkie roboty. Potem szufelką zdrapała z podłogi bardziej lepkie pozostałości po imprezie.

Zastanawiała się, jak to jest mieć prawdziwe przyjęcie urodzinowe. U nich w domu uroczystości tego dnia ograniczały się do krótkiej porannej ceremonii: Cee próbowała przygotować coś specjalnego na śniadanie, a Eliot i Fiona udawali, że im to smakuje. Potem dostawali

prezenty – zwykle książki, zestawy długopisów czy notesy – ale nigdy nie opakowane w kolorowy papier. A już na pewno nie w papier w malutkie roboty.

Oczywiście do prawdziwego przyjęcia urodzinowego potrzebni byli przede wszystkim przyjaciele, ale też balony i zabawy. A Fiona nie potrafiła sobie wyobrazić czegoś takiego w mieszkaniu babci.

Zamarła w połowie wycierania kałuży oliwy nagle zła na babcię i jej 106 reguł. Czy bez nich mogłaby stać się taka jak Linda? Nauczyłaby się rozmawiać z ludźmi? Uśmiechać się, a nie wpatrywać nieustannie w podłogę? Nie musiałyby pracować. Spędzałyby wakacje u przyjaciół, chodziłyby na imprezy piżamowe i z przyjaciółkami oglądałyby filmy do północy...

Wszystko to wydawało jej się baśniowymi scenami, znacznie mniej rzeczywistymi niż mity zawarte w zakurzonych książkach leżących na półkach w jej pokoju.

Fiona poczuła się wyczerpana. Miała ochotę po prostu się tu położyć i poczekać, aż znajdą ją na końcu zmiany.

Wtem wpadł jej w oko jakiś odblask. Spod papierowego talerza wystawał kawałeczek czerwonej folii aluminiowej. Przesunęła talerz i zobaczyła zawinięty z papierek cukierek. Na folii widniał napis: „Ultraciemna specjalna”.

Serce zaczęło jej bić szybciej. Czekolada.

Mimo że nie trafiła na listę babcinych zakazów, pojawiała się w życiu Fiony równie rzadko jak dni bez pracy domowej. Cee trzymała w kuchni półsłodkie drażetki, kakao, a czasami nawet tabliczkę gorzkiej czekolady, z których przygotowywała ciastka,

meksykański sos czy bożonarodzeniową masę toffi, wszystko ledwo zasługujące na określenie „jadalne”. Choć kiedyś, zanim Cee zauważyła i uderzyła ją po rękach drewnianą łyżką, Fiona spróbowała kilku kawałków. Było warto.

Drżącym ruchem zdjęła jedną rękawicę i sięgnęła po cukierek. Miał kształt serca i choć najpierw sprawiał wrażenie zimnego, szybko rozgrzał się w jej dłoni.

Może powinna zostawić go sobie na później? Po pracy?

Nie. Do tamtej pory z kawałkiem czekolady mogło się zdarzyć milion rzeczy. Lepiej było zjeść go natychmiast.

A co z Eliotem? Powinna się z nim podzielić. Lecz cukierek był taki malutki... Ledwie na dwa kęsy.

Zdjęła drugą rękawicę i ostrożnie odwinęła cukierek z czerwonej folii. W środku dostrzegła ciemny kształt udekorowany kruczoczarnymi i intensywnie brązowymi zawijasami. Wciągnęła głęboko powietrze i poczuła zapach czegoś niewytłumaczalnego: tajemnicy, zakochania, szeptów.

Ugryzła malutki kawałeczek.

Czekolada była gładka i łatwo poddała się zębom. Fiona zamknęła oczy i pozwoliła cukierkowi rozpuścić się na języku, rozpląnąć w aksamitnym dotyku. Ciepło ogarnęło jej klatkę piersiową, żołądek i uda. Topiąca się czekolada była jednocześnie słodka i gorzka, pachnąca dymem i cudownie elektryzująca. Delikatnie prześlizgnęła się przez gardło dziewczyny.

Serce Fiony waliło jak szalone. Wciągnęła głęboko powietrze i wstrzymała na chwilę oddech. Głośno

westchnęła. To było pyszne. I skończyło się.

Czy takie same doznania towarzyszą pocałunkowi? Jakby się spadało? Jednocześnie czuje się kłujące ciepło i chłodne dreszcze?

Spojrzała na połowę cukierka, którą wciąż trzymała w dłoni. Widziała na niej ślady swoich zębów. Ślina znów napłynęła jej do buzi.

Tak bardzo tego chciała, ale się powstrzymała. Ostrożnie zawinęła resztę czekoladki z powrotem w folię. Da to Eliotowi. Jemu też w końcu należała się jakaś przyjemność w dniu urodzin.

Zapakowała czekoladkę w czysty papierowy ręcznik i wsunęła cenną paczuszkę do kieszeni sukienki. Z powrotem włożyła rękawice. Teraz czuła się lepiej, pełna energii. I skończyła sprzątanie sali znacznie szybciej, niż się tego spodziewała. Parkiet i plastikowy stolik aż błyszcząły, a jedynym zapachem unoszącym się w powietrzu była teraz lekka woń sosnowego płynu do mycia podłogi... Choć Fiona pamiętała też świetnie aromat czekolady.

Dotknęła kieszonki, żeby sprawdzić, czy paczuszka wciąż jest na miejscu, po czym otworzyła drzwi do jadalni i pchnęła załadowany wózek w stronę kuchni.

Kiedy wchodziła do niej, ogarnęły ją kłęby pary intensywnie pachnące mydłem i wybielaczem. Kucharz zamachał do niej na przywitanie. Potężne dłonie Johnny'ego potrafiły podrzucić jednocześnie do góry dwie wirujące kule ciasta. Szybko odwrócił się w stronę pieców, bo jego uwagę przyciągnęło pięć krążków pizzy z roztopiającym się już serem.

Eliot stał w głębi pomieszczenia obok frytkownicy i

pochylał się nad wielkim niczym wanna zlewem, po którego obu stronach piętrzyły stosy brudnych naczyń, najwyraźniej pozostałych po nocnej zmianie. Mike zawsze im to robił: wpadał do restauracji wieczorem i mówił obsłudze, żeby zostawiła sprzątaninę na rano. Czy wziął się na Eliota z powodu szytych przez prababcię ubrań? A może ze względu na jego wzrost? Czy dlatego że Fiona wciąż odrzucała propozycje Mike'a?

– Potrzebujesz pomocy? – zapytała.

Eliot nie przestawał szorować. Widziała jego ręce zanurzone w brudnej wodzie.

– Daję radę.

Próbował zatrzeć dłonią mydliny z czoła, ale zostawił tylko na nim nowy ślad z brudnej piany. Fiona przetarła bratu twarz swoim fartuchem.

– Dzięki – szepnął.

Wyjęła z kieszeni zawiniątko z czekoladką i położyła je na wysoko zawieszanej półce z dala od zlewu.

– Nikt nawet nie zauważy, że na chwilę wyszłam. Pomogę ci.

Eliot kiwnął tylko głową, niezdolny do powiedzenia siostrze „dziękuję” po raz drugi tego dnia. Rozumiała to. Jedną z podstawowych zasad ich funkcjonowania brzmiała: nigdy nie być zbyt miłym dla rodzeństwa.

Podeszła do stosu naczyń. Ser, sos i makaron zastygły przez noc w twardą skorupę. Eliot skrobał najgorsze kawałki stalową łopatką, przepłukiwał talerze gorącą wodą i podawał je siostrze do zasadniczego mycia. Po dziesięciu minutach połowa stosu trafiła na suszarki, ale grzywka przykleiła się Fionie do czoła. Dziewczyna przemoczyła też sobie cały fartuch.

Wtem drzwi do kuchni uchyliły się i pokazała się w nich głowa Lindy.

– Tu jesteś! – rzuciła do Fiony. – Robota czeka. – Błysnęła niezbyt przyjaznym uśmiechem i zniknęła w jadalni.

Fiona rozpięła ociekający wodą fartuch. Jej sukienka też była przemoczona i kleiła się do skóry. Dziewczyna zatrzęsała się z chłodu.

Tym razem drzwi do kuchni otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł rozwścieczony Mike.

– Fiona, co jest...? – Pośpiech w jego głosie rozplynał się, kiedy zobaczył, jak dziewczyna wygląda. Jego oczy świdrowały ją na wylot.

– Już idę – powiedziała, wpatrując się w podłogę. Instynktownie skuliła się i skrzyżowała ręce na piersi. Miała gęsią skórę na całym ciele. – Właśnie skończyłam z boczną salą.

– Nie spiesz się. – Teraz głos Mike'a był spokojny, prawie słodki. Chłopak przysunął się do niej. – Naprawdę chciałbym, żebyś pomyślała o pracy hostessy. Godziny są znacznie lepsze. Stawka też.

Fionę piekły policzki, a włosy na karku jakby stanęły na baczność.

– Powiedziała już, że nie jest zainteresowana. – Eliot wysunął się przed siostrę. – Ile razy ma to powtarzać?

Fiona zobaczyła, że brat trzyma w ręku stalową łopatkę, ostrzejszą krawędzią skierowaną ku twarzy Mike'a. Gładkie rysy starszego chłopaka wykrzywiły się w złości i zadziwieniu, a potem ułożyły w pogardliwą minę.

– Spadaj, szczyłu. Rozmawiam z twoją siostrą.

– Daj spokój – wyszeptała tak cicho Fiona, że sama ledwie się usłyszała.

Zaciśnięte na łopatkę palce Eliota zbieleły. Chłopiec wciągnął głęboko powietrze i zrobił krok w stronę wyższego o głowę Mike'a.

– Nie. Skończyłeś już z nią rozmawiać.

Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę. Wreszcie Fiona nie wytrzymała napięcia, wyprostowała się, podeszła do brata i choć wiele ją to kosztowało, spojrzała Mike'owi w oczy.

– Już raz powiedziałam „nie”. Nie żartowałam.

Mike cofnął się o krok. Przez chwilę wyglądał tak, jakby się ich przestraszył.

– Dobra, jak już sobie chcesz – prychnął. – Ale wyłaż stąd i idź czyścić stoły. Klienci czekają. – Odwrócił się i wymaszerował z kuchni.

– Dzięki – szepnęła Fiona do Eliota.

Ten, cały drżący, nic nie odpowiedział i wrócił do zmywania.

Dziewczyna zorientowała się, że jej dłonie również były zaciśnięte w pięści. Rozluźniła je. Ani ona, ani Eliot nigdy wcześniej nikomu się w ten sposób nie przeciwstawili. Może piętnaste urodziny oznaczają początek całkiem ciekawego roku?

STŁUCZONA FILIŻANKA

Eliot, Fiona i prababcia Cecilia siedzieli przy stole w jadalni i udawali, że nic specjalnego się nie dzieje, choć ewidentnie było inaczej.

Bursztynowe promienie obniżającego się słońca wpadały do środka przez firanki i odbijały się w wypolerowanym drewnianym blacie. Porcelanowa zastawa przybrała w półmroku pomarańczowy kolor.

Fiona przebrała się już w szary dres i siedziała z nosem wetkniętym w *Philosophise naturalis principia mathematica* Isaaca Newtona, pracując nad zadaniem na jutro wypracowaniem. Cee, wytyżając wzrok w grubych szklach, wypisywała wiecznym piórem kolejne słowa listu do kuzynki z Bawarii. Eliot zaś nie mógł się skupić. W głowie wciąż na nowo odtwarzał sobie scenę konfrontacji z Mikiem i czuł skoki adrenaliny, wyobrażając sobie, jak wali tego durnia pięścią w twarz. Ale tego wieczoru nie tylko rozmyślania o Mike'u przeszkadzały mu w pracy. Chodziło jeszcze o dwie sprawy.

Przed Eliotem leżały otwarte encyklopedie, w których szukał informacji o załamaniu nerwowym Newtona z 1675 roku, ale większość tekstu przekreślono w nich czarnym mazakiem. Domyślał się, że fragmenty te dotyczyły zainteresowań Newtona alchemią⁴.

⁴ Stopień zainteresowania Newtona alchemią nie jest nam znany - większość jego notatek spłonęła w pożarze pracowni. Choć badacze okultyzmu utrzymują, że dokonał w tej dziedzinie przełomowych odkryć,

Czasem widok pomalowanych w paski niczym zebra stron denerwował go tak bardzo, że miał ochotę rzucić ocenzurowanymi książkami o ścianę. Ale tak objawiała się babcina reguła numer 55:

Reguła 55: *Żadnych książek, komiksów, filmów ani innych form przekazu związanych z fantastyką naukową, fantasy czy horrorami. Zwłaszcza – choć nie tylko – żadnego okultyzmu, pseudonauki (alchemii, spirytyzmu, numerologii itd.) ani starożytnej czy miejskiej mitologii.*

Eliot nazywał to regułą „nic wymyślonego”. Ale babcia miała na takie rzeczy inne określenie: „psujące rozum słodycze dla prymitywnych umysłów”.

Jak jednak miał napisać dobre wypracowanie, skoro wszystkie ciekawsze fragmenty z encyklopedii usunięto? Przecież można było tylko przekreślić szkodliwy tekst pojedynczą linią, a wtedy przynajmniej Eliot doszedłby, czego dotyczył.

Ale reguła 55 i złośliwości ze strony Mike'a były jednak zwykłą częścią dziwnego życia Eliota. To, co ich wszystkich naprawdę męczyło tego wieczoru, było zdecydowanie bardziej niecodzienne.

Do jadalni weszła babcia z twarzą zmienioną w

które później okazały się kluczowe w jego pracach matematycznych, nie ma na to żadnych dowodów. Podobnie jak jeszcze dziwniejsze legendy o faustowskich paktach, jakie Newton miał zawrzeć z silami wyższymi. Analiza chemiczna szczątków Newtona wykazała wysoką zawartość w nich związków rtęci, która mogła wynikać z przeprowadzonych eksperymentów alchemicznych i być może leżała u źródeł dziwnych zachowań naukowca z 1675 roku (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. III, *Pseudonauka, op.cit.*).

maksymalnie skoncentrowaną maskę. Jej szare oczy zdawały się wypatrywać czegoś odległego o kilometry od nich. Jej zwykle pełen swobody krok zastąpiło pełne napięcia stąpanie, jakby się bała, że w każdej chwili coś może na nią wypaść z cienia. Ale to było głupie stwierdzenie. Babcia nigdy niczego się nie bała. Tak czy inaczej, jej nastrój był zaraźliwy i Eliot poczuł igiełki wspinające się mu po kręgosłupie.

Babcia zatrzymała się i przechyliła głowę, nasłuchując. Potem przejechała dłońmi po krótkich srebrnych włosach i powiedziała:

– Sprawdzę piwnicę i boczne drzwi.

Codziennie wieczorem obchodziła wszystkie pomieszczenia i upewniała się, że wszystko jest w porządku. Nie było w tym nic dziwnego – ot, zwykle obowiązki zarządcy budynku. Zaskakujące jednak było to, że oznajmiała im, że ma zamiar to zrobić, jakby chciała ich przed czymś ostrzec.

– Oczywiście – odpowiedziała Cecilia. Na jej twarzy znów pojawił się uśmiech. Odłożyła pióro i splótła drżące palce. – Właśnie miałam nalewać herbatę. Zaczekać na ciebie?

Babcia, głośno stukając butami, pomaszerowała w stronę drzwi frontowych.

– Nie! – zawołała, nie odwracając się, po czym otworzyła drzwi, przystanąła i dodała: – Eliot, z powrotem do książek.

Chłopiec natychmiast skierował wzrok na stół. Usłyszał szcęk przekręcanego zamka.

Babcia nie bała się niczego. Dosłownie niczego. Jediną rzeczą, która naruszała jej niezachwianą

równowagę, były pytania Fiony i Eliota o mamę i tatę.

Eliot nigdy nie myślał o sobie „sierota”. Słowo to oznaczało dla niego takie dzieciaki jak David Copperfield, mieszkające w prowadzonych przez państwo obozach. On i Fiona mieli rodzinę, swoje mieszkanie, nawet jeśli oboje nie pamiętali rodziców.

Za każdym razem, kiedy o nich pytali, babcia cierpliwie wyjaśniała, że kiedy byli bardzo mali, zdarzył się tragiczny wypadek na morzu. A że ona i Cecilia były ich jedynymi krewnymi, więc w naturalny sposób po śmierci rodziców zamieszkali z nimi. Nie, nie pozostały żadne zdjecia. Wszystko było na statku, który zatonął.

Za każdym razem, gdy babcia na nowo opowiadała tę historię, na jej gładkiej twarzy rysowały się zmarszczki, jakby samo wspomnianie tych zdarzeń było dla niej fizycznie wyczerpujące.

Tego wieczoru musiała przeżywać coś jeszcze gorszego. Eliot dostrzegł to w jej oczach i jedyne słowo, jakie przychodziło mu do głowy na określenie tego, to zaciętość.

Fiona i Eliot jednocześnie podnieśli wzrok nad książek. Spojrzeli po sobie. Myśleli o tym samym – coś było nie tak. Eliot wzruszył ramionami, Fiona zagryzła wargi.

Cecilia wyjęła słoiczek i odmierzyła na sitko cztery łyżeczki przyrządzonej przez siebie mieszanki rumianku, stewii i zielonej herbaty. Położyła je na otwartym dzbanku z białej porcelany, ozdobionej pajęczynowym wzorem⁵, i

⁵ „Baba-Jaga naląła do dzbanka wrzącą brudną wodę rzeczną. Kamienny dzbanek był obłupany i oblepiony siecią pajęczyn, po której chodziły jadowite pająki. «Co robisz?» - zapytała zagubiona dziewczynka, otwierając szeroko oczy. «Herbatę, diawoczko», Baba-Jaga uśmiechnęła się, pokazując

zalała wrzątkiem.

– Czy zdarzyło się dziś coś specjalnego? – zapytała od niechcienia i podała Eliotowi filiżankę.

– Dlaczego pytasz? – zaciekawiał się chłopak. 106 babcinych reguł miało na celu wyeliminowanie z życia rodzeństwa Postów jakichkolwiek interesujących, a więc niecodziennych wydarzeń.

Uśmiech Cee na chwilę zniknął, ale natychmiast pojawił się na nowo.

– Bez powodu, kochanie. – Podsunęła Fionie parującą filiżankę. – Tak po prostu.

Każdego wieczoru Cee pytała: „Jak było w pracy?”, a raz na jakiś czas także: „Mieliście dobry dzień?”. To były pytania zadawane „tak po prostu”. To dzisiejsze do nich nie należało. A przecież zdarzyło się coś specjalnego: spotkali faceta ze skrzypcami i postavili się Mike'owi.

– Dzień jak każdy inny – odpowiedziała Fiona, przyglądając się wirującym w filiżance fusom.

Cee kiwnęła głową, przyjmując do wiadomości słowa prawnuczki. Trzema łykami wypijała swoją herbatę. Zawsze tak robiła – im gorętszy był napój, tym szybciej zdawała się go przełykać.

Fiona, podobnie jak Eliot, nie chciała nic mówić Cee. Opowieść o wrednym szefie tylko by prababcie zdenerwowała. Ale chodziło też o coś więcej. W chwili, kiedy razem przeciwstawili się Mike'owi, nagle zmienili się w kogoś więcej niż parę zdziwaczałych nastolatków. Stali się silni. A jeśli komuś by o tym opowiedzieli, cała magia tamtego momentu mogła się bezpowrotnie ulotnić.

Eliot napił się słodkiej herbaty. Fusy krążyły

ostre zęby. «Herbatę dla mojego słodkiego kaska»" (ojciec Sildas Pobożny, *Mythica improbiba*, wersja tłumaczona, ok. XIII w.).

jeszcze w jego filiżance niczym gwiazdy po galaktyce. Fiona położyła bratu rękę na ramieniu i kiwnięciem głowy wskazała Cecilie. Prababcia siedziała nieruchomo, wpatrzona w puste naczynie. Jej dłoń zatrzęsała się gwałtownie i filiżanka spadła ze stołu, odbiła się od parkietu, uderzyła o niego ponownie i rozpadła się na drobne kawałeczki.

– Ojej – powiedziała Cee, mrugając. Podniosła się z krzesła. – Ależ ze mnie ofia...

Frontowe drzwi otworzyły się nagle i z hukiem uderzyły w ścianę. Ze stojącej obok półki uniosła się chmura kurzu. Sylwetka babci wypełniła framugę. Jej długie, szczupłe ręce zwisały wzdłuż tułowia.

– Nie ruszajcie się – rozkazała.

Miała spokojny i skupiony wyraz twarzy, ale jej oczy skakały po całym pokoju, błyskawicznie oceniając sytuację.

– Wszędzie leżą odłamki. Zaraz je pozbieram.

Podeszła do stołu i uklękła, podnosząc największe fragmenty porcelany. Ale ku zdziwieniu rodzeństwa babcia nie tylko je podnosiła, lecz również poukładała z powrotem we właściwy kształt. Wkrótce w lewej ręce trzymała podstawek i kawałki ścianek przypominające kwiat lotosu o zaokrąglonych płatkach. Wpatrywała się w częściowo zrekonstruowaną filiżankę z taką samą zaciętością, jaką Eliot dostrzegł u niej już tego wieczoru. Miał wrażenie, że gdyby zapytał, co robi, pewnie podniosłaby głowę i intensywność jej spojrzenia wyrwałaby mu to pytanie z gardła. Odruchowo sięgnął ręką do szyi.

Zachodzące słońce zalewało niebo feerią

pomarańczu i szkarłatu. Białe odłamki w ręku babci wyglądały jak oblane krwią. Zaczepnęła głęboko powietrza i głośno je wypuściła. Potem zamknęła dłoń wokół stłuczonej filiżanki, wstała i spojrzała po kolei na Cee, Fionę i Eliota. Jej oczy miały zwykły szary kolor.

– Dopijcie herbatę – wymruczała.

Rodzeństwo posłuchało nakazu.

– Cecilia, sprzątnij tu do końca.

– Oczywiście. – Prababcia ruszyła do kuchni po miotłę i szufelkę.

– Mogę pomóc – zaoferowała się Fiona.

– Nie. – Na stopniowo rozluźniającej się twarzy babci pojawił się lekki uśmiech. – Wy szykujcie się do spania.

– Musimy skończyć zadania domowe – zaprotestował Eliot. – Mamy do napisania wypracowanie o Newtonie i...

– Praca domowa jest dziś odwołana... z racji waszych urodzin – powiedziała babcia.

Eliot popatrzył na siostrę. Ta odwzajemniła spojrzenie. Oczywiście nie miał zamiaru się kłócić, ale odwołanie pracy domowej nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Deszcz, śnieg, choroba, wyczerpanie – nic nie zwalniało ich z tego obowiązku.

Babcia uściskała i ucałowała Fionę, potem uklękła i przywołała gestem Eliota. Objął ją. Ledwo jednak go dotknęła, jakby obawiając się, że zbyt mocne przytulenie może go skrzywdzić. Pocałowali się nawzajem w policzki i rodzeństwo pomaszerowało korytarzem w stronę swoich pokojów.

– Parzysta – wyszeptała dziewczyna.

– Dobra – odpowiedział Eliot.

– Trzy, cztery... – odliczyła.

Jednocześnie wyrzucili z siebie liczby – Eliot siedem, Fiona trzy. Razem dawało to dziesięć, parzystą. Uśmiechnęła się z satysfakcją i poszła do łazienki. Zawsze zwyciężała w tej grze. Eliot nie zorientował się jeszcze, na czym polegała sztuczka, ale Fiona na pewno miała jakąś metodę.

Chłopiec czekał w wypełniającym się cieniami korytarzu. Zerknął w stronę jadalni. Babcia stała do niego tyłem i mówiła coś cicho do Cecylii. Ta energicznie potakiwała, a jej ręce nie trzęsły się tak bardzo jak zwykle. Była za to bardzo blada.

Dotarło do niego tylko kilka słów pełnych twardych niemieckich spółgłosek. Fiona miała talent do języków. Żałował, że nie ma jej koło niego. Wyraźnie usłyszał tylko „*versteckt*”.

Może cała ta tajemnica była związana z ich jutrzejszymi urodzinami? Może babcia i Cee planowały coś niezwykłego? Jakaś niespodziankę.

Drzwi z boku otworzyły się i światło rozlało się na korytarz.

– Łazienka wolna, brudasio – rzuciła Fiona w drodze do swojego pokoju.

Eliot wszedł do opuszczonego przez dziewczynę pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. Czuł intensywny zapach przygotowanego przez Cecylię mydła domowej roboty, które po części czyściło, a po części wyżerało jak jakiś kwas.

Jego uwagę przyciągnęła czerwona plamka w zlewie: kóleczeko karmazynowej folii aluminiowej.

Ostrożnie podniósł ją i zobaczył, że jest w nią zawinięta czekoladka. W lustrze nad zlewem dostrzegł niewyraźne smugi. Przysunął się bliżej i delikatnie chuchnął. Na szkle pojawiły się pochylone litery. Od razu poznał charakter pisma Fiony: „Zjadaj szybko! Wszystkiego najurodzinowo”.

Odwinął folijkę. W środku było pół czekoladki ze śladami ugryzienia po jednej stronie. Uśmiechnął się i wrzucił cukierek do buzi.

Był pyszny... ale jeszcze zanim dobrze poczuł jego smak, już zniknął. Nie był pewien, skąd Fiona go wzięła – czekolada była w domu rzadkim luksusem, a już zwłaszcza czekolada, której Cecilia nie zdążyła zepsuć swoim gotowaniem. Kochał staruszkę, ale szczerze mówiąc, obawiał się, że pewnego dnia otruje całą rodzinę.

Dokładnie wytarł lustro ręcznikiem, potem zgniótł folijkę, owinął ją papierem toaletowym i spłukał w sedesie. Co prawda nie było żadnej reguły dotyczącej czekolady, ale babcia zawsze mogła ją wymyślić, jeśli tylko zaczęłaby znajdować w mieszkaniu papierki po cukierkach.

Poszukał dalszych niespodzianek, ale niczego nie znalazł. Sięgnął więc po proszek do mycia zębów i szczoteczkę. Z wywietrznika w podłodze dobiegło do niego:

– Psst.

Wyplukał usta i kucnął:

– Dzięki.

– To nic takiego – szepnęła Fiona.

Właśnie w ten sposób porozumiewali się po zgaszeniu światła. Wywietrznik w łazience był najlepszy,

ale słyszeli się też ze swoich pokojów – wystarczyło przyłożyć głowę do otworu wentylacyjnego i owinąć się kocem, żeby wytłumić hałas.

– Masz pomysł, co się dzieje? – zapytała Fiona. – Przechodzą mnie dreszcze, gdy myślę o dziwnym zachowaniu babci.

Eliot przypomniał sobie intensywność babcinego spojrzenia i poczuł na ramionach gęsią skórkę.

– Słyszałem tylko, jak rozmawiały po niemiecku. Co oznacza „versteckt”?

– Hmm... „Ukrywać”. Albo „ukryte”, „schowane”.

– Może chodziło o prezenty urodzinowe?

– Może – rzuciła Fiona, ale po jej wątpięcym tonie wyraźnie widział, że też w to nie wierzyła.

Przez chwilę milczeli, wreszcie Fiona powiedziała:

– Dzisiaj w pracy... Dzięki za to, jak się zachowałeś.

– Nie ma sprawy. Myślę, że teraz będzie nam łatwiej.

– ... Jasne. Lepiej zbierajmy się, zanim nas usłyszą.

– Jeszcze jedno.

– Co?

Eliot chciał jej tyle powiedzieć. Choćby to, że skoro już musiał mieć siostrę dziwaczkę, to Fiona wcale nie była taka najgorsza, że wszystkie jego prace domowe byłyby dwa razy słabsze bez jej pomocy i że – choć samo myślenie o tym fizycznie go bolało – w jakiś sposób prawie ją lubił. Zamiast tego zdecydował się na krótkie:

– Wszystkiego najlepszego z okazji jutrzejszych urodzin.

– I dla ciebie.

Druga strona wywietrznika nagle wydała mu się pusta.

Wstał i umył twarz, potem spojrzął w lustro. Wciąż wyglądał jak przedstawiciel gatunku *Palantus maximus*. Może jutro wszystko to się zmieni.

Piętnaście lat.

Westchnął i zgasił światło.

SZKOLENIE KIEROWCY

Robert Farmington przyglądał się, jak jego szef Marcus Welmann otwiera wytrychem zamek w drzwiach z mleczną szybą. Technicznie rzecz biorąc, nie było to legalne, ale włamywali się do kancelarii, której pracownicy z definicji specjalizowali się w naginaniu prawa.

Robert pracował dla Biura Śledczego Welmanna i Partnerów, chociaż żadni partnerzy tak naprawdę nie istnieli i ani Robert, ani Welmann nie mieli licencji na prowadzenie śledztw.

Zerknął na opuszczony korytarz, potem przez okno na ulicę biegnącą dwa piętra niżej. O trzeciej nad ranem to miasteczko przypominało cmentarz. Nazywało się Del Sombra, czyli po hiszpańsku „Z cieni”. Dziwna nazwa.

Znów spojrzął na swojego szefa, który potężnymi dłońmi mocował się z drobnym zamkiem.

Marcus Welmann miał na sobie porozciągane wojskowe spodnie, czarny podkoszulek i adidas do biegania z zerwanymi odblaskowymi paskami i raczej nie wyglądał na modela. Skończył już sześćdziesiąt lat i ważył jakieś sto kilo, z czego większość stanowiły mięśnie. Jego wielkich dłoni pozazdrościłby mu każdy skrzydłowy w NBA, ale gorzej mu szło w zadaniach wymagających precyzji.

Robert przysunął się bliżej i wyszeptał:

– Chcesz, żebym się tym zajął? Nie zabierze mi to więcej niż dziesięć sekund...

Welmann odwrócił się do chłopaka. Jego oczy zwięzły się, ostrzegając podwładnego, że jeśli się nie przymknie, to będzie musiał czekać w samochodzie.

Welmann straszliwie cierpiał, jeśli w ciągu dnia musiał wypowiedzieć więcej niż tuzin słów, co wynikało z jego pozy neandertalczyka, jaką zwykle przybierał. Miał MBA z Harvardu, za sobą służbę medyczną w marynarce, ale zawsze udawał tępego osiłka. Skutecznie – ludzie zwykle go nie doceniali.

Robert skrzyżował ręce i zrobił minę a *la* James Dean. Przyszło mu to bez trudu: miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, džinsy i buty motocyklisty – standardowy strój nastoletnich buntowników. Welmann odwrócił się z powrotem do upartego zamka i przejechał palcem po dziurce od klucza, wokół której widać już było sporo zadrapań po wytrychu. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Złapał za klamkę, nacisnął i drzwi się uchyliły.

– Otwarte – wymruczał.

Cienie wewnątrz biura przecinał promień światła. W środku ktoś był... I doświadczenie podpowiadało Robertowi, że to raczej nie jest portier.

Welmann puścił klamkę i kocim ruchem przesunął się w bok, tak aby osoba znajdująca się w biurze nie zobaczyła jego sylwetki. Robert z tego samego powodu przykleił się do ściany.

Marcus kiwnął na niego i wskazał drugi koniec korytarza, sugerując, że Robert powinien się ulotnić. Ten absolutnie nie miał takiego zamiaru. Po ośmiu miesiącach szkolenia mógł sobie poradzić z taką sytuacją.

Szef sięgnął do umocowanej na plecach kabury i wyciągnął ciężki rewolwer z wypolerowanej stali – colta pythona elite . 357 magnum. Robert wskazał ręką na jego buty i bezgłośnie powiedział:

– Daj.

Starszy detektyw odruchowo wyjął z kabury na kostce taurusa PT-145, drobny polimerowy pistolet o króciutkiej lufie, ale po chwili zatrzymał się, wskazał wyprostowanym palcem Roberta, a potem podłogę, nakazując mu, że ma się nie ruszać nawet na krok.

Robert potaknął. Szef mógł z łatwością sprawić, że się nigdzie nie ruszy – wystarczyłoby jedno uderzenie jego potężnej pięści.

Welmann złapał za klamkę i wpadł do biura.

Chłopak zajrzał do środka i zobaczył źródło światła: wąską latarkę kołyszącą się na stosie pustych teczek na biurku.

Welmann chwycił ją i przejechał snopem światła po całym biurze. Było spore, rozmiaru garażu na dwa samochody, ale upchano w nim aż sześć biurek i pokrywające całą ścianę szafki na dokumenty. Po bokach wisiały plakaty z górskimi widokami i scenami ze spływów po pieniających się rzekach, a także z podpisami zachęcającymi do wytrwałości i wierności swoim zasadom. Wpadające przez okna światło z sodowych lamp ulicznych zabarwiało wszystko na nienaturalny odcień pomarańcza. Welmann sprawdził każdy kąt.

– Nikogo tu nie ma – wyszeptał. – Cholernie dziwne.

Robert wsunął się do środka, uważnie przyglądając się pomieszczeniu. Nie zobaczył nic oprócz cieni. Kto

więc używał latarki?

Szef rzucił mu groźne spojrzenie i już miał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Bo i o co mógł mieć pretensje? Kazał mu zostać na zewnątrz, lecz biuro było ewidentnie opuszczone. Nagle poczuł za sobą czyjąś obecność. Ktoś bardzo duży i głośno oddychający wkroczył za nimi do środka i odchrząknął.

Chłopak się odwrócił.

Cienie za drzwiami rozsunęły się niczym teatralna kurtyna. Świecący w ciemności koniec papierosa ukazał uśmiech, którego nie powstydziliby się kot z Cheshire, i po chwili z półmroku wyłonił się Samończyk w czarnej marynarce, ciemnoszarej koszuli i czarnym krawacie z malutką szmaragdową ozdobą w kształcie czaszki.

Robertowi wydało się zabawne, że zauważył taki drobiazg w obliczu wrażenia, jakie robiła cała sylwetka gościa. Facet miał sporo ponad dwa metry wzrostu, a jego garnitur od Armaniego wypełniało tak na oko jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów żywej wagi.

– „Cholernie dziwne”? – zapytał potężnym barytonem. – Ciekawy dobór słów.

Chłopak miał wielką ochotę wpaść w panikę, a walące z oszalałymi prędkościami serce wyraźnie go do tego zachęcało. Szkolenie Welmanna jednak – polegające między innymi na zapoznaniu się z setkami komiksów z serii *Krypta horroru* i włoskich filmów klasy D, w których krew lała się hektolitrami – zrobiło swoje. W teorii więc Robert był w pełni przygotowany na spotkanie z nieoczekiwanym i niepojętym, a wyłaniający się z nicości człowiek, który z łatwością rozpląszczyłby profesjonalnego zawodnika futbolu amerykańskiego,

niewątpliwie pasował do tej kategorii.

Na pewno nie mogli bić się z tym gościem. Nie mieli też gdzie uciekać. Pozostawały więc dwie możliwości: strzelać albo próbować blefu.

Robert przełknął ślinę, ale i tak miał sucho w gardle.

– Cześć, jak leci?

Uśmiechający się Samończyk wypuścił dym z ust.

– Całkiem dobrze, młody człowieku. – Skinął na Welmanna: – Opuść pistolet. Czego szukasz?

Chłopak zorientował się, że stoi na linii strzału szefa. Klasyczny błąd amatora. Przesunął się o dwa kroki w lewo. Welmann nie spuszczał wzroku z Samończyka i tylko zacisnął mocniej dłoń na broni.

– Nie cierpię zbędnej przemocy – oświadczył przybysz.

Robertowi wzdłuż kręgosłupa przebiegł dreszcz. Odniósł przeciwne wrażenie – jakby gość uważał większość przemocy, z jaką się stykał, za niezbędną.

– Jeśli panowie pozwolą... – Samończyk sięgnął do kieszeni.

– Powoli, kolego – zawarczał Welmann. – Dwoma palcami.

Tamten pokiwał głową. Wyciągnął wizytówkę i podał ją młodszemu detektywowi.

Faceci w tym rozmiarze zazwyczaj nie grzeszyli szybkością. Dlaczego więc Robert wyobrażał sobie jedną z tych potężnych dłoni chwytającą go za szyję z prędkością błyskawicy i skręcającą mu kark z taką łatwością, jakby był styropianową zabawką? Wziął wizytówkę do ręki. Zobaczył na niej litery tak czarne, że nie wyglądały jak

atrament, lecz raczej zmaterializowany mrok. Odczytanie napisu zabrało mu dobrych kilka chwil: Uri Crumble. Po drugiej stronie wizytówki widniało holograficzne logo nadrukowane czarno-czerwonym atramentem, który sprawiał wrażenie nie do końca wyschniętego.

Robert poczuł zapach krwi tak intensywny, jakby dochodził prosto z rzeźni. Odór ugrzązał mu w gardle i chłopak zaczął się krztusić. Nie potrafił skupić się na wzorze: linie i drobne symbole tańczyły mu przed oczami, to zbliżając się, to oddalając od kartki, którą trzymał w ręku.

Welmann zasyczał tak głośno, że Robert mógł przysiąc, że odczuł to na swoim karku. Cofnął się i podał wizytówkę szefowi. Ten rzucił na nią szybko okiem i wymamrotał:

– Do diabła.

Opuścił lufę i uważnie przyjrzał się panu Crumble'owi.

– W istocie. – Tamten znów wypuścił kłębek dymu.

Welmann przetarł dłonią twarz. Jego zwykle rumiane policzki wyraźnie pobladły. Schował broń do kabury.

Robert nigdy nie widział szefa przestraszonego. Welmann był gladiatorem – bezpardonowa walka na śmierć i życie wydawała się wpisana w jego DNA. Teraz zaś wyglądał jak chłopiec, któremu ktoś dał klapsa. O co chodziło z tym Crumble'em? Jasne, był wielki jak byk, ale Robert nigdy nie słyszał o tym, żeby ktoś, nawet tak bardzo napakowany, patrzył w wylot wycelowanej w siebie lufy magnum kalibru . 357 bez najmniejszego mrugnięcia. Wszystkie zasady, których chłopak nauczył

się w tej pracy, wymagały napisania na nowo.

– Co wy tu robicie? – zapytał Welmann.

Crumble błysnął oślepiająco białymi zębami.

– Szukam kogoś. Tak samo jak ty, kierowco.

Welmann otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale szybko je zamknął. Nikt nie miał prawa wiedzieć, kim był ani jaką funkcję pełnił.

– Twój tak zwany samochód – wyjaśnił Crumble – zaparkowany jest w alejce. Taki pojazd, tak podrasowany, tutaj, tej nocy, może należeć tylko do chłopca na posyłki.

Miał na myśli mercedesa maybacha exelero z 2005 roku, skarb, który Welmann cenił sobie bardziej niż swoją nieśmiertelną duszę. Ten jedyny w swoim rodzaju czterodrzwiowy model został wykończony ręcznie. Pod maską mruczał podwójny silnik V12 z turbodoładowaniem, które pozwalało mu osiągać moc siedmiuset koni mechanicznych. Konstrukcja była specjalnie wzmocniona, szyby ze szkła kuloodpornego. Siedzenia obito supermiękką skórą, a wewnątrz wyłożono drewnem koa. Na zewnątrz samochód błyszczał idealnie wyprofilowaną chromowaną stalą, w której można się było przeglądać, i lakierem o czerni tak głębokiej, że mogłaby mu jej pozazdrościć najciemniejsza noc.

– Mówiłeś, że kogoś szukasz? – zapytał Welmann.

Uri Crumble kiwnął głową w stronę wiszących na przeciwległej ścianie szafek na dokumenty. Jedna z nich miała wyłamany zamek.

– Co was w nich zainteresowało? Ciekawe.

Robert natychmiast zanotował w głowie słowa „w nich”. Zadaniem Welmanna było znalezienie informacji o zaginionej starszej kobiecie, Audrey Post. Nie było

żadnych „nich”. Chłopak spojrzał na szefa. Twarz Welmanna nie zdradzała żadnych emocji, ale mógł się założyć, że myśleli o tym samym.

Kiedy znowu przeniósł wzrok na Crumble'a, zauważył, że jego papieros przygasł. To znaczy żarzył się, ale się nie spalał. Końcówka świeciła w półmroku, wydzielając dymek, ale papieros wciąż miał tę samą długość jak w chwili pojawienia się Samończyka. Mężczyzna zaciągnął się wiecznym tytoniem i zauważywszy skupione spojrzenie Roberta, zaproponował:

– Może powinniśmy podzielić się informacjami i w ten sposób dowiedzieć się więcej?

Welmann zmarszczył brwi i przybrał dobrze wyćwiczony wyraz twarzy detektywa z filmu *noir*:

– Kolego, mówisz do mnie greką, a ja ledwo sobie radzę z angielskim.

Crumble burknął, wydychając dym.

– No dobrze.

Podszedł do drzwi, po drodze przesuwając duże stalowe biurko z taką łatwością, jakby było pustym kartonowym pudełkiem. Zatrzymał się i powiedział:

– Kiedy zdacie raport ze swojego niepowodzenia tej nocy, wasi pracodawcy nie będą zadowoleni. – Jego śmiech przypominał dudnienie. – Zachowajcie moją wizytówkę. Możecie się z nami skontaktować. W naszej organizacji zawsze jest miejsce dla wykwalifikowanych pracowników.

– To by dopiero było wydarzenie – odpowiedział Welmann.

– Faktycznie – rzucił Crumble, wychodząc. Ledwie zmieścił się w drzwiach.

Robert zdał sobie sprawę, że od dłuższego czasu wstrzymywał oddech. Teraz z ulgą wypuścił powietrze z płuc. Co Samończyk miał na myśli, mówiąc o ich niepowodzeniu? Przecież nawet nie wiedział, kogo szukali.

Welmann wymamrotał pod nosem serię przekleństw i wyrzwał na korytarz.

– Poszedł sobie – oznajmił i zamknął drzwi.

Szybko zabrał się do przeglądania szafek z dokumentami. Robert zobaczył, że ta z wyłamanym zamkiem była oznaczona literami Pa-Po.

– Właśnie tego nazwiska szukamy, prawda? Post? Pewnie chodzi o tę samą staruszkę.

Szef zignorował pytanie i sięgnął w stronę szuflady. Nagle zatrzymał się.

– Cofnij się – rzucił do podwładnego.

Robert tylko przysunął się bliżej, żeby lepiej widzieć. Welmann zaś wyciągnął z kieszeni chusteczkę, złapał przez nią szufladę i pociągnął.

W powietrzu zawirowały iskry i wstęgi dymu, a po tęczkach z szafki pozostał jedynie żarzący się popiół. Welmann zatrzasnął szufladę z powrotem. Rozejrzał się znów po biurze i kiwnął głową w kierunku stojących obok komputerów.

– Do roboty, młody.

Chłopak zrozumiał, że to nie czas na zadawanie pytań. Przeszedł między biurkami, dotykając aluminiowych stacji głównych.

– Ta jest jeszcze ciepła – powiedział.

Usiadł i uruchomił urządzenie. Szef stał mu nad głową, jakby nie wierzył, że Robert poradzi sobie z

włączeniem komputera.

Ekran zaświecił na niebiesko.

– Setup biosu – mruknął Welmann. – Wymazali dysk.

– Trzeba go więc wyciągnąć, zabrać do warsztatu i przeskanować.

– Nie warto. Kiedy ci goście coś usuwają, robią to dokładnie i raz na zawsze.

Robert z trudem powstrzymał się, żeby nie zadrzeć. Miał przeczucie, że dane z twardych dysków nie były jedynymi rzeczami, które usuwał Crumble.

– Kim był ten gość?

– Pracuje dla drugiej strony – odpowiedział Welmann.

– Jakiej drugiej strony? – Chłopak się odwrócił. – Myślałem, że nasi zleceniodawcy nie stoją po żadnej stronie.

Szef zacisnął wargi w wąską białą linię.

– Nie znam wszystkich odpowiedzi, młody, ale są też inni. Między nimi a naszymi obowiązuje rozejm. Nikt nie miesza się do nie swoich spraw. Capiśce?

– Czyli ten Crumble nie był do końca tym, na kogo wyglądał?

Welmann wzruszył ramionami, co oznaczało potwierdzenie.

– Musimy uważać, żeby nie dostać się między koła – powiedział. – Łatwo mogą nas zmiażdżyć.

Jego spojrzenie przeskakiwało między biurkami. Wstał i przejechał ręką pod blatem jednego z nich. Szarpnął i oderwał przyklejoną taśmą płytę kompaktową. Podał ją Robertowi.

– Prawnicy zawsze robią kopie zapasowe.

Chłopak przysunął się razem z krzesłem do najbliższego komputera i włączył go. Skorzystał z hasła zapisanego na małej kartce przyklepionej do monitora. Potem włożył płytę do stacji dysków i zaczął przeglądać listę folderów, która pojawiła się na ekranie.

– Post – przeczytał na głos. – Jest plik z danymi o niej... Chociaż nie, poczekaj. Ma nazwę „Post, F i E”. – Przewinął resztę folderów. – Nic o Audrey Post, szefie. Niestety.

– Otwórz ten plik – nakazał Welmann, siadając na krześle obok Roberta.

Robert wykonał polecenie i dziesiątki linii zapisanych prawniczym slangiem rozlały się po ekranie. Po pobieżnym przejrzaniu kilku stron domyślił się, o co z grubsza chodziło.

– Fundusz powierniczy. Jakieś bogate dzieciaki dostają kasę od prababci. Ukryte konta na Kajmanach i w Genewie, w ogóle na całym świecie. Fuksiarze. Ale nie mają nic wspólnego z tym, czego szukamy.

Welmann też gapił się w widoczny na ekranie tekst. Jego wyraz twarzy neandertalczyka zniknął, gdy włożył okulary w drucianych oprawkach. Nacisnął kilka razy Page Down.

– Nie – mruknął. – Crumble mówił o nich, że szuka wiadomości o nich. Co jeszcze mamy o... – przewinął obraz w górę – ... Fionie i Eliocie Postach?

Robert użył kilka razy tabulatora, żeby wrócić do katalogu folderów.

– Widzę zestaw danych na wypadek zaginięcia, standardowy formularz, który wypełnia się i przekazuje

policji, jeśli mały Johnny czy mała Jane uciekną z domu.

– Przyjrzyjmy się mu.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia nastolatków: chłopaka i dziewczyny. Dwie mocno oświetlone twarze na niejednolitym niewyraźnym tle. Obie z wymuszonymi uśmiechami osób sfotografowanych w najgorszym momencie. Chłopak był o kilka lat młodszy od Roberta i miał krótkie czarne włosy zaczesane na bok. Wyraz jego twarzy przywołał na myśl sarnę złapaną przez światła reflektorów samochodowych. Geek – to słowo samo się narzucało.

Dziewczyna wyglądała na równie zagubioną: miała ciemne włosy zagarnięte w krzywy kucyk, pryszcz na brodzie i nawet śladu makijażu. Naiwność widoczna w jej oczach przypominała chłopaka z pierwszego zdjęcia. Tym razem Robertowi przyszło do głowy określenie „pretensjonalna”.

Sprawdził ich dane. Bliźnięta. Fiona i Eliot. Zapamiętał adres. Zauważył, że ich urodziny przypadają jutro... a w zasadzie dzisiaj, bo była już trzecia nad ranem.

Welmann zdjął i odłożył okulary. Zagapił się w przestrzeń.

– Ponad piętnaście lat – wyszeptał. – Tyle czasu minęło, od kiedy zaginęła nasza staruszka. – Spojrzał ponownie na zdjęcia na ekranie i wyraźnie się skrzywił. – To musi być najbardziej skopana... – Nagle zbladł.

– Co jest? – zapytał Robert.

– Masz ich adres?

Chłopak znacząco wskazał na swoją głowę. Welmann otworzył stację dysków, wyciągnął płytę i złamał na pół.

– Hej, co się dzieje?

Szef odwrócił się do Roberta z miną, którą można by zatytułować „koniec-zartów-młody-słuchaj-uważnie”.

– Chcę, żebyś wrócił do centrali i zawiadomił ich o wszystkim: o Crumble'u, o dzieciakach i ich adresie. Bezpośrednio. Żadnych telefonów. – Welmann wstał. – Kłopoty są tuż za nami. Nie zatrzymuj się po drodze. Będziesz chciał coś zjeść, napić się albo odlać, ale zaciskaj zęby i jedź dalej.

– OK. – Robert nie wiedział, co nagle dopadło jego zwierzchnika, lecz słysząc, że najwyraźniej przeszli do stanu alarmowego, wołał nie zadawać żadnych pytań. – A ty co zamierzasz?

– Muszę znaleźć te dzieciaki... zanim zrobią to tamci.

– Masz na myśli Crumble'a? Tę drugą stronę?

Na szerokiej twarzy Welmanna rozkwitła irytacja. Wyciągnął wizytówkę Samończyka.

– Ta. – Przechylił głowę i zamrugnął, jakby przyglądanie się tej kartce sprawiało mu ból.

Sięgnął po zapalniczkę i przysunął jej płomień do wizytówki.

Papier szybko się zajął i Welmann wypuścił go z ręki. Ogień oblizwał nadrukowane linie i przesunął się wzdłuż pochylonych liter, pokrywając logo po drugiej stronie. Biała kartka szerniała, jej krawędzie zwinęły się do środka i zaczęły się żarzyć na czerwono. Wzór na wizytówce wiercił się, jakby był żywą istotą.

Płonęła przez pięć sekund. Potem przez kolejne dziesięć. Linie wyglądały jak rozgrzany metal, świeciły coraz jaśniej, a Robert nagle poczuł niewyjaśnione

pragnienie, żeby ich dotknąć, żeby pozwolić im wypalić wzór na swojej skórze.

Welmann nadepnął wciąż palącą się wizytówkę i popiół rozsypał się po podłodze. Choć Robert przed chwilą jeszcze patrzył na tajemniczy nadruk, teraz za nic nie mógł sobie przypomnieć jego treści.

– Dziwaczne – wyszeptał.

Starszy mężczyzna sięgnął do kieszeni po kluczyki do samochodu. Lekko się zawahał, ale podał je Robertowi. Ten nie mógł uwierzyć własnym oczom. Czy szef naprawdę chciał mu powierzyć maybacha?

– No, bierz – powiedział Welmann.

Nie musiał tego powtarzać. Robert złapał kluczyki.

– Mam prowadzić?

Welmann wyglądał, jakby przyprawiało go to o mdłości, ale pokiwał głową.

Podekscytowanie chłopaka szybko znikło. Szef nie pozwoliłby mu sięść za kierownicą, gdyby nie wydarzyło się coś naprawdę poważnego. Jakby Welmann nie spodziewał się, że sam jeszcze kiedyś to zrobi.

– Zabierz mnie z sobą – wyszeptał Robert. – Będziesz potrzebować wsparcia.

– Pewnie tak – zgodził się Welmann. – Ale ty masz inne zadanie. – Głośno wypuścił powietrze i spojrzał chłopakowi prosto w oczy. – Jesteś twardy. Bardziej niż ja, kiedy miałem szesnaście lat. Będzie z ciebie świetny kierowca. – Położył Robertowi rękę na ramieniu. – Jeśli jednak teraz nie zrobisz dokładnie tego, co każę, skopię ci tyłek.

Chłopak nagle chciał powiedzieć dużo rzeczy: że Welmann był sukinsynem, że nigdy się nie lubili i... że

bardzo nie chciał, żeby zostawił go tak jak każdy kolejny zastępczy ojciec, jaki pojawił się w jego życiu. Starał się, żeby oczy nie zaszły mu łzami.

Miał się rozplakać? Jak niemowlak? Przy Welmannie? Zebrał się w sobie i kiwnął głową. Podeszedł do drzwi i przystanął. Szef rzucił mu krzywy uśmiech. Pożegnalne machnięcie jego ręki szybko zmieniło się w ponaglający gest.

Robert zastanawiał się, kiedy następnym razem zobaczy tego faceta. I czy w ogóle go znowu zobaczy.

Nie oglądając się za siebie, pobiegł korytarzem w stronę klatki schodowej. Czuł, że od tej pory każdy z nich był skazany wyłącznie na siebie.

URODZINOWE NIESPODZIANKI

Eliot powtórzył w myślach plan ucieczki. Kiedy dostanie do ręki wypłatę, zamiast do domu uda się na dworzec autobusowy, pojedzie do Santa Rosa, a potem autostopem do San Francisco. Tam załatwi sobie robotę na statku transportowym płynącym do Szanghaju, skąd już łatwo dostanie się do Tybetu.

Spojrzał na zegar stojący na komodzie: prawie wpół do dziesiątej. Pora wrócić z krainy marzeń.

Tak naprawdę nie było żadnego planu ucieczki. Eliot nigdy nie odważyłby się podróżować autostopem, a co dopiero mówić o próbie tajemnego zaokrętowania się na statek. Chciałby jednak, żeby było inaczej.

Wkurzył się. Kurde, jeśli nie mógł uciec nawet w marzeniach, po co w ogóle wstawać z łóżka?

Zrobił krok w stronę ustawionej przy komodzie skrzynki po mleku, wszedł na nią i spojrzał w lustro. Wzdrygnął się. Dzisiaj musiał włożyć „specjalne” ubrania. Te, które Cecilia szyła im na urodziny, poświęcając na to masę czasu i energii. Z krawieckimi staraniami prababci było tak jak z jej gotowaniem: wkładała w nie całe serce, ale wyniki mogły przyprawić o zawał.

Koszula Eliota składała się głównie z pasków, które kiedyś były modne, potem jeszcze raz wróciły do łask, by wreszcie na zawsze stać się symbolem bezguścia, na co w pełni zasługiwały. Kolory awokado, migdałowy i

przypalony pomarańcz wydawały się idealne do tego, żeby kłuć w oczy swoim zestawieniem. W sumie Eliotowi by to tak bardzo nie przeszkadzało, gdyby nie to, że coś nie wyszło z krojem i zabójcza mieszanka łądowała mu dokładnie na piersi. Spodnie nie były dużo lepsze. Cecilia zdecydowała, że w tym sezonie modne są fałdy. Warstwy materiału zbierające się koło rozporka sprawiały wrażenie, jakby Eliot miał na sobie pieluchę.

Westchnął i zamknął oczy z nadzieją, że dziś w pracy uda mu się być niewidzialnym. Albo Mike będzie zbyt zajęty, żeby go dręczyć.

Przez chwilę marzenie o ucieczce powróciło i poczuł na języku smak słonego powietrza na Oceanie Indyjskim, oznaczający początek nowej przygody.

Zegar na komodzie wybił dziewiątą trzydzieści. Eliot zeskoczył ze skrzynki i podszedł do biurka, żeby wziąć z niego pracę domową. Ale biurko było puste.

Wczoraj wieczorem przecież nie zasnął jak zwykle na nim – co było przyjemną odmianą, ale też powodem do niepokoju. Babcia zawsze wyrażała się precyzyjnie, a poprzedniego dnia powiedziała, że praca domowa jest odwołana. W sumie cały wczorajszy wieczór składał się z ciągu dziwnych zdarzeń: wyjątkowa nerwowość Cecylii, wcześniejsze niż zwykle wysianie Eliota i Fiony do łóżek, stłuczona filiżanka.

Może chodziło o ich urodziny? Babcia musiała zdać sobie sprawę, że byli już za duzi na naukę w domu. Co będzie robić, kiedy Fiona z Eliotem pójdą na studia? Zostanie wtedy sama z Cee w tym przypominającym wyłożony książkami grób mieszkaniu. Zrobiło mu się ich żal.

Podszedł do drzwi. Lista wciąż tam wisiała. Sto sześć reguł, które równie dobrze mogły być stu sześcioma metrami oplecionej drutem kolczastym metalowej siatki. Współczucie dla babci, które ogarnęło go ledwie chwilę temu, wyparowało w jednej sekundzie. Miał ochotę zerwać listę i podrzeć ją na drobne kawałki... ale wtedy reguły i tak nie przestałyby istnieć, niewidzialne i zawsze obecne są podstawą ich życia tak samo jak tlen w powietrzu.

Napady złości do niczego nie prowadziły. W zeszłym roku Eliot marzył o radiu na urodziny, tłumacząc, że chodzi mu tylko o słuchanie wiadomości. Obiecał, że nie będzie żadnej muzyki. Próbował prosić, argumentować, aż wreszcie powiedział babci, że i tak je sobie kupi bez jej zgody. Ta nie odpowiedziała ani słowem. Wystarczyło, że ostro na niego spojrzała, by zamilkł w pół słowa. Czuł się wtedy tak, jakby jego serce nagle się zatrzymało, i pamiętał, że przestał na chwilę oddychać, zahipnotyzowany przez jej szare, bezdenne oczy. Ostatniego wieczoru znów patrzyła w ten sposób.

Wkurzony na nowo Eliot gwałtownie nacisnął klamkę. W ciemnym korytarzu drzwi do pokoju Fiony otworzyły się w tej samej chwili i z dokładnie taką samą siłą, wpuszczając między cienie podobny prostokąt bladego światła.

Gapili się przez chwilę na siebie, aż dziewczyna powiedziała:

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Robiła to specjalnie. Wiedziała, że ta symulowana synchronizacja ruchów bardzo go irytuje. Eliot obiecał sobie, że kiedyś się dowie, jakim sposobem jej się to

udaje.

Złość trochę mu minęła, kiedy przypomniał sobie o czekoladce. Dopiero teraz dotarło do niego, że to był naprawdę wyjątkowy gest. Eliot jak większość ludzi lubił czekoladę, ale Fiona ją po prostu uwielbiała. Jak ktoś może być w jednej chwili dla ciebie tak miły, a zaraz potem zachowywać się jak kompletny osioł? Zdaje się, że tak powinna brzmieć definicja siostry.

Przynajmniej ona też nie uniknęła katastrofy ubraniowej. Miała na sobie różową krzywo pozszywaną sukienkę, za ciasną w piersiach, a za luźną w talii, w pasie niezgrabnie owiniętą szarfą tego samego koloru. Buty dziewczyny, białe adidas z sklepu z używaną odzieżą, zostały pomalowane lawendowym mazakiem, niewątpliwie z myślą o tym, by lepiej pasowały do reszty stroju. Fiona wyglądała jak pognieciony papierek po gumie do żucia.

Bezskutecznie próbowała wygładzić zmarszczki i zagięcia materiału. Spojrzała na brata i rzuciła:

– Na co się gapisz? Dobrze się czujesz? Hipoksja czy anoksja?

– Nie martw się, do mojego mózgu dostaje się wystarczająco dużo tlenu.

Fiona zwykle zaczynała słownikowe obelgi od terminów medycznych. Na szczęście Eliot ostatnio przeglądał podręczniki dla przyszłych lekarzy stojące na półkach w łazience.

– Powinnaś się przerzucić z angiologii na jakąś dziedzinę bardziej odpowiadającą twojej powolnej pracy mózgu – odgryzł się. – Na przykład na limakologię.

Fiona zmarszczyła ciemne brwi. Hi ją miał.

„Ologia” to było proste, chodziło o dziedzinę nauki. Z „lima” jednak nie pójdzie jej tak łatwo. Nawet jak na ich standardy nazwa ta była mało znana. Tym razem Eliot spodziewał się, że szybko wygra.

Zostawił ją, rozmyślając o zagadce, i poszedł w stronę jadalni. Satysfakcja go rozpierała. Zanim doszedł do drzwi, usłyszał za sobą szept siostry:

– Oślizgła łamigłówka, pasująca do twoich ociekających śluzem szarych komórek.

Zatrzymał się. Uśmiech zniknął mu z ust. Już odgadła? Tak szybko? Odwrócił się:

– Skąd...?

Nie dokończył zdania, ale i tak było za późno. Stało się, złamał podstawową zasadę gry w słownikowe obelgi: nie wolno się pytać o wyjaśnienia.

Teraz Fiona się uśmiechała. Przechyliła głowę i wytłumaczyła:

– Na chwilę mnie zagiąłeś. Myślałam, że chodzi o jakieś słowo wywodzące się z greckiego „lemat”.

Mądrzyła się. Nie znosił tego, ale miała takie prawo, gdyż to właśnie było jedyną nagrodą w ich zabawie.

– Tak naprawdę pomogła mi twoja uwaga o powolnym mózgu. Zorientowałam się, że musi chodzić o coś nie bardzo szybkiego, i przypomniałam sobie, że *Limax maximus* to pomrów wielki, czyli popularny gatunek ślimaka. Dalej poszło już łatwo. – Pstryknęła palcami. – Limakologia, nauka o ślimakach. Całkiem niezła zagadka. Mam nadzieję, że nie trzymałeś jej na specjalną okazję.

– E, tam – niewyraźnie rzucił Eliot. – I tak jest

ciągle zero do zera.

Dogoniła go i razem weszli do jadalni. Zatrzymali się jednak na progu, zaskoczeni tym, co zobaczyli.

Stół, zwykle założony papierami i książkami, był wysprzątany. Jego wypolerowany blat, który błyszczał niczym ciemne lustro, nakryto koronkowym obrusem (nieco za małym). Na nim rozłożono cztery porcelanowe talerze, płócienne serwetki i srebrne widelce.

Na tle dużego okna wisiał posklejany z kawałków gazety transparent, na którym mazakiem do oznaczania pościeli napisano: „Wszystkiego najlepszego!”. Ostatnie trzy litery były wyraźnie mniejsze, jakby autorowi zabrakło miejsca. A przecież w mieszkaniu nie powinno być żadnych dekoracji. W zeszłym roku Cecilia przygotowała dla nich laurki, na których nakleiła ich małe, wycięte z czarnego kartonu profile. Trzeba przyznać, że podobieństwo było całkiem, całkiem. Eliot zastanawiał się, ile czasu musiało to zabrać Cee z jej trzęsącymi się rękoma. Babcia jednak natychmiast zabrała laurki i więcej ich nie zobaczyli. Powiedziała, że łamały regułę 11:

Reguła 11: Żadnego malowania, szkicowania, rysowania, mazania na kartkach, rzeźbienia, robienia figurek z papieru ani innych prób odtwarzania natury czy kreowania motywów abstrakcyjnych artystycznymi metodami (tradycyjnymi, nowoczesnymi, elektronicznymi lub postmodernistycznie „interpretatywnymi”).

Nazywali ją regułą „żadnej sztuki ani rzemiosła”. Czy nie obejmowała transparentu?

Zza wahadłowych drzwi do kuchni docierało nucenie oraz zapach pieczonego chleba, skarmelizowanego cukru i cytryn. Cecilia gotowała.

Eliot obejrzał się za siebie. Nikt go jeszcze nie zauważył. Mógł pobiec z powrotem do swojego pokoju, udawać, że zasnął, a potem wymknąć się prosto do pracy bez próbowania „specjalnych smakołyków”. Fiona położyła mu rękę na ramieniu i wyszeptała:

– Nie rób tego. Ona tak bardzo się stara.

Wypuścił powietrze. Cee naprawdę się starała i kochała ją za to. Nie mógł jej zawieść.

Drzwi do kuchni otworzyły się szeroko i Cecilia weszła tyłem do jadalni. Miała na sobie swoją najlepszą białą sukienkę z koronkowymi mankietami. Pod jej szeroką spódnicą szeleściły halki. Odwróciła się i Fiona z Eliotem zobaczyli, że w drobnych wysuszonych dłoniach niesie trzywarstwowe kruche ciasto z truskawkami. Uśmiechnęła się do nich szeroko i postawiła je niepewnie na stole.

Cee była uroczą staruszką, ale jej zmysły smaku i węchu zanikły mniej więcej pod koniec drugiej wojny światowej. Potrawy, które przygotowywała, mogły w wyniku z tego smakować najzupełniej dowolnie: cytrynami, solą morską albo sosem sojowym.

– Wszystkiego najlepszego, Kochani! – Cecilia z rozmachem zaprezentowała efekt swoich kulinarnych wysiłków. – Przepis znalazłam w „Tygodniku dla Pań” i upiekłam specjalnie dla was.

Uściskała rodzeństwo.

– Dzięki, Cee – powiedzieli Fiona i Eliot.

Prababcia wypuściła ich z objęć.

– Och – szepnęła. – Zapomniałam o ananasie i orzechach. I o świeczkach! Zaczekajcie chwilkę.

Powędrowała z powrotem do kuchni.

Brat i siostra gapili się na ciasto, z jednej strony wyraźnie zapadnięte.

– Ty próbujesz – szepnął Eliot.

– Nie ma mowy. Teraz jest twoja kolej.

Chłopak westchnął i podszedł do stołu. Różowofioletowy lukier wypływał spomiędzy warstw ciasta. Eliot zgarnął odrobinę palcem.

Na skórze poczuł jakieś ziarenka. Pestki z truskawek? Ciasto miało nawet zaskakująco normalną konsystencję, mimo to postanowił zachować ostrożność. Powąchał. Cytryny i coś jeszcze, czego nie umiał zidentyfikować.

Zebrał się w sobie i wsunął kawałeczek do ust – szybko, zanim się rozmyślił.

Na szczęście lukier smakował nawet nie najgorzej, lekko kwaskowo, ale też słodko, dokładnie tak, jak powinien... Po chwili jednak się rozpuścił i twarz Eliota nagle się skrzywiła. Ciasto było słone i kwaśne, na dodatek trafił na nierozmieszany proszek do pieczenia i duży kawał skórki od pomarańczy.

Cecilia znów pojawiła się w drzwiach kuchennych z dwiema miseczkami w jednej ręce i garścią urodzinowych świeczek oraz pudełkiem zapalek w drugiej. Eliot nie miał wyjścia. Przełknął i uśmiechnął się.

– Może ci jakoś pomóc? – zapytała Fiona prababcie.

– Nie, nie, nie. – Cecilia potrząsnęła zapalnikami w stronę dziewczyny. – Poczekajcie, aż skończę. Bez

oszukiwania i podjadania.

Rozłożyła na cieście plasterki ananasa i posypała je pokruszonymi orzechami. Potem ustawiła na wierzchu świeczki, uważnie odliczając do trzydziestu. Piętnaście dla Eliota, piętnaście dla Fiony. Mogłaby trochę oszczędzić sobie zachodu, ale zawsze bardzo się starała, żeby każde z nich dostawało to, na co zasługiwało.

– Dziękujemy – powiedziała Fiona.

– Tak – dodał Eliot, starając się przy okazji przeczyścić przetyk. – Dzięki, Cee.

– Teraz zapalamy.

Prababcia otworzyła pudełko z zapalkami, wyciągnęła z niego jedną i drżącą ręką potarła ją o draskę. Płomień odbijał się w jej ciemnych oczach.

– Może lepiej... – zaproponował Eliot.

– Ja to zrobię – zarządził głos z tyłu.

Rodzeństwo odwróciło się jednocześnie.

– Dzień dobry, babciu – wyrecytowało unisono.

Babcia wyglądała inaczej niż zwykle. Jej krótkie srebrne włosy były starannie przyczesane i błyszczące. Miała na sobie czerwoną lnianą koszulę z zapinanym na guziki kołnierzykiem, turystyczne spodnie w kolorze khaki i czarne, sięgające do połowy łydki trzewiki, które sprawiały nieco delikatniejsze wrażenie niż normalnie noszone przez nią wojskowe buty.

Uśmiechnęła się do rodzeństwa i rzuciła okiem na wiszący na oknie transparent. Nic jednak nie powiedziała, tylko skierowała się ku Cecilii, która cofnęła się jakby przestraszona, choć wciąż z płonąca zapalką w dłoni.

Babcia wyrwała ją jej z ręki i szybko zapaliła wszystkie trzydzieści świeczek. Płomień sięgał już prawie

jej palców, kiedy skończyła i zgasiła zapałkę szybkim potrząśnięciem dłoni. Słysząc było tylko syk żarzącego się drewnienka.

– Już – oznajmiła. – Teraz życzenia.

Eliot pomyślał, że to kolejny rok, kiedy dzięki regule 34 nie było nawet mowy o zaśpiewaniu „Sto lat”. Razem więc podeszli do ciasta i pochylili się nad nim, wdychając dym ze świeczek.

Spojrzeni na siebie. Eliot wiedział, że siostra będzie sobie życzyć więcej czekolady. Sam pomyślał o wieży stereo, lekcjach gry na gitarze i biletach na koncerty rockowe. Wprawdzie pasowało to raczej do kategorii „modlitwa o cud” niż „życzenie urodzinowe”, ale co z tego, warto było spróbować.

Zamknęli oczy, dmuchnęli z całej siły i zgasili wszystkie płomyczki.

– Świetnie – powiedziała babcia.

Kiedy tylko się odwrócili, błysnął im w oczy flesz starożytnego nakręcanego aparatu babci.

– Zrobię jeszcze jedno z ciastem. Ustawcie się razem – zakomenderowała.

Eliot i Fiona przysunęli się do siebie, choć łamali w ten sposób niepisaną, ale dokładnie przestrzeganą zasadę zachowywania przynajmniej pół metra odległości między sobą. Cecilia objęła prawnuczka ramieniem. Babcia zmarszczyła brwi:

– **Ty** nie, Cecilio. Zostały mi tylko dwie klatki na filmie. Nie możemy nic zmarnować.

– Przepraszam. – Prababcia wycofała się do rogu pokoju.

Eliot zmusił się do uśmiechu, kiedy babcia zwolniła

migawkę. Tak jakby idealną rodzinę można było stworzyć za pomocą odpowiednio wielu umieszczonych w albumie fotografii. W sumie, pomyślał chłopak, to dosyć dziwne: babcia uparcie twierdziła, że wszystkie zdjęcia ich rodziców zatoneły na pechowym statku. Wyglądało to jednak na mało prawdopodobne, skoro sama bezustannie ich fotografowała. Czy naprawdę nie miała żadnego zdjęcia córki?

Cecilia sięgnęła po ciasto.

– Najpierw prezenty – zarządziła babcia.

Podeszła do szafki na porcelanę, której półki były zastawione kolejnymi tomami *Świętego Hawthorna zebranej wiedzy o roślinności*, i wyciągnęła z niej cztery papierowe torby⁶. To było coś nowego. Zwykle rodzeństwo dostawało tylko po jednym prezencie.

Babcia postawiła spięte zszywaczami torby na stole. Papier nie był specjalnie ozdobny, ale sprawdzał się jako opakowanie. Gdyby Eliot nie wiedział, że kryje ubrania (jak co roku), nie miałby jak tego odgadnąć.

Babcia podała mu jedną z toreb. Drugą wręczyła Fionie. Podniósł ją. Była cięższa, niż się spodziewał. To nie mogły być po prostu spodnie czy nowa koszula. Fiona zrobiła to samo ze swoim prezentem. Jej brwi uniosły się w zaskoczeniu.

– No, dalej – powiedziała babcia. W jej głosie

⁶Pełen tytuł brzmi *Świętego Hawthorna zebrana wiedza o roślinności w Nowym Świecie i jeszcze dalej*. Ten XIX-wieczny manuskrypt wymienia wiele gatunków roślin, które współcześnie nie występują. Badacze twierdzą, że takie gatunki jak jadowity bluszcz z Luizjany są po prostu wymyślone. Inni uważają, że mogły kiedyś istnieć. Ostatni raz wszystkie tomy tego dzieła widziano na aukcji w 1939 roku. Zostały sprzedane za 40 000 funtów (Victor Golden, *Goldeną przewodnik po niezwykłych księgach*, Oksford 1958).

niespodziewanie pojawiła się odrobina entuzjazmu. – Otwierajcie.

Eliot rozerwał torbę, a w środku znalazł zapakowaną w folię starą książkę. Próbował ukryć rozczarowanie. Kiedy żyło się pośród tysięcy książek, jedynym mniej upragnionym prezentem od używanych ubrań był kolejny zakurzony tom. Ten miał podniszczoną zieloną skórzaną okładkę i trzy wyraźne odkształcenia na grzbiecie. Kiedy Eliot odwrócił go, zobaczył pozłacane litery: *Wehikuł czasu*, H. G. Wells. Spojrzał na Fionę, która gapiała się z otwartymi ustami na swój prezent – *Z Ziemi na Księżyc* Juliusza Verne'a.

Eliot zaniemówił. Chociaż mieszkanie babci naprawdę było wypełnione po brzegi książkami, były one wyłącznie napisanymi przed stu laty dramatami, zasuszonymi powieściami historycznymi, grubymi podręcznikami i biografiami ludzi, którymi nikt się już nie interesował. Książka, którą trzymał w ręku, była... zakazana. Tak mówiła reguła 55, reguła „nic wymyślonego”.

– To klasyki – wyjaśniła babcia, kładąc wnukom na ramionach drobne dłonie, żeby ich uspokoić. – Co prawda nie pierwsze wydania, ale wydrukowane w XIX wieku, więc dobrze się nimi opiekujcie.

Chłopak z zachwytem przyglądał się swojej książce. Widział odwołania do niej w omówieniach wielkiej literatury, wiedział też, jak się zaczyna. Nigdy wcześniej nie miał w ręku czegoś takiego: fantastycznonaukowej historii, której można dać się całkowicie pochłonać. I skoro H. G. Wells został uznany za klasyka, może będą też mogli czytać Mary Shelley i

Edgara Allana Poe?

Spojrzał babci w oczy, żeby przekonać się, czy nie zartowała, czy to działo się naprawdę. Tym razem nie widział w nich bezdennej, zatrzymującej bicie serca głębi. Wyglądała na zadowoloną z tego, że podobał mu się prezent, i – co dziwne – też jakby na trochę zmartwioną.

– To jest świetne – powiedział. – Super! Wielkie dzięki.

– Dziękujemy, babciu – dodała Fiona, przytulając powieść Verne'a do piersi.

Wąskie wargi babci rozszerzyły się w półuśmiechu.

– Bardzo mi miło. To będzie dla was szczególnie rok. Dorastacie szybciej, niż to sobie wyobrażałam.

– Może komuś ciasta? – zapytała Cecilia.

Babcia odwróciła się do niej i zmrużyła oczy.

– Pomyślałam po prostu... – wyszeptała Cecilia – że może to dobra pora na przekąskę?

Babcia zastanowiła się przez chwilę i przytaknęła:

– Dobrze, przynieś nóż.

Cee pomaszerowała do kuchni.

– Teraz – zarządziła babcia – powinniście otworzyć wasze drugie prezenty, żebyście zdążyli do pracy.

Eliot i Fiona spojrzeli po sobie. To było naprawdę dziwaczne. Nie dość, że dostali prezenty, które naprawdę się im podobały, to jeszcze miało być coś więcej?

Woleli o nic nie pytać. Pytania zwykle irytowały babcię, a jej dobry humor był tak nietrwały jak tęcza pośród huraganu. Eliot chwycił więc drugą torbę. Była lekka i miękka. Na pewno kryła ubrania.

Cecilia wróciła ze stosikiem papierowych serwetek i długim nożem, zwykle leżącym na blacie do krojenia

mięsa. Starannie ustawiła wszystko na stole, patrząc z miłością na rodzeństwo.

– Już pora – powiedziała babcia, najwyraźniej zirytowana, że przygotowania trwają tak długo, i podniosła aparat, żeby zrobić kolejne zdjęcie. – Pokrój ciasto, a dzieci niech...

Od drzwi frontowych doszedł ich odgłos pukania. Trzy mocne uderzenia. Babcia zmarszczyła brwi i temperatura w pokoju jakby nagle spadła o dziesięć stopni.

Cecilia zastygła z nożem uniesionym nad ciastem.

– Mam pójść otworzyć?

– Nie. – Babcia opuściła aparat i powoli się odwróciła. – Ktokolwiek to jest, lepiej dla niego, żeby miał porządny powód, aby nam przerywać.

Eliot spojrział na Fionę, która znacząco pokiwała głową. Tylko jedna rzecz była gorsza od rozgniewania babci: trafienie na jej dobry humor, a potem narażenie się na jej gniew. Ktokolwiek stał za drzwiami... chłopcu było go naprawdę żal.

ŚCIEŻKA Z OKRUSZKÓW

Marcus Welmann pomyślał, że zbudowany z pustaków dom miał w sobie coś dziwnego. Drugie piętro było o dobre pół metra niższe niż pierwsze. Kiedy zatrzymał się na klatce schodowej, żeby złapać oddech, zauważył, że trzecie było jeszcze niższe, jakby cały budynek się kurczył.

Przetarł twarz. Musiał się dowiedzieć, dlaczego Uri Crumble tak bardzo interesował się dziećmi Postów. i co to miało wspólnego z Audrey Post, kobietą, której szukał.

Budynek wskazany w prawniczych dokumentach pomalowano na brązowo, tak żeby wyglądał na drewniany. Na próżno. Osobliwa fasada, która miała imitować bawarski styl, stanowiła przykład kiczowatej architektury typowej dla tego nastawionego na turystów zakątka. Na żadnej ze skrzynek pocztowych na parterze nie widniało nazwisko Post, Welmann postanowił więc zapytać zarządcy budynku, czy może zna nowy adres rodziny.

Wszedł na samą górę i pomaszerował korytarzem do mieszkania pod numerem 3A. Sięgnął do kieszeni po fałszywą policyjną odznakę, dotknął colta pythona w kaburze, po czym zatrzymał się na chwilę, żeby wygładzić ubranie – na tyle, na ile było to możliwe, biorąc pod uwagę, że miał na sobie wojskowe spodnie i czarny podkoszulek. Zapiął pod szyję ortalionową kurtkę.

Zapukał trzy razy, mocno, jak policjant, któremu się spieszy. Czekał, przestępując z nogi na nogę. Miał nadzieję, że Robertowi udało się dotrzeć do szefa i że mercedes pozostał w jednym nieporysowanym kawałku. Chłopak był bystry, ale miał w sobie zbyt dużo z buntownika. Pewnie wyleci, zanim skończy szkolenie na kierowcę. A może tak byłoby nawet dla niego lepiej. Może powinien zajmować się sprawami, które interesują zwykłych nastolatków – seksem, narkotykami i rock and roilem – a nie planować zostania bohaterem.

Welmann usłyszał kroki i zobaczył, że dziurkę judasza przysłonił cień. Drzwi otworzyły się bezgłośnie, bez zwykłego szczęku odsuwanych zamków i odpinanego łańcucha. Mężczyzna wypiął pierś i zmarszczył brwi – chciał wyglądać odpowiednio groźnie, żeby przekonać zarządcę, iż nieujawnienie nowego adresu Postów może być potraktowane jako utrudnianie śledztwa. Podniósł wzrok z fałszywą odznaką w dłoni, ale... całe zawadiactwo nagle utknęło mu w gardle.

W drzwiach stała wysoka kobieta. Ile mogła mieć lat? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? Trudno powiedzieć. Ale mimo swojego wieku wyglądała tak interesująco, że jej zdjęcia mogłyby pojawiać się na okładkach magazynów. Miała eleganckie, krótko przycięte srebrne włosy i Welmann od razu wyobraził ją sobie jako *femme fatale* w jednym ze swoich ulubionych mrocznych kryminałów.

– Słucham? – zapytała, przyglądając mu się, jakby był psią kupą rozmazaną na jej bucie.

Welmann odniósł wrażenie, że znalazł się w spadającej z coraz większą prędkością windzie. Coś nieokreślonego kompletnie wytrąciło go z równowagi.

Zajrzał do mieszkania i zobaczył w nim miliony książek. Półki z nimi wypełniały każdą pionową powierzchnię, a na podłodze stały obok siebie ich równe stosy i chaotyczne sterty. Prawdziwe księgi, w skórzanych okładkach zdobionych pozłacanymi literami. Ani śladu programu telewizyjnego.

Cokolwiek go niepokoiło, nie było widoczne, ale za to świetnie odczuwalne. Swędziała go skóra, ręce drżały. W tym miejscu było coś niebezpiecznego.

– Szukam...

Wtedy ich zobaczył: w pokoju na drugim końcu korytarza przy stole siedzieli Fiona i Eliot Postowie – z tym samym wyrazem twarzy saren złapanych przez światła reflektorów samochodowych, który pamiętał z fotografii.

Jego odczucia się zmieniły. Spadająca winda gwałtownie się zatrzymała i uderzyła z pełną prędkością w posadzkę. Żołądek podszedł mu do gardła i Welmann połączył w głowie wszystkie kawałki układanki. Zarządca budynku mieszkający pod 3A, rodzeństwo Postów pod 3A. Nazwiska na skrzynkach pocztowych zapewne usunęła stojąca przed nim kobieta. Kobieta, którą próbował odnaleźć. Audrey Post.

Spojrzał w jej szare oczy i dopiero teraz zobaczył ją naprawdę. I nie mógł oderwać od niej wzroku. W oczach kobiety tkwiła tajemnicza siła i nie chodziło tu o ulotne doznania w stylu tych z wizytówki Crumble'a. Z mocą szarpanego sztormem oceanu wciągała go głębiej i głębiej. A on tonął. Nie mógł złapać oddechu.

– Czego pan szuka – zapytała – panie...

Wpadł z transu i odzyskał głos.

– ... Welmann – wyszeptał i odkaslnął. – Nazywam się Marcus Welmann.

Lekko się uklonił, co było najdziwniejszą rzeczą, jaką zrobił od dłuższego czasu. Z nieznanych przyczyn wydawało mu się to jedynym możliwym zachowaniem.

Spojrzenie kobiety stwardniało. Otworzyła drzwi szerzej.

– Proszę wejść, panie Welmann – powiedziała.

Kiedy zwierzchnik powierzał Welmannowi tę misję, jego rozkazy były niezwykle precyzyjne: znajdź Audrey Post i zgłoś się z powrotem z informacjami. Pod żadnym pozorem nie wchodź z nią w kontakt. Teraz ewidentnie łamał ostatnie zalecenie. Mógłby się jakoś jeszcze z tego wyplątać, ale wymagałoby to znalezienia sprytnego wykrętu. Słowa zaś nie były jego mocną stroną.

Audrey Post wprowadziła go do środka. Poczul delikatny aromat upieczonego ciasta i górujący nad nim zapach pleśniejących stron tysięcy książek. Wchodząc do jadalni, zobaczył bardzo starą kobietę stojącą nad dziećmi. Miała na sobie ubranie, które mogło być kostiumem z *Przeminęło z wiatrem* – zresztą wyglądała na tak wiekową, że mogła je nosić w trakcie balów podczas wojny Północ-Południe. Patrzyła na niego wrogo.

Chłopak i dziewczyna trzymali na kolanach książki i gapili się na mężczyznę z typową dla nastolatków mieszanką ciekawości i irytacji. W oknie z tyłu widniał transparent z napisem „Wszystkiego najlepszego”. Marcus ewidentnie przyszedł w najgorszym momencie. Świetna technika śledcza – pakowanie się w środek dziecięcego przyjęcia. Przyjemna i nie rzucająca się w oczy, pomyślał. I tak lepiej, że zamiast niego nie stał tu Crumble.

– Dzieci – powiedziała Audrey Post – poznajcie pana Welmanna, dawnego przyjaciela naszej rodziny.

Mężczyzna schował fałszywą odznakę policyjną do kieszeni. Już się nie przyda. Audrey Post prowadziła grę, której zasad nie rozumiał. Na razie więc postanowił czekać na to, co się wydarzy.

Chłopak i dziewczyna najpierw spojrzeli na siebie, potem na przybysza. Byli o rok czy dwa młodszy od Roberta.

– Przyjaciela rodziny? – Fiona się pochyliła. – Czy znał pan naszych rodziców?

– Ciii – uciszyła ją Audrey Post. – Zbierajcie się, inaczej oboje spóźniecie się do pracy – przypomniała im, po czym łagodniejszym tonem dodała: – Później dokończymy świętowanie. Muszę omówić pewną sprawę z naszym gościem.

Fiona i Eliot spojrzeli na leżące na stole papierowe torby i powiedzieli jednocześnie:

– Dobrze, babciu.

Podnieśli się, uklonili się Welmannowi i wyszli, znikając w cieniu mieszkania.

A więc Audrey Post była ich babcią. To się nawet zgadzało. Mężczyzna nasłuchiwał przez chwilę, ale w mieszkaniu chyba nie było nikogo więcej. Gdzie podzieli się ich rodzice? Normalnie mama i tata pojawiali się na przyjęciach urodzinowych swoich dzieci. Ale dziewczyna zapytała przecież, czy ich znał. W czasie przeszłym. Tak jakby już nie żyli.

Audrey Post zwróciła się teraz do staruszki:

– Cecilio, przynieś nam herbatę – poprosiła.

Starsza kobieta zawahała się, otworzyła buzię,

jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu bez słowa wyszła do kuchni, przez cały czas nie spuszczać Welmanna z oczu.

Dzieci pojawiły się na nowo w drodze do drzwi wyjściowych. Miały z sobą torby z kanapkami i zatrzymały się na chwilę, żeby ucałować babcię w policzek.

– Miło było pana poznać – powiedziała Fiona.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odkłonił się Welmann i pomyślał: sympatyczna dziewczyna. Dobrze wychowana. W dzisiejszych czasach rzadko się to zdarza. Tym bardziej warto było się dowiedzieć, o co tu chodzi, i wysłać dzieciaki gdzieś, gdzie Crumble już im nie zagrozi.

Rodzeństwo wyszło, zamykając za sobą drzwi.

– A teraz – rzekła Audrey Post – porozmawiamy.

Welmann poczuł, że znów traci grunt pod nogami, jakby cały pokój nagle się zakołysał. Już chyba wolałby walkę wręcz z Urim Crumble'em. Pewnie nie byłaby aż tak niebezpieczna. Audrey Post miała w sobie tajemniczą moc: wystarczyło na nią spojrzeć, żeby się o tym przekonać.

– Przysłali cię, żeby mnie odnaleźć?

Nie był aż tak głupi, żeby zaprzeczać.

– Tak, proszę pani.

– Jesteś kierowcą, prawda?

Gdyby podniosła ze stołu tort i razem ze świeczkami wpakowała mu go prosto w twarz, nie byłby aż tak zaskoczony. Natychmiast poczuł potrzebę, żeby cofnąć się o kilka kroków, ale zebrał się w sobie i przytaknął. Jeśli wiedziała, że jest kierowcą, a co więcej, wiedziała, kim byli kierowcy, musiała też znać jego

przełożonego i może nawet powód, dla którego szef się nią interesował. Była więc lepiej poinformowana niż Welmann.

Kobieta nie wyglądała na w najmniejszym stopniu zmartwioną.

– Co ci o mnie powiedzieli? – zapytała, mrużąc szare oczy.

Przełknął ślinę, bo zaschło mu w gardle. Nie wiedziała więc wszystkiego. To dobrze. Jasnowidze zawsze go strasznie irytowali.

– Powiedzieli, żeby z panią nie rozmawiać.

Audrey Post przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała, a potem wyjrzała przez okno na ulicę. Marcus zrobił to samo. Na chodniku przed domem pojawiły się dzieci. Kobieta odwróciła się do Welmanna.

– Wiesz, kim jestem?

Czy to miało być podchwytliwe pytanie?

– Audrey Post – powiedział nieśmiało.

Uśmiechnęła się, więc chyba odpowiedział dobrze. Jej uśmiech miał w sobie coś miłego i Welmann poczuł się nieco pewniej. Otrząsnął się z oszołomienia. Musiał działać na najwyższych obrotach, to nie była zabawa.

Audrey osunęła się na jedno ze stojących przy stole krzesel z wdziękiem przypominającym kwiat lotosu osiadający na lustrze jeziora.

– Proszę usiąść – zachęciła go do tego samego.

Welmann może i nie był dżentelmenem, ale idiotą to już na pewno nie. Jeśli dysponująca ogromną potęgą kobieta proponuje miejsce przy swoim stole, nie można jej odmówić. Usiadł, a krzesło zatrzeszczało pod jego ciężarem. W tym momencie drzwi kuchenne otworzyły się

i do jadalni weszła starsza kobieta, niosąc tacę z filiżankami i dzbankiem do herbaty. Postawiła ją na stole i zasyczała:

– Czemu z nim rozmawiasz? – Rzuciła Welmannowi ostre spojrzenie i znacząco przejechała palcem po gardle.

Mężczyźnie spodobała się jawna jadowitość tej drobnej staruszki. Ale szybko stłumił śmiech – ona nie zartowała. Pot zaczął mu spływać po bokach.

– Prosiłam o herbatę, nie o porady, Cecilio.

Starsza kobieta spuściła wzrok.

– Tak, oczywiście – powiedziała i wróciła do kuchni.

– Jak mnie pan znalazł? – zapytała Audrey Post.

– Pani wnuki.

Oczy kobiety zamieniły się w szpary, a usta zacisnęły w pojedynczą linię. Welmann trafił w czuły punkt. A więc istnienie dzieciaków miało być tajemnicą? Postanowił spróbować wykorzystać nieco zdobytą o nich wiedzę.

– Eliot i Fiona – ciągnął. – Piętnastolatki, bliźnięta.

Delikatna szczeka Audrey zacisnęła się. Z pewnością był na dobrym tropie.

– Mój pracodawca szanuje panią. Powinniście z sobą porozmawiać. – Welmann sięgnął do kurtki po komórkę.

– Odłóż to.

Ręka mężczyzny natychmiast usłuchała polecenia i wypuściła telefon. Niezła sztuczka. Audrey Post miała pewnie w zanadrzu więcej takich zagrań.

– Proszę mnie posłuchać. – Marcus pochylił się do

przodu. – Jestem tylko kierowcą, ale jeśli ma pani kłopoty, mogę porozmawiać z nimi w pani imieniu.

Zamknęła oczy.

– Taka szczerość – wyszeptała. – To naprawdę słodkie. Ale nie potrzebuję niczego od twojego pracodawcy i od reszty jego rodziny. Ani łaski, ani tolerancji, ani pozwolenia na to, żeby coś zrobić.

Welman nie rozumiał. Jego szef interesował się tylko tymi, którzy w jego oczach zasługiwali na karę albo nagrodę. Obydwie rozdzielał chętnie iz wielką wprawą.

– Jak dokładnie odkryłeś dzieci? – zapytała.

Mężczyzna nie był geniuszem, ale wreszcie zaczął kojarzyć, o co musi chodzić. Czy to dzieciaki stanowiły główny cel tej całej zabawy w kotka i myszkę? Jasne, wysłano go po babcie. Ale może – choć wydawało się to mało prawdopodobne – jego szef nie wiedział o istnieniu Eliota i Fiony? Tak czy inaczej, poczuł, że odkrył żyłę złota i że dzieci były z nią związane.

Spróbował rumiankowej herbaty. Zwykle pił czarną kawę, ale ten napój też mu smakował. Pomagał zatrzymać się na chwilę i skupić myśli. Dawał pretekst, żeby przyjrzeć się kobiecie i zastanowić, o co w tym wszystkim chodzi.

Audrey Post, wyraźnie wytrącona z równowagi, nerwowo zakręciła się na krześle.

– Nic nie odkryłem. Całą pracę wykonał za mnie gość, który nazywa się Uri Crumble.

Jedna z brwi kobiety podniosła się.

– Crumble? Inny kierowca?

– Nie sądzę. A przynajmniej nie pracuje dla moich zwierzchników.

Jej gładka oliwkowa skóra pobrała, a usta rozchyliły się w zaskoczeniu. Najwyraźniej Audrey też się domyślała, dla kogo pracował Crumble. I jeśli tamci byli choć w połowie tak okrutni, jak opowiadano, Marcus mógł wykorzystać to, żeby przekonać kobiety do współpracy.

– Z tamtymi gośćmi nie ma żartów. Nie przestrzegają żadnych reguł.

Audrey złożyła ręce.

– Tak... – Jej spojrzenie umknęło gdzieś w bok. Myślała o czymś w wielkim skupieniu.

Jeśli Welmann osiągnął jakąkolwiek przewagę w tej rozmowie, musiał ją teraz wykorzystać. Przemówić do Audrey, przekonać ją, że może mu zaufać, że powinna to zrobić dla własnego dobra. Jasne, miała w sobie siłę, każdy by to dostrzegł. Ale nikt nie miał w pojedynkę tyle siły, żeby poradzić sobie z kumplami Crumble'a. A co dopiero z jego szefem.

– Pani i pani wnuczkom grozi wielkie niebezpieczeństwo – powiedział z autentyczną troską. – Mogę wam pomóc. Ludzie, dla których pracuję, mogą wam pomóc.

– Wiem, że mogą – wyszeptwała Audrey.

Szybko zamruwała, sięgnęła po filiżankę i upiła łyk herbaty. Potem wpatrywała się w dno naczynia, jakby usiłowała wyczytać coś z fusów. Miał wrażenie, że krępująca cisza trwa całe godziny.

– Nie chciałbym być nieuprzejmy – przerwał w końcu milczenie – ale nie mamy za dużo czasu. Skoro do akcji wkroczył Crumble, im szybciej zaczniemy działać, tym lepiej.

Audrey Post wyrwała się z zamyślenia i spojrzała

na gościa. Sięgnęła po talerz, wzięła do ręki leżący obok długi nóż i pokroiła ciasto.

– Ma pan ochotę na kawałek? Zwykle wyniki kulinarnych wysiłków Cecilii pozostawiają wiele do życzenia, ale dziś wyjątkowo się postarała.

Towarzysząca Welmannowi jeszcze chwilę temu nadzieja na to, że może będą się w stanie dogadać, teraz zniknęła.

– Nic nie...

– Nie rozumie pan? – Na twarzy kobiety pojawił się ironiczny uśmiech. – To się bardzo dobrze składa.

Marcus znów poczuł nadchodzące zagrożenie. Poruszył nogą, żeby upewnić się, że uspokajający kształt PT-145 wciąż jest do niej przypięty. Przesunął się trochę do przodu, żeby w razie czego błyskawicznie wyciągnąć z kabury na plecach colta pythona.

Kobieta zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Tak jak pan mówił, nie mamy za dużo czasu. – Wytarła nóż z lukru w serwetkę. – Teraz musi pan już stąd zniknąć.

– Jeśli nie pozwoli mi pani sobie pomóc, oni na pewno was znajdą.

– Oni? Jacy oni, kierowco? – Wycelowała ostrze noża w serce Welmanna. – Sądzę, że oni już mnie znaleźli. Przecież nigdy nie przyjechałbyś tu bez zareportowania swoich odkryć zwierzchnikom.

Wstał, podniósł ręce w pokojowym geście i zrobił krok w stronę drzwi.

– W porządku. Niech pani nie robi nic głupiego.

Zobaczył swoje odbicie w ostrzu noża. To przynosiło pecha. Pocił się teraz tak bardzo, że koszula

przykleiła mu się do klatki piersiowej. Czym się w zasadzie tak denerwował? Przecież Audrey Post nie miała szans dosięgnąć go przez stół, a on miał przy sobie dwa pistolety. Musiał się po prostu zebrać w sobie i spokojnie stąd wyjść, unikając jakichkolwiek scen.

– Pewnie ma pani rację – wyszeptał. – Muszę już iść.

– Robisz to, co nakazuje ci natura: służyysz swoim panom. – Kobieta podniosła się z krzesła, wciąż trzymając w ręku nóż. – A ja robię to, co jest w mojej naturze: chronię swoje dzieci.

Marcus nagle poczuł w powietrzu zapach śmierci: woń wysuszonego jak mumie papieru, formaliny i... krwi. Wyciągnął colta i wycelował go w korpus Audrey Post. Ta nawet nie mrugnęła, nawet nie spojrzała na pistolet. Dźgnęła nożem ciasto.

– Wciąż pan nie powiedział, czy ma ochotę spróbować.

– Co? – Zaskoczony opuścił odrobinę lufę. – Myślałem, że chce pani, żebym już sobie poszedł.

– Nie. Powiedziałam, że musi pan stąd zniknąć. – Spojrzała mu w oczy. – Zostać usunięty.

Instynkt wziął górę. Już dziesiątki razy uratował mu skórę. Nie myślał. Jego ciało wiedziało, że musi wykonać ruch, zanim ona wypowie kolejne słowo. Mięśnie w jego ramieniu i dłoni zadziały samodzielnie.

Wystrzelił trzy razy. Błysk przy tłumiku był oślepiający. Kiedy po ułamku sekundy Welmann odzyskał wzrok, zobaczył rozmyty stalowy łuk zacierający w kierunku jego gardła.

Nikt nie mógł się poruszać tak szybko, nikt. Chyba

że... Nóż Audrey Post z chirurgiczną precyzją przeciął mi tętnicę szyjną i rdzeń kręgowy.

NASTĘPNE URODZINOWE NIESPODZIANKI

Fiona wyszła bocznymi drzwiami z Oakwood Apartments. Przystanęła na chodniku i pociągnęła w dół skraj sukienki, starając się wyprostować fałdy różowego materiału, którego stan jeszcze się pogorszył, kiedy zbiegała po schodach.

Lato miało się ku końcowi, ale przedpołudniowe powietrze już było ciepłe. Dziewczyna żałowała, że nie mogła dzisiaj po prostu włożyć szortów i koszulki.

Eliot pojawił się w drzwiach za jej plecami.

– To nie fair. – Ledwo łapał oddech. – Wybiegåś, zanim... zawiązałem sznurówki.

– Wygrałam. Pogódź się z tym. – Zmarszczyła brwi. – Jak myślisz, kim był ten Welmann?

Chłopak pokręcił głową.

– Babcia powiedziała, że to przyjaciel rodziny. Nigdy wcześniej nie przyszedł do niej ot tak żaden przyjaciel.

Tak naprawdę nic im nie było wiadomo o tym, żeby babcia miała jakichkolwiek przyjaciół.

Fiona zaczęła iść w górę Midway Avenue. Eliot szybko do niej dołączył.

– Myślisz, że znał mamę albo tatę?

– Pewnie tak. Inaczej dlaczego babcia pozbyłaby się nas tak szybko? – odpowiedziała pytaniem dziewczyna.

Rozdrapywanie starych ran – Cecilia zawsze używała tego sformułowania, kiedy poruszali temat rodziców. Mówiła, że rozmyślanie o przeszłości, o której nie można się niczego dowiedzieć, jest jak zrywanie zaschniętego strupa. Ale Fiona i tak chciała się dowiedzieć czegokolwiek, a najlepiej wszystkiego o swoich rodzicach. Czasem myślała o nich jak o wielkich puzzlach, które czekały na to, żeby je poskładać... Tyle że babcia położyła wszystkie klocki na półce poza jej zasięgiem.

– Zresztą czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – powiedziała. – Co by to zmieniło, gdybyśmy usłyszeli jakąś łzawą historyjkę od tego Welmanna?

– Nic – odrzekł Eliot nieobecny głosem.

Fiona dotknęła śliskiego, połyskliwego materiału, z jakiego zrobiona była jej urodzinowa sukienka, luźno zwisająca wokół bioder, a w piersiach ściskająca ją jak gorset. Dziewczyna wyglądała w niej komicznie. Spojrzała na brata i przyprowadzającą o zawrót głowy kolekcję kolorowych pasków, którą miał na sobie. Przynajmniej będzie pracować w kuchni, gdzie nikt go nie zobaczy.

Chmury przesłoniły słońce i delikatny wiatr poruszył liśćmi w zagłębieniach studzienek kanalizacyjnych. Fiona odetchnęła z ulgą. Odrzuciła włosy z szyi. Jej skóra już zdążyła się pokryć potem.

Skupiła się, przypominając sobie wszystkie rzeczy, które nie pasowały do ich zwykle regularnego jak w metronomie rytmu życia: brak pracy domowej poprzedniego wieczoru, książka Juliusza Verne'a, którą podarowała jej – jednocześnie łamiąc ustanowioną przez siebie regułę – babcia, stłuczona filiżanka... Cecylii zawsze trzęsły się ręce, ale nigdy nic nie upuściła. I choć miała już

sto cztery lata i mógł się jej przytrafić drobny wylew, to Fiona nie umiała sobie wyobrazić życia bez niej. Dokładniej mówiąc, nie umiała sobie wyobrazić życia wyłącznie pod opieką babci.

– Myślisz, że wszystko z nią w porządku? – zapytał Eliot.

– Z Cee? Jasne. Jest jak skała.

– Skąd wiedziałaś, o kogo mi chodzi? – Chłopak był wyraźnie zirytowany.

Fiona wzruszyła ramionami.

– Akurat pomyślałam o tamtej rozbitej filizance.

– Widziałaś, jak babcia się na nią patrzyła?

Jak mogła tego nie zauważyć? Babcia wpatrywała się w te skorupy z niesamowitą intensywnością, a jej wzrok przypominał promień lasera. Jakby zliczała poszczególne cząsteczki w ceramicznych odłamkach. Na przedramionach Fiony pojawiła się gęsia skórka. Zdawało się jej, że cały świat się zakołysał. Chmury nad ich głowami pociemniały.

– Słuchaj... – wyszeptał Eliot.

Dziewczyna jednak nie słyszała już ani jego głosu, ani żadnego innego dźwięku. Poczula się tak, jakby ktoś nacisnął jakiś guzik i wyłączył wszystkie sygnały audio. Żadnego szczebiotu ptaków czy pomrukiwania samochodów. Przestał do niej dochodzić nawet szum linii wysokiego napięcia.

Pojawił się za to głuchy rytm. Fiona nie tyle go słyszała, ile czuła, jak równomiernie pulsował w jej brzuchu. A potem zaczęły mu towarzyszyć wysokie metaliczne dźwięki, wygrywające skoczną melodię. Muzyka płynęła z alejki przed mmi.

Eliot przyspieszył kroku. Fiona ruszyła za nim, z każdą chwilą coraz bardziej zdezorientowana. Miała dziwną ochotę, żeby zacząć podskakiwać, jakby była małą dziewczynką i brała udział w jakiejś skomplikowanej wersji gry w klasy.

Brat zatrzymał się jak wryty przy wylocie alejki. W jej głębi siedział ze skrzyżowanymi nogami bezdomny i, uśmiechając się, grał na skrzypcach. Dookoła niego leżały małe koperty, a z niektórych z nich wystawały rozwijające się struny. Mężczyzna nie miał smyczka, położył więc sobie instrument na kolanach i przebiegał po nowych strunach palcami, drugą ręką przyciskając gryf.

Eliot chciał mu się lepiej przyjrzeć i stanął tak blisko starca, że ten z łatwością mógłby go dosięgnąć. Fiona złapała więc brata za ramię i pociągnęła do tyłu. Chciała go zabrać od tego bezdomnego, ale sama też czuła ochotę wejścia w głąb alejki, jakby chodnik ułatwiał im zbliżenie się do niego, a utrudniał oddalenie. Tylko siostrzany instynkt, nakazujący jej ochronę brata, powstrzymywał ją od tego.

Bezdomny spojrzął na nich i uśmiechnął się szerzej. Melodia, którą odgrywał, przyspieszyła.

Tańczące nuty coś jej przypomniały. Jakby dziecięcą piosenkę. Ale przecież w ich domu nikt nie śpiewał. Niejasne wspomnienie musiało pochodzić z czasów jeszcze dawniejszych, zanim ich życiem zawładnęła babcia. To mogła być melodia, którą ktoś nucił Fionie, kiedy ta była niemowlęciem.

Śpij, maleńka, miej sny tańczące, zobacz kwiaty i słońce rzeką płynące.

Gęsia skórka na ramionach Fiony przypominała teraz twarde kamyczki. Muzyka stała się jednym z biciem jej serca, z tętnem krwi. Sprawiała, że dziewczyna zaczęła się kołysać i wybijać rytm stopą.

Poczuła zapach róż i świeżo przekopanej ziemi. Zobaczyła siebie tańczącą wokół pomalowanego na biało pala. Wokół niej fruwały kolorowe szarfy, a inne dzieci też śpiewały, śmiały się i wyginały w nie kończącym się korowodzie wokół majowego słupa^{7,8}.

Powietrze wokół Fiony straciło przejrzystość. Alejka rozmyła się jak akwarela na deszczu. Ręka dziewczyny półświadomie osunęła się z ramienia brata. Jedynym wciąż wyraźnym obrazem przed jej oczyma były struny skrzypiec, ale i one zdawały się poruszać coraz szybciej, zmieniając się w wibrującą mgłę.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, na poły wzdychając, na poły wciągając je nosem. Dotarł do niej zapach sardynek, potu i spalonej siarki. Nieczystość – to słowo pojawiło się w jej ledwie przytomnym umyśle.

Kiedy wpatrywała się w wypełniające całe jej pole widzenia wibracje, pomyślała jeszcze o jednym słowie: chaos. I ta ostatnia myśl, doznanie nigdy niekończącego

⁷ „Wokół słupa wciąż chodzimy/anioł pieśnią nas prowadzi/ z piękną harfą, z boskim lukiem/ on przygrywa, my tańczymy” - dziecięca rymowanka (ojciec Sildas Pobożny, *op.cit.*).

⁸ Jedna z legend związanych z dziecięcą krucjatą z 1212 roku opowiada o niemieckim pastuszkę, któremu ukazał się Jezus tańczący wokół przystrojonego kwiatami i szarfami majowego słupa. Pod wpływem wizji chłopiec udał się nad brzeg Morza Śródziemnego, pociągając za sobą tysiące innych dzieci, które wierzyły, że morze rozstąpi się przed nimi i będą mogły kontynuować podróż aż do Ziemi Świętej. Kiedy wody się nie rozstąpiły, wiele z tych dzieci zostało sprzedanych w niewolę przez marsylskich kupców (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. II, *Boskie inspiracje, op.cit.*).

się zamieszania, niekontrolowanego, dzikiego stanu, porywającego ją gdzieś w nieznane, doprowadzała ją do szaleństwa. Nawet bardziej niż świadomość bliskości brudnego, śmierdzącego starca. Nie umiała tego zrozumieć.

Nadal gapiła się na struny, usiłując się skupić na jednej z nich, jakby intensywnością spojrzenia potrafiła, tak jak babcia, coś zmienić i wyrwać się z poczucia bezsilności.

Struna nagle pękła, wydając przy tym głośny brzdęk. Dłoń starca szybko odskoczyła od skrzypiec i mężczyzna zaczął ssać palec wskazujący. Po chwili wyjął go z ust i dziewczyna zobaczyła krew. Bezdomny spojrzał na Eliota, potem na Fionę i wciąż się uśmiechając, powiedział:

– Ech, niech mnie diabli wezmą.

Miał dźwięczny wysoki głos, którego Fiona nie spodziewała się po takim obdartusie.

– To było super – zachwyił się Eliot.

Mężczyzna skłonił głowę, sięgnął między fałdy wytartego płaszcza i wyciągnął kopertę z woskowego papieru ze zwiniętymi strunami w środku. Gestykulował przez chwilę nad paczuszką, jakby był magikiem, a potem przejechał dłonią wzdłuż poobtlukiwanego gryfu.

Fiona lekko poklepała brata po plecach i pociągnęła go ku sobie.

– Musimy iść do pracy... Dziękujemy – rzuciła do bezdomnego, ale jej lodowaty ton sugerował, że tak naprawdę nie uważała, że jest za co dziękować.

Mężczyzna przestał się uśmiechać, tylko znów się im ukłonił i zaczął odwijać pękniętą strunę z kołka.

– Chodź. – Fiona pociągnęła brata za ramię.

Eliot odwrócił się i spojrzał na nią ze złością.

– Jeśli spóźnimy się drugi raz z rzędu – powiedziała

– Mike naprawdę się wścieknie.

Wzrok chłopaka zmienił się z poirytowanego w zatroskany.

– To prawda. – Zerknął z powrotem na bezdomnego i pomachał mu na pożegnanie.

Mężczyzna znów szeroko się uśmiechnął.

– Czy to nie było naprawdę ekstra? – Eliot szepnął do siostry.

– Nie – odpowiedziała bez emocji. – Raczej naprawdę dziwne.

Musiała jednak przyznać, że zaczynała rozumieć fascynację brata muzyką. Dźwięki wygrywanej przez bezdomnego melodii zabrały ją gdzieś daleko. Czy babcia rzeczywiście nie mogła pozwolić Eliotowi nawet na głupie radio? Czy naprawdę tak bardzo by go rozpraszało?

Szybko pobiegli w stronę skrzyżowania ulic Midway i Vine i zobaczyli, że wszystkie miejsca parkingowe są zajęte. Wszędzie stały błyszczące SUV-y i kabriolety mercedesa. Turyści. W restauracji na pewno będzie duży ruch.

Przeszli przez ulicę i pobiegli po schodach do wejścia „U Ringo”. Eliot otworzył drzwi i z klimatyzowanego wnętrza uderzyła w nich fala zimnego powietrza. Dziewczyna zadrżała.

Mike stał przy kasie. Właśnie przekazał Lindzie czteroosobową grupkę turystów z prośbą o to, żeby znalazła dla nich stolik. Rzucił okiem na wchodzące rodzeństwo i krew odpłynęła mu z twarzy.

– Chyba żartujecie – rzucił ostrym tonem. – Dzisiaj w Napa zaczyna się festiwal *pinot noir*, mamy masę gości, a wy uważacie, że to najlepszy moment na to, żeby zwinąć z kościelnego magazynu z używaną odzieżą kostiumy, których nikt nigdy nie wiał?

Policzki Fiony stały się tak czerwone, że nawet mimo klimatyzacji dziewczyna znowu zaczęła się pocić. Eliot zrobił krok do przodu.

– Hej, nie... – próbował coś wyjaśnić.

– Gówniarz – Mike przerwał mu w pół słowa – może się ubierać, jak tylko mu podpowiada jego chora głowa. Ale ty? – Obrzucił dziewczynę niedowierzającym spojrzeniem. – Jeśli wyjdiesz na salę w takim stroju, wszyscy klienci zaraz stracą apetyt.

Słowa Mike'a tylko potwierdziły obawy Fiony: jej urodzinowa sukienka naprawdę wyglądała jak kiepskie przebranie na Halloween, a szarfa tylko pogarszała sprawę. Autentycznie upokarzający prezent.

Nie znosiła swojego życia, tych wszystkich reguł, ubrań szytych przez babcię, dni zawsze spędzanych w pracy lub w domu i nigdzie indziej. Łzy napłynęły jej do oczu. Różowy atlas sukienki wyglądał przez nie jak barwiona wata cukrowa.

– Włóż to.

Mike sięgnął pod ładę, wyciągnął koszulkę z napisem „U Ringo” i rzucił ją w stronę dziewczyny. Koszulka trafiła ją w pierś i upadła na podłogę. Fiona uklękła, starając się szybkim mruganiem pozbyć łez z oczu. Nadruk z Wujem Samem uśmiechał się do niej.

– Potrącę ci to z wypłaty – mruknął Mike.

Eliot zacisnął pięści.

– Jasne – wyszeptała Fiona.

– I weź jeden z tych dużych ciężkich fartuchów od Johnny'ego – dodał Mike – żeby zakryć resztę.

Dziewczyna przytaknęła i spuściła wzrok. Nie była w stanie dalej patrzeć kierownikowi w oczy. Ze wstydu paliły ją policzki. Nie mogła się jednak ruszyć. Na myśl, że szelest atłasowej sukienki ściągnie na nią jeszcze większą uwagę klientów, robiło jej się słabo. Jak miała przejść przez całą jadalnię do kuchni, kiedy wszyscy się na nią gapili? Zamarła przerażona.

Mike wyszedł zza lady i chwycił ją za ramię, wgniatając jej kciuk w łokieć. Ból pomknął wzdłuż ręki dziewczyny jak impuls elektryczny.

– No – zawarczał. – Ruszaj się...

Wyrwała się z uchwytu. To zabolalo jeszcze bardziej, ale teraz Fionie było już wszystko jedno. Podniosła głowę i spojrzała kierownikowi prosto w twarz.

– Nie rób tak! – wyszczała przez zaciśnięte zęby.

Z powodu wcześniejszego upokorzenia przypominała zranione zwierzę, ale teraz – sprowokowana o jeden raz za dużo – wyprostowała się, podniosła i obnażyła kły.

Poczuła przy boku obecność Eliota gotowego przyłożyć Mike'owi w nos. Dobrze było wiedzieć, że mogła na niego w razie czego liczyć. Przestała więc ukrywać płynące z jej oczu łzy i nadal patrzyła prosto na kierownika.

– Nie – wyszeptała tonem, w którym nie było wstydu, ale z trudem powstrzymywana wściekłość. – Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

Mike otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć,

lecz w końcu się rozmyślił. Powoli pokiwał głową, podniósł ręce w uspokajającym geście i wycofał się.

– Dobra – wy sapał. – Po prostu idź już po ten fartuch i zabieraj się do pracy.

Ciągle się jednak nie odwrócił, jakby spojrzenie Fiony trzymało go na uwieży. Zadrzał i wykrzywił wargi w dziwnym grymasie. Wydawało się, że twardy wzrok dziewczyny sprawia mu ból. Wreszcie zabrzączał dzwonek nad drzwiami i do środka weszła kolejna para klientów. Fiona mrugnęła i magia jej spojrzenia przestała działać. Mike odwrócił się do nowo przybyłych, a na jego twarzy znów zagościł urzędowy uśmiech.

– Stolik dla dwojga? – zapytał.

Dziewczyna zaczerpnęła głęboko powietrza i razem z bratem pomaszerowała przez jadalnię do kuchni.

Jeśli ktoś gapił się na jej sukienkę, nie dotarło to do niej. Znów uparcie wpatrywała się w podłogę. Popchnęła wahadłowe drzwi i obejrzała obolałą rękę. W miejscu, gdzie złapał ją Mike, na skórze pojawiły się drobne siniaki.

– Wszystko w porządku? – zapytał Eliot łagodnie.

– Tak, jasne.

Pierwszy raz w życiu miała ochotę uderzyć kogoś, kto nie był jej bratem. Nie tylko miała ochotę. Była autentycznie gotowa to zrobić.

Na moment skoncentrowała się na swojej nienawiści tak mocno, jak tylko potrafiła. Pomyślała, że Mike Poole nie powinien już nigdy jej dotknąć. Nie powinien dotknąć nikogo innego. Chciała jego śmierci.

RĘKA MIKE'A

Eliot stał przed wielkim zlewem podzielonym na dwie części, z których jedna była pusta, a drugą wypełniała brudna woda z pływającymi po powierzchni chmurami mydlin.

Ta praca była do kitu. Eliot jednak nie należał do tych, którzy łatwo rezygnują. Zawsze kończył to, co zaczął, nawet jeśli widział, że nie wróżyło to powodzenia.

Ale praca w restauracji nie była kolejną zabawą, taką jak słownikowe obelgi czy wyścigi po schodach. Nic nie mogło równoważyć codziennego znoszenia upokorzeń ze strony Mike'a. Choć Eliotowi nie dokuczalo nawet tak bardzo to, że kierownik go wyzywał. Znacznie bardziej bolało go to, co zrobił Fionie... Chłopak wyobrażał sobie, że wpycha głowę szefa do zlewu, wsadza ją głęboko pod wodę i trzyma tak dopóty, dopóki tamten się nie utopi.

Wciągnął powietrze zdumiony tym, że jego fantazje są tak brutalne i – co jeszcze zwiększyło jego zaskoczenie – przyniosły mu tak dużą satysfakcję. Westchnął. Na szczęście południowa zmiana niedługo się skończy.

Wpatrywał się w wodę, a jego palce podświadomie zaczęły wystukiwać rytm na brzegu zlewu. Wciąż miał w głowie melodię usłyszaną rano dziecięcej piosenki. W jego wyobraźni mydlny zaczęły się układać w obrazy. Najpierw zobaczył skrzypce, potem uśmiech, stado białych kruków, wreszcie rękę, która po coś sięgała, powoli kręcąc się w wodzie. Jej palce zamknęły się wokół niewidzialnego przedmiotu i po chwili... zaczęły się związać z bólu.

– Wszystko OK, *amigo?!* – Johnny zawołał z drugiego końca kuchni.

– Odpadam. Za długa zmiana. – Eliot potrząsnął głową, żeby pozbyć się natrętej muzyki.

Kucharz wrzucił do oleju torbę zamrożonych frytek. Wrzący tłuszcz zasyczał, a jego powierzchnia zaczęła buzować. Johnny cofnął się o krok i opuścił osłonę smażarki, choć kilkanaście kropel zdążyło wyskoczyć na betonową podłogę. Mężczyzna zmarszczył brwi. Utrzymywał kuchnię w idealnej czystości. Rozejrzał się za wiadrem i mopem, żeby natychmiast posprzątać.

Do kuchni weszła Fiona. Wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać. Pot przesączał się przez kolejne warstwy jej ubrań: bawełniany podkoszulek, fartuch, różową sukienkę. Od kolan po szyję była ubabrana sosem marinara.

– Podwójny stolik dzieciaków rodem z *Władcy much* – oznajmiła i głęboko westchnęła. – Potrzebuje przerwy.

– Właśnie miałem wyjść na chwilę na zewnątrz trochę się przewietrzyć – odpowiedział Eliot.

Dziewczyna przystała na propozycję i razem poszli w stronę drzwi prowadzących na zaplecze. Eliot miał zamiar porozmawiać z nią o Mike'u – musieli coś wymyślić, żeby się go pozbyć – ale w tej samej chwili kierownik zmiany wpadł do kuchni.

– Fiona, czekaj! – zawołał.

Dziewczyna zatrzymała się i odwróciła, zaciskając ręce tak mocno, że aż zrobiły się białe.

Mike ze swoimi kręconymi, zaczesanymi do tyłu włosami i mocno zarysowanym podbródkiem przywodził

na myśl czystość, świeżość i uczciwość – wszystkie cechy, z którymi tak naprawdę nie miał nic wspólnego.

– Chciałem z tobą porozmawiać – powiedział. Spojrzał na Johnny'ego i Eliota. – Dacie nam chwilę?

Kucharz potarł się po twarzy. Eliot widział, że nie chce zostawić Fiony samej z Mikiem, ale Mike był szefem, a Johnny miał rodzinę na utrzymaniu. Wyciągnął więc druciany kosz z frytkami ze smażarki, żeby nic się nie przypaliło. Kilka kolejnych kropli oleju wylądowało na podłodze.

– Wyjdę na papierosa – powiedział.

Eliot skrzyżował ręce na piersiach. Nie miał najmniejszego zamiaru zostawić Fiony samej.

Mike patrzył na niego przez całe pięć sekund, w końcu westchnął:

– OK. *Ty* też możesz posłuchać, gówniarzu.

Fiona wyprostowała się i przysunęła do brata, ale wciąż nie mogła oderwać oczu od podłogi.

– Czego chcesz? – zapytała.

Mike podniósł ręce w wyćwiczonym uspokajającym geście.

– Powinienem cię przeprosić. Nie chciałem cię tak złapać.

Mimo pojednawczych słów jego prawa dłoń odruchowo się napięła i można było odnieść wrażenie, że przypomina sobie, jak to było, kiedy trzymała Fionę. Błysk w oczach Mike'a sugerował, że sprawiało mu to przyjemność.

Eliot chciał, żeby ten odrażający gość zniknął z ich życia. Na zawsze. W jego głowie znów pojawiła się dziecięca piosenka z poranka.

– Pozwól mi przyjrzeć się twojemu łokciowi. –
Mike podszedł do Fiony, starając się uśmiechać czarująco.
– Nie masz siniaka?

Fiona przycisnęła rękę do boku, jakby chciała ją ukryć.

– Nie zbliżaj się do mnie – powiedziała.

Mike zatrzymał się i całe ciepło ulotniło się z jego twarzy.

– Jeśli przyjdzie ci do głowy, żeby puścić parę z ust... Chciałem łagodnie przemówić ci do rozsądku, ale najwyraźniej z wami się tak nie da. – Wykrzywił wargi. –
Wiecie co? Zapomnijcie o tym. Obydwoje zbierajcie swoje rzeczy i zjeżdżajcie stąd.

– Wy... wyrzucasz nas z pracy?! – krzyknęła Fiona.
– Za co?!

Eliot wiedział, że nie było żadnego „za co”. Że chodziło tylko o to, by nie powiedzieli Ringo, że kierownik zmiany zaatakował jego pracownika. Jeśli najpierw ich zwolni, a potem pójdą na skargę, będzie to wyglądało tak, jakby chcieli się odegrać. A przynajmniej Mike będzie tak twierdził i wszystko ujdzie mu na sucho. Takim jak on zawsze wszystko uchodziło na sucho.

Na twarzy Mike'a pojawił się okrutny uśmiech. Najwyraźniej sytuacja go bawiła.

– Za co? Za to, że jesteście dziwakami i nikt tu nie chce z wami pracować. No i po prostu dlatego, że mogę was wyrzucić.

Eliot nigdy wcześniej nikogo tak bardzo nie nienawidził. Z całego serca życzył kierownikowi śmierci.

Ten podszedł do nich zapewne po to, żeby ich jeszcze bardziej nastraszyć, i wdepnął w płamę rozlanego

na podłodze oleju. Poślizgnął się i – stracił równowagę, niebezpiecznie przechylając się w stronę smażarki. Szybko wysunął rękę do przodu, próbując zahamować upadek. W efekcie wsadził ją do wrzącego tłuszczu. Zaczął krzyczeć. Odotoczył się na bok, a dymiący olej pokrywał mu ramię aż po łokieć. Na gotującej się skórze momentalnie pojawiły się pęcherze. Mike wił się z bólu na podłodze, usiłował przycisnąć rękę do siebie, ale ta zaczęła parzyć jego klatkę piersiową.

Fiona i Eliot przez kilka chwil patrzyli na całą scenę w bezruchu, zaskoczeni i przerażeni, ale zaraz rzucili się na pomoc. Panika szybko opuściła Eliota. Wiedział, co robić. Obydwoje czytali po kilka razy *Praktyczny podręcznik chirurgii i pierwszej pomocy* Marcellusa Mastersa⁹.

– Woda – zarządziła Fiona.

– W zlewie – odpowiedział Eliot. – Ostrożnie. Nie dotykaj jego ramienia.

Podnieśli jęczącego i trzęsącego się Mike'a, trzymając go pod pachy, przeciągnęli w stronę zlewu i przechylili nad jego brzegiem, uważając na poparzoną rękę. W tej samej chwili do kuchni wrócił Johnny. Papieros wciąż zwiślał mu z kącika ust. Kiedy zobaczył

⁹ Podręcznik napisany na zamówienie Napoleona Bonapartego z myślą o francuskich chirurgach polowych. Napoleon nakazał później spalenie wszystkich egzemplarzy, twierdząc, że gdyby taka wiedza wpadła w ręce jego nieprzyjaciół, „uzyskaliby oni cudowne moce, za których pomocą mogliby odświeżyć i ożywić swoje wojska”. Mastersa mianowano generalnym inspektorem. Podobno tysiące żołnierzy zawdzięczały mu życie. Do dzisiejszych czasów przetrwały cztery egzemplarze podręcznika. Zawierają zalecenia równie skuteczne, jeśli nie lepsze, jak współczesne poradniki pierwszej pomocy (Victor Golden, *Goldeną przewodnik po niezwykłych księgach*, Oksford 1958).

Mike'a, przeżegnał się.

– Zadzwoń po pogotowie! – krzyknął Eliot. – Szybko!

Kucharz rzucił się do wiszącego na ścianie telefonu. Tymczasem Eliot sięgnął do kranu i odkręcił zimną wodę. Mike znów zaczął krzyczeć. Usiłował wyciągnąć rękę z chłodnego strumienia.

– Nie – szepnęła Fiona. – Trzymaj ją tam, jeśli nie chcesz jej stracić na zawsze.

– Ciagle cię parzy – dodał Eliot – bo masz gorący tłuszcz w rękawie. Musimy go jakoś ostudzić.

Mike nadal zawodził i płakał, ale przestał się wyrywać. Zwisiał bezwładny, oparty na ramionach rodzeństwa. Eliot i Fiona popatrzyli po sobie. Brat wiedział, że siostra myślała o tym samym: kierownik poparzył sobie prawą rękę. Tę, którą wcześniej złapał Fionę.

PRZERWANE WAKACJE

Sealiali wylegiwała się pod baldachimem z palm na swojej prywatnej plaży na wyspie Bora-Bora¹⁰. Czuła się tu jak w domu, choć tubylcy obawiali się tego miejsca. Twierdzili, że wypełnia je czarna magia, bo zawsze po katastrofach na morzu prądy wyrzucały na ten brzeg opuchnięte ciała wędrowców. Sealiali zaś nie robiła nic, żeby rozwiązać te plotki; prywatność należało cenić, a jej ewentualną stratę – opłakiwać.

Złote promienie słońca odbijały się od białego jak talk piasku. Nawet przefiltrowane przez baldachim i moskitierę wciąż paliły jej ciało. Skóra Sealiali miała odcień brązu. Sznur mokrych miedzianych włosów oplatał jej szyję w węzowym uścisku. Jej ciało było kształtne, a jednocześnie na tyle szczupłe, że mogłaby zostać modelką. Jej trudna do zaspokojenia próżność sprawiała, że byłby to nawet niezły pomysł, ale mężczyźni i kobiety już teraz padali jej do stóp.

Przetała czoło, które wciąż było mokre po popołudniowym pływaniu nago – bawiła się z potulnymi żarłaczami, drażniąc je dopóty, dopóki nie wpadły w szal, woda nie zabarwiła się na czerwono i nie wypełniła strzępkami pożeranych żywych istot. Sealiali oblizła

¹⁰Chociaż wymowa imienia (tytułu?) tej istoty zmieniała się wraz z upływem wieków, wielu badaczy uważa używaną niegdyś wśród plebsu wersję „sei-lei” za najbliższą właściwej (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XIII, *Sity piekielne*, *op.cit.*).

wargi, poczuła smak krwi i na jej usta wypełzł rzadki uśmiech. To było bardzo przyjemne popołudnie...

... które właśnie miało zostać przerwane.

Na jej plaży pojawił się intruz.

Lekko uniosła powieki i kątem oka zobaczyła cień na ścieżce łączącej piasek z dżunglą. Ktokolwiek go rzucał, na pewno nie próbował się kryć, wręcz przeciwnie, kołysał się, starając się zwrócić na siebie uwagę.

Sealiah bawiła się przez chwilę szmaragdem umieszczonym w swoim pępku i udawała, że nie spostrzegła mrocznego gościa. Może był tylko ciekawskim turystą, który zaraz znudzi się i sobie pójdzie? Został jednak, bujając się na boki... Czekając.

– Podejdz tu – westchnęła w końcu.

Dlaczego chwile, w których już prawie osiągała stan całkowitego relaksu, zawsze musiało coś zakłócać?

Podniosła się. Oprócz szmaragdu w pępku i noża przypiętego do łydki nie miała na sobie nic więcej. Jej ostatni kochanek przechwalał się nią przed swoimi przyjaciółmi, opisując jako pełną surowego, dzikiego piękna. Doceniła komplement, ale brak dyskrecji już jej się nie podobał i niedługo potem tenże kochanek dowiedział się bardzo dokładnie, ile w niej jest tej dzikości.

Cień wyłonił się z dżungli, zmieniając w Samończyka ubranego w czarną jedwabną kurtkę, szorty i baseballówkę. Upadł jej do stóp, oddając cześć, z twarzą o centymetry od jej palców, które, gdyby tylko na to pozwoliła, na pewno by pocałował.

– Wystarczy – machnęła ręką. – Wstawaj. Powiedz to, co masz mi do przekazania, i znikaj stąd.

Mężczyzna wstał. Przewyższał ją p dwie głowy. Nazywała go Urakabameel, czasami Uri Crumble albo – w przyptywie dobrego humoru – po prostu Uri. Był jej zastępcą do zadań specjalnych.

Cofnął się z szacunkiem o dwa kroki. Z oczami utkwionymi w ziemię sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął małą czarną książkę wypchaną dodatkowymi kartkami i kolorowymi notatkami. Otworzył ją na pozornie losowo wybranej stronie i zaczął czytać.

– Moja pani – powiedział dźwięcznym barytonem.
– Akcje na londyńskiej giełdzie spadły dziś na otwarciu o osiem procent. Nasi współpracownicy w Oksfordzie są zaniepokojeni. Żądają od nas wsparcia inwestycji.

– Naprawdę? Cóż, z zasady nie spełniam żądań, kiedy jestem na wakacjach. – Zmarszczyła nos. – Sprzedaj moje udziały. Skasuję zysk dzisiaj.

– To doprowadzi do krachu trzy banki w...

– Powiedziałam: sprzedaj.

Uri skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz, pani.

– Jeśli o mnie chodzi, cała Brytania może spłonąć czy zatonać. Następna sprawa.

– Drobiazg: ambasador z Manili przysłał w podarunku trzy andaluzyjskie klacze. Nie wiedziałem, pani, co będziesz chciała zrobić ze zwierzętami. Ambasador chciałby się też umówić na obiad przy najbliższej możliwej okazji.

– Jak cudownie! – krzyknęła z radością. – Andaluzyjki to nie zwierzęta, Uri. To skarby stworzone do tego, żeby je kochać. – Dotknęła swoich warg zakrzywionym czerwonym paznokciem i zamyśliła i r i

się. – Hm. Nakaż zbudować dla nich stajnię przy willi nad Zatoką Manilską. Tam, pośród fal Morza Południowochińskiego, nauczę te wspaniałe damy galopowania. Powiedz też ambasadorowi, że spotkam się z nim w sobotę w Nowym Jorku. W Mitsukoshi.

– Doskonale. – Uri znów się uklonił i zaczął się wycofywać.

– Jest coś jeszcze?

– Nie. Tylko trywialne sprawy, którymi nie musisz sobie zawracać głowy, pani. – Zamknął książkę i włożył ją z powrotem do kurtki.

Chwyciła go za nadgarstek, wbijając paznokcie w skórę. Uri zadrżał.

– Pokaż mi.

Podał jej czarną książkę, a ona otworzyła ją lewą ręką. Prawa nie wypuszczała Uriego z uścisku.

– Tu jest napisane: „dzieci Postów”. Znamy je skądś?

– Nieistotna operacja śledcza. Do niczego nie prowadzi. Dwoje bachorów bez znaczenia.

– Ach tak?

Rozluźniła uścisk i powoli przejechała palcem wskazującym po jego ramieniu wzdłuż potężnej żyły. W pewnym momencie wbiła paznokieć w zagłębienie jego łokcia, przekuwając skórę, ale nie naczynie krwionośne.

– To dlaczego – zamruczała – to nazwisko pojawia się w twojej ach-jakże-ważnej-książeczce z nielegalnymi operacjami?

Uri upadł na kolana. Piasek dookoła aż zadrżał. Nie wydał jednak z siebie nawet jednego jęku.

Sealiah przekreśliła więc palec, miażdżąc nerw i

żyłę jednocześnie.

– Niejasna, słaba przesłanka – wydusił z siebie Uri.

– Myśleliśmy, że może nas doprowadzić do twojego dawno zaginionego kuzyna.

Puściła go.

– Teraz sobie przypominam. Chodziło o jakiś fundusz powierniczy, tak?

– Tak, pani.

Uri trzymał się za rękę, strumyk krwi płynął mu z łokcia i kapał na piasek. Mężczyzna wpatrywał się w pępek Sealiah i tkwiący w nim szmaragd. Błysk szlachetnego kamienia odbijał mu się w oczach. Oczywiście pożałował jej potęgi – w naturze takich jak ona leżało sięganie po wszystko, co tylko mogli zdobyć. Ale to spojrzenie połączone z próbą ukrycia historii związanej z Postami pachniało zdradą. Tętno Sealiah wyraźnie przyspieszyło z ekscytacji.

Uri odwrócił wzrok, paliły go policzki. A może ku jej wielkiemu rozczarowaniu nie było żadnego spisku. Może jej podwładny po prostu przez chwilę pozwolił sobie na odrobinę fantazji. Szkoda, że Uri nigdy nie będzie w stanie wyjść z roli wiernego, posłusznego psa.

– I co z nimi? – zapytała.

– Przechwyciliśmy przelew z rachunku, który kiedyś wykorzystywał incognito Louis. Dotarliśmy do zleceńodawcy: kancelarii prawniczej w centralnej Kalifornii. Sam pojechałem tam po dokumenty. Okazało się, że chodzi o fundusz powierniczy dla dwojga dzieci. Bez związku z naszą sprawą.

Uri wyciągnął z fałdów kurtki cienki laptop. Otworzył go, włączył i podał Sealiah. Siedziała, czekając,

aż komputer się uruchomi. Uri znów przeszukał kurtkę, tym razem zatapiając w niej całe prawe ramię. W końcu wydobyl z niej mały stoliczek, który rozstawił przed swoją zwierzchniczką. Sealiah położyła na nim laptop. Na ekranie pojawiły się dwa skany o wysokiej rozdzielczości. Chłopak i dziewczyna.

Wyglądali tak, jakby ktoś przyłożył im do pleców nóż i zmuszał do uśmiechu. Ewidentnie byli rodzeństwem. Pewnie nawet bliźniętami.

Uri kolejny raz wsunął ręce do kurtki. Po chwili wydobyl się z niej brząk kostek lodu wpadających do kieliszka i bulgot wlewanego alkoholu. Postawił na stoliku szklanę z Krwawą Mary.

Sealiah wzięła drink do ręki i oblizała sól z krawędzi kieliszka.

– Pojawiła się jednak drobna komplikacja – przyznał Uri. – W kancelarii spotkałem kierowcę. Upewniłem się, że pliki zostały zniszczone, zanim miał szansę je znaleźć, ale... myślę, że to intrygujący zbieg okoliczności.

– Kierowca – szepnęła Sealiah. – Co kierowca mógł robić w takim miejscu?

– Nic. Jeśli dobrze rozumiem pakt, nie wolno im mieszać się w nasze sprawy. Tak jak nam nie wolno mieszać się w ich. Jak już mówiłem, czysty zbieg okoliczności.

– Tak...

Znów spojrzała na zdjęcia dzieci. Było w nich coś znajomego. Powiększyła obraz, skupiając się na oczach chłopca. Wśród odcieni szarości, błękitu i zieleni w oknach duszy dziecka odbijało się coś, co wskazywało na

szlachetne pochodzenie. Przywróciła zwykłą skalę i przyglądała się fotografii tak intensywnie, że pomimo jej doskonałego wzroku obraz zaczął się zamazywać. Tak... Oczy chłopaka, szczupły, ale mocno zarysowany nos dziewczyny, wysokie kości policzkowe i wygięte w luk brwi obydwójga. Jak mogła to przegapić? Ktokolwiek próbował ukryć cechy ich wyglądu, zrobił to doskonale: udało mu się przemienić boskie w przeciętne.

Sealiah podniosła wzrok i zmierzyła Uriego zimnym spojrzeniem.

– Czy mamy jakieś nowe informacje na temat miejsca pobytu Louisa Pipera?

– Nie. Ostatni raz widziano go w Albuquerque. Mieszkał tam w kartonie.

– Tak...

Przejechała paznokciem po podbródku dziewczyny. W tych dzieciach było jeszcze coś niezwykłego, co nie miało związku z Louisem, ale wskazywało na równie potężną moc. Nie byli dwojgiem bachorów bez znaczenia. Byli nie tylko znaczący, ale też najprawdopodobniej bardzo cenni.

– Czy on ma z tym coś wspólnego? – Uri przysunął się, żeby lepiej widzieć ekran komputera.

To było możliwe. Mało, bardzo mało prawdopodobne, ale możliwe. Ale kiedy taka możliwość stanowiła jedyne dostępne wyjaśnienie zaistniałej sytuacji – pojawienia się w tym samym miejscu chłopaka i dziewczyny uderzająco podobnych do mężczyzny, który był kiedyś jej najpotężniejszym przeciwnikiem, i kierowcy pracującego dla tych, których potęgą dorównywała jej własnej – w żadnym wypadku nie należało jej ignorować.

I nie można też było zmierzyć się z nią w pojedynkę.

– Zwołaj spotkanie Zarządu.

– Przepraszam, pani. – Uri lekko parsknął śmiechem. – Wydawało mi się, że usłyszałem: „Zwołaj spotkanie Zarządu”.

Jej zielone oczy zmieniły się w szparki. Patrzyła na Uriego tak intensywnie, że nie mogło być mowy o nieporozumieniu.

– Mój rozkaz brzmiał dokładnie tak.

Uri cofnął się o trzy kroki.

– Jak zawsze zrobię, co tylko rozkażesz, pani, ale chciałbym przypomnieć, że Zarząd będzie się domagać daniny, jeśli zostanie zwołany przez kogoś, kto w nim nie zasiada.

– Wiem. Dopilnujesz osobiście, żeby był zadowolony.

Uri skłonił się nisko, więc nie widziała jego twarzy, ale Sealiah i tak wyczuła jego lęk.

– Będzie, jak mówisz, pani. A co z dziećmi?

– Znajdź je i nie spuszczaaj z oczu. Daj mi znać, kiedy tylko czegoś się dowiesz.

Uri był tak lojalny, jak tylko pozwalała na to jego natura. Ofiarowany w formie daniny dla Zarządu będzie jej oczami i uszami na ich zebraniach... Ale wiedziała, że strata go oznaczać niemal będzie utratę ręki. Nie miała jednak wyjścia, musiała go oddać. Ktoś musiał zawierać szemrane umowy i zadawać ciosy w plecy w jej imieniu.

Teraz musiała przygotować się na spotkanie z zarządem. Naostrzyć broń, naprawić zbroję.

Kolejny raz spojrzała na dzieci uśmiechające się z ekranu komputera. Przed każdym spotkaniem z

rodzeństwem trzeba było się starannie przygotować na rzeź i rozlew krwi.

CZEŚĆ II
RODZINA

PIES W ALEJCE

Sanitariusze zatrzasnęli za sobą drzwi karetki i ruszyli z alei na tyłach „U Ringo”. Eliot i Fiona odsunęli się na bok i patrzyli, jak samochód znika za rogiem. Zostali sami.

Eliotowi zrobiło się niedobrze. Przełknął ślinę, ale to nie za wiele pomogło. Wcześniej zapełniona restauracja opustoszała. Klienci uciekli, gdy tylko zobaczyli wijącego się na noszach Mike'a, jego owiniętą gazą rękę oraz poczuli zapach smażonego w głębokim oleju ciała. Ten swąd przykleił się też do Eliota i to właśnie on sprawiał, że robiło mu się niedobrze. W drzwiach od zaplecza pojawił się Johnny ze stosem niedojedzonych pizz pepperoni i resztek fettuccine Alfredo. Wrzucił to wszystko do pojemnika ze śmieciami i zatrzasnął z hukiem pokrywę. Odwrócił się do Fiony i Eliota.

– Dzwoniłem do właściciela. Najpierw pojedzie do szpitala, a później pojawi się tutaj, żeby rzucić okiem na kuchnię... Zobaczyć, jak dokładnie to się wydarzyło – powiedział, zdejmując rękawice. Jego twarz aż drżała z przejęcia. Wyglądał na wyczerpanego. – Nie widzieliście, na czym Mike się poślizgnął?

Czy Johnny myślał, że mieli coś wspólnego z tym wypadkiem? Eliot chciał, żeby Mike dostał nauczkę, ale między „chcieć” a „zrobić” była przecież duża różnica. Zresztą Mike dostał to, na co zasłużył. Eliot zawstydydził się

i poczuł suchość w ustach, bo i tak widział w tym, co się stało, symboliczne zadośćuczynienie ich upokorzeniom.

Fiona podeszła do Johnny'ego i położyła mu dłoń na ramieniu.

– To nie była twoja wina.

Dopiero teraz Eliot zrozumiał pytanie kucharza. Johnny martwił się, że to on ponosi odpowiedzialność za wypadek, bo Mike poślizgnął się na tłustej plamie, której on nie stał.

– Nikt nie może tego zrzucić na ciebie – Eliot potwierdził słowa siostry. – Utrzymujesz kuchnię w takiej czystości, że można by jeść z podłogi.

Johnny kiwnął głową, ale wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać. Jeśli w ogóle kogoś można by obwiniać, to samego Mike'a, pomyślał. To przecież on wyrzucił Johnny'ego z kuchni, zanim ten wytarł tę nieszczęsną plamę.

Johnny zadrżał i głęboko westchnął. Spojrzał na Fionę, potem na Eliota.

– Idźcie do domu. Restauracja będzie zamknięta do końca dnia.

Ruszył do drzwi kuchennych, po czym przystanął, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Zamiast tego jednak zatrzasnął je za sobą.

– Biedny Johnny – odezwała się Fiona.

– Myślisz, że ktoś będzie miał kłopoty?

Siostra odwróciła się do brata i wolno pokręciła głową.

Czy też o tym myślała? Że to oni byli wszystkiemu winni? Eliot nie mógł przegonić z głowy obrazów, które zobaczył w mydlinach, zanim-zdarzył się wypadek:

uśmiech, gromada kruków, ręka wijąca się z bólu, a potem roztapiająca się.

– Wracajmy do domu – powiedziała Fiona. – Babcia będzie się zastanawiać, dlaczego się spóźnimy. Z cienia wyszedł mężczyzna, szeleszcząc ubraniem. To był włóczęga ze skrzypcami, choć ku rozczarowaniu Eliota tym razem nie miał przy sobie instrumentu. Starzec otworzył pojemnik, pogrzebał w nim i wyciągnął kawałek pizzy.

Eliot po raz pierwszy zobaczył go wyprostowanego. Był wyższy, niż się spodziewał. Po bokach zwisały mu obszarpane poły zniszczonego płaszcza, ale trzymał się prosto, a kiedy odgarnął poślizki i poplątane włosy opadające na blizny po trądziku i zimną pizzę, w jego wyglądzie dostrzegł nawet coś majestatycznego.

Fiona prychnęła ze wstrętem, ale Eliot się nie ruszył. Chciał porozmawiać o muzyce, może nawet znów jej posłuchać.

– Wiecie – staruszek przerwał, by przełknąć. – Byliście bardzo dzielni.

Fiona zatrzymała się w pół kroku, odwróciła i splotła ręce na piersiach.

– Ta pizza, którą pan je. To jest kradzież.

– Jestem pewien, że będzie jej brakować na wysypisku. – Mężczyzna oderwał kawałek i spojrzał na sardynki i przypieczone ciasto. – Ach, chleb i ryby, nie ma lepszego posiłku. – Ugryzł i wciąż przeżuując, powiedział: – Czy wiecie, że pizza pochodzi z Neapolu? Zaczęto ją tam robić w pierwszym dziesięcioleciu XIX wieku.

– Nieprawda – głos Fiony natychmiast przybrał monotony ton wykładowcy. – Już Katon Starszy w swojej *Historii Rzymu* pisał o chlebie pieczonym z oliwą, ziołami i miodem. – Brew dziewczyny się uniosła. – To było w trzecim wieku przed naszą erą.

– Albo w siedemdziesiątym dziewiątym naszej ery – dodał Eliot, chcąc pokazać, że nie tylko siostra ma jakąś wiedzę. – Podobno niektóre sklepy w Pompejach można uznać za pizzerie.

Przez twarz starca przemknęła irytacja, ale zaraz w jego oczach zapaliło się rozbawienie.

– Świetnie. Jesteście tacy bystry. – Ugryzł kolejny kęs. – Czy wydaje się wam, że kiedy na Pompeje spadał parzący popiół – unióś jedną rękę nad głowę – ich mieszkańcy zajęci byli pochłanianiem ostatnich kawałków pizzy? Widziałem odlewy ciał Pompejańczyków. Żaden nie jadł w chwili katastrofy.

Eliot popatrzył na siostrę, która odwzajemniła jego spojrzenie. Jej usta były otwarte. Męczyzna oblizał tłuszcz z palców.

– Co przypomina nam o dzisiejszych wydarzeniach. Uratowaliście przyjaciela z pożaru. Powinniście być z siebie dumni.

– To nie był pożar – Fiona odpowiedziała niewyraźnie i opuściła wzrok.

– I to raczej nie był nasz przyjaciel – dodał Eliot.

– Tym więcej powodów do dumy. – Starzec wytarł nos. – Nawet doświadczeni lekarze nie mogą czasem znieść zapachu i widoku skóry odchodzącej od ciała jak rękaw przegniłego swetra. – Uśmiechnął się, pokazując żółte zęby i rozmiękczone ciasto.

Fiona wydała z siebie przytłumiony dźwięk. Przysunęła się do brata.

– Chodźmy stąd, ten gość jest dziwny – poprosiła.

To prawda, był dziwny i wzbudzał lęk. Ale jednocześnie fascynował Eliota. Już nie wyglądał jak ten przegrany człowiek, którego widywali codziennie po drodze do pracy. Było w nim nowe życie.

– Ta muzyka – powiedział, nieco przysuwając się do starca. – Melodia, którą grał pan dziś rano.

Fiona westchnęła z irytacją. Mężczyzna skupił wzrok na Eliocie. Jego groteskowo szeroki uśmiech przybladł.

– Pamiętasz?

– Czy pamiętam? Pewnie! – To był najlepszy urodzinowy prezent, jaki kiedykolwiek dostał – melodia zagrana specjalnie dla niego.

Eliot ją zanucił. Jego dłoń, naśladując ruchy palców na gryfie wymaglinowanych skrzypiec, a nawet drobne wibracje strun, wygrywała rytm na nogawce spodni, co wydało mu się głupie, gdyż nigdy w życiu nie miał nawet w ręku żadnego instrumentu. Spodziewał się, że starzec wybuchnie śmiechem, ale tak się nie stało. Oczy mężczyzny rozszerzyły się; uważnie obserwował ruchy palców chłopca.

– Mało kto potrafi to zapamiętać. To taka banalna melodia, wpada jednym uchem, wypada drugim, tylko przemyka przez głowę jak szlachetny odruch. – Pstryknął palcami i zmrużył powieki. – Ale ty rzeczywiście zapamiętałeś... A nawet więcej. – Mężczyzna przez dłuższą chwilę patrzył na Eliota, jakby podejmując jakąś decyzję. Wreszcie powiedział: – To dziecięca piosenka.

Nosi tytuł „Wrzawa śmiertelnych”. – Zerknął na Fionę. – Tobie też się podobała?

– Nie była najgorsza. – Wzrok dziewczyny prześlizgnął się po nich i zatrzymał na wylocie alei.

Eliot też tam spojrział.

U końca uliczki zobaczył obwąchującego powietrze psa – wysokiego jak dog niemiecki, ale masywnego jak rottweiler. Jego brązowa sierść zjeżyła się, a potężny pysk przesuwiał się w przód i w tył wzdłuż asfaltu, sapiąc i szukając jakiegoś tropu. Na szyi zwierzęcia błyszcząca obroża wysadzana górkami kryształami¹¹⁻¹².

Eliot wyobraził sobie, jak bestia chwyta go zębami i potrzasa jak zabawką dopóty, dopóki nie wypadnie z niego całe wnętrze. Instynkt nakazał mu uciekać. Natychmiast. Głupie myśli. Psa przyciągnął zapewne zapach resztek pizzy. To wszystko.

Ale starzec zrobił dwa kroki do przodu, stając między psem a Eliotem, i wyciągnął rękę do tyłu, wskazując chłopcu, by ten nie ruszał się z miejsca. Drugą ręką sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął poszarpaną gazetę i skierował ją w stronę zwierzęcia.

¹¹ „Benedyktyński mnich Kay Allenso kopał w świątyni wyroczeni umarłych w Kurne, szukając wejścia do świata podziemnego i jego bogactw. W końcu mu się udało, ale przejścia chroniły trzy psy. Jeden czarny jak noc, drugi złoty jak len i ziejący ogniem, a trzeci, największy, o najeżonej kasztanowej sierści i w obroży wysadzonej zielonymi kamieniami. Ostatnia bestia zmierzyła mnicha spojrzeniem tak bezdennym, że dusza Allenso się w nim utopiła. Mnich zdołał umknąć, ale stał się człowiekiem przeklętym” (ojciec Sildas Pobożny, *Opowieść przeklętego mnicha*, *Mythica improbiba*, *op.cit.*).

¹² „Gonią mnicha grzeszne psy/ gryzą, szarpią go ich kły/ błaga, prosi, wszystko na nic/ już zostanie tam w otchłani” - przetłumaczona (z greki) odrębna notatka pojawiająca się w *Mythica improbiba*, Kolekcja Książek Rzadkich Biblioteki Instytutu Taylora, Uniwersytet w Oksfordzie; Victor Golden, *Goldeną przewodnik...*, *op.cit.*

Eliot przekrzywił szyję, by więcej widzieć. Na gazecie nadrukowany był wzór wyglądający jak tuzin dowodów geometrycznych umieszczonych jeden na drugim. Im dłużej jednak chłopiec patrzył, tym więcej warstw się pojawiało. Między, nimi znajdowały się mniejsze znaki, między innymi litery greckie i pismo klinowe. Znaczenie całości jednak umykało Eliotowi.

Może to był tylko hologram, dwuwymiarowy obraz tworzący iluzję głębi, jeśli trzymało go się pod właściwym kątem? Eliot zamrugał i pulsujący wzór pojawił się po wewnętrznej stronie jego powiek.

Głowa psa podskoczyła do góry, a jego wzrok utkwiał w gazecie. Zwierzę jeszcze gwałtowniej wciągnęło powietrze. Strużka wilgoci pociekła mu z nozdrzy. Wreszcie potrząsnął pyskiem i odbiegł.

– Psy – zamruczał starzec pod nosem. – Z nimi nigdy nie dość ostrożności. Osobiście wolę koty.

Zwinął gazetę i odrzucił ją na bok, ale Eliot zdążył zauważyć, że wzory, które widział chwilę wcześniej, zniknęły. Mężczyzna znów skierował swoją uwagę na bliźnięta.

– O czym to rozmawialiśmy? O pizzy czy o muzyce?

Fiona przysunęła się do Eliota, szturchnęła go łokciem i wskazała głową na budynek „U Ringo”. Chłopak zauważył, że cienie w alei się wydłużyły. Chmura nad oceanu przykryła Del Sombłą jak koc i nad ich głowami rozciągało się ciężkie jak ołów popołudniowe niebo. Potrząsnął głową, próbując odzyskać jasność myśli. Czuł się zdezorientowany. To pewnie był szok spowodowany wszystkim, co się dziś wydarzyło. Czuł się też brudny;

jego ubranie wciąż było przesiąknięte potem, tłuszczem i smrodem spalenizny, którego miał nadzieję już nigdy więcej nie wahać.

– Musimy już iść – oznajmił. – Przykro mi, ale nasza babcia...

Fiona pociągnęła go za sobą, ale Eliot zdążył jeszcze dostrzec na twarzy mężczyzny zaciekawienie i zaskoczenie.

– Przekażcie moje uszanowanie – powiedział, robiąc niewielki ukłon, a potem odchodząc w stronę śmietnika. – Z pewnością wkrótce znowu się spotkamy.

Eliot na to właśnie liczył. I miał nadzieję, że następnym razem mężczyzna będzie miał przy sobie skrzypce.

Rodzeństwo szybko przeszło przez kuchnię restauracji, gdzie podłogę wciąż pokrywały plamy zastygłego tłuszczu. Eliot spostrzegł odcisk dłoni tam, gdzie wcześniej miotał się Mike, i szarpnęło nim nagle poczucie winy. Ale Fiona nie zatrzymała się, więc podążył za nią. Główna sala była pusta, rzecz niespotykana o tej porze dnia. Częściowo uprzątnięte stoły sprawiały, że pomieszczenie wyglądało jak nawiedzone przez duchy.

Johnny stał przy głównym wejściu, zamykając drzwi na klucz.

– Do zobaczenia jutro – powiedziała Fiona.

– Jasne – Johnny pokręcił głową. A gdy wyczuł, że Eliot chciał go jeszcze raz zapewnić, że to, co się stało, nie było jego winą, przejechał dłonią przez włosy chłopaka i dodał: – Idź do domu, amigo. Nie martw się, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Eliot przytaknął, pomachał mu i razem z siostrą

wyszedł z restauracji.

Skręcili w Midway Avenue. Gdy Eliot przyspieszył, by nadażyć za siostrą, w jego tenisówkach zaczął kłaskać olej i chłopiec dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Fiona wciąż ma na sobie ciężki fartuch i firmową koszulkę. Nie zdjęła niczego pewnie dlatego, że jej ubranie również było przesiąknięte tłuszczem. Przewidywał więc, że kiedy dotrą do domu, oboje rzuca się do prysznica.

Słońce przebiło się przez chmury i cytrynowozłote promienie zdawały się grać z sobą w berka na ulicy.

– Myślisz... – zaczął Eliot.

– Tak – stwierdziła krótko Fiona. – Udało nam się schłodzić ramię, zanim oparzenie wdało się zbyt głęboko. – Zwolniła, niemal się zatrzymała. – Ale zostaną blizny. Aż do samego łokcia.

– Dziwne to – wyszeptał Eliot.

– Co jest dziwne? – W jej głosie zabrzmiała niepewność. Odwróciła się do niego, a zmartwienie pokryło jej czoło siecią zmarszczek.

– Dzisiaj? Wszystko. Książki od babci, muzyka, którą grał ten włóczęga, wypadek w restauracji.

Fiona zaczęła obgryzać paznokcie.

– Czy ty... To znaczy, wiesz, ja chciałam, by coś złego przydarzyło się Mike'owi.

Eliot kiwnął głową.

– Ja też. Ale nic złego nie zrobiliśmy. On się poślizgnął. To wszystko.

– Ale to była jego prawa ręka. – Fiona wyjęła palec z buzi i zaczęła nerwowo zaciskać dłonie.

Eliot zobaczył w wyobraźni ramię Mike'a i

przeszedł go dreszcz – ręka kierownika była poparzona dokładnie do miejsca, w którym wcześniej ścisnął Fionę.

– I co z tego? – powiedział. – Jest praworęczny. To naturalne, że właśnie tę rękę wyciągnął, by zamortyzować upadek.

Fiona wciąż miała niewidzące spojrzenie.

– To najgorsze urodziny w moim życiu. – Spuściła wzrok. – Założę się, że jak wrócimy do domu, babcia coś wymyśli. Dodatkową pracą domową za spóźnienie, nową regułą za zniszczenie ubrań... To wszystko jest tak bardzo niesprawiedliwe.

Eliot też czuł nadciągającą burzę. Wyobrażał sobie dwa razy większą niż zwykle liczbę wypracowań i zadań z geometrii. A najgorsze było to, że jutro będą musieli wrócić do pracy i spędzić dzień w kuchni, wdychając ten sam smród spalenizny. Jeśli tak miał wyglądać pierwszy dzień jego życia po skończeniu piętnastu lat, wolałby, żeby jego urodziny w ogóle nie nadeszły.

Nie wiedział, jak przegonić ponury nastrój, postanowił więc spróbować dokuczyć siostrze i przynajmniej w ten sposób oderwać się od nieprzyjemnych myśli. Otworzył usta, by nazwać Fionę *Orycteropus afer* – z powodu jej pociągłej twarzy. To nie była trudna zagadka. Mrównik, zwany również aardvarkiem, znajdował się na początku niemal każdego słownika, jaki wpadł im w ręce. Ale zanim Eliot się odezwał, coś innego zwróciło jego uwagę. Na rogu ulic Midway i Vine, jakieś pięćdziesiąt metrów za nimi, skradał się psi cień. Należał do tej samej bestii, która pojawiła się w alejce na tyłach restauracji.

Fiona zerknęła do tyłu i też go zobaczyła. Pies

cicho warczał, sunął nosem po asfalcie i zostawiał za sobą plamy śliny.

– Chodźmy – powiedziała dziewczyna i przyspieszyła kroku, oddalając się od zwierzęcia. – Nie biegnij, tylko sprowokujesz go do pogoni.

Eliot znalazł się tuż przy siostrze. Promień słońca na chwilę wychynał zza chmur i zaraz z powrotem się schował. Sylwetka psa rzucała wiele cieni, każdy pod innym kątem, sprawiając wrażenie, jakby zwierzę miało tuzin łbów¹³. Ktokolwiek był jego właścicielem, powinien go trzymać uwiązane. Tak wielkie zwierzę łatwo mogło kogoś skrzywdzić. Oczywiście wyobraźni Eliot znów zobaczył, jak bestia chwyta go w potężne szczęki i potrząsa nim.

Pies uniósł łeb, dostrzegł ich i natychmiast przyspieszył, wciąż węsząc, ale tym razem już w powietrzu.

– Biegiem – wyszeptał Eliot. – Zdażymy. Już prawie jesteśmy w domu.

Od budynku, w którym mieszkali, dzieliło ich niecałe sto metrów. Mogliby zatrzaskać stalowe drzwi tuż przed łbem bestii.

Fiona kiwnęła głową i zaczęli biec.

Pies zaskrobał pazurami po asfalcie, szukając punktu zaczepienia, i pognął za nimi.

Był szybszy, niż Eliot przewidywał. Dystans

¹³ Cerber to legendarny trzygłowy pies strzegący wejścia do piekieł. Niektóre wersje mitu mówią nawet o pięćdziesięciu czy stu głowach bestii. Współcześnie mit ten wciąż funkcjonuje, choć w nieco zmienionej wersji; występuje w nim jednogłowy brązowy lub czarny pies - zwiastun śmierci albo nieszczęścia dla każdego, kto go zobaczy (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne*, op.cit.).

między nimi połykał niczym chart. Kiedy znalazł się na granicy cienia rzucanego przez budynek obok, zamigotał, a jego brązowa sierść doskonale wtopiła się w mrok, jakby zniknął. Ale po chwili znów się pojawił.

Eliot potknął się i upadł na kolano, zdzierając sobie skórę. Poczul przeszywający ból i cała noga mu zdrętwiała. Wciąż biegnąc, Fiona złapała go i pomogła wstać. Pies był już tylko dziesięć metrów za nimi. Teraz nie mieli szans, by przed nim uciec.

– Biegnij! – Eliot wy dyszał do siostry. – Będę tuż za tobą.

– Nie ma mowy.

Pies jeszcze przyspieszył. Zawarczał, przeczuwając, że pościg się kończy i zdobycz zaraz znajdzie się w zasięgu jego łap. Ale nagle poślizgnął się, jego pazury zaszorowały po ulicy i bestia się zatrzymała. Zwierzę wciągało w nozdrza powietrze, raz po raz unosząc i opuszczając potężny łeb.

– Won! – krzyknęła Fiona.

Pies spojrział wprost na nią, a jego oczy rozbłysły czerwienią, gdy odbiło się w nich światło. Eliot nie mógł uwierzyć, że jego siostra miała tyle odwagi. Ale skoro ona potrafiła stanąć naprzeciwko tej bestii, on też mógł to zrobić.

– Do domu! – zawołał.

Pies zwrócił ślepią w stronę Eliota – choć zdawał się patrzeć gdzieś dalej, jakby poprzez chłopaka. Potem zamrugał, zaszczekał, szybko odwrócił się i wreszcie uciekł.

Eliot odprowadzał go wzrokiem, niedowierzając, że bestia poddała się tak łatwo. Ulga rozlała się po całym

jego ciele. Pokuśtykał w kierunku domu podtrzymywany pod ramię przez Fionę. Po kilku krokach mógł już się poruszać zupełnie samodzielnie. Kolano wciąż wprawdzie dokuczalo, ale ból powoli mijał.

W cieniu przed ich domem stał tajemniczy, czarny jak noc samochód. Właśnie z powodu ciemnego koloru Eliot zauważył go dopiero teraz. Chłopak ocenił, że jest wielki jak limuzyna (choć nigdy wcześniej nie widział żadnej na własne oczy), ale dostrzegł też niskie zawieszenie samochodu wyścigowego. Przesunął wzrokiem po błyszczącej karoserii. Ustawiony na luzie silnik cicho mruczał. Przyciemnione tylne okno zaszumiało i zamknęło się. Czy przez cały ten czas ktoś ich obserwował?

– Chodźmy wreszcie do domu – powiedziała Fiona.

Eliot zdał sobie sprawę, że być może to jednak nie oni zatrzymali szarżującego psa, lecz ktoś, kto znajdował się w tym samochodzie.

Z jakiegoś powodu bardzo go to zmartwiło.

SREBRZYSTY WUJEK

Fiona otworzyła drzwi do mieszkania i natychmiast zapomniała o Mike'u, psie i starym mężczyźnie z alejki. Już w progu wyczula, że coś się zmieniło.

Kiedy miała trzy lata, Cecilia przyniosła do domu stertę książeczek z parami niemal identycznych obrazków i umieszczonym poniżej poleceniem: „Znajdź różnice”. Eliot łatwo wskazywał brakujące elementy, natomiast Fiona miała talent do dostrzegania drobnych zmian – na przykład we wzorze na zasłonie. Teraz stanęła w przedpokoju, wyczuwając jakąś odmianę tego typu w mieszkaniu.

– Cee?! – zawołała.

Nikt nie odpowiedział.

Stół w jadalni był pusty. Tort, obrus, wstęga, nawet podarowane im rano książki zniknęły. Białe oraz drewniane panele na podłodze wokół stołu zostały świeżo wypolerowane. Na regale z książkami, wysoko, tuż obok okna, znajdowała się jednak odrobina lukru z tortu – wyschniętego i już nie truskawkoworóżowego, lecz rubinowoczerwonego. Dziwne, że Cee ją przegapiła. Gdy Fiona podeszła bliżej i ostrożnie wyciągnęła dłoń w stronę płamy, w drzwiach prowadzących do kuchni ukazała się Cee, która dysząc z wysiłku, dźwigała wielkie tekturowe pudło.

– O – powiedziała, mrugając. – Jesteście.

– Wezmę to – zaproponował Eliot i odebrał od niej paczkę.

Natychmiast ugiął się pod jej ciężarem. Z trudem odwrócił się i położył ją na stole. Załomotało. W środku były książki.

– Spóźniliśmy się – przyznała Fiona. – Przepraszamy.

Mieli wrócić do domu na wpół do piątej, czyli ponad trzydzieści minut temu, Cee jednak była tak rozkojarzona, że nawet nie zauważyła ich przesiąkniętych olejem ubrań. Zerknęła na zegar wahadłowy w przedpokoju, a potem na wciąż uchylone drzwi.

– A, tak, faktycznie, spóźniliście się.

Podeszła do drzwi, zamknęła je i przekreśliła klucz w zamku. Potem odwróciła się i klasnęła w dłonie.

– Babcia i ja mamy dla was kolejną niespodziankę. – Po jej wąskich ustach przemknął uśmiech.

– Jaka? – zapytała Fiona.

– Podróż. Wyjedziemy stąd na jakiś czas.

– Dokąd? – zaciekawiał się Eliot. – I co będzie z naszą pracą?

Uśmiech Cee zgasł.

– Ach, pytania... A to ma być przecież niespodzianka z okazji waszych urodzin. Spodoba się wam. I wrócimy za niedługo. – Nawet nie wspomniała o pracy w restauracji.

Wrażenie zmiany, jaka dokonała się w mieszkaniu, jeszcze się w Fionie pogłębiło. Mocno się skupiła, jak wtedy gdy wypatrywała różnice na obrazkach, i zdała sobie sprawę, że pokój wyglądał tak, jakby z chirurgiczną precyzją coś z niego wycięto. Mrugnęła i wrażenie minęło,

ale zaraz dostrzegła kolejną niepasującą rzecz: okruszek tortu na podłodze.

Cee podążyła za jej wzrokiem.

– Ależ jestem niezdarna. – Pochyliła się i podniosła okrusz. – A teraz idźcie się spakować. Naszykujcie sobie ubrania na trzy dni. I nie zapomnijcie o szczoteczkach do zębów. – Wręczyła każdemu po złożonej papierowej torbie na zakupy.

Fiona rozwinęła swoją. Torba miała jej służyć za walizkę.

– Kiedy wyjeżdżamy? – zapytał Eliot.

– I gdzie jest babcia? – dołączyła się Fiona.

– Wkrótce – zwróciła się do Eliota Cee. – A babcia zajęta jest ostatnimi przygotowaniami.

– Muszę wziąć prysznic – zamruczał Eliot pod nosem i ruszył w stronę łazienki.

Fiona spojrzała na prababcie, licząc na więcej informacji, ale Cee tylko uśmiechnęła się szerzej, ignorując nieme pytania. Fiona ruszyła więc za bratem.

– Różnica – rzuciła w stronę Eliota.

Ten przystanął.

– Parzyste – westchnął.

– OK. Raz, dwa, trzy...

– Siedem.

W tej samej chwili Fiona powiedziała:

– Trzy.

Eliot uśmiechnął się z wyższością. Różnica wynosiła cztery, a cztery było liczbą parzystą. Wygrał. Nućąc, wszedł do łazienki.

– Będę się spieszył! – zawołał przez drzwi.

Fiona zastanawiała się, czy brat zostawi jej choć

trochę ciepłej wody. Wyciągnęła z szafy najbardziej zniszczony ręcznik, tak zużyty, że było przez niego widać na wylot, i wytarła nim poplamione olejem włosy, zbierając najgorszy brud. Następnie weszła do swojego pokoju, zamknęła za sobą drzwi i włączyła lampkę w rogu. Jedyne okno w pomieszczeniu zostało zabudowane półkami z książkami. Widok rzędów zadrukowanych grzbietów zazwyczaj Fionę uspokajał, ale dziś ją przytłaczał. Przeszła obok globusa i zakręciła nim.

Ściągnęła fartuch i koszulkę, zaczęła zdejmować sukienkę. Powoli odklejała przywierającą z powrotem do skóry różową tkaninę. Gdy wycierała się ręcznikiem, kątem oka zobaczyła swoje odbicie w stojącym na komodzie lusterku. Jej skóra błyszczała, włosy, zazwyczaj niesfornie poskręcane, ułożyły się w loki. Przez chwilę pomyślała, że wygląda normalnie, a nie jak uosobienie dziwaczności. Obróciła głowę w prawo i w lewo, zafascynowana widokiem swoich włosów, ciemnych, długich, połyskujących jak czarne wstążki i kontrastujących z jej bladą oliwkową cerą. Nawet jej twarz nie wydawała się zbyt długa. Wyglądała niemal ładnie. Czy to naprawdę było możliwe? Choćby na chwilę? Choćby tylko w tym świetle?

Zanim mogła odpowiedzieć sobie na to pytanie, włosy opadły jej na twarz, rujnując całe wrażenie.

Fiona zmieniła bieliznę, a potem wsunęła na siebie szare spodnie od dresów i koszulkę. Pilnowała się, by nie zerknąć znów w lusterko. Chciała zapamiętać chwilę, kiedy łudziła się, że wygląda normalnie. Z głębokim westchnieniem wybrała ubrania na podróż i zapakowała je do papierowej torby. Sięgnęła też po gumkę zawiniętą

wokół gałki u komody, która wcześniej ścisnęła pęczek szparagów. Purpurowy pasek ładnie wyglądał na jej skórze. Musiała jednak zachować ostrożność i pamiętać o regule 49.

Reguła 49: Pierścionki, łańcuszki, medaliony, amulety i wszelkie inne ozdoby wykonane z metalu, drewna, kości czy imitujących je sztucznych tworzyw i mogące być uznane za biżuterię są zabronione (kolczyki i przekłuwanie ciała również, chyba że zostało zalecone przez licencjonowanego akupunkturzystę).

Czasem brała z sobą gumkę do pracy i nosiła ją jak bransoletkę, świadomie łamiąc ten przepis. A wtedy czuła się jak buntowniczka.

Zawinęła teraz gumkę wokół kłębka skarpetek, by trzymały się razem i na wypadek, gdyby babcia zapytała, do czego jest jej potrzebna. Nie będzie musiała wtedy kłamać, najwyżej nie powie całej prawdy.

Ciekawe, dokąd pojedą. Podeszła do swojego staromodnego globusa z pożółkłymi od starości oceanami i wypłowiałymi polarnymi lodowymi czapami. Alaska nazywała się na nim jeszcze Rosyjską Ameryką, Hawaje – Sandwich Islands, a połowę Teksasu pokrywały paski oznaczające terytorium sporne – Stany Zjednoczone przejęły go przecież dopiero w 1845 roku.

Uwielbiała ten globus. Przejechała delikatnie dłonią po jego zakrzywionej powierzchni. Miała nadzieję, że niespodziewana podróż z okazji ich urodzin oznacza daleki wyjazd. Palce ominęły Amerykę i zatrzymały się w

południowej Europie. Marzenia.

W rzeczywistości chodziło pewnie raczej o weekendową wycieczkę do San Francisco, co i tak byłoby znacznie lepsze niż stara, zatechła Del Sombra.

Wiedziała, że będzie potrzebować szczoteczki do zębów, wyszła więc na korytarz i zobaczyła, że Eliot wyjątkowo szybko zwolnił łazienkę. Chmura pary unosiła się pod sufitem, dając Fionie niewielkie szanse na to, że w kranie będzie jeszcze gorąca woda. Złapała szczoteczkę i wsunęła ją do torby.

Zza drzwi wejściowych do mieszkania dobiegło pukanie: cztery uprzejme stuknięcia. Fiona zamarła, czekając, aż Cee jak zawsze otworzy.

– Cee?! – zawołała.

Znów cztery stuknięcia.

Fiona podeszła do drzwi, przekręciła zamek i otworzyła. Po drugiej stronie stał mężczyzna. Był wysoki i szczupły, w szarej sportowej marynarce i czarnym golfie. Wyglądał mniej więcej na równolatka babci, a krótko przystrzyżone po bokach srebrne włosy opadały mu na czoło. Uśmiechnął się do Fiony, jakby ją znał. Dziewczyna opuściła głowę.

– Babci nie ma w domu, proszę pana. Powinna wrócić za kilka minut.

– Oczywiście. – Jego głos był miękki jak aksamit. – Ale ja nie przyszedłem spotkać się tylko z twoją babcią, Fiono. Przyszedłem też odwiedzić ciebie i twojego brata.

Fiona uniosła wzrok. Trzy rzeczy natychmiast przyciągnęły jej uwagę. Po pierwsze, intensywność spojrzenia jasnoszarych oczu gościa przypominała spojrzenie jej babci. Ale wzrok Audrey był ostry jak

brzytwa, podczas gdy przenikliwość spojrzenia mężczyzny miała też w sobie coś przyciągającego. Fiona zdała sobie sprawę, że gapi się na nieznanego już znacznie dłużej, niż wypadało, ale po prostu nie umiała się powstrzymać. Po drugie, widok gościa natychmiast przywołał jej na myśli pana Welmanna, który odwiedził ich rano. Fiona zupełnie o nim zapomniała. Ciekawe, o czym rozmawiał z babcią? I wreszcie po trzecie, mężczyzna w jakiś sposób przypomniał jej włóczkę, który grał tego ranka dla nich na skrzypcach – był dokładnym przeciwieństwem tamtego; wytworny i pachnący korzenną wodą kolońską. Fiona rzadko miała okazję poznać kogoś nowego, a dziś spotkała aż trzech obcych mężczyzn.

– Do trzech razy sztuka – odezwał się gość.

Fiona zamrugła zaskoczona.

– Słucham?

– To trzecie drzwi, do których pukam.

Przypuszczałem, że Audrey wybierze któreś z mieszkań na samej górze, i nie myliłem się.

Fiona nie mogła się powstrzymać, by nie uśmiechnąć się do mężczyzny. Jej policzki pokrył rumieniec, ale nie odwróciła spojrzenia, jak zawsze robiła w podobnych sytuacjach. Miała wrażenie, że spotkała starego przyjaciela, choć przecież nie miała starych przyjaciół i wcale nie wiedziała, jak to jest spotkać kogoś takiego.

– Mogę wejść? Jestem twoim wujkiem. Nazywam się Henry Mimes¹⁴.

¹⁴ Henry Mimes (alias Horatio Mimes, H.M. Seers, Hernandez del Moro), rzekomy wujek rodzeństwa Postów, widoczny jest na setkach zdjęć paparazzich, na których obejmuje modelki i gwiazdki ekranu czy stoi ramie w ramie z potentatami przemysłowymi i dyktatorami świeżo ustanowionych

Babcia nigdy nie wspomniała o żadnych wujkach, ciociach czy kuzynach, ale Fiona wiedziała, że ten człowiek mówi prawdę. W jaki inny sposób można było wytłumaczyć fizyczne podobieństwo do Audrey, a także wrażenie przepełniające Fionę, iż zna go od dawna?

Odsunęła się, robiąc mu przejście.

– Oczywiście, proszę do środka.

Normalnie nie wolno było wpuszczać obcych ludzi do mieszkania, ale tym razem Fiona nie miała żadnych wątpliwości. Mężczyzna, który przedstawił się jako jej wujek – i, o czym była przekonana, był jej wujkiem – promieniował pewnością siebie i serdecznością. Po prostu nie mogła pozwolić mu czekać na korytarzu.

Gdy przekraczał próg, chmury za oknami rozsunęły się i srebrne światło zalało mieszkanie. Spojrzał na Fionę.

– Wyglądasz zupełnie jak twoja matka, kiedy była w twoim wieku. Jej włosy kręciły się dokładnie w ten sam sposób, co wszystkich chłopaków doprowadzało do szaleństwa. Muszę jednak przyznać, że ty jesteś jeszcze bardziej urocza.

Na twarzy Fiony rozlało się ciepło, zupełnie jakby miała gorączkę. Chciała opuścić wzrok, ale wujek Henry uśmiechnął się, sprawiając, że poczuła się całkiem swobodnie, a jej zażenowanie zniknęło.

– Znałeś moją matkę? – To chyba była najgłupsza

tropikalnych republik. Wielokrotnie przesłuchiwany przez Interpol i FBI nigdy nie został formalnie o nic oskarżony. Dochodzenie urzędu skarbowego wykazało, że zajmował kierownicze stanowiska w setkach fikcyjnych spółek, które stanowiły przykrywkę do obracania pieniędzmi. Jego wiek i narodowość pozostają nieznanne. Jedyna rzecz, którą z pełnym przekonaniem można o nim powiedzieć, to to, że Henry Mimes jest nieuchwytny i nieprzewidywalny (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XI, *Mit rodziny Postów*, *op.cit.*).

rzecz, jaką dziś powiedziała. Pewnie, że ją znał. Był jej bratem.

Wujek Henry uśmiechał się wciąż tak samo szeroko, choć Fiona wyczuła w jego nastawieniu jakąś drobną zmianę.

– O, tak, byliśmy sobie bardzo bliscy – powiedział po chwili.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Jego gładka twarz na chwilę zmarszczyła się, jakby coś go zaskoczyło.

– Więc mieszkacie tu z babcią? Babcią Audrey?

Pytanie wprowadziło Fionę w zakłopotanie. Jeśli mężczyzna był ich wujkiem, oznaczało to, że babcia była jego matką. A to z jakiegoś powodu przejęło ją dreszczem. Jak to możliwe, by ktoś nie wiedział, gdzie mieszka jego matka?

Swobodnie machnął ręką, tym samym dusząc w zarodku jej wątpliwości.

– Widzę, że nie rozumiesz. Znamy się z twoją babcią od bardzo dawna, ale nie tak, jak myślisz. Twoja matka jest moją siostrą przyrodnią. Ten sam ojciec, różne matki.

Usta Fiony ułożyły się w doskonały okrąg. Dziewczyna nic nie powiedziała, choć w jej głowie pojawiły się tysiące nowych pytań. Tymczasem on wyraźnie czekał na jakieś jej słowa.

– Proszę usiąść – zaproponowała. – Mogę przynieść coś do picia. Mamy mleko i sok.

– Dziękuję, nie trzeba. Piłem, i to sporo, w trakcie jazdy tutaj.

Drzwi kuchenne otworzyły się i wujek Henry odwrócił się w ich stronę. Zobaczył Cee i wykrzyknął:

– Cecilia! – Przysunął się i objął staruszkę.

Cee zeszytniała w jego ramionach. Jej usta i oczy były szeroko rozwarte. Uwolniła się z jego uścisku.

– Ty... !

Przyłożył palec do warg.

– Ani słowa więcej, droga pani wyspy Eea. Pozwól nam się cieszyć ponownym spotkaniem.

Cee zamknęła usta, a jej oczy się zwięzły.

– Wyglądasz tak, jak cię zapamiętałem – zagruchał wujek Henry. – Nie postarzałaś się nawet o jeden dzień, a przecież minęło... Ile to już lat? Dziesięć?

– Szesnaście – wyszeptala Cecilia. – Audrey wkrótce tu będzie, głupcze. Proponuję, żebyś wyszedł.

Wesołość znikła z twarzy wujka i temperatura w pokoju jakby spadła. Henry przekrzywił głowę i spojrzał za plecy Cecylii, regał z książkami i zakrzepłą plamę truskawkowego kremu. Dotknął jej, a następnie przysunął palce do nosa.

– Czyżby? – zaśmiał się, wytarł palce w chusteczkę i położył rękę na ramieniu Cecylii. – Prawdziwa z ciebie żartownisia i za to też cię uwielbiam.

Ale Cee wcale nie żartowała. Coś było nie tak. Fiona przesunęła się w stronę drzwi wejściowych, robiąc przejście dla Eliota, który właśnie wynurzył się ze swojego pokoju i podszedł do niej.

– Słyszałem głosy... – Wbił zaskoczony wzrok w wujka Henry'ego.

– To nasz wujek – wyjaśniła Fiona.

Eliot spojrzał siostrze w oczy i dostrzegł w nich niepewność. Wujek Henry odwrócił się i jego twarz na nowo pojaśniała.

– Eliot!

Wziął rękę chłopca w obie dłonie i potrząsnął nią, jakby witał się ze swoim najlepszym przyjacielem.

– Eee... Dzień dobry panu – wydusił z siebie Eliot.

– Ależ proszę! Jeśli już naprawdę musisz być taki formalny, mów do mnie panie Henry, choć wolałbym wujku Henry lub po prostu Henry. Mam tak nieliczną rodzinę. Niewielu ludzi może się do mnie w ten sposób zwracać. Byłby to dla mnie wielki zaszczyt.

Jego zaraźliwa wesołość rozbroiła chłopaka i już uśmiechał się szeroko do gościa.

– Nie bez powodu masz małą rodzinę – prychnęła Cecilia.

Fiona chciała wierzyć wujkowi Henry'emu, ale oczywiście Cee ufała bardziej. Dłoń prababci uniosła się ku szyi i osłoniła ją – gest ten Cecilia wykonywała tylko wtedy, gdy babcia była z niej niezadowolona. A więc coś było bardzo nie w porządku.

– Mimes – powtórzyła Fiona. – Czy to francuskie nazwisko?

– Nasza rodzina pochodzi z Francji – oznajmił wujek. – Ale nie tylko. Naszych kuzynów, ciocie i wujków można znaleźć we wszystkich zakątkach świata.

Fiona zamrugwała.

– Mamy dużą rodzinę?

– Znasz ich? – zapytał Eliot. – Znałeś naszą mamę i tatę?

Henry przekrzywił głowę, namyślając się.

– Tak – wyznał wreszcie. – Choć waszego ojca – wzruszył ramionami – już nie tak dobrze. Ich miłość wywołała prawdziwy skandal. – Rzucił figlarne spojrzenie

w stronę Cee. – Chcecie usłyszeć, jak się poznali? –
Sięgnął po krzesło i usiadł.

– Nie – powiedziała Cee. – Nic im nie mów.

– Dlaczego nie? – zapytała Fiona.

Być może przecucie, że coś było nie w porządku,
wiązało się z tym, iż nikt nigdy nie opowiadał im o
rodzinie. Fiona chciała się czegoś dowiedzieć, nawet jeśli
oznaczałoby to sprzeciwienie się Cecilii... a nawet babci.

Wujek Henry odwrócił głowę ku Cecilii.

– Właśnie. Dlaczego mam tego nie mówić?

– Ja... – Cee cofnęła się o krok.

– Aaa – westchnął wujek uspokajająco. – Widzicie?

Nie ma żadnego powodu, by tego nie robić.

Cecilia złożyła ręce na piersi, ale już nie
protestowała.

– Więc opowiadaj – zachęciła Fiona.

Wujek Henry zatarł dłonie.

– Wszystko wydarzyło się w Wenecji wiele lat
temu, podczas karnawału. To było huczne świętowanie, z
tańcami i muzyką na ulicach, z zabawą, która trwała
całymi dniami i nocami. Wszyscy nosili maski – niektórzy
proste, skórzane, inni zdobione złotymi liśćmi, srebrnym
pyłem, drogimi kamieniami i piórami egzotycznych
ptaków. To właśnie w trakcie tego karnawału po raz
pierwszy spotkali się wasi rodzice, każde z nich w
przebraniu. – Dla lepszego efektu uniósł dłoń i ukrył twarz
za rozcapierzonymi palcami.

Urzeczona opowieścią Fiona niemal słyszała hałas i
śmiech ludzi na ulicach oraz chłupotanie wody w
kanałach.

– Jak już wspomniałem – ciągnął wujek Henry –

waszego ojca nie znałem tak dobrze jak matkę, ale wiem na pewno, że świetnie się prezentował. Grywał w polo i zawsze ubierał się bardzo elegancko. Mówią, że jego uśmiech miał w sobie nieodpartą tajemniczość. I, choć to są tylko wiadomości z drugiej ręki, podobno żadna kobieta nie potrafiła się oprzeć jego spojrzeniu. – Wzrok wujka nieco zmętniał, jakby zapatrzył się w jakieś odległe miejsce, aż wreszcie z powrotem zyskał na ostrości. – Kobiety miały do niego słabość, co – jak przypuszczam – czasem powodowało problemy.

– W jaki sposób to może być problemem? – zapytał Eliot.

– Wyobraź sobie, że zawsze podobasz się każdemu, kogo tylko spotkasz. Już od pierwszej chwili. Wyobraź sobie, że ludzie zakochują się w tobie ze względu na kształt twojego nosa lub sposób, w jaki zaczesujesz włosy. Nie, on musiał czuć się samotny, gdyż żadna kobieta nie potrafiła wejrzeć w jego serce, pragnienia i marzenia. – Henry lekko uderzył się w pierś. – Tak więc wasz ojciec przybył na karnawał zamaskowany. Ukrył twarz i uśmiech, by nie zwracać na siebie uwagi, ale tłum go przyciągał. Szukał towarzystwa. Wtedy to spotkał waszą matkę.

– Czy ona też była piękna? – zapytała Fiona.

Henry westchnął.

– Tak piękna, że nie potrafię tego wyrazić zwykłymi słowami. Mężczyźni pojedynkowali się o to, by móc poprosić ją o rękę. Oczywiście wszystkim po kolei odmawiała. Sekretni adoratorzy zasypywali ją anonimowymi prezentami, ale dla niej to nic nie znaczyło. Miłość miała za rzecz błahą, a zakochanych – za zwykłych

głupców.

Fiona oddałaby wszystko, by dostać podarunek od sekretnego wielbiciela. Choć jeden jedyny raz. Jakie to musi być uczucie: znaleźć się w centrum czyjegoś świata?

– Jeśli faktycznie tak myślała – odezwała się – dlaczego w ogóle brała udział w zabawie?

– Chociaż nie wierzyła w miłość, bardzo chciała jej doznać – wyjaśnił Henry. – Kierowała się intelektem, była bardzo zdecydowana, ale też bardzo samotna. Kiedyś wyznała mi, że chodzi na przyjęcia, by obserwować, jak ludzie zakochują się w sobie, zdumiewać się brakiem ich rozsądku, ale także zazdrościć im szczęścia... Nieważne jak ulotnego. – Wyraz smutku przemknął po jego twarzy. Henry nachylił się do przodu. – Myślała, że nigdy tego nie zrozumie, a cóż dopiero doświadczy. Ale się myliła.

Fiona i Eliot usiedli na podłodze jak najbliższej gościa.

– Spostrzegła waszego ojca w trakcie balu. Siedział i przyglądał się innym dokładnie tak jak ona. Spośród wszystkich obecnych na sali tylko oni dwoje nie przyłączyli się do zabawy... Wtedy on też ją zauważył i podszedł bliżej. Widział wcześniej, jak odmawiała wszystkim proszącym ją do tańca, więc wyjaśnił, że pragnie tylko z nią porozmawiać, a być może także dowiedzieć się, dlaczego tylu ludzi zachowuje się jak idioci. Zgodziła się i wkrótce odkryli, jak dużo mają wspólnego: wyznawali podobną filozofię, oboje podróżowali po całym świecie i posługiwali się wieloma językami i oboje, choć byli obiektami miłości wielu, sami nigdy nikogo nie pokochali. Przechadzali się po wybrukowanych uliczkach, pływali gondolami i patrzyli

na kochanków, ale już się z nich nie wyśmiewali, lecz rozmyślali, dlaczego ludzkie serce tak łatwo daje się pochwycić... I ostatecznie złamać.

Zatrzymali się w małej kafejce nad brzegiem Canal Grande, gdzie popijali kawę z odrobiną mięty. Na niebie świecił księżyc, a gwiazdy krążyły po swoich orbitach. W powietrzu unosił się zapach rosnących nieopodal cytryn. Kiedy w wodzie odbiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca, wasz ojciec delikatnie zdjął maskę z jej twarzy, a ona w ten sam sposób odsłoniła jego twarz. Popatrzyli sobie w oczy. Dyskusja o przygodach serca, dzieleniu się samotnością i szukaniu bratniego intelektu i duszy urwała się w jednej chwili. I przez przypadek stało się to, co byłoby niemożliwe, gdyby świadomie to zaplanowali: zakochali się.

Fiona zakołysała się na piętach, zahipnotyzowana opowieścią.

– Co było później? Pobrali się?

– Chyba tak, w Paryżu – powiedział Henry, wracając pamięcią do dawnych wydarzeń. – Ale nie znam całej historii.

Fiona zerknęła na brata z niedowierzaniem w oczach.

– Jak to możliwe, że jej nie znasz? – zapytał ten.

Wujek Henry westchnął.

– W tym miejscu historia się komplikuje. Rodzina waszego ojca i nasza niezbyt się wtedy lubiły. A właściwie w porównaniu z tym, jak się wzajemnie traktowały, niesnaski rodów Montecchich i Capuletich z *Romea i Julii* wyglądają jak wzór przyjaznych stosunków towarzyskich. Istniała umowa, że żadna strona nie będzie

się mieszać do interesów drugiej, a ten romans niewątpliwie zaliczał się do... – słowa zamarły na jego ustach, jakby coś wyssało mu całe powietrze z płuc. Ciężko skrył jego twarz.

Fiona i Eliot odwrócili się.

W progu, trzymając w ręku nóż, którym wcześniej kroili urodzinowy tort, stała... babcia.

RYBY NA NIEBIE

Eliot patrzył to na wujka Henry'ego, to na babcię. Chyba wstał zbyt szybko i krew odpłynęła mu z głowy, bo wydało mu się, że wujek i babcia rzucali cienie na siebie wzajemnie. A przecież jedynym źródłem światła w jadalni było okno...

Eliot mrugnął, ale plamy mroku nie znikły. Przysunął się do Fiony, aż zetknęli się łokciami. Między wujkiem a babcią zdawało się przebiegać coś jeszcze, coś podobnego do tafli szkła naprężającej się pod naciskiem. Chłopakowi zdawało się, że słyszy jej trzaski, jakby zaraz miała pęknąć. Musiał coś zrobić.

– To... – jego głos się załamał, więc odchrząknął i spróbował ponownie: – To wujek Henry – zwrócił się do babci.

Światło i cienie na powrót zaczęły padać pod właściwymi kątami. Babcia westchnęła.

– Właśnie widzę. – Przymknęła oczy, jakby patrzyła prosto w słońce. – Jak zwykle opowiada bajki.

– **Tylko** nieco upiększam – odparł Henry.

– W pobliżu Canal Grande nie rosną cytryny – stwierdziła babcia. – A wasz ojciec nigdy nie grał w polo.

Henry wzruszył ramionami. Wyglądał jak chłopiec przyłapany na gorącym uczynku, ale już po chwili odzyskał pewność siebie. Wstał i rozłożył ramiona w pojednawczym geście. Zaczął wyginać usta w uśmiechu,

ale szybko z niego zrezygnował i znów spoważniał.

– Przyszedłem, żeby porozmawiać.

– W tym jednym jesteś świetny – powiedziała babcia tonem tak lodowatym, że Eliot zadygotał. W dłoni wciąż zaciskała skierowany ostrzem do dołu nóż.

– Tylko porozmawiać – zapewnił Henry.

– Powinnam się domyślić, że się tu zjawisz. Kierowcy nie pracują w pojedynkę. Podczas gdy pan Welmann „rozmawia!” ze mną, jego partner jechał już do ciebie. – Babcia uniosła brew. – A przecież mało kto jest od ciebie szybszy.

– Bardzo niewiele. – Spojrzenie wujka Henry'ego przesunęło się na nóż.

Eliotowi zjeżyły się włosy na karku. Sposób, w jaki babcia go trzymała, jej napięte ramię – wszystko to wyglądało groźnie i bardzo realistycznie. Babcia pełniła funkcję zarządcy budynku i często używała młotków albo lewarków, a nawet noży do odcinania łuszczących się tapet. Ten jednak, który teraz trzymała w rękę, a którym wcześniej kroili tort, w niezrozumiały dla niego sposób stał się ciemniejszy i bardziej złowrogi.

Fiona też wyczuła coś w powietrzu, bo odsunęła się od wujka Henry'ego i zrobiła krok w stronę Cecilii. Prababcia przytuliła ją jedną ręką, a drugą przywołała Eliota. Chłopak znalazł się u jej boku, ale stanął tak, by uniknąć objęcia. Nie chciał sprawiać wrażenia małego dziecka, choć naprawdę ogarnął go lęk.

Wujek Henry spojrzał na nich.

– Audrey, są wspaniale. Bystre, uprzejme, nieskazitelne. Dokładnie takie, jak się spodziewałem.

Eliot wyprostował się, dumny z takiego

podsumowania swojego charakteru, choć nie do końca przekonany, jak powinien rozumieć tę nieskazitelność. Właściwie jakie były powiązania wujka Henry'ego z ich rodziną? Wcześniej słyszał, jak mówił Fionie, że jest bratem przyrodnim ich matki. Czyli wcale nie był spokrewniony z babcią? Przeczyło temu jednak ich wzajemne podobieństwo. Kiedy tak stali naprzeciwko siebie, było jasne, że mieli takie same srebrzyste i jedwabiście miękkie włosy, gładką oliwkową cerę, wąskie nosy, duże oczy – i taką samą dominującą postawę.

– Zamierzasz wbić we mnie ten nóż? – odezwał się wujek Henry. – Czy może jednak porozmawiamy?

Babcia milczała. Serce Eliota biło głośno. Wujek Henry na pewno żartował. Mimo to babcia nie drgnęła. Jej twarz przypominała kamienną maskę. Oczy były jak ostre odłamki stłuczonego lustra.

Chłopak nie śmiał się odezwać, tylko słuchał i patrzył. Stojąca obok Fiona drżała, ale też nie powiedziała ani słowa.

– Czy zrobisz ze mną to samo co z Welmannem? – Henry wykonał gest podcinania gardła.

Pan Welmann nie żył? Zabity przez babcię? – ta myśl przeraziła Eliota.

– Dla mnie jednak nie będzie tak łatwo znaleźć zastępstwo jak dla zwykłego kierowcy. Jestem absolutnie... – wyszczerzył zęby – ... niezastąpiony i uwielbiany przez całą rodzinę.

– Jako błazen – prychnęła babcia.

– Może i tak. – Jedną ręką wykonał teatralny gest. – Ale jeśli chociaż włos spadnie z mojej przystojnej, postrzelonej głowy, Liga będzie szukać odwetu. Znajdą

ciebie i dzieci. – Jego miękki głos stał się nagle zimny jak lód. – A wtedy będzie już za późno na rozmowę.

Eliot stracił czucie w kończynach. Zrobił niepewny krok w stronę Cee i Fiony.

– Dobrze rozegrane – powiedziała babcia z kamiennym wyrazem twarzy. – Nigdy nie pojawiłbyś się tu, gdybyś nie zapewnił sobie ochrony ze strony innych pionków na szachownicy.

Wujek Henry skłonił głowę, przyjmując komplement.

– Jeszcze dziś musisz ze mną pojechać. Chcą porozmawiać z tobą... i z nimi. To wszystko, co mam do przekazania. – Uniósł obie dłonie. – Nie zabija się posłańca.

Ręka babci zacisnęła się na nożu. Ostrze zadrzało.

Eliot nie słyszał już tykania zegara. Docierały do niego tylko cisza i namacalne napięcie zawisłe między babcią a wujkiem Henrym. Wreszcie babcia odetchnęła i skinęła głową.

– Świetnie – powiedział wujek.

Babcia upuściła nóż, który z hałasem upadł na podłogę i który wujek Henry natychmiast położył na najwyższej półce regału z książkami.

– Mój samochód czeka – oznajmił.

Babcia uklękła przed Fioną i Eliotem i wzięła ich za ręce. Jej palce były lodowate.

– Musimy pojechać na przejażdżkę. Teraz.

Eliot nigdy wcześniej nie widział jej ulegającej komuś. Wyglądała na starszą niż chwilę wcześniej. Miał wrażenie, że trzyma ich dłonie, by wydobyć z nich trochę siły, że może już nigdy się nie podniesie. Chciał ją

pocieszyć, przytulić, ale bał się, że go odtrąci. Pierwszy raz dotykała ich w taki sposób. Nigdy wcześniej nie okazała najmniejszej słabości.

– Dokąd jedziemy? – chciał wiedzieć, ale babcia zignorowała jego pytanie i zwróciła się do Cecilii:

– Czy są spakowani?

– Na wycieczkę weekendową – odpowiedziała Cee.

– Myślałam, że my... Zresztą czy to ważne, co myślałam? Zabiorę kilka swoich drobiazków. – Wstała i wyprostowała się na tyle, na ile pozwoliło jej kruche ciało.

Babcia też wstała, znów pełna energii. Eliot poczuł, jak siła z powrotem wpływa w jej dłonie, gdy puszcza ich ręce. Zerknęła na wnuki.

– Pożegnajcie się z prababcią – zarządziła, a potem zwróciła się do Cecilii: – Ty zostajesz. W samochodzie Henry'ego nie ma tyle miejsca.

Twarz Cecilii się zapadła.

Eliot i Fiona podeszli do prababci i objęli ją, a ona ścisnęła ich tak mocno, że Eliot obawiał się, że połamie im kości. Wreszcie delikatnie ich odsunęła. W jej starych oczach zabłyśły łzy.

– Bądźcie dzielni. Nie dajcie się rozdzielić. Razem jesteście silniejsi – wyszeptała.

W jej spojrzeniu była intensywność, której chłopak nigdy wcześniej nie widział. Jakby chciała im tak wiele powiedzieć, ale zabrakło jej na to czasu.

Babcia wskazała na drzwi wyjściowe, które wujek Henry już trzymał dla nich otwarte.

– To słuszna decyzja – zauważył, gdy znalazła się na klatce schodowej.

– Nie traktuj mnie jak dziecko – odpowiedziała. –

To jedyna decyzja, która może zapobiec rozlaniu rzeki krwi. Może, ale nie musi.

Eliot zerknął do tyłu na Cee. Zamachała mu trzęsącą się ręką.

Wujek Henry zamknął drzwi.

– Potrzebujecie iść do łazienki? – zapytał. – To może potrwać godzinę lub dwie.

Oboje pokręcili głowami.

Eliot milczał, gdy schodzili po schodach. Fiona nawet nie próbowała go wyprzedzić jak zazwyczaj. Nie mógł się doczekać, by z nią porozmawiać i wypytać o to, co wujek Henry powiedział, zanim on pojawił się w jadalni, ale nie śmiał się odezwać w obecności babci, gdy ta była w takim nastroju.

Kiedy znaleźli się na chodniku przed domem, wujek kiwnął ręką w stronę lśniącej limuzyny. Pojazd bezgłośnie podjechał bliżej. Wujek otworzył tylne drzwi przed Fioną i gestem zachęcił Eliota, by za nią podążył. Spojrzeli na babcię, a ta skinęła głową, potwierdzając swoje przyzwolenie. Eliot miał jednak wrażenie, że kiedy wejdzie do środka, może już nigdy nie wrócić do domu. Zerknął na niebo. Chmury przysłoniły zachodzące słońce, sprawiając, że wyglądało jak skupisko żarzących się węgla. Niechętnie wsiadł do auta.

Wnętrze pojazdu wydało się większe, niż to było możliwe. Dwa podwójne siedzenia umieszczono naprzeciwko siebie. Eliot wślizgnął się na miejsce obok Fiony, tak że oboje patrzyli w kierunku jazdy. Po drugiej stronie usiedli babcia i wujek.

Henry zamknął drzwi i przegroda między przednią a tylną częścią samochodu opuściła się. Kierowca

odwrócił się do nich, wyciągając szyję.

– Dokąd, panie Mimes?

Wyglądał ledwie na rok, może dwa lata starszego od Eliota. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, rękawiczki i czapkę. Pasma włosów opadło mu na twarz, gdy obrzucił Fionę taksującym spojrzeniem, zerknął na Eliota i wreszcie wbił czujny wzrok w babcie.

– Na wyspę, Robercie – odpowiedział wujek Henry.

– Jedźmy północną drogą. Nikt nie jest w nastroju na podziwianie widoków.

– Oczywiście, panie Mimes. – Chłopak złapał za kierownicę, a przegroda powędrowała do góry.

Samochód płynnie przyspieszył i Eliot poczuł, jak zapada się w miękkie siedzenie. Del Sombra zamieniła się w zamazaną plamę sklepowych wystaw i szybko została daleko w tyle. Mknęli po łagodnych wzgórzach. W bocznych oknach migały czarne pnie dębów i pola słoneczników. Musieli jechać przynajmniej sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Niebezpieczna prędkość nie robiła na babci żadnego wrażenia.

– Co zamierzają? – zapytała wujka.

Henry otworzył boczną szafkę wypełnioną kryształowymi karafkami i kieliszkami. Nalał bursztynowego płynu do błyszczącej szklanki, dorzucił kilka kostek lodu, zakręcił i wyciągnął w stronę babci.

Eliot poczuł zapach alkoholu i dymu. Ale babcia nawet nie spojrzała na ofiarowywany drink. Wujek Henry wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, jakie są ich zamiary. Nigdy nie wiedzieli, jak się z tobą obchodzić. – Uniósł szklanekę, jakby wznosił toast, i upił łyk. – Najbardziej interesują ich

dzieci, o czym zresztą wiesz doskonale. Inaczej nie narażałabyś się na ten cały trud.

Eliot nie mógł tego dłużej znieść. Uczono go, by nigdy nie przerywać dorosłym, ale teraz rozmowa dotyczyła przecież jego i Fiony.

– O kim mówicie? – zażądał odpowiedzi, zaskoczony siłą własnego głosu. – Rozmawiacie, jakby nas tu nie było.

Babcia uniosła brew. To była jej jedyna reakcja na jego wybuch. W zamyśleniu kontemlowała słowa Henry'ego. Wujek zaś uśmiechnął się i zrobił uspokajający gest. Obrócił się w stronę babci i zaczął mówić w języku, którego Eliot nigdy wcześniej nie słyszał.

Fiona nadstawiła uszu, starając się jak najbardziej skupić. Z jej talentem do obcych języków być może miała szansę coś zrozumieć.

Uwagę Eliota przyciągnęły żółte smugi na zewnątrz. Przez przyciemnione szyby zobaczył pomarańczowoczerwone stalowe liny Golden Gate. Właśnie włączyło się oświetlenie. Samochód nie zwalniał, pędził po pasie, na którym opłata za przejazd była pobierana automatycznie. Albo minęło więcej czasu, niż się Eliotowi wydawało, albo zasnął na chwilę. Przecież wsiedli do limuzyny dopiero jakąś minutę temu.

Trącił siostrę łokciem i wskazał na okno. Fiona z niedowierzaniem gapiała się na odległe Alcatraz. Pokręciła głową.

– Przejechaliśmy San Francisco?! Czy chociaż zwolniliśmy? Czy choćby raz zatrzymaliśmy się na światłach?

– Nie... nie pamiętam – odpowiedział. – Nie sędzę.

Eliot przyglądał się umykającemu po jego prawej stronie brzegowi Pacyfiku, ostremu spadkowi lądu nachylającego się ku czarnej spienionej wodzie. Nie potrafił ocenić, z jaką szybkością jechali. Samochód mijał zakręty z ostrzeżeniami o ograniczeniu prędkości do trzydziestu kilometrów na godzinę bez żadnego wstrząsu czy poślizgu. Pojazdy, które wyprzedzał, zdawały się stać w miejscu.

Babcia przerwała potok słów wujka i sama zaczęła mówić w tym samym obcym języku. Henry przytaknął i uniósł dłonie, wystawiając siedem palców. Zginał je po kolei, przy każdym wypowiadając jakiś wyraz. Babcia potakiwała z ponurą miną. Przy ostatnim palcu wujek wskazał na siebie. Babcia dotknęła jego dłoni i ją ścisnęła. Ten gest zaskoczył Eliota. Babcia okazująca czułość to widok tak rzadki jak przelatujące wymarłe ptaki.

Fiona szturchnęła go i kiwnęła głową w stronę okna. Eliot odwrócił się i prawie podskoczył na siedzeniu. Jechali teraz pokrytą śniegiem drogą wśród granitowych klifów z bezkresnym sosnowym lasem z jednej strony. Nie to jednak zaskoczyło go najbardziej. Serce zaczęło mu bić w piersi jak oszalałe dopiero wtedy, gdy zobaczył słońce – wciąż płonące na horyzoncie.

Kilka minut wcześniej widział, jak zachodziło w Del Sombrze, potem zapadła noc. A teraz wciąż było na niebie, wisząc na widnokręgu.

– Północ – szepnęła Fiona. – Tam musieliśmy jechać.

Zrozumiał, co miała na myśli, ale przecież to było niemożliwe. Latem im dalej na północ, tym później zachodziło słońce. Czasem nawet pozostawało na niebie

przez całą noc. Aby jednak doświadczyć tego zjawiska, musieliby teraz znajdować się... Gdzie? Na Alasce? Za kręgiem polarnym?

Samochód zwolnił i skręcił w boczną drogę. Eliot wyteżył wzrok, ale niebo pociemniało i białe palce mrozu pokryły szybę. Ciepłe powietrze dmuchnęło z otworu wentylacyjnego prosto w jego nogi, sprawiając, że zaczął wykręcać palce u stóp.

– Sądząc z wyrazu twojej twarzy, stałeś się raniżercą – powiedziała Fiona.

Eliot oderwał wzrok od okna i spojrzał na siostrę. Zdaje się, że chciała się uśmiechnąć z wyższością, ale zamiast tego tylko niepewny grymas zadrzał na jej ustach. Próbowwała wciągnąć go w słownikowe obelgi, starając się nadać jakieś pozory normalności sytuacji w tym dniu, który stał się ich najdziwniejszymi urodzinami w życiu. Nie miał ochoty na tę zabawę, ale też nie potrafił nie odpowiedzieć na wyzwanie. Nie mógł pozwolić jej wygrać.

– Może to kuchnia Cecilii spowodowała, że zasmakowałem w żabach – odrzekł. – Lepiej być raniżercą niż lumbricożercą.

Fiona zmarszczyła nos i Eliot już wiedział, że odgadła – *Lumbricus* była łacińską nazwą dżdżownicy. Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale żadne słowa nie przeszły jej przez gardło. Zamiast tego zagapiła się w przestrzeń za Eliotem.

Mróz rozpuścił się już na oknach, odsłaniając przed nimi jarzącą się kurtynę jaskrawej czerwieni migoczącą poprzez mrok nocy. Gdzienigdzie pobłyskiwały w niej frędzle widmowej zieleni, a całość wyglądała jak zasłona

wyszywana drżącymi i mieniającymi się gwiazdami.

– Zorza polarna, aurora borealis – wyrecytował Eliot, jakby czytał wpis w encyklopedii.

Odwołanie się do książkowej wiedzy zawsze miało jakiś sens... Nawet jeśli okoliczności były zupełnie go pozbawione.

Aby ujrzeć zorzę, musieliby dotrzeć bardzo daleko na północ. A ich podróż zdawała się trwać tylko kwadrans. Eliot wykonał w głowie kilka obliczeń. Z Kalifornii na biegun północny? Żeby pokonać taki dystans, musieliby poruszać się z szybkością większą od prędkości dźwięku. I na pewno nie mógłby przegapić przekroczenia jego bariery.

Patrzyli na migające światła przypominające oświetlony księżycem przyływ.

Wujek Henry zwrócił się do nich. po angielsku:

– Czy wiecie, że w starych skandynawskich językach słowo „aurora” oznacza „odbicie śledzia”? Wikingowie wierzyli, że zorza powstawała po odbiciu światła księżyca w ławicach tych srebrnych ryb i powtórnym rzuceniu go na niebo. Niektórzy do dziś twierdzą, że widzą te ryby na niebie.

Eliot znów spojrział przez okno, by jeszcze raz przyjrzeć się zorzy, ale tę przysłoniły już czarne szczyty gór.

Samochód podążał teraz wijącą się jak serpentyna drogą, skręcił w prawo, zwolnił i wjechał do oświetlonego neonami i stożkami pomarańczowych promieni wydobywających się z ulicznych lamp miasta. Wszystkie domy były tu stare, kamienne albo otynkowane, wysokie na cztery piętra i przyciśnięte do siebie ścianami. Na

każdym piętrze w dużych oknach odbijała się zatoka i stojące w niej łodzie o diamentowych światłach.

Eliot wpatrywał się w biały znak, na którym czerwonymi literami napisano „HOVERCRAFT FAR JA 1 KM”.

Przegroda obniżyła się i kierowca zapytał:

– Dłuższą drogą, panie Mimes?

– Raczej łodzią – odrzekł wujek Henry.

Samochód wjechał na podjazd i minął inne auta czekające w kolejce na prom. Obsługa kierowała ich wciąż do przodu, aż zaparkowali na samym dziobie.

Prom odbił od brzegu i potężne śruby zbudziły się z hukiem do życia. Z ich miejsca na przedzie można było odnieść wrażenie, że to sam samochód płynie po rozświetlonych światłem księżyca falach, tylko lekko się kołysząc.

– Napis na znaku był po szwedzku – zauważyła Fiona. – Wskazywał drogę do poduszkowca.

– Przecież widzę – odrzekł Eliot lekko zirytowany.

Po chwili jednak zrozumiał, co chciała mu przekazać. Byli w Szwecji. W myśli przebiegł jedyną trasę, jaką mogli pokonać. Wzdłuż wybrzeża Kalifornii do Alaski (to wyjaśniałoby późniejszy zachód słońca), potem przez koło podbiegunowe i w dół przez Skandynawię, gdzie zobaczyli zorzę polarną. Trajektorja zgadzała się z tym, co obserwowali... tylko w żaden sposób nie dało się jej dopasować do praw fizyki. Dotknął miękkiego jak masło skózanego siedzenia. To był samochód. Co prawda elegancki, szybki i potężny, ale przecież napędzany benzyną i podlegający normalnym zasadom termodynamiki.

Eliot bardzo chciał przedyskutować to z Fioną i sprawdzić, czy i ona doszła do równie zaskakujących wniosków. Ale jeden rzut oka na babcię i wujka powstrzymał go od wszelkich komentarzy. Spokojnie patrzyli na falującą wodę, najwyraźniej w najmniejszym stopniu nieporuszeni tym, że w godzinę przejechali pół świata.

Prom zacumował, ich samochód zjechał z niego pierwszy i w mgnieniu oka znalazł się na sześciopasmowej autostradzie. Wyprzedzał kolejne porsche i ferrari, mrugając światłami, by inne auta zjeżdżały mu na bok.

– Jesteśmy prawie na miejscu – poinformował ich wujek.

Rodzeństwo spojrzało po sobie. Co dokładnie znaczyło „na miejscu”? Eliot wcale nie był pewien, że jest gotów na odpowiedź.

Zjechali z autostrady na dwupasmową drogę, potem na wąską brukowaną uliczkę wijącą się wzdłuż białych kamiennych klifów. W końcu samochód przystanął przed stalową bramą, za którą znajdował się park i przypominający muzeum budynek. Drzwi otworzyły się i wjechali na teren posiadłości.

Kiedy zbliżali się do głównego budynku, składającego się z dwóch skrzydeł i złotej kopuły pośrodku, Eliot podziwiał kolumny ozdobione wolutami oraz rzeźbami bogów i duchów. Całość przypominała mu mniejszą, choć bardziej dostojną wersję Kapitolu.

W końcu limuzyna stanęła. Kierowca wyskoczył na zewnątrz i otworzył tylne drzwi po stronie babci i Fiony. Wyciągnął w ich stronę rękę. I choć babcia minęła go, jakby wcale nie istniał, to Fiona złapała jego dłoń,

uśmiechnęła się i zaraz spuściła wzrok. Eliot wygramolił się tuż za wujkiem Henrym.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– W moim domu – odpowiedział wujek, oddychając głęboko i rozpościerając szeroko ramiona w teatralnym geście. – Isola del Bianco Drago¹⁵.

W oddali zabłyśło morze. Słońce uniosło się nad horyzontem, tworząc złotoczerwone plamy na wodzie. Wschodziło. Jedynym wyjaśnieniem tego zjawiska mogło być to, że znaleźli się po drugiej stronie kuli ziemskiej niż Del Sombra.

Jaskrawe światło rozsunęło jakąś zasłonę w umyśle Eliota. Podróż jak ze snu i wszystko inne, co stało się tego dnia, już nie miało znaczenia. Wyczuł, że coś jeszcze im się przydarzy. Coś złego. Jak wtedy gdy Mike poparzył ramię.

– Co teraz? – wyszeptał do babci.

– Teraz – rzekła, przysłaniając oczy i patrząc wprost na słońce – przypuszczam, że poznacie swoich krewnych. Przygotujcie się na najgorsze.

¹⁵ Isola del Bianco Drago (Wyspa Białego Smoka), znana również pod nazwą Bianco Drago (Biały Smok), nie pojawia się na żadnej mapie czy zdjęciu satelitarnym (choć wspomniana jest w kilku kronikach i zbiorach dokumentów dotyczących rodziny Postów). Przypuszcza się, że leży w pobliżu Krety lub Sycylii, ale zarówno greckie, jak i włoskie władze temu zaprzeczają (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XI, *Mit rodziny Postów, op.cit.*).

KREW I PRAWO

Audrey i Henry szli zadaszonym chodnikiem. Gładki biały marmur odbijał ich kroki, sprawiając wrażenie, jakby stąpali po chmurach.

Po jednej stronie przejścia ciągnęły się nisze z dziełami sztuki: grecką wazą, skrzydlatym bykiem z brązu z Babilonu, terakotowym chińskim wojownikiem naturalnej wielkości. Przed wpływem słonego powietrza chroniły je szyby, tworzące przestrzenie, w których przeszłość – martwa i zbyt krucha, by narażać ją na dotyk – czuła się najlepiej. Audrey zdawała sobie sprawę, że zbyt wielu członków jej rodziny wciąż wierzyło w rytuały i przesady należące do dawnych czasów, podczas gdy powinni zwrócić się w stronę przyszłości.

– Są bezpieczni? – zapytała Henry'ego.

– Oczywiście – odrzekł, obruszając się. – Masz moje słowo. Będą traktowani, jakby byli moimi dziećmi.

Audrey zatrzymała się i zmarszczyła brwi.

– Chciałem powiedzieć: lepiej niż moje dzieci – dodał. Henry miał kiedyś dwóch synów i życie żadnego z nich nie było długie ani przyjemne.

Ruszyła do przodu, przyspieszając kroku.

– Przypomnij mi, dlaczego cię nie zabiłam.

Henry zignorował jej prośbę i oznajmił z powagą:

– Teraz nic im nie grozi, ale nie mogę dać żadnej gwarancji w sprawie tego, co się wydarzy po rozmowie z

Rada.

– Po przesłuchaniu – poprawiła.

– Skoro tak wolisz...

Znaleźli się na wystającym nad klif balkonie. Audrey przystanęła. Fale opryskały jej twarz, a wiatr potargał krótkie włosy. Wciągnęła głęboko powietrze. Morze Egejskie wirowało turkusem i pianą.

– Tak różne od Pacyfiku – powiedziała. – Brakowało mi tego widoku.

Henry dołączył do niej.

– Żałuję, że nas opuściłaś. Rozumiem, że musiałaś... Musiałaś przynajmniej spróbować. – Trzymając się barierki, spojrzał ku falującej sto metrów niżej wodzie.

– Przykro mi też, że wracasz w takich przykrych okolicznościach. Możesz liczyć na moje wsparcie w trakcie rozprawy.

Audrey obrzuciła Głupca uważnym spojrzeniem. Przystojny i wygładzony zdawał się błyszczeć jak wypolerowana moneta. Był dla niej niczym brat, choć akurat wśród nich oznaczało to różne rzeczy... i żadna nie miała nic wspólnego z zaufaniem. Kochała go, ale wiedziała też, że musi go traktować jak wściekłego wilka.

To, że właśnie on zaoferował jej swoje wsparcie, zabrzmiało dość ironicznie. Henry wciąż szukał przygód i erotycznych podbojów, nie zaprzatając sobie głowy ich konsekwencjami. Jego największym talentem była umiejętność wymigiwania się od odpowiedzialności. Tymczasem Eliot i Fiona byli rezultatem jednego błędu, popełnionego dawno temu przez mężczyznę i kobietę, którzy myśleli, że się kochają. Audrey spędziła ostatnich

szesnaście lat na próbach jego naprawienia.

Odwróciła się od uspokajającego widoku morza i ruszyła dalej chodnikiem.

Skręcili i ukazał się przed nimi łuk mostu łączącego posiadłość Henry'ego z wystającą z wody czarną, kontrastującą z otaczającymi ją białymi klifami skałą. Na jej lekko pofalowanej powierzchni znajdowała się plantacja pogiętych od wiatru drzewek oliwnych oraz w samym jej centrum grupa obniżających się koncentrycznych kręgów – amfiteatr. Audrey oglądała tu niegdyś sztuki Szekspira i Sofoklesa, słuchała pod gwiazdami poezji Jima Morrisona.

Dziś nikt nie będzie recytował tu wierszy. Zamiast tego czekało ją zebranie Rady, sąd, a także – ze sporym prawdopodobieństwem – widok krwi rozlanej na starożytne schody.

Audrey zawahała się, zanim postawiła nogę na moście. Czy była gotowa? Po szesnastu latach życia w ukryciu, pełnego ograniczeń? Tak krótko... a tyle się przecież zmieniło. Czy potrafi się z nimi zmierzyć? Czy jeśli sprawy nie potoczą się po jej myśli, będzie umiała zabić Henry'ego i innych? Wszystkich?

Zdecydowała się w jednej chwili: jeśli od tego ma zależeć życie Eliota i Fiony, będzie w stanie to zrobić. I zrobi to.

– Radzę zachować ostrożność, przynajmniej do chwili, kiedy zobaczysz, kto się pojawił – odezwał się Henry. Wiatr zdawał się odrywać słowa od jego warg.

Zabrzmiało to jak groźba. Nie spodobało jej się to.

Weszła na most. Teraz już nie było odwrotu. Wiatr szarpał jej ubranie, kamienie pod stopami zdawały się

wpadać w rezonans. Ale gdy wkroczyła na łąd po drugiej stronie, wichura ustała. Miała wrażenie, że znalazła się w zamkniętej, pozbawionej dźwięków komnacie. Powietrze było tu zupełnie nieruchome, jakby martwe.

Wyprostowała się. Kiedy schodziła po stopniach amfiteatru, jej twarz przybrała zwykły ironiczny wyraz.

W najniższym kręgu czekały na nią cztery osoby. Oczy Audrey spoczęły na mężczyźnie o szerokich ramionach, w garniturze w stylu lat siedemdziesiątych i białej koszuli rozpiętej do połowy potężnej klatki piersiowej. Miał opaloną, jakby wyrzeźbioną twarz. Wokół jego ramion wiły się długie i ciemne włosy, a wąs a *la* Dżyngis-chan sięgał aż na kwadratowy podbródek. Był nieodparcie pociągający... choć nie rozumiał związków opartych na atrakcyjności. Miał na imię Aaron.

Audrey natychmiast zrozumiała ostrzeżenie Henry'ego. Aaron mógłby ją zatrzymać, jeśli wystąpiłaby przeciwko Radzie. Tylko nieliczni posiadali umiejętności porównywalne do niej. Aaron był wśród nich. Jeżeli staną naprzeciwko siebie w walce, najprawdopodobniej oboje zginą. A po jej śmierci dzieci pozostaną bez ochrony. Dobrze to przemyśleli.

Czarne oczy Aarona odpowiedziały na jej stalowe spojrzenie z mieszaniną uznania i determinacji. Wiedział, że Audrey rozumiała, iż w razie konieczności gotowy jest na śmierć.

Wypuściła z płuc powietrze, próbując opanować strach i wściekłość, zachować chłodny umysł. To mogło okazać się niezbędne, jeśli w ogóle miała zachować głowę. Jak udało im się wciągnąć w to Aarona? Przekupstwem, szantażem, groźbami? Nienawidził intryg politycznych

Rady niemal tak bardzo jak ona.

Po prawej stronie Aarona ze skrzyżowanymi nogami siedział stary mężczyzna w klapkach i koszulce Grateful Dead. Jego głowę otaczał wianuszek białych jak śnieg włosów, a wokół niego leżały rozrzucone notesy i tablice astrologiczne. Uśmiechnął się do niej i skinął głową z wyćwiczoną naiwnością, której – o czym Audrey doskonale wiedziała – nigdy nie posiadał. To był Cornelius, jeden z najstarszych i najmądrzejszych członków Rady Ligi. Nigdy jednak nie dzielił się z nikim swą mądrością, wykorzystując ją wyłącznie do własnych celów. Audrey nie uważała go ani za wroga, ani za przyjaciela.

Po lewej stronie Aarona zaś siedział Gilbert – wysportowany mężczyzna o złotych włosach i brodzie. Wstał, by się z nią przywitać, wyciągając ku niej szeroko grube ramiona. Audrey jednak powstrzymała go gestem. Niewątpliwie jego zachowanie wynikało ze szczerzej sympatii, ale w tym momencie Audrey nie mogłaby znieść niczyjego dotyku. Kiedyś Gilbert ją kochał. Tak łatwo byłoby jej się wesprzeć na nim... i pozwolić, by jej własna siła się ulotniła.

Kiwnął głową i skłonił się, jakby zrozumiał. Zresztą Gilbert od czasu do czasu angażował się w politykę, choć nigdy nie miał do niej poważnego stosunku. W zasadzie rzadko co traktował poważnie. Ale był tu i miał zamiar wziąć udział w debacie. Najwyraźniej ktoś go do tego zmusił.

Gilbert niepewnie zerkał na czwartego członka Rady: kobietę, która siedziała w pewnej odległości od mężczyzn i równie dobrze mogła mieć dwadzieścia jak i

czterdzieści lat. Jej twarz cechował ten rodzaj nieprzemijającego piękna – lekko tylko wspomagany makijażem – który zdawał się opierać czasowi. Miała na sobie czarną sukienkę z wyszytymi czerwonymi różami i usta tego samego koloru co kwiaty. Farbowane rude włosy nakrywał niewielki kapelusz. Jasne brązowe oczy patrzyły uważnie na Audrey niczego nie zdradzając. To była jej młodsza siostra – śliczna i pełna nienawiści intrygantka Lucia.

Wystarczyło, że Audrey zobaczyła jej ubranie i kapelusz, i już знаła jej intencje. Lucia obnosiła się ze swoimi uczuciami: czarna sukienka oznaczała pogrzeb.

– Tak się cieszę, że mogłaś się z nami spotkać, siostró – głos Lucii był łagodny i dźwięczny. Mężczyźni go uwielbiali, ale w uszach Audrey brzmiał drażniaco.

– A co z dziećmi? – zapytała Henry'ego.

– Zajęto się nimi i nakarmiono. Zostały w posiadłości – odrzekł.

– Świetnie – zamruczała. – Nie mogę się doczekać, kiedy je poznam.

Wrogość między Audrey i jej siostrą była wieczna i nieprzemijająca. Nie dało się jej złagodzić – na wzór Fiony i Eliota – rundą słownikowych obelg. Audrey przyrzekła sobie, że jeśli ktoś straci dziś życie, pierwsza będzie właśnie Lucia. Wtedy zdała sobie z czegoś sprawę.

– Jest was tylko pięcioro. Gdzie są pozostali członkowie Rady?

– W drodze – zapewniła Lucia. – Zdecydowaliśmy się rozpocząć obrady, gdyż sprawa jest niecierpiąca zwłoki.

Henry opuścił swoje miejsce przy boku Audrey i

usiadł koło Lucii.

– Mamy kworum – powiedział.

Zasadniczo miał rację. Do zatwierdzenia ważnych ustaleń wystarczyło pięciu członków Rady, ale do takiego rozwiązania posuwano się rzadko. Uważano, że kłóci się to z normalną procedurą, celowo długą i powolną. Lucia nigdy nie wykorzystałaby tej możliwości, gdyby z góry nie wiedziała, czym się to skończy. Zapewne zdołała wpłynąć na Aarona i Gilberta, a wsparcie Henry'ego było jak podmuch wiatru, zmienne i nieprzewidywalne. Tylko stary Cornelius był odporny na urok Lucii czy szantaż. To dawało jej więc trzy z pięciu głosów. Czyli kłamka zapadła, a obrady były tylko formalnością. Okazją, by popatrzeć na wijącą się Audrey? Nie, jeśli tylko przechytrzy swoją siostrzyczkę.

– Zaczniemy. – Lucia potrząsnęła srebrnym dzwoneczkiem. – Niniejszym ogłaszam rozpoczęcie obrad Rady Starszych Ligi. Wzywam do gotowości do sądenia i bycia sądzonym. *Narro, audio, perceptum.*¹⁶

– Proponuję, by pominąć odczytanie protokołu z poprzednich obrad – powiedział Henry, unosząc z nadzieją brwi.

– Popieram – odezwał się natychmiast Aaron.

– Postanowione. – Lucia położyła dłonie na kolanach i spojrzała znacząco po kolei na wszystkich członków Rady, a potem na Audrey. – Zebraliśmy się tu dziś, aby zdecydować o bardzo delikatnej sprawie. Moja najstarsza siostra ma pod swoją opieką dwoje dzieci o niejasnym pochodzeniu.

Audrey nie podobało się takie krążenie wokół

¹⁶ 16 „Mów, słuchaj, ucz się” (łac.) – przyp. red.

tematu. Nie miała też ochoty wysłuchać już nie tak subtelnych zniewag. Zagłębiła stopę w piasku i kopnęła w stronę siostry, obsypując jej sukienkę. Aaron przysłonił usta dłońmi, by ukryć, jaką przyjemność sprawił mu ten buntowniczy gest.

– Mówisz zbyt dużo – powiedziała Audrey. – Postaw sprawę jasno: chcesz ich śmierci.

Na twarzy Lucii pojawił się uśmiech równie słodki, co fałszywy.

– Wciąż ostra jak nóż? Przechodzisz wprost do sedna, nie dbając o niuanse.

Usta Audrey również się rozciągnęły w uśmiechu, tyle że zrodził się on w jej wyobraźni na myśl o tym, jak wykrawa serce Lucii i upuszcza je na jej sukienkę, tworząc malarską martwą naturę z różami i świeżą krwią. Twarz Lucii lekko pobladła.

– Czy są już pełnoletni? – zapytał Gilbert. – Skoro mam decydować o ich losie, chciałbym wiedzieć, czy są nadal tylko dziećmi.

– Musimy podjąć decyzję, zanim wejdą w dorosłość – odrzekła Lucia. – Wtedy zaczną się prawdziwe problemy – Ich wiek nie ma znaczenia – dołączył się Henry.

– Druga strona podejmie działania, nie zważając na takie drobiazgi jak pełnoletność.

Na dźwięk słów „druga strona” Aaron skrzyżował ręce na piersi, a stary Cornelius uniósł wzrok znad notesów. Niepokój pofałdował jego już i tak pomarszczone czoło. W porównaniu z kłopotami, jakie mogła narobić druga rodzina, konflikty w ich własnej wyglądały jak drobne sprzeczki.

– Fiona ledwo stała się kobietą, a Eliot dopiero wchodzi w męski wiek – odezwała się Audrey.

– Kiedy się urodzili? – Cornelius trzymał ołówek nad notesem. – Poproszę o dokładną datę.

Miał zamiar wykreślić ich horoskopy i Audrey nie miała nic przeciwko temu. Opóźnienie dyskusji da jej trochę czasu do namysłu.

– Fiona urodziła się pierwsza – powiedziała. – Dokładnie piętnaście lat temu o ósmej trzydzieści cztery wieczorem czasu paryskiego. Eliot przyszedł na świat dziesięć minut później.

Cornelius podrapał się po ucho i zapisał kilka liczb.

– Lwy – zamruczał. – W koniunkcji z wieloma planetami. Dominującą rolę odgrywa dziewczyna. Bardzo silna. Oboje tacy są. Chłopak będzie artystą. – Przerzucił kilka ksiąg i wykresów. Kartki aż zatrzępotały w jego rękach.

– Dzieci nie stanowią zagrożenia – powiedziała Audrey. – Żyły w izolacji od rodzin, a także od źródła ich mocy. Są zupełnie zwyczajne. – Kiedy pomyślała o tym, z jak wielu rzeczy Eliot i Fiona musieli zrezygnować i że ich poświęcenie może teraz pójść na marne, wydało jej się to ogromnie niesprawiedliwe.

– Jak mogą być zwyczajne – zapyta! Gilbert – skoro mają tak niezwykłą matkę i takiego diabelskiego ojca?

Henry obojętnie machnął ręką.

– Szczerze mówiąc, są inteligentne, uprzejme, ale poza tym rzeczywiście raczej nieciekawe.

– Problemem nie jest ich wiek czy możliwości – odezwał się Aaron – lecz pochodzenie. – Wbił w Audrey

mroczne spojrzenie. – Należą do obu rodzin i tylko to ma znaczenie.

– Masz rację – zgodziła się Lucia. – Co ma do rzeczy ich wychowanie? Jestem pewna, siostrze, że spisałaś się świetnie. Problem tkwi w ich rodowodzie i w naszych zobowiązaniach.

Cornelius zakończył obliczenia.

– Gwiazdy układają się w zagmatwane wzory. Obawiam się, że nawet bardziej zagmatwane niż twoje – kiwnął głową w stronę Henry'ego.

– Gwiazdy – wymamrotał Gilbert – nigdy nie objawiły mi prawdy. Co to znaczy, staruszkule?

– To znaczy, że są w stanie równowagi – odpowiedział Cornelius. – Dokładnie pośrodku, w punkcie, z którego mogą przechylić się na jedną lub drugą stronę. – Wyciągnął z kieszeni paczkę zapalek. Zapalił jedną i przyłożył do kartki z obliczeniami. – Staną się wielkim atutem jednej z rodzin.

– Czy nie powinniśmy z tego skorzystać? – zapytał Gilbert.

– Jeśli broń da się łatwo skierować przeciwko tobie – odpowiedział Aaron – należy ją zniszczyć.

– Czy nie powinniśmy w pierwszej kolejności pamiętać o traktacie? – zapytał Henry. – Jeśli w dzieciach przeważą genetyczny wpływ matki, będziemy mogli swobodnie je osądzić. Rada ma obowiązek egzekwowania prawa... – urwał i znacząco zerknął na Lucię.

Obrady powoli zamieniały się w teatr. Audrey wiedziała, że prawdę ukryto pod wieloma warstwami utkanych z podstępów zasłon. Ale to, co powiedział Aaron o pochodzeniu dzieci, oraz słowa Corneliusa o gwiazdach w

stanie równowagi utkwiły jej w pamięci.

– A co, jeśli nie przeważą w nich ani strona matki, ani ojca? – zapytała Lucia. – Jeśli są, jak sugerował Cornelius, hybrydami? Jeżeli zawisną w punkcie dokładnie między dwiema rodzinami? Jakie są w takiej sytuacji nasze możliwości? Jeden ród nie może się mieszać do interesów drugiego. Tak mówi prawo.

– W połowie z jednej rodziny, w połowie z drugiej – zastanawiał się Cornelius. – Luka prawna?

– Tych dwoje może stać się bramą dla drugiej rodziny – zauważył Gilbert. – Tamci zupełnie legalnie zaczną się mieszać do naszych spraw. Powstaną nowe przymierza, zmieniają się układy, być może będzie wojna.

– Oni tylko czekają na okazję, by wziąć na nas odwet – dodał Aaron, odwracając się do Audrey. – Gra toczy się o znacznie większą stawkę niż dwójka dzieci.

Lucia wstała i strzepnęła piasek z sukienki.

– Przykro mi, siostrze, ale Rada musi działać, mając na uwadze dobro całej rodziny, wszystkich. Dzieci trzeba usunąć – zawahała się, oblizła wargi, a potem zapytała: – Głosujemy?

Zapadła cisza. Wszyscy czekali na to, co zrobi Audrey. I czy w ogóle coś zrobi.

Audrey zdawała sobie sprawę, że wynik głosowania był z góry wiadomy. Chodziło tylko o to, aby wszystko wyglądało na działanie zgodne z prawem, by uniemożliwić Audrey przeprowadzenie wendety. Dwa słowa wciąż kołatały się w jej głowie: krew i prawo. Dwa pojęcia wystarczająco potężne, by zabić Eliota i Fionę... A może wystarczająco silne, by ich uratować?

– W takim razie – powiedziała Lucia, teatralnie

wzdychając – ci, którzy głosują za usunięciem Eliota i Fiony Post...

– Czekaj – przerwała jej Audrey. – Nie możecie.

Aaron poruszył się na swoim miejscu. Jego umięśnione nogi napięły się, jakby był gotowy do skoku i walki, jeśli tylko zaszłaby taka konieczność.

– Musisz pozwolić Radzie głosować – zamruczała Lucia. – Nikt nie jest ponad prawem. Nawet ty.

– Zgadzam się – rzekła Audrey. – Również ty, siostrzo, nie stoisz ponad prawem. Nie możesz powziąć żadnego działania przeciw tym dzieciom właśnie z jego powodu.

– Co to za sztuczka? – Oczy Lucii zamieniły się w szpary.

– O, ciekawe – zamruczał Cornelius. – Rozumiem, co masz na myśli. Traktat z tamtymi.

Henry odchylił się, założył nogę na nogę i uśmiechnął się.

– Chcecie chronić naszą rodzinę i utrzymać neutralne stosunki z tamtymi – zaczęła wyjaśnienia Audrey i zrobiła krok w kierunku Lucii, ale ta się odsunęła. – Tak naprawdę Rada jest prawnie zobowiązana do tego, by przestrzegać traktatu o neutralności. Nie wolno wam się wtrącać do spraw tamtej rodziny właśnie z powodu, traktatu.

Twarz Aarona rozjaśniła się.

– Jest jeszcze trzecia możliwość dotycząca ich pochodzenia.

– Tak – podjęła Audrey. – Jeśli przeważy w nich dziedzictwo matki, będą należeć do naszej rodziny i druga strona nie będzie mogła na nich wpływać. Jeżeli

przynależą w równym stopniu do każdej rodziny, otwiera to sporo niezbyt przyjemnych możliwości, takich jak istnienie luki prawnej w traktacie. Ale jeśli przeważy w nich wpływ drugiej strony, nie będziecie mogli nawet ich dotknąć. Chronić ich będzie ten sam traktat, na który teraz się powołujesz, siostrze. Najpierw musimy ustalić, do której strony dzieci należą: naszej, ich czy po części do obu.

Błada twarz Lucii zarumieniła się.

– Dobrze więc – powiedziała, patrząc ze złością na Audrey. – Przyrowadź ich. Pozwól nam zobaczyć Eliota i Fionę Postów. Osądźmy ich.

14

TRZY BOHATERSKIE PRÓBY

Pokój w posiadłości wujka Henry'ego, w którym zostawiono Fionę i Eliota, był większy niż całe piętro w budynku, gdzie znajdowało się ich mieszkanie. Dziewczyna spojrzała w górę. Na pokrytym freskiem suficie, odległym przynajmniej o pięć metrów, widniały chmury oraz cherubiny, które albo bawiły się w chowanego, albo ukrywały się przed sobą, szykując

zasadzkę¹⁷ – ¹⁸.

Światło słoneczne wpadało przez wysokie okna w południowej ścianie. Za nimi rozciągało się pieniające się morze i warstwy kłębiastych obłoków przesuwane się po horyzoncie. Eliot stał przy zastawionym jedzeniem stole. Sięgnął po kanapkę i popatrzył na zewnątrz.

Fiona przyglądała się obrazom na ścianach: portretom poważnych mężczyzn i eleganckich dam w aksamitnych pelerynach i żabotach. Wszyscy doskonale pasowali do tego miejsca. Mieli mocno zarysowane szczęki i gładką skórę, a niektórzy odstające uszy jak Eliot. To byli na pewno ich krewni. Przyglądali się jej jednak tak intensywnie, że w końcu odwróciła wzrok i podeszła do brata.

– Jak możesz jeść? – zapytała.

Włożył do ust garść obsypanych cukrem pomarańczy i popił herbatą.

– Ominęła nas kolacja, a podróż trwała długo.

Fiona usiłowała przywołać w głowie szczegóły ostatniej godziny, ale wszystko było zamazane, wszystko z wyjątkiem kierowcy, który otworzył dla niej drzwi. Nikt wcześniej nigdy tego dla niej nie zrobił, nikt nigdy nie podał jej dłoni, by pomóc jej wysiąść z auta. Kierowca

¹⁷ Początkowo cherubinów nie zaliczano do rzędu anielskiego. W sztuce asyryjsko-babilońskiej przedstawiani są jako duże ptaki, byki lub sfinksy z ludzkimi twarzami. Po raz pierwszy nazwano je aniołami w Starym Testamencie, gdzie występują jako wyposażeni w ogniste miecze strażnicy Drzewa Życia. Dopiero stosunkowo niedawno zaczęto przedstawiać cherubiny jako niewinne dzieciątka (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. II, *Boskie inspiracje*, *op.cit.*).

¹⁸ „Niegdyś z czterema potężnymi orlimi skrzydłami, miecz żywego ognia, Belzebub stanu cherubów zbuntował się przeciwko Światłu i razem ze swymi braćmi został potępiony” (ojciec Sildas Pobożny, *Mythica improbiba*, *op.cit.*).

pachniał skórą i goździkami, a jego uśmiech, sympatyczny, nieskomplikowany, utkwił jej w pamięci. Czują, że coś przyciągają do niego jak magnes. Robert – tak zwrócił się do niego wujek Henry Eliot odstawił filiżankę herbaty.

– Wszystko w porządku?

– Tak, choć zupełnie nie rozumiem, w jaki sposób się tu dostaliśmy.

– Wszystko staje się jasne, jeśli przyjmiesz, że złamaliśmy pierwszą zasadę dynamiki. – Eliot sięgnął po małą kanapkę i uważnie obejrzał jej składniki: salami i ser provolone.

– I to wyjaśnienie ci wystarcza?

Pokręcił głową.

– Jasne, że nie. Ale kiedy się nad tym zastanawiam, jedyna logiczna konkluzja, jaka przychodzi mi do głowy, jest taka, że to ze mną jest coś nie tak, jakbym śnił... albo zwariował.

Fionie zrobiło się zimno, choć stała w ciepłych promieniach słońca.

– Boję się – wyszeptała.

– Ja też.

Przyczyną lęku Fiony nie była niezwykła podróż, lecz raczej jej powód. Dlaczego tu przyjechali?

– To wygląda zupełnie, jakby nas porwano – powiedział Eliot.

– I ta chwila, kiedy babcia i wujek Henry stali naprzeciwko siebie... Byłam przekonana, że zaraz...

– ... użyje noża?

– Tak.

– Czy myślisz – zapyta! Eliot – że zabiła pana

Welmanna, tak jak powiedział wujek Henry?

Przez całe życie Fiona bała się babci, choć ta nigdy nie podniosła na nich ręki. Kiedy zobaczyła ją trzymającą ten nóż, od razu wiedziała, iż potrafi się nim posługiwać nie tylko w kuchni. Było jasne, że już wcześniej miała z nim do czynienia.

W przylegającym do sali korytarzu rozległo się echo czyichś kroków. Po chwili w progu pojawił się wujek Henry.

– Mam nadzieję, że się najedliście – powiedział, zbliżając się do nich. Poruszał się płynnie, jakby stał się częścią znajdujących się w pokoju wypolerowanych marmurów i połyskującego złota.

– Gdzie jest babcia? – zapytał Eliot.

– Czeka na was. Jesteście gotowi, by do niej dołączyć? Nie musicie skorzystać z łazienki?

Pytał o to już, kiedy opuszczali Del Sombreg. Co on sobie myślał? Że są małymi dziećmi, których pęcherz eksploduje za każdym razem, gdy dzieje się coś ciekawego? Fiona spojrzała na Eliota, a ten pokręcił głową.

– Nie musimy – odpowiedziała, starając się, by to zabrzmiało uprzejmie.

– Świetnie – ucieszył się wujek. – Boicie się? – To było proste pytanie, a w jego głosie nie kryło się żadne podejrzenie.

– Wszystko jest trochę dziwne – odezwał się Eliot.

Fiona uniosła głowę i spojrzała wujkowi prosto w oczy, zupełnie tak, jak wcześniej tego dnia patrzyła na Mike'a.

– Ja się boję – powiedziała.

– Dobrze, że potrafisz się do tego przyznać – odrzekł wujek. – Jesteś silna i uczciwa jak twoja matka. Może ci się to przydać, bo zaraz poznasz kolejnych członków rodziny.

Fiona poczuła, jak ulatnia się z niej cała pewność siebie.

– Kolejnych? – wyszeptała.

Wujek Henry popatrzył na nią i Eliota, jakby podejmując jakąś decyzję.

– Poddadzą was testowi, by sprawdzić, czy należycie do naszej rodziny.

– A jeśli nam się nie powiedzie, wrócimy do domu? – zapytał Eliot.

– Nie – odrzekł Henry beznamiętnym tonem.

Chłód ogarniający Fionę skryształizował się w bryłę lodu i osiadł w jej brzuchu. Wujek ruszył w stronę korytarza. Wyjaśnienia najwyraźniej się skończyły.

– Chodźcie. Teraz już nie ma odwrotu.

Fiona zerknęła na brata.

– Chyba nie mamy wyboru – powiedziała.

Przytaknął i pospieszyli za wujkiem Henrym, który poprowadził ich najpierw przez gabinet pełen myśliwskich trofeów, takich jak kły mamuta oraz wypchane okazy niedźwiedzia brunatnego z wyspy Kodiak, lwa i ptaka dodo, potem przez atrium, gdzie z chrzęstem przeszli przez wysypany żwirem strumień zen. Wreszcie znaleźli się w bibliotece.

Pomieszczenie miało wysokość trzech pięter, a jego ściany wypełniały niezliczone rzędy książek przedzielone balkonami z kutego żelaza, mosiężnymi drabinami na kółkach i zadaszonymi pomostami. Biblioteka zdawała się

ciągnąć w nieskończoność – zapewne mieściła miliony tomów. Fiona poczuła zapach papieru i starej skóry. Zupełnie jak w domu. Mogłaby spędzić całe lata, odkrywając zgromadzone tu skarby.

Wujek Henry nie pozwolił im się jednak zatrzymać. Szedł dalej krótkim korytarzem, gdzie powietrze syczało od zmiany ciśnienia. Wreszcie znaleźli się na zewnątrz i przystanęli przed klifem. Wiatr od razu potargał włosy Fiony i ciemne kosmyki przysłoniły jej oczy. Zebrała je w kucyk i zobaczyła, dokąd prowadził ich wujek: w stronę wąskiego kamiennego mostu, który wiódł ponad spienioną wodą na wyspę.

Kiedy podeszli bliżej, dostrzegli też przerwana w kilku miejscach poręcz, zbyt niską, by mogła kogoś ochronić przed upadkiem w razie potknięcia.

– Czy to miałeś na myśli? – powiedziała, z trudem przekrzykując wiatr. – Most... Czy to jest próba?

– O, nie, dziecko – odrzekł wujek Henry. – Jeśli nie macie wystarczająco wiele determinacji, by przejść na drugą stronę, na pewno nie posiadacie choćby jednej dziesiątej zdecydowania potrzebnego, by zmierzyć się z resztą naszej rodziny. – Wyciągnął dłoń, dając im wybór.

Fiona spojrzała na Eliota. Brat sięgnął po jej rękę, myśląc o tym, że czterem stopom łatwiej jest zachować równowagę niż dwum. Każde z nich również rozumiało bez słów, że choć gest ten łamał ich umowę, by pod żadnym pozorem się nie dotykać, żadne z nich nigdy o tym nie wspomni.

Razem wkroczyli na popękane, pozbawione spoiwa kamienie. Wiatr wokół Fiony zdawał się przybierać na sile, więc ugięła nogi w kolanach i zaczęła przesuwać się

do przodu drobnymi krokami. Przestrzeń pod nią buzowała, niestabilne prądy powietrzne wpadały w kolejne rezonanse. Dziewczyna próbowała wpatrywać się w swoje stopy, co zawsze przychodziło jej z taką łatwością w czasie pracy „U Ringo”, ale teraz jej wzrok uciekał ku poszarpanym skalom i pieniacej się poniżej wodzie. Unosząca się w powietrzu sól zapiekła ją w oczy. Zamrugła, by pozbyć się gromadzących się pod powiekami łez, i szła dalej. Nie miała wyjścia. Jeśliby się zatrzymała, Eliot uznałby, że jest tchórzem. A tego nie chciała za wszelką cenę.

Nagle kamienie mostu urwały się i Fiona stanęła na ciemnym piachu. Jednocześnie puścili swoje dłonie.

– Widzicie? – wujek Henry przebiegł po moście za nimi. – Drobiazg.

– Tak – wyszeptał Eliot. – To było łatwe.

Fiona, słysząc to kłamstwo, przeszła go wzrokiem.

– Tędy – wujek poprowadził ich w stronę amfiteatru.

W środku wiatr ucichł. Fiona poczuła się jak we wnętrzu kulistego akwarium. W najniższym kręgu siedziała babcia, naprzeciwko niej cztery inne osoby, trzej mężczyźni i jedna kobieta. Babcia zamrugła na widok Fiony i Eliota, ale wyraz jej twarzy niczego nie zdradzał.

– Pozwólcie, że przedstawię: Fiona i Eliot Postowie – wujek Henry zwrócił się do nieznanym. – Eliot, Fiona, to są... – Westchnął. – Jeśli nie macie nic przeciwko temu, daruję sobie wszystkie „wielce szanowny” i „stryjeczny kuzyn ze strony matki”. Stał przy kobiecie, która urodą przypominała modelkę lub aktorkę. Jej uśmiech sprawił, że Fiona poczuła się całkowicie

swobodnie i jednocześnie ogarnął ją jakiś niepokój.

– To jest wasza ciocia Lucia.

Ciocia? Czy to znaczyło, że to była siostra ich matki? Czyjej mama też była tak piękna? Czy istniała choćby najmniejsza szansa, że Fiona będzie też tak wyglądać, kiedy dorośnie? Następnie wujek Henry wskazał mężczyznę ze złotą brodą i falującymi włosami, który miał na sobie dzinsy, tenisówki i białą koszulę z krótkimi rękawami. Uśmiechnął się do nich.

– Wasz kuzyn, Gilbert.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział Gilbert.

– Dalej... – Henry odwrócił się ku pochmurnemu mężczyźnie trzymającemu łokcie na kolanach, a ten spojrzał na Fionę i Eliota, jakby byli badanymi pod mikroskopem eksponatami; jego opadające wąsy przypominały Fionie rysunki mongolskich wojowników, którzy przemierzali Azję, zabijając wszystkich, którzy stanęli im na drodze – ... wasz wujek Aaron – powiedział Henry, a potem okręcił się ku starszszkowi, który siedział ze skrzyżowanymi nogami za plecami wujka Aarona. Wokół leżały rozrzucone notesy i wykresy. Jego oczy rozbliły. – Wujek Cornelius – dokończył prezentacji.

– Bardzo nam miło was poznać – odezwała się Fiona i to chyba była najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziała.

Wcale nie było jej miło, że musiała tu być ani że poznała tych wszystkich ludzi. Powinna zażądać wyjaśnień. Zerknęła na babcię, która kiwnęła głową. Przynajmniej udało jej się wydusić z siebie jakiegokolwiek słowa.

Ciocia Lucia wstała. Jej czarna suknia zafalowała,

czerwone róże zdobiące tkaninę były dokładnie tego samego koloru co jej usta i włosy. Fiona, w szarej bluzce, z przesiąkniętymi olejem włosami zawiązanymi w kucyk, poczuła się niezdarnie, stojąc przed tak elegancką kobietą. Jak okropnie musi wyglądać w oczach tych ludzi.

– Przebyliście daleką drogę – odezwała się Lucia. – Na pewno jesteście zmęczeni, ale byłibyśmy wdzięczni, jeśli odpowiedzielibyście na kilka pytań.

Fiona się wyprostowała. Mieli z Eliotem wprawę w odpowiadaniu na pytania. Jeśli na tym miał polegać ów test, o którym wspomniał wujek Henry, nie miała się czego obawiać. Odkąd tylko pamiętała, odpowiadali na pytania babci. Zerknęła więc na Eliota i ten kiwnął głową.

– Jesteśmy gotowi – zwróciła się do Lucii.

– Ja zacznę – powiedział wujek Cornelius. Sięgnął po notes i uniósł długopis, żeby zapisać odpowiedź. – Ulubiony kolor?

Fiona była zaskoczona. Spodziewała się pytań typu: Jaka jest stolica Madagaskaru? Nikt nigdy wcześniej nie zapytał jej, jakie lubi kolory.

– Purpurowy – odrzekła bez namysłu.

To był pierwszy kolor, jaki przyszedł jej do głowy. Nie lawendowy, ale czarnopurpurowy kolor zmierzchu i najwcześniejszego poranka, ciemny, głęboki i trochę smutny.

Czoło Eliota przecięły zmarszczki koncentracji.

– Szary.

Cornelius zapisał obie odpowiedzi i zerknął na wykresy. Wujek Henry usiadł i zapytał:

– Zamknięty jestem trójkątem. Otwarty kołem. Czym jestem?

Fiona uwielbiała zagadki. Kiedy byli małymi dziećmi, wciąż szukali nowych. Rozwiązali wszystkie, jakie udało im się znaleźć w domowej bibliotece, oraz te, które znały babcia i Cecilia. To zresztą było powodem, dla którego wymyślili kolejną zabawę – słownikowe obelgi.

– Parasolem – odpowiedzieli jednocześnie.

– Ale precyzyjnie rzecz ujmując – dodał Eliot – zamknięty jesteś stożkiem.

– A otwarty półkulą.

Twarz wujka Henry'ego pojaśniała.

– Zwróć uwagę – rzekł do Corneliusa – na zdolność myślenia abstrakcyjnego w wielu wymiarach.

– Tak – zamruczał Cornelius i zapisał kilka równań matematycznych.

Aaron prychnął i zapytał:

– Ile kwadratów znajduje się na szachownicy?

Fiona wiedziała, że szachownica ma sześćdziesiąt cztery kwadraty: osiem na osiem ułożonych na przemian czarnych i białych pól. Ale kwadraty dało się też utworzyć z każdego bloków dwa na dwa pola czy też trzy na trzy.

– Zaczynj od największych bloków – wyszeptał do niej Eliot.

Fiona nastroszyła się nie dlatego, że była to zła podpowiedź, ale dlatego że Eliot miał rację: w ten sposób liczenie szło łatwiej.

– Można znaleźć wzór – powiedziała bratu.

– Właśnie się zorientowałem. – Teraz to Eliot był zły, że to ona pierwsza na to wpadła. – Jeden, cztery, dziewięć...

– Liczby podniesione do kwadratu – poinformowała go. – Ostatnia to kwadrat ośmiu, czyli

sześćdziesiąt cztery pojedyncze pola. Dodając je wszystkie, otrzymujemy... dwieście cztery – jednym głosem już dali odpowiedź Aaronowi.

Cornelius uniósł wzrok znad notatek.

– Moje obliczenia pozostają w równowadze. Prawdopodobieństwo przewagi obu genetycznych możliwości jest identyczne.

Ciocia Lucia wydała z siebie długie westchnienie przypominające syk.

– Edypowi udało się odgadnąć zagadki Sfinksa, ale to nie mówiło nic o jego pochodzeniu. Dzieci są inteligentne, przyznaję... Ale przecież każdy może być po prostu bystry. Czyż nie szukamy w nich iskry transcendencji? – Lucia zacisnęła zęby. – Nie możemy ryzykować w sprawie, która może zaważyć na losach całej rodziny.

Pozostali milczeli. Fiona słyszała bicie własnego serca. Za chwilę rzekomi wujkowie i ciocie wydadzą na nich wyrok, choć rodzeństwo nie oblało żadnego z testów, przed którymi je postawiono.

– Oczywiście nie trzeba ograniczać się do słów. Zawsze możemy posłużyć się innym sposobem. – Henry sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwie kości do gry. Miały czerwone ścianki z białymi kropkami i pobłyskiwały jak rubiny. Na ich widok zgromadzeni wyraźnie się ożywili.

– Skąd je masz? – zapytała Lucia z zazdrością.

– Z jeziora Tahoe. – Henry wyciągnął dłoń, aby wszyscy mogli dobrze przyjrzeć się kościom. – Czy ktoś się sprzeciwia?

Nikt się nie odezwał.

– Świetnie.

Podał kości Fionie. Dziewczyna spojrzała na babcię, która zmarszczyła brwi, lecz w końcu kiwnęła głową. o używaniu kości mówiła osobna reguła.

Reguła 3: Kości są zakazane.

Była to najbardziej osobliwa spośród wszystkich 106 zasad. W przeciwieństwie do innych wymieniała tylko jedną rzecz. Nie zawierała też zwykłych zastrzeżeń i opisów zapobiegających niepożądanym interpretacjom; nic oprócz prostego: kości są zakazane.

Fiona sięgnęła po czerwone kostki. Były ciepłe, ale poza tym zupełnie zwyczajne.

– Rzuć nimi – zachęcił Henry. – Na stopnie.

Dziewczyna zrobiła tak, jak kazał. Kości zastukały i zatrzymały się. Na jednej wypadła jedyńka, na drugiej trójka. Henry podniósł je i znów wręczył Fionie.

– Jeszcze raz, mademoiselle – powiedział.

Fiona nie wiedziała, czy trójka i jedyńka były dobrym wynikiem ani co powinna teraz wyrzucić, żeby wygrać. Zauważyła jednak, że napięcie pośród zgromadzonych wokół niej jeszcze wzrosło. Zaciśnęła dłoń wokół kości. Teraz były gorące. Rzuciła. Trójka i czwórka. Razem siódemka.

– Zaklepane! – obwieścił Henry z łaskawym uśmiechem na twarzy.

Wszyscy wyraźnie się rozluźnili.

Fiona nie mogła w to uwierzyć. Wszystko stało się tak szybko. Nie trzeba było nawet mieć opracowanej żadnej strategii czy pomysłu na grę, wystarczyły losowo wygenerowane numery.

– Przegrałam? – zapytała ze ściśniętym gardłem.

– O, nie – zapewnił Henry. – Wygrałaś śpiewająco – dodał i odwrócił się do Eliota, by wręczyć mu kości.

Chłopak pocił się, kiedy je odbierał. Drżały mu ręce. Tak czy inaczej, zacisnął pięść, głośno przełknął i rzucił.

Kości potoczyły się i odbiły kilka razy od stopni. Jedna wylądowała krawędzią do góry we wgłębieniu w kamieniu. Druga, przekrzywiona, oparła się o ściankę następnego schodka. Henry niepewnie spojrzął na kości i z powrotem podał je Eliotowi.

– Powtórz.

Eliot zbladł. Wyglądał jak wtedy, kiedy zjadł „U Ringo” upieczoną miesiąc wcześniej pizzę i przez całą noc wymiotował. Fiona chciała go zapytać, czy dobrze się czuje, ale był tak skoncentrowany na kościach, że nie była pewna, czy w ogóle by ją usłyszał.

Rzucił ponownie. Kości przemknęły przez powietrze, pobłyskując, opadły – i zaczęły podskakiwać jak eksplodujący popcorn. Odbiły się od kamieni, minęły się w locie i wreszcie zatrzymały... przekrzywione i oparte o siebie nawzajem.

– Fascynujące – powiedział Henry półgłosem.

Nikt więcej się nie odezwał. Nawet wujek Cornelius przestał notować. Babcia wstała.

– To nie jest wystarczający sprawdzian – oznajmiła, patrząc z góry na wszystkich zgromadzonych. – Przetestujcie ich naprawdę. Poddajcie próbom, które będą godne członków naszej rodziny.

Wujek Aaron uderzył w stopień i w powietrze uniosła się chmura kurzu, a Fiona poczuła pod stopami drżenie kamienia.

– Właśnie! Jak za dawnych dni. Bohaterskie próby. Ile czasu minęło od ostatniego takiego widowiska?

Wujek Henry przekrzywił głowę.

– Dwa milenia... Tak mniej więcej.

Fiona myślała, że to żart, ale nikt, nawet wujek Henry się nie uśmiechał.

– Trzy próby wystarczą – powiedział Cornelius. – Wtedy wszystko rozstrzygnie się z dziewięćdziesięćdziewięćoprocentową pewnością.

Różowy kolor odpłynął z ust cioci Lucii. Otworzyła wargi, by się odezwać, ale kuzyn Gilbert ją uprzedził:

– Świetny pomysł. Prawdziwe próby dla prawdziwych kandydatów. Zgłaszam to jako formalny wniosek.

– Przychylam się do propozycji – natychmiast zareagował Aaron.

– Nasze zebranie staje się jednym z najlepszych w historii Rady – zauważył Henry. – Głosujmy. Wszyscy są za?

– Za! – wykrzyknęło czterech mężczyzn.

Lucia wciąż milczała, ale wbiła wzrok w babcie.

– Oczywiście musimy poczekać, by pełny skład Rady ustalił dokładny charakter tych prób – odezwała się tamta po chwili.

Ciocia zacisnęła wargi w białą linię i skinęła lekko głową.

– Oczywiście.

Fiona wyczuła, że między tymi dwiema kobietami wydarzyło się więcej, niż była w stanie zrozumieć, i odgadła, że babcia wygrała właśnie dla nich jakąś bitwę. A Lucia przegrała.

– W takim razie przyjmujemy konkluzję Rady – powiedziała babcia.

– W sprawozdaniu należy zapisać – ogłosiła ciocia Lucia – że zdolności i potencjał dzieci zostaną poddane trzem bohaterskim próbom. Tym sposobem odkryjemy ich charakter i określimy pochodzenie. Być może zdołają dowieść swojej wartości na tyle, by pozostać żywe. – Patrzyła teraz wprost na Fionę, która poczuła, jak ulatniają się resztki jej sił. – A może nawet na tyle, by stać się częścią naszej rodziny

NAGOWIE DHARMY

Sealiah przejechała szkarłatnym paznokciem po lustrze, wodząc po wyrytych wzdłuż jego krawędzi geometrycznych wzorach w stylu art deco. Przyciski w windzie wykonano z gładko szlifowanych rubinów, oczywiście sztucznych i pobrudzonych tłustymi paluchami.

Wygląd kabiny świetnie oddawał wystrój całego budynku, hotelu i kasyna Babilońskie Ogrody – niewiarygodną mieszankę blichtru i kiczu. To tutaj pulsowało i wykrwawiało się serce Las Vegas.

Nienawidziła tego miejsca. Jednorecy bandyci oszukiwali, koktajle z krewetek cuchnęły, a drinki były rozwodnione.

Poprawiła ramiączko sukni wykonanej z delikatnych łusek i srebrnej morskiej piany, kuloi ostrzoodpornej, chociaż w ogóle mogła z niego zrezygnować. Sealiah bowiem nie miała w zwyczaju udawać skromności (chyba że po to, aby kogoś uwieść). Takie spotkania jednak często stawały się brutalne, a trudno walczyć z suknią zaplątaną wokół kostek.

Odchyliła się do tyłu, opierając się na potężnej klatce piersiowej swojego najwierniejszego sługi Urakabameela. Uri miał na sobie smoking od Cornelianiego i wyglądał jak góra z eleganckiej grafitowej wełny. Jedyne akcent kolorystyczny w jego stroju

stanowiła wpięta w krawat szmaragdowa spinka w kształcie czaszki – znak, że należał do Sealiah.

– Jesteśmy obserwowani – odczuła jego dudniący głos w kościach.

– Niczego innego się nie spodziewałam – odparła.

Odwróciła się, rozpięła Uriemu smoking i owinęła się w jego szerokie poły. W lustrach na ścianach obserwowała przesuujące się zygzakami z prawa na lewo numery opisujące ruch windy na tyłach budynku. Wtulając się w klatkę piersiową swojego sługi, wyszeptwała:

– W ten sposób możemy rozmawiać.

– Uda się? – Spuścił z szacunkiem oczy, ale by nikt ich nie słyszał, musiał objąć ją ramieniem. Robiąc to, przysunął ją do siebie ciut za blisko, niż wydawało jej się to konieczne.

– W przypadku naszej rodziny szanse na to, że cokolwiek potoczy się zgodnie z planem, są znikome.

Jego twarz pociemniała. Sealiah przesunęła wzdłuż swojej nogi, do rąbka sukienki, a potem w górę po wnętrzu uda, aż dotknęła zimnego metalowego futerału.

– Nie mamy wyjścia – powiedziała. – Ta dwójka dzieciaków może się okazać dla nas największym zagrożeniem. Lub największą okazją.

Uri się uśmiechnął. Nigdy wcześniej nie odważył się na uśmiech w jej obecności, więc pewnie zdawał sobie sprawę, że mogą to być ich ostatnie wspólne chwile.

Był u jej boku od samego początku, a teraz musi z niego zrezygnować, bo ktoś inny domagał się daniny. To było okrutne nawet jak na ich standardy. Ale takie były obyczaje. Jeśli chciała wziąć udział w grze, musiała zapłacić wpisowe. Nie wykluczało to jednak gry na dwa

fronty.

Uwolniła futerał i przycisnęła go do piersi Uriego. Jego oczy się rozszerzyły.

Patrzył na Salicerana. Pofalowana krawędź dwudziestocentymetrowego ostrza odzwierciedlała wzory damasceńskiej stali. Spomiędzy przyciemnianych i srebrnych linii wypływała oleista trucizna. Wielu twierdziło, że ta broń była żywą istotą o żądzy krwi dorównującej pragnieniu jej właściciela.

– Weź go – powiedziała Sealiah. – Szybko.

Uri ostrożnie złapał ostrze dwoma palcami i wsunął do jednej z wielu kieszeni smokingu. Sealiah zerknęła na podświetlone numery. Zostały im tylko sekundy. Jej spojrzenie zamglilo się od łez. Płacz – jakie to niemądre.

– Pani – wyszeptał Uri i zaczął się obniżać, by uklęknąć przed nią, ale przypomniał sobie, że musi pozostać wyprostowany, aby chronić ich przed podsłuchem. Wyciągnął więc chusteczkę i delikatnie otarł jej policzki. – Sprawiasz mi wielki zaszczyt.

Pociągnęła nosem, zamrugowała powiekami i wyczyściła umysł ze wszystkich zbędnych myśli. Teraz, zwłaszcza teraz nie mogła sobie pozwolić na taki luksus jak uczucia.

Uri delikatnie wsunął chusteczkę do kieszonki na sercu.

– Czy nie ma innego sposobu?

Nie zareagowała. Jego wątpliwości uznała nie tyle za zuchwałość i brak wiary w jej plan, ile chęć pozostania przy jej boku. Na to mogła pozwolić. Wygładziła sukienkę i odwróciła się. Ostatni numer rozświetlił się i winda zadzwoniła, stając.

– Będzie mi ciebie brakowało, Uri.

Lustrzane drzwi rozsunęły się i Uri wyszedł pierwszy, by upewnić się, czy pomieszczenie jest bezpieczne. Oczywiście z uwagi na okoliczności nie wszystko dało się przewidzieć, ale starania należało podejmować.

Wreszcie Sealiah, Królowa Maków, wkroczyła do luksusowego apartamentu na ostatnim piętrze hotelu. Za przeszkloną ścianą rozciągał się wspaniały widok. Po jednej stronie iskrząca się główna aleja Las Vegas, przypominająca stół zastawiony klejnotami, po drugiej światło księżyca delikatnie muskające srebrzystą powierzchnię pustyni.

Z pomieszczenia usunięto wszystkie meble z wyjątkiem wielkiego stołu z czarnego bazaltu. Krzesła przestawiono pod ściany, jako że członkowie Zarządu woleli obradować na stojąco. Stać na własnych nogach – innymi słowy, zapewnić sobie najlepszą pozycję do obrony. Idealnie niczym kameleony wtapiali się w otoczenie, ginąc pośród światła i ciemności.

Zgromadziło się ich pięcioro. Pierwszy z prawej stał Lev, Pan Nieskończonych Głębin Morskich, starszy od soli, wyższy niż Uri i wystarczająco silny, by zmiażdżyć jej sługę jednym uderzeniem utwardzonej przez wieki pięści. Był w białych poliestrowych dresach, które połyskiwały naprężone wokół jego potężnego ciała. Na szyi nosił sto złotych łańcuchów ozdobionych wisiorkami szczęścia, amuletami i medalikami. Wyglądał jak prawdziwy lew morski.

– Podobno spóźnianie się jest teraz modne – odezwał się do niej i zaszczyił ją lekkim ukłonem głowy,

w którego wyniku wiszące na jego szyi dwadzieścia kilogramów złota głośno zabrzęczało.

– Pozdrowienia dla Bestii – odparła.

Po lewej od Leva stała Abby Niszczycielka, Służebnica Armagedonu, Pani na Zamku Obrzydliwości, osłonięta półprzezroczystym czarnym welonem, który zakrywał dokładnie tyle z jej drobnej postaci albinoski, by dać szansę na zadziałanie wyobraźni. Przydymione kamienie kwarcu wplecione w tę delikatną tkaninę podkreślały jej sutek, gardło i policzek. Po ramieniu Abby niespokojnie pełzał należący do niej pasikonik.

Ledwo zerknęła na Sealiah, ale w jej przypadku można to było uznać za bardzo serdeczne powitanie. Sealiah pozwoliła, by ta zniewaga pozostała bez odpowiedzi. Niszczycielki nie należało prowokować bez ważnych powodów.

Na lewo od siebie Sealiah dostrzegła przyjaźniejszą twarz Oza, Władcy Pułapek Świetności i Supergigantycznego Cyrku Potępienia. Oz miał długie kręcone włosy i starannie wypielęgnowane wąsy oraz bródkę. Ubrany był w kombinezon z fioletowego aksamitu i plisowaną koszulę. A ponieważ jego androgyniczne rysy twarzy pokrywała zbyt gruba warstwa makijażu, można było odnieść wrażenie, że obcuje się z gwiazdą rocka – co Ozowi sprawiało wyraźną przyjemność. Jego zęby zabłyśły w uśmiechu i wyciągnął dłoń w kierunku Sealiah.

Nie była naiwna. Schowała rękę, udając kokieterię, gdyż nie chciała ryzykować jej utraty, a w ten sposób nie mogła go urazić.

Obok Oza stał Ashmed, Główny Architekt Zła. Jego widok w pierwszej chwili zaskoczył Sealiah, choć

wprawnie ukryła wszelkie oznaki zdumienia. Wszyscy szanowali Ashmeda, gdyż nigdy przed nikim nie zdradzał się ze swoimi intrygami. W jego wypadku nie można było mówić o zdradach czy ciosach w plecy, lecz jedynie o bezdennych tajemnicach.

Ashmed rzadko brał udział w zebraniach Zarządu, choć należał do jego założycieli. Miał czarne połyskujące włosy, teraz krótko ostrzyżone, i prosty niebieski garnitur, a w jego skromnym stroju wyróżniał się jedynie ekstrawagancki złoty pierścień, a także dymiące cygaro marki Sancho Panza Belicoso.

– Twoja obecność jest dla nas zaszczytem – powiedział i lekko się skłonił.

– Podobnie jak twoja, Architekcie.

Wreszcie wzrok Sealiah spoczął na Bealu, przewodniczącym Zarządu.

Oczywiście wiedziała, że zajmie swoje miejsce u krańca stołu, ale do tej pory powstrzymywała się od spojrzenia wprost na niego. Beal był próżny i to pogwałcenie dobrych obyczajów miało na celu zirytować go przynajmniej w takim stopniu, w jakim on irytował ją.

Stał owinięty w pelerynę z piór: puszystych strusich, królewskich pawich, długich bażancich i powplatanych między nie opalizujących piórek kolibra. Pod tym strojem był zupełnie nagi i Sealiah podziwiała jego jakby rzeźbione w marmurze mięsły, a także rozmyślała o tym, jak łatwo byłoby wyrwać mu serce. Pewnego dnia to się stanie. Nie będzie jej przy tym, ale dowie się o tym i zacznie świętować.

Ukloniła się nisko, ogarniając spojrzeniem wszystkich obecnych.

– Pokorne pozdrowienia dla Króla Przeklętych Krain, Księcia Fałszywych Bogów i Pana Wszystkich Istot Skrzydlatych.

Beal wybuchnął krótkim śmiechem.

– Pokorne? Ależ, Sealiah, wyprostuj się i zajmij miejsce pośród swoich. Z ukłonami ci nie do twarzy.

Uśmiechnęła się nieszczerze i stanęła po przeciwnej stronie stołu.

– Czy przyniosłaś daninę związaną ze zwołaniem Zarządu? – zapytał Beal.

Ze sporym trudem powstrzymała się, by nie zerknąć do tyłu.

– Pozwólcie, że przedstawię wam mojego kuzyna Urakabameela.

Uri zbliżył się, uważając, by nie padł na nią jego cień, położył na stole laptop, wykonując tym samym ostatnią czynność jako jej sługa, i podszedł do Beala, który zaczął mu się demonstracyjnie przyglądać.

– Dobrze – powiedział. – Przyjmuję go.

Uri pochylił głowę i stanął za Bealem po jego lewej stronie.

Sealiah nie sądziła, że ten widok będzie dla niej aż tak bolesny. Nie miała jednak wyboru.

– Niniejszym ogłaszam spotkanie Zarządu za oficjalnie rozpoczęte i przywołuję obecnych do porządku – oświadczył Beal.

Pozostali zaśmiali się, słysząc jego słowa, ale on wyciągnął z wyższością rewolwer – solidny praktyczny niemiecki korth . 35 7 magnum – i trzy razy wystrzelił w sufit. To rozbawiło obecnych jeszcze bardziej .

Przewodniczący wskazał pistoletem na Sealiah.

– To ty zwołałaś zebranie. Powiedz dlaczego.

– Pokażę wam. – Otworzyła laptop już podłączony do obsługującego pokój serwera i włączyła rzutnik. – Chodzi o dwoje dzieci.

Uwaga członków Zarządu skupiła się na plikach, które otwierała Sealiah, prowadząc ich wzdłuż ścieżki z okruszków, jaką odkrył Uri, poszukując Louisa: długi na kartach kredytowych, sądowe ogłoszenie bankructwa, nazwiska prawników, wreszcie fundusz oszczędnościowy. Na końcu wyświetliła zdjęcia Eliota i Fiony Postów. Członkowie Zarządu natychmiast dostrzegli podobieństwo, choć niewątpliwie pomogły im w tym szczodrze podrzucane przez Sealiah wskazówki.

– Potomkowie Louisa?! – wykrzyknął Oz. – Jak to możliwe?

– Wszyscy słyszeliśmy pogłoski – powiedziała Sealiah – o nim, o jednej z tamtej rodziny i o ich paryskim epizodzie.

To były stare plotki, w dodatku nigdy nie potwierdzone, gdyż Louis zniknął prawie szesnaście lat temu. Ale widok dowodów dosłownie gapiących się na nich ze zdjęć wytrącił uczestników zebrania z równowagi.

– Zostawmy na razie na boku kwestie biologiczne – odezwał się Ashmed. – Czy to w ogóle możliwe z prawnego punktu widzenia? Przecież nie możemy nawet ich dotknąć.

– Chyba że wszystko odbyło się za zgodą obu stron – zauważył Beal. – Czy już kiedyś coś takiego się wydarzyło?

Nikt się nie odezwał.

Sealiah uznała, że pora podzielić się z resztą całą

swoją wiedzą. Beal i tak wydobyłby przecież wszystkie informacje od Uriego, a ona w ten sposób nie tylko oszczędzi mu kłopotów, a także zapobiegnie sytuacji, w której Beal mógłby uzyskać przewagę nad innymi. Z powrotem nachyliła się więc nad klawiaturę laptopa i wpisała komendę. Twarze dzieci pokryły się migającymi liniami i łańcuchami cyfr.

– Oprogramowanie Interpolu do rozpoznawania twarzy daje wynik siedemdziesięciu trzech procent prawdopodobieństwa, że to są jego dzieci. Kwestia identyfikacji ich matki jednak pozostaje otwarta.

– Czyli należą do nas – oznajmiła Abby. – Możemy z nimi zrobić, co chcemy.

– Niekoniecznie – sprzeciwił się Ashmed. – Jeśli są Louisa i kogoś z tamtych, wtedy...

– Ta cała dyskusja jest zbyteczna – przerwał im Lev. – Trzeba wytropić tych mieszaińców i ich zabić. Jeśli cokolwiek może wykurzyć Louisa z kryjówki, to właśnie śmierć tych dzieci. Zabawimy się. Poleje się krew – mówiąc to, walnął grubą pięścią w stół. – Mógłbym rozerwać ich na małe...

Abby chwyciła rewolwer Beala, zanim ten mógł ją powstrzymać, i trzy razy strzeliła w Leva. Trafionego odrzuciło do tyłu, a kawałki złotego łańcucha oderwały się od jego piersi i upadły na stół. Abby opuściła na blat dymiącą broń.

– Stary głupcze, przemoc nie zawsze jest dobrym rozwiązaniem.

Lev podniósł się z wysiłkiem. Przez jego białą poliestrową bluzę sączyła się krew. Niecierpliwym gestem zgarnął z siebie resztki popękanej biżuterii.

– W takim razie – warknął – o co w ogóle chodzi w tej dyskusji?

– O to, że dzieci mogą należeć jednocześnie do naszej, jak i tamtej rodziny – powiedziała Sealiah. Jeszcze raz zerknęła na zdjęcia, podekscytowana podobieństwem dzieci do Louisa... a także do kogoś innego.

– To może być obosieczna broń – stwierdziła Abby. – Jej użycie wiązałoby się z poważnym ryzykiem.

– Nawet jeśli tylko w części należą do nas – zamruczał Oz – czyż nie powinniśmy ich tu sprowadzić? Kto nas powstrzyma?

– Druga rodzina zdaje się już się wmieszała – powiedziała Sealiah. – Uri śledził dzieci aż do samego domu, gdzie zastał czekającego na rodzeństwo posłańca tamtych. Druga rodzina wiedziała więc, a przynajmniej podejrzewała, kim mogą być dzieci.

– Takiej okazji po prostu nie możemy zignorować – oświadczył Beal. – Jak długo już przyglądaliśmy się, jak tamci żyją sobie spokojnie? Ich Liga ma w ręku zasoby, które powinny należeć do nas. To może być nasza szansa.

Sealiah wiedziała, że kiedy Beal mówi „nasza”, tak naprawdę ma na myśli „moja”. Ale jednocześnie przewodniczący poruszył ważną kwestię. Liga kontrolowała międzynarodowe korporacje, zatrudniała miliony pracowników, subtelnie manipulowała polityką Narodów Zjednoczonych i wpływała – dzięki masowej reklamie i łapówkom wypłacanym decydentom – na moralność i obyczaje miliardów ludzi. Były to kuszące aktywa, o jakich ich słabo zorganizowany Zarząd mógł tylko pomarzyć.

– Nasza szansa – powtórzyła. – Wystarczyłoby

wyciągnąć po nich rękę, gdyby nie sojusz o neutralności, którego nie możemy złamać.

– A ja wciąż myślę, że usunięcie ich byłoby najlepszym rozwiązaniem – nalegała Abby. Jej pasikonik zaświergotał, jakby przychyłając się do tej opinii.

– Cóż, proponuję, żebyśmy poddali tych dwoje próbie – powiedział Oz. – W ten sposób ustalimy, do której strony przynależą: do nas czy do tamtych.

Wśród członków Zarządu dało się wyczuć rosnące napięcie. Było jasne, że nie zniosą dłuższej dyskusji. Decyzję należało podjąć w ciągu kilku sekund, w przeciwnym razie niewątpliwie groził im wybuch przemocy.

Ashmed uniósł rękę.

– Istnieje tylko jeden cywilizowany sposób wyboru drogi.

Wyciągnął rozłożone dłonie nad kamienny stół, na którym pojawiły się dwie białe kości do gry. Jego magiczne sztuczki były jak zawsze imponujące.

Kostki były częścią większego zestawu – pięciu kości zwanych nagami dharmy. W starożytnych czasach wycięto je z kości monstrualnego węża wodnego i na ich ściankach wyryto pożerającego własny ogon węża, dwa podskakując psy, trzy skrzyżowane orientalne szable, cztery gwiazdy, pięć dłoni (każda ułożona w inny nieprzyzwoity gest) i sześć frunących kruków. Te legendarne sześciiany nie poddawały się żadnym manipulacjom i cieszyły się w rodzinie opinią nieomylnych zwiastunów przeznaczenia – zarówno dobrego, jak i złego.

– Chyba że ktoś się sprzeciwia? – zapytał Ashmed.

Nikt się nie odezwał. Zasadniczo nikt nie mógł zaprotestować. Kości stanowiły sposób na uniknięcie kłótni, w którą niemal zawsze przeradzały się ich dyskusje, a także pozwalały zapobiec rozlewowi krwi, nieuchronnie następującemu po kłótniach. Rodzina od wieków rozwiązywała spory w ten sposób: pozwalając zdecydować przypadkowi. To oni, a nie Bóg grali w kości ze światem¹⁹.

Beal otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale już było za późno. Kiedy kości znajdowały się na stole, kończyła się dyskusja. Od tej chwili jedynymi możliwościami były rzut lub krwawa walka. Beal kiwnął więc głową w stronę Ashmeda i powiedział:

– Ustalmy jednakowe szanse dla dwóch możliwych zdarzeń.

– Śmierć – odezwała się Abby.

– Tak – potwierdził Asmed. – Nieparzysty wynik będzie oznaczał śmierć. Ale gdy liczba będzie parzysta, poddamy dzieci próbie. Jeśli przeżyją, zdecydujemy, co z nimi dalej zrobić na podstawie jej rezultatów.

– Jaką próbę proponujesz? – zapytał Lev.

– Standardową – odrzekł Beal. – Kuszenie. Trzykrotne. Muszą przewyciężyć każde.

– O, tak – Oz klasnął w dłonie. – Po pierwsze, dziewczyna dla chłopaka. Jestem pewien, że Sealiah może

¹⁹ Ten popularny cytat pochodzi z listu Alberta Einsteina do Maxa Borna, w którym, odnosząc się do mechaniki kwantowej, Einstein pisze: „On [Bóg] nie gra w kości”. Członkowie tej rodziny, którzy rzekomo zerwali wszelkie związki z Bogiem, pogardzają deterministycznym poglądem na rzeczywistość Einsteina. Są entuzjastami mechaniki kwantowej i wpisanej w nią losowości, wpływającej na dzieje wszechświata i przeznaczenie pojedynczych istot (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XIII, *Sily piekielne*, *op.cit.*).

dostarczyć odpowiedni materiał.

Sealiah skłoniła się lekko.

– A kuszenie dziewczyny... – spojrzała na Beala. – Słodczyce?

Beal przytaknął.

– Oczywiście. Tradycyjne sposoby są najlepsze.

Sposób, w jaki dzieci zareagują na kuszenie, odkryje ich pochodzenie. Jeśli należą do drugiej rodziny, pozostaną odporne, a chronić je będzie traktat o neutralności. Jeżeli przynależą do tej, wykorzystają kuszenie. Gdy się natomiast okaże, że są zwyczajne... zostaną zniszczone.

– Więc postanowione? – Ashmed zagarnął kości i zbliżył się do Sealiah. Stał tuż za nią, tak blisko, że czuła jego zapach: cynamon i pustynny piasek, dym cygar i piżmo. – Ponieważ to ty nas wezwałaś – zwrócił się do niej – do ciebie należy ten honor. – Położył przed nią kości.

Beal zmarszczył brwi, a jego peleryna z piór poruszyła się, ale milczał.

Sealiah podniosła kości i zacisnęła je w pięści. Były twarde i wydziały tak przejmujące zimno, że poczuła ból w kręgosłupie. Potrząsnęła nimi głównie po to, by ukryć drżenie rąk. Przecież tego właśnie chciała, prawda? To było najkorzystniejsze strategicznie posunięcie. Musiała zaangażować w to całą rodzinę. Potrzebowała ich pomocy, by zmierzyć się z potęgą tamtych. Nikt nie szedł na wojnę w pojedynkę. Potrzebowała całego rzędu pionków, aby ją chroniły, a także, gdy to będzie konieczne, poświęciły dla niej życie.

Stawka była ogromna. Dwie rodziny utrzymywały

stan neutralności bardzo długo... Czy będą jeszcze pamiętały, jak toczyć takie bitwy? Bo Sealiah pamiętała.

Rzuciła kości. Przeleciały lukiem w powietrzu i zaczęły spadać; obrazy na ich ściankach były zamazane. Wreszcie uderzyły w czarny blat, odbiły się od niego i potoczyły na jego koniec, tworząc galimatias węży, pięści, mieczy i kruków. Sealiah wstrzymała oddech. Spojrzała na gwiazdy błyszczące nad leżącym pod jej stopami Las Vegas i wypowiedziała w duchu życzenie.

Nagowie dharmy zatrzymali się. Przeznaczenie zostało zapisane.

16

NIKOMU NIE UFAJ

Eliot podążył za wujkiem Henrym przez jego przepastny garaż przypominający salon sprzedaży egzotycznych samochodów. Między rzędami błyszczących błotników i przednich świateł stały na przykład zielony buick tourer z 1917 roku, porsche 550 spyder i zdecydowanie niecywilny model humvee.

Fiona i babcia szły z tyłu. Nikt się nie odzywał.

Aerodynamiczna limuzyna, która tak błyskawicznie przywiozła ich z Del Sombry, połyskiwała w słońcu na podjeździe, wydając z rury wydechowej ciche pomruki. Srebrne emblematy na karoserii układały się w znaki: v-12 i EXELERO-4x.

Ze środka wyskoczył Robert. Poprawił skórzaną czapkę i podszedł do tylnych drzwi. Wujek Henry kazał

mu się odsunąć i sam otworzył samochód.

– Panie przodem – powiedział do Fiony.

Eliot zauważył, że siostra patrzyła wszędzie, tylko nie na kierowcę. A ten patrzył wszędzie, tylko nie na Fionę.

Kiedy wszyscy znaleźli się w środku, Henry zatrzasnął drzwi i zastukał w przegrodę. Samochód ruszył i natychmiast zaczął przyśpieszać.

Po prawej błysnęła pokryta białą pianą woda.

Wszyscy wbili wzrok w okna omijając spojrzenia innych. Eliot wyczuł rosnące napięcie. Miał chyba tysiąc pytań, ale w amfiteatrze nie mógł zadać żadnego, zwłaszcza gdy trzymał w ręce kości, które sprawiały wrażenie naładowanych elektrycznością. Coś przepłynęło przez jego dłoń. Coś niezbyt dobrego. Jak trucizna. Ale teraz znowu czuł się normalnie. Prawie normalnie.

Odwrócił się do siostry. Patrzyła na uprawy zbóż za oknem. Zazwyczaj to ona pierwsza pytała. Eliot więc czekał, słońce za oknem bladło, chowając się za chmury, a Fiona wciąż gapiała się na zewnątrz nienaturalnie milcząca. Wreszcie chłopak zaczerpnął głęboko powietrza i zwrócił się do Henry'ego:

– Mam kilka...

– ... pytań? – Henry dokończył za niego. – Życie jest ich pełne, a odpowiedzi jest tak mało. – Westchnął i zwiesił głowę. – Przepraszam, nie z wszystkiego można żartować. Doskonale zdaję sobie sprawę, że czujesz się zagubiony, młody człowieku.

– Te próby I ci ludzie. Czy oni naprawdę są moją rodziną? Sprawiają wrażenie takich...

– Dziwaków? Dyletantów? – Henry zerknął na

babcię. – Brutali?

– Tak zupełnie innych niż ja.

– Ależ są tacy jak ty. Jeszcze tego nie dostrzegasz, ale ja to widzę. Wszyscy to widzimy – Henry ściszył głos i pochylił się do przodu. – Może łatwiej ci będzie myśleć o tym wszystkim jak o walce o prawo do opieki nad dziećmi, choć toczony według dość niecodziennych zasad. Musimy się dowiedzieć, czy przynależycie do nas, czy do rodziny waszego ojca.

Ojciec. Słowo to eksplodowało jak fajerwerk w głowie Eliota. Ich ojciec od dawna nie żył, ale wciąż istniała jego rodzina, której nigdy nie poznali. Czy oni też chcieli czegoś od Fiony i Eliota?

Przypominał sobie, co wcześniej powiedział wujek Henry: te dwie rodziny przypominały Capuletych i Montecchich od pokoleń toczących z sobą wojnę. Czy jego rodzice naprawdę zginęli na morzu? Czy może razem połknęli truciznę i umarli w swoich ramionach? A może otruli ich krewni?

– Nikt nawet nie wspomniał o naszym ojcu w trakcie rozmowy – zauważył. – Czy jego rodzina jest aż tak okropna? – Właściwie pytanie miało brzmieć: Czy jest tak samo okropna jak ta, którą dziś poznaliśmy? – ale chłopak uznał, że pewnych rzeczy lepiej nie mówić na głos.

Henry znów usiadł wygodnie i rzucił babci spojrzenie podobne do tych, jakie wymieniali między sobą Eliot i Fiona: zawierało strumień informacji, któremu towarzyszyły uniesienie brwi i pokręcenie głową.

– Lepiej by było – wyjaśnił Henry – gdyby na te pytania odpowiedziała wasza babcia.

Eliot odwrócił się do niej z nadzieją, że może trochę złagodnieje i coś mu powie, ale babcia była twarda jak skała.

– Nie w obecności tej kreatury, która nie jest w stanie utrzymać języka za zębami – odrzekła.

Henry przyłożył dłoń do serca, udając zranionego.

– Naprawdę niczego nam nie wyjaśnisz? – zapytał Eliot. – Nie mogę w to uwierzyć.

Babcia odwróciła wzrok. Fiona zaś skrzyżowała ręce na piersi.

– Zatrzymaj samochód – zażądała.

Wujek Henry zerknął na zewnątrz, gdzie światło księżyca pobłyskiwało w lodowym krajobrazie.

– Moja droga, znajdujemy się w sercu pustkowia, a temperatura jest tu grubo poniżej zera.

– Powiedziałam: zatrzymaj samochód. – Fiona rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

Eliot pomyślał, że w tej chwili wygląda dokładnie jak babcia. A Audrey uważnie przyjrzała się wnuczce i szepnęła:

– Posłuchaj jej, Henry. Zobaczymy, co zrobi.

Wujek stuknął w przegrodę i ta się opuściła.

– Zatrzymaj samochód, Robercie.

Limuzyna zahamowała, wpadając przy tym w lekki poślizg.

Fiona otworzyła drzwi. Do wnętrza wpadło powietrze przypominające raczej strumień lodowatej wody. Eliot zastanawiał się, czy nie pójść za siostrą. Nie wiedział, co chciała zrobić, ale czuł, że powinni trzymać się razem. Zanim jednak zdążył odpiąć pas, drzwi zatrzasnęły się, a Fiona pomaszerowała na przód auta.

Otworzyła przednie drzwi po stronie pasażera i znów wsiadła do środka. Trzęsąc się tak bardzo, że ledwie dała radę zapiąć pas, powiedziała:

– S-s-straszny z-za-zaduch tam z tyłu.

Kierowca popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami, potem przeniósł wzrok na Henry'ego.

– W porządku – powiedział Henry. – Jedź dalej i nie oszczędzaj koni.

– Nie podnoś przegrody, młody człowieku – zakomenderowała babcia. – I skoncentruj się na drodze.

Kierowca zbladł, kiwnął głową i samochód znów skoczył do przodu.

W głowie Eliota wciąż kłębiły się pytania, ale bez Fiony u boku i wobec oporu babci nie miał już ochoty wypowiadać ich na głos. Na niebie błyszczały gwiazdy, ale tym razem nie było widać zorzy. Obludzone pustkowia po bokach zamieniły się w mroczny las, pod kołami zamiast śniegu przemykały kolejno nierówna ścieżka, polna droga, ulica z chodnikami i wreszcie czteropasmowa autostrada. Eliot rozpoznał oświetlone sklepy Del Sombry i naśladującą bawarski styl fasadę Oakwood Apartments. Samochód zatrzymał się.

– Może was odprowadzę na górę? – zaoferował się wujek. – Moglibyśmy wspólnie napić się kawy, pogadać o dawnych czasach.

– Nie trzeba. – Babcia otworzyła drzwi i kiwnęła na Eliota i Fionę, by również wysiedli.

– Bardzo było mi miło ciebie poznać, wujku – Eliot zwrócił się do Henry'ego.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Wkrótce znowu się zobaczymy.

Dla Eliota słowa te zabrzmiały jak obietnica, ale też jak groźba.

Fiona wysiadła, ostatni raz spojrzała na kierowcę i podziękowała mu za jazdę. Robert uchylił przed nią czapki.

Babcia poprowadziła ich schodami na trzecie piętro, po czym zatrzymała się przed drzwiami mieszkania, przyglądając się światłu sączącemu się przez szparę u dołu.

– Cecilia wciąż na nas czeka – stwierdziła, ale drzwi otworzyły się, zanim babcia dotknęła klamki.

W progu stała drżąca Cecilia ubrana jedynie w długą koszulę nocną.

– Tak się cieszę, że wreszcie wróciliście. Mam zaparzoną herbatę.

Na stole w jadalni stały dwa parujące garnuszki, czajnik z pajęczynowym wzorem, niebieski dzbanek z kawą, a także tuzin filiżanek i talerzyków. Cee wyciągnęła ręce w stronę prawnuczków i przytuliła ich. Znalezienie się w ramionach kogoś, kto z pewnością go kochał, przyniosło Eliotowi ulgę. Zegar w przedpokoju wydzwonił północ i Cee wypuściła ich z objęć. W końcu urodziny Fiony i Eliota się skończyły i po raz pierwszy w życiu Eliot miał nadzieję, że nic więcej niezwykłego się nie wydarzy. Chciał wrócić do swojej normalnej, nudnej egzystencji.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno – powiedziała Cee. – Jesteście głodni? Czy...

Babcia zamknęła wejściowe drzwi na zasuwę, podeszła do okna i spojrzała w dół na ulicę.

– Cecilia, przestań się płątać wokół dzieci. Jest

późno. Są zmęczone.

– Zaraz – odezwał się Eliot. – Miałaś nam opowiedzieć. O rodzinie.

Babcia zastanowiła się przez chwilę. Potem podeszła do przesuwanych podwójnych drzwi w drugim krańcu pokoju i otworzyła je.

– Wejdźcie.

Biuro babci miało w ich domu wyjątkowy status. Eliot i Fiona kilka razy stanęli w jego progu, ale tylko po to, by powiedzieć, że obiad jest na stole albo jakiś lokator stoi przed drzwiami. Nigdy tak naprawdę nie weszli do środka.

Jedyne jego okno wychodziło na centrum Del Sombry, teraz zupełnie ciemne, jeśli nie liczyć rzędu pomarańczowych ulicznych lamp. Naprzeciwko okna stała mała wiktoriańska kanapa z wysokim oparciem. Na stoliku obok leżały brulion, długopis i wczorajsze wydanie „San Francisco Chronicle”. Była to jedyny pokój w całym mieszkaniu, którego nie wypełniały książki.

– Usiądźcie – powiedziała babcia.

Fiona i Eliot zajęli miejsca na kanapie jak najdalej od siebie. Cecilia zaś stała niepewnie w progu, nie wiedząc, czy też jest zaproszona.

Babcia wciągnęła głęboko powietrze.

– Rozpocniemy od rodziny.

Eliot wiedział, że ma na myśli rodzinę matki, nie ojca. A ón bardziej chciał się dowiedzieć czegoś o swoim tacie. Domyślał się jednak, że babcia nigdy nie poruszy tego tematu.

– Dzieci są w naszej rodzinie rzadkością – zaczęła babcia. – Z powodu wygody i biologii. Nie jesteśmy...

– zamilkła, szukając właściwego słowa. – Są pewne problemy natury medycznej.

Eliot spojrział na siostrę. Ta kiwnęła głową.

– Jak wady wrodzone występujące wśród siedemnastowiecznych europejskich dynastii? – zapytała.

– Na przykład u Aleksego Romanowa – dodał Eliot.

– Miał hemofilię, prawda?

Żałował, że przypomniał sobie dziedzica rosyjskiego cesarstwa. Aleksy Romanow został zabity przez tajną bolszewicką policję w 1918 roku, dwa tygodnie przed swoimi czternastymi urodzinami, a więc... miał wtedy prawie tyle lat co Eliot²⁰.

– Zupełnie nie jak w rodzinie Romanowów – zastrzegła szybko babcia. – Nasze dzieci zawsze były zdrowe.

– Wyjaśnij im, dlaczego jest ich tak mało – odezwała się Cecilia zza jej pleców, niespokojnie wykręcając dłonie.

Babcia zwięzła oczy w szparki i odwróciła się. Eliot nie widział spojrzenia, jakie rzuciła Cee, lecz jedynie jego rezultat: prababcia jakby się skurczyła i zwiędła, kryjąc się z powrotem w cieniu.

Fiona poruszyła się na kanapie.

²⁰ Jedna z legend otaczających Anastazję i Aleksego Romanowów (dzieci ostatniego cara Rosji) mówi, że uniknęli oni śmierci z rąk bolszewików i uciekli z Moskwy ciemnozielonym buickiem tourerem z 1917 roku. Dzieci i samochód rzekomo widziano w Paryżu, w Nowym Jorku, Chicago, a dzień później (co czyni tę całą plotkę mało prawdopodobną) w Seattle. Ale badania DNA niedawno odkrytych w Rosji szczątków carskiej rodziny potwierdziły ich zgodność z dziewięćdziesięcioośmioipółprocentową pewnością. Całą tę historię trzeba więc uznać za romantyczną legendę (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne, op.cit.*).

– Więc dlaczego?

– To sama rodzina jest powodem.

Cecilia przekradła się z powrotem ku drzwiom.

– Polityka rodzinna jest skomplikowana – powiedziała babcia – a w stosunku do najmłodszych i najbardziej bezbronnych członków zwykle zdradziecka i często okrutna.

– Goście w posiadłości wujka Henry'ego – przypomniał sobie Eliot – powiedzieli, że musimy przetrwać próby. – Wzdrygnął się, znów myśląc o morderstwie Aleksego Romanowa. – Chodziło im o to, że musimy przeżyć, prawda?

Babcia zacisnęła wargi, ale w końcu przyznała:

– Tak. I tak mamy szczęście, że dostaliśmy taką szansę. Wielu zostało zmiżdżonych bez żadnej możliwości uratowania się.

– Są wystarczająco silni, by dowiedzieć się, z czym mają do czynienia – wyszeptwała Cecilia. – Powiedz im o porwaniach, podpaleniach... uwiedzeniach. – Próbowała mówić dalej, ale w jej oczach rozbłysły łzy, a ręka uniosła się do gardła.

Babcia przymknęła powieki.

– Dobrze. Nie możecie... nie wolno wam ufać waszym krewnym. – Otworzyła oczy. Jej źrenice były rozszerzone, jakby wpatrywała się w ciemność. – Wasz wytworny wujek Henry pojedynkował się z wieloma waszymi dopiero co wchodzącymi w dorosłość kuzynami. Ma zwyczaj zatrudniania młodych dziewcząt, a potem ich porywania. To oczywiście powoduje łatwe do przewidzenia konfrontacje, a wtedy... złamanie karku, kulka w głowę lub sztylet w serce. Jest życzliwym

zabójcą, jego metody są przynajmniej szybkie. Natomiast Gilbert... – babcia zacisnęła szczęki – ... zawsze miał upodobanie do młodszych kobiet w rodzinie. Czasem je uwodził, innymi razy stosował mniej dżentelmeńskie sposoby.

Słyszając to, Fiona poruszyła się niepewnie na kanapie.

– Słodka ciocia Lucia preferuje truciznę. W sierocińcu w Cork w Irlandii ukryto niegdyś młodego chłopca, waszego kuzyna. Lucia nie wiedziała w którym, więc w pobliżu pastwisk w regionie zasadziła pokrzyk, wilczą jagodę, by skazić mleko. Następnej wiosny dziesiątki dzieci zmarły we śnie²¹.

Wszystko to brzmiało zbyt strasznie, żeby było prawdziwe, lecz babcia nigdy dotąd ich nie okłamała. Powietrze w pokoju napierało na Eliota, dusząc go, rozpalając jego płuca.

– Czy to znaczy, że chcą nas zamordować? – zapytał. – Czy o to chodzi w próbach?

– Tak... i nie – odpowiedziała babcia. – Bohaterskie próby określą wasze pochodzenie. Jeśli się wam powiedzie i uznają was za członków rodziny, wtedy macie szansę. Mogę was ochraniać, zanim sami się tego nie nauczycie.

– A co, jeśli się nam nie powiedzie? – wyszeptała Fiona.

Babcia nic nie powiedziała, jej spojrzenie stwardniało. Fiona zerknęła na brata. Napięcie

²¹ „Liście o błękitnych żyłach i białe pomarszczone kielichy, zapowiedzi wiecznego snu. Ich ziarna niczym zarodki diabła, nabrzmiałe owoce wilczych jagód niosą trwogę nocy i Anioła Śmierci. Pola nikczemnych kielichów, niech je pochłonie ogień i sól” (ojciec Sildas Pobożny, *Mythica improbiba*, *op.cit.*).

pomarszczyło jej czoło, pewnie czuła się tak samo jak on: zatrzaśnięta w pułapce.

– Nie rozumiem, dlaczego musimy to robić – zaprotestował Eliot. – Są przecież akty urodzenia i testy DNA, które mogą dowieść, z kim jesteśmy spokrewnieni.

– Oczywiście, że tak – powiedziała babcia. – Rodzina już to wie. Ale tym się specjalnie nikt nie przejmuje. Chcą się dowiedzieć, czym będziecie, kiedy dorośniecie. Częścią tej rodziny czy... – pokręciła głową niezadowolona, by dokończyć.

– Czy częścią rodziny naszego ojca – powiedział Eliot. – Tej zwaśnionej z wami?

Mieszanina irytacji i dumy zmarszczyła rysy babci i to wystarczyło, by wiedział, że trafił na coś istotnego. Fiona niemal zsunęła się z kanapy.

– Dlaczego oni są tacy? – chciała wiedzieć. – W rodzinie przecież powinno się opiekować sobą nawzajem.

– W normalnej rodzinie – odpowiedziała babcia. – Ale nie w tej. W naszej słabi są wykorzystywani przez silnych. Wendeta i zabójstwo są większą częścią waszego dziedzictwa niż DNA. Tylko najsilniejsi przetrwali, a nawet oni potrzebowali wiele umiejętności i szczęścia.

– Czy nie moglibyśmy się gdzieś ukryć? – zapytała Fiona. W jej głosie pobrzmiwał ton desperacji. – Tak jak zanim odnalazł nas wujek Henry?

Twarz babci wygładziła się w zwykłą niezdradzającą żadnych emocji maskę.

– Jest już bardzo późno. Musick wypocząć przed jutrem niezależnie od tego, co ono przyniesie. Cecilia, podaj im herbatę.

Stojąca w progu Cee wyszła i za chwilę wróciła z

tacą, na której stały dwie parujące filiżanki.

– Pijcie – nakazała babcia. – A potem do łóżek.

Eliot chciał się dowiedzieć więcej. Scenę, która się właśnie rozegrała, znał jednak aż zbyt dobrze: babcia zamykająca dyskusję i zmuszająca ich do pisania wypracowań, wykonywania rozmaitych prac domowych albo po prostu do pójścia do łóżek.

Fiona pierwsza sięgnęła po filiżankę i posłusznie upiła.

– Nie jest już zbyt gorąca – Cee zwróciła się do Eliota.

Westchnął i wziął drugą filiżankę pachnącą rumiankiem, miętą i miodem. Napój był smaczny. Zanim się zorientował, wszystko wypił.

– Do naszej rozmowy wrócimy po wschodzie słońca – powiedziała babcia i przywołała ich, by się zbliżyli. Przytuliła ich na dobranoc i wskazała na drzwi.

Kiedy wyszli, zamknęła się w gabinecie.

Cecilia odprowadziła ich wzdłuż korytarza.

– Przyda wam się sen. Odpoczynek dla ciała i duszy. Tylko bez podsłuchiwania – ostrzegła. – Babcia nie ma dziś nastroju na wasze sztuczki.

Przystanęli przed swoimi pokojami. Fiona spojrzała na brata, a potem wskazała kiwnięciem głowy na podłogę.

– Dobranoc – Eliot powiedział do Cee, całując ją w policzek.

– Dobranoc – zawtórowała mu Fiona.

Cee zaczęła, aż wejść do środka. Eliot usłyszał jej oddalające się kroki dopiero, gdy zamknął za sobą drzwi. Odczekał jeszcze chwilę, aż zupełnie umilkły, i podszedł do łóżka. Ściągnął wełniany koc i nasunawszy go

na głowę, położył się na podłodze z twarzą przy otworze wentylacyjnym.

– Jesteś tam? – wyszeptał.

Cienki głos Fiony dotarł do niego zza kraty:

– Tak.

Eliot chciał obgadać z nią milion rzeczy, ale zaczął od najbardziej naturalnego pytania:

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem. Czuję się tak, jakbym miała zwymiotować... Nie, jakbym miała obudzić się ze snu i dopiero wtedy zwymiotować. A ty?

– Czuję się jak wtedy, gdy uderzyłem głową o zlew „U Ringo”. Myślisz, że to prawda? Wszystko, co mówili babcia i Henry?

– To tak dziwne, że chyba musi być prawdziwe. I czy zdarzyło się kiedyś, by babcia nie powiedziała nam absolutnej prawdy?

– Cóż, o pewnych sprawach w ogóle nie mówi – zauważył Eliot. – Morderczy kuzyni? Jedna część rodziny skłócona z drugą? Śmiertelne niebezpieczeństwo, w jakim żyliśmy od urodzenia? – Nie o tym jednak chciał rozmawiać, więc zaraz zmienił temat: – Wciąż nie rozumiem, jak dostaliśmy się na wyspę wujka Henry'ego.

– Zaczekaj... Więc myślisz, że nie możemy ufać babci? – w głosie Fiony było słycać panikę.

– Oczywiście, że możemy jej ufać... Chyba tak. Zresztą nie wiem. Sama powiedziała, żeby nie możemy ufać żadnemu z naszych krewnych. To znaczy, ona naprawdę mogła zabić tamtego Welmanna.

Fala ociężałości przeszła przez ciało Eliota. Rumiankowa herbata Cee zaczęła działać.

– Cokolwiek zrobiła – oznajmiła Fiona – zrobiła to po to, by nas chronić. Nie rozumiesz?

– Po prostu wolałbym, żeby powiedziała nam to wszystko wcześniej, żebyśmy mogli się z tym jakoś zmierzyć.

– Z czym chciałbyś się mierzyć? – zapytała Fiona ze złością. – Jeśli w chwili spotkania z wujkiem Henrym i pozostałymi bylibyśmy małymi dziećmi, to jak by się to skończyło? Porwaniem? Zabójstwem? Jeszcze gorzej?

Tak samo jak Eliot wiedział, że wujek Henry jest jego krewnym, gdy tylko go zobaczył, tak teraz poczuł instynktowną nieufność w stosunku do niego i pozostałych. Jak wtedy, gdy zobaczył jaskrawo ubarwionego pająka – pięknego, ale, o czym doskonale wiedział, jadowitego.

– Pewnie tak – odpowiedział. – Chciałbym po prostu samodzielnie dochodzić do wniosków... a nie przyjmować wszystko, co mówi babcia, za absolutną prawdę.

– Dochodź sobie, ale pamiętaj, że babcia zawsze się nami opiekowała. I zawsze będzie. – Długie ziewnięcie odbiło się echem w otworze wentylacyjnym. – Jestem zmęczona. Idę do łóżka. Jutro możemy się zastanowić, co robić dalej.

Minęła północ, więc technicznie rzecz biorąc, było już jutro. Fiona powinna to wiedzieć. Eliot poczuł ukłucie nieracjonalnej irytacji z powodu głupoty siostry. Chciał porozmawiać dłużej, ale czuł już tylko pustkę kanału wentylacyjnego.

– Fiona?

Żadne z nich nigdy nie kończyło rozmowy w ten

sposób; bez ciętej uwagi czy odwołania do rzadkiego terminu. Nie nazwała go choćby *Stapelia gigantea*²². Z trudem powstrzymał się, by nie krzyknąć i nie przywołać Fiony z powrotem. Mogła to jednak usłyszeć babcia i w rezultacie wprowadzić nową regułę zabraniającą „kspiracyjnego komunikowania się przy użyciu wewnętrznego systemu wentylacyjnego”. Wstał i położył się do łóżka, nawet nie zdejmując ubrania.

Patrzył w ciemność i rozmyślał o rodzinie swojego ojca. Dlaczego nikt nie chciał o niej rozmawiać? Wujek Henry, ciocia Lucia i prawdopodobnie także babcia byli mordercami. Czy druga rodzina mogła być... gorsza?

²²*Stapelia gigantea*, zwana też zombie lub rozgwiazdą, jest rośliną gruboszowatą pochodzącą z Afryki Południowej. Jej duże kwiaty o kształcie rozgwiazdy wydzielają zapach gnijącego mięsa, tym samym przyciągając muchy, które przenoszą pyłki rośliny. *Świętego Hawthorna zebrana wiedza o roślinności w Nowym Świecie i jeszcze dalej*, 1897, w: Kolekcja Ksiąg Rzadkich Biblioteki Instytutu Taylora, Uniwersytet w Oksfordzie.

PRODUKCJA KUSZENIA

Beal Buan, Pan Wszystkich Istot Skrzydlatych, siedział za sterami sikorskiego S-92. Skierował helikopter do góry i poszybował nad oblodzonymi szwajcarskimi Alpami. Słońce ogrzało mu twarz i wszystkie jego troski odpłynęły.

W jednej chwili poczuł się wolny od odpowiedzialności, jaka wiązała się z funkcją przewodniczącego Zarządu. Oczywiście gdyby nie jego twarde rządy, pozostali już dawno zaatakowaliby się nawzajem i doszłoby do otwartej wojny domowej. Był, jak to się mówi, złem koniecznym.

Czerpał siłę z otwartego powietrza i wchłaniał ją głęboko. Cieszył się ogarniającym go spokojem. Wreszcie dostrzegł swój cel i moment relaksu minął.

Tracił siedzącego w fotelu drugiego pilota Uriego, a potem wskazał ręką w dół. Na występie skalnym tysiąc metrów poniżej gnieździła się forteca z wysokimi wieżami i witrażami w oknach, która przypominała twierdzę ze środka dziecięcej śnieżnej kuli.

– Le Chateau de Douleur Delicieux – powiedział do laryngofonu.

Uri zmarszczył brwi. Francuski ewidentnie nie był jego mocną stroną.

– Zamek wyborczego bólu? – zapytał niepewnie.

– W średniowieczu był tu klasztor.

Zaadaptowaliśmy budynki i mnichów, aby wesprzeć nasz oddział spożywczy.

Uri zamruczał. Wyglądał na zaniepokojonego turbulencjami. Beal chętnie przyjął jego usługi z uwagi na jego niezrównane umiejętności wywiadowcze. Ale wiedział też, że Uri był elementem pułapki zastawionej przez Sealiah. Cieszył się, że da mu to okazję do ujawnienia jej knowań. Już zbyt długo kryła się w cieniu, rosnąc w siłę.

Po bokach sikorskiego, w bezpiecznej odległości od wirników szybowały orły przednie. Beal uśmiechnął się na widok tej eskorty z drapiezców. Istoty powietrzne jako jedyne nigdy go nie zdradziły.

Ptaki rozproszyły się, sygnalizując zmianę kierunku wiatru. Beal przygotował się do manewru i helikopter zanurkował, a potem zakreślił się w chłodnym prądzie powietrza ściągającym go w dół. Uri złapał kurczowo za pasy. Beal puścił sterownicę i pozwolił maszynie swobodnie opadać ku skalnej ścianie. Po bokach w wywołujących zawroty głowy niewyraźnych plamach przemykały granit, lód i niebo. Zaśmiał się i uderzył w pulpity, przełączając silnik na najwyższe obroty. Nos helikoptera podskoczył do góry, a potem pojazd wykonał jeszcze jeden obrót i osiadł jak piórko na lądowisku na zewnątrz murów twierdzy.

– Będiesz miał okazję dogłębnie poznać moje umiejętności manewrowania – zapewnił Uriego, mając nadzieję, że podwójne znaczenie tych słów jest czytelne.

– Tak, panie – powiedział Uri i wygładził zmarszczki na swojej czarnej kurtce.

Beal spojrzał na komorę z ładunkiem. Na paletach

stał rząd owiniętych folią jutowych worków.

– Zajmij się ziarnami. Upewnij się, że nie dotknie ich ludzka ręka.

Podwładny skłonił głowę, a Beal zauważył, że szmaragdowa spinka w kształcie czaszki, dotychczas zawsze wpięta w krawat Uriego, zniknęła, a zastąpił ją szafir gwiaździsty. Postanowił, że nie skomentuje małego rozmiaru nowego emblematu. Z czasem Uri obdarzy go uczuciem tak mocnym jak to, które wcześniej łączyło go z Sealiah.

Beal zdjął okulary przeciwsłoneczne, przyjrzał się swojej skórzanej kurtce, błękitnej jak niebo jedwabnej koszuli i wypolerowanym butom. Wygląd odgrywał fundamentalną rolę w robieniu wrażenia na podwładnych. Wizerunek był często ważniejszy niż wszystko inne.

Wyskoczył na lądowisko. Mistrz cukiernik już czekał, by go powitać. Głowę i brwi miał starannie wygolone, by żaden przypadkowy włos nie wpadł do przygotowywanych przez niego wyrobów. Napięta skóra powodowała, że przypominał szkielet. Ubrany był w czarny habit rzymskokatolickiego mnicha, ale nie nosił ani różańca, ani krzyżyka. Zamiast tego na jego szyi wisiał srebrny łańcuch z niebieskimi jak woda kamieniami.

– Panie Baun. – Cukiernik ukląkł i pocałował pierścień Beala.

Beal przyjął ten hold, ale zaraz, zdenerwowany opóźnieniem, cofnął dłoń.

– Czy wszystko gotowe?

Mężczyzna wzdrygnął się, jakby od uderzenia.

– Tak, panie. Wszystko z wyjątkiem ziaren. Potrzebna ilość srebrnych kakaowców jest poza naszym

zasięgiem.

– Przywiozłem je.

Mistrz wstał i bezgłośnie wyszeptał modlitwę dziękczynną. Jego oczy rozszerzyły się, gdy zobaczył palety wynoszone przez Uriego z sikorskiego. Na każdej z nich leżało sto osiemdziesięcilitrowych worków wypełnionych ziarnami srebrnej odmiany kakao²³.

– Zostały odpowiednio przygotowane?

Beal potwierdził.

– Sfermentowane strąki wysuszono na równikowym słońcu.

Mistrz cukiernik gestem poprosił go, by za nim podążył. Przeszli pod podniesioną ruchomą kratą i znaleźli się w sali przyjęć. Beal przystanął, wdychając głęboki zapach masła i kremu waniliowego, delikatny aromat imbiru, migdałów i mięty. Jego ciało pokryło się gęsią skórką w reakcji na te wonne pokusy. Uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że Le Chateau de Douleur Delicieux był gotowy do natychmiastowego podjęcia produkcji.

Weszli do pomieszczenia, w którym odbywało się mielenie i leje z nierdzewnej stali karmiły rzędy kręcących się kolczastych zębatek. Akolici w różowych kombinezonach rozładowali pierwszą paletę i ostrożnie wsypali lśniące białe łupiny do urządzenia. Z porwanych na strzępy łupin oddzieliły się ciemne ziarna, które zostały

²³ Srebrny kakaowiec jest niemal wymarłą odmianą popularnego kakaowca właściwego (*Theobroma cacao*). Spotykany tylko w wysokich partiach Andów, jest wyjątkowo trudny w uprawie i używany wyłącznie przy ceremoniach związanych z oddawaniem czci mezoamerykańskim bogom. Konkwistadorowi Hernanowi Cortesowi udało się raz skraść łyk napoju sporządzonego z ziaren srebrnego kakaowca. Według relacji jego oficerów twierdził, że zwykle kakao smakuje w porównaniu z tym jak brudny piach (*Świętego Hawthorna zebrana wiedza..., op.cit.*).

przeniesione do drobniejszych młynków. Z ich końca wypłynęła brązowa, gęsta jak błoto ciecz pachnąca dymem i cytrusami – ekstrakt kakaowy. Płyn zebrał się w srebrnej urnie, którą mistrz cukiernik przeniósł do sąsiedniego pomieszczenia.

Teraz znaleźli się w dawnej kaplicy, w której panował taki skwar, że Beal zdjął kurtkę. Zabarwione na czerwono światło sączyło się przez witraże. Z krokwi zwisały tuziny jedwabnych podłużnych worków. Asystenci wiali ekstrakt do jednego z nich i podciągnęli go do góry. Bocznyimi drzwiami do środka weszli chłopcy z zamkowego chóru i zaczęli śpiewać wydłużonym czekoladowym kiełbaskom. Sopranowe głosy zaintonowały najpierw *Hymn czarnej słodyczy*, a potem *Chorał cukrowej wróżki*. Wzdłuż worka zaczęły spływać krople oleju. Gdy osiągnęły dno, skapywały do kryształowych naczyń. To było masło kakaowe.

Beal wyciągnął pudełko na cygara i otworzył je. W środku leżały wyschłe krwistoczerwone kwiaty.

– Z pół pani Sealiah – powiedział i podał pudełko cukiernikowi. – Zmiażdż je i wsyp proszek do masła.

Zarządca uklonił się tak nisko, że jego czoło otarło się o kamienną podłogę.

– To dla mnie wielki zaszczyt – wyszeptał.

Beal przyglądał się, jak w pojemniku zbierały się kolejne litry cennego masła, a potem jak posypano je proszkiem z rozgniecionych maków. Rodzina zjednoczyła się, by zorganizować próby dla Postów. Chociaż nie można tego było nazwać autentyczną współpracą; raczej ciszą przed burzą, manewrami mającymi na celu zajęcie dogodnej do zadania ciosu pozycji. Ale oczywiście cel

uświęca środki. W tym przypadku to bliźnięta mogą stać się pretekstem do zjednoczenia rodziny... Co do tej pory zdarzyło się tylko raz. Beal poczuł żywsze uderzenie serca; uczucie, którego nie doświadczył od dzieciństwa: nadzieję.

Kiedy wreszcie zgromadzono wystarczającą ilość masła kakaowego, połączono je z cukrem trzcinowym i świeżą wanilią z rosnących w zamkowej oranżerii orchidei. Do części mikstury dodano mleko, tworząc w ten sposób śnieżnobiałą czekoladę. Do kolejnej – uzyskany w pierwszym etapie przetwarzania ekstrakt kakaowy, by powstała czekolada mleczna. Z ostatniej części przy użyciu kolejnych porcji cukru, wanilii i ekstraktu utworzono ulubioną czekoladę Beala: ciemną jak noc.

Ale wszystkie odmiany smakołyku, choć pachniały nieziemsko, zakrzepły w nieapetyczne bryły, więc przerzucono je do ceramicznych naczyń wielkości betoniarek i posypano setkami miniaturowych złotych kulek. Elektryczne miksery ruszyły, rozpoczynając proces dokładnego miażdżenia, tak by wszystkie cząstki czekolady stały się tak mikroskopijne, aby ludzki język wyczuwał jedynie jedwabistą jej gładkość. Następnie hartowano czekoladę w miedzianych czajnikach, by stała się odporna na kruszenie.

Kiedy wreszcie pierwsza partia była gotowa do spróbowania, światło księżycy już od dawna zastąpiło słoneczne w okiennych witrażach. Mistrz cukiernik przejechał malutkim nożykiem po bloku gotowej czekolady i włożył do ust zakręcony pasek, jaki uformował się na ostrzu. Zadrżał i przewrócił oczami z zachwytu. Wypluł na chusteczkę i opanował roztrzęsienie.

– Doskonała – oświadczył z westchnieniem.

Beal aż wrywał się, by spróbować – tylko kawałeczek. Czy to może zaszkodzić? Przez cały dzień wdychał prażone kakao, co bardzo podrażniło jego łąknienie. Ale w ostatniej chwili zdołał się powstrzymać i wybuchnął śmiechem, myśląc, jak bliski był popełnienia katastrofalnego błędu.

Mistrz pstryknął palcami.

– Wezwijcie ekspertów od bombonierek! – zawołał.
– Zbierzcie przygotowane składniki.

Wskazał Bealowi, by dołączył do niego na obserwacyjnym chodniku. Beal wspiał się po schodach, które prowadziły do pozbawionego zadaszania korytarza z widokiem na ostatni etap linii produkcyjnej.

W powietrzu unosiły się obezwładniające zapachy skórki pomarańczowej, ziaren espresso i lawendy, bąbelków szampana, truskawek, cynamonu i wanilii – wszystkie oczywiście zanurzone we wszechobecnych oparach czekolady. Poniżej tuziny cukierników czekały przy stołach wypełnionych mikserami, garnkami do gotowania na parze i miskami. Pośrodku przypominającego hangar pomieszczenia przesuwał się taśmociąg.

Mistrz cukiernik wręczył gościowi maskę i lornetkę Zeissa. Beal włożył maskę i unióś lornetkę do oczu, by przyglądać się, jak cukiernicy ręcznie wytwarzają malutkie czekoladki.

Widział delikatne muszelki wypełnione masą truflową Dom Perignon i obsypane kryształkami cukru, ciemne jajeczka nadziewane sycylijskim kremem cytrynowym, diamenty z mlecznej czekolady ze srebrnym

miętowym środkiem, hebanowoczarne czarki z zakrzepłą pianką cappuccino, kuleczki z białych i brązowych pasków wypełnione wiśniowym nadzieniem, orzechowe prostokąci, kwadraciki ozdobione karmelowymi zawijasami, nadziewane miodem czekoladki z dekoracją w kształcie bratków, takie, które przypominały papryczkę chili z czubkiem błyszczącym na czerwono... i inne, wiele, wiele innych przesuających się na taśmociągu. Setki... tysiące...

Czy dostatecznie dużo? W końcu istniała możliwość, że celem będzie członek rodziny Beala, a ich apetyty były nienasycone.

Mistrz cukiernik wręczył Bealowi kartkę ze spisem oraz rachunek. Beal uniósł brwi na widok niebotycznej sumy, ale pomyślał od razu, że ceny za zjednoczenie rodziny i pokierowanie ich do zwycięskiej wojny nie da się oszacować.

– Dostawa z dołu – powiedział mistrz.

Beal wpisał adres, który dostał od Uriego, dokładnie sprawdzając, czy wszystko się zgadza: nazwisko, numery, Del Sombra, Kalifornia, kod pocztowy. Gdyby po tym całym wysiłku paczka trafiła pod nieodpowiedni adres... Cóż, diabeł tkwi w szczegółach.

– A bilecik?

Cukiernik podał mu kawałek kremowego czerpanego papieru i Beal starannie wykaligrafował na nim: „Dla najdroższej Fiony...”.

WYBÓR KUSICIELKI

Sealiah była w domu pośród skalistych wzgórz i cuchnących dolin o takich nazwach, jak Cień Śmierci, Mroczny Koniec Tęczy, Gąszcz Splątany Jadem. W Piekielnej Krainie Maków.

Dosiadała jednej z białych andaluzyjek podarowanych jej przez filipińskiego ambasadora. Klacz była pełna energii i wrażliwa na każdą komendę. Sealiah z chęcią przyjęłaby całą setkę takich rumaków.

Na ostrym klifie niedaleko wznosiła się jej willa Doze Torres²⁴. Różowe ściany ze stiuku i mające kolor zachodzącego słońca wieże wabiły ją kolorami odcinającymi się od wiecznie ołowianego nieba.

Mogła polecieć prosto na szczyt, ale zdecydowała się na konną przejażdżkę dającą okazję do zastanowienia się, w jaki sposób spośród tysięcy aplikantek wybrać tę idealną na nowe stanowisko w jej organizacji. Już teraz ich rząd wił się od Doze Torres aż do stóp klifu, a kolejne chętne napływały z porośniętych dżunglą dolin i omszałych pieczar – zupełnie jak owady zlatujące się ku okruszkowi ciasta. Większość miała na sobie suknie niewolników, ale niektóre włożyły stroje odpowiadające epokom, z których pochodziły: ponętne sukienki koktajlowe, koronki i parasolki, lateksowe gorsety. Być

²⁴Z portugalskiego: Dwanaście Wież - przyp. red.

może miały nadzieję, że tym samym zwiększą swoje szanse... Jakby Sealiah już nie znała ich reputacji i możliwości.

Kilka wyróżniało się spośród nich niczym błyszczące gwiazdy: Cleo, która wyglądała elegancko nawet w łachmanach, Margaretha Zelle, nie tak ładna, ale promieniująca pewną siebie zmysłowością, czy skromna Norma Jeane, Janis i Eva. Wszystkie jednak sprawiały wrażenie tak zdesperowanych, że napełniało to ją odrazą.

Czy naprawdę trzeba mieć kwalifikacje, by uwieść chłopca dopiero wchodzącego w męski wiek? Każda mogłaby to zrobić. Ale Sealiah potrzebowała kogoś specjalnego: kobietę zdolną uwieść chłopca z tej r o d z i n y. To wymagało kusicielki najwyższej klasy. Żałowała, że u jej boku nie ma Uriego. Dzięki czarnej książeczce na pewno znalazłby jakiś decydujący czynnik pozwalający oddzielić ziarno od plew.

Jedna z dziewczyn zauważyła ją. Opuściła swoje miejsce w kolejce i zaczęła się szybko oddalać. Myśli Sealiah nawet na chwilę nie zatrzymały się na uciekinierce. Spięta lejce i klacz ruszyła kłusem. Okrzyła mury Doze Torres, docierając do miejsca, gdzie dziko rozrastał się jej ogród i gdzie z krawędzi klifu rozciągała się panorama na Dolinę Cienia Śmierci.

Kolory widoczne w dole przypominały barwy z obrazów van Gogha: między makami pokrywającymi niziny wiły się srebrne ściegna rzeki Laudanum. Obok niezliczonych czerwonych, białych i różowych plamek opiumowych maków było widać żółte, niebieskie i czarno-białe odmiany wyhodowane przez Sealiah. Wiatr niósł zapach miodu i świeżej ziemi... a także rozkoszne echa

wrzasków milionów, którzy żyli i umarli, i umarli ponownie.

Kochała każdy kwiat w swojej dolinie, każde, nawet najmniejsze naczynie niosące obietnicę dekadencji i marzeń. Sealiah przez chwilę podziwiała widok i raptem przypomniała sobie dziewczynę, która opuściła kolejkę kandydatek. Dopiero teraz Królowa Maków zdała sobie sprawę, że uczyniła to najwyraźniej nie ze strachu. Dziewczyna patrzyła na nią z nienawiścią...

Sealiah zawróciła klacz i pogalopowała w dół klifu. Niewolnicy uciekali przed dudniącymi kopytami andaluzyjki, a Sealiah chłostała batem ich plecy. Poprawiło jej to trochę humor. Przybłąda, której szukała, była już prawie u samego dołu wzgórza. Uciekała. Tak łatwo byłoby ją stratować. Sealiah jednak miała do niej sprawę... Na tę przyjemność musiała więc poczekać.

Dziewczyna była szczupła, a pasma włosów fruwały wokół jej głowy. Sealiah pogalopowała do przodu i zatrzymała się przed nią. Tamta upadła na kolana. Bystra dziewczyna. Gdyby biegła dalej, rozdrażniłaby tylko Sealiah i pewnie zginęła pod końskimi kopytami. Przecież cierpliwość Królowej Maków miała swoje granice.

Sealiah zsunęła się z siodła i pogłaskała uspokajająco bok klaczy.

– Wstań – rozkazała dziewczynie.

Tamta usłuchała. Cały czas trzymała wzrok utkwiony w błoto, tak jak należało.

– Spójrz na mnie.

Znów posłuchała. Ale w jej oczach nie było strachu – płonęły gniewem. Wreszcie coś ciekawego.

Przybłąda zasługiwała na to, by się jej lepiej

przyjrzeć. Miała na sobie ciasną bluzkę ze spandeksu z symbolem ostrzeżenia przed radioaktywnością i nadrukowanym pod nim napisem „ATOMOWY PUNK” oraz poszarpane rajstopy w białe i czarne paski. Wojskowe buty chroniły jej drobne stopy, na szyi wisiała obroża. Na chudych bicepsach wytatuowała sobie wzory drutów kolczastych. Jej włosy, niegdyś blond, teraz były poprzetykane różowym, czarnymi i zielonymi pasemkami. Spod zbyt silnego makijażu przebijała twarz w kształcie serca, pełne policzki i idealnie ukształtowane usta. Była całkiem ładna.

– Dlaczego opuściłaś kolejkę?

– Nie lubię brać udziału w grze, w której nie mam szans na zwycięstwo... pani. – W jej głosie słychać było silny południowoamerykański akcent.

Miała ikrę, ale nie umiała kłamać. To się mogło okazać wadą nie do przeskoczenia. Sealiah opanowała irytację.

– Powiem ci to tylko raz: nigdy mnie nie okłamuj. Widzę, że jesteś hazardzistką... Grasz o pieniądze... i inne przyjemności, ale niezbyt dobrze. W przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj.

Dziewczyna zmrużyła oczy i splunęła.

– Zrezygnowałam, gdyż posada, którą oferujecie, jest tylko sztuczką. Tym się zajmujecie. Rozbudzacie nasze nadzieje, a potem je dławicie. – Zamilkła. Jej gniew zniknął, jakby zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko, że wiele rzeczy jest gorszych od śmierci... i że stała przed ucieleśnieniem jednej z nich.

– My nie rozbudzamy waszych nadziei – zagruchała Sealiah. – Robicie to bez naszej pomocy. –

Sięgnęła po rękę dziewczyny, pociągnęła i wykręciła. Wewnętrzną stronę przedramienia tamtej znaczył długi ciąg śladów po ukłuciach. – Tak jak powiedziałam – wymruczała – grałaś o nieco więcej przyjemności... i przegrałaś.

– Puściła jej dłoń. – Jak się nazywasz?

Dziewczyna przyłożyła rękę do piersi, a pałająca nienawiść na chwilę odżyła w jej oczach.

– Julie Marks.

– Julie Marks, a w przeszłości kto? Szesnastoletnia prostytutka? Niegdyś z ciemnej alejki w Atlancie?

Twarz Julie poczerwieniała.

– Być może będę miała dla ciebie zadanie, panno Marks. Nie żadną sztuczkę, ale prawdziwe zlecenie z hojną zapłatą. Lecz najpierw zadam ci pytanie, by sprawdzić twoje predyspozycje. Która część kobiecego ciała jest najbardziej przydatna w kuszeniu?

Julie wyglądała na zaskoczoną, ale szybko się opanowała i spojrzała na siebie, jakby szukając odpowiedzi. Jej figura była zaokrąglona we wszystkich właściwych miejscach, a szczupła w pozostałych. Z punktu widzenia Sealiah wyglądało to na niezły materiał wyjściowy. Zetrzeć makijaż, rozjaśnić cerę, usunąć tatuaże, a od razu stanie się odpowiednia do wykonania zadania. Może nawet więcej niż odpowiednia. Zniewalająca. Ale tak długo zastanawiała się nad pytaniem! Sealiah obawiała się, że usłyszy odpowiedź: „Mózg”. Wtedy najlepiej będzie uwolnić głuptaskę od dalszego cierpienia.

W końcu oczy Julie rozszerzyły się, a jej czarne paznokcie dotknęły gardła.

– Szyja?

Czyżby jednak znała się na rzeczy?

– Dlaczego?

– Pozostałe części ciała – odpowiedziała dziewczyna – widać od razu. Zbyt rzucają się w oczy. Ale uwodzenie ma swój język. Jesteś blisko mężczyzny, odsłaniasz szyję i... to działa jak zaproszenie. A oni są jak wilki... zwłaszcza ci bardziej dżentelmeńscy. Zaczynają atak od gardła, taką już mają naturę.

Tak, rozumiała co nieco. Pozorne hołdy. Instykt by gryźć i podporządkowywać. Mogła stać się potężną pułapką. Poza tym Julie Marks miała naprawdę piękną szyję. Sealiah przejechała po niej palcem. Dziewczyna zeszywniała, ale nie odważyła się poruszyć. Lekko przezroczysta skóra i delikatne kości... Michał Anioł oddałby duszę, by zdołać uchwycić zarys jej sylwetki.

– Nadasz się.

– Tak, pani – wyszeptwała Julie, z trudem powstrzymując złość. Jej usta poruszały się przez chwilę, nie wydając dźwięku. Wreszcie zdołała powiedzieć: – Moja ciotka była wiedźmą. Kreolką. Starą jak same bagna. Opowiadała, że można zawrzeć pakt z diabłem... jeśli wygra się z nim w kości.

Sealiah znów się zirytowała. Wiedźma z bagien! To brzmiało jak jedna z legendarnych przygód Louisa. To nie mieściło się w głowie, by taka prosta dziewczyna domagała się kości i chciała ustalać warunki. Julie Marks nie przynależała do żadnego klanu piekielnych. Nie miała prawa do rzutu nimi. Sealiah zacisnęła pięści, aż paznokcie wbiły się w jej skórę. Po chwili uspokoiła się jak fale oceanu po przejściu burzy. W sumie nie było

powodu, by jej odmawiać. Wyglądało na to, że Julie Marks zapewni jej rozrywkę na całe popołudnie. Choćby z tego względu warto było zobaczyć, do czego to je doprowadzi.

– Twoje żądanie i moja zgoda zwiążą nas na wieczność – zauważyła Sealiah. – Poprosiłam cię o wykonanie zadania, ty zażyczyłaś sobie rzutu kośćmi. Ja więc ustalę zasady umowy, jeśli przegrasz, ty – jeśli wygrasz.

– Czy mogę poprosić o cokolwiek? – Julie głośno przełknęła ślinę.

Sealiah przytaknęła.

– W takim razie chcę się wydostać z piekła, to znaczy... chcę znowu żyć. Czy możesz mi to zapewnić?

Nie ulegało wątpliwości, dziewczyna miała kręgosłup ze stali. Królowa Maków była zadowolona ze swojego wyboru.

– Możesz o to poprosić – odpowiedziała Sealiah. – Ale pamiętaj, żeja też, jeśli wygram, mogę domagać się, czego tylko zapragnę.

Julie Marks zadrżała, ale kiwnęła głową.

Sealiah wyciągnęła z kieszeni jeden nag dharmy, który dostała od Ashmeda po spotkaniu zarządu. „Niezwykły prezent dla niezwykłej kobiety” – powiedział. Wyciągnęła go w stronę Julie. Dziewczyna wzięła go do ręki.

– Wystarczy, że rzucę?

– Niezupełnie. Jesteśmy na mojej ziemi, więc ja ustalę zasady. Daję ci jedną szansę na sześć. Pozostałe pięć możliwości oznaczają moją wygraną. Wybierz swoją liczbę.

Julie pobladła.

– Cóż... to i tak jedna szansa więcej, niż miałam jeszcze chwilę temu.

Obróciła kostkę i popatrzyła na wyryte na niej wzory.

– Ten – wskazała ściankę z sześcioma krukami. – Lubię ptaki.

– Ptaki mroku. Padlinożercy ze spojrzeniem ostrym jak brzytwa, przynoszący mądrość. Dobry wybór. Rzucaj.

Julie zakołysała się, jakby miała zemdleć, rozpostarła palce... i pozwoliła kości upaść. Nag dharmy uderzył w podłogę, odbił się, podnosząc chmurę pyłu, potoczył dalej i wreszcie zatrzymał. Na górze znalazło się sześć kruków.

Sealiah poczuła w powietrzu trzepot skrzydeł. Czarne pióro opadło powoli ku ziemi i wylądowało tuż przy kości.

– Wygrałam – powiedziała Julie i zwróciła oczy ku zachmurzonemu niebu. – Niech szlag trafi to miejsce. Już tu nie wrócę.

Sealiah podniosła kość.

– To jeszcze nie takie pewne. – Położyła rękę na ramieniu Julie i dziewczyna się wzdrygnęła. – Masz jeszcze zlecenie do wykonania: musisz uwieść młodego mężczyznę.

Julie nie potrzebowała długich wyjaśnień.

– Jasne. Jestem gotowa. Jak on się nazywa?

– Eliot. Eliot Post.

CZEŚĆ III

PIERWSZA BOHATERSKA PRÓBA

OSOBNO

Fiona zaczęła się ruszać, jeszcze zanim się na dobre obudziła. Posłała łóżko i wyjęła z szafy ubrania. Życie według ściśle określonego harmonogramu było w niej tak głęboko zakorzenione, że potrafiła robić to wszystko nawet półprzytomna.

Chyba wieczorem źle, się ułożyła, bo teraz czuła pulsujący ból w ramieniu. Pocierając łokieć, zaczęła przeglądać swoją pracę domową. Wypracowanie o Isaacu Newtonie leżało na biurku – napisane tylko w połowie. Jej serce zabiło w panice. Babcia nie uznawała niedokończonych tekstów. Na pewno przydzielili jej karne zadania i dodatkowe sprzątanie. Nie... nie przydzielili. Fiona poczuła się nagle zupełnie obudzona, jakby ktoś wylał jej na głowę wiadro lodowatej wody. Nie bez powodu nie skończyła tej pracy.

Spojrzała na swoje ramię. Wokół łokcia, w miejscu, gdzie chwycił ją Mike, wykwitły siniaki. Podeszła do globusa i palcem narysowała trasę, którą pokonali wczoraj samochodem: do kalifornijskiego wybrzeża, na biegun północny i w dół ku Morzu Śródziemnemu.

Podniosła bluzę, którą miała wczoraj na sobie, i przyłożyła ją do nosa. Poczowała zapach smażonego oleju, skórzanej tapicerki samochodowej i morskiej soli – ostateczny dowód, że te wydarzenia jej się nie przyśniły.

Miała teraz rodzinę, która chciała śmierci jej i

Eliota, chyba że rodzeństwu uda się spełnić jakieś zadania. Przeczuwała, że nie chodziło tu o rozwiązanie matematycznych zagadek czy interpretację koanów zen. Jakiego określenia użył wujek Henry? Bohaterskie próby? Jak można się do czegoś takiego przygotować? Podrapała się po głowie, ale gdy tylko poczuła obrzydliwą warstwę tłuszczu na włosach, natychmiast odsunęła dłoń.

Czymkolwiek były te rodzinne próby, chciała się umyć, zanim się z nimi zmierzy. Natychmiast więc pomaszzerowała do łazienki, by zdążyć przed Eliotem.

Stała przed lustrem. Jej włosy zwinęły się w spirale. Przejechała po nich palcem i westchnęła. Nie mogły takie zostać. Wyglądały świetnie, ale brud był nie do zniesienia.

Odkręciła kran i weszła pod prysznic. Wzdrygnęła się pod wpływem zimnej wody, ale w miarę, jak jej temperatura rosła, dziewczyna się rozluźniała. Wiedziała jednak, że luksus nie potrwa długo. Można by pomyśleć, że babcia jako zarządca budynku załatwi im wystarczającą ilość ciepłej wody, ale gdzie tam, o czymś takim nawet nie mogło być mowy.

Fiona otworzyła butelkę z wyrabianym przez Cee szamponem. W powietrzu uniosła się ostra antyseptyczna woń. Środek powstawał następująco: Cee wytapiała tłuszcz zwierzęcy, dodawała do niego przemysłowy ług, a potem rozcieńczała miksturę toksycznymi ziołami i alkoholem. Robiło się od tego niedobrze, ale płyn działał, czyścił wszystkie pory, usuwając brud, tłuszcz i przy okazji kilka warstw skóry głowy. Fiona szorowała się dopóty, dopóki nie pozbyła się całego smrodu, a jej ciało nie poczerwieniało.

Z wczorajszego spotkania z rodziną i planowanych prób wynikała jedna dobra rzecz: nie musiała dziś iść do pracy. Wujek Henry powiedział, że cała sytuacja przypomina walkę sądową o opiekę nad dziećmi. Ale walka zwykle toczy się między dwiema stronami. Więc jaką rolę odgrywa w niej rodzina ojca? Dlaczego nie przysłała nawet listu? Dlaczego nie zadzwoniła?

Woda ochłodziła się, więc Fiona wyszła spod prysznica i wytarła się do sucha. Potem zerknęła w lustro i zobaczyła, że jej włosy zawinęły się w jeszcze bujniejsze czarne wstążki, ale wiedziała, że kiedy wyschną, poskręcają się w niemożliwą do opanowania gmatwaninę, więc przysięgła sobie, że już dziś nie spojrzy w lustro.

Wciągnęła sztruksowe spodnie i białą koszulę. Włożyła buty. Dziś wybrała swoje najbardziej buntownicze ubrania. Wyglądała w nich jak babcia i czuła się, jakby mogła podbić cały świat. Bo i mogła.

Otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i niemal zderzyła się z Eliotem.

– Cześć – odezwał się, ziewając. – Została ciepła woda?

Otworzyła usta, by nazwać go *Eudyptula albosignata*²⁵, ale powstrzymała się, stwierdziwszy, że nie zasługuje na taką pomysłową obelgę. Eliot wszędzie widział makiaweliczne spiski i nikomu nie ufał, nawet babci. Fiona więc przeszła obok brata, uderzając go, wcale nie przypadkiem, w ramię.

Zerknęła do tyłu. Gapił się na nią, mrużąc oczy i nawet nie próbując odgryźć się żadną obelgą. Też ciągle

²⁵ Ptak powszechnie znany jako pingwin białoskrzydły. Najmniejszy członek rodziny pingwinów, jego dorosłe osobniki osiągają wielkość zaledwie 30 cm

musiał być na nią zły. Świetnie się składało. Właśnie tego chciała, choć nie miała pewności, z jakich powodów. Może dlatego, że zważył w babcię, która zawsze była obecna w ich życiu. Czy przez ostatnie piętnaście lat nie próbowała ochronić ich przed wujkiem Henrym i pozostałymi? Czy nie zajęła się nimi po śmierci rodziców? Zważyć w babcię to jak nie wierzyć, że rankiem wszędzie słońce.

Fiona usiadła przy stole w jadalni i jej wszystkie gniewne myśli natychmiast zniknęły. Poczowała zapach bekonu i do pokoju weszła Cee, niosąc tacę z wypełnionymi po brzegi szklankami soku pomarańczowego, dzbankiem kawy, tostami, pokrojonymi owocami i mniej więcej kilogramem chrupkiego smażonego bekonu. Z wielkim uśmiechem na twarzy postawiła to wszystko na stole.

– Bohaterowie powinni zaczynać dzień od dobrego śniadania – powiedziała.

Posmarowane masłem tosty miały złoty kolor. Na talerzu obok leżały połówki grejpfrutów, części mandarynek, kiście czerwonych winogron i ćwiartki jabłek. Fiona sięgnęła po kawałek kruchego bekonu, łakomie wsunęła go do buzi i delektowała się głębokim wędzonym smakiem. Jedną ręką złapała kolejne kawałki, drugą – kilka tostów. Jakimś cudem nic nie było przypalone. A przecież jedyną rzeczą, którą prababcia potrafiła przyrządzić bez przypalenia, była herbata. I bekon? Kiedy ostatnio dostali coś takiego na śniadanie?

Cee nałala jej kawy do kubka.

– Rany, Cee, to jest przepyszne – powiedziała Fiona z pełną buzią.

Cee uśmiechnęła się i pogłaskała ją po dłoni.

– Zostaw trochę Eliotowi. Oboje będziecie dziś potrzebować dużo sił.

Fiona przestała przeżuwać, przypominając sobie, co powiedziała Cee, zanim odjechali z wujkiem Henrym: „Nie dajcie się rozdzielić. Razem jesteście silniejsi”.

Razem szło im wczoraj faktycznie dobrze. Przeszli po tym okropnym moście, trzymając się za ręce, potem wspólnie odpowiadali na pytania rodziny. Nie zdołałaby tego zrobić bez Eliota. Była zła na niego, gdyż nie wierzył babci, ale czy ona sama nie zachowywała się tak samo, kiedy nie potrafiła mu przebaczyć i zaufać? Hmm. Oczywiście kłócili się już wcześniej, ale tym razem wrażenie było inne, jakby coś między nimi pękło. Jak uda jej się zmierzyć z całą rodziną, skoro nie potrafi sobie poradzić z sobą, bratem i babcią?

Do pokoju wszedł Eliot z wciąż wilgotnymi włosami. Usiadł po przeciwnej stronie, udając, że jej nie widzi.

– Cee, wszystko wygląda wspaniale – powiedział i zaczął jeść.

W połowie trzeciego tostu spojrział wreszcie na Fionę. Dziewczyna uniosła ramiona, w ten sposób komentując wyśmienite jedzenie. Kiwnął głową, potwierdzając, że jemu też śniadanie wydaje się bardzo niezwykle. Przynajmniej z komunikacją pozawerbalną nie mieli problemów.

W drzwiach prowadzących z biura do jadalni stanęła babcia. Miała na sobie czarne wojskowe buty, dżinsy i zapiętą pod szyję flanelową koszulę. Jej srebrzyste włosy odstawały od głowy niczym krótkie równe ostrza.

W ręce trzymała plik kartek.

– Dzień dobry, babciu – powiedzieli jednocześnie Fiona i Eliot.

– Mam nadzieję, że się wyspalicie. – Położyła kartki na stole. – Cecilio, bekon? – Wzięła kawałek i ugryzła na próbę. – To jest bekon, prawda?

– Oczywiście – odpowiedziała Cee. – Cóż innego?

Babcia jeszcze raz przyjrzała się kawałkowi smażonego mięsa i odłożyła go z powrotem. Znacząco zastukała palcem w leżący na stole stosik kartek.

– Ze względu na wyjątkowe okoliczności przesuwam termin oddania wczorajszych prac domowych. Ale oczekuję, że do jutra rana wykonacie też wszystkie dzisiejsze zadania.

– A co z próbami? – zauważyła Fiona. – Mamy się dziś im poddać.

– Chyba że ustalenie dokładnego charakteru testów zajmie Radzie tygodnie – odrzekła babcia.

Eliot upuścił tost na talerz. Stalowa determinacja, którą wcześniej czuła Fiona, prysła. Mają czekać tygodniami? To tak jakby ostrzeżono ich o nadchodzącym przyptywie, a potem jak gdyby nigdy nic kazano im budować na plaży zamek z piasku.

– Życie musi się toczyć normalnie – wyjaśniła babcia. – Nie pozwolę, by sprawy związane z rodziną przeszkodziły wam w wypełnianiu zwykłych obowiązków.

Fiona z niedowierzaniem stwierdziła, że chyba dokładnie wie, co babcia na myśli. Zerknęła w stronę drzwi i zobaczyła w przedpokoju dwie papierowe torebki z przygotowanymi im przez Cee kanapkami. Serce dziewczyny przepełniło rozczarowanie. Musieli iść do

restauracji. Zupełnie jakby trzy próby, które zdecydują o ich życiu lub śmierci, nie były wystarczającym powodem do zmartwienia.

Eliot też zobaczył papierowe torebki.

– To niesprawiedliwe – wyszeptał.

Babcia uniosła brwi.

– W tej rodzinie nic nie jest sprawiedliwe. Próby pozwolą ocenić, kim jesteście teraz. Nie możecie nic zrobić, by się do nich przygotować. Musicie być sobą i normalnie żyć. – Spojrzała na zegarek, sekundę później zegar w przedpokoju wybił pełny kwadrans.

– A więc i pracować.

Fiona siedziała wzburzona i zbierała się na odwagę, by zażądać od babci więcej informacji o rodzinie. Czy praca w pizzerii ma wobec tamtych spraw jeszcze jakieś znaczenie?

Eliot wstał.

– Do zobaczenia później – wymamrotał. – Cee, dzięki za śniadanie.

Pomaszerował w stronę drzwi.

Zaskoczona Fiona siedziała jeszcze przez chwilę w osłupieniu, a gdy pobiegła za nim, było już niestety zbyt późno, by złapać większą torebkę.

Minęła brata i runęła w dół schodów. Fajnie było być szybszą, ale kiedy otworzyła wzmocnione stalowe drzwi i znalazła się na zewnątrz budynku, zorientowała się, że Eliot wcale jej nie gonił. Zszedł spokojnie po stopniach i bez słowa poczłapał ulicą. Dołączyła do niego.

Kłótnie mogła znieść. Obrzucanie się obelgami stanowiło normalną część ich śniadań, ale ta cisza była czymś nowym. Nie podobało jej się to. Oczywiście jeśli

trzeba, ona też potrafi milczeć – i to dłużej niż Eliot. W razie czego może milczeć przez resztę życia.

– Jesteś uparty jak osioł – burknęła.

Wzruszył ramionami i szedł dalej.

– Może masz rację – powiedziała. – Ta nowa rodzina sprawia trochę makiaweliczne wrażenie. Wiesz, w moim pokoju leży taki wolumin *Discorsi su villainy*. Powinniśmy je przeczytać wieczorem. Może znajdziemy jakieś porady dotyczące tego, co zrobić w naszej sytuacji²⁶.

– Pewnie – rzucił Eliot w zamyśleniu. Wreszcie spojrzął na nią. – Czy myślisz, że druga rodzina, ta ze strony taty, pojawi się tak, jak pojawił się wujek Henry?

Fiona zerknęła w stronę Midway Avenue, po części spodziewając się zobaczyć tam kolejną limuzynę, po części licząc na to, że byłby to samochód wujka. Może tym razem odważyłaby się powiedzieć kierowcy coś więcej niż tylko „dziękuję”. Miał na imię Robert. Dałaby głowę, że mógłby im niejedno opowiedzieć o Henrym i pozostałych.

– Nie sądzę – zwróciła się do brata. – Myślę, że babcia ich zatrzymała.

Fiona przystanąła, rozejrzała się i wyobraziła sobie, że od ich budynku promieniuje pole magnetyczne

²⁶ Jednymi z najciekawszych zachowanych artefaktów z mieszkania rodziny Postów są trzy kartki z *Discorsi su villainy* („Dyskurs o czynieniu zła”). Jest to zbiór esejów poprzedzający dzido Niccola Machiavellego *Księżę*. Zawiera niezbyt pochlebne uwagi o rodzie Medyceuszów i innych władcach z tamtych czasów. Eksperti od charakterów pisma są zgodni, że większość fragmentów nie została napisana przez samego Machiavellego, co sugeruje, że albo folio jest falsyfikatem, albo ktoś przekazał te eseje Machiavellemu i stały się one dla niego inspiracją do napisania *Księcia* (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XI, *Mitologia rodziny Postów*, *op.cit.*).

odpychające wszelkie niebezpieczeństwa.

– Może to i dobrze, że wyszliśmy z mieszkania. Możemy się spokojnie nad wszystkim zastanowić.

– Więc już nie wierzysz w stu procentach babci?

Spiorunowała go wzrokiem.

– Wciąż uważam, że broni naszych interesów, ale może powinniśmy zdobyć na własną rękę trochę informacji o... no cóż, obu rodzinach. – Nie była gotowa, by przyznać mu pełną rację. Gdyby to zrobiła, z Eliotem zwyczajnie nie dałoby się żyć. – A skoro już przy tym jesteśmy – dodała. – Lepiej przebadaj się, czy nie masz rhinotillexomanii. – Znalazła tę nazwę w „Magazynie Klinicznej Psychiatrii”. Oznaczała nałogowe dłubanie w nosie.

– Dzięki, nie trzeba. Używam chusteczki. – Sięgnął do kieszeni. – Chcesz zobaczyć?

Wykrzywiła twarz w obrzydzeniu. Więc wiedział, że rdzeń „rhin” oznacza nos – reszta była już łatwa.

– Myślę, że lepiej byłoby, gdybyś nie pozwalała sobie na omphaloskepsis – powiedział.

Fiona nie знаła tego słowa, ale mogła odgadnąć jego znaczenie. „*Skepsis*” oznaczało szkodę lub akt spoglądania. „*Omphalos*” to po grecku szef lub środek... ale także pępek. A więc omphaloskepsis oznaczało gapienie się sobie w pępek. Sprytne. Bardzo dobra obelga, wychodząca poza ich zwykły zasób słów. Rzeczy wracały wreszcie do normalności.

Nagle jednak poczuła, jak jej umysł zwalnia, a myśli toczą się ślamazarnie. Żadna odpowiednio paskudna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy. Jej nogi same wykonywały kolejne kroki... Zaczęła nawet lekko

podskakiwać. Wibracje, rytmiczne niczym puls krwi, przeniknęły jej ciało. Drgania były też melodią, radosną i smutną jednocześnie.

Jej uszy wreszcie usłyszały to, co odczuwało ciało. W alejce sto metrów dalej stał starzec, który wczoraj ukradł pizzę ze śmietnika. Stał... i grał na skrzypcach.

MŁODY MAESTRO

Całe ciało Eliota aż wrywało się w kierunku muzyki.

Starzec zdobył gdzieś smyczek i przeciągał nim do przodu i do tyłu po strunach, wydobywając z nich przepiękne dźwięki, które mogłyby być ozdobą każdej symfonii.

Muzyka pulsowała w każdym nerwie Eliota. Ale nie mógł biec – jego stopy nalegały, jakby posiadały własną wolę, by szedł w rytmie melodii.

Staruszek stał wyprostowany. Jego głowa nie nachylała się nad skrzypcami. Instrument raczej luźno leżał na jego ramieniu, a palce przebiegały po strunach jak rzeka po kamieniach. Płatąninę białych włosów zaczesał do tyłu, odsłaniając czarne pasma kończące się trójkątem na środku czoła. Jego oczy tliły się jak dwa niebieskie węgielki. Uśmiechał się.

Eliot też się uśmiechnął i prawie podskakując ruszył w jego stronę.

Midway Avenue, okoliczne budynki, „U Ringo”, nawet stojąca przy jego boku Fiona odpłynęli w dal. Chłopiec widział tylko tego mężczyznę, skrzypce i struny... I słyszał muzykę.

Miał ochotę tańczyć i śpiewać, co niewątpliwie byłoby najbardziej zawstydzającą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił. Jakoś opanował rosnące podniecenie,

choć nie przestawał się przybliżać.

Rozpoznawał tę muzykę. Miała tak wiele warstw, że prawie nie zorientował się, że to była ta sama piosenka, którą staruszek zagrał wczoraj, szarpiąc struny palcami. Jaki miała tytuł? ***Wrzawa śmiertelnych?***

Eliot pomyślał, że to musi być dziecięca rymowanka, bo melodia była tak zaraźliwa. Sprawiała jednak wrażenie dawniejszej. Poza tym słyszał ją już wcześniej. Ktoś mógł mu ją śpiewać, kiedy był małym dzieckiem.

Jego dłoń drgnęła, próbując wydobyć nuty własnymi palcami, jakby sam w rękę trzymał skrzypce. Głupota. Przecież nie potrafiłby na nich grać. Przez babciną regułę 34 nigdy nawet nie dotknął prawdziwego instrumentu. Zaczął jednak wyobrażać sobie, że to umie. W jego wykonaniu melodia brzmiałaby nieco inaczej, trochę wolniej. W wyobraźni widział tłum harcujących wokół niego dzieci i słup majowy opleciony tęczowymi wstążkami, słyszał śmiech i chór głosów:

Chłopcy, dziewczęta, biegniecie zbyt szybko.

Koło życia nie chce stawać.

Wkrótce dorośnięcie i grzechy poznać.

Wtedy dopiero zacznie się zabawa!

Dotyk Fiony wyrwał go z zamyślenia. Natychmiast straciłby dłoń siostry z ramienia, gdyby nie dopiero co związane kruche zawieszenie broni po wczorajszej kłótni. Jeśli mają pomyślnie przejść nadchodzące próby i dowiedzieć się czegoś więcej o ich rodzinie, muszą trzymać się razem. A poza tym jego umysł nie uciekał w fantazyjne światy, gdy ona była blisko.

Staruszek zakończył grę, robiąc smyczkiem szeroki zawijas w powietrzu, i uklonił się. Eliot bił brawo. Poczul, że Fiona puściła jego ramię.

– To była ta sama piosenka, którą grał pan wczoraj, prawda? – odezwał się chłopiec. – Tylko bardziej złożona i zawila.

Staruszek w zamyśleniu uderzył palcem w wargę. Z jego twarzy zniknął uśmiech.

– Tak, tak. Masz znakomite ucho do wyłapywania melodii.

Eliot zastanowił się, czy ta uwaga nie dotyczyła czasem jego głupio odstających uszu, ale w końcu uznał ją za komplement. Wyciągnął rękę. Nie wiedział, co robi. Zadziałał instynktownie jak roślina zwracająca liście w stronę słońca i nieświadomie jak człowiek wciągający powietrze do płuc – sięgnął po skrzypce i smyczek.

– Proszę pana, czy mogę spróbować?

Zaczerwienił się. Co mu przyszło do głowy? Przecież potrzeba lat ćwiczeń, by ze skrzypiec wydobyć jakikolwiek dźwięk, choćby przypominający szorowanie kocich pazurów po betonie.

– Co robisz? – wysyczała z tyłu Fiona. – Nigdy nawet nie miałeś w ręku instrumentu.

Mężczyzna wyglądał na rozczarowanego.

– Więc nie umiesz...?

Pewnie, nigdy wcześniej nie trzymał w ręku skrzypiec, ale pragnął tego najbardziej na świecie. Dlaczego Fiona zawsze musiała wszystko zepsuć?

– Nigdy nie próbowałem – przyznał.

Staruszek odsunął skrzypce. Eliot natychmiast zareagował, dodając:

– Więc nie wiem, czy umiem.

Starzec parsknął. W kąciakach jego warg pojawił się uśmiech, który sprawił, że Eliot poczuł się nieswojo. Mężczyzna z powrotem spoważniałi spojrział na Eliota w sposób, w jaki patrzyła babcia – jakby zaglądając mu prosto do mózgu.

– W takim razie może powinieneś spróbować – stwierdził i wręczył Eliotowi skrzypce i smyczek.

– Reguły – wyszeptła Fiona. – Babcia...

– ... Babcia nigdy się nie dowie – wymamrotał Eliot – jeśli tylko jej nie powiemy.

Wziął instrument do ręki. Skrzypce wydawały się jednocześnie lekkie i ciężkie, zbyt duże i zbyt małe jak na jego dłonie, jak nieporęczne, choć zarazem naturalne przedłużenie jego ciała.

– Uważaj – ostrzegł staruszek. – Są jedyne w swoim rodzaju.

Eliot im się przyjrzał. Poobijane, wyszczerbione, wykonane ze zwykłego, pozbawionego połysku drewna. Ale rzeczywiście wyglądały niezwykle, choć ich niepowtarzalność była głęboko ukryta.

Oparł skrzypce na barku, tak jak robił to wcześniej staruszek, i ostrożnie przejechał smyczkiem po strunach. Z instrumentu wydobył się zgrzyt przypominający tarcie szyby po sypiących iskrami przewodach wysokiego napięcia.

Mężczyzna aż się wzdrygnął. W górze zakrakały oburzone kruki. Niezrażony Eliot rozluźnił uścisk i pozwolił, by smyczek swobodnie opierał się o struny. Dźwięk przycichł i zamienił się w bzyczenie rozwścieczonego roju pszczół. Potem wyraźnie się

uspokoił, przechodząc w łagodne tony.

– Ach – westchnął staruszek. Wyglądał, jakby był pod wrażeniem.

Eliot zmienił ułożenie smyczka i szarpnął palcami struny. Ku jego radości zabrzmiały proste, ale mocne nuty. Próbował kilku kolejnych. W myślach odpowiednio ułożył ich kolejność, a potem, uderzając palcami w struny, odegrał piosenkę mężczyzny.

Staruszek przyklasnął.

– Brawo, młody maestro! – Nachylił się bliżej. – Taki ogromny talent w tak delikatnych dłoniach.

W normalnych okolicznościach taka uwaga spowodowałaby, że Eliot by się zarumienił. Jego dłonie faktycznie były delikatne, zbyt małe i szczupłe, ale być może idealnie pasowały do instrumentu tej wielkości.

Eliot spróbował zagrać piosenkę jeszcze raz, tym razem używając smyczka. Nie zniechęcił się pierwszymi chybotliwymi i Zgrzytliwymi dźwiękami i w końcu doczekał się poprawy.

Grał.

Nie widział alejki, staruszka ani Fiony. Przeniósł się gdzieś indziej. Otaczała go publiczność: tysiące ludzi wstrzymujących dech w wypchanej sali koncertowej, piskliwe śmiechy i przytłumione kroki tańczących dookoła dzieci. Powietrze wirowało, wprawione w ruch przez jego muzykę. Z każdą kolejną nutą czuł coraz bardziej intensywny zapach kwiatów.

Zakończył z lekko niepewnym ozdobnikiem vibrato i oderwał smyczek od drżących strun. Głośno dyszał. Żaden samochód nie przejechał Midway Avenue, żaden owad nie zabzyczał nad pobliskimi kubłami ze śmieciami.

Eliot nie słyszał nawet bicia swojego serca. Jedynie delikatne, ginące nuty, wciąż wibrujące głęboko wewnątrz skrzypiec.

– Magnifique! – Staruszek klepnął Eliota po ramieniu.

Fiona stała z otwartą buzią. Eliot nigdy wcześniej nie widział u niej takiej miny – mieszanki zdziwienia i złości. A może zazdrości? Ale nigdy dotąd nie zazdrościła niczego Eliotowi. Zawsze była we wszystkim lepsza.

W końcu jakoś się pozbierała.

– Musimy iść. Jesteśmy już spóźnieni – zakomenderowała.

Kierownik pizzerii może zadzwonić do nich do domu i zapytać o przyczyny ich spóźnienia. A gdyby babcia dowiedziała się o muzyce... Eliot nie miał pojęcia, co by zrobiła. Niechętnie oddał skrzypce i smyczek staruszkowi.

– Dziękuję panu. Bardzo.

– To ja ci dziękuję. Słuchanie twojego pierwszego występu było prawdziwym zaszczytem. Czekam na kolejne. – Ścisnął ramię Eliota i zabrał instrument, choć skrzypce jakby przykleiły się do palców chłopaka.

Eliot marzył, by móc grać dalej. Muzyka w niczym nie przypominała pracy w restauracji czy pisania wypracowań. Wreszcie tworzył coś, co należało tylko do niego.

– Naprawdę muszę już iść – powiedział ze wzrokiem nadal utkwionym w skrzypcach. – Praca... i reguły babci. Nie wolno mi grać.

– Reguła zabraniająca grania muzyki? – zapytał staruszek. – Czyżby? Nawet w ciemnych wiekach grano

muzykę, niezbyt dobrą, lecz muzykę. Nawet naziści ją lubili. Co za idiotyczna zasada.

– Tak – wyszeptał Eliot. – Może faktycznie taka jest.

Fiona pierwsza ruszyła chodnikiem.

Na ulicy wokół resztek jakiegoś zabitego przez samochód zwierzęcia zgromadziło się sześć kruków. Ptaki uniosły głowy i spojrzały na rodzeństwo.

Eliot usłyszał dochodzący z tyłu szept staruszka:

– Obietnice, serca – wszystko to powstało po to, by to łamać, młody człowieku... Zwłaszcza reguły.

POD WPLYWEM

Eliot próbował wyprzedzić Fionę, ale było to niemożliwe do wykonania, biorąc pod uwagę, że jej nogi były o siedem centymetrów dłuższe. Jedyne, co osiągnął, to maszerowanie równo z nią.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

– O tym, że nie umiem grać na skrzypcach?

Fiona zmarszczyła brwi i westchnęła.

– Nie powinieneś tego robić.

– Bo babcia ustaliła taką zasadę, żebym miał czas na pisanie wypracowań?

– Prawie na pewno istnieje jakiś lepszy powód. Tak jak w wypadku tych wszystkich rzeczy, które robiła, by ukryć nas przed rodziną.

– Podejrzewam – powiedział Eliot – że każe nam pracować i wprowadza te wszystkie reguły po to, byśmy nie zadawali pytań o rodzinę.

– Oczywiście, że tak. Nie wspominała o niej, by nas chronić.

Eliot zwolnił.

– Czy nie rozsądniej byłoby powiedzieć nam o nich? Tak jak się uczy dzieci, jak przechodzić na drugą stronę ruchliwej ulicy? Albo ostrzega przed narkotykami?

– Może – wyszeptała Fiona i też zwolniła.

– Teraz nie jesteśmy bezpieczni i niczego nie wiemy. Choćby jak ci ludzie, tak zwani nasi krewni, mogą

próbować nas zabić, jeśli nie przejdziemy ich prób? Dlaczego nikt nie może ich powstrzymać? Czy są jak cosa nostra?

– Naprawdę powinniśmy zajrzeć do tych pism Machiavellego wieczorem. Może znajdziemy w nich coś przydatnego. – Fiona zatrzymała się. – Ale na razie przynajmniej chciałabym, żebyś trzymał się Z daleka od tego starca ze skrzypcami. Nie wiemy, kim jest, a kiedy na niego patrzę, dostaję gęsiej skórki.

– Jest świetnym muzykiem – wymamrotał Eliot.

– Jest starym, bezdomnym facetem.

Eliot miał już dość dyskusowania. Próbował porozmawiać o rodzinie i oczekujących ich próbach, ale Fiona była najwyraźniej zazdrosna, że potrafił grać na skrzypcach, i tylko o tym mogła myśleć. Sama miała talent do języków, a przecież nikt nie wymyślał reguł zabraniających ich nauki. Jaka szkodę może przynieść gra na skrzypcach? Żaden muzyk nie stał się z powodu tej umiejętności mordercą.

Eliot skręcił do pizzerii. Na ulicy przed restauracją stały zaparkowane w dwóch rzędach samochody. Nad wejściem wisiał plakat z informacją o zmianie właściciela i nowym lepszym menu.

– Szybko się z tym uporali – zauważyła Fiona.

– Czy to znaczy, że Mike już nie wróci? – zapytał

Eliot.

Sześcioro ludzi minęło ich i weszło do restauracji.

– Chodźmy do środka – powiedziała Fiona. – Wczoraj był duży ruch. Dziś prawdopodobnie jest jeszcze gorzej.

Razem pchnęli wejściowe drzwi.

Eliot zamrugał, widząc podwójnie. Dwie Lindy stały przy kasie i rozmawiały z grupką klientów, którzy weszli do restauracji tuż przed rodzeństwem. Kiedy jedna z nich się odezwała, zdał sobie sprawę, że to jednak dwie różne dziewczyny. Eliot nie znał ich zbyt wiele, ale zawsze uważał Lindę za najładniejszą w całej Del Sombrze – choć nigdy nie odważył się nawet dłużej na nią popatrzeć. W tej chwili jednak jej uroda tylko służyła podkreśleniu prawdziwej piękności stojącej obok.

Nowa dziewczyna miała bladą, lśniąca jak marmur skórę. Jej skrócone jasne włosy były lekko zmierzwione, a żywo drgające policzki i usta przyciągały wzrok do tego stopnia, że Eliot nie mógł przestać na nie patrzeć. Serce mocno biło mu w piersi.

Dziewczyna uniosła głowę i uśmiechnęła się. Eliot poczuł cios wprost w żołądek.

– To oni – powiedziała Linda i poszła usadzić nowych klientów przy stoliku.

– Świetnie – odezwała się druga i podeszła do nich.

– Nazywam się Julie Marks i jestem nową kierowniczką. To miło, że jesteście tak wcześnie. Przyda się nam dodatkowa pomoc.

Jej głos aż kapał od słodkiego jak miód południowego akcentu. Miała na sobie sukienkę z koronkowymi obszyciami u dołu i przy szyi. Jej ubranie było nieco staroświeckie i prawie nic nie zakrywało, ale sposób, w jaki się przesuwało wzdłuż ciała dziewczyny, sprawiał, że Eliotowi kręciło się w głowie.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała Fiona.

Eliot kiwnął tylko głową. Nic więcej nie mógł zrobić. Jego wargi zbyt wyschły, by mógł wypowiedzieć

choćby słowo.

– Na tyłach czeka już na was stos naczyń.

Eliot uśmiechnął się, jakby Julie zaprosiła go na randkę.

– Pomożesz dziś Lindzie? – dziewczyna zwróciła się do Fiony. – Zajmiesz się zamówieniami?

Fiona chciała coś powiedzieć, ale Julie odwróciła się do kolejnych klientów, którzy właśnie weszli do restauracji.

– Nie myślisz, że jest zbyt młoda na kierowniczkę?

– szepnęła Fiona do brata.

Eliot chrząknął.

– Nie wydaje mi się. Każdy będzie lepszy od Mike'a.

Fiona zeszywniała.

– Chyba tak. – Z sali przeznaczonej na zamknięte przyjęcia dobiegł brzęk naczyń. – Muszę już iść. Postaraj się nie utopić, dobrze?

– Jasne. – Eliot nie zdołał wymyślić żartobliwej riposty. Był zbyt zajęty liczeniem ludzi w głównej sali. Klienci siedzieli przy każdym stoliku, przyniesiono nawet dodatkowe krzesła z magazynu. To wszystko oznaczało, że brudnych naczyń będzie więcej niż zwykle.

Pchnął drzwi do kuchni. Johnny stał przy kuchence, której wszystkie palniki działały. Właśnie tłumaczył nowemu pomocnikowi, jak smażyć kurczaka po parmeńsku. Miał na sobie biały kucharski uniform i wyglądał bardzo profesjonalnie.

– Czołem, amigo – zamachał Eliotowi. – Ależ mamy dziś ruch, co?

Kuchnia była odmieniona. Smażalnica zniknęła. W

oczy rzucał się za to stojak z miedzianymi garnkami i kociołkami. Wszystko lśniło czystością, wszystko... z wyjątkiem zlewu na tyłach. Spojrzenie Eliota prześlizgnęło się po imponujących rozmiarów stertach brudnych naczyń i przypalonych garnków.

– Czy ktoś wie, jak się czuje Mike?

Johnny wykrzywił twarz, jakby pierwszy raz słyszał o kimś takim. Wreszcie sobie przypomniał.

– Ach, wyliże się, ale na pewno nie wróci do pracy przed końcem lata. A widziałeś, że mamy nowego właściciela i nową kierowniczkę? Chcą zmienić całe wyposażenie kuchni.

– To świetnie. – Eliot zmusił się do uśmiechu, choć zrobiło mu się niedobrze, gdy zbliżył się do znajomego poobtłukiwanego zlewu, w którym od roku zmywał naczynia.

Westchnął, włożył fartuch, gumowe rękawice i zabrał się do roboty. Ciężka praca kształtuje charakter – tak zawsze mówiła im babcia.

Gorąca woda i płyn do zmywania zmieszały się w jezioro mydlin, ale Eliot w ogóle tego nie dostrzegał. Widział jedynie śnieżnobiałą twarz Julie Marks i koronkowe mankiety jej sukienki.

Najchętniej skupiłby się na rozmyślaniu o ich wspólnych przygodach podczas rejsu żaglowcem po ciepłym Morzu Jawajskim, bo to właśnie fantazjowanie utrzymywało go przy zdrowych zmysłach. Ale dziś miał zbyt dużo innych spraw, nad którymi po prostu musiał się zastanowić. Jak choćby rodzina grożąca im śmiercią, jeśli nie przejdą pomyślnie jakichś bohaterских prób. A poza tym miał do umycia pół tony brudnych naczyń.

Zgnębiony, przestraszony i bardziej niż trochę zirytowany tym, że był dosłownie zanurzony po łokcie w brudzie, zaczął ze złością uderzać palcami w ściankę zlewu. Melodia piosenki starca już czała się w tych uderzeniach. Mógł zrobić tylko jedno: sięgnął po brudny talerz i szorując go, stukając i nucąc, szybko go umył. Jeden gotowy. Ale wciąż jeszcze zostało kilkaset. Będzie musiał przyspieszyć.

Zabrzączał naczyniami niczym w błyskawicznym staccato i muzyka w jego głowie dostosowała się do tempa. Woda również odpowiadała rytmicznymi chlupnięciami. Eliot pracował i patrzył na wzory, w jakie układały się mydliny. Bąbelki łączyły się w tuziny drobniutkich dłoni. Niektóre machały na przywitanie, inne na pożegnanie, ale większość układała się w wulgarne gesty. Nie przestawał zmywać, płukać i sięgać po kolejne naczynia. Zwiększył tylko jeszcze tempo muzyki i zobaczył w mydlinach stada białych kruków, rozszerzające się w uśmiechu usta i drobne, wirujące galaktyki bąbelków.

Wyczuł czyjąś obecność za sobą.

– Wiem, że jesteś zajęty... eee... Eliot, tak masz na imię, prawda? – tuż obok jego ramienia rozległ się głos Julie Marks. Jej oddech łaskotał jego szyję.

– Ehemm... – wymamrotał.

Chciał się odwrócić i porozmawiać z nią, ale nie pozwalała mu na to muzyka. Nie mógł zgubić rytmu.

– Zamierzam wprowadzić tu kilka zmian. Wszystkie na lepsze. Chciałabym z tobą o tym porozmawiać. Może później?

– Może. Czemu nie.

– A może jednak teraz? – Jej głos już nie brzmiał tak słodko.

Eliot nie przestawał zmywać.

– Później...

Po prostu powtarzał jej słowa jak echo. Nie miał zamiaru jej obrażać, choć właśnie tak zabrzmiała jego odpowiedź.

Odeszła, zostawiając za sobą tylko zapach perfum.

Miał wyrzuty sumienia, ale nie potrafił przestać pracować. Skupił się i muzyka w jego głowie zamarła. Ale wciąż tu była... czekała. Zupełnie jakby nie stał przy zlewie, lecz przy podium dyrygenta, a setki muzyków wypatrywałyby jego znaku. Eliot nie śmiał dłużej ich tak trzymać.

Poruszył dłonią, rozchlapując wodę. Pomachał talerzem i gąbką, jakby były pałeczkami. Zatrąbiły waltornie, rozbudziły się rzędy wiolonczel, do których zaraz dołączyły harfy i kotły.

Eliot przekształcił prostą piosenkę w pełną symfonię, zawijając i powtarzając melodię, przerabiając ją po swojemu. Nie brzmiało to aż tak dobrze jak solowy występ starego mężczyzny ale tamten był mistrzem, a Eliot dopiero początkującym adeptem. Od czegoś musiał zacząć.

Przyszła Fiona i chciała porozmawiać o babci i rodzinie. Coś jej odpowiedział – nie wiedział, co dokładnie – i po chwili odeszła. Z jego perspektywy siostra znajdowała się w tej chwili w zupełnie innym świecie.

Trzymał wzrok utkwiony w wodę, w wibrujące i uderzające w zlew fale, które tworzyły krzyżujące się

wzory, linie sił, nakładające się nawzajem na siebie pasma przeznaczenia tkające coś w rodzaju gobelinu przedstawiającego jego życie. Było tu wszystko, każda możliwość: zwycięstwa, ślepe uliczki, narodziny i śmierć. Pełen obraz.

Muzyka wciąż mu towarzyszyła, eksplozje akordów i harmonii, chór głosów i ostro brzmiących perkusji, w górę i dół skali, ogłuszająca kombinacja niebiańskich i szatańskich dźwięków. Stracił kontrolę nad melodią... ale również i na tym polegała wspaniałość tego utworu. Był podobny do pogody – czasem miał postać łagodnej bryzy, czasem huraganu. W końcu tempo opadło. Ostatnia drżąca nuta wybrzmiała. Oblany potem Eliot uniósł pomarszczone od wody jak suszone śliwki dłonie i rozejrzał się. Wszystkie naczynia i garnki były umyte i ułożone w równe stosy. Co więcej, wszystkie kamionkowe talerze, które przez lata zmatowiały od szorowania, teraz lśniły, jakby właśnie je wypalono. Garnki – wcześniej poobijane i pozbawione połysku – mieniły się jak chromowa maskownica w limuzynie wujka Henry'ego.

Jego palce znów zaczęły wystukiwać rytm. Siłą woli zmusił je, by znieruchomiały Julie, najśliczniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział, przyszła, by z nim porozmawiać, a on ją zignorował. Dodał to do listy głupstw, które zrobił w ostatnich dniach. Fiona też tu była. Nawet nie pamiętał, co mówiła. A przecież musieli porozmawiać o sprawach, od których zależało ich życie.

Spojrzał na szarą i już znieruchomiałą wodę. Gwiazdy i linie sił zniknęły. Czy to wszystko było tylko snem na jawie? Popatrzył na swoje dłonie, które jeszcze chwilę wcześniej zdawały się dyrygować tym całym

przedstawieniem, i zacisnął je w pięści. Myślał, że to on kontroluje muzykę, ale może było odwrotnie. Może to muzyka przejęła nad nim władzę.

Pomyślał o regule 34. Wcześniej uważał, że babciny zakaz nie miał żadnego uzasadnienia, może co najwyżej miał zapewnić, że skupią całą uwagę na nauce. Ale może istniały ku niemu inne powody? Czy to możliwe, że muzyka okaże się dla niego zagrożeniem?

CICHY WIELBICIEL

– Porozmawiajmy – szepnęła Fiona.

Eliot nie odezwał się i wciąż mył naczynia. Zdażył już rozprawić się z połową stojącej przed nim brudnej i tłustej góry. Fiona nie zdawała sobie sprawy, że w restauracji było aż tyle talerzy.

– Zmiana już prawie się kończy – powiedziała. – Nasza nowa kierowniczka tak mnie urządziła, że nie miałam do tej pory nawet chwili odpoczynku. Zrób sobie przerwę, to obmyślimy plan na wieczór.

– Ehe. – Ręce Eliota przesuwaly się pod wodą, aż piana wirowała po powierzchni. Chłopak nie odchodził od zlewu.

Fiona czekała, spoglądając na Johnny'ego i jego nowego pomocnika. Oni też wyglądali na zajętych, choć zachowywali się bardzo dziwnie. Artystycznie układali jedzenie, podrzucali krążki pizzy, potrząsali miedzianymi garnkami nad palnikami, cały czas poruszając się, jakby tańczyli w rytm muzyki. Ona jednak niczego nie słyszała. Trąciła Eliota łokciem.

– No, chodź.

– Później – wymamrotał, nie przestając zmywać.

No dobrze, może i miał powód, by traktować ją chłodno za to, co powiedziała o tych głupich skrzypcach, ale teraz już przesadzał. Mieli przecież ważne sprawy do obgadania. Co on sobie myślał? Czy cały czas zamierzał

zachowywać się jak dziecko i dać się zabić bez stawiania oporu?

Julie Marks weszła lekkim krokiem do kuchni. Pod ręką miała kwadratowe pudełko na średnią pizzę. Fiona jej nie lubiła. Dziewczyna wyglądała tak świeżo jak rankiem, choć przez całe popołudnie zajmowała się klientami, a także pomagała jej i Lindzie przy zamówieniach oraz sprzątanii ze stołów.

Johnny i nowy chłopak podnieśli głowy, uśmiechnęli się i pomachali Julie. Dlaczego wszyscy faceci traktowali ją niczym królową ula? Nie była przecież aż tak ładna. Czy to przez ten południowy akcent?

Julie podeszła do zlewu.

– Wiem, że jesteś zajęty... eee... Eliot, tak masz na imię, prawda?

– Ehemm... – wymamrotał Eliot i nie przestawał pracować. Nawet się nie odwrócił.

Dlaczego zachowywał się jak idiota? Był nieśmiały, ale to wykraczało poza zwykłą wstydlivość.

Julie ponownie zwróciła się do Eliota, ale ten znów tylko coś bąknął pod nosem całkowicie pochłonięty zmywaniem. Po porcelanowej twarzy Julie przemknął cień, w jej oczach zatliły się – i niemal natychmiast zgasty – iskierki gniewu. Dziewczyna odwróciła się do Fiony.

– Świetnie sobie dziś poradziłaś. Kilka rozbitych szklanek i pomyłek w zamówieniach... Ale tego można się za pierwszym razem spodziewać. Naprawdę mi dziś pomogłaś. Dziękuję. – Podała Fionie kopertę.

Fiona zajrzała do środka: pięciodolarówki i po jednym banknocie dziesięciodolarowym i dwudziestodolarowym.

– Twój udział w napiwkach – wyjaśniła Julie. – Łatwy zarobek od beztruskich turystów.

Ich zapłatę zawsze wysyłano pocztą do domu, a później trafiała na rachunek z oszczędnościami na ich studia założony przez babcię. Fiona nigdy wcześniej nie miała własnej gotówki. Przesunęła palcem po banknotach, zastanawiając się, co z nimi zrobi.

– O, prawie bym zapomniała. – Julie wręczyła jej pudełko, które wcześniej trzymała pod łokciem. – Dostawca zostawił to dla ciebie.

Fiona obejrzała pudełko. Ścianki oblepiały pieczętki międzynarodowych urzędów celnych.

– Do jutra – pożegnała się Julie. – Eliot?

Wciąż zmywał, jakby świat poza zlewem dla niego nie istniał. Julie wbiła wzrok w tył jego głowy, potem wymaszerowała ciężkim krokiem z kuchni. Cóż, skoro Eliot naprawdę tego chce, może zachowywać się opryskliwie i szorować naczynia aż do jutra.

Fiona zabrała paczkę do damskiej przebieralni. Pomieszczenie było puste, Linda poszła już do domu. Postawiła pudło na podłodze. W plastikowym opakowaniu znajdowała się kartka. Fiona zawahała się, trzymając palce na plastiku, czując pod nimi zebrany ładunek elektryczny. Wreszcie ostrożnie wyjęła kartkę.

Było na niej napisane:

Dla najdroższej Fiony

Moje serce przepelnia uczucie do najśliczniejszej istoty na całej ziemi.

***Z największym szacunkiem
Cichy Wielbiciel***

Śliczna? Ona? Zakręciło jej się w głowie. Przeczytała liścik jeszcze raz. Potem sprawdziła nazwisko na naklejce z danymi odbiorcy: Fiona Post, „U Ringo”, Pałac Amerykańskiej Pizzy. Czy to od wujka Henry'ego? To wyjaśniałoby międzynarodowe pieczętki. A może paczkę wysłał jego kierowca Robert?

Powąchała kartkę. Wyczuła lekki zapach męskiej wody kolońskiej. Jej serce zabiło mocniej. Przez całą jazdę Robert prawie na nią nie spojrzał. Ale ona również nie ośmieliła się popatrzeć na niego, a teraz nie mogła przestać o nim myśleć.

Ktokolwiek wysłał paczkę, był jej cichym wielbicielem – Fiona z trudem łapała oddech. Miała tajemniczego adoratora, zupełnie tak jak jej matka.

Otworzyła przesyłkę. Wewnątrz znajdował się powyginany styropian, który chronił obciągnięte czerwonym atłasem pudełko w kształcie serca. Wyciągnęła je. Było cięższe niż się spodziewała. Zastukała w bok i zorientowała się, że jest wykonane z drewna, nie z tektury.

Palcami dotknęła ekstrawaganckich rzeźbień na wieczku, potem złapała za jego krawędzie, pociągnęła... i zamarła. Czy to mogła być jej pierwsza bohaterska próba?

Wyobraziła sobie pudełko pełne jadowitych stonóg. Jej dotychczasowe doświadczenia kazały się raczej spodziewać takiego trującego prezentu niż prawdziwego podarunku od cichego wielbiciela.

Uniosła nieco wieczko i pociągnęła nosem. Jej nozdrza wypełnił zapach mięty, migdałów, imbiru i czekolady.

Ręce Fiony zaczęły się poruszać bez udziału jej woli. Odłożyła pokrywkę i zdarła warstwę ochronnego papieru. Wstrzymała oddech.

Wewnątrz tuzina wymoszczonych marszczonym jedwabiem wgłębień leżały czekoladki – pękate trufle, masywne medaliony, owinięte folią kule, białe jak śmietana gwiazdki i pofałdowane serca. Nie było dwóch takich samych.

Palce Fiony krążyły w powietrzu nad nimi, ale zawahała się, znów myśląc o tym, czy nie są zatrute i czy mogą stanowić jakiś test. Uznała jednak, że to niemądry pomysł. Nie zamierzała zepsuć sobie radości z podarunku od pierwszego w jej życiu cichego wielbiciela. Poczowała, jak ślina gromadzi się w jej buzi. Już nie zastanawiała się, czy może je zjeść, ale od której powinna zacząć.

Zamknęła oczy i wskazała dłonią sam środek pudełka i leżący tam mleczny owal z ciemnymi, przypominającymi abstrakcyjny obraz dekoracjami. Sięgnęła po niego i głęboki aromat czekolady połaskotał jej nozdrza. Na jej wargi wypłynęło tyle śliny, że aż musiała je przetrzeć.

Uniosła czekoladkę do ust i ugryzła odrobinę. To było jak pocałunek. Ale nie taki, jaki składała przed pójściem spać na policzku babci. Raczej długi, głęboki i chwytający za serce – dokładnie taki, jaki był w jej wyobraźni pocałunek Roberta. Rozpływające się w ustach cytrusy i kakao o lekkim posmaku dymu rozlały się po jej gardle. Ugryzła jeszcze kawałek i słodka jak miód morela zawirowała na jej kubkach smakowych... a tuż za nią pojawiła się zaskakująca ostrość koniaku. Serce Fiony intensywnie pompowało krew do każdej żyłki, sprawiając,

że jej skóra przybrała czerwony odcień.

Nigdy wcześniej nie było jej tak ciepło, nigdy też nie czuła się tak pełna życia. Pochłonęła resztę czekoladki. Nie musiała gryźć po kawałeczku, skoro miała ich aż tyle. Intensywność słodczy była niemal przytłaczająca. Fiona usiadła. Jej ciało przeszyły dreszcze i gorączka. Przełknęła ostatni raz i odпочęła, uspokajając oddech.

Jej umysł szybował ponad chmurami z prędkością dźwięku, wyprzedzając jej rozedrgane ciało. Iskry i błyski zorzy wypełniły jej myśli. Wtedy to zrozumiała. Pojęła, co musi zrobić, żeby uporać się ze wszystkim do końca dnia.

Przykryła pudełko, wsunęła je do plastikowej torebki z logo restauracji i włożyła pod koszulę. Odetchnęła głęboko i skrzyżowała ręce na piersiach. Jeśli nie będzie się zatrzymywać, miała spore szanse, że nikt niczego nie zauważy.

Wyszła z przebieralni... i niemal zderzyła się z Eliotem.

– Skończyłem.

Wyglądał na wyczerpanego. Zdjął z siebie przemoczony fartuch i odgarnął pasma włosów, które przywarły mu do twarzy.

– Pomyślałem, że pogadamy po drodze do domu.

– Więc chodźmy. Przestań się guzdrać. – Fiona minęła go i nie oglądając się za siebie, wyszła przez tylne drzwi restauracji, a następnie na chodnik.

Eliot biegł z tyłu, próbując ją dogonić.

– Od czego zaczniemy? – zapytał. – Hej, możesz wolniej?

– Nie. Zmarnowaliśmy już cały dzień. A zaczniemy od przejrzenia dyskursu Machiavellego. Mam przecucie,

że średniowieczni książęta i rodziny naszych rodziców mają z sobą wiele wspólnego. – Plastik pod jej skrzyżowanymi ramionami szeleścił, gdy przyspieszyła kroku.

– A co ja mam robić? Nie potrafię przecież czytać po włosku. Czy też w jakim języku zostało to napisane.

– Ty masz swoje talenty – wyszeptała Fiona – a ja swoje.

– Co masz na myśli?

Dotarli do Oakwood Apartments. Fiona weszła do budynku i pobiegła szybko na górę, zostawiając za sobą brata i jego niemądre pytania.

W mieszkaniu czekała już na nich Cee z herbatą i nieforemnymi ciastkami własnego wypieku. Fiona przemknęła obok niej.

– Praca domowa, nie mam czasu na pogawędki – wyjaśniła, nie zatrzymując się, i zniknęła w swoim pokoju.

Zamknęła za sobą drzwi i przekręciła kluczyk pod klamką. Udało się. Jej palce jednak wciąż trzymały zamek.

Nigdy wcześniej nie potraktowała brata tak lekceważąco. Ale od chwili, gdy zagrał na skrzypcach, coś się stało z jego głową. Miał dobre intencje, ale samej będzie jej się pracować szybciej i pewnie lepiej. Tak, to było dobre rozwiązanie.

Wyjęła pudełko spod koszuli i położyła je na łóżku. Zje kilka – po to, by znów doświadczyć uczucia, że może sięgnąć wzrokiem za horyzont – a zaraz potem zabierze się za pracę domową i ten włoski tekst, by obmyślić plan działania dla nich obydwójga.

Otworzyła pudełko i wyciągnęła kolejną pralinę. Eksplozja mięty, imbiru i gorzkiej czekolady wyostrzyła

jej zmysły i sprawiła, że jej język wił się z ekstazy.

Wszystko stało się wyraźne. Sięgnęła na półkę po ściągnięty gumką zbiór pergaminów. Zdmuchnęła kurz i popatrzyła na wykaligrafowane litery „DISCORSI SU VILLAINY, Niccoló Machiavelli”. Usłyszała pukanie.

– Wpuść mnie – zza drzwi dotarł stłumiony głos Eliota. – Przydam się.

– Idź sobie! – krzyknęła. – Muszę się skoncentrować.

– Powinniśmy porozmawiać.

– Później.

Odczuwała satysfakcję, rzucając bratu takie same niedbałe odpowiedzi, jak on wcześniej jej.

Eliot coś jeszcze mówił, ale nie zwracała na niego uwagi, skupiając się zamiast tego na wyborze następnej czekoladki. Sięgnęła po czerwono-czarny trójkąt z cynamonowym nadzieniem i zatopiła się w smaku korzennej przyprawy, w aksamitnej miękkości bursztynowej masy.

A teraz do folio.

Kopiowała odręczne notatki Machiavellego na niewielkie fiszki, uważając, by nie poplamić cennych autentycznych papierów. Włoski nie przysparzał jej trudności, miał tak dużo wspólnego z łaciną. Jego średniowieczna wersja stanowiła oczywiście zupełnie inne wyzwanie, mimo to dziewczyna odkrywała znaczenie ciasno wykaligrafowanych słów z taką łatwością, z jaką widzi się kolory witraży w południowym słońcu. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś takiego.

Czytała o tym, co Machiavelli naprawdę myślał o księżętach dawnej Italii. Z przerażeniem dzielił się swoimi

lękami: jeśli nie będzie im schlebiał, poddadzą go torturom (znowu) i zabiją. Niektóre z notatek mówiły o tym, że podczas wojen, które książęta toczyli na swoich salonach, wrogów szukano często bardzo blisko. W tamtych rodzinach to dzieci radziły sobie najgorzej. Wiele z nich nie dożywało wieku, w którym mogłyby rywalizować ze starszymi o władzę. Machiavelli nazywał je armią pionków przeznaczonych do wykorzystania, ale nigdy do tego, by dostać się na drugą stronę planszy.

Fiona zaś nie wiedziała nawet, po której stronie planszy oni się znajdowali: należącej do matki czy ojca? Zresztą nie o to chodziło w próbach. A może właśnie o to? Zastanawiała się, czy w zagadce wujka Aarona o polach szachownicy kryło się jakieś znaczenie, którego wcześniej nie dostrzegła. Przetarła oczy i zobaczyła, że jej budzik wskazuje ósmą trzydzieści. Czas płynął szybko, kiedy czytało się o średniowiecznych zbrodniach i morderstwach.

Sięgnęła po kolejną czekoladkę. Jej dłoń macała wśród porzuconych jedwabnych torebek, lecz znalazła tylko papier. Jej żołądek się zacisnął. Złapała pudło i odrzuciła papierki. Pusto – nie było już żadnej pralinki. Zjadła wszystkie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Poczuła się, jakby tonęła w lodowatej wodzie. Jeśli nie liczyć dziwaczych prezentów od babci i Cee, to pudełko było jedyną rzeczą, jaką kiedykolwiek otrzymała tylko dlatego, że ktoś ją lubił. Powinna się cieszyć takim darem jak najdłużej. A przynajmniej zachować choć jedną czekoladkę na jutro.

Zacisnęła powieki. Oddałaby wszystko, by mieć więcej słodczy. Zachowała się głupio, jedząc je podczas

pracy.

Złapała za pudełko i rzuciła nim na drugą stronę pokoju. W środku coś się przesunęło. Fiona zamarła. Podniosła z powrotem opakowanie w kształcie serca i położyła je na kolanach. Wstrzymała oddech. Całe jej ciało drżało.

Wewnątrz znajdowała się warstwa woskowanego papieru ryżowego. Uniosła ją drżącymi rękoma. Słońce znów weszło nad jej światem. Poczowała głęboką ulgę i uśmiechnęła się.

W pudełku była druga warstwa czekoladek.

NIE ZABIJAJ POSŁAŃCA

Po tym jak Eliot wstał i ubrał się, przez piętnaście minut czekał w korytarzu na Fionę. Nawet pukał do jej drzwi, ale nie odpowiedziała.

Nigdy wcześniej nie zasnęła.

Z jadalni dobiegały przyciszone głosy. Babcia i Cee też pewnie już czekały. Eliot upewnił się, że go nie widzą. Nie miał ochoty stawiać im czoła w pojedynkę. Wczorajsza praca domowa – esej o Napoleonie i bitwie pod Waterloo – wyjątkowo źle mu poszła. Ale dlaczego Fiona nie chciała nawet z nim porozmawiać? Wczoraj w restauracji muzyka zaabsorbowała go do tego stopnia, że zachowywał się jak osioł, ale to nie był przecież powód, by zatrząskawać przed nim drzwi. Przed pójściem spać podszedł do otworu wentylacyjnego i kilka razy zawołał do niej tak głośno, jak tylko się odważył, ale siostra albo go nie słyszała, albo celowo ignorowała. Może była zbyt pochłonięta tłumaczeniem Machiavellego? Nie zmieniało to jednak faktu, że Eliot też był na nią zły – gdyż ona była zła na niego. W trudnych chwilach zawsze mieli trzymać się razem, tymczasem po raz pierwszy działo się zupełnie odwrotnie.

Zwinał kartki z esejem w tubę i nerwowo uderzał nią w udo. Na skraju jego świadomości pobrzękiwała muzyka: znowu ta głupia dziecięca piosenka.

Zmusił swoje ręce i myśli do kompletnego

bezruchu. W promieniach porannego słońca wpadającego do korytarza tańczył kurz. Pyłki wyglądały jak maleńkie ptaszki unoszące się na powietrznych prądach lub nuty... które prawie umiał odczytać.

Odwrócił wzrok. Dziś to on będzie panował nad piosenką, a nie odwrotnie. Po tym jak podczas zmywania prawie stracił kontakt z rzeczywistością, ogarnęły go wątpliwości. Ale ćwiczył wczoraj wieczorem i potrafił zatrzymać muzykę za każdym razem, gdy zabrzmiała mu w głowie.

To nie było łatwe. Bo wcale nie chciał przerywać słuchania. Tylko bał się, że znów zatraci się w melodii i stanie się coś o wiele dziwniejszego niż wyczyszczenie do połysku kilkudziesięciu brudnych talerzy.

Dodał to zdarzenie do wciąż rosnącej listy trudnych do wyjaśnienia sytuacji z ostatnich dni.

– No dalej, Fiona – wyszeptał. – Wstawaj.

Jeśli zaraz nie pojawią się w jadalni, Cee lub babcia zaczną ich szukać. A poza tym spóźnią się do pracy. Zakładał, że dziś też tam idą. Bo dlaczego miałyby być inaczej? Babcia wysłałaby ich do pizzerii nawet podczas trzęsienia ziemi o sile dziesięciu przecinek zero stopni. Kalifornia tonęłaby w Oceanie Spokojnym, a oni i tak sprzątałiby w restauracji.

Przechylił głowę i nasłuchiwał. Zorientował się, że w jadalni pojawił się trzeci głos. Następny krewny? Nie miał zamiaru przegapić kolejnej ciekawej rozmowy, jak to się stało tuż po przybyciu wujka Henry'ego.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Tym razem obędzie się bez siostry, pomyślał i pomaszerował wzdłuż korytarza.

Babcia i Cee siedziały po przeciwnych stronach stołu. Miejsce między nimi zajmował kierowca wujka Henry'ego. Chociaż był tylko o rok lub dwa starszy od Eliota, przewyższał go o głowę i ważył z dziesięć kilogramów więcej. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę motocyklisty, wytarte dzinsy i białą koszulkę. Włosy opadały mu na oczy, jakby nigdy ich nie czesał.

W swoich marzeniach Eliot czasami wyobrażał sobie, że właśnie tak wygląda: trochę jak pirat, trochę jak tajny agent, w każdym calu jak buntownik.

– Cześć – przywitał się. – Robert, prawda?

Nikt się nie odezwał. Robert siedział sztywno wyprostowany, z rękoma na stole i stopami opartymi czubkami butów o podłogę. Cee wykrecała dłonie. Babcia za to nie spuszczała wzroku z kierowcy, przyszpilając go jak żuka do styropianu w gablocie z owadziemi eksponatami.

– To jest pan Farmington – powiedziała.

– Wystarczy „Robert”, proszę pani.

Eliotowi zaimponowało, że tamten poprawił babcię. Robert mówił z lekkim akcentem – może ze środkowego zachodu? Albo odrobiną niemieckiego? Fiona wiedziałaby od razu.

Eliot wyciągnął rękę do gościa. Robert wyglądał na zaskoczonego tym gestem, ale wstał, ani na moment nie spuszczając z oczu babci, i uścisnął dłoń młodszego chłopaka.

Przez chwilę Eliot zastanawiał się, jakby to było, gdyby zamiast siostry miał brata bliźniaka. Kogoś mniej rozchwianego emocjonalnie. Uścisk Roberta był uprzejmy i stanowczy, ale jednocześnie sugerował żelazną siłę

mięśni. Gdyby byli braćmi, toczyliby pewnie raczej fizyczne potyczki zamiast umysłowych... Więc może lepiej, że ma siostrę.

– Miło mi ciebie poznać – powiedział Eliot.

– Mnie również. – Robert popatrzył na niego i nieufność na jego twarzy przygasła.

– Chodzi o próby, prawda? – zapytał Eliot. – Zaczynamy?

Robert wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że sytuacja jest zbyt skomplikowana, by taki luzak jak on mógł ją do końca wyjaśnić.

– Przyjechałem, żeby się przedstawić. Pan Mimes pomyślał, że będzie lepiej, jeśli będę pośredniczył w kontaktach między wami a Radą.

Kiedy wypowiadał słowo „Rada”, większość jego luzu wyparowała. Eliot przypomniał sobie zdanie, które wujek Henry skierował do babci: „Nie zabija się posłańca”. Czy właśnie coś takiego przydarzyło się Welmannowi? Czy dostarczył jakąś nieprzyjemną wiadomość?

– Żaden z nich nie ma odwagi, by stanąć z tobą twarzą w twarz – Cee wyszeptała do babci – więc przysyłają chłopca.

Robert zarumienił się i starając się nie patrzeć ani na Cee, ani na babcię, powiedział:

– Tego nie wiem, proszę pani. Idę tam, gdzie mi każą.

Babcia ułożyła dłonie w trójkąt.

– Więc możesz już odejść. Przedstawiłeś się. Wykonałeś zadanie. W tej chwili nie mamy nic do przekazania Radzie.

Uklonił się, przyjmując do wiadomości polecenie babci, ale nie ruszał się z miejsca.

– Coś jeszcze?

– Tak, proszę pani. Pan Mimes chciał, żebym wytłumaczył ogólny charakter prób. Powiedział, że tego wymaga sprawiedliwość.

– Sprawiedliwość, rzeczywiście – wymruczała Cee.

– Wysłać moje owieczki do wilka po radę.

Szczęki Roberta się zacisnęły. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego wypuścił z płuc powietrze i milczał.

– Chciałbym to usłyszeć – odezwał się Eliot.

Robert skinął głową z ulgą, że przynajmniej jedna osoba nie utrudniała mu wykonania zadania.

– Rada chciałaby, żeby próby miały dla was autentyczne znaczenie – zwrócił się do chłopaka. – Zabicie Hydry, ściągnięcie Cerbera z powrotem z piekła... Kogo interesują takie rzeczy w dzisiejszych czasach? – Robert przerwał, jakby powiedział coś nieodpowiedniego. Ośmielił się zerknąć na babcię.

Ta kiwnęła głową i pochyliła się do przodu.

– Mów dalej.

Kierowca przejechał językiem po wargach.

– Próby będą się więc opierać na ich mitologii. Współczesnych legendach miejskich, jak ta o Krwawej Mary w lustrze²⁷.

²⁷ Duch kobiety wzywany przez wypowiedzenie jej imienia przed lustrem, często przy świetle świecy i/lub podczas trzynastokrotnego obracania się w miejscu. Istnieje wiele teorii na temat rzekomej tożsamości ducha: morderczyni dzieci (lub niewinna ofiara takiego oskarżenia), wiedźma, nawet królowa Maria I. Osobę, która ją wezwała, ciężko rani lub pozbawia życia, choć niektórzy twierdzą, że pokazuje jej wizerunek przyszłego męża (lub czaszkę, jeśli umrze przed zamążpójściem), co

– Krwawej kim? I w czym? – zapytał Eliot.

Reguła 55 zabraniała jakichkolwiek wzmianek o mitach i legendach, miejskich czy klasycznych. Eliot miał nieprzyjemne wrażenie, że Rada wybrała jeden z nielicznych tematów, o których on i jego siostra niczego nie wiedzieli.

– Och – wyszeptała prababcia, jakby potwierdzając obawy Eliota.

Babcia rzuciła Cee spojrzenie, które ją uciszyło.

– Pomyśleli – kontynuował Robert – że tak będzie sprawiedliwie. Pan Mimes powiedział, że znajoma mitologia połączy przyziemny świat dzieci ze sferą fantastyczną, gdzie jest ich miejsce. Czy coś podobnego.

– Chyba nie lubię, gdy wujek Henry nazywa mnie dzieckiem – za plecami Eliota zabrzmiał głos Fiony.

Chłopak zakreślił się na pięcie.

Siostra wyglądała, jakby właśnie wyszła spod prysznic. Jej włosy kręciły się wokół twarzy jak ciemne wstążki i wcale nie przypominały zwykłej masy drobno skręconych loków. Miała na sobie sztruksowe spodnie, ciężkie buty i zieloną koszulę. Przez ramię przewiesiła postrzępioną płócienną torbę na książki. To były jej najbardziej normalne ubrania. Trzymała się prosto, z wysoko podniesioną głową. Wyglądała na bardzo pewną siebie, prawie jak młodsza wersja babci.

– Ładnie wyglądasz – zauważyła Cee, ale drżenie jej głosu wskazywało, że wcale tak nie myśli.

spowodowało, że zabawa w przywoływanie Krwawej Mary stała się popularna wśród dorastających dziewcząt. Wizje tłumaczy się autosugestią, kiepskim oświeceniem i przyprawiającymi o zawroty głowy obrotami, które odpowiednio przygotowują osobę wzywającą (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne*, *op.cit.*).

– Rzeczywiście – potwierdziła beznamiętnie babcia.

Robert długo gapił się na Fionę, wreszcie opanował się i zebrał myśli.

– Powtarzam tylko pani, co powiedział – wyjaśnił.

– Mam na imię Fiona.

Oczywiście widziała go już wcześniej, ale i tak wyciągnęła do niego rękę, jakby właśnie się poznali. Ułożyła dłoń, jakby oczekiwała nie tyle uścisku, ile pocałunku złożonego na nadgarstku. Dlaczego ni stąd, ni zowąd zachowywała się tak dziwnie? Jego siostra nigdy nie odzywała się do nieznanym, zwłaszcza nieznanym chłopców. A już szczególnie w obecności babci.

Robert ujął jej dłoń i trzymał ją przez chwilę. Brwi Fiony uniosły się zupełnie jak babci, gdy ta była zirytowana lub zaintrygowana.

– Cóż, panie Farmington – odezwała się po kilku sekundach niezręcznej ciszy babcia – przedstawił się pan i przekazał wiadomość. Najwyższa pora wyjść.

Puścił rękę Fiony.

– Oczywiście, proszę pani. Jeśli będziecie mnie potrzebować, można do mnie zadzwonić lub wysłać maila. Macie wszystkie dane.

Oczy babci zwięzły się, co – o czym Eliot wiedział – znaczyło, że nie zamierza skorzystać z usług Roberta Farmingtona ani teraz, ani w przyszłości.

– Odprowadzę cię – zaproponowała Fiona.

– Nie ma takiej potrzeby – wtrąciła Cee, przykrywając zmieszanie niezręcznym śmiechem.

– To tylko drobna uprzejmość – odpowiedziała

Fiona. – A pan Farmington przyjechał z tak daleka, by z nami porozmawiać.

Babcia kiwnęła głową i Fiona poprowadziła Roberta w stronę drzwi.

– Miło było cię poznać – odezwał się Eliot.

Robert zasalutował mu niedbale, potem skłonił się Cee i jeszcze niżej babci.

Fiona wyszła za nim na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

– Nie podoba mi się, że jest sama z tym chłopakiem – wyszeptała Cee.

– Dorasta – odpowiedziała babcia i napiła się herbaty. – Może uda jej się dowiedzieć czegoś więcej. Słodycz rozwiązuje język, prawda?

Dorasta? Czy zdaniem babci to wyjaśniało dziwne zachowanie Fiony? Eliot poczuł się, jakby jednocześnie ciągnęły ich i popychały w różne strony siły, których nie rozumiał... ani nie lubił.

JEDNA DROBNA, ALE ISTOTNA PRAWDA

Fiona szła z Robertem w stronę schodów. Gorąca krew pulsowała jak bęben w jej klatce piersiowej. Nigdy wcześniej nie była aż tak zdenerwowana.

Ale zaczynała się przyzwyczajać. Musiała jedynie wytrwać... i nie pozwolić sobie stać się z powrotem wciąż patrzącą się w ziemię kretynką.

Nie spała przez większą część nocy. Zjadała czekoladki z drugiej i trzeciej warstwy pudełka (jak one się zmieściły w takim małym opakowaniu?) i czytała Machiavellego, by dowiedzieć się, w jaki sposób można było uniknąć śmierci z ręki książąt włoskich.

Robert zatrzymał się przed drzwiami i udawał, że czyta tabliczkę z instrukcją przeciwpożarową. Był od niej wyższy, więc musiała patrzeć w górę, gdy z nim rozmawiała. To była miła odmiana. Zapach jego skórzanej kurtki odurzał ją.

– Dzięki – powiedział – że byłaś dla mnie miła. Powiedzieli mi, czego się mogę spodziewać po twojej babci, ale – zerknął na drzwi do ich mieszkania – ona jest jeszcze bardziej przerażająca.

– Wiem.

Babcia, jeśli tylko chciała, potrafiła budzić grozę niczym huragan lub trzęsienie ziemi. Nie dało się wtedy z nią walczyć, można było co najwyżej próbować przetrwać jej wybuch. Ale Fiona chciała powiedzieć Robertowi, że

babcia potrafiła też być miła. Po prostu ochraniała ją i Eliota; zawsze miała na uwadze ich dobro.

Robert odgarnął z twarzy ciemne włosy. Z jakiegoś powodu ten gest sprawił, że serce Fiony zaczęło walić jeszcze mocniej.

– Cóż, jeszcze raz dziękuję. – Otworzył drzwi i wyszedł na klatkę. – Na razie.

– Zejdę z tobą na dół. To żaden kłopot.

Na twarzy Roberta pojawił się znowu ten sam prosty uśmiech, który już wcześniej u niego widziała. Tak inny od obciążonych ukrytymi znaczeniami uśmiechów wujka Henry'ego i innych członków rodziny.

Przytrzymał przed nią drzwi.

– Super.

Schodzili razem po stopniach i chociaż po raz pierwszy w życiu Fiona była sam na sam z chłopakiem, nie mogła przestać myśleć o babci. Co sprawiało, że wywoływała taki strach? Czy tylko jej autorytet i sposób zachowania? Nigdy nie podniosła nawet palca na nią czy Eliota, ale wujek powiedział, że zabiła pana Welmanna. Czy Robert też o tym wiedział? A jeśli pan Welmann został zamordowany, dlaczego babcia nie martwiła się policją? Zresztą skoro już mowa o policji, dlaczego nikt nie zaproponował, żeby skorzystać z jej ochrony przed resztą rodziny? Zarówno babcia, jak i pozostali krewni zachowywali się tak, jakby prawo ich nie dotyczyło. A przecież to właśnie babcia wymagała od nich, by zawsze czekali na zielone światło* przy przechodzeniu przez ulicę.

Fiona postanowiła podzielić się tymi wątpliwościami z Robertem.

– Myślisz, że wmiecha się w to policja?
– Gliny? – Wyglądał, jakby właśnie usłyszał świetny dowcip. – Nie ma mowy. Co policja mogłaby zrobić?

Fiona nie chciała zdradzać się ze swoją ignorancją, więc tylko kiwnęła głową. Wierzyła, że Robert miał rację. Wujek Henry był bogaty, a pewnie również wpływowy. Ale jak to możliwe, że stał zupełnie poza prawem? A babcia? Była przecież tylko zarządcą budynku.

– Jak to jest pracować dla wujka Henry'ego?

Twarz Roberta się zachmurzyła.

– Czasem jest ciężko. Niebezpiecznie. – Uśmiechnął się kąciakiem ust. – To bezustanna jazda bez trzymanki, ale nie zrezygnowałbym z niej za nic w świecie.

To brzmiało jak zupełne przeciwieństwo jej codzienności... Przynajmniej jeszcze do niedawna. Ale nie miała pewności, czy przetrzymałaby taką jazdę przez resztę życia. Jej kolana zadrżały, gdy zrobiła kolejny krok. Poczula się wyczerpana. To pewnie zastrzyk energii z czekoladek przestał działać. Ale teraz nie mogła kompletnie opaść z sił. Nie kiedy była sama z Robertem. Nie po tym, jak zdobyła kontrolę nad swoim życiem i wreszcie poczuła się pewna. Przecież to nie mogło się stać tylko z powodu czekolady. Przynajmniej w części musiało mieć źródło w niej samej.

– Więc jesteś kierowcą wujka Henry'ego?

Robert zerknął ku górze i wszelki ślad po jego uśmiechu zniknął.

– Zdaje się, że teraz już tak.

Fiona szła blisko niego, muskając rękaw jego kurtki

tak lekko, że chłopak niczego nie zauważał. Z podnieceniem przejechała palcem po szorstkiej powierzchni skóry.

– Może nauczyłybyś mnie prowadzić samochód?

Nie mogła uwierzyć, że ośmieliła się w ten sposób odezwać. Nie – miała ochotę kopnąć się za takie tchórzostwo. Przecież dokładnie to chciała powiedzieć. Zaczerwieniła się, ale nie spuściła wzroku, jak robiła przez całe życie. Nie wstydziła się. Nabrała śmiałości. Przypomniało jej to uczucie, którego doświadczyła wczoraj po zjedzeniu pierwszej czekoladki. Czy to właśnie Robert był cichym wielbicielem, od którego dostała przesyłkę? Nie zamierzała pytać... jeszcze nie teraz. Chciała, by kwestia ta jeszcze na jakiś czas pozostała tajemnicą.

Chłopak spojrzał na nią taksująco. Uśmiech powrócił na jego twarz.

– Mogę cię nauczyć, ale nie sądzę, żebyś kiedykolwiek musiała sama prowadzić, gdy już dorośniesz.

Odwzajemniła jego uśmiech, ale w środku poczuła chłód. Gdy dorośnie? Miała prawie tyle samo lat co on.

Pchnął wzmocnione drzwi wyjściowe i przytrzymał je otwarte.

– Panie przodem.

Na zewnątrz słońce wypalało beton i asfalt. Powietrze drgało od upału. Już na pewno spóźniła się z Eliotem na swoją zmianę w „U Ringo”, ale po raz pierwszy w życiu było jej to obojętne. Rozejrzała się po Midway Avenue. Nigdzie nie dostrzegła limuzyny. Robert kiwnął głową w stronę opartego o chodnik motocykla.

– Tym dziś jeżdżę.

Czarny łuk korpusu maszyny kończył się podwójnymi chromowymi rurami. Pośrodku znajdował się silnik V2 z dwoma tłokami w kształcie litery V, od którego moc była nawet wtedy, gdy był wyłączony. Na baku wygrawerowano srebrne skrzydła.

Teraz wydało jej się oczywiste, że Robert jeździ motocyklem. Wyobraziła sobie, jak sama wskakuje na tylne siedzenie, obejmuje otoczony skórzaną kurtką pas Roberta, a wiatr rozwiewa jej włosy.

– Dziękuję... – wyszeptała i zaraz przegoniła fantazję – ... za to, że przyjechałeś. Siedzenie w domu z babcią to nie jest jakaś specjalna rozrywka.

Było tyle spraw, które chciała poruszyć, tyle pytań, które chciała zadać, choćby to dotyczące jego numeru telefonu, ale jej siły gasły i znów czuła się jak dawna Fiona. Siłą woli zmuszała się, by wciąż patrzeć Robertowi w oczy, by nie wbić spojrzenia w chodnik.

– Przystudiujemy te miejskie legendy, o których wspomniałeś. To wszystko jednak nie jest łatwe. Nie mamy pojęcia, czego oczekuje od nas rodzina. Trudno się nie bać.

Robert uważnie się jej przyjrzał i przysunął się o krok, a serce Fiony zatrzepotało. Uniósł głowę, by zerknąć na ich okna na trzecim piętrze, a potem znów się do niej odwrócił i wyszeptał:

– Przygotujcie się na wodę... Kalosze, ciepła odzież, tego typu rzeczy. Będzie też ciemno. Przydadzą się latarki. I pistolet, jeśli możecie go zdobyć. – Spojrzał w niebo. – Mogę mieć niemałe kłopoty, jeśli ktoś się dowie, co ci właśnie powiedziałem.

Sięgnęła po jego dłoń i ścisnęła ją mocno.

– Nikt się nie dowie. Obiecuję.

Lekko odwzajemnił jej uścisk, przytrzymał jej dłoń jeszcze przez chwilę i wreszcie puścił. Uniósł obie ręce w geście poddania się.

– Muszę jechać. Ty i ja sam na sam to kiepski pomysł.

Wsiadł na motocykl i włączył zapłon. Huk silnika poniósł się po ulicach Del Sombry.

– Co masz na myśli? – zapytała, unosząc głos, by przebić się przez hałas.

– Są pewne reguły dotyczące gości takich jak ja i dziewczyn takich jak ty. – Otworzył przepustnicę i zwiększył obroty silnika. – Jestem tylko kierowcą. A twoja matka była boginią. O to w tym wszystkim przecież chodzi. Myślą, że i ty możesz być kimś takim.

Wystartował jak rakieta i zniknął, zostawiając za sobą chmurę kurzu i spalin... a także oszołomioną Fionę.

GŁÓWNE KLAMSTWA

Fiona zrobiła krok nad gnijącą tekturą i ostrożnie ominęła płataninę rdzewiejących pułapek na szczury. Zamachała latarką, oświetlając stos czasopism z przełomu wieków, słoiki z pomidorami i porcelanowe głowy gapiących się na nią lalek.

Imponujące ilości skarbów, staroci i ukochanych rupieci zalegały rozciągającą się na całą długość budynku piwnicę Oakwood Apartments. Latarki i kalosze znaleźli na drewnianym warsztacie tuż przy drzwiach, ale bardziej interesujące rzeczy leżały głębiej.

Fiona zerknęła do tyłu na Eliota, który unosząc wysoko nogi, przechodził przez marmurowe płyty inkrustowane skamieniałymi rybami.

– Uwierzyłaś mu? – zapytał.

– No co ty? Jak to możliwe, żeby nasza matka była boginią? – Fiona zakryła usta, dławiąc się unoszącym się w powietrzu kurzem. – Chyba szybciej uwierzyłabym, gdyby Robert powiedział, że wyglądała jak różowy słoń.

Poza tym, gdyby ich matka była boginią, znaczyłoby to, że jej brat, który właśnie potknął się o stertę koców w indiańskie wzory, strasząc rój ciem, mógłby być młodym bogiem. W żadnym wypadku – niewątpliwie był tylko człowiekiem. A Fiona czuła się jego wrakiem. Energia z czekoladek, które zjadła rano, już dawno wyparowała. Wszystko ją swędziło i miała ochotę

przyłożyć komuś w zęby.

– W takim razie co znaczy reguła pięćdziesiąt pięć? Wszystkie wzmianki o nadnaturalnych fenomenach, bogach i boginiach wymazane z naszych książek – dociekał Eliot, oganiając się od trzepoczących owadów.

– To po to, żeby nas nie rozpraszać takimi dziecinnymi sprawami. Taki powód ma więcej sensu niż to, że nasza matka miałyby być boginią.

Chociaż nawet reguła 55 nie mogła sprawić, by nie znali konceptu Boga. Babcia nie mogła usunąć wszystkich odniesień. Choćby tego fragmentu z *Hamleta*:

Jakim dziełem jest człowiek! Jak szlachetnie rozumującym!

O jak nieskończonych możliwościach! W kształcie i ruchach jak doskonale zgodny ze swym przeznaczeniem i zachwycający!

Jak anielski w postępach swych! Pojmowaniem jest podobny Bogu!

Nie można też było uciec od Boga z wielkiej litery. Każdego dnia mijali Apostołów Światła, chrześcijańską księgarnię przy Midway Avenue, i kościół unitariański na ulicy Vintner. Wiedzieli, że Bóg to niebiańska nadistota, po części legendarna, ale stanowiąca podstawę wszelkich kontrolowanych przez ludzi religijnych instytucji w historii.

– Znajdźmy rzeczy o których wspomniał Robert, i wynośmy się stąd – powiedziała Fiona. – Prawie nie mogę oddychać.

– Akurat z tym się zgodzę – wymamrotał Eliot. – Spóźnimy się.

Fiona już przestała się przejmować restauracją. Nie mogła zrozumieć, dlaczego babcia nalegała, by wciąż chodzili do pracy, gdy jednocześnie rodzina miała poddać ich próbom o potencjalnie śmiertelnych konsekwencjach. Eliotowi jednak ciągle zależało na wyjściu do pizzerii, a ponieważ Fiona miała wyrzuty sumienia z powodu tego, że wczoraj wieczorem zatrzaskała przed nim drzwi, chciała mu to jakoś wynagrodzić.

Przesunęła się w głąb piwnicy i zobaczyła przystosowane do psiego zaprzęgu sanie i przegniły jedwabny parasol. Ze sterty obok wyciągnęła popękany wielorybiczny harpun.

– Już widzę, jak wchodzimy z tym do restauracji – powiedziała, na próbę unosząc ciężką broń.

– Buty i latarki schowamy do tego. – Eliot podniósł z podłogi płócienny plecak pokryty wypłowiałymi skautowskimi naszywkami. Zmarszczył brwi. – To, co powiedział Robert, nie jest jednak kompletnie bez sensu. Rodzina, która lekceważy policję? Samochód wujka Henry'ego, który łamie prawa fizyki? To wszystko nie jest przecież normalne.

– Ehe. – Fiona nie zwracała już na niego uwagi. Brat zanurzał się we własny świat marzeń na jawie.

– Myślisz, że to jest element prób? Wskazówki Roberta i szukanie potrzebnych nam rzeczy?

– Albo jakaś sztuczka.

Fiona chciała uwierzyć, że słowa Roberta o boginiach nie były żartem. Brzmiały tak poważnie, ale to, co mówił, w żadnym razie nie mogło być prawdą. A może słowo „bogini” miało też jakieś inne znaczenie?

Metal załśnił w snopie światła latarki. Wyciągnęła

rękę i złapała stalową tubę owiniętą w ceratę. To była myśliwska strzelba o obciętej podwójnej lufie; obok leżał bandolier pełen naboji. Broń ewidentnie wymagała przeładowywania po każdym strzale. Z boku na srebrnej blaszce umieszczonej obok cyngla widniało wygrawerowane wyblakłe nazwisko: WESTLEY.

Fiona poczuła dreszcze w dłoniach. Dwa razy sprawdziła, czy broń nie była naładowana. W ubiegłym roku wraz z bratem napisali wypracowanie o historii broni palnej. Wiedzieli, jak ładować i czyścić rozmaite pistolety i strzelby, jak z nich celować i strzelać... Przynajmniej w teorii.

– Włóż to do plecaka – powiedziała Eliotowi.

Gapił się na broń, jakby była wijącą się zmiją.

– A co jest nie tak z twoją torbą?

– Niech ci będzie.

Zakręciła torbą i wsunęła strzelbę do środka, tuż obok pudełka z czekoladkami. Przejechała kciukiem po czerwonym atłasie opakowania w kształcie serca. Jedyne, co musiała zrobić, to dostać się do pizzerii, gdzie będzie mogła kilka zjeść.

Ruszyła w stronę jasnego prostokąta drzwi do piwnicy, ostrożnie stąpając między kołami od wozów i popękаныmi rzeźbami ogrodowymi. Eliot został tam, gdzie znalazła strzelbę. Skierował latarkę w kąt, oświetlając zasłoniętą szafkę.

– TU coś jest – wyszeptał tak cicho, że Fiona ledwie go usłyszała.

Podeszła do brata. Też coś poczuła. Gdy zbliżyła się do przykrytej bryły, przeszły ją dreszcze.

Eliot złapał za plandekę, uwalniając prehistoryczną

warstwę kurzu. Cokolwiek kryło się pod spodem, leżało tam już od wieków.

Fiona poczuła nagłe pragnienie, by wyciągnąć strzelbę z torby, ale powstrzymała się. Broń nie była naładowana, a nawet jeśli byłoby inaczej, nie miała pewności, czy raczej nie odstrzeliłaby sobie stopy.

Ich oczom ukazały się rzędy książek – częściowo w miękkich, częściowo w twardych oprawach – a w miarę tego, jak Eliot ciągnął materiał, pojawiały się coraz starsze wydania w coraz ciemniejszej skórce. Ostatnie miało rozmiary encyklopedii i grzbiet niepokojąco przypominający część ludzkiego ciała o tej samej nazwie. Większość książek była w szokująco złym stanie, a przecież w rodzinie Postów książki otaczano czcią. Cee troszczyła się o każdy tom w ich mieszkaniu, cierpliwie reperując naderwane kartki i zakładając nowe oprawy, jeśli tylko była taka potrzeba. Nawet babcia traktowała książki jak bezcenne wazy z dynastii Ming. Porzucenie tych starych wydań na pastwę wilgoci, pleśni i owadów zasługiwało na miano zbrodni.

Fiona z wielkim pietyzmem podniosła jedną z książek w miękkiej oprawie: ***Koniec dzieciństwa*** Arthura C. Clarke'a. Stary kwaśny papier skruszał. Prawdziwy dramat. Eliot przekrzywił głowę i czytał na głos tytuły: ***Współczesny Prometeusz***, dwunastotomowe dzieło o nazwie ***Złota Gałąź***, ***Mitologia*** Bulfincha, ***Tradycyjne dziewiarstwo klanu wiedźm Westerfield***, ***Dawne tkactwo celtyckie...***

Żołądek Fiony zawiązał się w węzeł. Reguła 55 zabraniała wszystkiego, co miało związek z fantastyką i mitologią. Reguła 11 zakazywała sztuki i rzemiosła. Jeśli

babcia zobaczy ich z tymi książkami... Jeszcze nigdy nie złamali dwóch reguł jednocześnie.

Eliot sięgnął w stronę najstarszego woluminu na końcu półki.

– Nie dotykaj tego – powiedziała Fiona.

– To tylko książka.

Dziewczyna zagryzła wargi. Pewnie Eliot miał rację, ale jeśli te dzieła były nieszkodliwe, to dlaczego znalazły się w piwnicy? Nie mogła jednak powstrzymać ciekawości.

– Dobrze – wyszeptała.

Zerknęła na otwarte drzwi, niemal spodziewając się zobaczyć w nich sylwetkę babci.

Eliot wyciągnął książkę, otworzył ją i przewrócił kilka kremowych pergaminowych kartek. Pokrywały je nieskazitelne, ręcznie wykaligrafowane przez mnichów litery. Na co drugiej stronie widniały miniatury, drzeworyty i delikatne diagramy.

– Co to za język? – zmarszczył czoło. – Średniowieczny niemiecki?

Fiona nachyliła się nad kartami.

– Starolub średnioangielski.

– Marginesy są całe pomazane notatkami – powiedział Eliot, jakby Fiona sama tego nie dostrzegła. – Ta uwaga jest po łacinie. Tamta po grecku.

– Różne charakterystyki pisma. Żaden nie należy do babci ani do Cee.

– Widać też różnice w atramencie. Niektóre fragmenty wyblakły, inne zostały naniesione na starszych notatkach.

Eliot przerzucił kolejne kartki. Przed ich oczami

przesunęły się złoto-czerwona mozaika arabskiego tekstu, przekrój wewnętrzny ludzkiej ręki, wreszcie drzeworyt przedstawiający tańczącego średniowiecznego flecistę, za którym ciągnęła się procesja dzieci i szczurów.

– Obok tego rysunku jest zapisek we współczesnym angielskim – powiedział Eliot.

Fiona nachyliła się jeszcze bardziej i odczytała schludne nachylone pismo: *Flecista z Hameln*. Pod spodem znajdowały się równoległe linie i kilkanaście jakby przypadkowych kropek. Nic to dla niej nie znaczyło.

Eliot dotknął palcem tajemniczych symboli.

– Nuty – zamruczał. – Super.

Fiona bezgłośnie jęknęła. Trzy reguły złamane jednocześnie.

– Jak nazywa się ta książka?

Eliot zerknął na początek. Strony tytułowej nie było, a pierwszą pokrywało pismo ozdobione tak bogato, że nie dało się go czytać. Obok jednak znajdował się wyraźny napis drukowanymi literami: *„Mythica improbiba*. Głównie kłamstwa”²⁸.

Zdarzało się już, że książki budziły w Fionie fascynację czy zauroczenie, ale żadna – nawet podręcznik do sekcji zwłok – nie powodowała u niej fizycznych

²⁸ Dzieło to, napisane przez mnicha Sildasa Pobożnego, którego zdrowie psychiczne podawane jest w wątpliwość, zawiera zbiór legend pochodzących z późnego antyku i wczesnego średniowiecza i dostarcza tyle samo cennych informacji, ile zmyśleń i pozbawionych sensu wniosków. Wiadomo o istnieniu tylko ośmiu jego egzemplarzy, nieco się różniących między sobą. Rzadko pozostają w prywatnych rękach. Ich właściciele skarżą się na pecha, nocne koszmary i inne paranormalne zjawiska zakłócające im życie, co paradoksalnie powoduje, że cena tej książki tylko rośnie na kolejnych aukcjach. Jeden ogólnie dostępny egzemplarz znajduje się w Kolekcji Ksiąg Rzadkich Biblioteki Instytutu Taylora Uniwersytetu w Oksfordzie (V Golden, *Goldena przewodnik...*, *op.cit.*).

mdłości. Do teraz. *Mythica improbiba* sprawiała, że zbierało jej się na wymioty.

– Odłóż to na miejsce – powiedziała. – Mam złe przeczucia.

Eliot zamknął wolumin i przejechał dłonią po okładce.

– Czy to skóra nosorożca?

Fiona zaczęła naciągać plandekę z powrotem na szafkę. Jeśli ktoś spojrzy na nią z choćby odrobiną uwagi, łatwo zorientuje się, że była ruszana. Uwolnionego kurzu nie dało się przecież ułożyć na nowo. Zatrzymała się na chwilę, czekając, aż Eliot odłoży książkę.

– Nie. – Wsunął tom do plecaka. – Chcę się temu lepiej przyjrzeć później.

Fiona westchnęła. Nie miała zamiaru się tutaj kłócić. Babcia lub Cee mogły w każdej chwili stanąć w drzwiach. Zakryła szafkę do końca i ruszyła ku wyjściu z piwnicy.

– Jak chcesz – powiedziała.

Pobiegli na górę i wyszli przez wzmocnione drzwi budynku. Nie ścigali się. Po prostu już bardzo chcieli znaleźć się na zewnątrz.

Powietrze było cudownie świeże i czyste. Przez chwilę wdychali je głęboko, pozbywając się z płuc kurzu. Wreszcie ruszyli swoim zwykłym, lekko spóźnionym krokiem. Dziś była to jedyna rzecz, która wydawała się normalna.

Fiona zerknęła na brata. Smugi kurzu pokrywały jego spodnie, koszulę i twarz. Spojrzenie wbił w stopy.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór – powiedziała, chcąc wyprostować sprawy między nimi.

Wiedziała, że go zraniła.

Burczało jej w brzuchu i z trudem skupiała myśli. Powinna zjeść coś porządnego. Wczoraj ominęła ją kolacja, dziś śniadanie... A ile wsunęła już czekoladek? Trzy warstwy z pudełka? Wiedziała, że została jej przynajmniej jeszcze jedna – słodki skarb ukryty w torbie z książkami, ledwie centymetry od jej dłoni. Jej usta zwilgotniały na myśl o karmelowych truflach. Teraz jednak nie mogła po nie sięgnąć. Eliot by tego nie przegapił i chciałby jedną albo kilka, albo nawet połowę pudełka, co właściwie byłoby sprawiedliwe. Powinna się z nim podzielić. Ale skoro paczkę przysłał jej cichy wielbiciel, dzielenie się tymi czekoladkami byłoby jak dzielenie się pocałunkiem. Obrzydlistwo.

Fiona chrząknęła.

– Głupio zrobiłam, zamykając drzwi. Powinniśmy trzymać się razem. Tak jak powiedziała Cee.

Eliot skinął głową, wielkodusznie nic nie mówiąc i nie korzystając z okazji do łatwej riposty, jak nazwanie siostry *Tenodera aridifolia sinensis*, chińską modliszką, której pierwszym posiłkiem jest często jej świeżo wyklute z jajek rodzeństwo. Nie kpił z niej i Fiona była mu za to wdzięczna.

– Musiałam popracować w skupieniu – powiedziała. – Średniowieczny włoski nie jest taki łatwy do tłumaczenia. – Choć dla niej okazał się bardzo łatwy. Ale jedno małe kłamstwo nie mogło nikomu zaszkodzić.

– Rozumiem. – Rozżalenie w głosie Eliota było gorsze niż jakakolwiek obelga.

Przez chwilę szli w milczeniu, aż wreszcie zapytał:

– Znalazłaś coś przydatnego?

– Masę informacji o walczących z sobą klanach. W szesnastowiecznych Włoszech tortury i morderstwa były na porządku dziennym.

– I jak to nam może pomóc?

– Dzieci w tych rodzinach... były jak pionki przeznaczone do ochrony ważniejszych figur.

Eliot zwilżył wargi.

– Czy Machiavelli miał jakieś rady dla tych pionków?

– Tak. Muszą dostać się na drugą stronę szachownicy.

– Życie wystarczająco długo, by stać się ważniejszymi figurami, tak?

Gdy pionki docierały do celu, awansowały na hetmana, wieżę, gońca lub skoczka.

– Zastanawiam się, czy właśnie to miała na myśli ciocia Lucia, gdy powiedziała, że próby zadecydują, czy możemy pozostać przy życiu. Dodała też jeszcze, że mogą nawet potwierdzić, że mamy prawo należeć do rodziny.

– Też zwróciłem uwagę na kolejność, w jakiej to powiedziała. Jakby bycie częścią rodziny było ważniejsze od pozostania przy życiu.

– Machiavelli jednak pisał, że awansujące pionki ulegają uszkodzeniom. Nie sprecyzował, na czym to polegało. Napisał tylko, że coś tracą.

– Mimo to wolałbym znaleźć się na drugiej stronie szachownicy niż... – głos Eliota zamarł w gardle. Chłopak utkwiał wzrok gdzieś w oddali.

Fiona też tam spojrzała.

Ktoś stał w alei jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Rozpoznanie w tej osobie włóczęgi, który od kilku

miesiący sypiał na trawniku, zajęło im dobrych kilka sekund. Mężczyzna miał na sobie nowy szary płaszcz; świeżo umyte włosy zgarnął do tyłu w srebrno-czarną kitkę. Nawet nędzne trampki zamienił na błyszczące mokasyny. Zamachał do nich i przywołał gestem do siebie.

Eliot ruszył w jego stronę.

– O, nie. – Fiona chwyciła brata za ramię. – Już zdążyłam przyjąć moją dzienną dawkę osobliwości.

Eliot wyrwał się z jej uścisku.

– Chcę z nim porozmawiać.

Fiona popatrzyła na swoją dłoń. Mike złapał ją dokładnie w taki sam sposób, jak . ona przed chwilą chwyciła Eliota.

– Zaczekam na ciebie – oznajmiła, nie patrząc starcowi w oczy.

Odsunęła się trochę. Nie zamierzała przysłuchiwać się ich rozmowie o muzyce, Pompejach i innych szalonych rzeczach, które roją się w przesiąkniętym alkoholem mózgu bezdomnego. Kiedy tylko minęła aleję, sięgnęła po swoją torbę i odpięła zatrask. Zerknęła do tyłu. Eliot i stary dziwak byli pogrążeni w dyskusji. Włóczęga nie napadł na Eliota, nie ciągnął go w głąb alei. Na razie wszystko było w porządku.

Wsunęła dłoń do pudełka w kształcie serca i wyciągnęła czekoladkę. Wyglądała jak mała mandarynka i była posypana skórką pomarańczy. Przegryzła ją na pół. Kawałki pomarańczy i grejpfruta pływały w pachnącym dymem kakao.

Jej nagle gorąca krew popłynęła z nową energią. Fiona znów poczuła się pełna życia. Spod

półprzymkniętych powiek obserwowała Eliota. Wciąż rozmawiał. Wciąż był bezpieczny.

Jej myśli pobiegły do Roberta. Przypomniała sobie jego słowa o tym, że jej matka była boginią. To nie mogło być prawdą, gdyż na świecie istniała tylko jedna prawdziwie niebiańska rzecz... i właśnie trzymała ją w palcach.

ZMANIPULOWANY NA WIELE SPOSOBÓW

Eliot nie mógł uwierzyć, że patrzy na tego samego mężczyznę, który mieszkał w alejce przez ostatnie sześć miesięcy. Teraz wyglądał na wyższego przynajmniej o dziesięć centymetrów, część jego siwych włosów odzyskała dawny kolor i błyszczała czernią głęboką jak noc. Miał na sobie nowy płaszcz, spodnie w kant, lnianą koszulę i wypastowane na wysoki połysk skórzane buty. Tylko jego niebieskie oczy skrzyły się dokładnie tak jak wcześniej i kiedy uśmiechnął się do Eliota, chłopak wiedział, że ma przed sobą tę samą osobę. Może zaresztą starzec tak naprawdę zazwyczaj był czysty i schludny, a pobyt na ulicy stanowił tylko przejściową fazę w jego życiu.

Mężczyzna kiwnął głową gdzieś ponad ramieniem Eliota.

– Widzę, że twoja siostra wciąż ma mnie za uciekiniera z domu wariatów.

Eliot nie przypominał sobie, by mówił mu, że Fiona była jego siostrą. Odwrócił się i zobaczył, że Fiona go obserwuje i... coś przeżuwa.

– Jest po prostu nieśmiała.

Mężczyzna uniósł brew.

– Tak jak my wszyscy.

– Wygląda pan tak... lepiej.

Eliot nie mógł uwierzyć, że tak kaleczył gramatykę,

by powtarzać takie banały Znał przecież tyle słów. Dlaczego tak trudno przychodziło mu ich używanie w rozmowie?

– Lepiej, tak. Wszystko to dzięki prysznicowi w schronisku YMCA, mydłu i szczotce. – Mężczyzna zamilkł na chwilę. – Nie, tak właściwie to tylko dzięki tobie, mój młody geniuszu.

– Mnie?

– Ty mnie zbudziłeś. Jak Łazarza. – Zaciśnął dłonie w pięści i uniósł je nad głowę. – Jestem Chrystusem powstałym z grobu! Donaldem Trumpem z nowo otwartymi liniami kredytowymi!

Eliot zrobił krok do tyłu i zerknął przez ramię na siostrę. Może Fiona miała rację co do stanu umysłowego tego mężczyzny.

– Czy chodzi panu o muzykę?

– Tak. – Mężczyzna obrócił się do stojącego przy ścianie supermarketowego wózka. – A taka cudowna odnowa zasługuje na nagrodę.

Eliot zbliżył się i zapytał:

– Kolejna lekcja?

Niemal poczuł skrzypce pod palcami: wibracje i nacisk, rytm i crescendo. Ale mężczyzna zaśmiał się drwiąco.

– Już szybciej pobielilibym Monę Lizę.

Zaczął szperać w wózku, wreszcie wyciągnął sponiewierane i pozbawione pokrywki czerwone pudełko od Macy'ego i podsunął je Eliotowi przed twarz. Eliot wziął przedmiot do rąk. Gdy poczuł jego ciężar, już wiedział, co było w środku... choć nie śmiał w to uwierzyć. Pudełko wyłożono plastikowymi torbami na

zakupy. Pogrzebał więc głębiej, aż poczuł pod palcami drewno i wyciągnął należące wcześniej do mężczyzny skrzypce.

– Teraz potrzebujesz już tylko ćwiczeń – powiedział starzec.

Zdumiony chłopak wciąż obracał instrument w rękach. Nigdy wcześniej nie dostał tego typu prezentu. Mężczyzna wręczył mu smyczek.

– Nie zapomnijmy o tym.

Palce chłopaka dotknęły strun, które zdawały się rezonować drobnymi wibracjami. Najbardziej na świecie chciał teraz zagrać, ale powstrzymał się. Wczoraj niemal zupełnie zatracił się w piosence. Dziś nie mógł sobie na to pozwolić. Czekало na niego tyle zadań: praca, decydujące o życiu próby, spotkanie z nową rodziną.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów. – Mężczyzna dotknął ust palcem wskazującym. – Twoja mina mi wystarczy. Poza tym słowa są specjalnością bubków i głupków.

– Aleja nie mogę...

To była ostatnia rzecz, jaką chciał powiedzieć, ale musiał to zrobić. Jedna z życiowych zasad babci mówiła o tym, by nigdy nie przyjmować ekstrawaganckich prezentów. „Zbyt kosztowne podarki wiążą się ze zobowiązaniami”, tłumaczyła. „Rozpuszczą cię”, dodawała, wieńcząc całą wypowiedź za rzadko jej zdaniem powtarzaną sentencją: „Ciężka praca kształtuje charakter”.

A gdyby raz dał się rozpuścić? Na samą myśl o złamaniu reguły jego serce zaczęło bić mocniej. Już prawie czuł się właścicielem skrzypiec. Lecz zasady babci

– czy tego chciał, czy nie – już odcisnęły na nim swoje piętno.

– Nie mogę – powtórzył i choć była to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiał zrobić, oddał skrzypce mężczyźnie. – Panu przydadzą się bardziej niż mnie.

Twarz tamtego zastygła w maskę bez wyrazu. Choć żaden z nich nie wykonał najmniejszego ruchu, starzec nagle zdawał się patrzeć na Eliota z bardzo wysoka.

– Naprawdę? – Mężczyzna złapał instrument i włożył go do sklepowego wózka. – Wprost przeciwnie. Opuszczam to luksusowe lokum, porzucam moją nędzę. – Delikatnie dotknął skrzypiec. – A one niestety wiążą się ze zbyt wieloma smutnymi wspomnieniami.

– Nie zamierza pan chyba ich tu zostawić?

Przymrużone oczy mężczyzny zabłysły złośliwie.

– Może znajdzie je bezdomna dziewczynka z zapalkami i spali, by się ogrzać. A może jakaś obłąkana staruszka będzie na nich grać jak na ukulele. A może...

– położył je na studziencie kanalizacyjnej pośrodku alejki – roztrzaska je ciężarówka. – Uniósł nogę.

Eliot nigdy nie był tak szybki. Złapał instrument i przycisnął go do piersi.

– Więc... jednak zmieniłeś zdanie?

– Tak. – Chłopak czuł, jak uderzenia jego serca przenikają przez drewno i struny. Nie wiedział, jak zdoła ukryć skrzypce przed babcią, ale nie mógł pozwolić, by zostały rozbite w drzazgi.

– Będę spać spokojnie, wiedząc, że są w ręku mistrza. – Mężczyzna ukląkł i dotknął instrumentu.

– Pokażę ci coś. – Podrapał drewno, odklejając z

niego taśmę. – Musiałem to zamaskować. Gdyby tylko któryś z moich sąsiadów zobaczył, jakie są naprawdę...

Całe pudło instrumentu było oklejone fragmentami brudnej taśmy. Pod spodem natomiast znajdowała się nieskazitelna drewniana powierzchnia, wyglądająca jak płynne złoto i mieniący się topaz. Eliot zobaczył w skrzypcach swoje odbicie. Poczul się tak, jakby roztopiał się w gładkim zwierciadle.

– Są piękne.

– Piękna. To ona. A nazywa się Jutrzenka. – Mężczyzna położył ręce na instrumencie w teatralnym geście. – Wykonana została przez Antonellego Moroniego w szesnastym wieku. W porównaniu z nią wszystkie inne skrzypce są jak kwilące harpie. Traktuj ją z szacunkiem, na jaki zasługuje²⁹.

Traktuj ją z szacunkiem? Eliot prawie zaczął głośno wyrażać swoje oburzenie. Przecież przed chwilą mężczyzna niemal rozdeptał instrument. Starzec przyłożył palec do ust.

– Nauczysz się, że manipulować można nie tylko smyczkiem.

A więc przez cały czas chciał, by Eliot zmienił zdanie. Twarz chłopaka poczerwieniała.

Mężczyzna wstał i otrzepał płaszcz.

– A teraz opuszczam ten pozłacany pałac gryzoni i ścieków. Nie zamierzam tu nigdy wracać.

Wyciągnął rękę w stronę Eliota. Chłopak spojrzał za siebie, na stojącą na ulicy Fionę, która przynaglała go

²⁹ Antonelli Moroni mógł być spokrewniony z Anną Moroni, żoną Alessandro Stradivarięgo. W 1644 roku urodził im się syn Antonio Stradivari, który później stał się najsłynniejszym na świecie lutnikiem - przyp. red.

gestem, i w jego głowie zabrzmiały ostrzeżenia siostry o szaleństwie mężczyzny. Mimo to odwrócił się do starca i uściskał jego dłoń, jak nakazywała zwykła uprzejmość.

Ta dłoń przypomniła mu rękę wujka Henry'ego: była tak samo ciepła i silna. Kiedy jednak jej dotknął, miał wrażenie, że jest twarda jak skała. Mężczyzna mógłby zgnieść jego jak aluminiową puszkę.

Słońce przybladło i choć Eliot nie mógł odwrócić spojrzenia od twarzy starca, kątem oka dostrzegał cienie na ścianie: ludzi przepychających się, żeby lepiej widzieć, i sylwetkę ogromnego wężącego psa. Mężczyzna puścił jego dłoń. Cienie zniknęły.

– Masz mocny uścisk. Kiedy dorośniesz, będziesz silniejszy niż ja.

– Dziękuję – powiedział Eliot, sceptycznie patrząc na swoje drobne dłonie. – Mam na imię Eliot.

– Louis. Louis Piper³⁰. Miło mi cię poznać. Mam nadzieję, że następny raz zobaczymy się w innych okolicznościach.

– Tak.

Eliot zerknął na niecierpliwą się Fionę. Stała teraz ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i gapiała się na niego znacząco.

– Lepiej już pójde.

Ale mężczyzny już przed nim nie było. Szedł alejką i pogwizdywał.

Eliot dołączył do siostry. Jej spojrzenie od razu padło na skrzypce.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

Eliot otworzył plecak, przemieścił jego zawartość,

³⁰Z ang. „flecista” - przyp. tłum.

robiąc w środku trochę wolnego miejsca, i ostrożnie wsunął Jutrzenkę między kalosze.

– Właśnie to.

– A co z babcią?

– Pomyślę o tym później. Nie mogłem ich zostawić.

Fiona westchnęła i pokręciła głową. Wyglądała na zirytowaną. Odwróciła się i ruszyła do przodu. Zarzucił plecak na ramię i dogonił ją.

– Nie wygadasz, prawda?

Zatrzymała się, otworzyła usta i złapała się za serce, jakby dźgnął ją nożem. Mogła doprowadzać go szalu czy obrzucać najgorszymi obelgami, ale nigdy, przenigdy nie naskarżyłaby na niego. Poza tym raczej nie musiała. Babcia i tak zazwyczaj sama domyślała się wszystkiego.

– Przepraszam – wyszeptał.

Fiona zagryzła dolną wargę.

– Nie martw się. Nic nie powiem.

Stali przez chwilę w milczeniu, gapiąc się na chodnik. Fiona ruszyła pierwsza, przeszła przez ulicę Vine i zaczęła na brata przed drzwiami do pizzerii. Eliot zauważył, że na parkingu przed restauracją stało dwa razy mniej samochodów niż wczoraj.

Razem weszli do środka. Spojrzeli na zegar na ścianie – dwadzieścia pięć minut spóźnienia. Ich nowy rekord. Mike pozbawiłby ich za karę wypłaty za połowę dnia, a na dodatek zagroził zwolnieniem. Wspomnienie o dawnym kierowniku sprawiło, że Eliot zastanowił się, jak on się czuje i czy w ogóle kiedykolwiek wróci do pracy.

Julie opierała się o kasę. W ogóle nie zareagowała na ich spóźnienie. Machnęła im tylko od niechcienia na

przywitanie. Miała na sobie puszysty i błękitny jak niebo sweter ze spiczastym dekoltem oraz białą koronkową spódniczkę do kolan.

– W sali przyjęć wczoraj wieczorem bawili się klienci – poinformowała Fionę.

Dziewczyna zwiesiła głowę.

– Ale przyszedłam dziś trochę wcześniej i wszystko za ciebie zrobiłam – dokończyła Julie. – Czy mogłabyś zająć się później przyjmowaniem zamówień? Linda ma umówioną wizytę u dentysty.

– Dzięki. – Fiona zamrużyła niedowierzająco. – I... jasne.

Julie wyszła z za kasy i posłała Eliotowi stuwatowy uśmiech.

– Chcę ci coś pokazać w kuchni.

Eliot podążył za nią przez jadalnię. Zafascynowany jej płynnymi ruchami nie mógł oderwać od niej wzroku. Zawstydzila go ta nowo nabyta śmiałość.

Julie przywitała się z Johnnym, który zamachał do niej, nie przerywając podrzucania ciasta do pizzy.

Obok zlewu Eliot zauważył nowe urządzenie ze stali nierdzewnej. Julie otworzyła je. To była zmywarka. Eliot zobaczył dysze i metalowe półki częściowo zapełnione brudnymi naczyniami.

– Poznaj swojego nowego najlepszego przyjaciela – powiedziała Julie. – Przerabia sześćdziesiąt pojemników w godzinę, nie nadążysz go na nowo napełniać.

– Czy to znaczy – Eliot przełknął ślinę – że już nie ma dla mnie pracy?

Julie zachichotała. Jej śmiech przypominał dźwięk dzwoneczków u sań.

– Marzenia! Ktoś nadal musi zgarnąć resztki z talerzy i garnków, włożyć naczynia do środka, potem wyjąć i odstawić na półki. Ale dzięki tej maszynie twoja praca stanie się tysiąc razy łatwiejsza.

– Super! Dzięki.

– Będziesz miał więcej wolnego czasu, więc chciałabym, żebyś pomógł Johnny'emu. Przyda mu się dodatkowa para rąk.

– Pomocnik kucharza? Ja?

Eliot od zawsze chciał gotować. Cee jednak przeganiała go z kuchni, gdy tylko próbował zrobić coś więcej, niż przygotować składniki, by mogła je potem przypalić.

– Nowy chłopak się nie sprawdził. – Julie rozejrzała się, jakby ktoś jeszcze mógł usłyszeć ich rozmowę.

– Musiałam go wyrzucić.

Zastanawiał się, co takiego tamten zrobił, że zasłużył na zwolnienie. On przecież przyszedł dziś do pracy z niemal półgodzinnym spóźnieniem i... awansował.

– Będziesz miał tyle wolnego czasu, że powinieneś zaprosić mnie na kawę w trakcie przerwy. – Julie uśmiechnęła się i na jej policzkach pokazały się urocze dołeczki. Zarzuciła spódnicą i poszła ku wyjściu.

Eliot gapił się zafascynowany. Johnny zagwizdał cicho.

– Słuchaj, amigo. – Podeszedł bliżej i otarł o fartuch oprószone mąką ręce. – Lepiej rób, co nowa kierownicza każe. Takie rzeczy nie co dzień się człowiekowi zdarzają.

– Wiem.

Choć prawdę mówiąc, Eliot tego nie wiedział. Jemu, księciu głupków, takie rzeczy nie zdarzały się po

prostu nigdy. Muzyka i dziewczyny, które zapraszały go na randkę, pojawiały się tylko w jego marzeniach. Całe jego życie przewróciło się do góry nogami, wcale niekoniecznie na gorsze. Mógłby się nawet do tego przyzwyczaić. Ale dzisiejsze wydarzenia oznaczały złamanie ustanowionych przez babcię reguł 34 i 106 (odpowiednio: muzyka i randki), a przed babcią jeszcze nigdy nic się nie ukryło.

– Co się stało z twoim pomocnikiem? – zapytał Johnny'ego.

Johnny wzruszył zwalistymi ramionami i zamieszał w garnku wypełnionym sosem marinara i pulpetami.

– Po prostu nie pojawił się dziś w pracy.

Ciekawe. Julie powiedziała, że go zwolniła, a to przecież oznaczało, że z nim rozmawiała. Było w tym wszystkim coś dziwnego, ale Eliot wierzył, że Julie miała ważne powody, by wyrzucić tamtego.

Johnny zajął się piecem i płomień oświetlił jego twarz.

– Więc na co czekasz? – zapytał. – Dziewczyna wręczyła ci wygrawerowane zaproszenie.

Eliot podszedł do nowej zmywarki i nacisnął uruchamiający ją guzik. Maszyna zbudziła się do życia. Łatwizna. Ale w głowie rozległ mu się głos babci: „Ciężka praca kształtuje charakter”. Ciekawe, co babcia powiedziałyby, widząc to wszystko?

Nie musiał się martwić zmywaniem, więc zrobił sobie przerwę i wyszedł z kuchni. W głównej sali zobaczył Fionę zbierającą zamówienia od pary turystów. Uśmiechała się, swobodnie rozmawiała z obcymi ludźmi i wyglądała na całkiem zadowoloną. Ten dzień z każdą

chwilą stawał się coraz dziwniejszy.

Przy kasie czekała na niego Julie, wybijając stopą wesoły rytm.

– Zapraszasz mnie na kawę?

– A kto zajmie się restauracją?

– Fiona zbiera zamówienia, więc Linda może mnie zastąpić. – Julie zawinęła kosmyk jasnych jak miód włosów wokół palca. – Przecież nie zamierzamy uciec do Hollywood.

Eliot poczuł, jak jego głowa zamienia się w wypełniony helem balon. Nie mógł w to uwierzyć: jakaś dziewczyna była nim zainteresowana.

– Po drugiej stronie ulicy jest takie miejsce, Różowy Królik – powiedział, starając się, by jej głos brzmiał swobodnie. – Mają soki i kawę.

– Brzmi cudnie. Wezmę tylko torebkę.

Zadzwoił telefon. Julie złapała podłączone do niego słuchawki i wysunęła palec, wskazując, że to zajmie tylko chwilę. Eliot zauważył, że ma niemal do krwi obgryzione paznokcie.

– „U Ringo”, Pałac Amerykańskiej Pizzy. Czym mogę służyć? – Rysy Julie rozluźniły się, gdy wbiła wzrok w jakiś odległy punkt. – Tak, oboje są tutaj. Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni? – Jej brwi podskoczyły w górę i ściągnęła słuchawki z uszu. – Nawzajem! – Podała je Eliotowi.

Nikt nigdy nie dzwonił do niego do restauracji.

– Halo?

– Eliot? Tu Robert Farmington. Podjęli decyzję. Wasza pierwsza próba właśnie się rozpoczęła.

WRÓZBY Z FUSÓW

Audrey uważnie słuchała głosu w telefonie. Potem odłożyła słuchawkę, wyszła z gabinetu i usiadła przy stole w jadalni.

Cecilia przeszła samą siebie, szykując dzisiejszy podwieczorek. Obok kawowego ciasta z kruszonką stały małe talerzyki z sałatką Waldorf (oba przysmaki pochodziły z delikatesów przy, Różowym Króliku), a za nimi znajdowały się aż trzy dzbanki: jeden z naparem rumiankowym, drugi z herbatą darjeeling i trzeci, ten z pajęczyną, teraz zabezpieczony przed utratą ciepła wykonanym na szydełku pokrowcem, z wrzątkiem. Cecilia przygotowała się na każdą ewentualność.

– Zaczęło się – powiedziała do niej Audrey. – Ich pierwsza próba.

Cecilia wstała z krzesła.

– Rozmawiałaś z tym chłopakiem?

– Naszym panem Farmingtonem? Tak.

Cecilia owinęła szal wokół ramion i zaczęła nerwowo szarpać jego końcówki.

– Czy powiedział, co dokładnie? I gdzie?

– Nie pytałam. – Audrey usiadła za stołem i naląła sobie filiżankę herbaty.

Cecilia zamrugnęła.

– Musimy coś zrobić, prawda? – zapytała.

– Oczywiście. Musimy napić się herbaty.

– Tak, tak. – Oczy Cecylii zaszyły białą jak mleko mgłą. – Rozpocznę rytuał. To, czego dowiemy się z wróżb, pozwoli nam wpłynąć na bieg spraw.

Audrey machnęła ręką, ostro przecinając powietrze.

– Miałam na myśli tylko to, że napijemy się herbaty. Nic więcej. Już i tak zrobiłyśmy zbyt wiele. Teraz wszystko zależy od dzieci.

– Na pewno jest coś jeszcze. Możemy...

– ... nic więcej nie robić – dokończyła za nią Audrey. – Inaczej Rada może wykryć naszą pomoc i wydać wyrok na dzieci w trybie przyspieszonym.

– Mówisz o tym, jakby to była gra – powiedziała Cecilia. – Jakby chodziło o zwykłe punkty, a nie o Eliota i Fionę, którym grozi... grozi... Nie mogę nawet wypowiedzieć tego słowa.

Audrey zmrużyła oczy.

– Doskonale wiem, jaka jest stawka.

Cecilia ciężko osunęła się na krzesło. Choć wydawało się to niemożliwe, wyglądała na jeszcze bardziej kruchą i słabą niż zazwyczaj. Dla stulatki stanowiło to naprawdę imponujące osiągnięcie.

Audrey dodała do herbaty trochę mleka i trzy łyżeczki cukru. Spokojnie zamieszała. Dramatyczne zachowanie Cecylii jednak zaczynało odnosić skutek: wątpliwości i poczucie winy zaczęły zakradać się w myśli Audrey. Popatrzyła na krewną z wyraźną niechęcią.

– Zrobiłam wszystko, by przechylić szalę zwycięstwa na ich stronę – powiedziała. – Czy nie zastraszyłam Henry'ego, zmuszając go tym samym, żeby przysłał Farmingtona? A potem wydobyłam z chłopaka wszystko, co tylko się dało.

– Masz na myśli Fionę. To Fiona wydobyła z niego informacje.

– Tak, cóż... Nie spodziewałam się tego. – Audrey zdała sobie sprawę, że wciąż miesza herbatę, i natychmiast przestała to robić.

– Dorasta szybciej, niż myślisz. Zupełnie jak jej matka, kiedy poznała, co to miłość.

Łyżeczka wypadła z dłoni Audrey i głośno uderzyła o blat. Cecilia skuliła się i odsunęła.

Dlaczego wciąż pozwala tej starusze tu mieszkać? Któregoś dnia posunie się za daleko i Audrey przebije jej pozbawione krwi serce. Napila się herbaty.

– Przecież zostawiłyśmy w piwnicy wszystko, co może im się przydać.

– Wynik pośpiesznego wróżenia, które zapewniło im może połowę tego, czego będą potrzebować – wymamrotała Cecilia – uzupełniony zbiorem kłamstw udającym książkę.

Audrey wzruszyła ramionami.

– Gdybyśmy powiedziały im prawdę, nigdy nie dali by nam wiary. Natomiast książka... Przecież uwielbiają książki. Wierzą we wszystko, co jest w nich napisane.

Usta Cecylii wykrzywił okrutny uśmiech.

– Henry chybaby umarł, gdyby dowiedział się, że ktoś czytał jego stare pisma.

– Nie sędzę, żeby dane nam było to szczęście.

Cecilia rozważała to przez chwilę i uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Fiona i Eliot nie są jeszcze gotowi. Mają tylko piętnaście lat i nic nie wiedzą o świecie. Zdusiłaś w nich cały potencjał.

– Są bystrzejsi niż jakiegokolwiek dzieci w tej rodzinie lub poza nią. To musi im wystarczyć.

Audrey wołałaby, żeby Cecilia nie odzywała się w ogóle. W jej głowie pojawiły się kolejne wątpliwości. Czy dobrze zrobiła, trzymając dzieci w ukryciu? Jaki miała wybór? Eliot i Fiona nie rozwinęli swoich talentów, to prawda, ale gdyby wcześniej zaczęła ich szkolić, rodziny na pewno by to odkryły... i ich zgładziły.

Rodziny. Liczba mnoga. To, że jej strona znalazła dzieci, było już wystarczającym nieszczęściem. Gdyby wmieszali się w to jeszcze krewni ich ojca, oznaczałoby to koniec długiego zawieszenia broni między klanami.

Cecilia sięgnęła po dzbanek z pajęczynowym wzorem i naląła do filiżanki wrzątku. Jej twarz przybrała zadziorny wyraz. Audrey westchnęła i kiwnęła głową. Pozwoli jej na prostą wróżbę. Nic więcej.

Cecilia wrzuciła śnieżnobiałe listki i szczyptę wilczej jagody do wody i zamieszała to palcem. Znad filiżanki uniosły się opary. Zwykle mętne oczy staruszki rozbłysły, kiedy mgiełka zgęstniała i zaczęła splatać się w pasma. Problemem jej jednak było to, że uczucia mąciły jej zdolność osądu. Choć to właśnie emocje stanowiły ojej wielkiej wartości dla Audrey. Jedna z nich bowiem musiała coś czuć.

Audrey marzyła o miłości – bezwarunkowej, niewzruszonej, irracjonalnej. Ale dawno temu dokonała wyboru i odcięła się od takich pragnień. Postanowiła zdać się na rozum i zimne kalkulacje i dzięki temu zachować życie. Niezależnie od ceny. Takie postępowanie miała we krwi.

Pasma oparów dobywających się z filiżanki Cecylii

pełzały po obrusie. W górze zawisł mgielny pająk, który drżącymi odnóżami badał każdą ich smugę.

– Co widzisz? – zapytała Audrey.

Cecilia i pająk przemówili równocześnie, jedno zachryplym, drugie piskliwym głosem.

– Niebezpieczeństwo. Głód w wodzie. I słyszę... – zaskoczona Cecilia wciągnęła głęboko powietrze – muzykę!

Muzyka. Zły omen. Najprawdopodobniej oznaczała obecność drugiej rodziny.

Audrey wyciągnęła dłoń, by dotknąć sieci, ale w ostatniej chwili powstrzymała się. Jednym muśnięciem palca mogłaby wyostrzyć całą siatkę prawdopodobieństw i zniszczyć zjednoczone przeciw dzieciom siły. Ale jedno dotknięcie wystarczyłoby też, żeby zdradziła się przed Radą.

– Postaraj się dowiedzieć czegoś więcej – nalegała.

Cecilia pogłaskała pająka. Jego tułów się wydłużył, a po bokach wykwitły mu pączki, które zamieniły się w celofanowe skrzydła ważki. Przemknął między smugami mgły.

Audrey patrzyła na pływające w filiżance Cecylii liście. Wyglądały jak setki małych oczu, potem złączyły się w szczękę, która otworzyła się i gwałtownie zamknęła.

– Czyha na nich kolejne niebezpieczeństwo – wyszeptala Cecilia. – Pułapka. Więcej niż jedna, a potem już tylko jedna. Mniejsze... a potem dużo większe. – Jej oczy rozszerzyły się i bielmo się rozstąpiło. Złapała ważkę i przycisnęła ją do piersi. – Gad – wymruczała jak w transie i zaczęła ciężko oddychać. – Rzeka zębów. Pożeracz niewinnych.

Audrey machnęła ręką. Mgielna sieć zgęstniała w cienkie nici lodu i wisiała w powietrzu jeszcze przez jedno uderzenie serca, po czym upadła, roztrzaskując się o stół.

– Dosyć. Dalej sami muszą sobie poradzić.

Niebezpieczeństwo było zbyt wielkie. Audrey nie mogła co prawda odczuwać miłości jako takiej, ale jej instynkt opiekuńczy odzywał się z coraz większą mocą. Gdyby Cecilia powiedziała jej coś więcej, zaczęłyby działać i tym samym zniszczyłyby niewielkie szanse, jakie mieli Eliot i Fiona.

Cecilia wbiła w nią piorunujące spojrzenie.

– Jak możesz być taka nieczuła?

– Co chciałybyś, żebym zrobiła?

– Mogłabyś zabić członków Rady. Wszystkich po kolei. Szybko.

Audrey uniosła brew, słysząc tak zuchwałą propozycję.

– Wcale nie jestem pewna, czy zdołałabym pokonać Aarona.

– Kiedyś przynajmniej byś spróbowała – wyszczała Cecilia.

Audrey wciągnęła głęboko powietrze, uspokoiła się i powiedziała:

– Kiedyś nie było dzieci. Gdybym rozpętała krwawą wendetę, Fiona i Eliot staliby się jej pierwszymi ofiarami.

Cecilia nerwowo zacisnęła dłonie. Jej pajak – będący jeszcze chwilę temu ważką – znów zastygł na dzbanku do herbaty.

– Trzeba było uciekać – wyszeptwała.

– Skończ wreszcie z paplaniem o tym, jak

powinnam się zajmować moją rodziną.

Wargi Cecylia zadrżały. Nie odezwała się, ale w jej oczach zabłysła nienawiść. Audrey zaś poczuła satysfakcję, jaką daje kopanie leżącego.

– Miałaś kiedyś trzech synów. Czy jeden z nich nie zabił swojego ojca?

Cecilia wyglądała, jakby ktoś ją uderzył.

– Oby podobne fatum wisiało nad wszystkimi naszymi dziećmi.

Ta uwaga dotknęła Audrey do żywego – a uczucie to było tak nagłe, że nawet ze swoim szybszym niż błyskawica refleksem i precyzyjnym intelektem nie mogła się przed nim ochronić. Uwolniła się od emocji związanych z dziećmi, ale ich ojciec to była zupełnie inna historia. Wstała, przewracając krzesło. Jej sylwetka rzucała teraz wiele krzyżujących się cieni. Po podłodze pełzała ciemność, ogarniając ściany i wpadające przez okno światło. Moc gromadziła się wokół Audrey. Huragan wirujących ostrzy przecinał powietrze.

– Chcesz, bym działała? – zapytała szeptem, który odbił się od każdego atomu w pokoju i potrząsnął szybami.

Cecilia cofnęła się w kąt, skuliła się i z rękoma na głowie kwiliła, szarpana podmuchami wiatru.

– Chcesz śmierci? – dodała Audrey. – Jeśli Fiona i Eliot zawiodą, jeśli zabierze ich Rada lub rodzina ich ojca, wtedy zniszczę wszystkich. I wszystko.

Gdy zdecyduje się na wzięcie odwetu, żadna istota, Rada czy prawo jej nie zatrzymają. Żeby jednak tego dokonać, musiałyby się całkowicie poświęcić zemście, pozbyć się wszelkich odczuć żalu, skruchy i przyjaźni.

Wszystkich ludzkich odruchów. A to Cecilia była ostatnim ogniwem łączącym ją z ludzkością.

– Gdy nadejdzie czas zabijania – powiedziała Audrey – ty, stara wiedźmo, będziesz pierwszą ofiarą.

SETKA ZIEJĄCYCH NIENAWIŚCIĄ OCZU

Fiona i Eliot dotarli do granicy Del Sombry, gdzie mieli się spotkać z Robertem. Po piętnastu minutach szybkiego marszu Fiona była zupełnie wyczerpana, choć przed wyjściem z restauracji zjadła kilka czekoladek.

W tej odległej od turystycznego centrum części miasteczka nie było nic interesującego: porzucone w połowie budowy osiedle domków, zakład przerobu odpadów Oro otoczony hałdami tektury i plastikowych butelek oraz mały park Franklina.

Czekali, siedząc w cieniu eukaliptusa na jednej z parkowych ławek. Brzęczały cykady. Stojąca obok fontanna z terakoty była nieczynna od lat z powodu wprowadzonych oszczędności wody. Powiew bryzy przyniósł z sobą zapach stopionego plastiku i wilgotnego papieru. Mogłoby się zdawać, że otacza ich spokój, ale Fioną wstrząsały pełne napięcia drgania. Chciała stąd uciec jak najdalej i jak najszybciej.

– Jesteś pewien, że chodziło mu o to miejsce?

– Tak – odpowiedział Eliot, ocierając pot z czoła. Wyciągnął butelkę z wodą, którą napełnił w „U Ringo”, i podał ją siostrze.

Wypiła kilka głębokich łyków. Jedwabista czekolada rozplątywała się na jej języku, ale cukier podrażnił gardło.

– Masz pomysł, jaka heroiczna próba może się tutaj

odbyć? – zapytał.

– Robert wspomniał o miejskich legendach. – Fiona zerknęła w stronę zakładu przerobu odpadów.

Może trzeba będzie gdzieś przenieść jedną z tych hałd? Przemienić to wszystko w coś innego? Ale w co? Próbowała odnaleźć w pamięci jakiś ślad po dawno słyszanych baśniach – jakąś opowieść, którą zna naprawdę każdy dzieciak. Czy w jakiejś opowieści nie chodziło o zamianę słomy w srebro? A może papieru w złoto? Nie mogła sobie niczego przypomnieć. Babci udało się znakomicie wyczyścić ich życie z tego typu historii.

Pokręciła głową i westchnęła. Wszystko, co zdarzyło się przez dwa dni, jakie minęły od ich urodzin, wydawało się kompletnie nierealne. A może to ich wcześniejsze życie nie miało nic wspólnego z rzeczywistością? Babcia trzymała ich w domu jak w klatce. Skąd mogli wiedzieć, co się faktycznie działo lub kim naprawdę byli?

Eliot wyciągnął z plecaka opakowany w folię z logo pizzerii chleb czosnkowy. Zawiniątko przygotowała Julie tuż przed ich wyjściem z restauracji.

– Chcesz kawałek? – zapytał siostry.

– Nie jestem głodna – usłyszał w odpowiedzi, więc sam zaczął przeżuwać grubo posmarowaną masłem kanapkę.

Żołądek Fiony zawiązał się w twardy supeł. Kilka czekoladek – tego teraz potrzebowała. Przed wyjściem z restauracji zdążyła połknąć tylko trzy: migdałowy kwadrat z malutkimi drobinkami ptasiego mleczka oraz dwie trufle – limonkową, która ochłodziła jej język, i kremowo-kakaową. Wciąż pamiętała smak każdego rozkosznego

kęsa i żałowała, że nie zjadła więcej. Przeszkadzili jej w tym Eliot i Julie, przynosząc wiadomość o niezwykle pilnej sprawie rodzinnej. Eliot powiedział, że muszą wyjść. Julie kazała więc Lindzie odwołać wizytę u dentysty, a Johnny'emu załadować zmywarę po lunchu. Mike nigdy by czegoś takiego dla nich nie zrobił. Czy Julie zachowywała się w ten sposób, bo naprawdę lubiła Eliota? Coś się tu bardzo Fionie nie zgadzało.

W oddali rozległ się głęboki pomruk motocykla. Eliot, Julie, a nawet czekoladki natychmiast zniknęły z myśli Fiony.

Wstali z ławki, dłońmi osłaniając oczy przed słońcem i patrząc na pędzącego w ich stronę Roberta. Kierowca zahamował na skraju parku i zsiadł z motocykla. Nawet nie zdjął kasku i skórzanej kurtki, tylko od razu ruszył szybkim krokiem przed siebie.

– Tędy – rzucił. – Nie mamy dużo czasu.

Jego twarz zastygła w wyrazie zaciętej determinacji. Tak nagle odwrócił się plecami do Fiony, że zaczęła się zastanawiać, czy nie jest na nią zły z jakiegoś powodu. Poszli za nim na opuszczone osiedle domków, przekraczając po drodze rozwalone ściany z pustaków, nagie betonowe fundamenty i popękany asfalt. Robert zatrzymał się pośrodku pustego piaszczystego kawałka terenu, gdzie jedynym urozmaiceniem były szarpane wiatrem kłęby wyschłej trawy. Sięgnął po telefon.

– Jesteśmy na miejscu... – powiedział do słuchawki.

– Tak, proszę pana, natychmiast.

Wsunął komórkę do kieszeni i zaczął rozkopywać piach nogą. Wkrótce spod niego wyłoniła się pokrywa wjazdu.

– Miało tu powstać wielkie osiedle domków jednorodzinnych – oznajmił Robert. – Ale jakiś oszust ukradł wszystkie pieniądze. Zdążyli zbudować jedynie drogi, wylać fundamenty kilku budynków i doprowadzić kanalizację.

– Nasza bohaterska próba ma się odbyć w szambie?

– zapytał Eliot z niedowierzaniem.

– W kanałach ściekowych – wyjaśnił Robert. – A to zupełnie co innego.

– A co można znaleźć w kanałach ściekowych? Oczywiście poza tą jedną oczywistą rzeczą... – odezwała się Fiona.

– Aligatora.

Fiona i Eliot wymienili nic nierozumiejące spojrzenia.

– Nie znacie tej miejskiej legendy? – zapytał Robert. – Dzieciak kupił w sklepie zoologicznym jaszczurkę. Zwierzę nie przestaje rosnąć, więc ojciec chłopca pewnego dnia wrzuca je do toalety i spuszcza wodę. Kilka lat później w kanałach pod Del Sombłą pojawia się aligator³¹.

– Żartujesz sobie – powiedział Eliot.

³¹ Pierwsza wzmianka o wielkich gadach żyjących w kanałach ściekowych pochodzi z czasów Cesarstwa Bizantyjskiego. Strażnicy regularnie przeczesywali kanały Konstantynopola, polując na krokodyle, choć ta legenda mogła powstać, aby zniechęcić ewentualnych najeźdźców do próby uzyskania dostępu do miasta tą drogą. Pierwsza współczesna podobna historia pochodzi z 1935 roku, kiedy to w Nowym Jorku aligator uciekł ze statku przybyłego z subtropikalnych mokradeł Florydy. Gad został odkryty i zatłuczony na śmierć łopatami przez dwóch chłopców zrzucających śnieg do studzienki kanalizacyjnej. W rzeczywistości aligatory łatwo zapadają na choroby i żaden osobnik raczej nie przeżyłby długo w kanałach (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne*, *op.cit.*).

Robert pokręcił głową.

– Nasza próba to aligator? – zapytała Fiona. – Co mamy z nim zrobić? Sfotografować i dowieść tym samym, że istnieje?

– Rada doskonale wie, że on tam jest. Chcą, żebyście.. . – Robert wbił wzrok w piasek, nie mogąc dłużej patrzeć im w oczy. – Ich dokładne słowa to: „pokonali bestię”. Macie pojawić się na powierzchni za dwie godziny, nie później, i dostarczyć dowód na to, że wykonaliście zadanie.

Fiona nie mogła w to uwierzyć. „Pokonać” było tylko eufemistycznym terminem zastępującym słowo „zabić”. W jaki sposób ona i Eliot mieli zabić prawdziwego aligatora? Mieli strzelbę, ale w ich rękach właściwie się nie liczyła. Nie byli myśliwymi, Fiona nigdy wcześniej nie zabiła świadomie żadnej żywej istoty. Nawet pająki, które znajdowała w wannie, delikatnie zbierała i wypuszczała na parapet, zanim odkręciła kran.

Robert zdjął zegarek i wręczył go dziewczynie.

Wzięła go i wsunęła na nadgarstek tuż obok gumowej opaski. Stalowy rolex z trzema chronometrami był dla niej za ciężki i zbyt duży, ale za nic by go nie zdjęła.

– A co jeśli się nam nie powiedzie? – wyszeptał Eliot.

– Człowieku, skąd mam wiedzieć takie rzeczy?

– westchnął Robert. Coś jednak w jego łagodnym tonie wskazywało, że doskonale zdaje sobie sprawę, co ich wtedy czeka.

Eliot głośno przełknął ślinę i zamilkł. Fiona zaś zastanawiała się, jak to możliwe, że ktokolwiek pomyślał,

iż mogą zabić aligatora – zwierzę, które od milionów lat doskonaliło się w sztuce polowania na takie nieporadne lądowe istoty jak rodzeństwo Postów. Chyba że rodzina liczyła na to, że odkryją w sobie coś niezwykłego.

– Powiedziałeś mi, że moja matka była boginią – zwróciła się do Roberta. – Chodziło ci o prawdziwą... – nie dała rady dokończyć, bo ta myśl była dla niej tak nierealna.

Robert zdjął kask i podrapał się po głowie. Wyglądał na zdezorientowanego.

– Nikt wam o niej nie opowiedział?

– Nikt nam nic nie mówi – poskarżył się Eliot.

– Cóż, to może i dobrze. Wasza rodzina jest bogata, wpływowa i bardzo przebiegła. A to dzięki temu, że wszyscy jej członkowie są starzy. Mają setki lat, a może więcej. Ale wcale nie przypominają filmowych czy komiksowych bogów, z laskami miotającymi pioruny czy innymi podobnymi gadżetami. Są raczej jak... – urwał, nie znajdując odpowiedniego słowa.

– Włoscy książęta? – zasugerował Eliot. – Cosa nostra?

Robert kiwnął głową.

– Mniej więcej. Po części są organizacją gangsterską, po części ogólnoswiatową korporacją. W stu procentach zaś czymś bardzo niebezpiecznym.

Fiona nie mogła w to uwierzyć, ale przypomniła sobie wypadek Mike'a i talent Eliota do gry na skrzypcach. Czy te zdarzenia świadczyły o tym, że jednak odziedziczyli coś po nadnaturalnych krewnych?

– Nie przysłaliby tu was – powiedział Robert, rozpogadzając się – gdyby nie myśleli, że macie szansę na

sukces.

Fiona nie była pewna, czy chodziło mu prawdopodobieństwo pięćdziesięcioprocentowe, czy raczej bliższe szansie na przetrwanie, jakie ma śnieżna kula w rozgrzanym piecu.

Robert zerknął na słońce.

– Powiedziałem wam tyle, ile mogłem. Nawet więcej. – Zniżył głos do szeptu: – Czy macie z sobą rzeczy, o których wspominałem?

Fiona wyciągnęła z torby strzelbę z obciętą lufą. Robert gwizdnął z wrażenia.

– Westley-Richards. To powinno wystarczyć. Celujcie w głowę gada. A nawet lepiej: zaczekajcie, aż otworzy paszczę, i dopiero wtedy strzelajcie – powiedział, ale bez większego przekonania.

Ukląkł i włożył we właz hak, po czym szarpnął, odsunął pokrywę i przeciągnął ją na bok. Z dziury uniósł się odór wilgoci i pleśni. Fiona i Eliot nachylili się nad wejściem i zobaczyli znikającą w ciemnościach drabinę.

– Naprawdę tam idziemy? – zapytał Eliot.

Fiona położyła dłoń na jego ramieniu.

– Bułka z masłem – skłamała, po czym rzuciła do Roberta: – Dzięki za wszystko.

Zastanawiała się, co kierowca ryzykował, zdradzając im, jak się mają przygotować. Nawet nie chciała sobie wyobrażać zagniewanej cioci Lucii albo groźnego wujka Aarona. Sama nie miałaby odwagi, by zrobić to, co Robert.

Przysunęła się do niego jeszcze bliżej. Być może za chwilę czeka ją śmierć, a nie zamierzała umierać, zanim nie pocałuje kogoś innego niż babcia czy Cecilia. Jej usta

dotknęły policzka Roberta lekko jak lądujący motyl. Ciepło skóry chłopaka rozgrzało jej wargi. Dreszcz przebiegł po jej szyi, a krew zaczęła szybciej krążyć. Serce biło mocno i szybko.

Cofnęła się. Żar wywołany ich dotykiem zdawał się wisieć w powietrzu. To było lepsze od czekoladek. o wiele lepsze.

Robert również zrobił mały krok do tyłu i dotknął swego policzka w miejscu, gdzie musknęły go usta Fiony. Spojrzał na Eliota i szybko się opanował.

– Musicie już iść – powiedział rzeczowo.

Eliot wyglądał na bardzo spiętego. Fiona nie była pewna, czy to z powodu jej pocałunku, czy też dlatego że zaraz mieli zejść do ciemnego kanału, gdzie żerował ludożerczy gad.

W końcu Eliot włożył kalosze, wyciągnął latarkę i spojrzał w dół dziury. Oblizął wyschnięte wargi, wyciągając szyję, by zobaczyć jak najwięcej.

– Na litość boską – westchnęła Fiona, wciągając swoje kalosze. Złapała latarkę. – Pójdę pierwsza.

Ostatni raz zerknęła na Roberta i zaczęła schodzić po drabinie. Powietrze wokół niej szybko stało się zimne, wilgotne i ciemne.

– Pamiętajcie, że macie tylko dwie godziny! – zawołał Robert z góry.

Kiedy obniżyła się mniej więcej o pięć metrów, jej nogi zanurzyły się po łydki w wodzie. Znalazła się na skrzyżowaniu czterech kanałów, które ciągnęły się dalej, niż sięgał promień światła latarki. Każdy z betonowych tuneli miał ponad dwa metry średnicy. Ich dołem płynęła spieniona woda z kawałkami glonów, rozkładającymi się

nalepkami i innymi odpadkami z zakładów przerobu śmieci. Zaokrąglone ściany kończyły się po bokach poziomymi występami.

Eliot powoli zsunął się za nią i stanął na jednej ze ściennych półek, starając się uniknąć kontaktu ze szlamem. Wyciągnął rękę. Fiona zmarszczyła brwi, poirytowana tym, że potrzebuje pomocy, ale złapała dłoń brata i stanęła obok niego na występie. Potrząsnęła nogą. Trochę paskudnej mazi przedostało się jej do środka kaloszy. Nie znosiła mieć mokrych skarpetek.

– Są dwa gatunki aligatora – odezwał się Eliot – *Alligator mississippiensis* i *Alligator sinensis*. Prawdopodobnie tym razem chodzi o amerykańską, nie chińską odmianę.

– Słowo „aligator” pochodzi od hiszpańskiego „el lagarto” – dodała Fiona. – Czyli jaszczurka.

Wiedza encyklopedyczna – od tego zawsze było im najłatwiej zacząć. Prawdziwy świat był zazwyczaj znacznie mniej – znów potrząsnęła butem – uporządkowany.

– Średnia waga to trzysta kilogramów, długość: cztery metry – powiedział Eliot, nie chcąc zostać w tyle.

– Ale największy zaobserwowany okaz miał ponad sześć metrów.

– Mogą biec z szybkością prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Biec? Raczej rzucać się do przodu – odparł Eliot.

– Musimy zatem trzymać się poza zasięgiem jego rzutu. Nie jest przecież kuloodporny. Strzelba powinna go załatwić. – Głos Fiony brzmiał pewnie i swobodnie. W środku jednak trzęsła się z przerażenia.

– Ta, pewnie. – Brwi Eliota połączyły się w jedną linię.

Dziewczyna zerknęła na świecące cyfry na zegarku Roberta. Dwie godziny. Czy to wystarczy? Nie miała pojęcia. Każdy z czterech korytarzy mógł prowadzić do aligatora... lub po prostu ciągnąć się pusty przez kilometry.

Oświetlali każdy tunel po kolei, wypatrując jakiegoś znaku. W północnym kanale, oślepiiony promieniem latarki, zapiszczał szczur i zaszorował pazurami po cementcie. Fiona z trudem opanowała drżenie. W ich piwnicy też były szczury. Babcia nie mogła się ich pozbyć nawet za pomocą pułapek i trucizny. Ten jednak wielkością przypominał jamnika.

– Rodzaj *Rattus* – wyjaśnił Eliot. – Nie jestem pewien, jaki dokładnie gatunek.

Tym razem encyklopedyczna wiedza nie pomogła Fionie. Wciąż myślała tylko o tym, że szczury roznoszą dżumę i hantawirusy. Brudne i chore na wściekliznę łąziły jedno po drugim, tworząc ruchomą masę zębów, pazurów i błyszczących czerwonych oczu. Wypuściła z płuc powietrze. Nie mogła stracić równowagi. To tylko jeden szczur.

– Tak sobie myślę – oznajmił Eliot – że nie byłoby tu tego szczura, gdyby nie miał czegoś do jedzenia.

– Resztki pożywienia aligatora?

– A masz lepszy pomysł?

Pokręciła głową i ruszyli za gryzoniem.

– Może powinniśmy wyjąć broń – zaproponował Eliot. – Tak na wszelki wypadek.

Fiona otworzyła torbę. Oczywiście to ona będzie musiała strzelać. Eliot do tej pory nawet nie chciał dotknąć

bronii. Czasem zachowywał się jak dziecko.

Sięgnęła po strzelbę... i jej ręka znieruchomiała. Tak naprawdę ją też myśl o strzelaniu napawała przerażeniem. Czy to rzeczywiście jest aż tak trudne? Skuteczna broń palna przeciwko jaszczurce z mózgiem wielkości śliwki? Dzięki dwóm lufom ryzyko, że spudłuje, będzie naprawdę niewielkie.

Fiona złapała strzelbę, skierowała promień latarki w dół, załadowała naboje i zatrzasnęła zamek. Jej ruchy były tak naturalne, jakby robiła to już wcześniej.

Wrzuciła ceratę, w którą broń była owinięta, z powrotem do torby i jej palce dotknęły czerwonego atlasu na pudełku z czekoladkami. Sięgnęła do środka, wyciągnęła jedną pralinę i wrzuciła ją sobie do buzi, nawet na nią nie patrząc. Na języku poczuła mleczną czekoladę, orzechy włoskie i drobinki kremu toffi. Zrobiło jej się ciepłej, a płynna energia natychmiast przeniknęła aż do palców u jej rąk i stóp. Teraz była gotowa.

– Co jesz? – zapytał Eliot.

– Czekoladkę. – Przeżuła ostatni kawałek. Toffi przykleiło jej się do zębów. – Dostałam od Roberta.

A przynajmniej było to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie pochodzenia bombonierki. Nie miała teraz czasu na opowieści o cichym wielbicielu, tym bardziej że Eliot na pewno zadałby jej mnóstwo pytań. Nie chciała też zbyt długo zastanawiać się nad tym, jak to możliwe, że tak niewielkie pudełko mieściło w sobie trzy, nie, cztery warstwy czekoladek.

– Ooo – w głosie Eliota słyhać było rozczarowanie.

Podniosła strzelbę, z trudem poruszając latarką

ponad lufą. Ruszyła do przodu, zanim Eliot mógł poprosić o pralinę.

– Tędy. Skieruj latarkę przede mnie – zakomenderowała. – Może będę musiała swoją upuścić, kiedy przyjdzie co do czego.

Znaleźli się w miejscu, gdzie wcześniej widzieli szczura. Zwierzak zawrócił tam, skąd przyszedł. Jego świeże ślady krzyżowały się z wcześniejszymi. Fiona przesuwiała się po betonowej półce, podążającego tropem. Na następnym skrzyżowaniu skręcili w prawo.

Upewniła się, że będą mogli wrócić po własnych śladach do miejsca, gdzie rozpoczęli wędrówkę. Beton pokrywały plamy wilgoci i glonów, na których ich kalosze zostawiały łatwe do odszukania odciski. Fiona nie zamierzała się tu zgubić. Powrót na miejsce startu był przecież też częścią próby.

Kolejny szczur przemknął w snopie światła latarki Eliota. Nie, niejeden, aż trzy. Biegły w korytarzu przed nimi.

W pierwszym odruchu Fiona chciała otworzyć do nich ogień. Już uniosła strzelbę, ale się powstrzymała. Przecież to tylko szczury. Nic jej nie zrobią, choćby był ich cały tuzin.

Gryzonie zapiszczały. Ich futra nastroszyły się, a małe oczka wpatrywały się prosto w lufę. Wreszcie uciekły. Fiona ruszyła dalej, ale Eliot się zawahał.

– Co jest? – zapytała.

– Czy nie miałaś wrażenia, że te szczury wyglądały, jakby wiedziały, co robią?

– Eliot, to szczury. Wydawało ci się.

Sięgnęła do torby po kolejną czekoladkę i

wepchnęła ją do buzi: mieszanka karmelu i ptasiego mleczka, ciągnąca się i pyszna.

– Ile zamierzasz ich jeszcze zjeść? – zasyczał Eliot ponad jej ramieniem.

– A co cię to obchodzi? – odpowiedziała, wciąż żując, i pomaszerowała dalej.

Kolejny szczur przebiegł ledwo dwa metry od niej, potem dwa następne. Wyglądały nawet na większe od tych, które zobaczyli wcześniej, ale Fiona nie była tego pewna. Poruszały się zbyt szybko; widziała więc tylko przemykające skrawki szarego futra i wijące się jak baty ogony.

– Słyszę je z tyłu – odezwał się Eliot.

Fiona zaczęła nasłuchiwać, próbując wyłowić z szumu coś poza bulgotem wody i waleniem własnego, rozpedzonego cukrem serca. Wreszcie – ciche drapanie i pisk sięgający zakresów ponaddzwiękowych. Nie tylko z tyłu, ale i z boków, a teraz również z przodu.

– Pewnie jesteśmy już blisko – wyszeptwała.

Zrobiła trzy ostrożne kroki ku kolejnemu skrzyżowaniu, gdzie zaczynały się stare ceglane ściany. Pojawiły się też inne zapachy: ziemi, gnijącego mięsa, moczu.

– Nie podoba mi się tu – powiedział Eliot.

Fionie też się nie podobało. Poczowała ciarki na szyi. Ale czy mieli jakiś wybór?

Eliot gwałtownym ruchem przesunął latarkę na prawo. Fiona zatrzymała się w pół kroku, próbując złapać swoją, potem odwróciła się, by zobaczyć, co odkrył brat.

Szczury. Więcej szczurów. Nie trzy lub cztery, ale czterdzieści albo pięćdziesiąt. Stały jedno na drugim,

tworząc wielki kopiec pośrodku bocznego korytarza. Ich wąsy drgały. Setka ziejących nienawiścią oczu patrzyła na Fionę i Eliota. Setka inteligentnych oczu. I głodnych.

Eliot skierował latarkę w lewy korytarz. Wzrok Fiony z wysiłkiem oderwał się od ruchomej sterty i podążył za spojrzeniem Eliota. Tam też były gryzonie, całe dziesiątki, a każdy trzy razy większy niż jakikolwiek szczur, jakiego wcześniej widziała. Zaczęła się powoli cofać, aż wpadła na Eliota.

– Wracajmy – wyszeptała. – Ostrożnie i bardzo wolno.

Musieli tylko zachować spokój. Nic im nie groziło. Musieli po prostu wrócić tą samą drogą, którą tu przyszli.

Świergotliwe piski uniosły się w przodzie tak głośne, że Fiona omal nie upuściła strzelby, by zakryć uszy dłońmi. A potem usłyszała podobny do zwielokrotnionego szeptu dźwięk tysiąca pazurów drapiących po betonie.

Zaświeciła latarką w głąb ceglanego tunelu. Zobaczyła kotłujący się dywan ruchomego futra, czarne wściekle spojrzenia i chłostające powietrze ogony.

Zaczęli biec. Ale kolejne setki gryzoni zablokowały im drogę. Fiona odwróciła się, by stanąć przodem do szarżujących szczurów i odciągnęła oba kurki strzelby.

PIOSENKA FLECISTY

Jeden wyjątkowo śmiały czarny szczur skoczył do przodu. Eliot kopniakiem odrzucił go w wodę.

Fiona odbezpieczyła strzelbę. Mogła nią zabić sporo szczurów, ale na pewno nie wystarczająco dużo. Otaczały ich teraz setki gryzoni.

Zwierzęta zwolniły, zdeorientowane światłem. Ścisnęły się bardziej, wdrapując się na siebie nawzajem, i piszczwały coraz głośniej.

Fiona uniosła broń i wystrzeliła z jednej lufy. Potężny blask i grzmot rozniosły się w tunelu, oślepiając i częściowo ogłuszając Eliota. Szczury zapiszczały z bólu, zaskoczenia i wściekłości. Brzmiało to jak milion drobnych gwoździ rysujących tablicę.

Eliot zamrugał i zobaczył, że zwierzęta uciekają we wszystkie strony. Wystrzał odniósł skutek. Nadepnął jednego gryzonia, szaleńczo goniącego za własnym ogonem. Mogą spróbować się stąd wydostać, póki szczury są oszołomione. Zrobił więc kolejne dwa kroki w kierunku, z którego przyszli. Fiona szła za nim. Ale gryzonie zwolniły i popiskując, zaczęły obwączać powietrze. W pewnej chwili wszystkie jednocześnie zwróciły się znów w stronę rodzeństwa.

Chłopak zamarł. A więc strzelba im nie pomoże. Wystrzały nic by nie dały, nawet jeśli dysponowałiby setkami naboji. Gryzoni było zwyczajnie za dużo.

Skierował latarkę w głąb tunelu, wypatrując drogi ucieczki, ale wszędzie tam, gdzie docierało światło, widział tylko nadciągające kolejnymi falami szczury.

– Wyczuwają chleb, który masz w plecaku – zasyczała Fiona.

No jasne. Węch, żołądek, instynkt przetrwania – to nimi powodowało.

– Mogą go dostać.

Eliot wyciągnął zawinięty w folię pakunek, rozerwał go i rzucił chleb w głąb kanału. W powietrzu rozszedł się ostry zapach pieczonego czosnku.

Szczury zakotłowały się, walcząc o darmowy posiłek. Na bocznej półce otworzyło się wąskie przejście.

– Szybko. – Eliot złapał siostrę za rękę. – Tędy.

Fiona przeładowała i wystrzeliła drugi nabój.

Od huku, jaki rozległ się w zamkniętej przestrzeni, Eliotowi zakręciło się w głowie tak, że prawie wpadł do wody. Dlaczego Fiona to zrobiła? Tylko rozwścieczyła zwierzęta.

Po sześciu krokach znów mieli przed sobą szczury. Jeden podbiegł i wbił ostre zęby w kalosze Eliota, bez trudu przecinając gumę. Eliot odruchowo zgiął palce u stopy i kopiąc powietrze, próbował pozbyć się gryzonia, który jednak wciąż zaciskał szczękę na bucie. Dobiegający z ciemności jazgot oraz szuranie pazurów po betonie stały się ogłuszające. Przecież musiało być coś, co szczury zjadłyby z większą chęcią niż jego i Fionę.

– Twoje czekoladki! – krzyknął Eliot do siostry.

– Co? Nie! – wrzasnęła.

Ale mimo jej protestu wyczuł, że grzebie w torbie i rzuca kolejne garście do wody. Woń mlecznej czekolady i

karmelu wypełniła tunel.

Przyczepiony do jego buta szczur rozluźnił szczękę i czmychnął do wody, a za nim pozostałe. Oszalałe od nowego zapachu gryzonie przepychały się gwałtownie, by dostać się do pralinek. Przejście było wolne.

Eliot rzucił się w jego kierunku, tuż za nim biegła Fiona. Światła ich latarek podskakiwały w przodzie, aż wreszcie Eliot zobaczył skrzyżowanie.

Do ściany na rogu, mniej więcej na wysokości głowy chłopca, przywarł szczur i gapił się na rodzeństwo. Eliot zwolnił i oświetlił ściany i półki tunelu. Jego serce zaczęło bić jeszcze szybciej. Szczury były wszędzie – kłębiły się i czepiały ścian, niektóre wdrapywały się tak wysoko, że nie były w stanie utrzymać się zaokrąglonej powierzchni i wpadały do wody.

Przeładowanie strzelby zajęłoby zbyt dużo czasu, jedzenie też im się już skończyło. W tunelu została więc już tylko jedna rzecz, na którą szczury mogłyby się rzucić – oni sami.

Fiona wpadła na Eliota. Cała drżała. A może to jego ciało się tak trzęsło?

Poszukała dłoni brata i mocno ją ścisnęła. Ten odpowiedział równie mocnym uściskiem. Ze wszystkich możliwych śmierci im się miała przytrafić akurat ta od setek wcale nie tak małych ugryzień. Wolałby, żeby Fiony tu nie było. Żeby nie musiał patrzeć na to, jak pożerają ją te stworzenia. Ale jaki miał wybór? Mógł się poświęcić i rzucić na szczury, dając Fionie szansę na ucieczkę.

Gryzonie zbliżały się, jakby wyczuwając, że już nic nie zdoła ich odgradzić od planowanego obiadu. Wszystkie heroiczne rozważania zniknęły z myśli Eliota.

Ogarnęła go pałaca jak rozgrzane żelazo panika. Próbował krzyczeć, ale w płucach, zabrakło mu powietrza.

Szczury napierały. Aby znaleźć się jak najbliżej, wchodziły na siebie nawzajem. Eliot zdał sobie nagle sprawę, że kiedyś już widział tę scenę. Nawet całkiem niedawno... W jakiejś książce.

Szczury przebiegały już po jego butach, zaczęły się też czepiać nogawek. Fiona wrzasnęła. Ale racjonalna i uwielbiana encyklopedie część umysłu Eliota przewyciężyła histerię. Przez głowę chłopaka przemknęły dane i statystyki dotyczące gryzoni, zatrzymując się na drzeworycie ukazującym otoczonego przez nie mężczyznę. Miał ten rysunek przy sobie.

Odgonił szczura siedzącego na plecaku, sięgnął do środka i wyciągnął ciężką, oprawioną w skórę książkę, którą znalazł w piwnicy. Przerzucił kartki do ostatniej strony. Kolejny szczur rozdarł pazurami jego koszulę i podrapał go po plecach. Chłopak z trudem powstrzymał impuls, by obrócić się i zrzucić zwierzę. Nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał się skupić na odręcznych notatkach na marginesach.

Balansując latarką, oświetlił rysunek przedstawiający przystojnego i grającego na flecie hulakę, a wokół niego tysiące gryzoni posłusznie siedzących na tylnych łapach. A z boku narysowane ołówkiem nuty.

Eliot nigdy wcześniej nie czytał zapisanej w tej sposób muzyki, ale domyślał się, że kropki na wyższych liniach muszą odpowiadać wyższym dźwiękom. Wydawało mu się to tak naturalne, jakby zdolność odszyfrowywania melodii była wpisana w jego kod genetyczny.

Upuścił książkę i złapał skrzypce. Kilkanaście szczurów ciągnęło za jego nogawki. Na próbę zagrał kilka taktów, szarpiąc palcami po strunach.

Powietrze zastygło, a wszystkie szczury w jednej chwili przestały piszczeć. Pazury szorujące po cemencie też się uspokoiły. Drobne, pokryte futrem uszy nastroszyły się. Eliot nie śmiał nawet drgnąć, jakby to mogło zburzyć czar.

Stojąca za nim Fiona nachyliła się i wyszeptała:

– Nie przerywaj.

Kiwnął głową i uderzając w struny, znów odegrał tę samą melodię.

Przyczepione do jego ciała szczury zbiegły na posadzkę i usiadły na tylnych nogach. Eliot powoli przykucnął i podniósł smyczek z plecaka. Przejechał nim po strunach. Smyczek przeslizgnął się i zaskrzypiał, wydając pisk fałszywych nut.

Szczury zasyczały i niespokojnie się poruszyły. Eliot zamknął oczy i zmusił się, by rozluźnić zaciśnięte na instrumencie dłonie i pozwolić smyczkowi płynąć po strunach.

Grał. Melodia z książki była prosta i podobna do tej, jaką wygrywał Louis, ale o ile tamta piosenka przywoływała w jego myślach obraz tańczących w kręgu dzieci, o tyle ta nawoływała do marszu, do stawiania kolejnych i kolejnych kroków. Otworzył oczy i zobaczył, że wszystkie szczury wbiły w niego spojrzenia, oczarowane melodią. Fiona trąciła go w ramię.

– Wyośmy się stąd, póki mamy na to szansę. Możesz iść i grać jednocześnie?

Nie był pewien. Jeszcze do wczoraj nie wiedział, że

w ogóle potrafi grać. Mimo to kiwnął głową i zrobił kilka kroków wzdłuż ściennej półki, uważając, by nie podeptać znieruchomiałych gryzoni.

Pozwoliły mu przejść, ale zaraz odwróciły się wszystkie jak na komendę i ruszyły za nim. Wyglądało to zupełnie jak na obrazku w książce. Mógł poprowadzić je, gdziekolwiek chciał, i przynajmniej chwilowo chronił siebie i Fionę przed nimi. Ale to przecież nie wystarczało. Eliot przystanął.

– W ten sposób nigdy nie znajdziemy aligatora. Musimy tu zostać.

– Oszalałeś? – powiedziała Fiona. – Chcesz stać się karmą dla szczurów?

– A co jeśli nie znajdziemy gada? Nie przejdziemy pomyślnie próby?

Przerwał piosenkę. Szczury natychmiast zaczęły kręcić się nerwowo, więc znów uniósł smyczek.

– Wolę zmierzyć się z ciocią Lucią i Radą niż... – Fiona popatrzyła na ponownie uspokojone szczury i zadrżała.

Eliot z trudem poruszał palcami i ręką. Jego ciało trzęsło się od kolejnych przyływów adrenaliny. Najchętniej usiadłby i wybuchnął śmiechem albo płaczem – sam nie wiedział czym. Ale jedno wiedział na pewno: co się stanie, jeśli nie przejdą pomyślnie próby. Czuł w kościach, że jego nowo odkryta rodzina była bardziej niebezpieczna niż milion zadżumionych szczurów.

– Wujek Henry i ciocia Lucia na pewno nam nie odpuszczą. Uciekaj, jeśli musisz. Ja zostaję.

Mocne postanowienie, jakie zabrzmiało w jego głosie, zaskoczyło jego samego, ale naprawdę zamierzał za

wszelką cenę wykonać zadanie. Z jakim wynikiem? Tego nie mógł przewidzieć.

– Sam nie dasz rady, pacanie. – Fiona wydała z siebie zwykle dlaczego-muszę-znosić-swojego-brata westchnienie. – Czy poza odgrywaniem serenad dla szczurów masz jeszcze jakiś inny plan?

– Trzeba zacząć od książki. Sprawdzić, co jest tam napisane o fleciście z Hameln.

Fiona odłożyła strzelbę i sięgnęła po *Mythica improbiba*.

– Nie mogę uwierzyć, że czytam tę głupią książkę, kiedy wokół siedzi tysiąc szczurów w każdej chwili gotowych mnie zjeść – wymruczała. Przejechała wzrokiem po stronie. – To jest napisane w średnioangielskim, na dodatek bardzo kiepskim. Prawie w każdym słowie jest błąd ortograficzny.

Eliot wciąż grał. Jego ręka nie była przyzwyczajona do ciągłego operowania smyczkiem i już płonęła od zmęczenia. Ale szczurze spojrzenia wbijały się w niego – morze szklitych oczu rozproszone wśród cieni tak daleko, jak tylko sięgał wzrokiem.

– Tutaj jest napisane, że flecista uwolnił wioskę od szczurów, ale nie dostał obiecanej zapłaty. Wtedy zaczarował wszystkie dzieci, by uciekły z nim z wioski, żeby wymusić okup... Nie, zaczekaj. – Fiona przysunęła twarz do kartki. – Inny fragment mówi, że dzieci nie zostały porwane. Zamiast tego flecista odesłał szczury z powrotem do wioski, by ukradły wszystkie srebra³²¹³³.

³² „Księżyc w pełni/ srebrne nuty dźwięczą/ szczury o zakręconych ogonach/ pękają struny i kobiety jęczą/ praca flecisty nie opłacona” (ojciec Sildas Pobożny *Mythica improbiba*, *op.cit.*).

³³ W różnych wersjach opowieści o fleciście z Hameln (Hamelin?) bohater

– Jak to zrobił?

Fiona przesunęła latarkę.

– Według tego, co tu napisano, zagrał szczurom nuty srebra.

– Czy widzisz coś jeszcze na marginesach? Więcej nut?

Fiona przerzuciła w tę i z powrotem kilka kolejnych stron.

– Nic.

Eliotowi wydawało się, że wie, co zrobił flecista. Nigdy o tym nie czytał, nigdy o tym nie słyszał, ale ta wiedza wydawała się wpisana w jego ciało i kości, utrwalona w czubkach palców.

– Spróbuję czegoś – powiedział. – Przygotuj się. Fiona przeładowała broń, po czym podniosła torby i latarki.

– OK.

Eliot zwolnił tempo melodii, zastanawiając się, jak może brzmieć aligator. Przeszedł do nut bardziej mrocznych, molowych, niczym wąż sunących przez głębiny jego wyobraźni. Potem dodał lekką frazę pizzicato, przypominającą wystające i poszarpane zęby. Fiona otworzyła usta, a potem powiedziała:

– To naprawdę brzmi jak aligator. Gdzie ty... Szczury zapiszczały podekscytowane. Tłoczyły się i wskakiwały na siebie. Niektóre uciekły, inne schroniły się w szczelinach w ścianach. Ale całe setki odwróciły się i

uwalnia wieś od szczurów, wilków lub nietoperzy, po czym zostaje zlinczowany, wybrany na burmistrza albo ucieka z całym srebrem ukradzionym mieszkańcom lub uprowadzonymi z wioski dziewczycami (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. IV, *Mity podstawowe*, cz. I, *op.cit.*).

pobiegły w głąb kanału.

– Zapomniałem gdzie. Patrz! Odnajdą go. Zupełnie jak srebro w tej opowieści.

Fiona popatrzyła na gryzonie.

– Nie przestawaj grać. Ja pójdę pierwsza.

Umieściła latarkę na strzelbie i ruszyła za szybko przebierającymi łapami zwierzakami. Eliot poszedł za nią, co jakiś czas przeplatając mamiącą melodię z książki i zaimprovizowaną piosenkę o aligatorze. Zwiększył tempo. Szczury zaczęły biec szybciej, coraz bardziej oszalałe. Chłopak kroczył, stawiając stopy do rytmu granej przez siebie muzyki.

Gładki beton na ścianach zamienił się w pustaki, a potem w rozpadające się ze starości cegły.

– Ciarki przechodzą od tej melodii – wyszeptała Fiona. – Ponoć muzyka może uspokoić dzikie zwierzęta, ale żeby sprawiła, by coś przynosiły?

Eliot też uważał, że to dziwne. Tak jak jazda limuzyną wujka Henry'ego czy sugestie Roberta o tym, że ich rodzina to gromada nieśmiertelników. Te wszystkie zjawiska balansowały na granicy realności – nie do końca niemożliwe i również nie do końca możliwe.

Idąc za szczurami, skręcili w lewo, potem w prawo i jeszcze raz w lewo. Schodzili coraz niżej, a woda w kanałach płynęła coraz szybciej, marszcząc się i kipiąc. W starych ceglanych ścianach pojawiły się wzmacniające żelazne pręty, całkiem już przerdzewiałe. W powietrzu dało się wyczuć nowy zwierzęcy zapach, na który składała się woń krwi i odchodów.

Szczury zatrzymały się przed wielkim tukiem. Piszczwały w proteście i usiłowały zawrócić, ale drogę

odwrotu tarasowały kolejne napierające zwierzęta, które jeszcze nie dotarły do celu. W końcu wszystkie wpadały do wody i płynęły z powrotem, walcząc z wartkim nurtem.

Eliot przerwał granie. Gryzonie nie okazywały już żadnego zainteresowania muzyką ani nawet obiadem. Po prostu chciały uciec.

– Zdaje się, że to dobry znak – wyszeptała Fiona.

Eliot skinął głową. Dziewczyna oświetliła kamienie u szczytu łuku. Znajdował się tam napis: SSDS 1899.

– System Ściekowy Del Sombry? – zastanowił się Eliot.

Fiona skierowała latarkę niżej.

Za łukiem znajdowało się jezioro o niewidocznych brzegach. Przez dziurę u góry wpadało światło słoneczne i strumyczki wody. Wszędzie pływały śmieci: zawilgotniały papier, foliowe torby i oddział zatopionych plastikowych zielonych żołnierzyków. Eliot sięgnął po drugą latarkę i dołączył się do poszukiwań. Na zacienionym środku jeziora wypatrzył wyspę zbudowaną z kilku słupów telefonicznych, opon, ale przede wszystkim kości – pokrytych śluzem i połamanych, by można było wyssać z nich szpik. Kości krów, królików i ludzi. Pośrodku tego makabrycznego wysypiska leżał wpatrujący się w nich aligator.

POKONANY

Fiona skierowała latarkę w miejsce, które oświetlał Eliot, i prawie odskoczyła. Gada pokrywały czarne łuski przypominające żelazne pokrywy. Zwierzę mrugnęło i membrany oczne zamknęły się nad jego złotymi źrenicami, a potem odskoczyły z powrotem. Aligator spojrział wprost na nich.

– Wąski pysk – wyszeptała Fiona. – Widzisz, że zarówno dolne, jak i górne zęby są odsłonięte?

– To wcale nie jest aligator – odrzekł Eliot.

– Krokodyl – stwierdzili jednocześnie.

To nie była dobra wiadomość. Krokodyle należały do o wiele groźniejszych drapieżców niż aligatory. Były większe, szybsze i bardziej perfidne. Według różnych relacji mogły atakować lwy, tygrysy, a nawet rekiny. Każdego roku zabijały – a także pewnie zjadały – kilkudziesięciu ludzi w Afryce i południowej Azji. Fala chłodu przeszła przez ręce Fiony, a strzelba nagle zaczęła ważyć sto kilogramów.

– W jaki sposób krokodyl dostał się do Ameryki?

– zapytał Eliot.

– Robert powiedział, że to domowe zwierzątko, które dawno temu wrzucono do toalety.

Ale ten okaz nie przypominał żadnego krokodyla ze zdjęć, jakie widzieli. Jego szyja wyglądała na dłuższą, a oczy na większe – choć to ostatnie wrażenie mogło być

tylko spowodowane tym, że gad wciąż miał w nich utkwiony wzrok.

– A po części plezjozaur? – odezwał się Eliot niepewnie. j Plezjozaury to rząd wymarłych wodnych dinozaurów z kresu jury i kredy. Niemożliwe, by choć jeden wciąż istniał, ale Eliot miał o tyle rację, że krokodyl wyglądał na bardziej prymitywnego niż jakiegokolwiek zwierzę z tego gatunku, jakie Fiona kiedykolwiek widziała.

– Nie bądź głupi – wyszeptwała. – Skup się. Musimy coś wymyślić, żeby podejść wystarczająco blisko, by móc do niego strzelić. – Nie mogła uwierzyć, że wypowiedziała te słowa, zwłaszcza że pewnie to właśnie ona będzie musiała użyć broni.

Co mówił Robert? Żeby poczekać, aż zwierzę otworzy paszczę? Chłód z rąk rozprzestrzenił się na całe jej ciało. Z trudem oddychała. Żeby móc wycelować w jego otwarte gardło, musiałaby niemal na nim stanąć.

Szczęki krokodyla przesunęły się z boku na bok i zwierzę wydało z siebie basowe dudnienie, które zmarszczyło wodę i brzmiało zupełnie jak... słowa.

Eliot spojrzał na siostrę.

– Słyszą...

– Ciii.

Wyteżyła słuch. Dźwięki i intonacja zmieniały się, ale to przecież nie mogły być słowa, lecz jedynie złudzenie wytworzone przez jej mózg.

Eliot szarpnął ją za rękaw.

– W limuzynie, kiedy babcia rozmawiała z wujkiem Henrym.

Fiona natychmiast powiązała dwa zdarzenia: gdy

babcia i Henry nie chcieli, by dzieci ich rozumiały, zaczęli posługiwać się nieznanym Fionie językiem. Gad również w nim przemawiał. Ale zarówno wtedy, jak i teraz ona nie potrafiła go zrozumieć. Wyczuwała jednak, że pochodzi z dawnych lat i niesie z sobą wiele tajemnic.

– To się nie może dziać naprawdę – wyszeptwała.

Oczy krokodyla rozszerzyły się na chwilę, a potem bestia powiedziała:

– Angielski. Jakie to przykre. A więc chcecie zerwać z tradycją. Niech i tak będzie.

Fiona gapiła się na zwierzę. Jej umysł zwyczajnie nie przyjmował do wiadomości tego, co słyszały uszy. Ale paszcza krokodyla się otworzyła. A ten dźwięk wydostał się z niej.

Fiona odwróciła się do Eliota, który patrzył na gada i cały się trząsał. Miała wrażenie, że sama zaraz zrobi najbardziej niedorzeczną rzecz na świecie – zemdleje.

– A więc śmierć przyszła do tego, który żywi się śmiercią – powiedział krokodyl.

W następnych latach Fiona będzie wracać myślami do tej chwili jako do przełomowego momentu. Jej sposób postrzegania rzeczywistości zmienił się wtedy w ułamku sekundy. Patrzeć w oczy gadającego krokodyla – po takim doświadczeniu nic już nie mogło być takie samo.

Ale odrzucenie starego, niefantastycznego świata nie było łatwe. Dziewczyna jeszcze nie uznawała nowego odkrycia, jeszcze szukała wyjaśnień: w kanałach musiał unosić się gaz, który powodował halucynacje.

To było przecież jedyne logiczne wytłumaczenie. Lecz głęboki głos krokodyla nie był iluzją. Tak samo jak w głosie babci brzmiał w nim ciężar wieków. Jakby już

wcześniej przemawiał do setek dziewczyn jak ona, uspokajając je i namawiając, by podeszły do jego rozwartych szczęk.

Potrząsnęła głową, by odgonić te myśli. Musiała się z tym zmierzyć. Stanać twarzą w twarz z rzeczywistością. Być może jej rodzina naprawdę ją zabije. Być może jej matka była prawdziwą boginią. I być może krokodyl rzeczywiście do niej mówił.

– Po prostu tam siedzi – powiedział Eliot. – Dlaczego nie podpłyń w naszą stronę?

Krokodyl położył głowę na kościach, które zachrzęściły przygniecione jego ciężarem.

– Gdybym chciał was zabić – odrzekł – już dawno bylibyście martwi. Podejdźcie tu. Kończmy z tym.

– To sztuczka – wyszeptał Eliot. – Pamiętasz? Najszybciej porusza się na krótkich dystansach. RzUCA się na ofiarę.

– Myślę, że to wcale nie jest sztuczka – odpowiedziała szeptem Fiona, po czym chrząknęła i zwróciła się do zwierzęcia: – Nie chcemy cię zabijać i tego nie zrobimy... Chyba że będziemy musieli się bronić.

Bestia prychnęła.

– Widziałem znaki. Wiem, że przybyliście, by mnie pokonać.

Fiona wyteżyła wzrok. Czy w oczach gada pokazały się łzy? Krokodyl przemieścił się, tak że oczom rodzeństwa ukazał się jego bok i kawałek metalu wbity w przysadzistą łapę. W wyniku rany kończyła opuchła, poszarzała i zwiotczała. Fiona widziała ślady zębów wokół niej, co oznaczało, że gad próbował odgryźć sobie nogę. Jego czarna krew kapiała na stertę kości. Mogła sobie

wyobrazić, jak bardzo zwierzę cierpiało z bólu.

– Gdyby nas zaatakował, wszystko wyglądałoby inaczej – wyszeptała do brata. – Ale tak po prostu odstrzelić mu głowę? To byłoby...

– ... morderstwo? – dokończył Eliot. – A czy nie właśnie w takim celu tu przyszliśmy? Czy to nie jest jedyny sposób na pomyślne przejście próby?

Milczeli przez chwilę.

– Pamiętasz, co Machiavelli pisał o pionkach? – zapytała Fiona. – Jak muszą się zmienić, by móc przetrwać?

Eliot kiwnął głową.

– Nie sądzę, bym mogła się stać mordercą tylko dlatego, że tak mi każą.

– Ja też nie. – Eliot zerknął na strzelbę, potem na siostrę. – Więc co chcesz zrobić?

– Nie wiem, ale musi być jakiś inny sposób. Przecież to jest inteligentna, potrafiąca mówić istota.

Eliot poruszył się nerwowo.

– Możemy spróbować mu pomóc – zaproponowała Fiona. – Wyciągnąć ten kawał metalu z łapy. Być może zna naszą rodzinę i pomoże nam przetrwać te ich próby.

Eliot wolno głęboko odetchnął, uspokajając się.

– Może moja muzyka go ułagodzi. Wtedy mogłabyś podejść bliżej i pomóc mu albo...

Fiona zacisnęła wargi, próbując sobie wyobrazić, jak z własnej woli podchodzi do gada. Nie dała rady. Kiwnęła więc głową, wyprostowała się i znów odezwała do krokodyla:

– Pomożemy ci. Wyciągniemy ten metal z twojej łapy. Potem może porozmawiamy.

Gad zastanawiał się przez chwilę, jego złotoczarne oczy nawet nie mrugnęły.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Przyjdź i skończ z tym.

– To brzmi jak zaproszenie – Fiona zwróciła się do brata.

– Albo pułapka.

Jeśli tak było, Fiona mogła posłużyć się bronią... Choć wcale nie miała pewności, czy uda jej się tak zabić krokodyla. Jedynie strzał prosto w łeb mógłby go wykończyć. Trafienie gdziekolwiek indziej tylko zraniłoby to potężne, opancerzone zwierzę.

Wiedziała, że musi się ruszyć, zanim zupełnie spanikuje. Wciąż trochę kręciło jej się w głowie i była na tyle zdezorientowana, że strach nie zdołał jej jeszcze opanować. Sięgnęła do torby, do pudełka w kształcie serca i jak zawsze znalazła w nim kolejną czekoladkę. Włożyła pralinę do buzi. Poczowała gorzką czekoladę i malinowy syrop. Po jej całym ciele rozplynęło się ciepło i uspokoiło drżące ręce.

Zaświeciła latarką po wodzie. Strumień był głęboki na metr, ale jego rwący prąd zwalniał, gdy wpływał do sali z krokodylem.

Zeszła z półki przy ścianie. Zimna woda wlała się do jej butów, lecz dzięki czekoladzie nie poczuła chłodu. Brodząc, pilnowała, by trzymać strzelbę wysoko nad rozbryzgującą się wodą.

Eliot ruszył za nią, ale zaraz przesunął się ku zakrzywionym ścianom. Zaczął grać na skrzypcach wolną melodię, która częściowo przypominała wcześniejszą piosenkę aligatora, a częściowo wariację rodem z marzeń

sennych.

Zaskoczona Fiona ziewnęła. Muzyka naprawdę działała. Co jeszcze Eliot potrafił zrobić za pomocą skrzypiec?

Krokodyl też ziewnął. Widok jego paszczy i setki zębów, wyglądających jak ciasny rząd kostnych sztyletów, w jednej chwili otrzeźwił dziewczynę. Dopiero teraz mogła prawidłowo ocenić rozmiary pomieszczenia. Z zewnątrz trudno było to zrobić, ale stojąc wewnątrz, widziała, że od jednego do drugiego rogu sali było mniej więcej piętnaście metrów. Wyspa pośrodku, oświetlona mglistą jasnością pochodzącą z dziury w suficie, była większa, niż jej się wcześniej wydawało, i miała przynajmniej pięć metrów średnicy. Ile istot musiało umrzeć, aby ich kości utworzyły taką stertę? Nie, lepiej nie myśleć o takich rzeczach. Musiała skoncentrować się na tym, by iść do przodu, trzymając strzelbę w pogotowiu, z palcem spokojnie leżącym na spustach.

I wtedy ukazał się ostatni element układanki: krokodyl – tak ogromny, że choć leżał skulony, ledwie mieścił się na wyspie, a jego ogon zanurzał się w wodzie.

Fiona czytała, że krokodyle mogły w wyjątkowych przypadkach osiągać długość sześciu metrów. Ten był dwa razy większy.

Zatrzymała się, nagle czując strach, przed którym tak długo udało jej się bronić. Stawy jej rąk i nóg zastygły. Czy wielkość zwierzęcia naprawdę miała znaczenie? Co za różnica: sześć metrów czy dwanaście. Ta gadzia maszyna dojedzenia i tak ją przecież zabije.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i sięgnęła w stronę pudełka z czekoladkami. W ostatniej chwili się

powstrzymała. Nie chciała, by gad zaatakował ją, gdy ona będzie trzymać dłoń w torbie. Zmierzy się z tym zadaniem bez czekoladki.

Przejechała językiem po wargach i podeszła do brzegu wyspy. Pod jej stopami zatrzeszczały kości.

Krokodyl nawet nie drgnął. Z przymkniętymi oczami wyglądał tak, jakby prawie spał. Jej serce waliło jak oszalałe. Z pewnością znalazła się już w zasięgu jego skoku. Trzymała broń wycelowaną w jego łeb, czekając, aż zaatakuje.

Spojrzała na grającego na skrzypcach Eliota. Jeśli muzyka nie zadziała, a zwierzę na nią napadnie, ona go nie pokona i wtedy... wtedy jej nie uzbrojony brat nie będzie miał najmniejszej szansy.

Stawiała ostrożne kroki po żebrach, czaszkach i kościach biodrowych, zbliżając się do wystającego z ciała gada metalu. Jego końce rzeczywiście były odgryzione. Fiona mogła tylko sobie wyobrazić potrzebną do tego siłę szczęk. Podeszła bliżej. Jedno oko krokodyla poruszyło się, śledząc ją. Żeby wyciągnąć metal, potrzebowała obu rąk. A więc będzie musiała odłożyć broń. Ale miała stąd tak dobrą pozycję do strzału... Mogła celować w oko. Z tej odległości nabój z pewnością przebiłby czaszkę, startł mózg na miazgę i zabił bestię. A przecież właśnie to mieli zrobić.

Ale dlaczego? Zwierzę było żywe i inteligentne. Polowało tylko dla pożywienia, a nie w imię zasad jakiejś wymyślonej próby. Strzelenie do niego w obronie własnej byłoby czymś zupełnie innym. Fiona niemal chciała, by krokodyl odwrócił się i zaatakował. Babcia na pewno by strzeliła. Już dawno. Nie marnowałyby czasu na

rozmyślania. Fiona podjęła decyzję. Nie zabije, nie mając ku temu lepszego powodu.

Odłożyła strzelbę. Jej serce waliło tak głośno, że nie słyszała już muzyki Eliota. Widziała tylko odłamek metalu, łapę zwierzęcia i sączącą się z rany czarną krew. Jedynym sposobem na usunięcie odłamka mogło być wyciągnięcie go lub przepchnięcie przez łapę na wylot.

Dziewczyna sięgnęła po niego, ale widząc nierówne krawędzie, zatrzymała się. Musiała być ostrożna, inaczej potnie się na plasterki. A gdy krokodyl zwietrzy krew, na pewno jego ospałość szybko zniknie.

Złapała leżące obok dwie kości udowe i wpasowała je w zrobione przez zęby zagłębienia w metalu. Trzymały się dobrze. Gad poruszył się i Fiona zamarła. Nie miała czasu, by sięgnąć po strzelbę. Bestia mogłaby w każdej chwili odwrócić się i przegryźć ją na pół, a ona nawet nie zdążyłaby zareagować. Krokodyl jednak się uspokoił. Fiona więc głęboko odetchnęła, odliczyła do trzech i pociągnęła ze wszystkich sił.

Metalowe zęby stawily opór, potem puściły, szorując po ścięgnach i kości. Wydarły jednak kawałek ciała, wydając przy tym dźwięk podobny do ssania i tocząc świeżą krew.

Krokodyl zawył i obrócił się. Jego ogon podciął dziewczynie nogi, a uzbrojona w pazury łapa przygwoździła ją do podłoża. Tuż nad nią zawisła śmierć: otwarte szczęki wypełnione setką zębów, a za nimi czerń, tak przenikliwa, że Fiona wiedziała, iż nigdy się nie kończy. Jedyne, co mogła robić, to patrzeć w tę pustkę. Jej mózg zamarł, ogarnęło ją przerażenie. Ciemność puchła wokół niej. Chłód zmroził jej duszę. Miała wrażenie,

jakby spadała.

– Fiona! – krzyknął Eliot.

W oddali dało się słyszeć plusk wody. Miała nadzieję, że jej brat nie okaże się takim idiotą, by próbować coś zrobić. Nie miał broni, a wątpiła, by kotłyszka mogła uspokoić rozwścieczonego dwutonowego gada.

Co on sobie wyobraża? Rozmyślanie nad głupotą Eliota przynajmniej na nowo rozruszało jej umysł. Przygnieciona ledwie mogła oddychać, ale wciąż widziała leżącą obok, choć tuż poza jej zasięgiem, strzelbę. Gdyby udało się jej wyciągnąć jeszcze trochę rękę, być może by ją złapała, a potem strzeliła krokodylowi prosto w otwartą paszczę, tak jak radził Robert. Ale coś się nie zgadzało.

Dlaczego gad nie atakował? Krokodyle raczej nie słyszeły z tego, by podziwiały swój obiad przed rozerwaniem go na strzępy. Czy to był rodzaj testu? Czy gad czekał, by przekonać się, czy sięgnie po broń? Potrzebował powodu do zabicia jej? Przecież wcale go nie potrzebował. Ale po tym, jak ją przewrócił, nawet nie drgnął.

Ona też czekała bez ruchu. I tylko serce waliło jej jak karabin maszynowy gwałtowną serią pocisków. W końcu gad się odsunął, uwalniając Fionę. Zwarł też szczęki, zamykając wreszcie ogromną czarną paszczę.

Dziewczyna zamrugwała. Światło i ciepło na powrót pojawiły się na świecie.

Wolno uniosła się i usiadła. Krokodyl spojrział na nią złotymi oczami i powiedział:

– Dziękuję.

Eliot doznał wreszcie na wyspę. Skrzypce i

smyczek trzymał wysoko nad głową. Czasem zachowywał się jak skończony głupiec. A może był tylko głupio dzielny? W każdym razie dobrze, że tu był. Ukłęknał obok niej.

– Jesteś cała?

Sprawdziła żebra. Bolały pod dotykiem i były posiniaczone, ale nie złamane.

– Nic mi nie będzie.

Pomógł jej wstać. Razem spojrzeli na gada.

– Nie ma za co dziękować – odezwała się Fiona.

Krokodyl potrząsnął łbem.

– Bardzo dziwne – wymamrotał. – Znaki nigdy się nie mylą. Wróżę z przepływających śmieci tak jak Cyganki z fusów herbaty. – Bestia otworzyła i zamknęła paszczę i to szybkie kłapnięcie spowodowało, że po plecach dziewczyny znowu przebiegł chłód. – Wróżba mówiła o dwóch herosach, którzy zakończą moją mękę.

– Zgadza się – odrzekła Fiona. – Właśnie to zrobiliśmy.

Zaskoczył ją własny spokój, ale przecież rozmowa z gigantyczną, inteligentną gadzią wyrocznią nie różniła się tak bardzo od pogawędki z babcią.

Krokodyl wypuścił powietrze w długim i jakby pełnym namysłu oddechu.

– Wróżba o dosłownym znaczeniu zdarza się bardzo rzadko. Musicie być potężni, skoro potraficie wpłynąć na znaki. – Opuścił łeb w, jak się domyśliła Fiona, rodzaju ukłonu. – Moje imię to Souhk. Jestem waszym dłużnikiem.

Zabrzmiało to obiecująco, jakby mimo wszystko nie zamierzał ich pożreć. Dziewczyna wykonała coś w

rodzaju dygu, co w gumowych butach i z poobijanymi żebrami nie było wcale proste.

– To jest mój brat Eliot. A ja jestem Fiona. Fiona Post.

– Przewidywałem nadejście dzieci dwóch wielkich rodzin. Waszym przeznaczeniem są doniosłe czyny. Okropne czyny. A może nic, jeśli zawiedziecie podczas prób i kuszeń.

Dlaczego wszyscy zawsze mówili o nich „dzieci”? Mieli po piętnaście lat – ktoś wreszcie mógłby nazwać ich nastolatkami.

– Mówisz o heroicznych próbach Rady? – zapytał Eliot.

Souhk potaknął.

– Dawno temu pracowałem dla nich. Ale czy to właśnie pośrednikami nie brzydzimy się najbardziej?

Fiona cofnęła się o krok.

– Jest mi niezręcznie o tym wspominać, ale wysłano nas tu na dół, by... – Jak można było uprzejmie wytłumaczyć, że aby zachowali życie, musieli zabić swojego nowego znajomego?

– Pokonać mnie – dokończył za nią Souhk. – Mało prawdopodobne, żeby coś takiego udało się dwójce dzieci – prychnął, kierując potężnym podmuch z nozdrzy na leżącą obok strzelbę. – Nawet z tym narzędziem.

– Więc przegrywamy – wyszeptał Eliot.

Paszczka Souhka otworzyła się w przerażającym krokodylim uśmiechu.

– O, nie, dziecko. Wygrywacie.

Fiona i Eliot spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

– Jedno znaczenie słowa „pokonać” – powiedział

Souhk – to odnieść zwycięstwo w walce. Istnieje jednak jeszcze inne: dowieść swojej wyższości w rywalizacji, dyskusji... lub, jak to się stało w waszym wypadku, poprzez życzliwość.

– Nie rozumiem – odezwał się Eliot.

– A ja tak, posłuchaj – wtrąciła się Fiona. – Robert powiedział, że mamy pokonać bestię. I właśnie to zrobiliśmy. Sprawiliśmy, że stała się naszym przyjacielem.

Uśmiech Souhka się rozszerzył.

– Raczej tymczasowym sojusznikiem. Ale słowo „przyjaciół” może wywołać pewien sentymentalny wstrząs, gdy usłyszysz je Rada. – Krokodyl się zaśmiał.

Fionę ogarnęła ulga. Znaleźli sposób, by wykonać zadanie bez konieczności zabijania. Ani bez zostania zabitymi. Ale zaraz nowa wątpliwość zmała jej spokój.

– Czy Rada się na to zgodzi? Jestem pewna, że jej członkowie chcieli, byśmy zabili ciebie.

– Oczywiście, że chcieli. Z pewnością sprawdzą definicję „pokonać” w wielu słownikach, zanim na to przystaną. Ale w końcu przystaną. Rada zawsze stosuje się do własnego prawa... do każdej jego litery. – Krokodyl poruszył się i wskazał na jeden z korytarzy prowadzących do kanałów ściekowych Del Sombry. – Przepelnia mnie głód – powiedział głębszym i bardziej prymitywnym głosem. – Muszę zapolować.

Rana w jego ramieniu zaleczyła się na oczach Fiony. Dziury się zamknęły. Nowe łuski wyrosły i pociemniały, dopasowując się do czerni kutego żelaza, jaka przyobлекаła całe jego ciało.

Fiona znów się cofnęła i pociągnęła za sobą Eliota.

– Chyba musimy już iść.

Brat wyszarpnął się z jej uścisku.

– Ale ja mam milion pytań. Kim są nasi krewni? Skąd pochodzą? I co z naszym ojcem?

Souhk odwrócił się i spojrzał na nich. Patrzył tak długo, że Fiona zaczęła się zastanawiać, czy inteligentna część jego mózgu nie zapadła się gdzieś głęboko i teraz mieli przed sobą jedynie głodnego gada. A może Souhk był jednym i drugim jednocześnie?

– Teraz muszę jeść – warknął. – Waszym zadaniem jest przetrwanie pozostałych prób... a także sprostanie wymaganiom waszych rodzin. Potem możecie zadawać mi pytania. – Potoczył się w stronę wody, a każdy jego ciężki krok przesunął tworzące wyspę kości. – Wróćcie za rok. Wtedy będę najedzony.

Rok? Ile jedzenia potrzebował Souhk? I na co zamierzał polować? Dziewczyna zerknęła na ludzką czaszkę leżącą u jej stóp. Czaszka odwzajemniła spojrzenie. Może lepiej nie poznawać odpowiedzi.

– Tylko jedno pytanie! – zawołał Eliot. – Proszę!

Gad zatrzymał się i odwrócił.

– Proszę – powtórzył Eliot.

– Dobrze. Możesz zadać jedno pytanie, twórco muzyki.

Eliot aż się cały nadał. To było wszystko, o czym marzył: zostać nazwanym muzykiem. A przecież gdyby babcia się dowiedziała, że ma skrzypce... Właściwie co by zrobiła? Co mogłaby zrobić im teraz, po tym jak zmierzyl się z gigantycznym krokodylem?

– Zapytaj o kolejną próbę – wyszeptała Fiona.

Eliot pokręcił głową.

– Rodzinę naszej matki już trochę znamy. Wiemy,

że musimy się jakoś zmienić i stać się podobni do nich, by móc przetrwać. A co z drugą rodziną? Czy ona też się włączy do tej historii? I jak można się z nią skontaktować?

Souhk pomknął ku nim, biegnąc szybciej, niż się spodziewali, ślizgając się po powierzchni wyspy. Spod jego łap wypryskiwały w powietrze kości. Zatrzymał się tylko centymetry od nich.

Fiona i Eliot instynktownie przysunęli się do siebie, jakby to mogło ich jakoś ochronić.

– To więcej niż jedno pytanie – wyszczał. Przekrzywił wielki łeb, patrząc na nich pod kątem. – Widzę ich w was. Rodzina waszego ojca jest bardziej niebezpieczna niż rodzina matki. Mało kto uchodzi z życiem, jeśli stanie się obiektem jej zainteresowania. Unikajcie jej za wszelką cenę.

Souhk rozejrzał się po pomieszczeniu, co wydało się Fionie wyraźną oznaką strachu. Potem bezszelestnie wsunął się do wody i po jednym machnięciu ogona znalazł się na drugim końcu jeziora.

– Piekielni. Tak się nazywają – dodał jeszcze. – Śmiertelnicy jednak określają ich czasami inaczej. Mówią o nich... upadli aniołowie.

CZEŚĆ IV

PIONKI W GRZE

RODZINNA NARADA

Opatulona puchowym kokonem Sealiah siedziała wewnątrz przypominającego czołg śnieżnego pojazdu i rozmyślała nad swoją dotychczasową podróżą: najpierw prywatny samolot z Los Angeles do Reykjavíku, potem helikopter, który zabrał ją w głąb Islandii i który, gdy wiatr okazał się zbyt silny, został zamieniony na wehikuł na gąsienicach, a wszystko to, by dostać się do jednego z ostatnich nieskażonych Starych Miejsc.

Islandia... Co było złego w cieplejszym Las Vegas (oczywiście poza kompletnym brakiem dobrego smaku)? A może nadmiernie rozwinięte zamiłowanie Beala do dramatyzmu wzięło górę nad jego rozsądkiem? Z pewnością nie było żadnego praktycznego powodu, by ciągnąć ich tutaj, nie licząc oczywiście okazji na pokazanie im, że może to zrobić.

Tak czy inaczej, nie była tu już od wieków. Po jej skórze przeszedł dreszcz. Byli blisko.

Za oknami pojazdu halogenowe światła oświetlały wirujące w powietrzu kłęby śniegu. Ekran nawigacji satelitarnej na desce rozdzielczej zabrzęczał. Znajdowali się tuż obok punktu o szerokości geograficznej 64 stopni i długości geograficznej 17 stopni: dokładnie w środku wielkiej pustki.

– Pani, wyjmę ocieplane kombinezony – zwrócił się do niej kierowca.

Sealiah odrzuciła koc, otworzyła drzwi i wyskoczyła z wysokości trzech metrów. Kiedy dotknęła ziemi, pod jej butami zachrząścił połamany lód, a łuski zbroi okrywającej jej uda zabrzęczały. Zawodzący wiatr w jednej sekundzie wyiębił okrywającą jej piersi i barki koczugę i targnął do tyłu peleryną z futra polarnych lisów. Zaczerpnęła głęboko powietrza, pozwalając, by mróz przeniknął jej krew. Już na samą myśl o kuzynach zaczynała kipieć ze złości, a dzisiejszego wieczoru nie mogła sobie pozwolić na takie emocje.

Pomaszerowała w stronę grupy skał. Z boku emanował z niej blady czerwony poblask, w którym dostrzegła ludzkie sylwetki. Upewniła się, że jej dwa miecze, Exarp i Omebb, nie okryły się w pochwach szronem.

Na jej widok strażnicy unieśli kałasznikowy, ale opuścili je, gdy tylko zobaczyli, że pomimo ujemnej temperatury jej całe ubranie to tylko kilkanaście kawałków metali szlachetnych. Głęboko się jej pokłonili.

Na sinym lodzie czerwieniły się plamy krwi. Widocznie jeden z wartowników uklonił się niewystarczająco nisko przed którymś z jej kuzynów.

W pobliżu stało kilkanaście śnieżnych pojazdów gaśnicowych z wciąż włączonymi silnikami. Wieści o rodzeństwie Postów musiały się rozejść szeroko, skoro aż tyle osób zdecydowało się na wyprawę w to odległe miejsce. Może Beal nie był takim głupcem, za jakiego go miała. Zwołanie zebrania właśnie tutaj ograniczało liczbę krewnych i dawało przewodniczącemu szansę na utrzymanie wszystkiego pod kontrolą i w jako takim porządku. A może kontrola i porządek były ostatnimi

rzeczami, na jakich mu zależało?

Podeszła do rzeźbionych w czarnym kamieniu figur, które stały po obu stronach podziemnego wejścia. Miały niewyraźne kształty, ale wciąż można było dostrzec kwadratowe czubki mieczy trzymany przez nie w dłoniach.

Sealiah wsunęła kciuk między zęby i zacisnęła szczęki. Krwią z rany pomazała każde z rzeźbionych ostrzy. Nawet ona nie miała tyle śmiałości, by wejść do środka, nie oddając figurom należnego szacunku.

Gdy zeszała po spiralnych schodach, owiało ją ciepłe powietrze, od którego topić się zaczął oklejający ją lód. Poczula zapach gorącego żelaza i siarki.

Znalazła się w obszernej jaskini, której prawa ściana błyszczała bursztynami, a jakieś trzydzieści metrów nad jej głową wisiały lodowe stalaktyty. Posadzka wyłożona bazaltowymi sześciokątnymi płytami kilkanaście kroków dalej zanurzała się w jeziorze roztopionej skały. Z gotującego się zbiornika wznosiły się filary, w dawnych czasach zdobione wyrytymi na nich twarzami o idealnych proporcjach. Były to oblicza bogów, żyjących zanim słowo „bóg” i oddająca im kult ludzkość w ogóle powstały³⁴.

Sealiah dałaby wszystko, by starożytne potęgi podzieliły się z nią swoimi tajemnicami. Ale niestety czas już dawno je dogonił, a potem bezpowrotnie wyprzedził. Wąska półka skalna wystawała niebezpiecznie ponad

³⁴ »W jaskini, gdzie bogowie z czasów wcześniejszych niż Bóg, zakłęci między ogniem a lodową skałą./ Ślepi i głusi do końca dni./ Podróżny, zachowaj ostrożność./ Pozwól spać tytanom, dopóki gwiazdy nie spadną" - fragment *Sagi o Yoriku Zakrwawionej Brodzie z Mythica improbiba (op.cit.)*.

roztopionym jeziorem. Pośrodku niej stała bazaltowa płyta pełniąca funkcję stołu.

Większość członków Zarządu już przybyła i zajęła swoje miejsca. Abby uznała, że na taką okazję najlepiej nada się róż. Cienka wstążka jedwabiu tego koloru zawinięta była wokół jej drobnej sylwetki. Stała przy prawym końcu stołu, oddalona jedynie o krok od krawędzi, jakby kusząc, by ktoś pchnął ją w otchłań jeziora. Na jej bladym ramieniu przykucnęła czerwono-czarna stonoga i jadła jakiś krwawy ochłap podsunięty jej przez dłoń Abby.

Naprzeciw niej stał Lev, wciąż ubrany w ten sam biały dres co ostatnio, przesiąknięty potem. Jego potężne piersi unosiły się i opadały w rytmie ciężkiego od gorąca oddechu. Wachlował się wiszącym u szyi medalionem wielkości koła samochodowego.

Obok Abby, tuż przy końcu stołu stał Ashmed ubrany w nienagannie skrojony szary garnitur i srebrny krawat, który połyskiwał w świetle żarzącej się powierzchni jeziora. Skinął głową w stronę Sealiah, co wywołało w niej niespodziewane podniecenie. Żałowała, że w stosunki między nim a nią zawsze wkraczać będą polityka, intrygi i podejrzenia. Już nawet taka myśl stwarzała niebezpieczeństwo, gdyż mogła zostać wykryta i wykorzystana... Co tylko zwiększało ekscytację związaną z przemykającymi przez głowę Sealiah fantazjami.

Oz odwrócił się i zaprosił ją gestem, by stanęła bliżej. Miał na sobie skórzany strój członka gangu Helis Angels, który wyglądał jak ze sklepu dla fetyszystów, a włosy miał ułożone w loki, jakich nie powstydziliby się osiemnastowieczna paryska kurtyzana. Upudrowany

policzek zdobił zalotny pieprzyk.

– Witaj, Królowo Maków – zagruchał i wskazał jej miejsce u stołu.

Sealiah ruszyła, by do nich dołączyć, lecz szła wolno. Ostrożnie rozejrzała się po jaskini – zawsze warto było dokładnie rozpoznać niebezpieczny teren.

Wielu członków Zarządu przyjechało ze swoją świtą: mężczyznami w smokingach i kobietami w koktajlowych sukienkach, którzy w głębi, gdzie powietrze bardziej nadawało się do oddychania, sączyli szampana z wyrzeźbionych w lodzie eleganckich kieliszków. Po ścianach pełzały cienie podsłuchujących szepty i szpiegujących się nawzajem ochroniarzy.

Inni krewni wydawali się niemal niezauważalni. Wśród nich znaleźli się Samsawell Wiecznie Głodny (który – jak słyszała – kazał nazywać się po prostu Sam), wyglądający na bezbronny stary Mulciber z Wiecznej Piekielnej Biurokracji i nawet odludek Uziel, Złote Dziecko i Księżę Pól Zabijania. Każdy z nich reprezentował jeden z potężnych, choć nie zasiadających w Zarządzie klanów. Drapieżcy i padlinożercy – zebrali się wszyscy. A każdy udawał, że nie dostrzega tego, że ona na niego patrzy.

W końcu pojawił się Beal, zgrawszy swoje wejście z wybuchem dwóch gejzerów, które wystrzeliły z magmy. Iskry i ciekłe kropelki wypełniły ciepłe powietrze, a cały spektakl odbijał się w powiększeniu na odległych lodowych ścianach. Beal stanął na swoim miejscu u szczytu stołu. Jego sylwetka wyraźnie odcinała się na tle fontann ognia. Sealiah musiała niechętnie przyznać, że efekt był imponujący.

Przewodniczący miał na sobie smoking, czarną koszulę i pelerynę ze strusich piór. Jedynym kolorystycznym akcentem w jego spowitej w mrok postaci były niebieskie oczy i zwisający z szyi na skórzanym rzemyku szafir wielkości pięści. Z lekko zaciśniętej pięści Beala wystawał czarny szczur.

– Zaczynamy – powiedział. – Kłamiąc, będę mówił tylko prawdę³⁵. – Udał, że dopiero teraz zauważył Sealiah. – Świetnie, widzę, że jest wśród nas Królowa Maków. Nie jesteś co prawda członkinią Zarządu, ale pomyślałem, że będzie najlepiej, jeśli sama zdasz nam raport z postępów swojej kusicielki.

Przekrzywiła głowę, udając uznanie, i powściągnęła wściekłość z powodu jego kpin. Już wcześniej zdała mu raport. Julie Marks była gotowa, by ruszyć do akcji jak lew gotujący się do skoku na małego kotka. Sealiah wiedziała, że tak naprawdę została tu zaproszona, by było ją łatwiej mieć na oku.

– Jestem zaszczycona – odpowiedziała.

Na widok jej uśmiechu cała radość ulotniła się z twarzy przewodniczącego. Beal posadził szczura na stole i wolną ręką wykonał gest w stronę ubranych w srebrne kombinezony chroniące przed wysoką temperaturą służących, którzy po chwili przynieśli laptop i szeroki plazmowy ekran.

– Zwołałem to zebranie, by przedyskutować rozwój

³⁵ Tradycyjne powitanie piekielnych, którzy często używają kłamstw, by osiągnąć swoje cele, ale według legendy potrafią wykryć każdy fałsz. Z tego powodu, gdy jeden z nich mówi drugiemu proste kłamstwo, jest to uważane za największą zniewagę. Powitanie ma na celu zapewnienie o szlachetnych intencjach, to jest kłamanie tylko poprzez pominięcie lub wypaczenie faktów (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XIII, *Siły piekielne, op.cit.*).

sprawy Postów – oznajmił.

Członkowie Zarządu wymienili spojrzenia. Tylko Ashmed siedział nieporuszony.

Szczur skoczył na podłogę i zamienił się w potężnego Uriego. Mężczyzna wygładził pomięty smoking i nawet nie spojrzał na Sealiah.

Na jego widok zabolęła ją serce. Był jej rycerzem, ale już nie mogła wycofać go gry... Zmusiła serce, by ponownie stało się bryłą lodu.

Uri uderzył w klawiaturę laptopa, budząc ekran do życia.

– Liga również postanowiła poddać ich próbom – wyjaśnił.

Zgromadzeni poruszyli się niespokojnie. Każda wzmianka o drugiej rodzinie sprawiała, że czuli się nieswojo. Nawet drobne białe dało Abby zakolysało się w przód i w tył. Również Sealiah chętnie wystąpiłaby przeciw ich odwiecznym wrogom, ale piekielnych i nieśmiertelnych wiązał nienaruszalny pakt o neutralności.

– Śledzenie dzieci i uważna obserwacja wystarczyły, by dowiedzieć się wszystkiego – mówił dalej Uri.

Zebrani zaczęli oglądać czarno-biały film, przedstawiający głównie posadzkę kanału i setki przepychających się przed obiektywem kamery szczurów. Z głośników wydobyły się piski i szurania.

– Ten fragment nagrania ma kiepską jakość, ale i tak najbardziej interesująca jest ścieżka dźwiękowa. – Uri dostosował ustawienia fonii u dołu ekranu.

Szczurza wrzawa ucichła, a zamiast niej dało się słyszeć dźwięk skrzypiec. Członkowie Zarządu

zneruchomieli. Muzyka była delikatna, ale w duszy Sealiah każda nuta wybrzmiewała z kryształową przejrzystością. Poznała starą melodię. Dziecięcą piosenkę, jedną z tych, które śpiewano w ich rodzinie.

– To piosenka flecisty – powiedział Ashmed i pogłaskał swoją gęstą brodę. – Czyżbyś w końcu odnalazł Louisa?

Uri pokręcił głową.

– To gra Eliot Post.

Piętnastoletni wirtuoz? Sealiah przymknęła oczy i na chwilę dała się unieść melodii. Nie słyszała jej od czasów, gdy była młoda, naiwna i zakochana. Szczury na ekranie też ucichły i usiadły na tylnych łapkach. Niektóre machały przednimi, jakby próbując złapać muzykę. Piosenka zwolniła i w początkową melodię zaczęła wplatać się inna. Mroczne nuty wiły się i sunęły w powietrzu.

– Gad – wymamrotał Lev i nachylił się nad stołem, przyciskając głowę do głośników. – To jest przyzywanie!

– Ludzkie dziecko nie potrafiłoby tego – odezwał się Oz. – Louis musiał go nauczyć.

Ashmed pokręcił głową.

– Nie wiemy, czy Louis w ogóle żyje. Rozmawialiśmy już o tym tyle razy. Jeśli tak, dlaczego nie możemy go wyczuć?

Abby nerwowo przekreśliła swoją stonogę. Owad zasyczał.

– Posłuchajcie tej muzyki – burknął Lev. – **Tylko** Kłamca umie tak grać. Louis żyje, mówię wam.

Szczury czmychnęły w głąb kanału. Nagranie zatrzymało się na zamazanym obrazie gryzoni

wypełniającym cały ekran. Beal skinął do Uriego.

– Przewiń do przodu. Tam są jeszcze bardziej interesujące fragmenty.

Uri postukał w klawiaturę i po chwili na ekranie ukazał się szerokokątny obraz przedstawiający zalane pomieszczenie, wyspę z kości i krokodyla.

– Tak właśnie wygląda próba Ligi – wyjaśnił.

Rozciągnął swoją potężną dłoń w geście, który Sealiah rozpoznała jako nerwowe zaniepokojenie. Czyżby wpłynęło na niego to, że był bezpośrednio narażony na muzykę? Czy naprawdę obchodziły go losy rodzeństwa Postów?

– Typowe – zauważył Oz. – Klasyczne pokonanie bestii. Aż dziwne, że nie dali im białego rumaka, na którym mogliby pogalopować w dal.

– Przynajmniej zobaczymy trochę rozlanej krwi.

– Lev odchylił się i kłapnął zębami w stronę Abby.

Beal stał i beznamietnie obserwował reakcje członków Zarządu. Sealiah zastanawiała się, co knuł. Zauważyła też, że Ashmed podobnie jak ona nie patrzył na film, lecz na przewodniczącego. Potem zerknął na nią i ledwie dostrzegalnie kiwnął głową.

Abby zbliżyła się do ekranu i dotknęła obrazu krokodyla. Jej paznokcie zostawiły na szybie drobne zarysowania.

– A więc śmierć przyszła do tego, który żywi się śmiercią – gad przemówił do dzieci.

Oz się ożywił i nachylił do przodu.

– Czy to może być... Sobek?

– Pokażę wam coś interesującego – powiedział Uri i zrobił zbliżenie na dziewczynę.

Fiona Post trzęsącymi się rękoma sięgnęła do swojej torby na książki, skąd wyciągnęła czekoladkę, którą natychmiast połknęła.

– Spójrzcie, jak jej ciało uspokaja się po zjedzeniu pralinki – zauważył Beal. – Natychmiastowa reakcja organizmu. To jasne, że jest już uzależniona.

– Śmiertelniczka. Nie mam najmniejszej wątpliwości – zawarczał Lev.

Patrzyli, jak Fiona ostrożnie podchodzi do Sobka.

– Jest jednak odważna – dodał Ashmed. – Może jeszcze coś z niej będzie.

– Nafaszerowany tym świństwem też byłbym odważny – parsknął Lev.

Uri przekreślił gałkę regulującą głośność i kołysanka Eliota zabrzmiała z pełną mocą. Słuchali, wyteżając uwagę. Sealiah wstrzymała oddech. Zamrugowała gwałtownie, by wyrwać się spod wpływu melodii, i zauważyła, że nawet bulgocząca lawa jakby się uspokoiła.

– Oooo! Mam gęsią skórę. On na pewno jest jednym z nas. Musimy go przechwycić – odezwał się z zachwytem Oz.

Abby odłożyła stonogę i odgoniła ją machnięciem ręki. Jej różowe oczy poczerwieniały od krwi.

– O co innego rzucaliśmy kości – powiedziała. – Powinniśmy pozwolić, by odbyły się wszystkie trzy kuszenia.

– Zgadzam się z Abigail – dodał Ashmed. – Jeśli to jest syn Louisa i druga rodzina jest już w to zamieszana, musimy postępować rozważnie. Jeden fałszywy krok i możemy go stracić... a także jakąkolwiek szansę na to, żeby złamać traktat.

– Nie, przecież to aż cuchnie Louisem – podniósł głos Lev. – On żyje sobie gdzieś, pociąga za sznurki i śmieje się z nas.

Sealiah patrzyła, jak na ekranie Fiona wyciąga metalowy kolec z ciała Sobka. Krokodyl odwrócił się, przygwoździł ją łapą i zawahał się... gotowy na pożarcie jej duszy. A potem zdarzyła się rzecz nadzwyczajna. Gad darował dziewczynie życie. Pozwolił jej wstać i zaczął rozmawiać z nią i jej bratem. Dzieciom udało się zjednać sobie bestię! Imponujące. Zarząd jednak tego nie zauważył. Jego członkowie wciąż zażarcie się spirali.

– To niemożliwe, by Louis żył – oświadczyła Abby.

– Już dawno byśmy go znaleźli.

– Przecież nie wiemy, jak zginął – sprzeciwił się Lev.

– Nikt nie przyznał się do zabójstwa. Oczywiście jest jeszcze Liga... Ale aby podciąć gardło naszemu spryciarzowi, musieliby najpierw jakoś obejść nienaruszalny traktat. Nie wierzę w to.

Beal skinął głową w kierunku Uriego. Uri uklonił się zgromadzonym przy stole (co nie spotkało się z żadną reakcją) i odszedł. Beal ruszył za nim, uśmiechając się pod nosem.

– Sprowadźcie chłopca – powiedział Oz. – Wypytam go i wszystkiego się dowiemy.

– Koniec gadania! – Lev złapał za stół i napiął mięśnie. Jego dresy pękły, a w potężnym kamieniu pojawiła się szczelina. – Znam lepszy sposób na rozstrzygnięcie tego. – Stęknął, unosząc trzytonową bryłę bazaltu.

Dyskusja była skończona. Wyglądało na to, że Zarząd zamierzał ominąć etap rzucania kośćmi i od razu przejść do kolejnego punktu programu: chaotycznych aktów bezsensownej przemocy. Sealiah przypuszczała, że to Beal doprowadził do tej kłótni, by odwrócić uwagę Zarządu od Fiony i Eliota Postów i realizować własne plany względem dzieci. Czy zaprosił ją tu, mając nadzieję, że też wplącze się w konflikt? Jak śmiał myśleć, że jest taka naiwna. Ale na swój sposób chaos służył też jej celom. Sealiah mogła pogodzić się z tą ironią pod warunkiem, że ostatecznie to ona będzie górą.

Abby wskoczyła na blat, a następnie na Leva, który przez cały ten czas niepewnie trzymał stół w powietrzu. Lev przekreślił kamień, uderzając nim Abby i wrzucając ją do płynnej lawy. Następnie, kiwając się na boki pod ciężarem głazu, podszedł nad skraj przepaści i wrzucił go do jeziora.

– Właśnie to myślę o twoich pomysłach! – oświadczył.

Głęboko w dole Abby krzyknęła, a jej gniew wyrwał się zupełnie spod kontroli. Fajerwerki ognia wyskoczyły w górę i polizały sufit. Tymczasem Oz podkraść się bliżej i pchnął Leva w przepaść. Za spadającym kuzynem cisnął kamienie oraz kilka nadzwyczajnie archaicznych obelg dotyczących jego miłosnych preferencji. Potężna fala magmy podniosła się i pokryła Oza, który krzyknął, gdy jego skórzany strój zaczął skwierczeć.

W całej jaskini rozlegały się wystrzały, krzyki i brzęk tłuczonego szkła. Osoby towarzyszące członkom Zarządu nie zamierzały beczynnie stać i wszystkiemu się

przyglądać. Wzorem swoich panów zabrały się do dzieła wzajemnego mordowania.

Sealiah cofnęła się i poluzowała ostrza w pochwach. Ashmed strzepnął pyłki sadzy z garnituru i podszedł do niej.

– Cudownie, prawda? Zdaje się, że Beal znów jest górą.

– Tak myślisz?

Ashmed uśmiechnął się.

– Musimy o tym porozmawiać nad lampką szampana. Wchodząc, widziałem skrzynkę „Bollinger Vieille Vignes Françaises”. – Spojrzał ponad krwiożerczym tłumem. – A, jest wciąż w całości. Zgodzisz się na wspólną butelkę?

Przekrzywiła głowę.

– Która mogłaby tobie odmówić?

– Żadna. – Błysnął kolejnym uśmiechem i oddalił się.

Abby wdrapała się na skalną półkę. Jej blade ciało świeciło pomarańczowo od gorąca, oczy płonęły. Z uzbrojonych w pazury rąk kapłała trucizna, która dotknąwszy kamiennej powierzchni, syczała. To już nie była drobna Abigail, lecz gigantyczny, zionący płynnym ogniem i budzący lęk Abaddon Niszczyciel.

Poniżej, w roztopionym jeziorze szalała bestia... Już nie Lev, ale wąż zwany Lewiatanem. Uderzył skałę z siłą, od której zadrżała ziemia. Kamień wykruszył się pod Abaddonem i Niszczyciel z powrotem wpadł do roztopionego jeziora. Walczyli wokół eksplodującej i wrzącej lawy. Sealiah cofnęła się aż do najdalszej ściany. Nie miała zamiaru znaleźć się między dwoma najbardziej

fizycznie przerażającymi, choć jakby niedomagającymi psychicznie kuzynami. Obok niej pojawił się cień. Tak jak miała nadzieję, Uri zdołał wyrwać się na chwilę spod skrzydeł swojego nowego pana.

– Pani – wyszeptał.

W jego drżącym głosie usłyszała wszystko: całą tęsknotę. Jej serce zabiło mocniej, ale nie wystarczająco mocno, by rozpuścić lód.

– Mamy mało czasu – powiedziała. – Co knuje Pan Wszystkich Istot Skrzydlatych?

– Chodzi o Louisa. Wyczuł ślad jego mocy w mieście, gdzie mieszkają dzieci.

Czyżby Louis naprawdę żył? Komplikowało to nieco jej plany... A może stwarzało nowe możliwości?

– Jeśli Beal spróbuje się z nim skontaktować, zaproponuj, że to ty porozmawiasz z Louistem. Powiedz, że Kłamca jest zbyt niebezpieczny. Louis może jeszcze okazać się dla nas kluczowy.

Uri kiwnął głową. Jego cieniasta sylwetka poblądła.

– Wzywa mnie. Muszę...

Marzyła, by został dłużej, ale nawet te kilka wspólnych sekund było niebezpieczne, choć warte ryzyka.

Louis wrócił do gry? Jego obecność czyniła potyczkę jeszcze bardziej groźną i podniecającą.

Ashmed wrócił z butelką w rękę.

– Niestety, jest ciepła. Otworzymy na zewnątrz?

Złapała podane jej ramię. Razem ruszyli w stronę schodów, deptając po zakrwawionych i poszarpanych ciałach bardzo niemądrych śmiertelników.

ZNÓW KRÓLEM

Henry spoglądał na opierającego się o poręcz kuzyna. Aaron wyglądał tak posepnie, jakby przyciągał ukazujące się na horyzoncie czarne chmury.

Znajdowali się w *Akkadianie*, sterowcu Gilberta. Żeglowali wysoko nad wybrzeżem Afryki Północnej. Po jednej stronie mieli niebieskie wody z białymi bałwanami fal, po drugiej – złotą pobłyskującą pustynię, a w górze – przypominające kłębki bawełny cumulusy.

Aaron miał na sobie dżinsy, ciężkie buty, a także absurdalny kowbojski kapelusz z opaską ze skóry grzechotnika. Obok niego, oparty o barierkę, stał metalowy pręt, którego oba końce były ogryzione. Henry dołączył do niego i niedbale przechylił się przez poręcz.

– Wyglądasz, jakbyś połknął skunksa.

– Rada przemawia – odrzekł Aaron – ale ukrywając swoje prawdziwe intencje za kolejnymi warstwami znaczeń.

– Właśnie zacytowałeś krótką definicję polityki.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, iż polityka to sztuka zdobywania dowolnej rzeczy od dowolnej osoby za pomocą stwarzania iluzji kompromisu.

– To też jest dobra definicja – potwierdził Henry.

– Istnieje ich aż trzynaście. Chcesz usłyszeć pozostałe?

– Mam dość gierek. – Aaron splunął i patrzył, jak

ślina spada do wody. – Gdzie jest nasze miejsce? Między chmurami? Na ziemi? Czy w ogóle istnieje przestrzeń, którą możemy nazwać własną?

– Nie bądź taki ponury. – Henry podał mu chusteczkę, by mógł wytrzeć wąsy.

Ilu spośród nich po prostu odeszło pod wpływem takiego nastroju? Najbardziej podatni na wahania byli szczerzy, bezpośredni mężczyźni tacy jak Aaron. I jak Posejdon, który – być może najsilniejszy z nich wszystkich – zakończył życie, nurkując zbyt blisko atolu Bikini wiosną 1954 roku³⁶. Dziwne, ale proste charaktery zazwyczaj lubowały się w dramatycznych zakończeniach. Z tego powodu Henry uznawał za swój obowiązek robienie zamieszania. Niczym huragan zakłócał normalne funkcjonowanie rodziny, oczywiście samemu zachowując spokój w tym oku cyklonu. Jak inaczej ktokolwiek z nich mógłby znieść całe wieki nudy? Dlatego na myśl o Postach poczuł lekkie ukłucie zazdrości – ich pojawienie się okazało się najbardziej ekscytującą rzeczą, jaka zdarzyła się od dekad, a on nie miał z nim nic wspólnego. Odpowiedzialność w całości spadała na Audrey, chyba ostatnią osobę, którą mógłby określić mianem „zbuntowana”. Tym niemniej uwielbiał Eliota i Fionę. Przypominali mu, że nawet ich ród nie był zupełnie pozbawiony niewinności... Przynajmniej do czasu.

Ze szczytu sterowca zabrzmiał dźwięk srebrnego dzwonka.

– Chodźmy, lepiej mieć już z głowy całe to gadanie – powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Aarona. – A potem

³⁶ 1 marca 1954 roku na powierzchni rafy w północno-zachodniej części atolu Bikini zdetonowano bombę wodorową o kryptonimie Bravo - przyp. red.

możemy się upić w Maroku. .

Aaron się zaśmiał.

– Kolejna przygoda, stary wilczurze? – Sięgnął po żelazny szpikulec.

Przeszli wzdłuż łagodnie zagiętej burty statku na znajdującą się u samej góry platformę widokową. Gilbert nalegał, żeby spotkali się właśnie tutaj. „Właściwe miejsce” – tak to określił. Zadbał o skórzane kanapy i uginające się od jedzenia i picia stoły, by podczas szybowania między chmurami niczego im nie brakowało.

Powitał Aarona i Henry'ego, klepinięciem w plecy. Jego złote włosy i broda były splecione w równe warkocze. Ubrany był jak za dawnych czasów, w len i złoty płaszcz. Coś się jednak w nim zmieniło. Wydawał się bardziej ożywiony niż kiedykolwiek od czasu, jak stracił ukochaną kobietę i najlepszego przyjaciela. Czy ostatnie zdarzenia na nowo roznieciły iskry jego minionej królewskiej potęgi? Czy kuzyn Gilbert znów przemienił się w Gilgamesza?

– Jest wódka Stróm i kawior bielugi – oznajmił Gilbert.

– Male jajeczka. Co za posiłek dla mężczyzny – wymamrotał Aaron.

– Planujemy jechać potem do Maroka – powiedział Henry. – Dołączysz do nas?

Gilbert przechylił głowę.

– Tak. Dziś jestem gotowy na wszystko.

Aaron i Henry wymienili spojrzenia, obaj jednakowo zaskoczeni ochotą Gilberta na trochę rozrywki. Ostatni raz coś takiego zdarzyło się bardzo dawno temu. Aaron złapał Gilberta za ramię i obaj przesunęli się ku

stołom.

– W takim razie zacznijmy już teraz od wódki.

Henry nie poszedł za nimi. Niestety wciąż były poważne sprawy, z którymi musiał się zmierzyć na trzeźwo. Rozejrzał się po platformie. Widział już siedmiu członków Rady, więc mieli kworum.

Lucia miała na sobie jedwabną sukienkę, powiewającą na bryzie jak płatki misternej orchidei. Zajęła miejsce nieco z boku, trzymając na kolanach otwartą księgę, której kartki drżały na wietrze.

Przy krawędzi platformy ze skrzyżowanymi nogami siedział Cornelius. Staruszek przewidująco nie wziął z sobą żadnych papierów – wszystkie natychmiast zdmuchnąłby wiatr. Zamiast tego wybrał kilka przenośnych komputerów, które teraz otaczały go lukiem i jaśniały symulacjami, arkuszami kalkulacyjnymi i mapami gwiazd wykonanymi przez NASA.

Dwoje członków Rady, nieobecnych na pierwszym zebraniu dotyczącym rodzeństwa Postów, usadziło się obok siebie na kanapie. Dallas przybyła z Petersburga, gdzie stała na czele kwitnącego awangardowego przemysłu filmowego. Miała na sobie maleńki futrzany kapelusz i dopasowaną do niego minispódniczkę z nerek. Rozkoszna, ale również groźna, o czym przypomniała Henry'emu, uśmiechając się do niego, prezentując swoje dołeczki w policzkach i sprawiając, że jego tętno nagle przyspieszyło... i na chwilę zapomniał o wszystkim innym. Uniósł ręce.

– Ależ, madame, twój urok może zranić nieprzygotowanego.

Zaśmiała się, a jej śmiech przypominał dźwięk

kryształu.

Obok niej siedział Kino o skórze jak heban i tak nieprzeciętnym wzroście, że dorównywał Henry'emu, nawet nie podnosząc się z kanapy. By tu przybyć, musiał opuścić swoją rajską wyspę i wcale nie wyglądał na szczęśliwego z tego powodu. Na widok Henry'ego uchylił kapelusza i dwa razy zastukał laską w podłogę.

– Zaczniemy – zażądał. – Chciałbym dowiedzieć się więcej, tym bardziej że już i tak ominęła mnie część przedstawienia z udziałem Audrey i dzieci.

– Oczywiście – powiedziała Dallas, krzyżując długie nogi. – Lucia, co znalazłaś? Potrzebujesz pomocy z trudniejszymi słowami?

Lucia zdjęła okulary i uniosła spojrzenie znad książki.

– Właśnie kończę. „Pokonać” ma najwyraźniej kilka znaczeń.

Henry zerknął na nieszczęśliwego Roberta. Jego nowy kierowca siedział na sofie po drugiej stronie platformy. Wyglądał bardzo niepewnie, co oczywiście było zrozumiałe, biorąc pod uwagę to, jak brzmiał jego raport. Cóż, na tym przecież polegała jego praca. Na przekazywaniu wiadomości Radzie. Przetrwa to... lub nie.

Ale sprawy nie wyglądały aż tak prosto. Robert został wciągnięty w grę – Audrey bowiem miała talent do wykorzystywania podwładnych Henry'ego do własnych celów. Zabiła Welmanna, a z pomocą Fiony i jej nieświadomianego powabu uczyniła z Roberta pionek. Ilu jeszcze ludzi Henry będzie musiał poświęcić na rzecz Tej, Która Tnie Wszystko? Żał mu było chłopca. Posada bohatera nie należała do łatwych. Kiedy cała sprawa

wreszcie się skończy, da mu długi urlop.

Lucia zamknęła z hukiem tom *Pełnego słownika Sanswreta*³⁷ i rzuciła go na podłogę.

– Mówią prawdę. – Spojrzała nieprzyjaźnie na Roberta i poprawiła się na siedzeniu. – Drugie znaczenie słowa „pokonać” to „zwyciężyć przeciwnika sposobem innym niż fizyczny”.

– A więc postanowione – powiedział Henry, uderzając w dłonie. – Pokonali bestię za pomocą piosenki oraz bohaterskiego aktu życzliwości. Udało im się.

– Nie tak szybko. – Oczy Lucii zmieniły się w szparki. – Naszym pragnieniem było, żeby zabili tego starego potwora, a nie darowali mu wolność. Czy wiesz, ile kłopotu nam sprawił?

Henry wzruszył ramionami. Jego zdaniem odrobina kłopotów jeszcze nikomu nie zaszkodziła, ale wiedział, że nie należy takich rzeczy mówić na głos, gdy Lucia była rozdrażniona.

Cornelius chrząknął.

– Techniczne zwycięstwo. O włos. I to najcieńszy, mikroskopijny włos. – Zerknął na arkusze danych.

³⁷ Ten niezwykle zestaw słowników zawiera leksykon współczesnego języka angielskiego, ale również sporządzoną heroicznym wysiłkiem listę słów, które wyszły z użycia. Składają się na nią między innymi imiona zakazane jako obrażające bogów w czasach wczesnych egipskich dynastii, magiczne wyrażenia, od których wypowiadający je stawał w płomieniach. Oddzielny tom poświęcony jest słowom używanym przez plemię Utitów, całkowicie wybite przez Rzymian w 120 r. n.e. Zbiór ten powstał w VIII w. z inicjatywy dynastii Karolingów, ale później został spalony na rozkaz samego Karola Wielkiego, gdy ten został koronowany na cesarza. Jeden niekompletny zestaw przetrwał i w 1922 roku został ponownie wydany przez Hafterberry Brothers z Londynu. Wydrukowano wówczas nie więcej niż tuzin kopii tego składającego się z siedemdziesięciu dwóch tomów cyklu (V. Golden, *Golden przewodnik...*, *op.cit.*).

– Podobnie jak w wypadku poprzednich wyliczeń wszystko balansuje na cienkiej granicy. I zgadzam się z Lucią: zmanipulowali zamierzony przez nas cel próby.

Aaron wypił jednym haustem kieliszek wódki. Z poczerwieniałą twarzą, wciąż trzymając metalowy pręt w rękę, wystąpił do przodu.

– Największym osiągnięciem wojownika jest uczynienie z wroga sprzymierzeńca. To jasne, że dzieci przeszły próbę pomyślnie. A może stosujemy się do naszego prawa tylko wtedy, gdy to nam pasuje?

– Oczywiście, że zawsze pozostajemy jemu wierni – odrzekła Lucia uspokajającym tonem, jakby przemawiała do skruszonego dziecka. – Ale Fiona i Eliot nie są jeszcze członkami rodziny. W ich wypadku nie obowiązuje nas taka skrupulatność w egzekwowaniu naszych zasad.

Dallas wstała i wygładziła minispódniczkę.

– To ty manipulujesz teraz słowami – powiedziała do Lucii. – Dzieci wygrały. Boli cię to, bo chciałaś, żeby było inaczej.

Czy Henry dobrze słyszał? Czy naprawdę w tonie Dallas dało się wyczuć chęć otoczenia Fiony i Eliota ochroną? A może była to tylko instynktowna reakcja, by sprzeciwić się wszystkiemu, za czym opowiadała się siostra?

Kino wstał, prezentując cały swój imponujący wzrost.

– Nie. Lucia ma rację. Sytuacja jest niejednoznaczna. Nasze zasady nie dotyczą jeszcze tych dwojga. Czy tak powinno być, wyjaśnią dopiero trzy próby. – Kino zwrócił się do Aarona: – Pospieszyles się.

Aaron spojrział w oczy czarnoskórego kuzyna i zakręcił żelaznym szpikulcem tak, jakby to była pałeczka do zabawy.

– Zgadzam się – odezwał się Cornelius. – Moim zdaniem powinniśmy ich sądzić jak obcych dopóty, dopóki nie dowiodą, że jest inaczej.

Gilbert zaśmiał się, próbując rozluźnić rosnące napięcie.

– Zapominamy o zasadniczym fakcie. Dzieci są niewątpliwie częścią rodziny. Audrey jest naszą kuzynką i...

– Nie – powiedziała Lucia. – To właśnie jest kwestią sporną. Dopiero próby pokażą, czy dzieci należą do nas, czy do drugiej rodziny, czy może wreszcie są zwykłymi śmiertelnikami. Dopiero wtedy można będzie je sądzić zgodnie z naszymi prawami.

– Dokładnie – potwierdził Kino, krzyżując ramiona. Aaron ścisnął szpikulce tak mocno, że metal pękł.

Wiatr ucichł, jakby wstrzymał oddech.

– Dobrze – zgodził się Aaron. – Zdecydujemy więc, jak będzie wyglądać kolejna próba.

– Nie sądzę, byśmy już uzgodnili, jaki był wynik pierwszej – odparła Lucia.

Henry zobaczył, że Robert szykuje się, by wstać i powiedzieć coś w imieniu bliźniąt. Pokręcił więc lekko głową, gdy chłopiec na niego spojrział. Robert posłusznie siadł z powrotem na kanapie.

Dzielny młodzieniec. Ale głupi, jeśli naprawdę chciał zabrać głos. Henry nie miał zamiaru szukać następnego kierowcy. A poza tym kolejna uwaga jeszcze bardziej by ich teraz podzieliła, a on musiałby się mocniej

napracować, by rozmyć rysujące się coraz wyraźniej linie politycznego podziału.

– Proponuję głosowanie w tej sprawie – powiedział.

– Czy ktoś mnie poprze?

– Tak, srebrnousty – rzuciła Dallas, zanim Lucia zdążyła zaprotestować.

Jej siostra przekrzywiła głowę i spojrzała na Henry'ego.

– Świetne wycucie chwili – wyszeptła. – Dobrze więc. Głosuję na nie. Bliźnięta nie zrobiły tego, o co prosiliśmy.

Aaron prychnął.

– Udało im się. Tak głosuję.

– Nie zgadzam się. Nie wypełniły zadania tak, jak zostało ono określone – powiedział Kino ugodowym tonem, po czym zdjął kapelusz, przejechał dłonią po łysej głowie i skłonił się przepaszająco Aaronowi.

Zgromadzeni zwrócili oczy ku Corneliusowi. Ten machnął ręką w stronę komputerów i maszyny się wyłączyły.

– Muszę się wstrzymać. Równowaga jest tak delikatna, że nie można stwierdzić, jaka jest prawda.

Dallas zakołysała się lekko, jakby tańcząc do muzyki, którą tylko ona słyszała.

– Tak – powiedziała. – Dzieci zwyciężyły.

Dwa głosy przeciw, dwa głosy za. Remis. Na razie. Lucia westchnęła i spojrzała na Henry'ego.

– Chyba wiem, jak zagłosujesz.

W głowie Henry'ego zakłębiły się myśli. Z rozkoszą oszacowywał zmienne i stałe. Jego zamiarem nie było zwycięstwo czy przegrana, lecz przedłużenie zabawy

tak, by mógł czerpać z niej przyjemność jak najdłużej. Celowo wywoływał chaos.

– Dzień, w którym odgadniesz moje posunięcia, będzie moim ostatnim, droga Lucio. – Uśmiechnął się.

– Nie ja zdecyduję o losie dzieci. Również się wstrzymuję.

Na twarzy Lucii pojawiło się zaskoczenie... ale tylko na ułamek sekundy. Potem zastąpiło je zadowolenie.

Aaron otworzył usta. Wyglądał, jakby Henry zadał mu cios prosto w serce. Przynajmniej nikt się nie nudził.

– W takim razie... – Lucia obróciła się w stronę Gilberta z twarzą pojaśniałą od przekonania o zwycięstwie.

Gilberta bowiem wybrano do Rady w wyniku jej manipulacji. Sam Dawny Król był jednak wyjątkowo niechętny polityce. I jeśli w ogóle brał udział w głosowaniu, zawsze stawał po jej stronie. Ale Lucia w przeciwieństwie do Henry'ego nie zauważyła zmiany w Gilbercie... Teraz chrząknął, a na jego twarzy na moment zagościły zmartwienie i frustracja, a potem zdecydowanie, tak charakterystyczne dla niego sprzed tysiącleci, dla Gilgamesza, Pierwszego Króla. Wystąpił na środek platformy i wyprostował się na wietrze. Jego układające się do śmiechu zmarszczki zniknęły, a oblicze przybrało poważny wyraz.

– Nie zrobię tego. – Odwrócił się twarzą do Lucii.

– Nie poprę cię w tej sprawie. Muszę głosować tak, jak nakazuje mi serce. A ono mówi, że dzieci wygrają.

Na długą chwilę zapadła cisza, przerywana jedynie świstem wiatru. Lucia stała bez ruchu. Jej spojrzenie wolno podążyło ku Henry'emu. Wiedziała, że jego

dzisiejszy triumf wykraczał poza zwycięstwo w pojedynczym głosowaniu. Wreszcie odezwała się z głębokim westchnieniem:

– Niech więc tak będzie. W następnej kolejności powinniśmy się zająć drugą próbą dzieci. Musimy dokładnie sformułować polecenie i tym razem wymyślić jakieś trudniejsze zadanie.

Aaron uderzył szpikulcem o pokład, przebijając deski tekowe prawie na pół metra.

– Nie mam zamiaru przykładać do tego ręki. Wysłaliście dwoje dzieci, by posprzątały bałagan, który zrobiliście dawno temu, i jesteście rozczarowani, bo udało im się przeżyć.

– A było tak blisko... – wymruczała Lucia.

Aaron uniósł palec, uciszając ją. Błysk w jego oczach zapowiadał przemoc.

– Nie chcę mieć nic więcej wspólnego z tą wymianą kłamstw. – Odwrócił się i zaczął schodzić z platformy.

– Dokąd to?! – zawołała za nim Lucia. – Rada nie pozwoliła ci odejść.

– Dokąd? Tam, gdzie mogę pomóc moim krewnym – odpowiedział jej Aaron.

Zirytowana Lucia zacisnęła wargi i skinęła do Corneliusa.

– Niech w sprawozdaniu nie zabraknie informacji, że Aaron opuścił zebranie...

– Opuścił je w proteście – poprawiła ją Dallas, rzucając siostrze złośliwe spojrzenie.

– Tak, opuścił zebranie w proteście – zgodziła się Lucia. – Ale Rada wciąż ma kworum. Będziemy

kontynuować obrady nad drugą heroiczną próbą bliźniąt.

Gilbert przysunął się do Henry'ego.

– I po Maroku – szepnął.

– Nie tylko po Maroku – odpowiedział Henry równie cicho, patrząc na schodzącego pod pokład Aarona.

Co zrobią teraz Lucia i Aaron? Audrey tylko czeka, by zniszczyć Radę. I co z prawdziwym problemem, czyli dziećmi? Czy są tylko powiewem świeżości, czy może narzędziem do zniszczenia traktatu, który chronił ich przed klanem piekielnych? Faktycznie, sporo zmiennych, którymi można żonglować.

MALEŃKI BUNT

– I wtedy wyciągnęłam kolec – tłumaczyła Fiona, odtwarzając ruch przed Cee, która siedziała przy stole z szeroko otwartymi oczami. Dziewczyna znów czuła dreszcz emocji, na nowo przeżywając najbardziej niebezpieczny czyn, jakiego kiedykolwiek dokonała.

– Był naprawdę wielki. – Eliot rozłożył szeroko ramiona. – Nie mam pojęcia, jak taki szpikulec mógł utkwąć mu w łapie.

Babcia popijała herbatę i słuchała w milczeniu. W swojej relacji Fiona celowo pominęła szczury, gdyż to wymagałoby wyjaśnienia, jak udało im się poradzić z gryzoniami... Co z kolei wiązałoby się z opowiedzeniem o książce z piwnicy, skrzypcach i cudownych umiejętnościach Eliota. Wszystko to łamało reguły i na pewno wpakowałoby ich w tarapaty. A pomyślnie ukończona próba nie byłaby żadnym usprawiedliwieniem.

– Tacy dzielni. – Cee poklepała rękę Fiony. – Moje skarby. Po prostu nie mogę uwierzyć, że wysłali was tam.

Cee spojrzała na babcię, oczekując potwierdzenia słuszności swojego oburzenia, ale ta siedziała z tak beznamiętną miną, jakby ostatnia uwaga dotyczyła pogody.

– Nie ma się już co martwić – uspokoiła ją Fiona.

– Daliśmy radę.

– A potem? – zapytała babcia. – Czy ten gadający

krokodyl, Souhk, po prostu pozwolił ci wyciągnąć z siebie ten kawał metalu?

Nerwy Fiony napięły się jak postronki.

– Tak. Myśle, że bardzo chciał się go pozbyć.

Formalnie rzecz biorąc, nie kłamała. Ta wersja zdarzeń jednak pomijała kluczowy szczegół, jakim była muzyka Eliota, która uspokoiła gada. Eliot naprawdę uwielbiał swoje skrzypce i Fiona musiała przyznać, że miał talent, którego ona nie rozumiała. Poza tym ta nowa umiejętność brata okazała się przydatna i Fiona miała przeczucie, że również podczas dwóch pozostałych prób mogą z niej skorzystać. A jeśli babcia o wszystkim się dowie, z pewnością skonfiskuje instrument. Czy jednak próba ukrycia prawdy miała w ogóle sens? Babcia zawsze wyczuwała, kiedy nie mówili jej wszystkiego do końca. Fiona więc wstrzymała oddech i czekała, aż Audrey zażąda reszty historii. Ale ona milczała.

– Później zaczęliśmy rozmawiać – kontynuował opowieść Eliot. – Gad stwierdził, że jesteśmy bohaterami i że odczytuje znaki z przepływających śmieci, tak jak Cyganki wróżą z fusów.

Cee poruszyła się na krześle.

– Głupstwa – wymruczała.

Fionie wydało się dziwne, że Cee nie mogła w to uwierzyć, za to nie miała żadnych wątpliwości co do istnienia dwutonowego gadającego krokodyla.

– Czy wyrzóżył wam coś? – zapytała babcia.

– Stwierdził, że naszym przeznaczeniem są wielkie czyny.

– I okropne czyny – dodał Eliot.

– Chyba nie miał pewności – powiedziała Fiona –

czy przeżyjemy następne próby.

– Rozumiem. – Babcia sprawiała wrażenie roztargnionej. – Tak jak wskazywał Cornelius, sprawy wciąż są w równowadze. – Znów skupiła uwagę na Fionie.

– Czy powiedział coś jeszcze?

Fiona zerknęła na brata, który lekko pokręcił głową; tak lekko, że ledwo zauważyła ten gest.

– Mówił rzeczy bez sensu – odpowiedziała babci.

– Zdaje się, że używał języka, w którym rozmawiałaś z wujkiem Henrym w limuzynie.

I znów, to nie było kłamstwo, nie do końca. Tylko część prawdy i na dodatek przedstawiona w porządku niechronologicznym. Uzgodnili z Eliotem, że nie zdradzą tego, czego się dowiedzieli o rodzinie ich ojca. Babcia z takim trudem strzegła ich przed tamtymi. Poza tym bali się, że na liście reguł pojawiłaby się przynajmniej jedna nowa zasada.

Piekielni. Chronieni przez regułę 55 ledwie kojarzyli związane z tą nazwą odniesienia, ale podobnie jak w wypadku bogów i Boga znali dotyczące jej podstawowe fakty. Wiedzieli, że upadłe anioły – demony i diabły – stanowiły element powszechnie znanej mitologii zła.

Czy w to wierzyła? A gadające krokodyle? Rodzina nieśmiertelnych? Stał było już bardzo blisko do zaakceptowania upadłych aniołów w roli cioc i wujków. Ponadto te wiadomości pasowały do tego, co już wiedziała o swoich rodzicach. Doskonale pamiętała opowieść wujka Henry'ego o tym, jak spotkali się oni w Wenecji, zakochali się i z powodu waśni między rodzinami musieli uciekać. Ale co wydarzyło się potem? Wypadek na morzu? Oboje

zatonęli? A może zostali zamordowani przez krewnych, którzy nie mogli pozwolić na ich związek?

Powstrzymała dreszcz i spojrzała na babcię, znów spodziewając się żądania całej prawdy. Ale babcia stwierdziła tylko:

– Dobrze. A potem co się stało?

Co całkowicie zaskoczyło Fionę. Okłamała Audrey i uszło jej to na sucho? Jak to możliwe? Czy udało jej się oszukać babcię, gdyż sama stawiała się silniejsza? Jak pionek przemieniający się w inną figurę?

– Wynieśliśmy szpikulec na powierzchnię – wyjaśnił Eliot. – Sporo się nadźwigaliśmy i prawie zgubiliśmy drogę, ale ostatecznie wszystko się udało. Zdażyliśmy tuż przed upływem wyznaczonego czasu.

– A ten kawałek żelastwa zabrał z sobą pan Farmington? – zapytała Cee z rozczarowaniem w głosie.

– Jako dowód dla Rady – potwierdził Eliot. – Było na nim sporo krwi Souhka.

– Wykonaliśmy zadanie i nikogo nie musieliśmy zabić – dodała Fiona. – Czy to im wystarczy? Będziemy musieli przechodzić kolejne dwie próby?

Babcia pochyliła głowę, przez chwilę rozważając jej pytanie.

– Rada postanowi o tym i nas poinformuje.

– Ale mogłabyś zapytać – poprosiła Fiona. – Może nawet udałoby ci się ich przekonać.

– Świetny pomysł – dołączyła się do niej Cee.

Babcia zamknęła oczy w zamyśleniu, lecz po chwili znów je otworzyła. Na jej nieprzeniknionej twarzy pojawiła się ironia.

– Musicie przejść przez wszystkie trzy próby. To

one odkryją wasz charakter. – Jej brew się uniosła.

– Nawet te jego aspekty, z których nie zdawałam sobie sprawy.

Popatrzyła na Fionę i dziewczyna nagle zrozumiała, że babcia wykryła jej kłamstwa. Że wiedziała o wszystkim. Potem przeniosła wzrok na Eliota i chłopak też zbladł pod jej spojrzeniem. Ale siła woli Fiony na nowo się rozpalila. Następne próby mogą przyplącić życiem. Czy babcia naprawdę tego nie rozumiała? Przysunęła się więc do brata i w przyplywie odwagi zaczęła drżącym głosem:

– Reguły. – Chrzęknięta i pożałowała, że wcześniej nie zjadła kilku czekoladek. – Chciałabym o nich porozmawiać.

– O? – Ciężkie zainteresowania przemknęły po twarzy babci.

Cee złożyła dłonie i wstrzymała oddech.

– Tak – wyszeptał Eliot, ale zaraz dodał mocniejszym głosem: – Miały chronić nas przed rodziną, prawda? Sprawić, że będziemy... normalni. Ale krewni już o nas wiedzą, a my wiemy o nich. Więc jaki jest sens ich utrzymywania?

– Pomyśleliśmy – odezwała się Fiona – że może nadszedł czas, by je nieco rozluźnić.

– Więc waszym zdaniem taki jest cel reguł? Wasze bezpieczeństwo?

Po raz pierwszy w życiu Fiona zignorowała bezpośrednie pytanie babci i kontynuowała:

– Pomyśleliśmy, że nadszedł czas na zmiany.

– Robiliśmy wszystko, czego od nas chciałaś – Eliot mówił coraz bardziej poirytowanym głosem. – Udało

nam się też pomyślnie przejść pierwszą próbę. To chyba znaczy, że jesteśmy wystarczająco odpowiedzialni, by podejmować przynajmniej niektóre decyzje.

Fiona nie miała pewności, co oznaczał wyraz napięcia na twarzy babci. Wątpliwości? Za oknem chmury zakryły słońce i w pokoju zrobiło się zimno. Babcia przymknęła oczy, a jej rysy stężały.

– Wkraczacie w dorosłość, to prawda. Ale to oznacza tylko, że bardziej niż kiedykolwiek powinniście unikać rzeczy, które mogą was rozproszyć. Reguły pozostają w mocy. – Przecięła powietrze dłonią, podkreślając, że dyskusja się skończyła, a jej decyzja była ostateczna.

Fiona aż się zatrzęsła. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze rankiem broniła babci w rozmowie z Eliotem. Miała ochotę krzyknąć, że to nie jest sprawiedliwe. Ale z góry знаła odpowiedź na takie żale. Jedno zdanie: mało co w życiu jest sprawiedliwe.

Patrzyła więc babci prosto w oczy, pragnąc jakiegoś drobnego zwycięstwa... Choćby odwrócenia przez tamtą wzroku w pojedynku na spojrzenia.

To było jak spoglądanie na stalowoszare chmury z błyskającymi na horyzoncie błyskawicami. Jej szanse na to, by mogła wywrzeć jakiś wpływ na babcię, były podobne próbom powstrzymania nadchodzącej burzy.

Zadzwoił telefon, przerywając ich pojedynek, i Fiona odwróciła wzrok.

Cee podniosła słuchawkę.

– Halo? Tak? Oczywiście, chwileczkę.

Wyciągnęła telefon w stronę Fiony, potem Eliota, niepewna, które z nich powinno rozmawiać.

– Z pracy.

Babcia skinęła na wnuczkę.

– Skończ szybko. Czekamy na telefon od Rady.

Fiona głęboko westchnęła. Miała dosyć tego, że wciąż jej mówiono, co ma robić. Nie posłuchała więc i z wyniosłą miną ruszyła ku swojemu pokojowi, po drodze muskając leżące na stole kartki z zadaniem domowym i zrzucając je na podłogę. Musiała zjeść trochę czekolady, by jakoś dać sobie radę ze swoją rodziną. Wypracowania, praca, nawet babcia – nic już nie miało dla niej znaczenia. Dlaczego powinna wykonać zadania Rady, skoro i tak już na zawsze mieli zostać więźniami we własnym domu?

JUŻ WCALE NIE TAKI DOBRY CHŁOPIEC

Eliot sięgnął po słuchawkę.

Babcia popatrzyła za Fioną, która wymaszerowała z pokoju. Eliot spodziewał się, że każe jej wrócić i podnieść zrzucone kartki. Nic jednak nie powiedziała, choć jej wzrok zdawał się podążać za Fioną, przenikając przez ściany. Nawet na niego nie patrząc, powiedziała:

– Na co czekasz, Eliot? Telefon.

– Halo? – odezwał się do słuchawki.

W jego uszach zabrzmiał słodki głos Julie:

– Wszystko u ciebie w porządku? Ta ważna sprawa rodzinna?

– Już załatwione. – Przycisnęła słuchawkę do ucha, mając nadzieję, że babcia niczego nie usłyszy.

– To dobrze – powiedziała Julie. – Wyglądałeś na bardzo zdenerwowanego, kiedy wychodziłeś z restauracji. Martwiłam się o ciebie. I o Fionę oczywiście.

Jej słowa wzruszyły go. Po tym, jak wydostali się z kanałów i wrócili do domu, Cee zrobiła wokół nich sporo zamieszania, ale wszystko sprawiało wrażenie dobrze przećwiczonego, jakby już wcześniej wiedziała, że im się udało. Niepokój Julie zaś wydawał się autentyczny. Westchnęła w słuchawkę i Eliot wyobraził sobie jej oddech na swojej szyi. Poczul gęsią skórkę. Musiał uważać, by nie zdradzić się przed babcią, że rozmowa wcale nie dotyczy pracy. I co więcej – że to dzwoni

dziewczyna. Bo na to też istniała odpowiednia reguła.

Reguła 99: Zakaz używania elektronicznych urządzeń komunikacyjnych; w szczególności telefonów i faksów. Do wyjątków zalicza się: telefony na pogotowie, policję, do straży pożarnej oraz wykonane na polecenie kogoś dorosłego. Wszelkie rozmowy o charakterze prywatnym wynikające z tego, że dzwoni ktoś z zewnątrz, muszą być uprzejmie, ale bezzwłocznie kończone.

Nienawidził tych wszystkich ograniczeń, ale nie chciał, by złość wzięła w nim górę nad rozsądkiem. Musiał być mądrzejszy niż Fiona. Miał więcej do stracenia.

– Skoro wszystko załatwione – powiedziała Julie – to jutro normalnie przychodzicie do pracy? Wciąż jesteśmy umówieni na kawę?

Serce Eliota przyspieszyło.

– Jasne.

– Przez cały dzień o tym myślałam.

Babcia w końcu odwróciła się i zerknęła na telefon, co było wystarczającym ostrzeżeniem.

– Pewnie nie możesz rozmawiać – odezwała się Julie.

– Rozumiem, kończmy więc... na teraz.

– Dzięki – wyszeptał Eliot. – Jutro będziemy w pracy. Oczywiście.

– Do zobaczenia. – Rozłączyła się.

Eliot odłożył słuchawkę.

– To z pracy. Wyszliśmy w połowie zmiany, więc chcieli się dowiedzieć, czy wszystko u nas w porządku.

– To miłe – zauważyła Cee.

Babcia nic nie powiedziała i wbiła spojrzenie w telefon, jakby mogła podążyć wzrokiem po kablach i zobaczyć Julie po ich drugiej stronie.

– Kolacja za godzinę – oznajmiła. – Powiedz siostrze, oczywiście jeśli będzie chciała do nas dołączyć. – Wyszła do swojego gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Eliot odetchnął z ulgą.

Cee położyła drżącą dłoń na jego ręce.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – szepnęła. – Może coś wyznać?

Chłopak wiedział, że mógł jej zaufać, ale pokręcił głową. Nie chciał obciążać jej swoimi sekretami. Tylko wpakowałby ją w kłopoty, gdyby to się wydało. Bo babcia zawsze dowiadywała się o wszystkim.

Cee cofnęła się, wzdychając.

– Co powiesz na małe przyjęcie, żeby uczcić wasz sukces? Możemy kupić ciasto w Różowym Króliku.

Eliot zerknął na korytarz i zamknięte drzwi do pokoju Fiony, wiedząc, że dziś nie ma szans na żadne świętowanie.

– Brzmi świetnie. Lepiej pójde się umyć.

Schylił się i podniósł rozrzucone przez Fionę kartki: ćwiczenia na logarytmy oraz wypracowanie o leżącym w Afryce Południowej Kapsztadzie. Zwykle dostawali dwa razy więcej zadań. Babcia była dziś łaskawa.

Cee zacisnęła dłoń i wyciągnęła ją w stronę Eliota. Wyglądała, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko uśmiechnęła się drżącymi wargami.

– Idź więc, skarbie. Umyj się. Jedzenie będzie wkrótce gotowe.

Cały świat Eliota przewrócił się do góry nogami i tylko Cee jak zawsze chciała mu jakoś pomóc. Prababcia była już trochę zdziecinniała, ale wciąż darzyła go dawnym uczuciem. Podreptała do kuchni, a on nie mógł pozbyć się wrażenia, że nie do końca należała do rodziny. Zachowywała się inaczej niż cała jej reszta.

Sięgnął po swój płócienny plecak i pomaszerował ku drzwiom do pokoju siostry. Zapukał delikatnie.

– Fiona? – wyszeptał.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Wsunął więc przez szparę w progu kartki z jej zadaniem i poszedł do siebie.

Zamknął za sobą drzwi i przekreślił klucz w zamku. Delikatny mechanizm zaskrzypiał. Nigdy wcześniej go nie używał, gdyż nie miał tajemnic, które musiał trzymać w ukryciu.

Rzucił kartki ze swoją pracą domową na biurko. Zachowywał się jak dobry, posłuszny chłopiec. Ukochany prawnusio. Nie znosił tego.

Na dole, w salonie zezłościł się równie mocno jak Fiona, a może nawet bardziej, tyle że nie okazywał tego. Jaki miałyby to sens? Nikt nie mógł przeciwstawić się babci. On jednak wybierał inne sposoby buntu. Cichsze, ale bardziej efektywne.

Dzięki nauce historii wiedział, że powstania przygotowywane w podziemiu mogą prowadzić do wielkich rewolucji... obalenia imperiów. Począwszy od dzisiejszego wieczoru, Eliot miał zamiar robić właśnie to – organizować osobistą rewoltę przeciw rodzinie. Pozostanie dobrym chłopcem nie wchodziło w grę, nie po tym wszystkim, co zdarzyło się od czasu jego piętnastych urodzin.

Położył plecak na łóżku, ściągnął obie poduszki i usiadł na podłodze obok przewodu wentylacyjnego.

– Fiona? – wyszeptał w kratkę.

Cisza. Jeśli będzie trzeba, będzie tak siedział do rana.

Ledwie godzinę wcześniej byli tacy szczęśliwi. Wydostali się z kanałów, przekazali Robertowi dowód pokonania Souhka i opowiedzieli, jak dokładnie tego dokonali. Myśleli, że wygrali. Ale to znaczyło tylko, że mieli znów stawić czoło podobnym wyzwaniom podczas drugiej i trzeciej próby. A nawet jeśli przejdą je wszystkie pomyślnie? Czy zostaną przyjęci do rodziny? I czy nie będzie to oznaczać nowych reguł i ograniczeń?

Miał powyżej uszu tego, że wciąż nim dyrygowano. Pogrzebał w plecaku i dotknął schowanych w kaloszu skrzypiec. Struny zawibrowały w rytmie pulsu w jego palcach – wyraźnie to wyczuł, choć nie usłyszał żadnego dźwięku. Nagle na myśl o niezwykle wrażliwym słuchu babci cofnął palce.

Wyciągnął *Mythica improbiba* i przejechał dłonią po jej szorstkiej skórzanej oprawie. Fiona nalegała, by ukrył ją w piwnicy, ale on tylko udał, że to robi, by uniknąć kłótni. Czuł, jak ta zakazana księga w niejasny sposób go przyciąga.

Otworzył ją na przypadkowej stronie i popatrzył na starożytny szkic przedstawiający mechaniczną sferę z orbitującymi planetami, księżycami, gwiazdami i kometami. W środku konstrukcji siedział w kucki mężczyzna i wszystko obserwował. Z boku rysunku, na marginesie widniały zapiski po grecku³⁸. Wyglądały

³⁸Sfera ciał niebieskich opisywana jest jako jeden z cudów starożytnego świata. Podobno została prawie ukończona przez Archimedesesa i jego

niesamowicie, ale dla Eliota nic nie znaczyły.

Nagle wydało mu się, że ktoś go obserwuje. Podniósł wzrok, zaczął uważnie nasłuchiwać i przyjrzał się szparze u dołu drzwi wejściowych. Cienie pozostały nieruchome. Nikogo tam nie było.

Cóż, nawet jeśli ktoś by teraz wszedł do pokoju Eliota, on czytał książkę. To wszystko. Po zamknięciu tom wyglądałby jak każdy inny z tysięcy, jakie stały na jego półkach. Przerzucił kartki. Nie były papierowe, lecz pergaminowe, wykonane z niezwykle cienkiej cielejącej skóry.

Zatrzymał wzrok na stronie z zapisanym w języku średnioangielskim legendą o bogu morza Posejdonie i grupie wikingów. Posejdon poprowadził wikingów przez Atlantycką do Nowego Świata, zupełnie jak działo się w jednym z marzeń Eliota. Przygody i potyczki, syreny, morskie węże, sztormy i indyjskie księżniczki³⁹. Najbardziej intrygujący był malutki rysunek Posejdona ciągnącego na swoim wodnym rydwaniu długą łódź wikingów poprzez wysokie fale. Szkic nie był zbyt szczegółowy, ale rzeźbiona twarz i intensywne spojrzenie boga przypominały Eliotowi rysy wujka Henry'ego i babci. Oraz własne.

nieznanego z imienia pomocnika w ostatnich trzydziestu latach życia mistrza. Według legendy za jej pomocą można było przewidywać zaćmienia Słońca, nadlatujące komety, a nawet trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów i upadki imperiów (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. V, *Mity podstawowe*, cz. II, *op.cit.*).

³⁹ Posejdon i Odyn pojawiają się po tym, jak wikingowie składają odpowiednie ofiary. Obydwaj są pijani i Odyn traci przytomność, ale Posejdon dołącza do grupy. To pierwsza legenda z okresu późnoklasycznego, w której bogowie należący do różnych panteonów pojawiają się razem. Źródło: odręczne notatki w *Mythica improbiba* znane pod nazwą *Pieśń wojenna Posejdona i Yorika Zakrwawionej Brody*.

Czuł jakąś wspólnotę z osobą na rysunku, jakieś powiązanie z dawnymi czasami i odległymi miejscami. Na jedno uderzenie serca uwierzył, że kiedyś naprawdę istnieli bogowie i boginie, a ich krew, choć bardzo rozrzedzona, krążyła w jego żyłach.

Przeglądał książkę dalej. Co naprawdę oznaczało zostanie częścią rodziny? Nie był tego pewien. Ale miał głębokie przekonanie, że mógłby się stać kimś więcej niż pionkiem. I co z rodziną ojca?

Przekreślił kartkę i jakby w odpowiedzi na swoje myśli zobaczył drzeworyt przedstawiający diabła dręczącego średniowiecznych chłopów ogniem i widłami. Rysunek aż odrzucił Eliota. Nie mógł być spokrewniony z kimś takim. Jego palce jednak nieświadomie zaczęły błądzić po nietoperzych skrzydłach, rogach i kolczastym ogonie, w zafascynowaniu niewątpliwą potęgą istoty.

Był pewien, że nikt nigdy nie nazwał diabła dobrym chłopcem.

PIOSENKA JULIE

Eliot zaczerpnął głęboko powietrze, a razem z nim zapach świeżo wyciśniętych marchwi i pomarańczy oraz goździkowych papierosów.

Próbował czytać menu Różowego Królika, ale litery skakały mu przed oczami nadwreżonymi poprzedniego wieczoru przeglądaniem mikroskopijnych liter w opowieści o zaginionej dziewczicy⁴⁰. Zamrugał i popatrzył na siedzącą naprzeciwko Julie.

Wpadające przez okno w dachu promienie słońca sprawiały, że jasne włosy dziewczyny wyglądała jak złota aureola, a jej niebieska letnia sukienka wydawała się kusząco przezroczysta.

– Na co patrzysz? – zapytała Julie.

Eliot odwrócił wzrok.

– Na scenę – skłamał i kiwnął głową w kierunku

⁴⁰ Drobnym drukiem tego fragmentu wydania *Mythica improbiba* przysłoniła plama o starożytnym pochodzeniu. Kilka słów dało się jednak odczytać po naświetlaniu ultrafioletem, co wystarczyło, by zrekonstruować opowieść o zaginionej dziewczicy, w której bóg oszust, Loki Laufeyjanson, i święty Włodzimierz Światosławowicz I Wielki starają się o względy tej samej dziewczyny. Ta mieszanka pogańskiej i chrześcijańskiej mitologii została ochrzczona (o, ironio) w 1230 roku przez papieską inkwizycję mianem herezji chimery. Autora ukarano noszeniem do końca życia żółtego krzyża, oczywiście pod warunkiem odwołania swoich poglądów. W przeciwnym razie miał zostać spalony na stosie razem ze wszystkimi egzemplarzami swojego dzieła (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. V, *Mity podstawowe*, cz. II, *op.cit.*).

środku pomieszczenia. – Pewnie mieli tu wczoraj dużą imprezę.

Różowy Królik organizował każdego piątku muzyczne wieczory, na które ściągali lokalni artyści, hipisi i koneserzy warzonego w barze piwa. Na scenie znajdowały się skórzane bębny i dwie gitary. Jedną z nich stroił barman. Mężczyzna zagrał akord, a Eliot przyglądał się, jak chwycił instrument – podobnie i jednocześnie inaczej niż skrzypce. Potem barman odłożył gitarę i wrócił do pracy.

Julie też spojrzała na scenę, stwarzając Eliotowi sposobność, by mógł podziwiać zarys jej szyi i szczupłych ramion. Wyglądała jak rzeźba Michała Anioła. Miała takie same doskonale proporcje i nieskazitelną gładkość. Wyobraził sobie swoją dłoń gładzącą jej skórę i serce zaczęło mu bić szybciej.

Pojawiła się kelnerka, blokując światło i zaskakując zamyślonego Eliota.

– Poproszę o Mleczko Wschodzącego Słońca.

Napój zawierał miód, imbir oraz sok z pomarańczy i marchwi. Eliot bardzo go lubił, ale nadawał się raczej dla dzieci i zupełnie nie pasował do spotkania z najpiękniejszą dziewczyną w całej Del Sombrze. Dlaczego zawsze musiał robić najbardziej żalosalną rzecz pod słońcem? Julie jednak chyba niczego nie zauważyła. Zerknęła na ostatnią stronę menu, gdzie umieszczono alkohole.

– Zostało wam trochę piwa Biały Królik?

Kelnerka zacisnęła usta i skrzyżowała ręce na piersiach, nawet nie pytając o dowód pełnoletności.

– Żartowałam. – Julie błysnęła jednym ze swoich stuwatowych uśmiechów i kelnerka nieco się rozluźniła. –

Poproszę kawę. Tę z Sumatry, jeśli można.

Oczywiście. Eliot powinien o tym pomyśleć. Kawa, przecież wyszli na kawę.

– Więc... opowiedz mi o sobie, Eliocie Poście. – Julie nachyliła się nad stolikiem.

Co mógłby powiedzieć? Jego historia brzmiałaby jak bełkot szaleńca. *Widzisz, Julie, całe życie spędziłem odizolowany od świata, pod opieką babci i prababci. Niektórzy moi krewni myślą, że są, cóż, bogami i boginiami. A to może jeszcze okazać się prawdą. Natomiast członkowie rodziny mojego ojca są chyba upadłymi aniołami. Najdziwniejsze jest to, że razem z siostrą przechodzimy właśnie serię prób, które mają zdecydować, do której rodziny należymy, czy w ogóle do którejś należymy i czy zasługujemy na to, by... żyć.*

– Moje życie jest zupełnie zwyczajne i nudne – powiedział. – Sama wiesz, wypracowania, więcej domowych reguł niż cząsteczek w powietrzu, a tę niewielką ilość wolnego czasu, jaka mi zostaje, jeszcze do niedawna spędzałem, myjąc naczynia.

Prychnęła.

– Jakbym siebie słyszała. Dorzuciłabym jeszcze tylko kilku niezrównoważonych braci i macochę jak z horrorów. – Uśmiech znikł z jej twarzy. Przejechała dłonią po przedramieniu.

Nawet Eliot, zazwyczaj beznadziejny w odczytywaniu zachowania innych, dostrzegł, że dziewczyna odkryła przed nim prawdziwy i poważny problem. Chciał zapytać o jej rodzinę i o to, czy mógłby jej jakoś pomóc, ale wydało mu się to głupie. Dlaczego Julie miałaby mu ufać? Przecież dopiero go poznała. Może

jednak tak bardzo potrzebowała jego pomocy, że nie miało znaczenia, jak długo się znają? Gdyby tylko mógł porozmawiać z nią normalnie, zamiast wciąż roztrząsać, co lub w jaki sposób powinien powiedzieć, by nie wyjść na idiotę...

– Możesz to wszystko mi opowiedzieć – wyszeptał.

– Naprawdę wszystko. Będę słuchał uważnie.

Uśmiech Julie znów się pojawił, tym razem jako osłona przed niezręcznymi pytaniami. Jej usta zdrząły.

– Chciałabym tylko... – Jej ręce przesunęły się do przodu, jakby zamierzały sięgnąć na drugą stronę stołu, ale zatrzymały się i po chwili wycofały.

Eliot nie miał pojęcia, jakich użyć słów, by mu zaufała. Co zrobić? Przytoczyć jakieś fakty z encyklopedii czy oszołomić ją rzadkim medycznym słownictwem? Ale był przecież jeszcze inny sposób komunikacji. Tuż przed jego oczami. Świeżo nastrojona gitara na scenie.

– Chciałbym coś dla ciebie zrobić. Zaczekaj chwilkę.

Julie rozejrzała się, podążając za jego wzrokiem, zdezorientowana, jakby nie mogła zrozumieć puenty dowcipu.

– Jasne. Co takiego?

– Cierpliwości.

Eliot wstał i pospieszył na scenę, zanim mogły go dopaść wątpliwości i obezwładnić onieśmienie. Sytuacja przypominała scenę z opowieści zagubionej dziewicy lub z jednego z jego marzeń na jawie, w którym zdobywał serce ślicznej dziewczyny za pomocą serenady. Tyle że to działa się naprawdę.

Nagle spanikował, myśląc, że zrobi z siebie idiotę.

Zaczął mu się zbierać na wymioty. Ale teraz już nie mógł się wycofać. Nikt jeszcze nie zdobył ręki czy serca młodej damy, wycofując się... Przynajmniej nikt w książkach, które Eliot czytał.

Usiadł na stołku i sięgnął po gitarę. Powstrzymał odruch, by położyć ją płasko jak skrzypce. Zamiast tego umieścił ją pionowo na kolanach. Naśladowując wcześniejsze zachowanie barmana, złapał za gryf. Przejechał palcami po stalowych strunach, wolno i równo. Ale dźwięki sprawiały wrażenie przypadkowych, jak wierzące się dziecko pozostające zupełnie poza jego kontrolą.

Klienci Różowego Królika podnieśli głowy. Barman i kelnerka popatrzyli na niego gniewnie, a twarz Julie wykrzywiła się, jakby dziewczyna patrzyła na puszczonego w zwolnionym tempie film ze zderzającymi się samochodami.

Eliot poczerwieniał. Kropelki potu pokryły jego szyję i ręce. Świetnie. Spocone dłonie. Nie ułatwią mu utrzymania kontroli nad strunami. Spojrzał na swoje palce i nagle jego rozkojarzony wzrok nabrał ostrości. Uda mu się... Tak jak udało się ze skrzypcami.

Ale zanim wziął do ręki Jutrzenkę, miał okazję przyjrzeć się, jak Louis odgrywa całą piosenkę. Tym razem widział tylko, jak barman zagrał kilka akordów.

Dopasował palce do progów na gryfie i jeszcze raz uderzył w struny. Dźwięk wcale się nie poprawił i wciąż brzmiał jak pierwsze próby gitarzysty amatora. Zniecierpliwienie klientów wzrosło i stało się tak wyczuwalne, że po jego skórze przeszły ciarki. Kątem oka dostrzegł, jak barman zwinął w kulkę ścierkę i ruszył w jego stronę. Nie odważył się spojrzeć w stronę Julie, ale

wiedział, że ta zastanawia się, co też jej przyszło do głowy, żeby w ogóle zadawać się z takim dziwakiem... I prawdopodobnie właśnie usiłuje się wymknąć z kawiarni.

Jego palce były jak z drewna, mięśnie – z galarety, a z umysłu uciekły wszelkie myśli. W jaki sposób udało mu się coś kiedyś zagrać? Czy w ogóle wcześniej grał, czy może tylko o tym marzył?

Nie. Naprawdę grał. Potrafił to zrobić. I jeszcze zrobi.

Ludzie wokół niego znikli, razem z nimi scena i stoliki. Był tylko on, gitara i gdzieś bardzo daleko w mroku zupełnie inna publiczność, która nasłuchiwała i czekała z niecierpliwością na jego muzykę. Obserwowały go gwiazdy i cienie. Cały wszechświat wstrzymał oddech. Jedna dobra nuta. Tylko jedna. Początek. Tego potrzebował.

Palec wskazujący docisnął strunę, a kciuk uderzył. Rozległ się czysty i doskonały dźwięk, w który Eliot przelał całego siebie. Nuta popłynęła w ciemność, kilka razy odbiła się i wreszcie echem powróciła do niego, a razem z nią przyplęnęło poczucie przestrzeni i czasu, rozległych i pustych korytarzy losu rozciągających się w każdą stronę od centralnego punktu, w którym znajdował się Eliot.

Zagrał znowu. Dźwięki popłynęły gładko i bez wysiłku, układając się w pierwszą melodię, jakiej się nauczył – dziecięcą piosenkę *Wrzawa śmiertelnych*. W jego wyobraźni dołączył do niego chór dzieci:

***Kręć się szybko wokół słupa.
Wkrótce minie na tańce ochota.
Starość przyjdzie, skóra sucha.***

Proch i ziab wszystko omota.

Ręce Eliota zaczęły się poruszać szybciej, formując akordy, improwizując i wzbogacając melodię. Muzyka wibrowała w jego całym ciele, przechodząc z niego na drewnianą estradę i dalej na publiczność. Podniósł powieki i rozejrzał się. Barman stał tuż przy scenie, nieruchomy i z półotwartymi ustami. Zafascynowani klienci zaś odwrócili się ku Eliotowi.

Julie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Kiedy o niej pomyślał, dodał do melodii nową frazę. Nuty stały się lżejsze i przypominały jej śpiewny południowy akcent. Promienie słońca wpadające przez okno w dachu zabarwiły się na ciepły różowy kolor.

Eliot patrzył dziewczynie prosto w oczy. Jej całe wnętrze otworzyło się przed nim i potrafił odczytać je z taką samą łatwością jak nuty w *Mythica improbiba*. Widział słodycz i doskonałość... Ale tylko na powierzchni. Głębiej znajdowało się coś więcej: mrok, smutek i ból.

Przeszedł do skali minorowej i odnalazł nową frazę, która wylewała się z serca Julie i biegła wprost do niego. Była zupełnym przeciwieństwem dziecięcej piosenki, składała się z akordów pełnych niepokoju i tak niskich, że nie tyle się je słyszało, ile czuło.

W piosence tej aż krzyczało pragnienie uwolnienia się od bólu. Nuty drżały i biegły razem. Eliot poczuł ukłucia w ramieniu, ale powstrzymał się od podrapania. Ciągnął melodię, podążając po spirali tragedii i żalu pośród coraz mroczniejszych cieni, aż wreszcie muzyka zamarła w jednym uderzeniu tętna, a nuty rozmyły się w nicość, oddając dźwięk złamanego młodego silnego serca.

Przez okna na suficie przemknęły cienie. Nad

dachem rozległy się grzmoty. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na te hałasy. Wszystkie oczy na widowni połykiwały wilgocia. Po twarzy Julie płynęły łzy.

Ale piosenka dziewczyny nie mogła skończyć się w ten sposób, zostawiając wrażenie, jakby umarła. Eliot nie mógł na to pozwolić. To on kontrolował muzykę, a nie odwrotnie. Jego palce odwróciły ostatnie ruchy i znów zabrzmiało uderzenie serca, z początku słabe, ale później mocniejsze, gładko przechodzące do nut minorowych za pomocą skomplikowanych chwytów, od których niemal złapał go kurcz w ręce, i wreszcie kończące się słodyczą, lekkością i niewinnym szczęściem, od jakich zaczął cały utwór.

Julie mrugnęła i otarła łzy. Uśmiechnęła się, choć tym razem nie była to stuwatowa mina, którą zdawała się prezentować na zawołanie. Tym razem wyglądała prawdziwie. Nie czarowała, po prostu okazała radość. Patrzyła wprost na Eliota, który zakończył melodię ozdobnikiem brzmiącym jak... nadzieja.

Światło wpadające przez okna pojaśniało, a świat wokół znów wrócił do normalności. Eliot położył dłoń na stalowych strunach, by uspokoić ich niecierpliwe wibracje.

Klienci klaskali, stukali stopami o podłogę, aż wreszcie wstali i rozległy się autentyczne owacje⁴¹. Eliot nigdy wcześniej nie dostał oklasków za cokolwiek. Sprawilo mu to radość niemal większą niż tworzenie

⁴¹ Wielu spośród ocalałych z pożaru Del Sombry wspominało potem publiczny występ Eliota Posta sprzed kilku dni jako doświadczenie, które ich odmieniło. Jego gra nie cechowała się najwyższą techniczną biegłością, ale wszyscy zgadzali się, że jej wyjątkowość polegała na muzyce płynącej prosto z serca. Ktoś powiedział: „To brzmiało, jakby razem z nim śpiewały anioły” (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XI, *Mitologia rodziny Postów*, op.cit.).

muzyki. Niemal.

Mógłby tam zostać już do końca dnia i grać dla nich, tak by w zamian okazywali mu swoje uznanie. Julie jednak nie klaskała. Stała i patrzyła w niego uważnie i z fascynacją, ale też jakby z przestachem. Przywołała go ruchem ręki. Eliot zrozumiał, że czekały go sprawy ważniejsze od pochlebstw nieznamym.

Odłożył gitarę. Barman klepnął go po plecach i powiedział, że może tu grać, kiedy tylko zechce. Eliot wymamrotał podziękowania i podszedł do Julie.

Objęła go, ściskając mocno, aż poczuł wilgoć jej łez na ramieniu. Pociągnęła nosem, otarła twarz o jego koszulę i odsunęła się, by na niego spojrzeć. Przez chwilę sprawiała wrażenie małej dziewczynki. Wyglądała na tak wdzięczną, jakby nikt nigdy niczego jej nie podarował.

– Czy to było dla mnie?

– To twoja piosenka – wyszeptał Eliot.

Zadrżała.

– To spotkanie miało mieć zupełnie inny przebieg.

– Jej głos brzmiał inaczej. Wciąż obecny był w nim południowy akcent, ale już bez pocukrzonej gładkości. Odwróciła wzrok. – Nie miałeś mnie w ten sposób... Nie mogę tego zrobić. – Cofnęła się o krok i odwróciła w stronę kelnerki. – Zamówione przez nas napoje będą na wynos, dobrze? – poprosiła.

– Myślałem, że porozmawiamy – powiedział Eliot.

Julie wyprostowała się, mrugnęła i wygładziła sukienkę. Zmieszanie wykrzywiło jej twarz, ale szybko zamieniło się w maskę determinacji.

– Przerwa na kawę się skończyła, Post. Wracamy do pracy. – Poszła w stronę wyjścia.

Eliot nie do końca rozumiał, co się właśnie stało. Czy czymś ją obraził? Jak to możliwe, że wszystko psuje? Nawet te rzeczy, w których jest dobry. Nawet muzykę.

Wyciągnął pożyczone od Fiony pieniądze, zostawiając na stoliku tyle, by wystarczyło na zapłatę za napoje i napiwek, i pobiegł za Julie. Dogonił ją w drzwiach. Odwróciła się do niego na pięcie.

– Nie – powiedziała. Jej zacięte rysy trochę się rozluźniły i spróbowała, choć bezskutecznie, się uśmiechnąć. – Lubię cię, ale nie mogę ci tego zrobić... Nie dziś.

Wyszła na zewnątrz.

Czego nie mogła mu zrobić? Nie rozumiał jej jeszcze bardziej niż Fiony. Poszedł za nią i zobaczył, że znieruchomiała jak rzeźba stała teraz na chodniku. Na środku ulicy zatrzymało się też kilka samochodów. Na liniach telefonicznych i drutach wysokiego napięcia siedziały kruki. Było ich tak dużo, że kable ugiwały się pod ich ciężarem. Inne ptaki stały na chodniku i ulicy, bijąc skrzydłami, najwyraźniej zdezorientowane po tym, jak chwilę temu próbowały wlecieć do środka Różowego Królika. Były ich tu setki.

Eliot złapał rękę Julie i zrobił krok do tyłu, ciągnąc ją za sobą. Wciąż dobrze pamiętał, jak kanałowe szczury próbowały zjeść jego i Fionę.

Wszystkie kruki odwróciły się i wskazały na niego dziobami. Krakały i machały skrzydłami, ale zostały na miejscu. Eliot nie drgnął, przestraszony, że wzbiją się w powietrze i stamtąd ich zaatakują. Ale ptaki nie ruszyły się. Wyglądały, jakby były mu brawo.

CIĘCIE

Fiona zmusiła się do uśmiechu, wskazując parze klientów najlepszy stolik „U Ringo”. Na ich pytanie o dania dnia odpowiedziała, że najlepsze są pulpety.

Zajmując się tym, miała wrażenie, że ktoś przyczepił do niej sznurki i pociąga za nie, kontrolując jej każdy ruch. Nie było w tym nic nowego. Przez piętnaście lat odgrywała rolę kukielki w ręku babci i posłusznie robiła wszystko, co ta chciała. A teraz stała się kukielką rodziny i skakała, jak tylko któryś z jej członków szarpnął za żyłkę. Fiona Marionetka – tak powinna się nazywać.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że babcia odmówiła choćby poproszenia Rady o zrezygnowanie z dalszych prób. Zrozumiała, że od tej chwili może liczyć wyłącznie na siebie... i, cóż, na Eliota, który jeszcze nigdy jej nie zawiódł. Ale teraz brata pochłaniały dwie nowe rzeczy w jego życiu: te głupie skrzypce i szefowa restauracji Julie Marks, która porwała go zaraz po tym, jak razem z Fioną wszedł do pizzerii. „Przerwa na kawę”, usłyszeli, zanim oplukał choćby jeden talerz, po czym Julie zarządziła słodkim głosem, że Johnny zajmie się brudnymi naczyniami (co, należy przyznać, stało się o wiele łatwiejsze, odkąd mieli kolosalną zmywarkę, ale nadal należało do obowiązków Eliota). A potem kazała Fionie zastąpić siebie jako hostessę witającą klientów.

Powinna wybrać Lindę. Fiona nie zносиła

rozmawiać z ludźmi i na pewno nie przychodziło jej to ani łatwo, ani naturalnie. Linda nie powiedziała nawet słowa, ale z jej nieustannych złych spojrzeń było jasne, co myślała o awansie Fiony. W jaki sposób Julie udawało się rządzić nimi tak bezwzględnie i jednocześnie wciąż być miłą? To chyba najbardziej irytowało Fionę. Południowy akcent, natychmiastowy uśmiech – pewnie zawsze dostaje to, czego chce.

Fiona usiadła za kasą, czekając na kolejnych klientów i przygotowując się do tego, by na zawołanie stać się uroczą. Jak Eliot mógł tak po prostu zniknąć? Kolejna próba mogła się zacząć w każdej chwili.

Sięgnęła do torby z książkami po czekoladkę. Wyciągnęła trufle i przez moment podziwiała otaczającą ją warstwę pokruszonych orzechów laskowych. Ugryzła kęs i poczuła na języku smak kremu kawowego i drobinek lawendy. Kontrast między jedwabistą gładkością i ziarnistością był cudownie zaskakujący. Fionę przebiegł dreszcz rozkoszy. A potem pochłonęła resztę czekoladki. Z boku wyjrzała Linda... Pewnie znów chciała obdarzyć ją jednym ze swoich antypatycznych spojrzeń. Ale Fiona miała już po wyżej uszu obwiniania za decyzję Julie, więc wbiła w nią wzrok pełen nienawiści. Druga kelnerka zbladła i spuściła powieki.

– Johnny nie nadąża z zamówieniami – powiedziała.

– Klienci zaczynają się skarżyć... trochę. – Natychmiast zmyła się z powrotem do jadalni.

Fiona zawstydzila się. Dlaczego była na wszystkich taka zła? Zerknęła do torby i znajdującego się w środku pudełka z czekoladkami. Czy to z powodu tego całego

cukru? Dopiero teraz dotarło do niej znaczenie słów Lindy. Johnny zawsze świetnie sobie radził z zamówieniami. Może ta nowa zmywarka wybuchła?

Fiona pomaszzerowała do jadalni, prosząc po drodze Lindę, by miała oko na wejście. Dziewczyna aż pojaśniała i odwiązała fartuch.

Fiona weszła do kuchni. Garnki z sosem marinara bulgotały na piecu, makaron ociekał w durszlaku, zmywarka pracowała, jednostajnie szumiąc... Brakowało tylko Johnny'ego. Fiona zapukała do męskiej przebieralni, ale nikt nie odpowiedział. Johnny nigdy nie zostawiłby gotujących się potraw bez ważnego powodu.

Przekręciła pokrętła i wyłączyła kuchenkę. Wtedy tylne drzwi otworzyły się i pojawił się w nich Johnny. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie uciekł spod kół ciężarówki.

– *Madre de Dios* – wyszeptał na widok Fiony. – Szedłem po ciebie, *señõta*. W alejce jest jakiś mężczyzna. Mówi... – twarz Johnny'ego przybrała zaniepokojony wyraz – ... że cię zna.

– Och. – Złość Fiony rozbudziła się na nowo. – Ten.

Stary dziwak pewnie wrócił po nowe kawałki pizzy.

A może znów chciał naprzykrzać się Eliotowi. Fiona postanowiła, że powie temu włóczędze, co o nim myśli. Może nawet wezwie policję.

Prawdę mówiąc, chciała być na kogoś zła. Linda, Johnny, nawet Julie – wściekanie się na nich nie wydawało się jej sprawiedliwe. Nawet Eliot, choć czasem dawał się jej we znaki, nie zasługiwał na jej gniew. Ale stary bezdomny – na niego Fiona może się wściekać i

nikogo to nie obejdzie.

Pchnęła tylne drzwi. Jej irytacja przypominała armię miliona mrówek maszerujących tuż pod jej skórą. Starzec stał do niej tyłem.

Drzwi uderzyły o framugę i mężczyzna się odwrócił. Miał na sobie czarny długi skórzany płaszcz, obcisłe dzinsy, T-shirt z nadrukiem „SKOŃCZYŁEM Z OBELGAMI. TERAZ SKOPIĘ WAM TYŁKI” oraz kowbojski kapelusz z opaską ze skóry grzechotnika o luźno zwisających końcówkach. To nie był stary włóczęga. Ostatnie płomienie złości zgasły w niej momentalnie.

– Wujek Aaron – wyszeptała.

Czy przyszedł, by oznajmić początek drugiej próby? Ale to chyba należało do obowiązków Roberta. A może Rada miała dla nich jakąś inną wiadomość? Jak to, że jednak nie przeszli pierwszej próby. I wujek Aaron pojawił się tu, by... by ich zabić.

Adrenalina zalała jej ciało. Instynkt podpowiadał jej, że możliwa jest tylko ucieczka lub walka. Przejechała językiem po wargach i poczuła smak czekolady. Będzie walczyć. Miała dość tego, że wszyscy popychali ją z kąta w kąt. Nawet jeśli Aaron musiał dokonać czegoś okropnego, stawi temu czoło.

Popatrzyła w jego brązowe, bezdenne źrenice. Aaron odwzajemnił spojrzenie.

Miał szorstkie, mocno wyrzeźbione rysy, a do tego wąsy po obu stronach ust. I mimo że jego ubranie przywodziło na myśl Dziki Zachód, Fionie bardziej przypominał mongolskiego wodza szarżującego na czele hordy wojowników. Ani razu nie mrugnął. Cóż, ona też

wytrzyma tę potyczkę na spojrzenia. W końcu patrzyła w bezdenne ślepia krokodyla, który nie bez słuszności nazywał się tym, który żywi się śmiercią. Aaron już nie mógł jej przestraszyć.

– Przyszedłem, by ci pomóc – burknął. – Lepiej będzie, jeśli odpuścisz trochę tego nastoletkowego naburmuszenia.

– Pomóc? – powtórzyła zdziwiona.

– Gdybym wiedział, że będziecie mieć podczas pierwszej próby z sobą strzelbę, upewniłbym się, że potrafiacie z niej skorzystać.

Fiona zeszywniała.

– Potrafiłabym jej użyć, jeśli byłaby taka potrzeba. Skąd wiesz, że nie umiem posługiwać się bronią?

– Wystarczy popatrzeć, jak stoisz – powiedział Aaron, zwięzając oczy. – Od razu można dostrzec, że jest w tobie zuchwały duch, ale równie dobrze widać, że nigdy nie przelałaś czyjejś krwi.

Fiona oparła dłonie na biodrach. Miał rację. Nigdy nie walczyła, nigdy nawet nie biła się z Eliotem, którego i tak pewnie stłukłaby na kwaśne jabłko. Najbliżej fizycznego starcia znalazła się w trakcie niedawnej konfrontacji z Mikiem... Ale tamten problem rozwiązał się sam. Opuściła ręce.

– Więc chcesz mi pokazać, jak się walczy?

Aaron zmrużył oczy w czymś, co mogło przypominać śmiech.

– Chcę sprawdzić, czy twoje zdolności dorównują bojowemu nastawieniu. Jeśli tak, być może uda mi się czegoś cię nauczyć.

– Eliot jest po drugiej stronie ulicy. Pójdę po niego.

– Nie. – Aaron podniósł potężną dłoń.

– Jak to „nie”? Powiedziałaś, że chcesz pomóc.

– Ty jesteś wojownikiem. – Aaron zerknął na front Różowego Królika w głębi alejki. – Twój brat to poeta.

– To niesprawiedliwe. Oczywiście jest niski jak na piętnastolatka, ale też powinien dostać szansę nauki, jak się bronić.

– Imponująca lojalność. Teraz widzę, dlaczego niektórzy członkowie Rady obawiają się waszych połączonych sił. – Uniósł obie dłonie w geście pokoju. – Ale nie zrozumiałaś mnie. Bronią Eliota jest jego muzyka. Chciałbym, żebyś ty była podobnie zabezpieczona.

To prawda, za pomocą skrzypiec Eliotowi udało się dokonać niezwykłych rzeczy. A przecież już sam fakt, że potrafił na nich grać, przeczył logice. Lecz Fionie wciąż nie podobała się propozycja Aarona. Ona i Eliot byli we dwoje silniejsi, dokładnie tak, jak powiedziała Cee. To mógł być podstęp służący rozdzieleniu ich.

– Nie. Jeśli Eliot nie może...

Aaron uklęknął i rozwinął zawiniątko, które wcześniej spoczywało ukryte w cieniu. Fiona dostrzegła błysk metalu. Zbliżyła się i nachyliła.

– Co to?

– Nasze instrumenty.

Na czarnej tkaninie leżały w równych rzędach noże, miecze, włócznie, maczugi, pistolety, dubeltówki, strzelby, shurikeny i strzałki, a nawet zestaw kastetów – wszystkie możliwe rodzaje broni ręcznej służące do krzywdzenia istot żywych, krojenia ich, rąbania czy miażdżenia. Kolekcja ostrych jak brzytwa krawędzi i szpiców, wyposażonych w wypolerowane drewniane rękojeści,

zafascynowała Fionę. Jej twarz odbijała się w setce powierzczeni.

– Czujesz to? – wyszeptał Aaron. – Powagę, jaką emanują?

Fiona wyciągnęła rękę, ale niczego nie dotknęła. Broń budziła w niej lęk, ale jednocześnie przyciągała ją z nieodpartą siłą. Czy właśnie tak czuł się Eliot, kiedy po raz pierwszy zobaczył skrzypce?

Ale jeden przedmiot zdawał się nie pasować do reszty: drewniane jo-jo, trochę większe niż zwykle, ale wciąż będące tylko zabawką. Przypomniała sobie, że kiedyś czytała o polinezyjskich plemionach, które przy ich użyciu miażdżyły głowy przeciwników ze śmiertelną precyzją⁴². Na końcu tkaniny Fiona zauważyła szpikulec, który wyciągnęła z ciała Souhka.

– To należało do ciebie?

– Jak na jaszczurkę porusza się bardzo szybko. Nie trafiłem w czaszkę, ale przebiłem mu ramię. – Aaron podciągnął rękaw i odsłonił bliznę po ostrych zębach krokodyla. – W zamian dostałem to.

Ślad na skórze wskazywał, że Souhk był bliski odgryzienia mężczyźnie całej ręki.

– Udało ci się uciec?

⁴² Rzeczywiście w XVI wieku widziano członków filipińskich szczepów używających urządzeń podobnych do jo-jo jako broni, ale powstanie materiału dokumentującego to zbiegło się z rozwojem współczesnego jo-jo w Europie i z tego powodu wzbudza wiele wątpliwości. Niedawne odkrycia ujawniły, że niejaki Hernandez del Moro, producent zabawek, wyjeżdżał na Filipiny w latach trzydziestych XX wieku i to jemu zawdzięczamy wszystkie fotograficzne „dowody” antropologiczne na ten temat, rzekomo przypadkiem wykorzystane w kampanii reklamowej wytwarzanego przez jego firmę jo-jo Zipp (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne, op.cit.*).

Jego brwi wykrzywiły się w rozbawieniu.

– To nie było do końca tak. Krokodyl pierwszy musiał się wycofać z pola walki.

Fiona szarpnęła nerwowo gumową opaskę, którą miała dziś na przegubie. Jak jeden człowiek, nawet tak silny jak wujek Aaron, mógł pokonać dwutonowego krokodyla? Ktokolwiek tego dokonał, musiał być kimś więcej niż zwykłym człowiekiem. Przecież ten szpikulec prawie zabił Souhka.

– Dlaczego darowałaś mu życie? – zapytał Aaron.

– Miałaś okazję. Przecież stawką było życie twoje i Eliota.

– Nie mogłam. – Wzruszyła ramionami. Nikt nie powinien zmuszać jej i Eliota do zabijania. Jej złość wybuchła na nowo, tym razem jednak nie przybrała jak wcześniej formy gorącego płomienia, lecz sopła lodu.

– Zdobycie w nim sprzymierzeńca było czynem sto razy dzielniejszym niż pociągnięcie za spust – zauważył Aaron.

– Nie jestem rzeźnikiem – wyszeptała Fiona. – Czy to przypadkiem nie twoja rola? Jeśli nie uda się nam przejść pomyślnie prób Rady?

Aaron milczał przez chwilę.

– Jeśli tak się rzeczywiście stanie, Rada z pewnością was zniszczy – przyznał wreszcie.

Rada? Nie on? Czy to możliwe, że wujka Aarona, podobnie jak Souhka, można zamienić z wroga w... Jak nazwał to Souhk? Tymczasowego sojusznika?

Aaron wstał i machnął ręką nad swoim arsenałem.

– Wybierz broń, która do ciebie przemawia. Zobaczymy, co potrafisz.

Fiona popatrzyła na zawartość zawiniątka i poczuła dziwne podniecenie... Zupełnie jakby spoglądała na pudełko z czekoladkami i zastanawiała się, która będzie smakować najlepiej.

Jej dłonie spoczęły na trzonku srebrnego rapiera. Zdobiona złotą aplikacją rękojeść była porysowana, a klejnoty w głowicy poszczerbione. Ale rapier wciąż był piękny. Podniosła go. Był lekki, czuły na każdy ruch i – nie miała co do tego wątpliwości – śmiertelnie niebezpieczny. Podobał jej się.

Odwróciła się i podniosła czubek ostrza ku oczom wujka. Pokręcił lekko głową.

– Nie dla ciebie.

– Przeczytałam chyba wszystko, co napisano o mieczach. Prehistoryczne noże krzemienne, pierwsze odlewy z brązu, współczesna stal damasceńska... wiem o wszystkich.

– Za dużo mówisz. Wybierz coś innego.

Fiona nie powiedziała mu jednak, że pisała również eseje o sportowej szermierce, kendo i Miyamoto Musashim. Oczywiście była to tylko wiedza encyklopedyczna, ale jak bardzo mogła odbiegać od praktyki? Jeśli drażnie go, może doceni jej umiejętności i zorientuje się, że wcale nie jest bezsilna.

Zaatakowała Aarona.

Ledwo się poruszył, ale to wystarczyło, by ostrze przeszło powietrze gdzieś obok jego łokcia. Poły jego płaszczka zatrzepotały, odsłaniając na chwilę sylwetkę mężczyzny zbudowaną z masywnych płyt mięśni, które napinały się i pęczniały.

Aaron zrobił krok do przodu i zacisnął jej dłoń

wokół rękojeści. Drugą ręką pociągnął ostrze w górę i w bok, dociskając jej ramię do głowy. Bark dziewczyny naprężył się i niemal wyskoczył ze stawu. Stęknęła z bólu. Jej twarz pokrył rumieniec wstydu z powodu łatwości, z jaką odparł jej atak. Zupełnie jakby była dzieckiem wymachującym plastikową zabawką.

Szarpnął ją za ramię. Ból przeszył jej naciągnięte ścięgna, ale nie krzyknęła.

– Dobrze – wyszeptał. – A więc nie robisz wszystkiego tak, jak ci każą... Masz to po matce. Zastanawiam się, czy potrafisz być też tak cierpliwa jak ona.

Puścił ją, jednocześnie odbierając rapier. Umieścił broń z powrotem w swojej kolekcji. Fiona rzuciła mu złe spojrzenie i rozmasowała ramię.

– Wybierz coś innego – powiedział. – Zobaczymy, czy pójdzie ci lepiej.

Fiona nachyliła się nad rozłożoną tkaniną i sięgnęła w stronę pistoletu z zadartym noskiem.

– Żadnej broni palnej – oświadczył Aaron z zimną stanowczością. – Tylko zrobiłabyś sobie krzywdę.

Fiona się zawahała. Miała ochotę złapać pistolet choćby po to, by dokuczyć Aaronowi. Nigdy by do niego nie strzeliła. To akurat było pewne. Ale jednocześnie czuła, że jeśli choćby o włos przesunie dłoń w kierunku jego rękojeści, przydarzy jej się coś złego. Zamiast tego więc wybrała nunczaku: dwie plastikowe sztabki połączone długim łańcuchem.

Fiona nigdy nie czytała o tym rodzaju broni, ale zaintrygowała ją jej elastyczność. Wujkowi Aaronowi na pewno nie będzie tym razem tak łatwo złapać ją za rękę i

powstrzymać próbę ataku.

Podniosła nunczaku i na próbę zakręciła nim, zwiększając tempo, aż łańcuch i plastikowe palki stały się tylko zamazanymi kształtami.

– Lepszy wybór – zauważył Aaron. – Ale to wciąż nie jest broń dla ciebie.

Przez chwilę zastanawiała się, czy na niego nie natrzeć – jeden szybki ruch nadgarstka posłałby sztabkę prosto w jego głowę. Ale ból w barku przypomniał jej, jak szybki potrafi być Aaron. Westchnęła i odłożyła nunczaku.

Może żadna broń do niej nie pasowała. Może tak naprawdę wcale nie była wojownikiem, jak mówił Aaron, a do walki zmuszały ją jedynie okoliczności, w jakich się znalazła. Czyż wojownicy nie pragnęli walczyć? A jedyne, czego chciała Fiona, to pozostać przy życiu.

Z góry dobiegł ich trzepot skrzydeł. Stado kruków przeleciało im nad głowami i wylądowało na liniach wysokiego napięcia na ulicy Vine. Znów spojrzała na rozłożoną broń i jej oczy zaświeciły się na widok drewnianego jo-jo. Coś przyciągało ją do niego nawet bardziej niż do nunczaku. Z pewnością w całym arsenale Aarona nie było broni, która odznaczałaby się większą elastycznością.

Nie sięgnęła jednak po nie. Nie chciała dawać Aaronowi szansy, by znów zakwestionował jej wybór. Najpierw musiała mieć plan, potem wykonać go i tym razem może nawet zaskoczyć wujka.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, złapała za sznurek i cisnęła ciężką drewnianą częścią w stronę głowy Aarona. Uchylił się. W jego oczach zauważyła błysk zdziwienia, gdy zakręciła jo-jo, nadając mu coraz większy rozpęd.

Cofnął się o dwa kroki, tratując metalowy pojemnik na śmieci. Fiona podążyła za nim, zmieniła kąt wirowania jo-jo i puściła je w stronę jego głowy z energią przypominającą uderzenie bata.

Aaron płynnym ruchem odsunął się na bok, wyciągnął z kurtki krótki miecz i przeciął nim powietrze.

Napięcie w sznurku zniknęło. linka opadła bezwładnie. Uwolniony drewniany dysk pomknął w bok, odbił się od ściany i potoczył po ulicy. Fiona ciężko westchnęła.

– Pozwól mi zgadnąć. To też nie było dla mnie.

Aaron jednak nie zwracał już na nią uwagi. Wykręcał szyję, przyglądając się obu stronom śmietnika.

– Zgadnij jeszcze raz – wymamrotał. – Odziedziczyłaś talent po matce.

Dotknął rogu śmietnika. Kawalek karbowanej stali długości ramienia odcepił się od reszty i upadł na ulicę. Jego krawędzie były gładkie jak lustro, zupełnie jakby cięcie zostało wykonane laserem.

Fiona zbliżyła się, wpatrując się w leżący osobno fragment blachy i próbując zrozumieć, co miał na myśli Aaron. I co właściwie się stało. Prześledziła kąt cięcia w metalu. Zgadzał się z tym, pod jakim sunęło w powietrzu jej jo-jo.

Aaron zwrócił się ku niej z szerokim uśmiechem.

– Spróbuj jeszcze raz, dziecko. To ważne, byś zrozumiała, kiedy możesz to osiągnąć, a kiedy nie. W jakim stanie musi się znajdować twój umysł.

Czy sugerował, że ucięła stal za pomocą sznurka? Czy to nie było nawet dziwniejsze niż gadający krokodyl? Było. Bawełniana linka przecinająca metal łamała kolejne

prawa fizyki.

Spojrzała na sznurek w swoim ręku, potem na Aarona. Wcale nie żartował. Więc choć poczuła się jak idiotka, naciągnęła linkę i zbliżyła się do żelaznej ryny biegnącej wzdłuż ściany. Zawahała się.

– Jeśli to zadziała, czy mnie też potnie?

– Tylko gdy na to pozwolisz – powiedział.

Fiona napięła się i docisnęła sznurek do rury, najpierw lekko, potem mocniej.

Nic się nie wydarzyło – dokładnie tak, jak się tego spodziewała. Bawełniane włókna miały takie same szanse na przejście przez lite żelazo jak kawałek masła przez ceglana ścianę.

– Przypomnij sobie, co czułaś, kiedy z sobą walczyliśmy – odezwał się Aaron.

Czuła? Nie czuła niczego... Może z wyjątkiem tego, że miała dość bycia popychaną z kąta w kąt przez innych. Przez babcię. I Radę. I czy nie chciała też skrzywdzić drogiego wujka Aarona? Choćby przez ułamek sekundy? Czy nie miała ochoty zmiażdżyć jego mózgu swoim jo-jo?

Sznurek zaczął połyskiwać. A potem trzasnął naprężony po drugiej stronie rury.

Ruch był nagły i tak niewiarygodny jak sztuczki magika.

Aaron delikatnie odciągnął ją na bok. Rura zaskrzypiała, a jej górna część odczepiła się od reszty i z hałasem upadła na asfalt. Fiona ze zdumieniem patrzyła na cięcie. Sięgnęła w stronę krawędzi, ale zatrzymała rękę, zdając sobie sprawę, że jest ostra jak brzytwa.

– Powiedziałaś, że moja matka też to potrafiła. Prostym sznurkiem?

– Mogła przeciąć wszystko, jeśli tylko tego chciała – odpowiedział. – A więc naprawdę jesteś jej córką. I moją siostrzenicą.

Spojrzała na niego. Wciąż przypominał potężną górę, wciąż był najsilniejszym i najbardziej przerażającym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziała, ale jego wzrok złagodniał, jakby odkrył w niej coś, co nie do końca go odpychało.

Po alejce przemknął cień i Fiona zerknęła do góry. W powietrzu krążyła setka kruków. Niektóre nurkowały w stronę Różowego Królika i odbijały się od okien i ścian baru.

– Słuchaj – wyszeptał Aaron. – Twój brat też testuje swój arsenał.

Fiona otworzyła usta, by zapytać, co wujek ma na myśli, gdy Johnny otworzył z hałasem tylne drzwi restauracji.

– Fiona! – krzyknął. – Telefon... Jakiś chłopak.

Odwróciła się.

– Już idę! – zawołała.

Popatrzyła jeszcze w stronę wujka – tak wiele miała do niego pytań. Ale ani zawiniątka z bronią, ani wujka Aarona już nie było.

KOMPLEKS LANCELOTA

Robert Farmington ustawił swojego harleya obok trzech zakurzonych cadillaców z tablicami rejestracyjnymi z Kalifornii Dolnej. Zdjął skórzaną kurtkę, zostając tylko w przepoconym podkoszulku.

Wydawało mu się nieco dziwne, że w kantynie było tylu miejscowych – popołudniowe słońce mocno paliło i właśnie zaczął się najlepszy czas na sjętę na tym spokojnym kawałku meksykańskiego wybrzeża.

Zerknął na drugą stronę klifu, na przycupniętą tuż przy oceanie wioskę Puedevas. O tym miejscu wiedziało kilku nie w ciemną bitych rybaków... i zbyt wielu przemytników. Robert przyjeżdżał tutaj tak często, jak tylko mógł. Seniority zawsze się do niego uśmiechały, *enchiladas* z homarem smakowały wybornie i – co najważniejsze – w tutejszej kantynie nigdy nie odmówiono mu, gdy zamawiał *cervezę*.

Podszedł do wejścia, ale zaraz się zatrzymał. W oknie wisiał napis „CERRADO”, ale drzwi były uchylone. To musiała być pomyłka. Kantyna zawsze była otwarta popołudniami, by nie stracić dolarów spragnionych – i bogatych – amerykańskich wędkarzy.

Robert wszedł do środka. Ściany z cegieł adobe były pomalowane na turkusowo. Wiszące u sufitu wiatraki miały pracowicie powietrze, nie dając jednak żadnego chłodu. Przy barze siedziało ośmiu miejscowych

cuchnących trzydniowym potem, a także kordytem świadczącym o tym, że niedawno mieli do czynienia z bronią. Mimo upału byli ubrani w tanie skórzane kurtki. Robert zauważył na nich wybrzuszenia, niewątpliwie kryjące pistolety. Należeli do średniej kategorii zbirów, plasujących się gdzieś pomiędzy narkotykowymi bossami a podrzędnymi dilerami pracującymi na amerykańsko-meksykańskiej granicy. Robert zaklasyfikował ich po prostu jako *banditos*.

Z każdym z nich z osobna można sobie było z łatwością poradzić. W takiej grupie jednak stanowili zagrożenie. Przypominali stado hien. A nawet lwy wycofywały się wobec zbyt dużej liczby padlinożerców.

Już miał się odwrócić, by wyjść, gdy zobaczył Theresę, córkę właściciela kantyny, uroczą, może jedenastoletnią dziewczynkę. Stała w rogu jak schwytane w pułapkę zwierzę.

Pokręciła głową, patrząc na niego. Było oczywiste, co chciała mu przekazać: „Wyjdź stąd, póki możesz”. Ale jej ciemne oczy wypełniała dzika panika i Robert wyczytał w nich inną, choć równie jasną wiadomość: „Uratuj mnie”.

Uśmiechnął się. Marcus Welmann zawsze powtarzał, że Robert ma słabość do dam w tarapatach. Mówił mu też, że kiedyś przez to zginie. Ale Marcus nigdy nie rozumiał, dlaczego Robert w ogóle zdecydował się na tę pracę. Damy w tarapatach, niebezpieczeństwo, przygoda, możliwość pozostania na zawsze młodym i nieodpowiedzialnym – mając to wszystko, jak mógł się martwić krótkim życiem? A poza tym, który z nich dwojga wciąż oddychał, a który był martwy?

Kiwnął głową w stronę Theresy, a potem powoli

podszedł do swojego ulubionego stolika na tyłach lokalu. Stąd będzie mógł swobodnie obserwować *banditos*.

On też mieli go tu jak na dłoni. To na pewno uspokoi ich to i przekona, że wszystko jest pod kontrolą. Ale co z tego? Nawet jeśli siedział dokładnie tam, gdzie chcieli, *banditos* obrzucili go spojrzeniami, zaszepotali coś między sobą i wybuchnęli śmiechem. Kilku z nich sięgnęło po kolejne piwa zza baru. Nigdzie nie było widać barmana, co z pewnością nie mogło być dobrym znakiem.

Jeden z mężczyzn podszedł do drzwi i zatrzasnął zasuwę. Wyszczrzył zęby do Roberta i pokuśtykał do swojego stołka. Ta, mieli zamiar się tu dobrze rozgościć i upić. Dopiero później rozpoczną prawdziwą zabawę. Najpierw zajęliby się nim, potem, jak zgadywał, Thesę.

Robert jedną ręką złapał zatłuszczone menu, a drugą sięgnął do przypiętej do boku kabury. Wyciągnął glocka . 29 i położył małe pistolet na ławce obok siebie.

Theresa podeszła do jego stolika.

– Co podać, *señor*? – zapytała głośno, tak żeby usłyszeli ją też *banditos*.

– *Enchiladas* z homarem i czarną fasolę.

– Uciekaj – wyszeptwała. – Szybko... jeśli tylko dasz radę.

Robert uśmiechnął się szerzej.

– I jeszcze *dos Coronas, por favor*.

Westchnęła i poszła do kuchni.

Ośmiu przeciw jednemu. Robert szybko może skończyć martwy, jeśli czegoś nie wymyśli. Na razie jednak chciał im dać czas na to, żeby się upili i by alkohol spowolnił ich reakcje. Patrzył, jak rzucali za siebie puste butelki od piwa i tequili. Oceniał, że potrzebowali jeszcze

mniej więcej dziesięciu minut, by alkoholu płynący w ich żyłach umożliwił im zrobienie tego, na co się szykowali. Cokolwiek to było. Miał więc jeszcze trochę czasu.

Sięgnął po solniczkę i wysypał trochę białych drobinek na stół. Palcem naszkicował mapę świata, zaznaczając kupką soli przybliżony środek Ameryki Północnej. Większość życia spędził w Arkansas, niedaleko od drogi stanowej numer 32. Razem z całą rodziną pracował w polu, a popołudniami udawało mu się załapać na część lekcji w szkole. Pewnego dnia, po tym, jak trzeci z rzędu ojczym postanowił dać mu nauczkę za odszczekiwanie się i rozciął mu wargę, Robert zdecydował, że ma dosyć. Pocałował matkę na pożegnanie, gdy spała, i ruszył w stronę, gdzie autostrada numer 20 przechodziła w 43. Słyszał kiedyś, że jeśli znajdzie się na takim skrzyżowaniu o północy, pojawi się diabeł i będzie można zaprzedać mu duszę. Doczekał do północy. Diabła nigdzie nie było widać, ale za to z mroku wyłonił się autobus Greyhound i to musiało mu wystarczyć.

Na swojej mapie z soli zakreślił łuk zmierzający do Atlantyku. Jak na swój wiek, Robert był dużym chłopakiem i nie najgorszym kłamcą. Tak czy inaczej, kapitan statku z Wirginii musiał wiedzieć, że miał tylko czternaście lat, ale pozwolił mu pracą opłacić swój rejs. W trakcie podróży Robert podłapał trochę hiszpańskiego i w Barcelonie znalazł sobie nowy statek. Narysował długą linię przez ocean i kilka zygzaków po Europie.

Tamten rok był naprawdę szalony Robert prawie zginął, ucząc się nowego zawodu: kradzieży dzieł sztuki. Ale w Turcji spotkał Marcusa Welmanna. Westchnął i

zdmuchnął sól. Jaki był sens rozpamiętywania tego? Marcus nie żył. Pewnie, nieraz zadreczęwał Roberta, ale też opiekował się nim, nauczył jeździć, walczyć i myśleć. Zrobił dla niego więcej niż którykolwiek z chłopaków matki. „W tym zawodzie to nie jacyś nierównoważeni przeciwnicy są najgroźniejsi”, powiedział mu kiedyś. „Raczej nasi szefowie. Jeśli zaczniesz o nich myśleć jak o ludziach, znajdziesz się w poważnym niebezpieczeństwie. Bardziej przypominają siły natury niż istoty z krwi i kości. Zapomnij o tym na chwilę i wejdź im w paradę... Cóż, równie dobrze możesz próbować przekonywać przyływ, by nie zalewał ci drogi... Takie będziesz miał szanse”.

I właśnie to się stało. Marcus wszedł w paradę Audrey Post. Nikt nie powiedział tego chłopakowi, ale tylko tak można było wyjaśnić zniknięcie jego mentora i to, że sam znalazł się na jego miejscu. Kiedy dostarczał wiadomość Radzie, próbował ukryć swoje prawdziwe uczucia, ale Audrey Post zajrzała mu głęboko w duszę i nic nie mogło się przed nią ukryć. W jednej chwili rozwiały się jego plany o zemście.

– Hej, *chico* – usłyszał głos jednego z *banditos*. – Podejdź tu. My porozmawiać.

Jeśli teraz zrobiliby jakiś ruch, zaczęliby strzelać. Ale jeśli ich usłucha, zapewne czeka go sporo nieprzyjemności. Nie miał zbyt dużego wyboru. Sięgnął po broń. W tym momencie drzwi do kantyny wolno się otworzyły. Wszyscy, łącznie z Robertem, zamrugali pod wpływem ostrego światła słonecznego. A *banditos* mimo krążącego w ich krwi alkoholu zdali sobie sprawę, że coś jest nie tak. Przecież drzwi były zamknięte od środka. Nie mogły się tak po prostu otworzyć. .. Przynajmniej nie bez

wyważenia z zawiasów.

Na progu stał amerykański turysta w hawajskiej koszuli, szortach w kolorze khaki, kłapkach i absurdalnym słomianym kapeluszu.

– *Buenos tardes* – wymamrotał i niepewnym krokiem wszedł do środka, pozwalając drzwiom zatrzasnąć się za sobą. Osunął się na bar i uderzył pięścią w blat. – Barman, *cervezasy tequilal* – krzyknął, włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej zwitek dwudziestodolarówek.

Minęła chwila i gdy barman się nie pojawił, mężczyzna wzruszył ramionami i sięgnął za ladę po butelkę cuervo i kieliszek. Odwrócił się do *banditos*, potknął się i runął na nich. Odepchnęli go i przez chwilę miotał się między nimi, uderzając ich łokciami po żebrach.

– Przepraszam gorąco. Stawiam następną kolejkę, *amigos*. – Upuścił kilka kolejnych pomiętych banknotów na ladę, a potem podreptał do stolika Roberta.

Banditos wybuchnęli śmiechem, zgarnęli pieniądze i postanowili popatrzeć na to, co jeszcze zrobi ten nadziany amerykański głupek, zanim wyrwą mu ręce z barków.

– Dzień dobry, Robercie – mężczyzna przywitał się, nagle doskonale trzeźwy, i usiadł naprzeciwko chłopaka. – Jak się masz?

Ten człowiek zmieniał nazwiska tak często jak inni ludzie ubrania. W różnych czasach nazywano go Wielkim Wściekłym Wilkiem, Lokim Czarodziejskie Buty, Hernandezem del Moro albo po prostu Hermesem, ale wszystkie te wcielenia skrywały jedną osobę, jego szefa, pana Henry'ego Mimesa.

Robert nie wiedział, w jaki sposób szef odnalazł go poza godzinami pracy ani otworzył drzwi zamknięte z drugiej strony. I dlaczego, skoro już chciał z nim porozmawiać, nie użył zwyczajnie telefonu komórkowego? Wiedział tylko, że Henry Mimes miał talent do znajdowania rzeczy... zwłaszcza kłopotów.

– Czy mam pana gdzieś zawieźć po południu? – zapytał, kątem oka obserwując szepczących między sobą *banditos*.

Gapowaty turysta zdawał się ich bawić, ale też komplikował im plany. Bogaci Amerykanie mieli w zwyczaju podróżować gromadami.

Mimes zerknął na rozsypaną na blacie sól.

– Wspomnienia? To nałóg, któremu staram się nie ulegać. Prowadzi do przygnębienia, które na mojej liście odpychających zachowań znajduje się tuż obok dłubania w nosie i płaczu na weselach. – Błysnął zębami w uśmiechu i stuknął palcem w ziarenko reprezentujące Sтамбул. – Czy wiesz, co spodobało mi się w tobie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy?

– Nie.

– W przeciwieństwie do większości złodziei dzieł sztuki nie przetapiałeś swoich zdobyczy na złoto. Ryzykowałeś, próbując sprzedać je nienaruszone.

Robert wzruszył ramionami.

– Były zbyt ładne, by je niszczyć.

Wzrok Henry'ego Mimesa powędrował w stronę stojącej w kącie Theresy. Dziewczynka przyciskała do piersi stos kart z listą dań i obserwowała patrzących na nich *banditos*.

– Na tym świecie jest zbyt mało ślicznych

przedmiotów – powiedział Mimes. – Zgadzam się, powinno się je chronić.

Jeden ze zbirów podszedł do drzwi, przyjrzał się zasuwie i stwierdził, że wciąż jest zamknięta. Wyglądał na lekko zdezorientowanego, gdy wrócił do swojej gromady. Wśród *banditos* rozgorzała dyskusja. Jeden z nich się przeżegnał. Najstarszy i największy jednak uderzył go w twarz, karząc za uleganie głupim przesądom.

– Nie chciałym ci przeszkadzać w obecnych zajęciach – odezwał się Mimes z niedbałym machnięciem ręki – ale pomyślałem, że najwyższa pora, żeby porozmawiać o twojej przeszłości.

Przyszłość – Marcus nigdy nie użył tego słowa, gdy opowiadał o pracy. Szefowi wyraźnie chodziło o coś więcej niż jeden ze zwykłych obowiązków szofera. Robert miał nieprzyjemne przeczucie, że może to być nawet gorsze od perspektywy zostania podziurawionym przez kule pijanych narkotykowych dilerów.

– Nie rozumiem, proszę pana.

– Czy podoba ci się praca dla mnie? – Z twarzy Mimesa nie zniknął uśmiech, ale jego spojrzenie stwardniało.

Robert już miał odruchowo odpowiedzieć twierdząco, ale zawahał się. Jego przełożony zadał mu poważne pytanie, więc powinien się dobrze zastanowić, co naprawdę czuł.

Posada kierowcy Henry'ego Mimesa miała minusy. Zadania często wiązały się z dużym ryzykiem. Należało działać na granicy prawa, a czasem nawet wbrew niemu. I, jak podkreślał Marcus, ich szef należał do Ligi Nieśmiertelnych, której członkowie mieli rozchwiane

osobowości i zawsze stanowili wielkie zagrożenie, czasami nawet w stosunku do wynajętej obsługi. Ale Robert dostrzegał też sporo plusów. W wolnym czasie mógł wsiadać na motocykl i jechać, dokądkolwiek zechciał. Miał okazję nauczyć się kilkunastu obcych języków, a jego wydatki operacyjne mogły sięgać kwot, o jakich większość dyrektorów naczelnych z publikowanej w magazynie „Fortune” listy pięciuset największych firm na świecie mogła jedynie pomarzyć. Całkiem niezłe jak na szesnastolatka, który nawet nie skończył liceum. Ale najważniejsze były przygody. Robert nigdy się nie nudził.

– Ta praca może skrócić mi życie – powiedział wreszcie – ale przynajmniej sprawia, że jest ono coś warte.

Mimes pojaśniał na twarzy i złapał Roberta za ramię.

– Drogi chłopcze, sam nie nazwałbym tego lepiej. W takim razie ucieszysz się, że mam dla ciebie nowe zadanie. Misję specjalną, która wiąże się z pewną ładną dziewczyną. Chciałbym, żebyś się z nią zaprzyjaźnił i w miarę możliwości pomógł.

– Mam być szpiegiem? – zapytał zaintrygowany Robert, ale zaraz poczuł, jak coś ciężkiego i zimnego krzepnie mu w żołądku. – Ma pan na myśli Fionę Post.

Henry Mimes uniósł brew.

– Czy nasz drogi zmarły pan Welmann nauczył cię czytać w myślach?

– Nie, ale po tym wszystkim, co wydarzyło się w ostatnich dniach... o kogo innego mogłoby chodzić?

– Marcus powiedział mi kiedyś, że czasem od razu potrafisz dostrzec sedno sprawy. Fiona nie jest zwykłą nastolatką. Nie mam wątpliwości, że to widzisz.

Dziewczyna, która przekonała gigantycznego krokodyla, by stał się jej przyjacielem? I nawet nie mrugnęła, gdy razem z bratem zdawała Robertowi relację z ich wyprawy do kanałów, jednocześnie wręczając mu piętnastokilogramowy żelazny szpikulec, który wyciągnęła z ciała gada?

– Ta, nie jest byle kim – powiedział Robert, – r Ale przecież obowiązuje mnie zakaz zaprzyjaźniania się z członkami, nawet potencjalnymi, Ligi.

– Nigdy nie poprosiłbym cię o złamanie reguł – powiedział Mimes, udając obrazę. – To nie byłoby w porządku. Ale jeśli odszedłbyś od nich z własnej inicjatywy, cóż, tego nie potrafiłbym przecież przewidzieć... I nikt nie mógłby mnie za to winić.

Robert przełknął ślinę. Rozumiał istotę sprawy. Jeśli rzeczy ułożą się nie po ich myśli, pan Mimes rzuci go Radzie na pożarcie jak ofiarnego baranka. Czytał kiedyś, w jaki sposób Rada karze tych, którzy złamali reguły. Jednemu z nich każdego dnia przez tysiąc lat ptak wydziobywał wątrobę (razem z innymi istotnymi przyległościami), która odrastała w samą porę, by znów została porwana na strzepy następnego dnia. A Rada wcześniej lubiła tego gościa.

– Tak – powiedział Mimes, jakby czytając w myślach Roberta. – Rada uwielbia swoje zasady.

– Ale... – zaczął chłopak.

Mimes uniósł palec, uciszając go.

– Chwileczkę. Najpierw musimy się zająć pewną drobną nieprzyjemną sprawą.

Robert na moment zapomniał o *banditos*, ale teraz zobaczył, że patrzą wprost na niego. Próbował uspokoić

nerwy. Jego dłoń nie mogła w takiej chwili zadrzeć. Zdąży wystrzelić raz, może dwa razy, zanim tamci odpowiedzą ogniem.

Banditos wyszczerzyli zęby i sięgnęli po rewolwery. Mimes położył dłoń na ręce Roberta i pokręcił głową.

– Pozwól im spróbować – wyszeptał.

Robert niechętnie zdusił instynkt samoobrony – nie miał wyjścia, szef wydał mu bezpośrednie polecenie. A oceniając obie strony – nie rzucającego się w oczy pana Mimesa oraz ośmiu uzbrojonych zbrojów – Robert wiedział dobrze, która ma przewagę.

Ręce **banditos** dotarły do kabur, ale te okazały się puste. Pan Mimes upuścił z hałasem kilka rewolwerów na stół.

Pijane uśmiechy zniknęły z twarzy gangsterów, a Robert przypomniał sobie, jak wcześniej szef, słaniając się i potykając, potrafił każdego z nich. Wtedy musiał pozbawić ich broni. Ale aż osiem rewolwerów? I nikt nic nie poczuł? To było mistrzostwo świata w kradzieży kieszonkowej.

– Marcus zawsze powtarzał, że masz kompleks Lancelota – wyszeptał do Roberta pan Mimes. – Zawsze jesteś gotów bronić damy w tarapatkach. Zdecydowanie pochwalam – dodał, po czym podniósł . 38 z zadartym nosem i strzelił największemu **bandito** prosto w brzuch.

Mężczyzna upadł na stołek, usiłując zatamować upływ krwi z rany.

– **Vamos, perros.** – Henry machnął rewolwerem na pozostałych.

Gangsterzy, nagle zupełnie trzeźwi, otworzyli

szeroko oczy i usta, patrząc na Amerykanina, który strzelił do ich szefa. Czterech uklękło, jakby zamierzało podnieść rannego.

– Zostawcie go albo do niego dołączycie. – Szef Roberta strzelił dwa razy w dach kantyny.

Bandtios ruszyli do drzwi i omal ich nie wyrwali, szamocząc się z zasuwą. Opony cadillaców zapiszczały na podjeździe.

– Zadzwoń na policję, *señorita* – zwrócił się Mimes do Theresy. – Za tego, którego postrzeliłem, można dostać nagrodę. Większą, jeśli będzie, wciąż żywy, więc lepiej się pośpiesz.

– Sf, *señor*. – Theresa zniknęła w kuchni.

– Zaraz, zaraz... O czym mówiliśmy? – Mimes odłożył rewolwer. – A, tak, śliczna Fiona Post, nasza dama w największych tarapatach. Po prostu proponuję, żebyś zrobił to, co i tak byś zrobił: zaprzyjaźnił się z nią nieco i pomógł przetrwać dwie ostatnie próby. A przy okazji przyglądał się temu, co dzieje się wśród jej najbliższych.

Szef miał rację. Robert rzeczywiście chciał pomóc dziewczynie, ale musiał też pamiętać o regułach... A raczej karze za ich złamanie. Ryzyko było zbyt wielkie.

– Wyczuwam wahanie – zauważył Henry. – Pozwól więc, że nieco cię uspokoję. Wiem, że już raz złamałeś zasady i poinformowałeś Fionę i Eliota, co powinni zabrać z sobą do kanałów.

– Skąd pan... – Robert zamknął usta.

Jak się dowiedział? Cóż, jego reakcja właśnie to potwierdziła, jeśli pan Mimes miał tylko podejrzenia. Poza tym jego szef po prostu wiedział o różnych sprawach – w taki sam sposób, jak otworzył zatrzaśnięte drzwi,

objeżdżał połowę kuli ziemskiej w kilka godzin lub kraść broń sprzed nosa ośmiu *banditos*. Przypomniawszy sobie ostrzeżenie Marcusa: „Jeśli zaczniesz o nich myśleć jak o ludziach, znajdziesz się w poważnym niebezpieczeństwie”

Z kuchni wyłoniła się Theresa w towarzystwie trzech mężczyzn, którzy nachylili się nad krwawiącym gangsterem. Wcześniej pobito ich i związano, więc teraz chcieli się zemścić, ale dziewczyna powstrzymała ich, wyjaśniając o czekającej na nich nagrodzie. Później przyniosła Robertowi i panu Mimesowi po piwie i kilkakrotnie im podziękowała.

– *Con mucho gusto* – odpowiedział jej Mimes. – Kiedy zobaczysz swoją matkę, powiedz jej, że stary kojot przesyła gorące pozdrowienia⁴³.

Zdumiona popatrzyła na mężczyznę, potem skinęła głową i zostawiła ich samych.

– Więc jak będzie, Robercie? Niebezpieczeństwo, intryga i romans czy nudna praca za kółkiem do końca bezbarwnego życia?

Robert sięgnął po piwo i pociągnął długi łyk.

– A co z podwyżką?

– Będziesz ją miał, kiedy to wszystko się skończy. Razem z awansem i długimi wakacjami. Mogę ci to obiecać.

– Od czego mam zacząć?

⁴³Kojot w mitach rdzennych Amerykanów słynie głównie ze sprytu i oszustw, ale także z seksualnego apetytu (i licznych podbojów). Ale historie na ten temat zostały ocenzone przez konserwatywnych europejskich osiedleńców, którzy prawdopodobnie również zniechęcili rdzenną ludność do ich powtarzania (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. I, *Mity podstawowe*, cz. I, *op.cit.*).

– Zrób to, co robią wszyscy chłopcy w twoim wieku. Zadzwoń do niej i zaprosź ją na randkę.

SPISEK CIENI

Beal Z. Buan, Pan Wszystkich Istot Skrzydlatych, był daleko od otwartego nieba, które tak kochał. Znajdował się w jednym z pokoi w opuszczonym Domu Diabła, który stał na opustoszałym osiedlu Love Canal na obrzeżach miasta Niagara Falls w stanie Nowy Jork⁴⁴.

Ostry metaliczny odór i słodki zapach benzenu unosiły się z piwnicy. Beal wciągnął głęboko powietrze, niemal widząc, jak gęste opary wiją się wokół niego. Uri wcześniej pozbył się mebli i zdarł dywan z wykonanej z dykty podłogi. Beal zmusił go też, by zmiotł rzeszę martwych karaluchów. Pan Istot Skrzydlatych potrzebował nieskazitelnej powierzchni.

Ukląkł i wyjął z tekturowego pudełka żyletkę, a następnie wyciął nią duże koło w dyckie. Potem przejechał ostrzem po nadgarstku i pozwolił krwi skapać na podłogę. Ściekała wzdłuż rany, rozlewając się po włóknach dykty, tatuując na niej kropki, kwadraty, trójkąty i litery pisma

⁴⁴Love Canal to teren skażony w latach osiemdziesiątych XX wieku. Ewakuowano stamtąd setki ludzi. Według miejscowych legend w Domu Diabła straszą duchy ofiar zatrucia. Spędzenie nocy w takim budynku jest częstym wyzwaniem rzucanym sobie wzajemnie przez okoliczne nastolatki, ale nikt nie przetrwał tam choćby całego wieczoru, a wiele osób trafiło do szpitala z powodu obrzęku płuc wywołanego szkodliwymi oparami nadal unoszącymi się w tamtym miejscu. W taki sposób też tłumaczone są opowieści o duchach pojawiających się na osiedlu - jako halucynacje wywołane substancjami toksycznymi (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne, op.cit.*).

klinowego. Wzór rozchodził się od koła ku gipsowym ścianom i ciągnął w górę, aż wreszcie jego rozmaite linie łączyły się pośrodku sufitu.

Beal złapał się za nadgarstek i zatamował krwawienie. Z satysfakcją przyjrzał się otaczającej go sieci prastarych symboli.

– Żadne oczy i uszy nie mają tu dostępu – oświadczył. – Możemy rozmawiać.

Cienie rozszczepiły się i wyłaniający się z nich Uri wstąpił do środka koła, gotowy, by służyć swemu panu.

Beal nie darzył tego dalekiego i niezbyt istotnego kuzyna zaufaniem, ale jego obecność sprawiała mu wiele przyjemności. Wiedział, że tamten złożył przysięgę wierności i nie mógł go zdradzić – nawet gdyby w grę wchodziła jego dawna pani, Królowa Maków.

– Chciałbym podkreślić – Beal powiedział w ciemność – że natura naszej zdrady jest wyjątkowo radykalna. Obalamy warunki ustanowione przez rzut uświęconymi kośćmi. Zarząd ma prawo ogłosić wendetę i zniszczyć nas. – Uśmiechnął się i rozłożył ręce w szerokim geście. – Ale jeśli nam się uda, czeka nas nagroda warta tego ryzyka.

Jeden z cieni wstąpił do koła, przekształcając się w chudego mężczyznę w szarym garniturze.

– Czy nie zawsze tak jest w przypadku rzeczy wartych trudu? – zapytał, przeżuując kanapkę z masłem orzechowym i dżemem.

Był to Samsawell, Wiecznie Głodny.

Następny przeszedł do środka Mulciber, drobny i stary z sękatymi dłońmi na stałe zaciśniętymi w pięści.

– Gwoli ścisłości – wyszeptał. – Każdy z nas

dostaje taką samą działkę z tej nagrody.

Beal musiał uważać, by w żaden sposób nie uchybić starcowi. Mulciber bowiem był tak porywczy, jak wielka była jego mądrość. Jeśli raz ktoś go uraził, nigdy o tym nie zapominał.

– Oczywiście – odrzekł Beal i skłonił się.

Do koła wkroczył ostatni ze spiskowców. Cienie zdawały się lgnąć do niego i niechętnie wypuściły go ze swojego uścisku. Był piętnastoletnim chłopcem w postrzępionych szortach i koszulce na ramiączkach. Jedyne jego wyblakłe oczy zdradzały przebiegłość, która kryła się za niewinnym licem.

– Zaaranżowałeś wyjątkowo nieskuteczne zebranie Zarządu – pochwalił go Uziel i przekrzywił głowę.

– Podziwiam twoje machinacje.

Stali wzdłuż brzegu koła jednakowo od siebie oddaleni, w pięciu zalecanych przez rytuał punktach, by pogłębić panującą dookoła ciszę. Beal poczuł, jak powietrze wokół nich łączy się, trzeszczy i zamienia w ciało stałe. Skinął na Uriego, który wyciągnął z płaszcza mały stolik do gry w karty, rozłożył go i umieścił na blacie dużą fotografię wykonaną z lotu ptaka.

– Satelitarna mapa Del Sombry – wyjaśnił Beal.

– Miasto ma jedną przelotową drogę, wzdłuż której znajduje się kilkadziesiąt firm, głównie restauracji i sklepów odwiedzanych przez turystów i amatorów wina.

Uziel spojrzał na zdjęcie.

– Kiedyś sprawdzałem to miasteczko. Powstało i rozrosło się w czasie gorączki złota. Przetrwało tylko dzięki produkcji wina i piwa dla podróżnych.

– Czyli nie dostrzegłeś w nim nic ciekawego –

wymamrotał Samsawell, żując kanapkę. – O co naprawdę chodzi?

Uziel nachylił się i złote włosy opadły mu na twarz.

– To miejsce pomiędzy żywiołami, dobrem i złem, źródłami mocy i wpływami astralnymi. Wszystkie te siły znoszą się wzajemnie jak biegnące w przeciwnych kierunkach fale.

– Del Sombra – powtórzył Mulciber, zbliżając się, by popatrzeć na mapę. – Po hiszpańsku „Z cieni”.

– Idealne miejsce na kryjówkę – dodał Beal.

Skinął głową w stronę Uriego, który położył na mapie plastikowy arkusz. Przezroczyste plamy czerwieni i zieleni zabarwiły ulice i budynki.

– Obszary zielone – wyjaśnił Beal – są kontrolowane lub patrolowane przez siły Ligi. – Uderzył palcem w jeden budynek. – Oakwood Apartments zdaje się znajdować w centrum ich zainteresowania.

Mulciber przejechał sękatą dłonią po plastiku.

– A czerwone obszary... są nasze?

– Umieściliśmy tam agentów, którzy zajmują się wyłącznie obserwacją. Nie podejmujemy żadnych bezpośrednich działań.

– A co to jest? – Samsawell dotknął kilku niewielkich niepokolorowanych terenów, zostawiając na nich rozsypane okruszki.

– Te fragmenty są bardzo interesujące – odpowiedział Beal i zamilkł na chwilę, chcąc uzyskać bardziej dramatyczny efekt. – Myślę, że wywołuje je Louis.

Uziel odrzucił włosy z twarzy.

– Louis nie żyje.

– Tak? – zapytał Beal. – Nikt nigdy tego nie potwierdził. Szesnaście lat temu po prostu zniknął, kiedy wplątał się w historię z tą kobietą z drugiej rodziny.

– Zawsze wydawało mi się to dziwne – dodał Mulciber. – Taka potęga nie może zwyczajnie zniknąć. To byłoby tak, jakby przepadła gwiazda.

Beal znów przywołał Uriego, a ten wyciągnął kolejną tubę, rozwinął ją i nałożył na mapę następny plastikowy arkusz. Pokrywały go drobne linie i pismo klinowe.

– Tutaj mamy wszystkie odkryte przez nas źródła mocy – wyjaśnił Beal. – Zwykle sondowanie i przeciwdziałanie... Z wyjątkiem tego. – Małym palcem uderzył w środek ciemnej plamy stworzonej przez grupę tańczących figurek i spirali.

– To jest rytuał Teofila⁴⁵ – stwierdził Uziel.

– A więc chodzi o jednego z naszych? – zapytał Samsawell.

– Bez wątplenia dokument jest wynikiem naszych knowań – odparł Mulciber. – Ale przekaz pochodzi od śmiertelnika. Ktoś błaga o moc.

– Myślę, że to Louis – powiedział Beal. – Kto inny znałby rytuał? I kto inny znalazłby się właśnie tam... Tak blisko jego dzieci?

⁴⁵ Teofil z Adany (zm. ok. 538 r.), znany też jako święty Teofil Pokutnik. Był duchownym Kościoła bizantyjskiego, który zawarł pakt z diabłem, by zostać biskupem. Później przyznał się do swojego grzechu i wyrzekł się wszelkich związków z szatanem. Gdy prawowity biskup spalił jego piekielny kontrakt, z nadmiaru radości spowodowanej uwolnieniem się od niego Teofil zmarł (lub, jak niektórzy spekulują, jego dusza została porwana do krainy mroku). Rytuał Teofila jest pierwszym udokumentowanym paktem z silami piekielnymi. (Bogowie *pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XIII, *Sity piekielne*, *op.cit.*).

– Ale dlaczego używa ceremonii o tak niskim statusie? – zapytał Samsawell.

– Próbuje dyskretnie wpłynąć na dzieci? – domyślał się Mulciber, pocierając policzek zaciśniętą dłońią.

Uziel się wyprostował.

– Przybyliśmy tu, by dyskutować o chłopcu. Dlaczego interesuje cię Louis? – chciał wiedzieć.

Beal uśmiechnął się.

– Louis, jeśli faktycznie żyje i potrzebuje mocy, jest kluczowym elementem naszego planu.

– Rozumiem, co knujesz. – Oczy Uziela rozbłyły i rzuciły blade niebieskie światło na mapę. – Myślisz, że szesnaście lat temu wielkiego Louisa Pipera dotknęła jakaś tragedia. Nie zginął, ale został... pozbawiony mocy?

– Co z tego? – Samsawell wytarł usta serwetką. Dyskusja tak go pochłonęła, że nawet przestał jeść.

– Wraca, by patrzeć, jak jego dzieci dorastają? Upewnić się, że są bezpieczne? Nie wydaje mi się.

– Bardziej prawdopodobne jest to – odrzekł Mulciber – że krąży wokół nich jak rekin i czeka na okazję, by jakoś ich użyć i odzyskać to, co stracił.

Beal pokiwał głową.

– Proponuję wymanewrować zarówno Zarząd, jak i Radę Ligi. Wykorzystajmy do tego największego manipulatora. Louisa.

– Jeśli rzeczywiście stracił moc – wtrącił Samsawell – Liga i Zarząd mogą nigdy nawet nie zauważyć takiej małej płotki.

– A jeśli jest ojcem chłopca – wyszeptał Uziel i dotknął czarnego obszaru na mapie – to jestem gotów się założyć, że już nawiązał z nim jakiś kontakt... Przygotował

grunt pod własną zdradę.

– Louis chce mocy – powiedział Beal – więc mu ją damy. Możemy też zaoferować amnestię za jego dawne przestępstwa. W zamian za to odciągnie Eliota od Ligi i dostarczy go nam.

– Za łatwe – stwierdził Samsawell, oblizując wargi.

– Louis przygotowuje plany wewnątrz planów, jakby miał do czynienia z matryoszkami. Skąd wiesz, że nie próbuje nas w coś zrobić?

– A jego związki z drugą rodziną? – wymamrotał Mulciber. – Z tą kobietą? Może działają razem?

Beal pokręcił głową.

– Szczegóły są nieistotne. My zawsze jesteśmy zabezpieczeni. Louis jest wyrzutkiem już choćby tylko z powodu związku z tą kobietą. Jeśli jego próby przejęcia chłopca zostaną odkryte przez Ligę lub Zarząd, zniszczą go. A ponieważ będzie działał sam, bez żadnego wsparcia ze strony nieśmiertelnych, dla nas nie będzie to miało nawet najdrobniejszych konsekwencji.

– Zadziała jak chrzaniony bezpiecznik – powiedział Samsawell i wepchnął do ust ostatni kawałek kanapki.

– Więc zgoda? – Uziel popatrzył na towarzyszy.

– Odpowiemy na wezwanie Louisa i złożymy mu ofertę, której nie będzie mógł odrzucić?

Beal się nastroszył. Nie podobało mu się, że Uziel przejął prowadzenie zwołanego przez niego zebrania. Odczytywał to jako nieomylny znak przyszłej zdrady. Zrozumiał, że zaproszenie do spisku kogoś tak bystrego i ambitnego było błędem. Będzie musiał zaaranżować więc jakiś wypadek... Ale o tym pomyśli później, gdy Eliot znajdzie się już w jego rękach.

– Świetny plan – oznajmił. – Ma wszystkie znamiona doskonałości: wymuszenie, porwanie i dwulicowość.

Mulciber nachylił się nad mapą i grymas niezadowolenia zmarszczył jego zniszczoną twarz.

– Czy to może być pułapka na nas? Louis jest sprytny... Zbyt sprytny, by tak łatwo dać się zapędzić w kozi róg.

– Chyba że wszystko już stracił – odpowiedział Samsawell. – Czy nie zaryzykowałbyś wszystkiego, jeśli nie miałbyś niczego do stracenia?

Zamilkli i zamyślili się. Beal wyczuł ich opór i nawet jego ogarnęły wątpliwości. To Louis stanowił problem. Nawet pozbawiony mocy wciąż dysponował ostrą jak żyłotka przenikliwością. W przeszłości już tyle razy zrobił z nich durniów. Wielki Kłamca nigdy nie będzie bezbronny. Zawsze będzie niebezpieczny.

Uri odchrząknął.

– Mój panie, Louis ma coś do stracenia – wyszeptał.

Beal odwrócił się do służącego, który do tej pory stał tak cicho, że Pan Istot Skrzydlatych prawie o nim zapomniał. Spojrzał na jego ciało potężne niczym góra i zrozumiał, że Uri może rzeczywiście zaferować rozwiązanie ich dylematów.

– Mów dalej – zachęcił go.

– Może stracić syna i córkę – wyjaśnił Uri. – Jeśli rzeczywiście od dawna już pozbawiony jest mocy, uczucia mogły go jeszcze dodatkowo osłabić. Może mu nawet zależeć na tych dzieciach.

Na twarzy Mulcibera pojawiło się szyderstwo. Beal

przysunął się do Uriego.

– Tym lepiej dla nas. Możemy zagrozić jednemu lub drugiemu, by wpłynąć na Louisa. – Beal położył dłoń na masywnym barku Uriego. – A skoro masz takie zrozumienie dla tej emocjonalnej słabości...

Beal sięgnął do kieszeni i wyciągnął pieczęć mocy Zarządu Piekielnych. Była to kula wielkości piłki do koszykówki. Z jednej strony ozdabiała ją starożytna ikonografia i klejnoty reprezentujące różne klany. Ale wzór zmieniał się w zależności od tego, jak wzmacniały się lub osłabiały polityczne wpływy poszczególnych frakcji. W tej chwili szafirowa kropla Beala znajdowała się w centrum tej połyskliwej konstelacji. Wokół niej krążyły pozostałe kamienie, wśród których brakowało diamentu Louisa.

– Będziesz naszym reprezentantem – oznajmił Beal Uriemu. – Zawrzesz układ z Louistem... czy też z istotą, którą teraz się stał.

Uri wzdrygnął się.

– Panie, to dla mnie zaszczyt – powiedziała, ale w jego donośnym głosie zabrzmiał lekki strach, co sprawiło Beala w zadowolenie.

Jeśli Uri wpadnie w pułapkę lub inne klany odkryją jego plany... Cóż, Beal zapewni, że jego sługa działał tylko we własnym imieniu albo, nawet lepiej, w imieniu Sealiah. W końcu kto potrafił oprzeć się jej urokowi?

Samsawell machnął w stronę Uriego kanapką z szynką i serem.

– Powodzenia, stary!

Beal zaś nachylił się do niego.

– Uważnie słuchaj jego kłamstw – wyszeptał.

– Wskażą ci drogę do prawdy.

– Tak, panie.

Uri wycofał się ku krawędzi koła. Z potężnym westchnieniem wstąpił między cienie i zniknął.

GRATKA DLA GLUPCA

Louis dotknął szyby. Wszystkie okna w swoim mieszkaniu w piwnicy pomalował na czarno, więc teraz widział jedynie gładką powierzchnię farby. Ale wyczuwał nuty drgające na szklanej tafli i wiedział, że układały się w piosenkę dla dziewczyny o imieniu Julie.

To była cudownie smutna melodia, która kończyła się niespodziewanym nawrotem ku nadziei. On sam nigdy by się na coś takiego nie odważył. Eliot miał potencjał. W przyszłości mógł się stać nawet lepszy od niego. Jego własny syn.

Serce Louisa mogłoby eksplodować z dumy, gdyby posiadał ten organ. Ale cóż by mu teraz przyszło z serca? Louis Piper, niegdyś potężny, był teraz podobny ziarnku piasku. Czy jednak nawet piasek nie może się odmienić? Pod wpływem temperatury i ciśnienia mógł przeistoczyć się w marmur i stanowić filar społeczeństwa. Z takiego materiału zbudowano już niejedno imperium! Czyż wciąż nie był jednym z najdoskonalszych blagierów? Wielkim Kłamcą? Ojcem najbardziej subtelного fałszu? Być może... Odwrócił się od okna i przyjrzał się swojemu dziełu. Jeszcze wczoraj to mieszkanie w piwnicy pod księgarnią o nazwie Uczniowie Światła wypełniały seledynowe meble z lat siedemdziesiątych, a na podłodze leżał pomarańczowy chodnik. W nocy Louis pomalował okna. Wszystkie elementy wystroju cisnął do kuchni. Do

podłogi przykleił papier pakowy i pokrył go symbolami i małutkimi znakami pisma klinowego, nie do końca przypominającymi bazgroły szaleńca, choć osoba zupełnie zdrowa na umyśle, patrząc na nie wystarczająco długo, zobaczyłaby linie unoszące się w powietrzu oraz zanurzające w cementowej posadzce.

Rozciągnął zdrętwiałą rękę. Powinien użyć krwi zamiast pisaka, ale w ciągu ostatnich piętnastu lat odkrył granice swoich możliwości – jedną z nich była niewątpliwie utrata pół litra krwi. A poza tym, jeśli ktoś się zjawi i zacznie mu to wypominać, już sam ten fakt będzie można uznać za zwycięstwo.

Rytuał Teofila należał do najniższych metod przywołania – był ledwie szeptem puszczone w eter. Louis jednak nie śmiał zrobić niczego więcej. To prawda, będzie potrzebował pomocy, by przetrwać nieuchronne starcie między rodzinami, ale pomoc zawsze miała cenę, a on posiadał tak niewiele.

Tak naprawdę liczył na to, że na jego wołanie odpowie jakiś mało istotny cień, głupiec, którego łatwo da się oszukać. A tutaj minęło już sześć godzin, odkąd skończył rysunek, i nic. Dlaczego to trwało tak długo? A może nie miał wystarczającej mocy, by choć krzyknąć o pomoc tak jak upasiona i utykająca owca?

Popatrzył na swoje dłonie. Ciało i krew – takie słabe. Dziw, że zdołał przetrwać tak długo po tym, jak z takim zacięciem próbował się zabić alkoholem i nędzą. Jak ludziom udaje się przetrwać? Chociaż oczywiście w ostatecznym rachunku nikomu to się nie udaje.

Louis zaśmiał się i wyciągnął ramiona w dramatycznym geście, pozując przed nieistniejącą

publicznością.

– Jakim dziełem jest człowiek – wykrzyknął z przesadą. – Jak szlachetnie rozumującym! O jak nieskończonych możliwościach! W kształcie i ruchach jak doskonale zgodny ze swym przeznaczeniem i zachwycający!

– Jak anielski w postępkach swych! – odezwały się cienie, kończąc za niego monolog Hamleta.

– Aa – powiedział, odwracając się ku ciemności.

– Wiedziałem, że tej ironii nie będzie się można oprzeć.

– Ale uśmiech zamarł na jego twarzy.

Instykt dobrze mu służył w przeszłości. Potrafił ukryć jego emocje, podczas gdy umysł rozpracowywał nieprzewidziane komplikacje. Tyle że tym razem to nie były zwyczajne komplikacje. Tym razem chodziło być może o jego życie.

Fragment cienia oderwał się od mroku i przekroczył granicę linii i symboli, których zadaniem było zapobieżenie właśnie czemuś takiemu. Ciemność przemieniła się w mężczyznę o barach dwukrotnie szerszych niż u zawodowego zapaśnika i większej ilości mięsa wypychającej czarną wiatrówkę oraz dresowe spodnie, niż można znaleźć w całym stadzie bydła hodowlanego. Jego samońskich rysów nie można było pomylić z nikim innym.

Urakabameel, Pan Cieni i Szeptów, pies Hadesu, szef wywiadu Królowej Maków i... daleki kuzyn Louisa. Mógł go zmiażdżyć jednym napięciem bicepsa i zapewne w takim celu go tu przysłano. Jego pani należała do najbardziej zawziętych wrogów Louisa. Dobrze choć, że

sama się tu nie pojawiła. To byłoby doprawdy bardzo upokarzające, gdyby jej nieodparta uroda zmusiła go w tej niechlujnej śmiertelnej skorupie – do upadnięcia przed nią na twarz. Ale Uri... Dawniej Louis wielokrotnie go przechytrzył. Do tego nie potrzebował specjalnych mocy.

– Witaj, kuzynie – powiedział, a jego głos brzmiał tak normalnie, jakby spotkał Uriego przypadkiem w parku. – Niech wszystko niszczy pod twoim dotykiem⁴⁶.

Po twarzy Uriego przemknęło zaskoczenie.

– Kłamstwa i pozdrowienia również dla ciebie, kuzynie. – Jego usta wykrzywiła odraza. – A więc to prawda. Żyjesz. – Pociągnął nosem. – Ale jako śmiertelnik?

– I to, kiedy wszyscy myśleli, że nie mogę już upaść niżej... – Louis lekko skłonił się przed Urim. – Uwielbiam rozczarowywać rodzinę.

Też wciągnął powietrze nosem, choć nie tak ostentacyjnie. Wyczuł woń smażonego kurczaka, palącego się metalu i gangrenowaty zapach Salicerana, zatrutego ostrza Sealiah. Dziwne, że pozwoliła Uriemu nosić swój najcenniejszy skarb.

– Domyślam się, że w czasie mojej nieobecności sytuacja w domu rozwinęła się w bardzo interesujący sposób. A może przybyłeś tu wyłącznie z powodu jakiejś nieważnej osobistej wendety?

– Interesujący, tak – zagrmiał Uri. – Wendeta

⁴⁶ Tradycyjne powitanie-pożegnanie Piekłnych. Zdanie to jest często kierowane przez rodziców do niegrzecznych dzieci: „Czy musisz niszczyć wszystko, czego się dotkniesz?”. Wielu znawców łączy je również z współcześnie coraz rzadziej występującą odpowiedzią: „Diabeł mnie podkusił” (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XIII, *Sily piekielne*, *op.cit.*).

niestety nie. Jest interes.

– O? Jaki interes może mieć do mnie, skromnego ziarenka piasku, Królowa Maków?

Uri wzdrygnął się, jakby nawet wzmianka o niej stanowiła fizyczny cios. Spróbował, niezbyt zręcznie, zmienić temat:

– W jaki sposób stałeś się... – machnął potężną dłonią – ... taki?

Louis zwlekał z odpowiedzią, zastanawiając się, czy mógłby wymyślić wystarczająco dobre kłamstwo, ale w końcu uznał, że prawda najlepiej posłuży do tego, by zagmatwać obraz.

– Zupełnie prosto: zakochałem się w kobiecie. Jestem pewien, że dotarły do ciebie plotki na ten temat. To właśnie ona wyrwała, metafizycznie i metaforycznie, moje serce. Domyślasz się zapewne, jakie było moje zaskoczenie, kiedy odkryłem, że rzeczywiście go potrzebowałem.

– Rozumiem – powiedział Uri, oczywiście niczego nie pojmując.

– Wiem, że znasz to uczucie, kiedy przygody miłosne zyskują kwaśny posmak.

Brwi Uriego złączyły się w jedną linię. Zapach drobiu stał się bardziej intensywny i Louis przypomniał sobie, gdzie ostatni raz czuł dokładnie taki cierpki ptasi odór.

– Beal – wymamrotał. – A więc przychodzisz w jego imieniu? Co też się przydarzyło twojej ukochanej królowej?

Oczy Uriego rozwarły się szeroko, a jego dłonie zacisnęły się w pięści. Zrobił krok do przodu, marszcząc

papier pakowy na podłodze, i Louis poczuł siłę i wściekłość, jakie były od Samończyka.

– Zawsze za dużo gadałeś, Louis – rzucił Uri, po czym złapał Louisa za ramię, ścisnął je i uniósł go nad głowę.

Kości napreżyły się i trzasnęły. Nie złamały, ale też na pewno nie pozostały nienaruszone. Uśmiech znowu wrócił na twarz Louisa.

– Wybacz, kuzynie – wy stękał. – Wspomniałeś o interesie?

Uri syknął, jeszcze raz naciągnął wątłe ciało odnalezionego krewnego – łamiąc przy tym kilka żeber – i wreszcie uwolnił go z uścisku. Louis padł na kolana. Podziwiał Uriego, naprawdę, ale był on tylko tępym narzędziem, a nie wyrafinowanym skalpelem. A to potwierdzało zaangażowanie Beala. Kto inny byłby na tyle nierozsądny, by przysłać tu Uriego? A więc Uri należał teraz do Beala, a to wskazywało na istotne zmiany w układzie sił w rodzinie.

– Czyli twój nowy pan znalazł się w Zarządzie?

– wyszeptał Louis, próbując wstać.

Uri skrzyżował ręce na piersi, szeleszcząc wiatrówką.

– Jak zawsze jesteś cwany – zawarczał. – **Tyle** że tym razem spryt na nic ci się nie zda.

– Przewodniczący Zarządu?

Odraza zmroziła rysy Uriego. Z pozostałymi kuzynami i kuzynkami Louis potrafiłby sobie poradzić. Niechętnie przyznawał nawet, że zdrady i knowania niektórych z nich wzbudzały jego szacunek. Ale Beal? To będzie problem. Ten tyran nie miał za grosz stylu.

Uri rozpiął kurtkę i zatopił całe ramię w jej wewnętrznych fałdach. Louis zdołał zobaczyć Salicerana w futerale na wysokości serca Samończyka. Broń, która zakończyła żywot tyłu papieży i królów, tak mordercza, że zniszczyła i tytanów, i okropne potwory, zredukowana do roli miłosnej pamiątki? Louis pomyślał, że Królowa Maków potrafiła docenić ironię.

Uri wyciągnął składane krzesło dla Louisa i zniszczony stolik do kart. Ustawił je na podłodze.

– Interes – powiedział i rzucił na blat teczkę z dokumentami.

– Czego życzysz sobie Zarząd? – zapytał Louis, siadając. – Mojej duszy? Wiecznej, niewzruszonej wierności? Czy ja również mam się stać jego kukielką?

Biedny Uri. Drażnił go jak pitbulla zamkniętego po drugiej stronie ogrodzenia. Niebezpieczna zabawa, ale jakże przyjemna.

Uri usiadł na podłodze i rzucił mu groźne spojrzenie. Ich głowy znalazły się teraz na tej samej wysokości. Samończyk otworzył teczkę i wyjął fotografie Eliota i Fiony Postów.

– Główne nasze zainteresowanie skupia się na chłopcu.

Rodzina wiedziała o jego dzieciach? Obraz sytuacji w jego umyśle natychmiast się zmienił. Zobaczył siebie jako małą obręcz pomiędzy dwoma o wiele większymi kołami zębatymi reprezentującymi jego rodzinę i Ligę. Musiał uzyskać lepszą pozycję, inaczej wkrótce go zmiążdżą.

– Co dokładnie masz do zaoferowania? – zapytał Louis.

Uri zaśmiał się i głęboki łoskot zakolysał żołądkiem Louisa jak fala mdłości.

– Wszystko jest z tobą takie łatwe. Jesteś tylko człowiekiem. A czego pożądamy wszyscy ludzie? Władzy? Sławy? Bogactwa?

– Tak... – wymamrotał Louis, licząc na to, że kupi sobie kilka sekund do namysłu.

Niezależnie od tego, w jak złym znajdował się położeniu, zawsze umiał się wykręcić i ze sterty gnoju wynurzyć pachnący różami. **Tylko** raz mu się to nie udało, ale tamto niepowodzenie wiązało się z miłością – ze swej natury zawsze zdradziecką. Tak naprawdę więc wcale się nie liczyło. Musiał wziąć też pod uwagę swoją reputację. Nie mógł pozwolić na to, by kuzyn przewyższył go w zwykłym targowaniu się o władzę. Jak miałby potem spojrzeć na siebie w lustrze?

Zamrugął i popatrzył na zdjęcie Eliota. Pochodziło mniej więcej sprzed roku. Chłopiec był tak bardzo młody i utalentowany. Louis ledwo powstrzymał się, by nie dotknąć fotografii.

Co się działo? Czyżby żał mu było chłopca? Nieprawdopodobne! I niepokojące. Ale jakieś nowe uczucie zalegało mu w brzuchu jak sflaczały i nieprzyjemny ciężar – nieokreślone pragnienie ochrony Eliota.

– Moc – wyszeptał Louis, nie odrywając wzroku od fotografii. – Uczyń mnie najpotężniejszym na świecie mistrzem czarnej magii.

Uri westchnął z rozczarowaniem.

– Oczekiwałem czegoś więcej od Wielkiego Kłamcy.

– Zanurzył rękę wewnątrz kurtki i wyciągnął laptop.

– Niech i tak będzie. Staniesz się najpotężniejszym śmiertelnikiem na świecie.

Oczywiście, śmiertelnikiem – w tym leżał problem.

– A czego dokładnie Zarząd chce w zamian?

Uri zaznaczył kilka okienek na ekranie laptopa, wypełniając formularz kontraktu.

– Chcą, żebyś dostarczył im chłopca w stanie nietkniętym zarówno na ciele, jak i duszy, i gotowego na zwykłe rytuały.

Zwykłe rytuały usuną Eliota z Del Sombry. Jeśli jest człowiekiem, jego ciało i dusza rozedrą się na strzępy. Jeżeli natomiast należy do rodziny, obrzęd przypieczętuje jego los i przemieści go do innej sfery, gdzie czekał na niego Beal, który zapewne miał wobec niego konkretne plany.

Na ułamek sekundy Louisa ogarnęło pragnienie, by kopnąć w stolik, chwycić Uriego za gardło i zażądać, by zostawił jego dzieci w spokoju. Co za głupi pomysł. Był świadomy, że jego intelekt stracił zwykłą ostrość – w końcu teraz stały za nim tylko zwykłe ciało i krew, na dodatek otumanione przez lata picia. Ale nie mógł tak zupełnie zignorować tych nowych uczuć.

– Coś ci się nie podoba? – Na ustach Uriego pokazał się leciutki uśmiech.

Jeśli Louis zrezygnowałby z negocjacji, siatka między nim a pitbullem zniknęłaby i Uri z wielką przyjemnością rozszarpałby go na kawałki.

– Po prostu rozważam różne opcje. Jakie są terminy?

– Przekazanie chłopca musi nastąpić nie później niż trzy dni od dzisiaj, przed zachodem słońca. W przeciwnym razie uznajemy, że nie wywiązałeś się z umowy. Konsekwencje będą takie jak zwykle.

Louis niedbale machnął ręką.

– Tak, jasne. Zaciągnięcie duszy do piekła. Wieczne potępienie. Bla, bla, bla. – Nachylił się, próbując odczytać znajdujący się do góry nogami kontrakt. – Bardziej interesowałby mnie termin otrzymania zapłaty.

– Jaki termin zapłaty? – Zdezorientowany Uri podniósł głowę.

– Nie spodziewasz się chyba, że gołymi rękoma wyrwę chłopca spod ochrony agentów Ligi? Proponowałbym połowę teraz, drugą w momencie przekazania.

Uri prychnął.

– Masz swój spryt, Kłamco. Zawsze ci wystarczał. Gdybyś dostał połowę władzy, zacząłbyś kręcić i nie moglibyśmy ci ufać.

Louis rozłożył ręce w bezradnym geście, odżegnując się od oskarżeń.

– Czynisz mi zaszczyt tymi aluzjami, kuzynie, ale muszę dostać połowę. Jeśli zadanie jest takie łatwe, dlaczego w ogóle mnie do niego zatrudniacie?

Uri uderzył palcem w zdjęcie Eliota.

– Dlatego, że on cię zna. Ufa ci.

– Tak, oczywiście... Potrzebna wam zdrada. – Z jakiegoś powodu wypowiedzenie tych słów sprawiło Louisowi przykrość.

Uri przerwał wypełnianie kontraktu, jakby wyczuł, że coś było nie tak.

– Czy masz z tym jakiś problem? **Tyle** razy zdradziłeś nas w przeszłości.

– Ależ skąd. – Louis wyszczerzył zęby w swym najbardziej przekonującym uśmiechu. – Jaki problem? Jedyne, jaki dostrzegam, to nasze negocjacje, które najwyraźniej znalazły się w...

– ... impasie. – Uri odłożył laptop.

Przez chwilę patrzyli się na siebie wrogo. Powietrze stało się ciężkie i nieruchome.

– Nie zostawiasz mi żadnego wyboru, kuzynie. – Uri zaczął zdejmować kurtkę, by nie pobrudzić jej krwią. Rachunek z pralni w przypadku tego odzienia i jego nieskończonych wewnętrznych fałd byłby niewątpliwie kolosalny.

– Brutal jak zawsze. – Louis pokiwał palcem w stro* nę Uriego i położył na stole dwie kostki.

Uri zamarł.

– Skoro nie możemy dojść do porozumienia – powiedział Louis – rzućmy kośćmi.

Uri zagarnął dłońią sześciany. Z kurtki wyjął suwmiarkę i wagę, by sprawdzić ich rozmiar i wagę.

– Dobrze. Standardowe reguły: jeśli przegram w pierwszym rzucie, dostaniesz, czego chcesz.

Louis otworzył usta, by zaprotestować. Standardowe reguły znaczyły, że w pierwszym rzucie można było przegrać tylko w razie wyrzucenia albo pary jedynek, albo pary szóstek. Marne prawdopodobieństwo. Ale za chwilę zdał sobie sprawę, że Uri wcale nie musiał się zgodzić na jego propozycję i że w istocie wykazał się wielką wyrozumiałością. Tradycja rzutu kośćmi przy zawieraniu umowy obowiązywała tylko wśród członków

rodziny... a z tego statusu Louis musiał niechętnie zrezygnować, gdy dołączył do rasy ludzkiej.

Więc dlaczego Uri w ogóle ofiarowywał mu szansę? Chciał mu dać jakąś przewagę nad Bealem? Czy lojalność do ukochanej Królowej Maków wzięła w nim górę? Ale to pośrednio uczyniłoby Louisa pionkiem Sealiah. Chociaż to aż tak bardzo mu nie przeszkadzało. Pionek znajdował się w grze, a to był już ogromny postęp w porównaniu z jego sytuacją sprzed kilku dni, kiedy siedział w jakiejś alejce i szczał pod drzewem, ochlapując sobie buty.

– Zgadzam się – oznajmił Louis. – Sprawdźmy, czy los uśmiechnie się do głupca.

Uri wyszczerzył zęby, potrząsnął kośćmi, a poruszenia jego masywnych ramion wywołały powiew powietrza. Rzucił kości w stronę ściany, od której odbiły się z trzaśnięciem i potoczyły po podłodze. Wreszcie się zatrzymały. Oczy węża.

– Przegrałem – oświadczył Uri, wcale tym nieporuszony. – Wygrałeś.

Louis uśmiechnął się szeroko jak idiota. Dostanie połowę mocy. Wreszcie będzie mógł zrobić coś więcej, niż tylko czaić się w bocznych uliczkach. Ale gdy spojrzał na zdjęcia Eliota i Fiony, jego uśmiech zamarł. Coś przeszło go w miejscu, gdzie niegdyś znajdowało się jego serce.

Co takiego zrobił?

POŚRÓD OLBRZYMÓW

Fiona postawiła nogi na ziemi i zdjęła pożyczony kask. Potrząsnęła włosami.

W jej ciele wciąż aż dudniło od jazdy wzdłuż wybrzeża. Harley Roberta poruszał się z szybkością i mocą rakiety. Kiedy jechali, przyłgnęła do chłopaka, przerażona, ale też podekscytowana.

Odebrał ją z pizzerii zaledwie piętnaście minut temu i było po prostu niemożliwe, żeby przez ten czas dotarli aż tak daleko. Podobnie jak w przypadku jazdy limuzyną wujka Henry'ego zdawali się nie przemieszczać jakoś wyjątkowo szybko. Miała raczej wrażenie, że wszystkie inne pojazdy na nabrzeżnej autostradzie zwolniły w stosunku do nich.

Bardziej jednak niepokoiło ją to, w jakim stanie Julie i Eliot wrócili do restauracji po przerwie na kawę spędzonej w Różowym Króliku. Na twarzy Julie widać było ślady łez, a Eliot wyglądał na kompletnie zdezorientowanego (zresztą jak zwykle). Fiona chciała zapytać, co się stało, ale w tej samej chwili pojawił się Robert i... pojechała z nim.

Robert zsiadł z motocykla i rozciągnął swoje odziane w czarną skórą ciało. Wszystkie inne myśli wyparowały z umysłu Fiony. Miała ochotę znów do niego przywrzeć i poczuć zapach jego kurtki.

Czy to naprawdę była randka? Ostatnio tyle rzeczy

się wydarzyło, a większość z nich wymykała się rozumowi. Ale czy naprawdę musiała wszystko rozumieć, by czerpać z tego przyjemność? Jeśli to rzeczywiście była jej pierwsza randka, nie miała zamiaru jej zepsuć. Odruchowo przejechała palcami po włosach, rozczesując końcówki. Zmusiła się, by przestać. Nie chciała wyglądać jak zdenerwowana dziewczynka.

– Tędy. – Robert skierował się w stronę ścieżki.

Wokół niewielkiego, wysypanego żwirem placu, gdzie zaparkowali, rozciągał się las cieni, paproci i dzikich kwiatów. Na znaku obok znajdował się napis: „Park Narodowy Redwood, ścieżka edukacyjna, 1km (pętla)”.

– Chwileczkę – powiedziała Fiona.

Postawiła torbę na siodelku motocykla i sięgnęła do środka po czekoladki. Potrzebowała tylko dwóch czy trzech, by dodać sobie energii. Ale jej dłoń zawahała się, zanim otworzyła pudełko w kształcie serca. Czy naprawdę *ruf* mogła się bez nich obejść? Nigdy wcześniej nie czuła takiej pewności siebie. Nigdy wcześniej nie potrafiła rozmawiać z kimś, kto nie był babcią, Cee lub jej bratem. Czy naprawdę się zmieniła, czy to tylko efekt zwiększonej dawki cukru w organizmie? A co, jeśli ona nie ma z tą odmianą nic wspólnego? Co się stanie, gdy zawsze pełne pudełko z czekoladkami... opustoszeje? Może nadszedł czas, by się przekonać.

Zapięła torebkę i ruszyła za Robertem.

Kiedy znaleźli się na szlaku, hałas dochodzący z drogi zupełnie ucichł. Zastąpiły go bzyczenie owadów, śpiew ptaków i ledwie możliwy do uchwycenia dźwięk poruszającego się powietrza.

Fiona widziała zdjęcia ogromnych drzew w

książkach, ale teraz, z bliska robiły na niej zupełnie inne wrażenie. Te sekwoje były gigantyczne i zdawały się milcząco patrzeć na nią.

– W górach rosną jeszcze potężniejsze – wyjaśnił Robert nabożnym szeptem – ale te są najwyższe na świecie. Niektóre osiągają prawie sto metrów.

Z powagą szli wzdłuż ścieżki. Fiona przekrzywiła szyję, usiłując dostrzec czubki drzew. Korony wiecznie zielonych sekwoi przesłaniały całe niebo. Między pniami wznosiła się mgła, potęgując wrażenie Fiony, że znalazła się we własnym świecie, zamknięta tu jedynie z Robertem.

– Pewnie zachowuję się jak kompletny kretyń cytujący fakty z encyklopedii.

– Wcale nie – powiedziała Fiona, z głową wciąż zwróconą ku górze, a nie jak zwykle ku własnym stopom. – Lubię słuchać takich rzeczy.

Potknęła się. Robert złapał ją i nagle ich twarze znalazły się tuż obok siebie. Ziemia jakby zawirowała, a serce Fiony zaczęło mocno walić. Chłopak wciągnął szybko powietrze, zawahał się i po chwili pomógł jej się podnieść.

– Przyjeżdżam tu, kiedy mam trochę wolnego czasu – powiedział. – To miejsce mnie uspokaja.

Spokój był ostatnią rzeczą, jakiej Fiona doświadczała w jego ramionach. Ale nagle wrażenie bliskości przysło. Robert jakby przypomniał sobie o dzielących ich różnicach, zupełnie jak już raz wcześniej... na ulicy przed mieszkaniem. Co on jej wtedy powiedział? Że jest tylko kierowcą i że istnieją reguły dotyczące gości takich jak on i dziewczyn takich jak ona?

Fiona nie chciała zepsuć nastroju i zrujnować

swojej pierwszej randki, ale Robert wiedział o tylu sprawach i wcale nie wzbraniał się przed ich ujawnianiem. Byli sami, z daleka od babci i wujka Henry'ego. Co miało dla niej większe znaczenie? Zburzenie nastroju i uzyskanie wiarygodnych informacji o rodzinie? Czy próba podtrzymania romantycznych złudzeń?

Oblizła wargi, desperacko tęskniąc za choćby kęsem cynamonowej truflki. Znów spojrzała na przypominające wieże drzewa. Olbrzymy podobne do wujka Aarona, babci i pozostałych członków Rady, bacznie przypatrujących się każdemu krokowi Fiony i Eliota.

– Czy poza mną i Eliotem w rodzinie są jeszcze jakieś inne dzieci?

Robert zamrugał i przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie jestem pewien. Liga ma mniej więcej setkę członków.

– Liga? Czy to nasza rodzina?

– Liga Nieśmiertelnych.

– Ale tak naprawdę oni nie żyją wiecznie...

– To brzmi jak szaleństwo, ale chyba jest prawdą. Mają ogromną wiedzę i możliwości. – Robert odwrócił wzrok, nie mogąc wytrzymać jej przenikliwego spojrzenia.
– Ale dzieci... nie... przynajmniej ja żadnego nie spotkałem.

– A wcześniej? Henry i babcia wspomnieli o jakichś dzieciach z przeszłości. Podobno im też przydarzyły się nieprzyjemności.

Robert obejrzał się do tyłu.

– Powinnaś znać prawdę. Próby Rady są bardzo

ważne. Zależy od nich wasze życie i śmierć.

Fiona zastanawiała się, co groziłoby Robertowi, gdyby wydało się, że jej to mówi. Co zrobiłaby mu babcia, gdyby go zobaczyła z nią w tym lesie i usłyszała, jak zdradza rodzinne tajemnice?

Powietrze, a razem z nim krążąca wokół mgła znieruchomiały.

– Przed tobą i Eliotem byli inni – wyszeptał Robert.

– I gdzie są? Myślisz, że moglibyśmy z nimi porozmawiać?

– Przecież powiedziałem „byli”. Nie żyją. Albo dorośli i już od dawna należą do Ligi.

Mgła sprawiła, że zrobiło jej się zimno. Przysunęła się do chłopaka i poczuła bijące od niego ciepło.

– Więc niektórzy przeżyli?

Robert wyciągnął ku niej rękę, ale powstrzymał się przed dotknięciem jej policzka.

– Nie chcę owijać w bawełnę. Na każde dziecko, które przeżyło wystarczająco długo, by znalazło swoje miejsce w historii – Herkulesa, Horusa, Tantalą – podobno przypadają setki, może tysiące takich, którym się nie udało.

– Babcia trochę mi opowiadała – wyszeptała Fiona.

– Porwania, otrucia...

Poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Naprawdę potrzebowała teraz swoich czekoladek.

– Może powiedziałem zbyt dużo – zaniepokoił się Robert.

– Nie. – Ścisnęła jego dłoń. – Rozumiem. I dziękuję, że nie kłamałeś.

Jego ostrzeżenia były bardzo cenne, ale po prostu

nie mogła już dłużej ich słuchać. Były zbyt przerażające.

A więc ona i Eliot odgrywali rolę pionków przeznaczonych do poświęcenia w miarę rozwoju gry.

Fiona po raz pierwszy dobrze zrozumiała, co jest stawką w tej zabawie. Zanim Robert przedstawił sprawę czarno na białym, trzymała się nadziei, że śmiertelne pogroźki Rady były tylko blefem. Że jedynie próbowano ich wystraszyć. Najwyraźniej jednak były prawdą.

Robert zrobił krok w kierunku Fiony, delikatnie złapał ją pod brodę i pociągnął tak, że jej twarz zwróciła się ku niemu.

– Nie martw się. Macie naprawdę duże szanse. To, co zrobiliście z aligatorem... – Zagwizdał przeciągle.

– Sam nie potrafiłbym czegoś takiego. Większość zawodowych myśliwych nawet by go nie odnalazła.

Fiona przypomniała sobie, co gad powiedział. Że rodzina jej ojca była nawet gorsza od Ligi. Upadłe anioły... Ich istnienie wydawało się jeszcze bardziej niewiarygodne niż bogów i bogiń.

– Są jeszcze inne rodziny? – zapytała. – Takie jak Liga?

Robert przekrzywił głowę w zamyśleniu.

– Tak. Banda hipisów i pisarzy w hrabstwie Seco w Nowym Meksyku, rodzina Scalagari na Sycylii i jeszcze Śniące Rody... Ale żadna nie jest nawet w połowie tak potężna jak Liga.

– A piekielni?

Robert zbladł.

– To są bardzo niebezpieczne typy. Gdzie o nich słyszałaś?

– Między nimi a Ligą jest jakaś rywalizacja,

prawda? A przynajmniej tak można wnioskować z tego, co mówi wujek Henry.

– To nie do końca tak – odpowiedział Robert nerwowo. – Gdyby z sobą rywalizowali, natychmiast przerodziłoby się to w otwartą wojnę. Zawarli układ i z tego, co rozumiem, nie mogą się nawet dotknąć.

– Czy oni mają dzieci?

Robert wzruszył ramionami. Wiatr rozwiął mgłę i odsłonił wysoką drewnianą kabinę stojącą przy ścieżce, która wyraźnie się tu rozszerzała. Na drzwiach zawieszono rysunki chłopca i dziewczynki. Robert skinął głową w tamtym kierunku.

– Pozwolisz? Za minutę będę z powrotem.

– Jasne.

Patrzyła, jak wchodzi do toalety, niemal zadowolona, że choć na chwilę odpocznie od jego towarzystwa. Odkrywanie prawdy okazało się dość brutalne. Nagle zaniepokoiły ją rosnące dookoła drzewa. Wzbudzały respekt swym majestatem. Stojąc tak samotnie pośród nich, miała wrażenie, jakby wszystkie przysunęły się i ścieśniły wokół niej. Poczuli się bardzo mała.

Cofnęła się na drugą stronę szlaku, gdzie leżał zwalony pień o rozmiarach ciężarówki. Przymocowana obok tabliczka wyjaśniała, że takie powalone drzewa, rozkładając się, dostarczały pożywienia młodej roślinności. Wokół pnia owinięta była lina z oznaczonym każdym kolejnym metrem obwodu i umieszczonym na wysokości Fiony oczu plakatem, na którym było napisane:

Sekwoja wiecznie zielona (Sequoia sempervirens) kalifornijska (inaczej nabrzeżna). Obwód: 6 m.

Fiona złapała linę między palce.

A więc musiała stać się kimś takim jak cała reszta rodziny? Musiała zabijać, żeby nie zginąć? A przecież uniknęła rozlewu krwi podczas pierwszej próby. Czy uda jej się to podczas dwóch następnych?

Owinęła linę wokół ręki i zacisnęła ją mocniej.

Ale czy mogła w ten sposób ryzykować? Może lepiej byłoby, gdyby obydwójce zmienili się i żyli dalej? Już niejako pionki? Ale zmienili się w kogo? Chciała, żeby jej życie wróciło do normalności, by znów wypełniały je zadania domowe, praca w restauracji i książki – żadnych prób, morderstw, bogów czy diabłów.

W jej wyobraźni pojawił się na chwilę obraz pobitego i zakrwawionego Eliota. Jej instynktowną reakcją było pragnienie ochrony go. \$

Szarpnęła linę. Sznur nie napotkał żadnego oporu i bez trudu w jednej chwili przeciął pień. Prawie dwudziestometrowa jego część potoczyła się na szlak i tony drewna zaraz wolno wyhamowały, miażdżąc pod sobą żwir.

Robert wyskoczył z toalety. W jednej ręce trzymał komórkę, w drugiej – broń.

– Co...? – Oszołomiony spoglądał to na nią, to na odcięty pień.

– To ja. – Fiona westchnęła i spuściła wzrok.

Znowu czuła się jak jakiś dziwaczny dzieciak. Spojrzała w niebo. Chmury powoli zabarwiały się na żółto i pomarańczowo.

– Lepiej już wracajmy – powiedziała gorzko. – Babcia czeka na mnie w domu.

Jeszcze bardziej zdezorientowany Robert włożył broń do kabury.

- Babcia... no tak.
- Po drodze wyjaśnię ci, co się stało z drzewem.

DALLAS

Eliot pomyślał, że nigdy nie zrozumie dziewczyn.

Kiedy szedł do domu Midway Avenue, Julie kroczyła za nim.

– Mieszkam w Hillcrest Apartments – wyjaśniła, nie zwalniając. – Kilka przecznic za Oakwood Apartments.

Wcześniej Julie zaprosiła go na kawę. Zagrał dla niej serenadę i przez chwilę poczuł jej bliskość. Więc dlaczego potem odepchnęła go i powiedziała, że nie może tego zrobić? Co to mogło znaczyć?

Eliota wychowały kobiety, dlatego można by przypuszczać, że będzie mu łatwiej. Patrzył, jak Julie się porusza. I woryła własną muzykę i wcale nie potrzebowała do tego instrumentu. Załomki jej bladej skóry, napięcie mięśni, każdy płynny ruch, nawet jasne i przypominające puch włoski na jej przedramionach zdawały się śpiewać ku niemu.

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam? – zapytał.

– Z twojego podania o pracę.

Po prostu świetnie. Skoro czytała podanie, wie, że on i Fiona są dziwakami, którzy nie uczęszczają do normalnej szkoły i prawie nigdy nie wychodzą z domu.

Gorący powiew wiatru zatrzepotał jej sukienką. To była najbardziej zachwycająca rzecz, jaką kiedykolwiek widział. Powinien zapytać, dlaczego uciekła z Różowego

Królika. Czy skrywała jakąś okropną rodzinną tajemnicę, o której nie chciała mówić? Eliot gotów był się założyć, że jego rodzina nie pozostałaby w tyle i w odpowiedzi na każdy jej potworny sekret przytoczyłby swój, a potem dołożył jeszcze kilka dodatkowych. Ale czy to miałyby sens? Nie uwierzyłaby mu. On sam z trudem wierzył swoim zmysłom. Gdyby jednak wyznali sobie swoje tajemnice? Może okazałoby się, że druga strona ukrywa podobne sekrety?

A może napędziły jej stracha setki kruków siedzące na ulicy i pokrakujące, co Eliotowi wydawały się prośbami o więcej muzyki. Nie wiedział, skąd się tam wzięły. I właściwie się ich nie bał, ale też nie czuł się do końca bezpiecznie pod spojrzeniami ich czarnych oczu. Kiedy je przegonił, natychmiast poderwały się w górę, wypełniając powietrze piórami i krakaniem.

Zatrzymał się na chodniku. Julie zrobiła jeszcze kilka kroków, przystanąła i odwróciła się do niego.

– Co jest? – zapytała.

– Cokolwiek stało się dziś w barze... chciałem cię za to przeprosić.

Julie otworzyła usta i niemal natychmiast je zamknęła. Wyglądała, jakby znów miała się rozplakać, ale po chwili jej czoło się zmarszczyło.

– Nieważne. Zapomnij.

Znów zaczęła iść, potem zatrzymała się, obróciła i podeszła do niego.

– Cały problem polega na tym, że jesteś zbyt miły – powiedziała, przychylając twarz ku policzkowi Eliota. Jej oczy zamieniły się w szparki, z których emanowała czysta nienawiść. – Czy ktoś już ci to kiedyś powiedział?

– Chciałem tylko pomóc – wyszeptał. – Jeśli to cię rozniewało, przepraszam. Już nie...

Niebieskie oczy Julie znów się odmieniły i teraz rozpałiło się w nich coś zupełnie innego. Coś pierwotnego.

Dotknęła gorącymi ustami jego warg, a jego ręce odnalazły jej talię i przyciągnęły ją bliżej. Zrobił to instynktownie i cała jego dezorientacja zniknęła. Czuł jedynie przepływającą między ich wargami wilgoć. Świat skurczył się na chwilę do niego i Julie, poza nimi była tylko pustka. Nie miał pewności, dlaczego się to działo ani czy zdoła kiedykolwiek zrozumieć dziewczyny, ale wiedział, że lepiej nie zadawać teraz żadnych głupich pytań.

Julie odsunęła się od niego. Uśmiechnęła się i zagryzła dolną wargę. Oddałby wszystko, by móc dalej ją całować, ale rozluźnił uścisk, bojąc się, że upór może ją przestraszyć.

– Tak jak powiedziałam – wymruczała Julie – jesteś zbyt miły.

Zaczęła się do niego przysuwać, ale zawahała się i szybko odwróciła głowę, nasłuchując. Eliot też usłyszał jakiś hałas: dudnienie, które odbijało się echem po całej Midway Avenue.

Julie odsunęła się od niego, zupełnie uwalniając się z jego objęć.

Zza rogu wyłonił się rozpedzony motocykl – zamazana plama czarnego metalu i wijącej się za nim chmury spalin. Pojazd zatrzymał się tuż obok Eliota i Julie.

Na siodełku siedziały dwie osoby. Ta z tyłu zdjęła kask i potrząsnęła włosami. Eliot zobaczył, że Fiona ma

podkrążone oczy i wygląda jak dzikie zwierzę. Ale to naprawdę była jego siostra. Na nadgarstku wciąż miała swoją głupią bransoletkę z gumowej opaski, a na ramieniu torbę z pudełkiem czekoladek.

Fiona rzuciła Julie spojrzenie pełne złości, ale zaraz złagodniała.

– Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że zrobiło się tak późno.

– Nic się nie stało. – Julie zaczerwieniła się, ale nie odwróciła wzroku. – Mieliliśmy tylko kilku klientów. Razem z Lindą poradziliśmy sobie bez żadnego problemu.

Fiona zerknęła na brata. Powstrzymała się od pytań, choć była ciekawa, dlaczego Julie odprowadzała go do domu... I dlaczego obydwójce wyglądali tak, jakby coś przeszkrobali.

– Mam na imię Robert – prowadzący motocykl chłopak zwrócił się do Julie i przekrzywił swój kask.

– Julie Marks. – Dziewczyna wykonała lekkie i czarujące dygnięcie.

Między Robertem a Julie przebiegło coś dziwnego – napięcie, od którego naelektryzowało się powietrze. Przyglądali się sobie trochę dłużej, niż to było potrzebne, i zachowywali się tak, jakby się znali lub – jeszcze dokładniej – jakby sądzili, że powinni się znać. A może Eliot tylko to sobie wyobraził.

– Musimy wracać do domu – powiedział. – Może chcecie pójść z nami?

Robert się wyprostował.

– Nie – odpowiedział szybko. – To znaczy, dzięki, ale pan Mimes pewnie mnie potrzebuje.

Jasne. Eliot (choć wydawało się to niemożliwe)

zapomniał na chwilę o babci i wrażeniu, jakie robiła na gościach.

Julie też gwałtownie pokręciła głową, aż pasma lekko poplątanych loków spadły jej na twarz. Zdmuchnęła je z czoła.

– Muszę iść. Moja rodzina również na mnie czeka. Może innym razem.

Na jej twarzy pojawił się jaśniejszy od słońca uśmiech, w którym Eliot odczytał obietnicę. Skinęła do rodzeństwa, a później spoważniała i spojrzała na Roberta.

– Do zobaczenia – powiedziała i ruszyła dalej Midway Avenue.

– Odezwę się do ciebie. – Robert nachylił się w stronę Fiony, ale zerknął na Eliota... i tylko uśmiechnął się do niej.

Fiona lekko mu pomachała na do widzenia, a on zawrócił motocykl i pomknął z powrotem w dół Midway Avenue.

Po chwili i po Julie, i po Robercie nie było już śladu. Eliot i Fiona stali na pustym chodniku pomiędzy pizzerią a domem, zupełnie jakby wracali z pracy po kolejnym nudnym dniu.

– I jak? – zapytał Eliot. – Udała się przejażdżka?

Fiona wzruszyła ramionami.

– Chyba tak. A jak minął twój dzień? Harówka?

Brzmiało to niby jak zwyczajne pytanie, ale ton Fiony był przesiąknięty jadem.

– Dlaczego tak bardzo nie lubisz Julie? – zapytał Eliot. – Przecież jest dla ciebie miła.

Fiona ruszyła z miejsca.

– Jest też miła dla ciebie. Nie uważasz, że to trochę

dziwne, że zjawiała się mniej więcej w tym samym czasie co wujek Henry i pozostali?

– Myślisz, że jest... naszą kuzynką?

Fiona pokręciła głową.

– Nie, kimś innym. Kiedy na nią patrzę, ogarnia mnie dziwne uczucie.

Tak naprawdę problem tkwił również w tym, że Fiona była zazdrosna. Jak wtedy gdy Louis podarował bratu skrzypce. Lecz Eliot ani słowem nie wspomniał o jej głupich czekoladkach. Na myśl o nich nawet teraz nie mogła się powstrzymać i znów sięgnęła po jedną do torby, wkładając ją do ust tak, by brat tego nie widział.

– Czy nie powinnaś toczyć ich po ziemi, *Scarabaeus sacer* Eliotowi chodziło o żuka, który formował kulkę z zebranych z gruntu odchodów i toczył ją do swojej norki.

Fiona poczerwieniała, ale nie mogła nic odpowiedzieć, bo usta miała pełne czekolady. Brat doskonale wiedział, że znała tę nazwę, i w tej rundzie słownikowych obelg nawet nie liczył na punkt. Ale widok siostry zmagającej się z zapychającą usta czekoladką i tracącej całą przyjemność z jej zjedzenia był sam w sobie zwycięstwem.

Podmuch ciepłego wiatru rozkołysał rosnące w ustawionych wzdłuż Midway Avenue wielkich donicach drzewka brzoskwiń, wrywając kwiatom płatki i unosząc je w powietrze. Wyglądało to, jakby w środku gorącego kalifornijskiego popołudnia zaczął padać śnieg. Coś się jednak nie zgadzało.

Te drzewka przekwitły już dobry miesiąc temu i nawet ich małe przegniłe owoce zdążyły spaść,

zdobiąc asfalt kleksami rodem ze sztuki abstrakcyjnej.

Fiona wreszcie zdołała przełknąć.

– Widzę, że jako *ampulla* varices⁴⁷ jesteś blisko związany ze źródłem pożywienia skarabeuszy.

Eliot wiedział, o co jej chodziło, ale nie myślał już o grze. Coś dziwnego działo się na Midway Avenue.

– Czy ktoś zasadził nowe drzewka? – zapytał.

Fiona popatrzyła do przodu, ale jej uwagę nie zwróciły drzewa, lecz stary Volkswagen beetle stojący przed ich domem.

Samochód nie pasował do tego miejsca. Eliot znał wszystkie auta, które zazwyczaj parkowały na Midway, a to wyróżniało się dodatkowo karoserią pomalowaną we wszystkie kolory tęczy, zbiegające się w znak pacyfki na bagażniku. Na zderzaku widniała nalepka z napisem: „Kochaj swoją matkę” – i obraz Ziemi.

– Wujek Henry? – wyszeptała Fiona.

Popatrzyli po sobie, a potem pognali w stronę bocznych drzwi budynku. Może druga próba właśnie się rozpoczęła, a może babcia przekonała Radę, by ta zwolniła ich z kolejnych testów. Tak czy inaczej Eliot zamierzał pierwszy dotrzeć na górę.

Przepchnął się obok siostry. Nie był wcale szybszy, tylko torba z książkami Fiony zaczęła się o barierkę. Kiedy już raz znalazł się przed nią, nie pozwolił się wyprzedzić, blokując przejście łokciami. Nieładne zagranie. Nie powinien tego robić, ale kiedy pierwszy dotarł do drzwi mieszkania, poczuł się naprawdę dobrze.

Siostra dogoniła go sekundę później.

⁴⁷ *Ampulla* odnosi się do powiększonego kanalika, a *varice* do rozciągniętego żyłaka. W tym kontekście chodzi o żyłaki odbytu, czyli hemoroidy - przyp. red.

Przez chwilę stali, wygładzając ubrania. Fiona zdjęła bransoletkę i schowała ją do kieszeni. W końcu Eliot sięgnął do klamki, ale jego dłoń zatrzymała się w połowie drogi. W środku ktoś się śmiał. Co w ich mieszkaniu nie zdarzało się nigdy. Śmiech brzmiał kobieco, ale z pewnością nie pochodził od babci ani Cee. Był pełen życia.

– To nie jest wujek Henry – stwierdziła Fiona.

– Wchodzimy.

Eliot zacisnął usta i otworzył drzwi.

Zamrugał pod wpływem słonecznego światła wpadającego przez okno w jadalni. Przy stole tak jak wczoraj siedziały trzy osoby: babcia przy jednym końcu, Cee przy drugim... ale miejsce pośrodku tym razem zamiast Roberta zajmowała dziewczyna.

Wygłądała zupełnie swobodnie. Jej spoczywające na stole ręce prawie dotykały dłoni babci, czym ta wydawała się nieco skrzepowana. Dziewczyna była niewiele starsza od Julie. Mogła mieć osiemnaście lat. Jej włosy miały jasny kolor przypominający intensywne promienie słońca.

Na ich widok twarz babci ścięła się w zwykłą dla niej kamienną maskę.

– Wejdźcie do środka – powiedziała, obrzucając ich znaczącym spojrzeniem. – Chciałabym, żebyście poznali waszą ciocię Claudię.

Dziewczyna ożywiła się i skierowała ku nim promienny uśmiech. Jej rysy przywodziły na myśl twarz cioci Lucii albo babci: ta sama gładka skóra, szeroko rozstawione oczy i wysokie, pełne wyrazu czoło. Ale twarz była pełna życia, podczas gdy oblicze babci stężało.

Claudia przeszła przez pokój. Miała na sobie obcisłą wzorzystą bluzkę, minispódniczkę i sandały.

– Mówcie do mnie Dallas. – W jej melodyjnym głosie dało się słyszeć jakiś egzotyczny akcent. Włoski, może rosyjski. – „Ciocia Claudia” brzmi tak – przewróciła oczami – starodawnie.

Dallas wzięła ich za ręce, przyciągnęła do siebie i trochę niezdarnie objęła. Pachniała kwiatami brzoskwini. Potem zrobiła krok do tyłu i uważnie im się przyjrzała. Przejechała palcami po włosach Fiony.

– Jaka śliczna. Musimy później porozmawiać tylko we dwie. Trochę poplotkować, dobrze?

Fiona, zawsze niechętna cudzemu dotykowi, wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Byłoby super.

– I przystojny Eliot! – Dallas przyłożyła dłoń do piersi. – Jestem pewna, że dziewczyny się za tobą uganiają. Złamiesz tak wiele serc.

Eliot też nie mógł powstrzymać uśmiechu. Zupełnie jak wtedy, kiedy poznał wujka Henry'ego. Instykt podpowiadał mu, że może powierzyć jej najbardziej strzeżone sekrety, ale również że – mając odpowiedni powód – mogłaby stać się groźnym wrogiem.

– Chodźcie. – Dallas pociągnęła ich w stronę stołu.

– Chcę wam tyle pokazać. – Rozejrzała się po mieszkaniu. – Audrey, nie masz tu kanapy? A przynajmniej czegoś wygodniejszego?

Zmarszczka na czole babci się pogłębiła.

– Mamy to, co widzisz. Jeśli to miejsce ci się nie podoba, zawsze możesz stąd wyjść.

– Czy naprawdę jesteś naszą ciocią? – zapytała

Fiona. – Siostrą matki? Trudno jest zdobyć jakąkolwiek odpowiedź od kogokolwiek w tej rodzinie.

Dallas znów się roześmiała, przyprowadzając Eliota o gęsią skórkę.

– Sama bym tego lepiej nie ujęła. Ta rodzina słynna jest raczej ze swoich pytań, a nie odpowiedzi. Ale tak, jestem młodszą siostrą twojej matki. Chcesz, żeby ci trochę o niej opowiedzieć?

Ile mogła mieć lat? Wyglądała na młodą, ale jeśli Robert mówił prawdę, ci ludzie nie starzeli się jak wszyscy inni. Dallas równie dobrze mogła właśnie skończyć osiemnaście, jak i sto osiemnaście lat.

– Dzieci nie mają czasu na takie bajki – wtrąciła babcia.

Uśmiech zniknął z twarzy Dallas.

– Jak sobie życzysz, „babciu”. W takim razie przejdźmy od razu do konkretów.

Znów wzięła Eliota i Fionę za ręce i pociągnęła w dół. Usiedli na podłodze pośrodku promienistego kwadratu.

– Nauczę was czegoś – wyszeptała Dallas konspiracyjnie. – Może się to wam przydać podczas kolejnych prób.

– Bezpośrednia pomoc jest zabroniona – powiedziała babcia, podnosząc się z krzesła.

– Myślę, że w tej kwestii najważniejsze jest zdanie Rady. A z nas dwóch to ja jestem jej członkiem, więc... ciii.

Babcia z powrotem usiadła, ale wyglądała na bardzo rozdrażnioną.

– Poza tym – kontynuowała Dallas – chcę im

pokazać coś, co już chyba znają. Skoro są dziećmi mojej siostry, to powinno być ich częścią tak samo jak kości czy krew.

– Semantyka – zagderiała babcia.

Dallas nie zwracała na nią uwagi. Odwróciła się do Fiony i Eliota.

– To prosta i naiwna sztuczka, ale pomocna w zaskakująco wielu sytuacjach.

Wyciągnęła nitkę z postrzępionego rąbka swojej minispódniczki.

– Co chcesz z nią zrobić? – zapytała Fiona przestraszonym głosem.

Dallas owinęła nić wokół małych palców u rąk.

– O, zupełny drobiazg. Odczytać przyszłość.

Eliot popatrzył na nić i poczuł poruszenie w żołądku, wibracje, które zmusiły go do zaciśnięcia zębów.

– Spokojnie. – Dallas poklepała go po dłoni. – To jest jak trik iluzjonisty czy wróżba Cyganki. Rozmowa z prymitywną częścią twojego mózgu, która nigdy nie nauczyła się mowy.

Eliot spróbował się trochę zrelaksować, ale wobec tych wszystkich dziwnych rzeczy, które już się wydarzyły, wcale nie był pewien, czy nić nie zamieni się za chwilę w węża, balon w kształcie jakiegoś zwierzaka albo podpaloną laskę dynamitu.

– Popatrzcie uważnie – zachęciła Dallas. – Poddajcie się rytmowi...

Eliot i Fiona pochylili się. Nić składała się ze skręconych białych bawełnianych włókienek. Rozbłysła w słońcu, przypominając złoto i pomarszczoną powierzchnię wody. Eliot skupił na niej całą uwagę, tak że reszta

mieszkania zdawała skrywać w cieniu.

– Pozwólcie nici poprowadzić wasze spojrzenia i przesunąć się od tu do tam, od teraz do później.

– Szept Dallas dotarł do niego z wielkiej odległości.

Przesunął wzrok i zobaczył, że pojedyncza nić włącza się w większy splot – sieć połyskującą srebrem i rdzą przypominającą krew. W wyobraźni zobaczył swój palec dotykający splotu. Na opuszkach poczuł lód i papier ścierny, a na języku smak morskiej soli, owocu kiwi i zadymioną ostrość whisky. Próbował dostrzec, dokąd prowadzi nić, która była teraz o wiele dłuższa niż wcześniej. Ale rozciągała się daleko poza zasięg jego wzroku – poza mury domu, poza horyzont... do gwiazd.

Eliot zamrugnął i wszystko wróciło do normalności. Znowu siedział na podłodze w ich mieszkaniu, tylko lekko kręciło mu się w głowie. Fiona też zamrugnęła. Wyglądała na zaintrygowaną.

– Czasem można coś zobaczyć – wyjaśniła Dallas.

– Innym razem tylko coś wyczuć. Jakiś hałas, cień albo smak. – Wzruszyła ramionami. – Niektórzy mają do tego prawdziwy talent. Inni, jak choćby ja, liczą na to, że choćby przypadkiem uda im się coś ujrzeć.

– To było super – szepnął Eliot.

– Fajnie, że tak uważasz – podobne do kocich oczu Dallas rozszerzyły się – bo teraz nadeszła wasza kolej.

– Posuwasz się za daleko – ostrzegła ją babcia.

Cee potarła jedną ręką o drugą.

– Och – szepnęła. – Będę potem musiała załatać ich ubrania.

Z gardła Dallas wydobył się głęboki, pełen niesmaku pomruk.

– Te ubrania należałoby raczej spalić. Ale i do tego wkrótce dojdziemy. Może wybierzemy się na zakupy do Paryża? – Poklepała Fionę po kolanie.

– Jeśli naprawdę zamierzasz to zrobić – powiedziała babcia – lepiej się pośpiesz. Wkrótce zajdzie słońce.

– Słusznie.

Dallas jakby się opamiętała. Pociągnęła Eliota za rękę i odnalazła luźną nitkę zwisającą z mankietu jego koszuli. Szarpnęła za nią, uwalniając sporej długości kawałek, i wręczyła ją Eliotowi. To samo zrobiła z nitką wystającą z rąbka spodni Fiony.

– Naprężcie je mocno – poinstruowała ich. – Tak jak poprzednio poddajcie się rytmowi. Wrażenia same do was przyplyną.

Eliot złapał swoją nić i pozwolił spojrzeniu leniwie przesuwać się wzdłuż całej jej długości. W promieniach zachodzącego słońca jego nić pobłyskiwała srebrem i skręcała się, rzucając coraz głębsze cienie. Pojawiły się też inne kolory: brąz i czerń kutego żelaza, które splatały się, strzępiły i rozgałęziały.

Czuł, jak barwy wibrują, i chciał ich dotknąć, zagrać na nich jak na strunach swoich skrzypiec, ale pamiętał słowa Dallas i bez ruchu obserwował, co się dzieje.

Usłyszał dochodzącą z nici muzykę. Nie przypominała melodii, jakie grał na skrzypcach, była żalobną pieśnią wygrywaną przez kościelne dzwony. I chociaż wcale nie dotykał nici, czuł pękające szkło i ogień.

W ustach poczuł krew, a w nosie zakreśliło mu się od zapachu siarki. Zdarzy się coś okropnego ... i to już

wkrótce. Ośmielił się spojrzeć tak daleko, jak tylko było to możliwe. Nici splatały się w jedną i drugą stronę, tworząc gmatwaninę, która im dalej patrzył, tym bardziej się komplikowała. Nie był pewien, co to oznacza, ale i tak napawało go to lękiem.

Zamrugął i z powrotem znalazł się w mieszkaniu. W rękę znów trzymał zwyczajny kawałek nitki. Chciał opowiedzieć o wszystkim, co widział, wyjaśnić Fionie i Dallas, jak bardzo to było dziwne, ale słowa zamarły mu w gardle.

Fiona siedziała tuż obok niego. Jej nic zamieniła się z mniej więcej półmetrowego kawałka, jaki wręczyła jej Dallas, w malutki supełek, ledwie widoczny pomiędzy jej palcami.

– Jest taka zimna – szepnęła Fiona.

Dallas przyjrzała się nitce. Cała radość zniknęła z jej twarzy.

– To dlatego, że umrzesz – powiedziała.

OSTATNI DZIEŃ ŻYCIA

Fiona wiedziała, że coś jest nie w porządku już w chwili, gdy dotknęła nitki. Z początku martwiła się, że koncentruje się na niej w sposób, jaki pokazał jej wujek Aaron i przez przypadek coś przecina. Ale nie w tym tkwił problem. Poza tym Dallas wcale nie chciała, by się specjalnie skupiali. Chodziło raczej o coś takiego, jak spojrzenie na dwór przez zaparowaną szybę i odgadnięcie, co jest po drugiej stronie.

Jej nić zwiotczała i zaczęła się kurczyć. W wyobraźni Fiony pokazała się ciepła ciecz pulsująca między jej palcami, która nagle oziębła się i skrzepła. To była krew. Jej krew. Wkrótce zostanie przelana.

– Przykro mi – szepnęła Dallas tak cicho, że tylko Fiona mogła ją usłyszeć. – Dzień. Może trochę dłużej. Tylko tyle ci zostało.

Fiona podniosła wzrok. Wszyscy patrzyli na nią dziwnie.

– Nie rozumiem? Dzień zanim... zanim co?

Tak naprawdę rozumiała. Doskonale widziała puls swojego przyszłego życia wibrujący wzdłuż nitki, ciągnący się jeszcze przez kawałek, a potem urywajmy.

– Zdarzało się już, że nici się myliły – powiedziała Dallas, spoglądając na babcie. – Przynajmniej raz czy dwa.

Fiona ponownie popatrzyła na nić. Znów wyglądała zwyczajnie, bez krwi i towarzyszącej jej zapowiedzi

śmierci. Ale dziewczyna poczuła w ustach smak popiołu. Upuściła nić i patrzyła, jak zakręcając się w spiralę, upada na podłogę. Dzień? Może trochę dłużej? Przecież to było nic... I to właśnie teraz, kiedy wszystko się zmieniało, pojawiła się nowa rodzina i Robert, kiedy spełniały się jej marzenia.

Babcia i Cee patrzyły na nią bezsilnie. Jak mogły pozwolić, by stało się coś takiego? Nie zależało im. Powinny coś zrobić... a przynajmniej spróbować. A Dallas? Fiona żałowała, że w ogóle ją spotkała. Tylko jedna rzecz na świecie mogła sprawić, że Fiona poczuje się lepiej.

Pobiegła do swojego pokoju, trzasnęła drzwiami i zamknęła je na klucz. Rzuciła torbę na podłogę, sięgnęła do jej środka i wyciągnęła garść trufli. Wszystkie naraz wpakowała sobie do buzi. W sumie siedem czy osiem: z ciemnej, mlecznej i białej czekolady, z nadzieniem cytrynowym, toffi, waniliowym, orzechowym i karmelowym. Żuła je i żuła, aż wreszcie omal się nie udusiła, przetykając.

Jej puls przyspieszył, a krew popłynęła szybciej, ale dręczące ją strach i gniew nie osłabły.

Walnęła pięścią o biurko w ostatnim geście sprzeciwu, a potem znieruchomiała. Czy właśnie tak chciała spędzić ostatni dzień życia? Oddając się atakom wściekłości i obzerając się czekoladkami?

Usłyszała pukanie – nie do jej pokoju, ale do drzwi wejściowych do mieszkania. Potem rozległy się kroki i nowe głosy. Po chwili ktoś lekko zapukał do jej drzwi.

– Fiona – szepnął Eliot. – To ja. Wszystko w porządku?

Obłądnie głupie pytanie, ale wiedziała, że brat naprawdę się o nią martwił. Próbowwała mu coś odpowiedzieć, ale jej gardło było zbyt wysuszone od czekolady.

– Przyjechał Robert – mówił Eliot dalej. – Rada ogłosiła początek naszej drugiej próby.

Jeśli nic się nie myliła, jeśli Fionie został tylko dzień lub dwa, zamierzała dobrze wykorzystać ten czas. Może będzie żyć dalej, może nie, ale musiała pomóc bratu.

Wyszła z pokoju, przystanąła i znów wróciła do środka. Sięgnęła po torbę. Zanim zmierzy się z drugą próbą Rady, musi wcześniej coś zrobić. Znów wyszła na korytarz, przeszła przez jadalnię, ignorując wszystkich tam zgromadzonych, nawet Roberta, i skierowała się prosto do kuchni. Wyciągnęła z torby pudełko w kształcie serca... Wciąż pełne. Najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostała. Otworzyła pokrywę zsypu, ale zaraz zamarła, niezdolna przysunąć do niego pudełka ani na centymetr. Jak mogła je wyrzucić? Sprawiały, że czuła się tak dobrze.

Lecz doznania te nie były prawdziwe. Skoro miała przed sobą tylko jeden dzień życia, nie chciała go spędzić nabuzowana wywołanymi przez czekoladę endorfinami. Chciała być Fioną Post... Nieśmiałą i niezręczną, przestraszoną... ale prawdziwą.

Siłą woli zmusiła rękę, by przysunęła pudełko za krawędź zsypu, a potem je puściła.

Patrzyła, jak jej czerwone atlasowe serce upada... i znika w ciemności.

CZEŚĆ V

DRUGA BOHATERSKA PRÓBA

PRÓBA ŚMIERCI

Eliot nigdy wcześniej nie widział naraz tylu ludzi u nich w jadalni, nawet wtedy gdy pękły rury i zalało całe drugie piętro.

Robert stał przy stole, mając po bokach babcię i ciocię Dallas. Wyglądał na przestraszonego, ale zdecydowanego, tak jakby informowanie rodzeństwa o rozpoczęciu potencjalnie kończących się śmiercią prób było czymś, co robił na co dzień.

Z kuchni wyszła Fiona. Miała bladą twarz i ślady łez na policzkach. Eliot chciał ją pocieszyć, zapewnić, że wszystko skończy się dobrze, że wcale nie wierzy w przepowiednie cioci i ona też nie powinna się nimi przejmować. I wreszcie że poradzą sobie z tą próbą, tak samo jak udało im się pokonać Souhka. Zanim jednak zdążył powiedzieć cokolwiek, Rober chrząknął i odezwał się:

– Przepraszam, że przychodzę bez uprzedzenia. Rada chciała, żeby odbyło się to właśnie w ten sposób.

– Nie powinno mnie tutaj teraz być. – Dallas podeszła do Fiony, złapała ją za ręce i pocałowała je. – Niech moje błogosławieństwo będzie z tobą, dziecko. – Odwróciła się do Eliota i odciągnęła go na bok. – Niech moje błogosławieństwo będzie i z tobą, szlachetnie urodzony. – Pocałowała go w czoło.

Poczuł, jakby ustami wypaliła mu na skórze znak, a

w jego umyśle rozbłysły kolory jak z kalejdoskopu. Chciał krzyknąć, lecz z jego ust wydobyło się jedynie pełne zdziwienia westchnięcie.

Dallas odsunęła się i dziwne wrażenie zniknęło. Podeszła teraz do babci, która objęła ją z autentycznym uczuciem, co zaskoczyło Eliota niemal tak mocno jak chwilę wcześniej pocałunek w czoło. Potem skierowała się do drzwi, ale przechodząc obok Roberta, zawahała się.

– Nie widziałeś mnie tu – szepnęła mu. – Nic nie mów, nawet gdyby pytał cię sam Księżyc, – Jej głos brzmiał lekko i lirycznie, ale też groźnie.

Robert przelknął ślinę.

– Oczywiście, proszę pani.

Fiona zeszywniała, słysząc tę wymianę zdań. W jej spojrzeniu pojawiła się intensywność, jakiej Eliot nigdy wcześniej u niej nie widział.

Dallas wyszła, a kiedy zamknęła za sobą drzwi, światło zachodzącego słońca zaczęło niknąć wraz z nią. Cee zapaliła matowy i pozółkły zyrandol. Robert zerknął na babcię, która skinęła głową, dając mu pozwolenie, by kontynuował.

– Tym razem Rada chce, żeby połała się krew. Pan Mimes nazywa to *l'essai de la mort*.

– To znaczy: próba śmierci – szepnęła Fiona do Eliota.

– Na pewno uda nam się ich przechytrzyć jak poprzednim razem. – Eliot przestąpił z nogi na nogę.

– To może nie być takie łatwe – stwierdził Robert.

– Jakiś szaleniec porwał małą dziewczynkę. Zabije ją o północy, oczywiście jeśli wcześniej jej *nie* uratujecie. Ukrywa się w opuszczonym wesołym miasteczku w

pobliżu parku stanowego Mount Diablo.

Eliot złapał krawędź stołu.

– O czym ty mówisz? Co ma wspólnego z nami jakaś dziewczynka? Dlaczego ją w to wplątywać?

Fiona podeszła do Eliota i skierowała spojrzenie, wciąż tak samo intensywne, na Roberta.

– To nie jest żart, prawda?

Robert cofnął się i uniósł obie ręce.

– Oczywiście, że to nie żart. Zwłaszcza dla tej dziewczynki. I dla was.

Babcia pokiwała głową.

– Nie pierwszy raz Rada wciąga w swoje sprawy zupełnie niewinnych ludzi.

Eliot zdawał sobie sprawę, że na szachownicy Rady on i Fiona odgrywali jedynie rolę pionków, których można się w każdej chwili pozbyć. Ale czy ich krewni mogli w ten sposób traktować osoby spoza rodziny? Po jego plecach przeszedł dreszcz.

W korytarzu rozległ się dźwięk zegara.

– Do północy zostało sześć godzin – zauważył Eliot.

– Czy nie powinniśmy zadzwonić na policję? – zaprotestowała Fiona. – Żadna próba nie jest warta czyjegoś życia. Zresztą może właśnie na tym polega właściwa próba, na sprawdzeniu, czy postąpimy odpowiednio i zgodnie z prawem.

Cee pogłaskała ją po ramieniu.

– Obawiam się, moja droga, że moralność rodziny bardzo odbiega od naszych osądów.

Jak to możliwe? Przez tyle lat babcia i Cee uczyły Eliota i Fionę, jak odróżniać dobro od zła. Czy mieli teraz

o tym zapomnieć?

– Policjanci nic tu nie pomogą – dodał Robert. – Nawet jeśli odnaleźliby tego szaleńca przed północą, zdąży wykonać swój plan i uciec, zanim zdołają go powstrzymać. Będzie wiedział, że się zbliżają, ma z sobą czujniki radiowe.

Sytuacja była okropna. Stawką pierwszej próby było życie Fiony i Eliota, ale teraz Rada wplątała w to jeszcze małą dziewczynkę. To naprawdę nie było w porządku.

– Nienawidzę ich – szepnęła Fiona.

Eliot zastanawiał się, czy ciocia Dallas wiedziała o planowanej próbie i czy właśnie z tego powodu wyszła tak nagle.

– Po prostu spróbujmy jakoś zmierzyć się z tym zadaniem – zwrócił się do siostry. – O Radzie pomyślimy później.

Fiona skinęła głową.

– Więc kim jest ten szaleniec?

– Gość z klasycznej miejskiej legendy. – Robert wykonał gwałtowny gest, przecinając dłonią powietrze. – Obląkany facet z wielkim nożem. Choć zdaje się, że w jego przypadku akurat nie chodzi o nóż, lecz o manię podpalania.

Fiona i Eliot jednocześnie pokręcili głowami, nic z tego nie rozumiejąc.

– Postać z każdego letniego horroru dla młodzieży, która po kolei zabija zaprzyjaźnione z sobą nastolatki – wyjaśnił Robert. – Gość, którego nie sposób zabić? Oddający się szalonej jatce⁴⁸?

⁴⁸ Mowa o gatunku horroru, w którym obląkany zabójca niestrudzenie prześladowuje grupę młodych ludzi. Oprawca jest w stanie przeżyć postrzały,

– Coś jeszcze? – Eliot rozejrzył się za kartką papieru i długopisem, by zrobić notatki.

– W jaki sposób nastolatkom z filmu udaje się przeżyć? – zapytała Fiona.

Robert wzruszył ramionami przepraszająco.

– Powiedziałem już wszystko, co Rada kazała mi przekazać.

– Rozumiemy – powiedziała babcia zimnym głosem.

Robert przeszukał swoją motocyklową torbę i wyjął małego laptopa. Położył go na stole.

– Z czystej ciekawości wyszperałem trochę informacji. Jeśli przez przypadek zostawiłbym to tutaj, nikt chyba by nie zauważył. Zresztą nie ma tego zbyt wiele i pewnie te dane i tak wam specjalnie nie pomogą. – Zatrzymał na chwilę wzrok na Eliocie, a potem spojrzał znacząco na Fionę i skinął głową w kierunku Cee i babci. – Jeśli chcą panie, żeby je gdzieś podrzucić, mogę poczekać.

Babcia postukała palcem w laptop i zamyśliła się na chwilę.

– Dziękujemy, panie Farmington. – Jej ton jakby się trochę ocieplił. – Myślę, że zrobił pan dla nas wystarczająco dużo. Może pan już iść.

Robert zerknął ostatni raz na Fionę i wyszedł.

– Komputer? – Cee przysunęła się bliżej,

uderzenia nożem i tym podobne i dalej ściga potencjalne ofiary. Te lekceważone przez krytyków filmy są zdaniem innych metaforą nieokiełznanego zła, a nie prostym komentarzem do ludzkiej moralności, i można je porównać do (jednakowo obrazowych) późnośredniowiecznych baśni. Za ich pierwowzór uznaje się *Psychozę* Alfreda Hitchcocka z 1960 roku (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne*, *op.cit.*).

wyciągnęła dłoń, ale nie dotknęła laptopa. – To wbrew regułom... trzydziestej czwartej, pięćdziesiątej piątej i dziewięćdziesiątej dziewiątej.

Babcia popatrzyła na wykonaną z włókna węglowego obudowę.

– W istocie, ale może dziś zrobimy wyjątek.

Uniosła klawisz, włączyła urządzenie, ale zawahała się, kiedy zobaczyła ekran startowy. Eliot i Fiona przysunęli się bliżej. Na laptopie wyświetliła się niezwykle realistyczna scena przedstawiająca las sekwoi. Pośrodku mrugało okienko z miejscem na hasło. Fiona przyjrzała się znajomym pniom, a potem przepchnęła się przed brata.

– Chyba znam hasło.

Wpisała „Sekwoja”. Komputer wydał z siebie niski dźwięk i na ekranie ukazały się podpisane kolorowe ikony: MAPA TOPOGRAFICZNA PARKU STANOWEGO DIABLO, DANE PACJENTA 0478 oraz ZDARZENIE NA AUTOSTRADZIE – RAPORT PATROLU nr DF-4829. W rogu ekranu Eliot zauważył kilka nut oraz symbol anteny transmitującej fale.

Komputer Roberta był połączony z Internetem i na pewno miał muzykę, filmy i możliwość komunikacji z innymi ludźmi. Eliot wiele by dał za możliwość spędzenia pięciu minut przy tym urządzeniu bez czujnych oczu babci i Cee. Przypominał sobie jednak, co było w tej chwili najważniejsze.

– Zaczynj od raportu policyjnego – powiedział siostrze.

Dłoń Fiony zamarła nad klawiaturą.

– Jak to się obsługuje?

Babcia popatrzyła na Cee i pokręciła głową. Jak mogli być tacy głupi? Robert w zasadzie wręczył im wszystkie potrzebne informacje, prawdopodobnie ryzykując przy tym życie, a tymczasem żadne z nich nie potrafi korzystać z komputera.

– Ja spróbuję – zaoferował się Eliot.

Fiona zacisnęła szczęki z irytacji, ale odwróciła laptop w stronę brata.

Eliot przejechał palcami po klawiszach, odkrywając ich kształty, ale na razie żadnego nie naciskając.

Pod klawiaturą znajdował się gładki prostokąt. Chłopak dotknął go kciukiem i zobaczył, że na ekranie pokazała się strzałka, której ruchy odzwierciedlały przesunięcia jego palca. Zachwycony śmignął nią w szerokim łuku przez połowę ekranu.

Jak w przypadku skrzypiec i gitary, wystarczył mu dotyk, by zrozumieć, w jaki sposób należy używać instrumentu... Nie chodziło o jakąś sprawność techniczną, raczej o specyficzne łaskotanie z tyłu głowy, podpowiadające mu, co ma robić.

Przesunął kursor na policyjny plik i stuknął dwa razy, jakby chciał odegrać dwie nuty na strunie skrzypiec. Raport się otworzył. Zobaczyli wykonane po aresztowaniu zdjęcie mężczyzny. Miał jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, brązowe włosy i oczy. Eliotowi wydawał się zupełnie zwyczajny, dopóki nie spostrzegł blizn po jednej stronie twarzy i zdeformowanego od oparzeń lewego ucha.

– Perry Millhouse – przeczytała Fiona z ekranu.

– Wielokrotne podpalenia, stworzenie zagrożenie życia, morderstwo pierwszego stopnia... Szesnaście punktów oskarżenia.

Millhouse pozamykał kiedyś między innymi na klucz wszystkie drzwi szkoły, a potem ją podpalił. Zbrodniarza złapano, osądzono i skazano na śmierć, ale odwołał się od wyroku i uznano go za niepoczytalnego. Trafił więc do stanowego zakładu dla umyślowo chorych więźniów.

Eliot przejechał kursorem do następnego policyjnego raportu, w którym opisano, jak Millhouse wraz z dwoma innymi skazanymi podpalił szpital, zabił dwóch strażników i zbiegł. Uciekinierów ścigano aż do wzgórz w pobliżu parku stanowego Diabło.

Wspólników Millhouse'a zastrzelono, ale on sam zdołał umknąć i znalazł schronienie w leśnej chatce. Zanim policjanci zdołali tam dotrzeć, zamknął się w środku i podłożył ogień pod drewniany budynek. Funkcjonariusze widzieli, jak płonął.

– Jeśli Millhouse nie żyje – zapytała Fiona – kim jest ten gość, który złapał dziewczynkę?

Babcia patrzyła na raporty ponad ramionami rodzeństwa. Jej twarz była jak zwykle nieprzenikniona, ale Eliotowi wydawało się, że dostrzega w niej jakby cień rozpoznania.

– Została jeszcze jedna policyjna relacja.

Otworzył plik. Ten raport dotyczył toczącego się śledztwa w sprawie zaginięcia trzech dzieciaków z okolicy parku Diabło. Dwa pierwsze zdarzyły się w zeszłym roku, ostatnie – zaledwie wczoraj. U dołu załączone było zdjęcie zaginionej dziewczynki, Amandy Lane. Właśnie wypadły jej przednie zęby mleczne i z dumą prezentowała szpary fotografowi.

– Nam też robiono takie zdjęcia. Pamiętasz? W

trakcie policyjnej akcji w supermarkecie – szepnęła Fiona.

– Tak. – Eliot dotknął opuszkami palców fotografii Amandy. Zerknął na zegar. – Musimy iść. Szkoda, że nie pojechaliśmy z Robertem.

– Mam samochód – oznajmiła babcia. – Zawiozę was tam równie szybko.

Zdumiony Eliot popatrzył na babcie. Samochód? Ciekawe, czy potrafiła go prowadzić. Zawsze wszędzie chodziła pieszo, ewentualnie, w wyjątkowych sytuacjach, wsiadała do autobusu.

– OK. – Eliot zebrał się na odwagę i dodał: – Musimy zabrać z sobą kilka rzeczy. Sprzęt, który mieliśmy w kanałach ściekowych. To potrwa tylko chwilę.

Babcia na chwilę zatrzymała na nim wzrok.

– Pospieszcie się – powiedziała w końcu. – Będę na was czekać przed budynkiem. .

– Zapakować jedzenie? – zapytała Cee. – Kilka minut i będę gotowa.

Babcia skierowała na nią spojrzenie zwięzonych oczu.

– Wiesz, że ledwie zmieścimy się w samochodzie we troje.

Cee opuściła głowę, rozczarowana.

Eliot odwrócił się do Fiony.

– Piwnica? – zapytał, sięgając po plecak.

Pobiegli na dół, tym razem się nie ścigając. Nie mieli głowy do dzieciennych zabaw, zbyt przejęci tym, co wkrótce mogło się wydarzyć.

Lessai de la mort. Próba śmierci. Eliot miał nadzieję, że wujek Henry jednak się pomylił, używając tych słów.

JEDYNA RZECZ, KTÓRA DAWAŁA JEJ SIŁĘ

Fiona owineęła twarz chusteczką. Od kurzu w piwnicy aż się dławiła. Sięgnęła po leżące na stosie pożółkłych gazet strzelbę Westley-Richards i pudełko z nabojami.

Ciężka broń w rękę sprawiła, że trochę się uspokoiła. W jej życiu działo się tyle dziwnych rzeczy, że może powinna na stałe trzymać ją w torbie z książkami.

Czy wyglądała na przestępcę? Strzelba w dłoni i maska na twarzy. A może przypominała trochę Roberta? Buntownika.

W odległym kącie piwnicy Eliot brzdąkał na swoich skrzypcach, próbując je nastroić. Zamachała mu latarką, ale był zbyt skupiony na instrumencie, by to zauważyć. Z każdą wybrzmiałą nutą pyłki kurzu krążące w powietrzu układały się w przypominające mozaikę wzory... Fiona poczuła, jak targnęło nią jakieś nowe uczucie. Zazdrość? Może.

Jej brat miał naturalny talent do muzyki, zupełnie jakby urodził się ze skrzypcami w dłoniach. Przy ich pomocy poskromił szczury, uspokoił Souhka, a teraz sprawił, że nawet powietrze zatańczyło. Co jeszcze mógł zrobić? A ona? Recytować fakty i liczby jak chodząca encyklopedia? Na co mogło się to przydać w konfrontacji z szalonym podpalaczem?.

Potrafiła jeszcze ciąć.

Pociągnęła za swoją gumową bransoletkę i poczuła ukłucie na nadgarstku. Przeżrana popatrzyła na rękę. Musi być ostrożna. Jeśli jej umysł znajdowałby się w odpowiednim stanie, mogła sobie odciąć dłoń, a potem wykrwawić się na śmierć.

Więc taki miała talent? Do niszczenia rzeczy? Do ich przecinania? I czy był to dar, czy przekleństwo?

Naciągnęła opaskę i przecięła nią betonowego kupidyna, jakby był zrobiony z powietrza. Jego głowa upadła z hałasem na podłogę i zwróciła się twarzą ku Fionie.

Poczuła się lepiej. Jeśli będzie chciała, będzie mogła przeciąć, co tylko zapragnie. Nikt nie zdoła jej w tym przeszkodzić. Nawet potężny wujek Aaron. Nawet babcia. Ta myśl sprawiła, że nagle krew ścięła jej się w żyłach. Nie, nigdy nie będzie mogła przeciąć niczego żywego.

Przyklęknęła i dotknęła policzków kamiennego kupidyna.

– Przepraszam – szepnęła.

W jej żołądku zaburczało. Powinna coś zjeść. Przejechała językiem po wargach, zbierając resztki czekolady. Ale to było wszystko, co miała. Trufle leżały teraz w śmietniku. Nie chciała się przecieżyć od nich uzależniać. Aby nadal doświadczać tego samego ożywienia, musiałaby ich jeść coraz więcej.

Eliot skończył stroić skrzypce i odwrócił się w stronę Fiony.

– Jestem gotowy – oznajmił.

– Idź pierwszy. Zaraz cię dogonię.

– Wszystko w porządku?

– Pewnie. – Fiona powoli się podniosła. –
Wszystko gra. Potrzebuję jeszcze minuty.

Eliot kiwnął głową.

– Powiem babci, że już idziesz.

Zawahał się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, jakby wyczuł, że coś ją gnębi. Ale zaraz odwrócił się i pobiegł w górę schodów. Promień jego latarki znaczył ciemność zygzakami.

Jeden dzień do końca życia – czy to mogło być prawdą? Ciocia Dallas z pewnością tak myślała. A kiedy Fiona skupiła się na wspomnieniach o nici i własnych doznaniach z tamtej chwili, też nabierała pewności, że przepowiednia się spełni.

Tak bardzo potrzebowała choćby jednej trufli, choćby jednego kęsa czekoladowego kremu, nadzienia z toffi, likieru wiśniowego... Tylko jednego.

A w zasadzie dlaczego nie? Dlaczego miałyby być zwykłą, starą Fioną Post? Patrzyć pod nogi i nigdy się nie odzywać? Przecież chodziło o życie małej dziewczynki! Nie wspominając o życiu Fiony i Eliota. Czy nie powinna zrobić wszystkiego, co w jej mocy, by się jak najlepiej do tego przygotować? Czy w gruncie rzeczy nie zachowała się samolubnie, wyrzucając jedyną rzecz, która dawała jej siłę? A poza tym, skoro został jej tylko jeden dzień życia, dlaczego miałyby sobie odmawiać jakiegokolwiek przyjemności?

Zaczerpnęła głęboko powietrza. Wiedziała, co musi zrobić.

Poszła na górę, a potem wyszła na zewnątrz. Staneła przed śmietnikiem, do którego spadało wszystko ze zsypu. Podniosła pokrywę i wsunęła do środka głowę.

Na chwilę straciła oddech od smrodu pieluch, spalenizny z grilla, wodorostów i benzyny. Odchyliła się, uciekając od fetoru, i omal się nie przewróciła. Przycisnęła do nosa chusteczkę i omiotła latarką wewnątrz pojemnika.

Siedzący w środku szczur podniósł ku niej ślepią, popatrzył bez lęku i z powrotem wgrzył się w spleśniałego pączka.

Co ona najlepszego robi? Grzebie po zmroku w śmietniku? Szuka czegoś, co wcale niekoniecznie było dla niej dobre? Odwleka rozpoczęcie drugiej próby... Ale nie mogła się powstrzymać.

Promień latarki oświetlił krwistoczerwone pudełko w kształcie serca. Było przykryte kartonami z pobliskich pizzerii i barów z hamburgerami. Sięgnęła po nie, ścierając plamy z tłuszczu i majonezu, i przycisnęła do piersi. Upewniła się, że przykrywka jest domknięta, i wrzuciła je do torby. Świetnie.

Zatrzasnęła pokrywę i otrzepała ubranie, po czym pobiegła w stronę samochodu babci – wreszcie gotowa, by stanąć twarzą w twarz ze śmiercią.

DOM SZALEŃCÓW

Eliot siedział przytulony do siostry wewnątrz pędzącego ulicą samochodu babci.

Auto, które zarówno on, jak i Fiona widzieli po raz pierwszy w życiu, było ciemnoniebieskim jaguarem XKSS, który składał się głównie z aerodynamicznie wygiętej maski i miał wyłącznie dwa obite skórą siedzenia. Eliot zastanawiał się, czy babcia w ogóle widzi drogę przed sobą. I jakim cudem miałyby tu się jeszcze zmieścić mała dziewczynka, jeśli ją uratują.

Samochód wjechał w zakręt i Eliota zarzuciło na siostrę. Ostry łokieć Fiony zmusił go, by przesunął się z powrotem. Siostra śmierdziała jajkami i tłuszczem. Co robiła w czasie tych kilku minut, kiedy zostawił ją samą?

– Czy znasz Perry'ego Millhouse'a? – zapytał babcię, która prowadziła w milczeniu.

Samochód podskakiwał na jezdni i ślizgał się, pokonując łagodne wzgórza. Rosnące gdzieniegdzie dęby przybierały w półmroku upiorne kształty. Cienie rozciągały się i mieszały z mrokiem, dławiąc resztki dziennego światła.

– Znałam go, zanim stracił rozum – odpowiedziała wreszcie babcia. – Teraz jest tylko zwierzęciem. Niczym więcej.

– Dlaczego robi te wszystkie okropne rzeczy? – zapytała Fiona. – Zabija ludzi, podpala, porywa dzieci?

– Nad tym się nie zastanawiajcie. – Babcia wyłączyła przednie światła i zarys drogi stał się ledwie widoczną kreską. – Skupcie się na swoim zadaniu. Odnajdźcie dziewczynkę i uciekajcie. Najlepiej byłoby, gdybyście ominęli go szerokim łukiem.

– Jasne. Żaden problem – szepnął Eliot.

– Gdyby to się nie udało – powiedziała babcia – nie wahajcie się przed działaniem. Jeśli dostanie choćby najmniejszą szansę, zniszczy was.

Eliot zerknął na Fionę, która wyglądała, jakby miała zwymiotować. Przełknął ślinę, nagle też wytrącony z równowagi.

Samochód skręcił w piaszczystą drogę. Na ustawionym przy zjeździe oświetlonym słabym światłem czterdziestawatowej żarówki znaku widniał napis:

SKARBY HALEYA

***Wesołe miasteczko, park rozrywki i sprzedaż
antykwów (informacje w biurze)
(Godziny otwarcia: od 9. 00 do zmierzchu)***

– Jeśli Millhouse znalazł się w pobliżu parku Diabło – wyszeptała babcia – na pewno jest właśnie tutaj. Uwielbia takie miejsca.

W oddali majaczyły kształty przyczep transportowych i karuzel, w ciemności wyglądających jak metalowe dinozaury. Babcia zgasila silnik, przestawiła dźwignię biegów na luz i samochód w ciszy potoczył się ku ogrodzeniu składającemu się z metalowych łańcuchów.

– Kim dokładnie jest Millhouse? – zapytał Eliot szeptem. – Należy do rodziny? Czy jest kimś takim jak

Souhk? Czy może to zwykły szalenciec?

– Jeszcze kimś innym – powiedziała babcia. – Zabrał coś i to go przemieniło.

– Ale co? – dopytywała się Fiona. – I w co go przemieniło?

Babcia zmarszczyła brwi.

– Zabrał ogień. I to wszystko, co musicie teraz wiedzieć.

Eliot nie mógł zrozumieć, dlaczego ktokolwiek miałby kraść ogień. Wystarczyło przecież zapalić zapałkę, by go mieć. Samochód zatrzymał się i chłopak zdawał sobie sprawę, że musi wysiąść i spróbować uratować tamtą dziewczynkę, ale nagle poczuł, że nie może się oderwać od skórzanego siedzenia. Był przerażony.

Babcia odwróciła się w jego stronę i uniosła rękę, jakby chciała go pogłaskać, ale zaraz położyła ją z powrotem na kierownicy.

– Wychowałam was na uprzejmych, łagodnych i rozważnych – szepnęła. – Ale dziś nie możecie być tacy. Dziś możecie być zmuszeni do tego, by kogoś zabić.

Eliot poczuł na plecach gęsią skórę. Fiona pokręciła głową.

– Rada ogłosiła, że to jest próba śmierci – powiedziała babcia, próbując brzmieć pojednawczo. – Na pewno tak wszystko obmyślili, że ktoś będzie musiał stracić życie. Więc nie czekajcie z inicjatywą i jeśli przyjdzie co do czego, uważajcie, żeby to nie było żadne z was.

– Musi być jakiś sposób, żeby uniknąć zabijania – szepnęła Fiona.

Eliot też był o tym przekonany. Udało im się to

poprzednio, teraz też się uda... jakoś.

Babcia popatrzyła na nich w ciemności.

– Trzymajcie się cieni.

Fiona otworzyła drzwi.

– Chodź. – Pociągnęła Eliota za rękę.

W normalnych okolicznościach złamałaby w ten sposób umowę o niedotykanie się, która obowiązywała mniej więcej od chwili, jak przestali nosić pieluchy. Ale dziś Eliot nawet się nie odezwał.

– Zaczekam tu na was – powiedziała babcia.

Eliot zamachał do niej, niepewny, czy w mroku w ogóle to widzi.

Fiona pomaszerowała do przodu, kierując się w stronę ogrodzenia. Usłyszała brzęk, gdy rozsuwała łańcuchy najwidoczniej wcześniej przecięte. Zapaliły się cztery lampy na słupach telefonicznych. Wyblakłe światło rozlało się po całym terenie.

Złomowisko wciąż przypominało prawdziwe wesołe miasteczko, aczkolwiek w stanie rozpadu od trzydziestu lat. Z tyłu, jedna przy drugiej stały przyczepy transportowe, a wzdłuż najbardziej oddalonej części ogrodzenia widać było imponującej wielkości karuzele, zjeżdżalnie i kolejki górskie o nazwach takich jak Ekspres, Lawina czy Gorączka Złota – wszystkie pordzewiałe i od dawna zepsute.

Światło lamp u góry wydawało się dość silne, ale przy ziemi rozmywało się, niknąc wśród cieni. Eliot i Fiona weszli w głąb miasteczka, chowając się w mroku. Zatrzymali się przy karuzeli z mosiężnymi rurami wychodzącymi z jej środka. Plastikowe konie pokryte łuszczącą się farbą wciąż zdawały się ścigać. Eliotowi na

ich widok ścierpła skóra.

– Pamiętasz, co Robert mówił o horrorach dla nastolatków? – szepnął. – Myślisz, że Millhouse może mieć i ogień, i noże?

Fiona wzruszyła ramionami. Czy Rada wiedziała, że nigdy nie widzieli żadnego filmu? I że do zrozumienia legend miejskich potrzebny jest kontakt ze światem? Wysyłki babci, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, odcięły ich od informacji, które mogą się okazać kluczowe, by przeżyć.

– Wspomniał coś o dzieciakach ginących podczas letniego obozu – powiedziała Fiona. – Nie zrozumiałam, co miał na myśli. Może chodzi o jakąś przerażającą baśń.

Eliot pokiwał głową, zastanawiając się kolejny raz, w jaki sposób bohaterom tamtych filmów udawało się przeżyć.

Dotarli do alejki z budkami. Były wśród nich strzelnice, miniboiska do baseballa, kręgielnie, a także platformy z plastikowymi figurami klaunów z otwartymi ustami i pistoletami na wodę oraz drabinami sznurowymi.

– Więc jaki mamy plan?

– Nie wiem. – Fiona rzuciła Eliotowi poirytowane spojrzenie. – Po prostu rozglądaj się uważnie i przestań tyle gadać.

– Te przyczepy w tyle – wyszeptał. – Idę o zakład, że właśnie tam jest Amanda. Można w nich łatwo kogoś zamknąć.

– Tak samo jak w biurze.

Fiona popatrzyła wokół, szukając pomieszczeń administracyjnych. Sięgnęła do torby i wyjęła czekoladkę.

– Teraz objadasz się słodyczami? Oszalałaś?

Zaczerwieniła się.

– Tak – powiedziała z wahaniem, przeżuując. – To mi pomaga. – Uniosła ręce w rozdrażnieniu. – Dobra, sprawdźmy te przyczepy.

Odwrócili się, ale zamarli. Jakieś trzydzieści metrów dalej pojawił się ogień, blokując im drogę. Płomień był maleńki, ale tak intensywny, że Eliot musiał zmrużyć oczy. Pochodził ze srebrnej zapalniczki, wypolerowanej tak, że odbijała światło. A zapalniczkę trzymała brudna ręka o nierównych paznokciach. Ręka mężczyzny w niebieskoszarym kombinezonie.

Fiona przysunęła się do Eliota, tak że dotykali się łokciami. Wciąż stali w głębokim cieniu.

Mężczyzna przysunął płomień do twarzy i podpalił papierosa. Wyglądał normalnie, przynajmniej z tej strony... Ale potem obrócił się i Eliot mógł mu się lepiej przyjrzeć.

Aż stracił na chwilę dech. Cała lewa strona głowy mężczyzny pozbawiona była włosów, a jego twarz – stopiona. Brakowało ucha, a jedno oko pokryło się bielmem. Perry Millhouse.

– Słyszałem was – wychrypiał. – Czekałem na was. Wiedziałem, że gdzieś tu jesteście.

Eliot dostrzegł, że w drugiej ręce Millhouse trzymał kilkilitrowy pojemnik po mleku. Poczul też zapach benzyny.

– Musimy uciekać – wyszeptał.

– Myślicie, że po tym, co już mi zrobili, zdołacie mnie zabić? – Millhouse odwrócił się w lewą stronę.

– Myślicie, że sam tego nie próbowałem? – Znów się odwrócił i krzyknął: – Wychodźcie! Wychodźcie!

Gdziekolwiek się kryjecie!

– Skoro on jest tutaj – wyszeptała Fiona – dziewczynka...

– ... została sama – dopowiedział Eliot. – Chodźmy.

– Zaczekaj. – Fiona wyciągnęła strzelbę.

Millhouse wydał z siebie głębokie westchnięcie.

– OK. A więc poradzimy sobie z tym inaczej. Też będzie zabawnie.

Schowwał do kieszeni zapalniczkę, sięgnął w górę i szarpnął staroświecki włącznik z dwoma ustawieniami. Posypały się iskry i w kablach popłynął prąd.

Cienie zniknęły, a wesołe miasteczko rozświetliło się tysiącami żarówek, które pulsowały i gonily się między sobą. Wyblakłe przed chwilą kolory odzyskały jaskrawość.

Millhouse odwrócił się i zauważył ich.

– Mam ogień, a to znaczy gorąco... i jasność.

Dopiero teraz Eliot zobaczył, że góra kombinezonu mężczyzny była rozpięta. Piersi i brzuch Millhouse'a pokrywała płatanina blizn, ale nie od oparzeń. Jego ciało wyglądało tak, jakby przeszedł setki operacji i nikt nie zadbał o to, by porządnie zaszyć cięcia.

Serce chłopaka waliło jak młot, ale wreszcie odzyskał oddech. Spojrzał na Fionę, która była zbyt przerażona, by się ruszyć. Złapał ją za dłoń i pociągnął za sobą. To wyrwało ją z transu.

Ręka w rękę pomknęli alejką z budkami. Eliotowi Zakręciło się w głowie od pulsujących świateł i zlewających się kolorów. Opuścił wzrok na pokrytą słomą ziemię i biegł dalej. Za plecami usłyszał chłopot cieczy w pojemniku i charczenie mężczyzny. Dźwięki wydawały się

coraz głośniejsze.

– Strzelba...

– Przecież nie mogę tak po prostu kogoś zabić – powiedziała Fiona. W jej zadyszczanym głosie słychać było rozpaczliwą prośbę.

Eliot zaryzykował utratę równowagi i zerknął przez ramię do tyłu. Millhouse był tylko dziesięć kroków za nimi.

– Zaraz nas złapie. Musisz to zrobić.

Wciąż biegli tak szybko, jak tylko pozwalały im na to nogi, ale Millhouse miał już ich niemal na wyciągnięcie ręki.

Fiona nagle zatrzymała się, okręciła na pięcie i uniosła strzelbę. Krzyknęła i wypaliła.

Z podwójnej lufy wystrzeliły błyski, a odrzut przewrócił dziewczynę na ziemię.

Millhouse upadł na plecy i przeturlał się kawałek dalej. Pojemnik po mleku odbił się i wylądował tuż przed Eliotem. Chłopak kopnął go, nie chcąc, by benzyna znalazła się w jego pobliżu. Butla zatoczyła łuk, zgubiła przykrywkę i benzyna z bulgotem zaczęła się wylewać na ziemię.

Twarz Fiony wykrzywiło przerażenie, gdy spojrzała na leżącego mężczyznę. Upuściła dymiącą strzelbę i zerwała się na równe nogi.

– Zabiłam go – szepnęła. – Naprawdę tego nie chciałam.

– Zadzwonimy na policję – powiedział Eliot. – Oni pomogą nam znaleźć dziewczynkę. – Zbliżył się do zwróconego twarzą do ziemi Millhouse'a, chcąc jakoś mu pomóc, ale też bojąc się go dotknąć: – Może dla niego też

nie będzie za późno.

Millhouse zakaszłał i rechocząc, przekreślił się na plecy.

– Dla mnie już od dawna jest za późno, chłopcze.

Na jego kombinezonie widniały ślady po strzałach ze strzelby, ale nie było widać żadnej krwi. Zamiast tego drobne rany na piersiach wybuchły jak gejzery ogniem i trysnęły gęstym płynnym napalmem na ziemię, podpalając słomę i zaraz potem kałużę benzyny.

Millhouse podniósł się i wyciągnął rękę do ognia, który przepęźnał ku niemu i zajął jego lewy bok, roztopiając poliestrową tkaninę kombinezonu. Płomienie zgromadziły się na jego dłoni, którą wyciągnął przed siebie. Ogień zwijał się, buchał i hipnotyzująco trzaskał.

Eliot nie był w stanie się ruszyć ani nawet myśleć, zbyt zafascynowany płomieniami. Mężczyzna przysunął się o dwa kroki bliżej. Rozległ się syk i powietrze rozgrzało się od ognia. Pojemnik z benzyną roztopił się, uwalniając całą swoją zawartość. Płonąca ciecz przepłynęła ku budce, gdzie niegdyś można było rzucać do celu piłką baseballową, i podpaliła konstrukcję ze sklejki. Nagły hałas i fala gorąca wreszcie wyrwały Fionę i Eliota z odrętwienia.

Pobiegli. Za ich plecami niósł się śmiech Millhouse'a.

Alejka skręciła w prawo i... zaraz się skończyła. Dalszą drogę blokowały przyczepy ułożone w potężny bezładny stos połyskliwego szkła i wypolerowanego metalu. Nad całą konstrukcją rozbłyskiwał neon z liter układających się w słowa:

DOM SZALEŃCÓW!!!

Znaleźli się przed labiryntem luster, którego nie dało się żadnym sposobem obejść. Byli w pułapce. Eliot odwrócił się. Serce waliło mu jak młot, ale zacisnął dłonie w pięści. Nie miał szans na wygraną, mimo to zamierzał walczyć.

Millhouse podszedł do nich, uśmiechając się i ciągnąc za sobą ogień. Miał ich w garści.

Eliot zauważył strzelbę. Leżała daleko, tam, gdzie upuściła ją Fiona. Wcześniej nie zdała się na wiele, ale przynajmniej trochę spowolniła mężczyznę.

Fiona gwałtownie machnęła głową.

– Chodź. – Wskazała drogę. – Spójrz tam!

Po drugiej stronie labiryntu luster znajdowały się prowadzące na zewnątrz schody.

Kiedy był mały, Eliot rozwiązał tysiące rysunkowych zagadek-labiryntów. Miał do tego talent i nie sprawiały mu trudu nawet te trójwymiarowe, ze ścieżkami przechodzącymi nad i pod sobą. Może uda mu się zgubić Millhouse'a?

Fiona ruszyła pierwsza i pobiegła w górę schodów do wejścia. Eliot był tuż za nią. Na ściany w środku składało się przezroczyste szkło i idealne lustra. Eliot odkrył to, zderzając się z jedną z nich, co oszołomiło go na chwilę.

– Rusz się! – krzyknęła do niego Fiona. – Tędy. Na lewo.

Eliot pokręcił głową, otrząsając się z szoku.

– Nie, na prawo!

Większość labiryntów miała rozwiązanie oparte na ustawicznym skręcaniu w prawo. Najlepiej będzie, jeśli spróbują z tego skorzystać. Wyciągnął rękę do przodu,

upewniając się, że nie wyrastają tam kolejne niewidzialne przeszkody. Skręcił. Ale Fiona nie poszła za nim. Wybrała sąsiedni korytarz. Uparta jak zwykle.

– Zawróć! – krzyknął przez szklaną ścianę.

Kroki Millhouse'a załomotały na schodach. Mężczyzna stanął w wejściu do labiryntu. W dłoni wciąż trzymał ogień. Eliot poczuł zapach palonych włosów i zwęglonej skóry.

Fiona odruchowo chciała się do niego przysunąć, ale tylko bezradnie położyła dłonie na dzielącym ich szkłe.

– Uciekaj! – krzyknęła.

Eliot w żadnym razie nie zamierzał jej zostawić.

Millhouse wszedł do środka, skręcił w korytarz, w którym stał chłopak, i zaczął się do niego zbliżać. Eliot od razu doszedł do wniosku, że nie mógł też zostać na miejscu. Puścił się biegiem korytarzem.

WIEŻY NAŁOGU

Fiona patrzyła, jak Millhouse przystaje przy wejściu do labiryntu. Spojrzał na nią, potem na Eliota i ruszył korytarzem w jego kierunku.

Zaczęła uciekać. Millhouse szedł zaledwie metr od niej, ale na szczęście za szklaną przegrodą. Jego ciało płonęło, odpadało, odrastało i na nowo się zapalało. Czowała buchające od niego gorąco. Chciała krzyknąć, ale była nawet zbyt przerażona, by swobodnie oddychać.

Millhouse uniósł płonący palec, wyszczerzył zęby w uśmiechu i powiedział coś bezgłośnie. Odczytała z jego warg: „Będziesz następna”. A potem odwrócił się i ruszył za Eliotem.

Fiona bezsilnie przyglądała się, jak jej brat bez trudu pokonuje kolejne niewidoczne zakręty i omija ślepe uliczki. Ale Millhouse poruszał się równie szybko, zupełnie jakby znał drogę przez labirynt na pamięć.

Musiła jakoś pomóc bratu. Sięgnęła po broń, ale jej dłoń natrafiła na pustkę. Przypomniała sobie, że upuściła strzelbę po tym, jak uznała, że zabiła Millhouse'a. Teraz żałowała, że nie udało jej się to. Przecież zabójstwo w obronie własnej było usprawiedliwione.

Gdyby tylko miała teraz tę broń. Strzał prosto w głowę na pewno zatrzymałby zabójcę przynajmniej na czas potrzebny do tego, żeby się stąd wydostali.

Jej palce musnęły pudełko w kształcie serca. Jedna

czekoladka dodałaby jej sił i pozwoliła jaśniej myśleć. Ale nie ma mowy. Czy naprawdę chciała marnować czas na objadanie się truflami? Musiała dostać się do Eliota. Razem byli silniejsi, a poza tym jej brat sam na pewno nie da sobie rady z Millhouse'em.

Pomknęła z powrotem ku wejściu do labiryntu. Szybko pobiegnie po strzelbę i... Uderzyła głową w niewidoczny szklany róg.

Odbiła się i upadła. Krawędzie jej pola widzenia zamglily się, kolory zaczęły się zlewać. Jej ciało zdrętwiało, a w uszach zabrzmiało dzwonięcie, które po chwili zamieniło się w przytłumiony gwizd. Wreszcie jej wzrok trochę się przejaśnił. Dotknęła głowy i wyczuła coś mokrego. Pewnie pot... bo chyba nie padał deszcz? Spojrzała na dłoń. Była cała we krwi.

– O!

Ze spokojem i dziwnym dystansem zdała sobie sprawę z tego, co się właśnie stało. W najlepszym razie miała wstrząs mózgu. A może nawet doszło do pęknięcia czaszki. Przycisnęła dłoń do czoła i poczuła sączącą się z niego krew.

Po drewnianej podłodze przesuwaly się smugi dymu. Fiona spostrzegła, że wzdłuż ścieżki, którą szedł Millhouse, paliła się dykta. Coś jej przyszło do głowy.

Przypomniała sobie: Perry Millhouse, dziewczynka, którą mieli uratować przed północą, znajdujący się w śmiertelnym niebezpieczeństwie Eliot... Wstała. Zakręciło jej się w głowie i z powrotem ciężko opadła na podłogę. Jej czaszka pulsowała tak mocno, jakby za chwilę miała się rozpaść. Po czole i twarzy spływała krew. Spojrzała na swoją torbę i jej rozsypaną zawartość. Z pudełka z

czekoladkami spadła przykrywka. Gładka powierzchnia pralinek pobłyskiwała w świetle płomieni.

Tak, właśnie tego teraz potrzebowała, by otrząsnąć się z otepienia. Odrobina cukru doda jej odwagi i siły woli, koniecznych, by wstać i wrócić po strzelbę.

Zaczęła się czołgać w stronę pudełka w kształcie serca. Wyciągnęła rękę po jeden z mlecznych kwadratów lub kulkę z toffi z kandyzowanymi różami na wierzchu, lub migdałową trufkę. Poczowała napływającą do ust ślinę.

Niektóre z orzechów na czekoladkach poruszyły się. Fiona zamarła z ręką wciąż wyciągniętą i niemal już dotykającą czerwonego serca.

Robaki. Były wszędzie. Pełzające muchy i wijące się larwy. Na pewno dostały się do pudełka, kiedy wrzuciła je do śmietnika. Jak mogła być tak głupia? Potrzebowała tych słodczy. Choćby jeszcze raz.

Wyciągnęła truskawkową trufkę. Drobiniki kakao ułożono na jej wierzchu tak, by przypominały ziarenka prawdziwego owocu, ale obok nich ruszały się małe robaki. Zmusiła się, by powstrzymać odruch wymiotny, gdy przecierała z nich czekoladkę. Jej ścianki pokryte były maleńkimi dziurkami, przez które zapewne larwy dostały się też do środka. To było okropne. Ale musiała zjeść tę pralinę. Dla Eliota. Bez niej nigdy nie podniesie się na równe nogi.

Gdzieś w pobliżu z głośnym trzaskiem pękła rozgrzana szklana tafla. Czas uciekał. Siłą woli zmusiła się, by unieść czekoladkę do ust. Pod jej palcami coś się poruszyło.

Odsunęła dłoń. Nie mogła tego zrobić. Dlaczego nie potrafiła znaleźć w sobie tyle siły, by wstać bez

zastrzyku energii z cukru? Czy naprawdę była taka słaba? Przejechała językiem po wargach, wyobrażając sobie głęboki smak czekolady. Miała na nią ochotę... nawet pokrytą larwami.

Wbiła wzrok w trufkę. Tak, chciała ją zjeść i jednocześnie nienawidziła siebie za to. Była zupełnie bezsilna. Czekolada miała nad nią ogromną moc. Zupełnie jakby to nie ona ją zjadała, lecz czekolada pożerała ją.

Skupiła całą uwagę na cukierkach i spostrzegła zwisającą z pudełka nitkę. Była cienka jak pajęczyna i lekko falowała w powietrzu. Przekrzywiła głowę i zobaczyła, że nić biegnie do jej nadgarstka. Czy to od któregoś robaka?

Przyjrzała się lepiej i odkryła mikroskopijny dołek na skórze. Wyglądało na to, że jedwabne włókno przeniknęło w tym miejscu w jej ciało. Pociągnęła za nie i poczuła szarpnięcie wewnątrz przedramienia. Czy to była halucynacja wywołana wstrząsem mózgu, czy może jedna z nici, które pokazała jej ciocia Dallas? Czyjej obecność oznaczała, że los Fiony związany był z tymi czekoladkami? Że pragnęła ich tak bardzo, że stały się częścią jej życia? A może to one doczepiły się do niej? Jak pasożyt...

Pociągnęła nitkę mocniej. Tym razem poczuła bolesne szarpnięcie jeszcze głębiej. Dym zawinął się wokół jej kostek. Zakasłała. Musiała szybko zdecydować, co zrobić. Inaczej będzie siedziała tu i gapiała się na czekoladkę w nieskończoność, a w tym czasie jej brat zginie i całe wesołe miasteczko dookoła pochłonie ogień.

Mogła to zrobić. Musiała tylko zachować spokój.

Tak długo skupiała wzrok na nici, aż zaczęła

dostrzegać tylko ją i nic więcej. Pociągnęła lekko, wydobywając na wierzch całą jej płataninę reprezentującą jej życie – supełki i węzélki rozciągające się na niemal metr. Odszukała miejsce, w którym pasmo wychodzące z pudełka łączyło się z resztą płataniny. Dalej przebijało się przez włókna przypominające rzeźbione szkło, ludzkie włosy oraz sploty konopi i zawijało spiralnie wokół innych, lśniących jak złoto nici. Całość kończyła się grubą rurką, która pulsowała jak żyła, ale zamiast krwi pompowała ciemny muł.

Jaką część jej życia miało to reprezentować? Nieważne. Miała zamiar po prostu odciąć nitkę od czekoladek i na zawsze się ich pozbyć.

Naprężyła gumową opaskę na nadgarstku tak i przysunęła ją do cieniutkiej i jedwabistej nici. Nie powinna stawiać oporu.

Mocno nacisnęła.

Prawie niewidoczne włókno zamigotało, ale opaska go nie przecięła. Zirytowana Fiona spróbowała znowu. Bez skutku. Ale przecież wcześniej przecinała żelazo i metal. A to była tylko jedwabna nić. Powinna sobie z nią z łatwością poradzić.

Wujek Aaron powiedział, że będzie umiała przeciąć każdy materiał... Ale powiedział również, że najpierw musi naprawdę tego chcieć. A to znaczyło, że tak naprawdę gdzieś głęboko wcale nie chciała się uwolnić od czekoladek. Wciąż ich pragnęła, nawet pokrytych robakami i nawet jeśli oznaczałoby to, że zginie w pożarze. Chciała je zjeść, tu i teraz, i niejedną czekoladkę, nie trzy czy cztery, ale wszystkie.

Jej spojrzenie straciło ostrość, w oczach pojawiły

się łyzy. Nigdy wcześniej w żadnej sprawie się nie poddała, a teraz czuła, że nie ma innego wyjścia. Była silna, lecz jej pragnienie okazało się silniejsze.

Zwiesiła głowę. Jej spojrzenie opadło na płataninę włókien na jej kolanach. Gruba, pulsująca rurka leżała zwinięta w pętlę na samym wierzchu. Fiona nie miała pojęcia, co to było, ale może da się to wykorzystać. Podświadomość nie pozwalała jej zerwać nici łączącej ją z czekoladkami, ale może powinna spróbować odciąć się do tego, do czego włókna prowadziły?

Pociągnęła za dziwną rurkę. W środku przelała się kolejna porcja galaretowatego mułu.

Obrzydliwość. Z pewnością mogła bez tego żyć. Ale czy nie wyparłaby się w ten sposób jakiejś części siebie?

I drugie pytanie: Czy miała jakikolwiek wybór?

Przygotowała się, naciągnęła opaskę i przecięła nią rurkę. Gumowy przewód pękł, nie stawiając prawie żadnego oporu. Pulsujący muł wypłynął na zewnątrz. Czuć go było żółcią, krwią i czekoladą.

Fiona instynktownie odsunęła rękę daleko od siebie. Strumień lepkiej cieczy rozlał się po podłodze, torbie z książkami i pudełku w kształcie serca.

Najpierw myślała, że to krew. Ale wcale nie czuła się słabiej. W rzeczywistości z sekundy na sekundę robiła się silniejsza. W końcu strumień zamienił się w wąską strużkę i Fiona wstała. Przez chwilę gapiała się na wpół zakrzepłą maź u jej stóp. Pomyślała, że już nigdy więcej nie zje ani jednej czekoladki. A nawet nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby już do końca życia nigdy nie musiała niczego jeść.

Przestała się czuć słaba i bezsilna. Ogarnęła ją wściekłość. Ktokolwiek dał jej to pudełko, wiedział, co ono z nią zrobi. Przysięgła sobie, że dowie się, kim była ta osoba, i wyrówna z nią rachunki. Ale teraz miała ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Odwróciła się w stronę wyjścia z labiryntu. Tam zniknął Eliot. Tam poszedł też Millhouse, a jego kroki znaczyły płomienie ognia na podłodze. Nie miała czasu, by powtarzać ich trasę przez labirynt, naciągnęła więc gumkę na przegubie i zrobiła trzy kroki do przodu.

Przy pierwszej napotkanej szklanej przeszkodzie strzeliła opaską. Ściana roztrzaskała się na tysiąc drobinek, które zatańczyły u jej stóp. Laminowane ze względów bezpieczeństwa szkło nie mogło jej zranić, ale jego odcięte fragmenty były ostre jak żyłki. Odpryski jednak wbiły się w jej ramię, a wokół nich zaczerwieńczyły się krople krwi. Fiona miała wrażenie, że użądliło ją naraz kilkanaście os, ale nie zwracała uwagi na ból. Nie miał teraz znaczenia. Teraz liczyło się tylko to, żeby udało się jej stąd wydostać.

Szła dalej, zostawiając za sobą szlak z roztrzaskanego szkła i odciętych stalowych ram. Nawet raz się nie odwróciła, by spojrzeć na czekoladki, i przysięgła sobie, że już nigdy nie pozwoli, by cokolwiek w ten sposób zapanowało nad jej życiem. Bez lęku posuwała się do przodu, omijając rozprzestrzeniający się ogień, aż wreszcie znalazła się po drugiej stronie labiryntu. Zeskoczyła na ziemię.

Przyczepy za jej plecami były już niemal zupełnie pochłonięte przez płomienie. Teraz musiała odnaleźć Eliota i porwaną dziewczynkę. A jeśli będzie musiała,

poradzi sobie też z Millhouse'em.

SERENADA OGNI

Eliot zeskoczył ze szczytu schodów i potoczył się po pokrytym słomą gruncie. Millhouse wyłonił się z labiryntu tuż za nim i powoli pokuśtykał w dół stopni.

– Nie uciekaj – wysyczał. – Chcę ci coś powiedzieć, chłopcze. Rzeczy, o których powinienes wiedzieć.

Eliot pobiegł ku ceniom przy ustawionych wzdłuż ogrodzenia kontenerach. Nie nabierze się na taką prostą sztuczkę.

Mniej więcej po minucie zatrzymał się, uspokoił oddech i spojrzał za siebie. Millhouse zamienił się w tłącą się kropkę, wciąż za nim podążającą, ale znajdującą się na tyle daleko, że Eliot miał chwilę na to, by przystanąć i pomyśleć. Płomienie z labiryntu luster rozprzestrzeniły się na budki z jedzeniem. Czy Fiona sobie poradzi? Nie będzie miała problemu z wydostaniem się na zewnątrz. Wprawdzie znajdowała się tuż przy wejściu, ale potem co? Czy uda się jej okrążyć labirynt i dołączyć do niego?

Żałował, że nie miał telefonu komórkowego jak każda inna osoba na świecie. Nie mógł na nią czekać. Przemknął ku kontenerom. Stało przy nich chyba ze sto przyczep, w niektórych miejscach ułożonych jedna na drugiej i sięgających na wysokość kilku metrów. Dziewczynka mogła być w każdej z nich lub, jak sądziła Fiona, w żadnej.

– Amanda? – wyszeptał. – Amanda Lane?

Nie wystarczyło mu odwagi, by krzyknąć, żeby rzeczywiście miała szansę go usłyszeć. To mogłoby zdradzić jego pozycję Millhouse'owi. A skoro nie mógł zawołać, był skazany na przeszukanie wszystkich kontenerów, co potrwa całe godziny. Musiał istnieć jakiś szybszy sposób.

Eliot wypatrzył drabinę i wdrapał się na jeden z pojemników. Z tego punktu obserwacyjnego zobaczył kilkanaście małych płomieni przecinających powietrze nad miasteczkiem. Czy ktoś przejeżdżający obok mógł je też dostrzec i wezwać pomoc? Wątpił w to. Na podjeździe nie było żadnego samochodu oprócz jaguara babci. Strach, który zdołał na trochę opanować, znów go ogarnął. Wcześniej omal nie utknął w labiryncie. Uratowało go dopiero to, że zauważył, iż wystarczy patrzeć na podłogę, by ominąć ramy szyb i luster blokujących drogę. A i tak w pewnym momencie Millhouse zbliżył się do niego na tyle, by złapać go za ubranie, przypalając koszulę.

Na samo wspomnienie tego momentu Eliot cały się zatrząsł. Po chwili udało mu się jakoś powstrzymać dreszcze, ale zaraz powróciły ze zdwojoną siłą. Musiał wziąć się w garść. Jeśli Millhouse go nie odnajdzie, prawdopodobnie znowu zajmie się dziewczynką. Nie zostało im wiele czasu. Już narażanie Fiony i Eliota na śmiertelne niebezpieczeństwo w imię jakiegoś testu nie było w porządku, a jeszcze wmieszenie w to dodatkowo kogoś spoza rodziny było podwójnie niesprawiedliwe.

Jak odszukać Amandę Lane? W kanałach ściekowych zagrał na skrzypcach. Czy teraz też mógł użyć podobnej sztuczki? Ale tutaj nie było szcurów, które

zaprowadziłyby go do celu. Lecz może sama muzyka znajdzie sposób, by wskazać mu drogę?

Przykucnął i wyciągnął z torby skrzypce. Oparł je o ramię i na próbę kilka razy uderzył w struny.

Zaczął grać. Najpierw to, co zawsze: prostą dziecięcą piosenkę, której nauczył go Louis.

Jego palce sprawnie przemykały po gryfie. Poruszał smyczkiem, jakby stanowił z nim jedność. Rytm muzyki zgadzał się z regularnym pulsem jego serca. Świat zniknął, a do Eliota dotarły z oddali znajome głosy śpiewające:

***Dzieci w bólu i krwi narodzone,
kochane i nienawidzone, bogate i chrome
Gaworzą, płaczą, krzywią z głodu buzie,
niegotowe na okrutne życia burze.***

Zamknął oczy i przypomniał sobie fotografię Amandy Lane. Zwykły słodki dzieciak dumny z utraty dwóch przednich zębów mlecznych... Kolejne myśli same do niego przyływały: córeczka tatusia... zdrowo rośnie... srebrna wstążka w czarnych włosach.

Jego melodia stała się jeszcze prostsza, nuty płynęły, jakby radośnie skakały przez skakankę – a potem Eliot poczuł coś innego. Szorstkie ręce sięgnęły po Amandę, taśma owinęła się wokół jej nadgarstków i kostek, na policzkach pojawiły się palące Izy.

Teraz szarpał struny palcami gwałtownie, w nieharmonijnym pizzicato, które biegło do przodu jak sznur iskier. Zagrał głośniejsze, tak by piosenka zabrzmiała na większym obszarze.

Otworzył oczy.

Rozrzucone po całym terenie ognie tańczyły w rytm

jego melodii. Elektryczne światła pulsowały, wszystkie budki, stragany i karuzele ocknęły się z letargu. Diabelski młyn rozbłysnął neonami i zaczął się kręcić. Kolejka góraska zagrzecotała, gdy jeden z wózków dotarł na czubek torów, a potem runął w dół z potężnym trzaskiem. Ekspres, Lawina i Gorączka Złota ruszyły ze zgrzytem i piskiem metalu, wyrzucając z siebie gejzery iskier. Ramię gigantycznej ośmiornicy zawirowało, oderwało się i roztrzaskało o płonący labirynt z luster.

Eliota ogarnęła panika. Czy Fiona zdążyła się stamtąd wydostać? Przecież nie miała powodu, by tam tkwić. Ale czy poza tym, że muzyka ożywiła całe miasteczko, przyniosła jeszcze jakiś inny efekt? Oparł dłoń na drżących strunach.

Tym razem niczego nie wyczuł, nie tak jak wtedy, kiedy szukał Souhka. Oczywiście nie spodziewał się, że nagle pojawią się tu szczury i wskażą mu drogę, ale na coś liczył. Na cokolwiek.

Usłyszał echo swojej piosenki, o wyższym tonie i dochodzące z daleka. Dźwięk docierał od strony karuzeli, którą minęli tuż przy wejściu do wesołego miasteczka. Teraz była oświetlona i kręciła się, a stojące na jej środku organy odgrywały piosenkę Eliota, zmieniając trochę melodię, improwizując i jakby śpiewając: „Tutaj! Ttitaj jestem! Chodź się ze mną pobawić!”.

Nie miał wątpliwości: to była piosenka Amandy. A więc dziewczynka musiała być właśnie tam.

Spakował skrzypce i nieporadnie zszedł z kontenera. Pobiegł między rzędami płonących budek, instynktownie osłaniając dłońią twarz przed bijącym od nich gorącem.

Poza trzaskaniem ognia słyszał też miażdżony i pękający metal i nawet te dźwięki przypominały muzykę. Jego muzykę.

To wszystko było dziełem Eliota. Oczywiście nie rozpałił ognia, zrobił to Millhouse, ale muzyka w jakiś sposób sprawiła, że płomienie się rozprzestrzeniły i całe wesołe miasteczko zamieniło się w piekło. Rozwścieczone piekło.

Gdzie była Fiona? Chciał ją zawołać, ale nie miał pewności, gdzie teraz był Millhouse. Zrezygnował więc z tego pomysłu i biegł dalej. Zatrzymał się dopiero przy karuzeli.

Obracała się szybciej niż jakakolwiek, którą widział do tej pory w życiu... Choć czy na pewno się kręciła? Podstawa rzeczywiście się poruszała, ale to wcale nie wyjaśniało szalonego tempa koni.

Rumaki galopowały. Eliot widział, jak ich kopyta uderzają o podest, i wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom. Konie goniły się nawzajem w obłądnym, ale jednocześnie sprawiającym wrażenie puszczanego w zwolnionym tempie cwale. Różowe, purpurowe, kremowe kucyki – ich czarne oczy błyszczały, a na pyskach pojawiła się piana. Gdy uchylały się przed stającymi na ich drodze mosiężnymi słupkami, gryzły się nawzajem, parskały i rżały. Eliot zamrugał. Zahipnotyzowane szczury, gadające krokodyle, jazda przez połowę kuli ziemskiej – to wszystko były dziwne i niewytłumaczalne rzeczy. Ale galopujące konie na karuzeli? Tego już było za dużo!

Musiał jednak przyjąć ten fakt do wiadomości. Nie miał innego wyjścia, przynajmniej w tej chwili. Organy

wciąż odtwarzały jego piosenkę przemieszaną z błaganiami dziewczynki o pomoc.

Skupił wzrok na centralnej części karuzeli widocznej za poruszającą się ścianą kolorów. Była nieruchoma i Eliot dostrzegł w niej drzwi. Za nimi musiał być silnik, organy na parę oraz – Eliot mógł się o to założyć – Amanda Lane.

Trzy razy głęboko odetchnął i powoli zbliżył się do karuzeli. Jeśli odczeka na właściwą chwilę, może uda mu się wskoczyć na obracającą się platformę.

Konie kłapnęły zębami na jego widok, potem pobiegly dalej. Eliot się cofnął. Galopujące zwierzęta też będą niemałą przeszkodą. Będzie musiał wskoczyć na karuzelę i jakoś spróbować je ominąć.

Fionie wykonywanie takich zadań przychodziło z większą łatwością. Eliot jeszcze raz rozejrzał się dookoła, ale ani po jego siostrze, ani po Millhouse nie było śladu. Musiał to zrobić sam. Tylko jak? Kiedy znajdzie się na podeście, przygniotą go końskie kopyta. W ten sposób nikomu nie pomoże.

Przypomniał sobie swoje marzenia i zawadiackiego bohatera, jakiego w nich odgrywał. Tamto jego wcielenie na pewno natychmiast ruszyłoby do działania. Jako nieustraszony chojrak wskoczyłby na górę i przemknął między rumakami, a nawet – a co tam!

– mógłby wskoczyć na grzbiet jednego z nich. Później uratowałby dziewczynkę i unieszkodliwił Millhouse'a...

Przełknął ślinę, a potem zrobił coś, co było najdzielniejszą i najgłupszą rzeczą, na jaką zdecydował się w swoim piętnastoletnim życiu: dał susa w stronę karuzeli.

Wzbił się w powietrze... i w tej samej chwili zrozumiał swój błąd: karuzela kręciła się zbyt szybko, by wskoczyć na nią na wprost. Powinien wybić się pod kątem.

Gdy tylko jego stopy dotknęły desek, siła odśrodkowa podcięła mu nogi i zrzuciła w dół. Obiema rękoma złapał się mosiężnego słupka. Jedna dłoń wprawdzie ześlizgnęła się z niego, ale druga utrzymała się na miejscu. Eliot zakołysał się w powietrzu, niemal przy tym wyrывая sobie rękę z barku, i wylądował. Usłyszał grzmot. Odwrócił się i zobaczył galopującego wprost na niego srebrnego ogiera. Przywarł mocno do słupka. Koń opryskał go śliną i pianą. Co gorsza, zaczepił go też kopytem o udo.

Jego ciało przeszły ostry ból jak impuls elektryczny. Ze skaleczenia popłynęła krew.

Usłyszał kolejne zbliżające się rumaki. Nawet nie spojrział w ich stronę, tylko przytulił się jak najmocniej do słupka i zacisnął zęby. Po jego obu stronach przebiegły trzy konie, wściekle prychając i pobłyskując złotą farbą. Eliot dostrzegł przerwę w stadzie i skoczył do następnego słupka, łapiąc go obiema rękoma, okręcając się wokół niego na niepewnych nogach i... wpadając pod nogi czarnego ogiera, którego wcześniej nie zauważył.

Rumak uderzył go prosto w piersi i powalił na podłogę. Płatanim kopyt i migocących podków przemknęła nad głową chłopaka. Konie pobiegły dalej.

Eliot potoczył się ku środkowi platformy i zatrzymał przy podwyższonym progu. Leżał tam przez chwilę, dysząc. Wyczuł zapach krwi. Był pewien, że w jego plecy wbiło się milion drzazg. Mimo wszystko mu się

udało.

Pomacał się po boku i plecach i zorientował się, że zgubił plecak. Spojrzał na półkę, obok której leżał.

Była pusta. Po chwili zobaczył, że plecak znajdował się na ruchomej części karuzeli, tuż poza zasięgiem jego rąk. Właśnie przebiegł nad nim czarny rumak, odkopując go jeszcze trochę dalej. W środku były Jutrzenka i książka o mitologii. Wystarczyłoby jedno uderzenie kopyta, by zmiażdżyć instrument.

Eliot sięgnął w tamtą stronę – cofając się na chwilę, gdy czarny koń wrócił – a potem rzucił się i złapał plecak. Przytulii go do piersi i z największą ostrożnością sprawdził jego zawartość. Na szczęście chronione sztywną gumą kalosza skrzypce były nienaruszone. Odetchnął z ulgą.

Podniósł się na kolana i odwrócił w stronę drzwi prowadzących do centralnej części karuzeli. Zamek z ciężką zasuwą nie był zatrzaśnięty i drzwi łatwo ustąpiły.

Wewnątrz było zupełnie ciemno, jeśli nie liczyć kilku przemykających przez czerń iskier. Oczy Eliota wkrótce przyzwyczyły się do mroku i chłopak dostrzegł generator prądu, silnik diesla oraz wielki zbiornik na parę pompujący do otaczającej go sieci rur syczące powietrze.

Wyciągnął latarkę i włączył ją. Przy przeciwległej ścianie siedziała zakneblowana i związana taśmą Amanda Lane. W jej przerażonych, szeroko otwartych oczach błyskała wola walki. Nie była jednak małą dziewczynką. Zdjęcie z komputera musiało być zrobione dawno temu. Teraz miała trzynaście lub czternaście lat i prawie tyle samo wzrostu co Eliot.

Chłopak uniósł palec, próbując jej przekazać, by

zaczekała. Podeszedł do maszyny. Nie mógł myśleć przy dźwiękach wciąż powtarzającej się piosenki i hałasie dochodzącym z karuzeli.

Znalazł poźółkłą i zamazaną kartkę z instrukcją obsługi urządzenia przyklejoną taśmą do zbiornika. Za jej pomocą odkrył wyłącznik urządzenia i go nacisnął.

Maszyna głośno syknęła i zamarła, nuty ucichły, a na zewnątrz rozległo się pełne protestu rzenie zatrzymujących się koni i odgłosy uderzeń ich kopyt.

Eliot uklęknął przy Amandzie i zdarł taśmę z jej ramion. Dziewczyna natychmiast się do niego przytuliła.

– Już dobrze – powiedział łagodnie, uwalniając się z jej uścisku.

Złapał za taśmę przy jej ustach i pociągnął jednym szybkim ruchem. Musiało ją to zboleć, ale nawet nie krzyknęła.

– Masz na imię Eliot, tak? – zapytała. – Powiedział, że przyjdiesz. Powtarzał, że ma taką nadzieję.

– Kto? Millhouse?

Na ścianie pojawiła się linia światła: łuk biegnący przez drewniane płyty i stalowe wsporniki – a potem wyznaczona przez nią część ściany odpadła z hukiem i w wyrwie ukazała się otoczona blaskiem płomieni Fiona.

Eliot nie miał pojęcia, jak to zrobiła. Zresztą to akurat nie było w tej chwili ważne. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiej radości na widok siostry. Dostrzegł jednak, że z głowy kapie jej krew i wygląda na rozwścieczoną. Gdy zobaczyła Eliota i Amandę, jej ostry wzrok trochę złagodniał.

– Musimy stąd uciekać. I to szybko – powiedziała.

PIERWSZA KREW

Fiona była gotowa dosłownie na wszystko, gdy przecinała ścianę karuzeli. Kiedy jednak w środku zobaczyła Eliota, a nie Millhouse'a, jak się tego spodziewała, odetchnęła z ulgą. Dziewczynka też tam była.

Wcześniej Fiona nawet nie pozwalała sobie mieć nadziei na to, że uda im się ją znaleźć. Przede wszystkim chciała odszukać Eliota... Żywego.

Coś tu się jednak nie zgadzało. Millhouse powiedział, że na nich czekał. Dlaczego więc do tej pory nie złapał Eliota? I zostawił Amandę Lane w miejscu, gdzie mogli ją łatwo odszukać?

– Dobra robota – powiedziała do brata.

Wyciągnęła dłoń do dziewczynki. Amanda złapała ją i już nie puściła. Przez ułamek sekundy Fiona zastanawiała się, jak to by było mieć siostrę bliźniaczkę, a nie brata. Pewnie wciąż podkradałaby jej ubrania.

– Chodźmy – postanowiła działać. – Parę chwil temu widziałam Millhouse'a. Potem go zgubiłam, a jeszcze moment później zobaczyłam, jak biegniesz w tę stronę.

Eliot popatrzył na odcięty kawałek ściany.

– Jak to...

– Później. Najpierw się stąd wydostańmy. Potem ci wszystko opowiem.

Fiona pobiegła, ciągnąc za sobą dziewczynę. Eliot dogonił je i złapał Amandę za drugą rękę. Pędzili, trochę ją ciągnąc, a trochę unosząc w powietrzu.

Po drugiej stronie wesołego miasteczka hałasowały płonące karuzele i kolejki górskie. Budki, w których sprzedawano jedzenie, skrzypiały i rozpadały się, zamieniając się w tłące się kopce. Skierowali się do najbliższego wyjścia: bramy złomowiska Haleya, będącej makietą wejścia do lunaparku z drzwiami obrotowymi oraz wielkimi klaunami z dykty ustawionymi po obu stronach budki z biletami. Na krawędziach sylwetek klaunów umieszczono setki silnych żarówek, z których mniej więcej połowa była teraz przepalona. Figury gapiły się na nich z kpiącymi uśmiezkami, przyprawiając Fionę o ciarki. Gdyby tylko miała na to czas, wycięłaby im oczy.

Dlaczego o tym pomyślała? Przecież nienawidziła przemocy... Nie mogła się rozpraszać. Musiała uciec stąd, ochronić siebie, Eliota i Amandę. Zwyciężyć.

Za ich plecami rozległ się ogłuszający trzask. Fiona się odwróciła.

Wysoka na cztery piętra płonąca obręcz diabelskiego młyna oderwała się od podstawy, zachwiała i poturlała po ziemi, miażdżąc stragany i zostawiając za sobą ognisty szlak.

Fiona zatrzymała się, podobnie jak Eliot. Bezradnie patrzyli na sunącą stalową konstrukcję.

Koło toczyło się wprost na nich. Amanda zaczęła krzyczeć. Eliot pociągnął ją za sobą. Fiona biegła tuż za nimi. Zbliżywszy się do głównej bramy, zobaczyła, że ta była zamknięta na łańcuch i kłódkę. Oczywiście mogła je przeciąć, ale to zabrałoby trochę czasu, a diabelski młyn

pokonałby wtedy dzielącą ich odległość i zgniótłby ich na miazgę.

Zerknęła do tyłu: koło uderzyło w kiosk z lemoniadą po jednej stronie alejki i chybotliwie poturlało się na drugą stronę, zrównując z ziemią strzelnicę. Jego trasa była kwestią przypadku, dlatego trudno im było wybrać drogę ucieczki. Złapała brata za ramię i zatrzymała gwałtownym szarpnięciem.

– Nie przegonimy go – wydyszała. – Musimy je jakoś wyminąć.

Eliot odwrócił się i popatrzył na zbliżający się płonący okrąg stężałym i nieruchomym wzrokiem. Po chwili otrząsnął się z przerażenia i kiwnął głową ze zrozumieniem.

Fiona spróbowała ocenić trajektorię koła, ale ono zataczało się w sposób zupełnie nieprzewidywalny. Właśnie zmiażdżyło budkę z lodami po prawej i odbiło się znów na lewo.

– Teraz! – wrzasnęła. – Z drugiej strony.

Pobiegli w poprzek alejki. Hiż obok nich skrzypiały i iskrzyły się tony metalu. Fiona poczuła zapach palących się włosów – swoich włosów. Eliot obrócił się i osłonił Amandę. Ale po chwili żar zelżał. Koło minęło ich i choć płomienie nieco ich osmałiły, na szczęście nikt nie doznał poważniejszych oparzeń.

Obręcz uderzyła w bramę, przedarła się przez obrotowe drzwi, wbiła w ogrodzenie z drutu kolczastego i łańcuchów, aż w końcu zwolniła, zatrzymała się... i na jedno uderzenie serca stała bez ruchu. Potem przechyliła się i upadła, wydając z siebie ostatni potężny łomot. W niebo wzbily się płomienie i iskry. Ogień przeskoczył na

szczerzące się zęby klauna z dykty. A ciszę rozdarł syczący śmiech Millhouse'a.

Fiona okręciła się na pięcie. Millhouse stał może jakieś dziesięć kroków od nich, blokując im drogę. Polowa jego ciała wciąż płonęła, a przecież już dawno powinna się zwęglić i zamienić w popiół.

Fiona powstrzymała odruch ucieczki. Nie mieli dokąd uciekać. Wszystko wokół płonęło.

Millhouse przybliżył się o krok.

– Jesteście dokładnie tam, gdzie chciałem was doprowadzić – szepnął. – Pośrodku areny z ognia.

– A więc wszystko to zaplanowałeś?! – krzyknęła Fiona. Powinna być przerażona, ale nie była. Dlaczego? Czuła, jakby w jej wnętrzu coś się zmieniło... zepsuło lub odpadło.

– Mówili mi, że przyjdziecie, więc się przygotowałem. – Razem ze słowami z ust Millhouse'a wydobywały się smugi dymu. – Wszystko będzie dobrze. Uwolnię was. Chciałbym, żeby już dawno temu zrobili to samo dla mnie.

– Strzelba – wyszeptał Eliot do Fiony. – Powiedz mi, że ją masz.

Pokręciła głową.

Cała trójka cofnęła się, ale zaraz zatrzymało ją gorąco bijące od przewróconego diabelskiego młyna. Jeszcze krok i zostaliby upieczeni żywcem.

Millhouse zaczął się do nich zbliżać. Przyłożył prawą dłoń do lewej i ta też się zapaliła. Krzyknął i wybuchnął śmiechem.

– Skrzypce! – Fiona rzuciła do brata.

– O, tak! – Millhouse potrząsnął nogą, parodiując

taniec. – Zagraj nam coś do piasów, diabłątko. Podoba mi się twoja muzyka. Zresztą ogniowi też.

Amanda ukryła twarz w ramieniu Eliota i zapłakała. Nie mieli czasu na muzykę. Zanim Eliot wyciągnąłby skrzypce i zaczął grać, Millhouse zdążyłby ich dopaść.

Fiona zrobiła krok do przodu, stając między bratem a płonącym monstrem, które kiedyś było człowiekiem.

– To ta odważna – wycharczał Millhouse, zupełnie już ogarnięty płomieniami. – Mówili, że możesz próbować walczyć.

– Nie zamierzam niczego próbować.

– Oszalałaś? – szepnął Eliot. – Co robisz?

Walące jak młot serce Fiony zwolniło, a parzący jej wewnątrz żar ostygł. Żaden świr nie skrzywdzi jej brata. Po jej ciele przeszła fala chłodu – tak samo czuła się, gdy próbowała uderzyć wujka Aarona jo-jo. Ale teraz chciała zrobić coś więcej: chciała pokonać Millhouse'a. Na zawsze.

Złapała za gumkę na nadgarstku i mocno ją naciągnęła.

– Tym na pewno mnie nie zatrzymasz. – Millhouse wskazał na opaskę i zbliżył się ku Fionie. Jego wyciągnięta ręka była jak płonąca pochodnia.

– Nie! – krzyknęła Amanda.

Fiona rzuciła się do przodu i znalazła się w zasięgu ramion szaleńca. Wystarczyłoby, żeby przycisnął ją do siebie, a spłonęłaby żywcem. Zanim jednak zdążył to zrobić, opaska dotknęła go, tworząc linię od lewego ramienia przez korpus do prawego biodra. Fiona nie zahawala się – do samego końca.

Millhouse, jego skóra, mięśnie i kości, stawiał opór

nie większy niż pajęczyna.

COŚ BARDZO NIE W PORZĄDKU

Fiona trzasnęła drzwiami swojego pokoju i uspokoiła oddech.

Razem z Eliotem posłusznie złożyli raport babci z uratowania Amandy, a ta odwiozła ich do Oakwood Apartments, gdzie kazała im zostać, podczas gdy sama razem z Cee pojechała z przestraszoną dziewczyną do szpitala. Postanowiła też, że sama przekaże Radzie wiadomość o ich zwycięstwie.

Fiona rzuciła się na górę po schodach. Chciała być sama. Ani babcia, ani Cee nie zapytały, jak zatrzymała Millhouse'a. Może już wiedziały? A może było im wszystko jedno?

Rozejrzała się po pokoju, zatrzymując wzrok na globusie, półkach wypełnionych mniej więcej trzema tysiącami książek, wreszcie na biurku, na którego blacie tuż obok maszyny do pisania marki Corona leżał równy rząd ostro zatemperowanych ołówków. Nienawidziła tego miejsca. Spędziła tu całe życie, ucząc się i czytając... i czy miało to teraz jakieś znaczenie? Czy pomyślne przejście kolejnej próby Rady miało znaczenie? Jeśli wierzyć niciom ciotki Dallas, Fionie zostało mniej niż dzień życia.

Może nic nigdy się nie liczyło. Przecież każdy w końcu umiera. Nawet Perry Millhouse, który sprawiał wrażenie, jakby był nie do powstrzymania. Zwłaszcza Millhouse.

Nie mogła znieść myśli o nim ani o tym, co zrobiła.

Uderzyła ręką w globus, który potoczył się do kąta i zatrzymał z Antarktydą skierowaną ku górze. Podeszła do biurka i jednym ruchem zgarnęła z niego kartki, słowniki i ołówki. Maszyna do pisania przeleciała przez krawędź blatu i z głośnym brzękiem upadła na podłogę.

Fiona poczuła się lepiej. Papier i ołówki nie stawiały oporu, nie próbowały oddać ciosów. Nie krwawiły.

Podeszła do regałów. Wyciągała z nich całe naręcza książek historycznych, biografii oraz nigdy nie opublikowanych manuskryptów i rzucała je na środek pokoju.

Usłyszała drapanie w drzwi. Eliot zupełnie jak pokorny szczeniak czekał na nią na korytarzu.

Otworzyła usta, by go przegonić, ale nagle poczuła na języku smak czekolady i, ułamek sekundy później, podchodzącą do gardła żołąć. Przebiegła przez pokój, szarpnęła za zamek i minąwszy Eliota, wpadła do łazienki.

Zamknęła za sobą drzwi i podniosła deskę klozetową. W samą porę. Jej żołądek zafalował, a z ust wytrysnął czarny strumień, obryzgując porcelanę.

Zadygotała i skuliła się. Ciemny płyn wciąż z niej wypływał, litr za litrem. Ledwie starczyło jej sił, by unieść rękę i spuścić wodę.

– Fiona? – zapytał Eliot przez drzwi.

– Idź so...

Znów zwymiotowała. Jak to wszystko mogło się w niej zmieścić?

Woni, jaka rozniosła się w łazience, nie można było pomylić z żadną inną: zapach kremu waniliowego, likieru

wiśniowego, nadzienia miętowego, orzechów, ale przede wszystkim mlecznej czekolady. Zupełnie jakby każda czekoladka, jaką zjadła od chwili, kiedy po raz pierwszy otworzyła pudełko, został w niej aż do teraz.

Cóż, to chyba dobrze. Na pewno nie chciała mieć tego świństwa w sobie. Po zjedzeniu czekoladek czuła się świetnie, ale efekt ten trwał zaledwie kilka chwil, a na dodatek wydawał się nienaturalny i niezdrowy. Poza tym coś było bardzo nie tak z tymi słodyczami. Znowu wymiotowała.

Wypływał z niej ten sam płyn, który wydostał się z przypominającej żyłę rurki, kiedy ją przecięła. Czy robiąc to wtedy, uszkodziła sobie coś w środku? Jak to możliwe? Przecież nici istniały tylko w jej wyobraźni. A może nie? Czekoladki doczepiły się do tych nitek, zrosły się z jej przeznaczeniem... Nie miała wyjścia, musiała odciąć je w punkcie przyłączenia. Tak samo jak nie miała wyjścia, kiedy odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Millhouse'em.

Zakręciło jej się w głowie. Chciała o tym zapomnieć. Chciała, by wspomnienie o ogniu i krwi po prostu zniknęło.

Musiała to wtedy zrobić, by chronić Amandę i Eliota. Rozciągnęła gumową opaskę tak mocno, że kiedy się na niej skupiła, ta stała się niemal niewidoczną krawędzią, a w jej głowie pojawiła się tylko jedna myśl: ciąć.

Millhouse podszedł bliżej i wyciągnął rękę. Chciał ją złapać i zarazić swoim ogniem, ale Fiona okazała się szybsza. Rzuciła się ku niemu i przysunęła opaskę do jego klatki piersiowej. Rękę trzymała szeroko, tak że linia

zaczynała się na jego barku, przecinała korpus i dochodziła do biodra. Moje serce niech się złamie, jeśli kiedykolwiek skłamię. Przecięła go. Gumowa bransoletka zagłębiła się w jego stopiony kombinezon, szerniałą skórę, mięśnie i rozpadające się organy – wszystko to miękkie i nie stawiające oporu – a potem przeszła przez kręgosłup i przedostała się na drugą stronę. Jedywym świadectwem tego, że to zrobiła, było lekkie drżenie opaski.

Millhouse złapał jej ramię, muskając i osmalając jej włosy. Drugą ręką sięgnął do jej barku, przepalając koszulę dziewczyny i zostawiając bąble na skórze, ale w tej samej chwili ręka mu odpadła, a cała górna część ciała oddzieliła się od dolnej. Trysnęła krew, gasząc pożerające go płomienie, ale Fiona niewiele już z tego pamiętała.

W jej wspomnieniach najżywsze było co innego: jego uśmiech. Szeroki jak u tamtych idiotycznych klaunów przy wejściu. Zupełnie jakby mężczyzna chciał umrzeć.

Fiona ściągnęła z nadgarstka gumową opaskę, wrzuciła ją do toalety i spuściła wodę. Nie mogła na nią patrzeć. Spowodowała czyjaś śmierć. Nie... to Fiona zabiła.

Rada próbowała ją do tego zmusić przez cały czas. Z pionka awansowano więc ją na zabójcę. Ale przecież w ostatecznym rozrachunku decyzja należała do niej. Miała wybór: zabić lub zginąć.

Jej dłonie zdrząły, skóra na nich pobladła, aż stała się niemal zupełnie biała. Chciała zemdleć i zapomnieć o wszystkim, ale jej ciało na to nie pozwalało. Znow musiała nachylić się nad muszlę, gdy kolejna porcja czekolady wydostała się z głębin jej żołądka.

Eliot zapukał delikatnie w drzwi. Fiona złapała oddech.

– Idź sobie! – krzyknęła. – Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

ZAWSZE PRZY TOBIE

Ręka Eliota zatrzymała się centymetr od klamki. Fiona go potrzebowała. Płakała i była chora. Ale nigdy wcześniej w jej głosie nie słyszał takiej złości.

Czy powinien się temu dziwić? Babcia nawet nie mrugnęła, kiedy wrócili do samochodu z Amandą, a za ich plecami płonęło całe wesołe miasteczko. Nie zapytała, w jaki sposób im się udało. Nie zapytała też o Millhouse'a. Pewnie już o wszystkim wiedziała. A potem zostawiła ich tutaj samych, bo dziewczynę trzeba było przebadać. Eliot zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy. W trakcie jazdy przywarła do jego boku i Cee musiała ją potem odrywać od niego siłą.

A teraz pewnie Cee nadal była w szpitalu, a babcia na spotkaniu Rady. Chciała sama złożyć jej sprawozdanie z ich sukcesu.

Ciężar zaległ w żołądku Eliota, gdy uświadomił sobie, że czeka ich jeszcze trzecia próba. Pomyślał o chwili, kiedy Fiona stanęła naprzeciw Millhouse'a. Powinien wtedy jej pomóc. Wstydził się tego, że stał bez ruchu, przerażony, jak kompletny dureń. A wtedy Fiona przecięła potwora na pół. Nie miał wątpliwości, że to właśnie widział. To nie było złudzenie. Z powodu szalejącego pożaru nie mógł tam zostać nawet chwilę dłużej, ale i tak było jasne, że ciało mężczyzny rozpadło się na dwie części. No i ta krew... Było jej dużo.

Wystarczająco dużo, by ugasić ogień. A wcześniej Fiona przecięła ścianę w karuzeli, chociaż nie dostrzegł w jej ręku żadnego noża.

Gdy teraz o tym myślał, zdał sobie sprawę, że aby ciąć aż tak szybko, potrzebna była co najmniej piła elektryczna. Miał do siostry milion pytań.

Jego dłoń znów zbliżyła się do klamki, ale ze środka łazienki usłyszał płacz. Jeszcze nie teraz. Fiona najwyraźniej potrzebowała czasu.

Odwrócił się, by odejść i uszanować jej prywatność, ale zaraz przystanął. Nie chciał zostawiać jej samej. Westchnął więc i usiadł na podłodze.

– Będę tu czekał. Gdybyś mnie tylko potrzebowała...

– szepnął.

Nie mogła go usłyszeć, ale wypowiedzenie tych słów sprawiło, że poczuł się lepiej.

Nie chciał zostawić siostry, kiedy był jej najbardziej potrzebny. Tak jak powiedziała Cee, we dwoje byli silniejsi. Może jego obecność miała jakieś znaczenie, nawet jeśli Fiona nie wiedziała, że tu siedział.

Skrzyżował nogi i obejrzał swój plecak. W miejscach, gdzie czarny koń omal go nie zmiażdżył, na płótnie zostały wyraźne ślady uderzeń kopyt. Znów dotknął skrzypiec, upewniając się, że były nietknięte. A potem wyciągnął ciężki tom *Mythica improbiba*. Obejrzał się za siebie. Mieszkanie było puste, ale i tak wolał sprawdzić, czy nikt go nie widzi. Gdyby babcia nakryła go z tą książką, na pewno by ją skonfiskowała. Nie miałoby znaczenia, że właśnie pomyślnie przeszli drugą próbę, a on jej potrzebował, bo zawierała informacje o jego rodzinie.

Otworzył ją i znów popatrzył na średniowieczną rycinę przedstawiającą diabła. Stwór zdawał się uśmiechać do Eliota, ale jednocześnie dźgał wieśniaków widłami. Już od samego patrzenia na obrazek chłopaka przeszły ciarki.

Odwrócił kartkę i zobaczył, że następna strona jest w całości pokryta dziwnym pismem. Każda litera składała się z delikatnych linii, malutkich niedomkniętych kółek, kwadracików i zawijasów. Eliot nigdy wcześniej niczego takiego nie widział⁴⁹.

Kolejne stronicie wyglądały tak samo, więc chłopak przerzucał je szybko do przodu. Z pergaminu unosił się zapach kurzu tysiąca dróg i potu wszystkich rąk, które wcześniej go dotykały.

Jego kciuk natrafił na ciepły róg strony. Z powrotem przewrócił kilka kartek, docierając do tej szczególnej.

Zawierała tekst łaciński, ciągnący się w jednym nieprzerwanym ciągu liter i nie zawierający ani odstępów, ani żadnych znaków interpunkcyjnych. Zdobiły ją rysunki płaczących świętych z przekrzywionymi aureolkami. Z boku jednak znajdowało się coś jeszcze: rząd siedmiu wytłoczonych obrazków. Nie przypominały starannych drzeworytów, jakie widział wcześniej. Były o wiele bardziej surowe, jak naścienne rysunki neandertalczyków.

Na pierwszym ledwie zarysowane postacie tuliły się do siebie, ewidentnie trzęsąc się z zimna. Na kolejnych widać było mężczyznę, który odłączył się od grupy i

⁴⁹Ten fragment wydania *Mythica improbiba* jest napisany w szesnastowiecznym sztucznym języku utworzonym (odkrytym?) przez ówczesnych magików, który często nazywano alfabetem anielskim. Nie odpowiada on jednak wcześniejszym wersjom kodu i do dziś pozostaje nie odczytany (V. Golden, *op.cit.*).

zmierzał na szczyt góry, aż do samego słońca, wyciągnął rękę i dotknął świetlistej kuli, jego dłoń zapłonęła, a on pobiegł w dół do swoich towarzyszy. Na ostatnim obrazku wszyscy ludzie siedzieli wokół ogniska.

Gdy Eliot przejechał palcem po rycinach, atrament się rozgrzał. A może od początku był cieplejszy od tego na pozostałych stronach? Ilustracja, na której mężczyzna dotykał słońca, niemal parzyła.

To na pewno jego mózg wyczynia takie sztuczki.

Przewrócił kartę i na kolejnych piktogramach zobaczył dalszy ciąg historii. Na niebie ponad grupą ludzi ukazały się niezadowolone oblicza. Naprzeciw nich stał samotnie mężczyzna o płonącej ręce. Eliot doskonale wiedział, co tamten czuł. Scena przypominała mu chwilę, kiedy razem z Fioną stanęli przed Radą.

Następna rycina przedstawiała mężczyznę przywiązanego do skały. Wielki czarny ptak wylądował na jego ciele i zaczął je pożerać. Co dziwne, dłoń więźnia wciąż płonęła. Zupełnie jak Millhouse'a⁵⁰.

Eliot zamknął książkę. To tylko baśń, choć jeden jej fragment wydawał mu się bardzo prawdziwy: scena, w której okrutni bogowie wymierzali karę. Czy coś

⁵⁰ Legenda o zdobyciu ognia jest obecna w wielu kulturach. Bohaterowie/bogowie przechodzą próby lub planują podstępny, by przynieść ludzkości dar w postaci ognia. Wielu spośród nich staje się obiektami czci, wielu innych spotyka kara. W mitologii greckiej Prometeusz zostaje przykuty do skały i każdego dnia orzeł wrywa mu wątrobę, która nocą odrasta. Cały proces powtarza się następnego dnia i tak w nieskończoność. Historię tę uznaje się za swego rodzaju apokryficzną naukę skierowaną do prymitywnego człowieka, by ten nie mieszał się do spraw boskich. Ale gdzie byłaby ludzkość bez ognia? Niektórzy antropolodzy zastanawiają się, czy legenda ta nie jest w istocie pochwałą tych, którzy sprzeciwili się bogom (*Bogowie piei-wszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. IV, *Mity podstawowe, op.cit.*).

podobnego przydarzy się jemu i Fionie, jeśli nie przejdą pomyślnie ostatniej próby?

Ledwie kilka dni wcześniej marzył o przygodach i heroicznym czynach. Z byciem bohaterem wiązało się dużo więcej, niż sobie wyobrażał. Oddałby wszystko, by móc wrócić do swojego dawnego życia.

Już od dłuższej chwili nie słyszał żadnego dźwięku dochodzącego z łazienki. Wyciągnął więc rękę, by zapukać, ale okazało się to niepotrzebne. W szparze pod drzwiami ukazały się wyciągnięte w jego stronę palce. Fiona musiała wiedzieć, że cały czas tu siedział.

Dotknął jej palców. Były zimne jak lód. Ścisnął je i zaczęły się ogrzewać.

– Jestem tu – wyszeptał. – Zawsze będę przy tobie.

Fiona zaczęła szlochać. Nie puszczał jej ręki.

EWOLUCJA

Henry był zaniepokojony. Świat się zmieniał i choć nie miał nic przeciwko temu (a nawet nie mógł bez tego żyć), obecne zmiany wiązały się z czyjąś śmiercią. Czuł to w kościach. Zaostrzono środki bezpieczeństwa, nikt się nie uśmiechał, a co gorsza, nikt też nie pił. A właściwie tylko Aaron – jedyna spośród nich osoba, która akurat tego robić nie powinna.

Zdecydowali, że spotkają się na *Chimerycznej Zgubie*, należącym do Henry'ego dwudziestometrowym jachcie z drewna tekowego i polerowanego mosiądzu.

Henry przysiadł na rufie obok Aarona i zapytał:

– Masz może szklaneczkę dla starego kumpla?

Aaron spojrział na niego krzywo i wręczył mu butelkę.

– Żadnych szklanek. – Od ostatniego spotkania Aaron nie zmienił ani ubrania, ani kwaśnego humoru – wpadł w naprawdę imponujący ciąg.

Henry westchnął i pociągnął niewielki łyk napoleońskiej brandy z 1890 roku. Picie tego trunku bez zadbania o to, by choćby przez chwilę mógł odetchnąć powietrzem, było prawdziwą zbrodnią, ale nie godziło się nie dołączyć do Aarona w oblewaniu takiego wydarzenia. W końcu skoro zbliżał się koniec świata, nikt nie powinien czekać na niego po trzeźwemu.

Chimeryczna Zguba łagodnie sunęła po falach

wewnątrz pustej góry lodowej, huśtającej się na wodach w pobliżu Wysp Diomedesa, leżących pomiędzy Rosją a Alaską. Wiatr i woda wyrzeźbiły lodowiec na kształt muszli, której sklepienie było wspanialsze niż jakakolwiek wzniesiona ludzkimi rękami katedra i dawało im ochronę przed szpiegowskimi satelitami i ciekawskimi oczami. Ostre światło arktycznego lata przenikało do środka – złote i niebieskie, migoczące od wodnych odbłasków.

Nagle powierzchnia wody zabulgotała i obok jachtu wynurzyła się *Latimeria*, zwieńczona wystającym kioskiem łódź podwodna Gilberta. Wyglądała, jakby wyciągnięto ją wprost z kart powieści Juliusza Verne'a, choć za napęd służył jej prawdziwy stos atomowy.

Włazy się otworzyły, pomosty rozprostowały i członkowie Rady wyszli na pokład.

Dallas miała na sobie gustowny mundur marynarski, Kino jak zwykle oficjalny czarny garnitur, a Cornelius wyglądał, jakby nie spał od kilku dni – pod oczami pojawiły mu się ciemne obwódki, a podkoszulek z napisem „MIT” był pomięty. Lucia wybrała na dziś czerwone rybaczki i białą bluzkę bez pleców, która podkreślała jej pełne gracji ruchy. Wokół nadgarstków i szyi ubranego w dżinsy i sportową marynarkę Gilberta zwisały grube złote łańcuchy – zupełnie jak za dawnych czasów.

Przeszli na *Chimeryczną Zgubę* i usiedli obok Henry'ego i Aarona na tekowych ławkach. Lucia zajęła miejsce pośrodku i zabręczała srebrnym dzwoneczkiem.

– Niniejszym ogłaszam obrady Rady Ligi za rozpoczęte. Niech wszyscy będą gotowi do sądenia i bycia sądzonym. *Narro, audio, perceptum.* Omińmy

formalności i przejdźmy prosto do sprawozdania Henry'ego.

Zbyt wiele osób zgromadziło się na tak małej powierzchni i Henry wiedział, do czego to zwykle prowadzi. Zauważył, że Gilbert trzymał się z dala od Lucii, ale blisko Dallas, co z pewnością było rezultatem jego głosowania podczas ostatniego zebrania Rady. Czy pozwolili polityce przedostać się też do sypialni? Czy Dallas zdołała się jakoś wkręcić między tamtych dwoje?

Wstał i uklonił się.

– Jeśli chodzi o drugą próbę heroiczną bliźniąt, interesujące wydają się trzy rzeczy. – Użył pilota i ukryty rzutnik rozświetlił płótno grotu. Na żaglu ukazało się zdjęcie szerniałego ludzkiego szkieletu leżącego na stole do wykonywania sekcji. – Po pierwsze ten dżentelmen. Analiza DNA potwierdza, że to nasz Perry Millhouse. Zauważcie precyzyjne, podobne do laserowego cięcie przechodzące przez żebra i kręgosłup.

– A więc wreszcie umarł – wysapał poruszony Cornelius, zakrywając usta wątlą dłonią.

– Kolejny nasz błąd naprawiony przez te dzieci – mruknął Aaron.

Lucia się ożywiła.

– Myślę, że przyczyna śmierci nie budzi w nikim wątpliwości.

– Chwileczkę – wtrąciła się Dallas. – Skoro Millhouse jest martwy, to co się stało z dziewczynką?

– Szczęśliwe zakończenie. – Na twarzy Henry'ego rozbłysnął uśmiech. – Wróciła do rodziców. Przeszła traumę, ale nie taką, żeby nie mogła się z niej wydostać za pomocą kilku seansów hipnozy.

– Nie rozpraszaźmy się takimi drobiazgaźmi. – Kino wstał i pogładził ręką łysą głowę. Zbliżył się do fotografii i przeciągnął palcami wzdłuż linii biegnącej od barku do kości biodrowej zwłok. – Jedno idealnie proste cięcie. Czy któreś z dzieci zrobiło to bez żadnego treningu?

– To nie jest do końca jasne. – Lucia spojrzała znacząco na Aarona. – A przynajmniej kwestia treningu.

Aaron pociągnął kolejny łyk brandy.

– Ta dziewczyna to urodzony wojownik. Każdy głupi to widzi.

Lucia uniosła brwi.

– Na to wygląda. – Odwróciła się do Henry'ego.

– Czy Audrey wspomniała o tym w swoim raporcie?

– Zrelacjonowała tylko podstawowe fakty. Obawiam się, że jak zawsze oszczędzała informacje.

– Powinna tu być. – Gilbert szarpał w zamyśleniu brodę. – W końcu rozmawiamy o jej podopiecznych.

– Nie, Audrey tylko wszystko komplikuje – zaprotestowała Lucia. – Im mniej się w to miesza, tym lepiej. A teraz, wracając do zdolności Fiony...

– Czy to takie ważne, gdzie się tego nauczyła? – odezwała się Dallas. – Istotne jest, że potrafi ciąć. A to dowodzi, że jest jedną z nas.

Cornelius dźgnął swój przenośny komputer.

– Muszę się zgodzić. Molekularna dysjunkcja to cecha genetyczna występująca tylko w naszej rodzinie.

Lucia nabrała w płuca powietrza i wypuściła je z westchnięciem.

– Dobrze, uznajmy więc ten fakt. Pamiętajmy jednak, że genetyka to nie wszystko i na pewno nie

wystarcza, żeby potwierdzić, że dziewczyna należy do Ligi.

Wszyscy pokiwali głowami i jedynie Aaron ograniczył się do wypicia resztek ze swojej butelki i wyrzucenia jej za burtę.

Kino zacisnął wargi, aż pobieleły. Miał dziś sporo do powiedzenia – co nietrudno było zauważyć – ale czekał z tym na właściwy moment.

– Następną interesująca rzecz – podjął Henry i przesunął slajd w rzutniku. Na żaglu ukazał się odłamek lustra. Jego powierzchnia była wyraźnie wykrzywiona, a krawędzie poskręcane od gorąca. – Moi ludzie znaleźli to wśród pozostałości po lustrzanym labiryncie – wyjaśnił Henry.

– Ma jedną niezwykle właściwość: pod wpływem eterycznego promieniowania zaczyna fluoryzować, co wskazuje, że zostało wystawione na działanie ogromnej mocy⁵¹.

Wszyscy obecni zamilkli. Tak wielka moc znajdowała się na granicy możliwości śmiertelników. Mogła wskazywać albo na niezwykle zręcznego specjalistę, albo na... nieśmiertelnego, który testował nowo odkryte umiejętności.

– Pod wpływem niezwykle wysokiej temperatury – ciągnął Henry – odcisnięto w tym odłamku lustra pewien

⁵¹ Określenie „eteryczne” odnosi się do podstawowej siły życiowej. Pierwszy o jej istnieniu spekulował Platon, nazywając ją *quinta essentia* (piątym żywiołem). Później Arystoteles wprowadził eter do swojego klasycznego systemu żywiołów jako niezdolną do zmiany substancję nie posiadającą żadnych własności fizycznych. Średniowieczni filozofowie wierzyli, że eter wypełnia cały wszechświat pozaziemski i jako taki jest poza zasięgiem zwykłych śmiertelników (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. III, *Pseudonauka*, *op.cit.*).

wzór. Podobnie jak silne pole magnetyczne może trwale przekształcić kawałek metalu. Skanując materiał laserami, odkodowaliśmy to. – Nacisnął inny guzik na pilocie i z głośników w kabinie zaczął płynąć dźwięk. Muzyka pojedynczych skrzypiec.

– To nie jest ludzka piosenka – powiedziała Lucia, prostując się.

– Ależ częściowo tak – odrzekł Henry. – Inne jej fragmenty, te paskudne, pochodzą z dawnych czasów. Jeszcze inne są zupełnie nowe.

– Kto to gra? – zapytał Gilbert.

– Ze sprawozdania Audrey wnioskuje, że Eliot Post. Ale oczywiście musimy to sprawdzić.

Cornelius bez słowa zanotował coś na komputerze.

– Dziewczyna dysponuje mocą – oznajmił Aaron – podobnie jak i chłopak. Co mamy dalej? Mówiłeś o trzech interesujących rzeczach.

Henry zawahał się. Liczył na to, że zdoła opóźnić nieco prezentację ostatniego odkrycia, ale westchnął i nacisnął guzik pilota. Pojawił się nowy obraz: nadpalone pudełko w kształcie serca i otaczająca je substancja wyglądająca jak skrzepła smoła.

– To również znaleźliśmy w lustrzanym labiryncie – objaśnił. – Całe pokryte odciskami palców Fiony.

– Na co właściwie patrzymy? – zapytała Dallas.

– Obrzydliwość.

– Analiza chemiczna wykazała, że to głównie wysokiej jakości czekolada. Odkryliśmy jednak też ślady innych intrygujących substancji: alkoholowych alkaloidów

oraz alkahestu⁵²⁺⁵³.

Oczy Corneliusa się rozszerzyły.

– Alkoholowych alkaloidów używa tylko jedna istota: Królowa Maków.

– A więc to mikstura piekielnych – zaburczał Aaron.

– Wiedzą o dzieciach. – Lucia wbiła spojrzenie w jakiś daleki punkt i zamyśliła się. – Też je testują.

Gilbert wstał.

– Naprawdę, Henry! Dlaczego nie pokazałeś tego na początku? Przecież to wszystko zmienia.

Henry wzruszył ramionami z udawaną niewinnością.

– Trzeba je chronić – odezwał się Aaron. – Nie można pozwolić, by dostały się w ręce tamtej rodziny.

Kino też wstał i teraz górował nad pozostałymi jak ogromna wieża. Wyraz jego twarzy był nawet bardziej posępny i grobowy niż zazwyczaj.

– W tej sprawie się z tobą zgodzę – powiedział.

⁵²Alkaloidy alkoholowe wyizolował w 1855 roku znany alchemik i medium May Mortimer z rośliny, którą nazwał wijącą się lilią makową. Podczas wyprawy na Luizjańskie bagna Mortimer spotkał wiedźmę, która twierdziła, iż odnalazła rzekę Lete i na jej brzegach uprawiała rzadkie zioła i kwiaty o „przeróżającej urodzie”. Mortimer zabrał kilka okazów do Londynu, ale porzucił wszelkie prace alchemiczne, gdy zyskał ogromną sławę jako spirytysta. Zmarł w wyniku uzależnienia od opium w 1857 roku. Później znaleziono jego notatki oraz rysunki przedstawiające mak o niezwykle skrzyconych płatkach, ale żadna z oryginalnych roślin nie przetrwała (*Świętego Hawthorna..., op.cit.*).

⁵³Alkahest jest mitycznym uniwersalnym rozpuszczalnikiem. Średniowieczni alchemicy twierdzili, że może rozpuścić dowolną substancję. Paradoksalnie, gdyby rzeczywiście istniał, żadne naczynie nie mogłoby go utrzymać w swoim środku (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku, t. III, Pseudonauka, op.cit.*).

– Nie można dopuścić, by nasi odwieczni przeciwnicy je wykorzystali. Te dzieci są idealnym narzędziem do złamania traktatu o neutralności, który osłaniał nas od tyłu styleci.

– W takim razie nie ma czasu do stracenia. – Aaron wyciągnął telefon komórkowy. – Przeniesiemy je w bezpieczne...

– Nie – zaprotestował Kino. – Nigdzie nie będą bezpieczne. Czy tego nie widzisz? Jest tylko jeden sposób, by chronić nas wszystkich.

Mężczyźni popatrzyli na siebie. Kino stał bez ruchu. Aaron wciąż siedział, ale jego ręce się napięły. Cornelius odchrząknął.

– Wiedzieliśmy, że jeśli jedno z dzieci ma mieszane pochodzenie, powstanie luka w traktacie. Niewykluczone, że wsparte przez potęgę drugiej rodziny mogłoby usunąć po kolei nas wszystkich.

– Nie mamy wyjścia – nalegał Kino. – Ze względu na bezpieczeństwo całej Ligi muszą zostać zabite.

– Nie – wyszeptała Dallas.

Gilbert milczał, ale sięgnął po jej dłoń. Lucia siedziała spokojnie, czekając na dalszy obrót wydarzeń.

– Bezpieczeństwo Ligi? – burknął Aaron. – Dlaczego miałoby mi zależeć na ochronie ligi tchórzy? – Podniósł się, zmrużył przekrwione oczy i wbił wzrok w Kino.

– Jeśli tak bardzo zależy ci na zabijaniu, możesz zacząć już teraz.

Henry nie był skończonym głupcem. Wiedział, że sytuacja wymagała interwencji, choć wielu próbowałoby pewnie przeczekać ten spór i nie wtrącać się do niego.

Gdyby Aaron i Kino zamordowali się nawzajem albo, tym gorzej, zaledwie się poranili, konflikt szybko wymknąłby się spod kontroli. Każda strona gromadziłaby sojuszników, a wendeta, zataczając coraz szersze kręgi, ogarnęłaby całą Ligę.

Jeśli jednak Henry stanąłby teraz między tymi dwoma drapieżnikami i spróbował ich powstrzymać, zostałby natychmiast sprzątnięty z drogi. Tak więc nawet nie próbował tego heroicznego czynu... Przecież, powtórzył to sobie raz jeszcze, nie był skończonym głupcem. Nie, ktoś inny miał lepsze kwalifikacje, by zażegnać ten kryzys.

Odwrócił się ku uroczej Dallas, która z ciasno splecionymi dłońmi obserwowała dwóch gotujących się do walki wojowników. Zauważyła spojrzenie Henry'ego, który przekrzywił lekko głowę i to wystarczyło, by doskonale go zrozumiała.

Wstała i wsunęła się pomiędzy dwóch olbrzymów. Uśmiechnęła się do Kino – prezentując doleczki i cały swój czar – i jego napięta, gotowa do skoku sylwetka rozluźniła się. Następnie odwróciła się do Aarona i wyciągnęła przed siebie rękę w błagalnym geście. Mężczyzna zrobił krok do tyłu i rozprostował zaciśnięte dłonie.

– Umieram z głodu – ogłosiła Dallas i zerknęła na Lucię. – Co powiecie na przerwę na lunch? Siostrzyczko?

Napięcie wiszące w powietrzu trochę osłabło.

– Tak... przerwa. Może to będzie teraz najlepsze.

– Kino wypuścił powietrze z płuc, a Aaron wymruczał coś niezrozumiałego, ale pozwolił, by kuzynka wzięła go pod ramię.

– Gdzie na tej balii można dostać coś do jedzenia?
– zapytała Dallas.
– W mojej kabinie jest przygotowany bufet – odrzekł Henry. – Znajdzie się tam też butelka rumu Lemon Hart.

Kiedy Dallas przechodziła z Aaronem obok Lucii, ten przystanął i powiedział:

– To jeszcze nie koniec.
– Oczywiście, że nie – zgodziła się zupełnie niespeszona Lucia. – Będziemy kontynuować rozmowę za pół godziny.

Dallas pociągnęła kuzyna pod pokład.

Gilbert udał, że przeciąga się z nonszalancją. Był jednak z niego kiepski aktor i Henry widział, że dawny król Gilgamesz lekko drżał. Czy on również gotował się do walki?

– Mój kucharz na *Latimerii* szybko coś przyrządzi. Wszyscy jesteście zaproszeni na lunch – ogłosił Gilbert.

Kino uklonił się i wyszedł.

– Chciałbym zerknąć na twoją analizę molekularną czekolady i lustra – szepnął Cornelius do Henry'ego.

– Wszystkie dane umieściłem na stronie Ligi.

Starzec otworzył właściwy plik na swoim tablecie i podążył za Kino na pokład *Latimeni*. Lucia poczekała, aż się oddali, i powiedziała:

– Wiem, że taniec na ruinach sprawia ci przyjemność, ale czy naprawdę musiałeś w takiej chwili dostarczać Aaronowi jeszcze więcej alkoholu?

– Taki miałem obowiązek jako gospodarz. A poza tym ta konkretna butelka rumu jest doprawiona wystarczającą ilością haloperidolu, by uspokoić

rozwścieczonego słonia. Nasz zadziorny kuzyn powinien spać przez resztę popołudnia.

– Ach... – Zdjęła opaskę przytrzymującą jej jedwabiste rude włosy i potrząsnęła nimi. Potem wyciągnęła dłoń w stronę Henry'ego.

– Mogę?

– Oczywiście. – Podał jej pilota.

Szybko przeskoczyła kilka zdjęć zniszczonego lunaparku, aż dotarła do fotografii portretowych Eliota i Fiony, które oglądali podczas poprzedniego spotkania.

– Co o nich myślisz?

– Lubię ich.

– Ty każdego lubisz. To znaczy... – szukała odpowiednich słów. – A w oderwaniu od polityki, Rady i gierki, jakie prowadzisz? Jak myślisz, kim są? Tak nieoficjalnie. Nasza rodzina czy tamta?

Henry usiadł obok niej.

– Myślę, że są nadchodzącą burzą.

– A więc uważasz, że Kino ma rację? Trzeba ich usunąć, żeby nie kusić losu.

– Tydzień temu to mogłoby być rozwiązanie. Teraz jest na to za późno.

– Przecież nie są aż tak potężne. Nawet z Audrey za plecami.

– Audrey nie musimy się wcale martwić. Zgadzam się, dzieci są wciąż słabe. Ale w tym tkwi ich największa moc.

Lucia odwróciła się ku niemu ze zmarszczonymi brwami. – Czy z tobą wszystko musi być wykrętem i zagadką zen?

Henry wzruszył ramionami.

– Dobrze, raz się od nich powstrzymam. Aaron nagiął zasady, by uwolnić zdolności Fiony. Ktoś z drugiej rodziny zrobił to samo dla Eliota, uświadamiając mu talent do muzyki. Według moich źródeł nasza droga Dallas również odwiedziła dzieci. Można tylko sobie wyobrażać, co nabroiła, komplikując ich już i tak skomplikowane losy.

Lucia przez chwilę rozważała nowe informacje.

– Zdaje się, że bliźnięta mają pewien wpływ na niektórych z nas. Tym bardziej powinniśmy działać szybko.

Henry położył rękę na jej dłoni w geście, który miał być częściowo pocieszeniem, a częściowo, miał nadzieję, prezentacją jego uroku. – Kiedyś – wyszeptał – już byliśmy w takiej sytuacji. Potężne siły ścierały się wokół nas. Niektórzy chcieli naszej śmierci, a inni poddali się wpływom lepszych stron naszej natury i wynieśli nas do gwiazd.

Jej usta ułożyły się w małe „o”, gdy wracały do niej wspomnienia tamtych czasów.

– Kiedy byliśmy młodzi – ciągnął Henry – sami mieliśmy mieszane pochodzenie, niewinność i świeżo odkryte moce.

– Ale dorośliśmy, ucząc się błyskawicznie, i...

– ... zabiliśmy tytanów – dokończył Henry. – A potem zajęliśmy ich miejsce.

Lucia znów się zamyśliła. W ciszy słyhać było plusk fal rozbijających się o kadłub *Chimerycznej Zguby*.

– Być może dogoniła nas wreszcie ewolucja – odezwał się Henry.

Na te słowa Lucia wstała i pociągnęła kuzyna do góry.

– Musimy iść. Teraz. Zobaczyć się z nimi.

– A Rada?

– Myślę, że minął czas, kiedy można było liczyć na Radę – powiedziała. – Najwyższa pora, żebym wzięła sprawę w swoje ręce. Nie możemy pozwolić, by druga rodzina zyskała taki wpływ na przyszłość. Musimy uczynić te dzieci naszymi.

– A jeśli się nam nie uda?

– Jeśli się nie uda... – Lucia nagle wyglądała na smutną i zmęczoną – wtedy sama je zabiję. Audrey i Aaron mogą rozpętać wendetę przeciw mnie, ale rodzina przetrwa.

Henry wypuścił powietrze z płuc. Czasem wolałby być choćby w połowie takim romantycznym głupcem, jakim przedstawiał się sobie w marzeniach, gdyż teraz, ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu, musiał się zgodzić z Lucią w całej rozciągłości.

SZTANDAR WOJENNY

Beala Z. Buana, Pana Wszystkich Istot Skrzydlatych, mało co zaskakiwało. Ostatni raz zdarzyło się to, gdy ledwo zdążył zatrudnić sobowtóra, by zastąpił arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, a mężczyznę zabił na jego oczach serbski student nacjonalista⁵⁴.

Oczywiście rodzina zmobilizowała się, by obrócić to pożałowania godne wydarzenie na swoją korzyść – skorzystano z planu Louisa – ale Beal do tej pory uważał, że jego strategia była o wiele lepsza.

Tego ranka dostał wiadomość, że Zarząd gromadził się na wczesny lunch – spotkanie zostało zwołane przez członków, a nie przez niego. W zasadzie było to możliwe, choć nigdy wcześniej nie praktykowane. Ogłaszanie narad należało do przewodniczącego, do pozostałych zaś – kłótnie i walka o resztki władzy, jakie pozostawiał dla nich Beal.

– Jedź szybciej – rozkazał Uriemu.

Uri docisnął pedał gazu i cadillac pomknął po dnie wysuszonego jeziora i wydmach pustyni Mojave. Za ich plecami zarysy Las Vegas drżały w promieniach porannego słońca. Na horyzoncie po przeciwnej stronie zamigotał kwadracik koloru: namiot cyrkowy. Uri skręcił ku niemu, zwolnił i zaparkował obok ustawionych w

⁵⁴ Zdarzenie to jest często uznawane za główną przyczynę wybuchu I wojny światowej - przyp. red.

nierówną linię samochodów terenowych.

Beal spóźnił się, co było w jego stylu i zazwyczaj nie miało żadnego znaczenia. Ale nie dziś. Ktoś z Zarządu próbował go przechytryć i Beal zamierzał wyciągnąć konsekwencje.

Wyskoczył z limuzyny, zanim Uri zdążył otworzyć przed nim drzwi, i podszedł do namiotu. Pustynny wiatr smagał go piaskiem. Szerokim gestem odgarnął poły wejścia – gotowy, by zaatakować tych, którzy przybyli wcześniej.

Wnętrze wyłożono antycznymi perskimi dywanami, a powietrze było aż gęste od zapachu kadzidełek. Na bocznym stole rozłożono gotowane strusie jaja, bekon z bizona, przywiezione wprost z Nowej Zelandii kiwi oraz ciastka z paryskiej cukierni Poujauran. Na umieszczonych po przeciwnej stronie ekranach migwały obrazy z cyrku. Na kilku szalał ogień.

Beal zatrzymał się, zaskoczony po raz drugi tego samego dnia. Wszyscy członkowie Zarządu siedzieli wokół długiego stołu konferencyjnego i rozmawiali, a nawet, co niezwykle, śmiali się. Głosy zamilkły, gdy wszedł, i zgromadzeni zwrócili ku niemu twarze. Nie wszyscy. Brakowało Oza, a jego miejsce zajmowała Sealiah.

Lev wstał i wielkodusznym gestem wskazał Beatowi krzesło u szczytu stołu. Uśmiechał się, choć miał przysłonięte opaską oko i przerwę w miejscu, gdzie jeszcze do niedawna był jeden z jego przednich zębów.

– Zaczęliśmy bez ciebie – zwrócił się do Beala. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Beal odwzajemnił uśmiech, wsunął dłoń do ukrytej

kieszeni i wyłączył nadajnik zdalnego detonatora. Przyjechał tu przygotowany na (choć jeszcze rano wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne) próbę przewrotu. W bagażniku jego limuzyny znajdowało się wystarczająco dużo materiałów wybuchowych, by zrównać z ziemią całe osiedle. Jeśli wykonaliby ruch przeciw niemu, bez wahania wcisnąłby guzik. A przynajmniej by tym zagroził, co zazwyczaj wystarczało.

Nikt jednak poza Levem nie wstał.

Krokiem pełnym wystudiowanej gracji Beal zbliżył się do stołu i zasiadł na wskazanym miejscu, jakby cała sytuacja była zupełnie normalna. Miał zaprotestować przeciwko zwoływaniu spotkania w takim trybie, bez inicjatywy przewodniczącego, ale powstrzymał się. Wyrażenie sprzeciwu oznaczałoby, że Zarząd piekielnych obowiązywały jakieś zasady lub, co byłoby nawet bardziej absurdalne, względy proceduralne, podczas gdy w rzeczywistości stała za nim wyłącznie wspiana tradycja niezgody i braku porządku.

– O co tu chodzi? – zapytał więc z doskonałym spokojem. – Kto zwołał spotkanie?

Abby umieściła na stole skorpioną maskotkę, który groźnie zamachał kolcem jadowym.

– Chodzi o omówienie ostatniej próby, jakiej Liga poddała Postów. – Kiwnęła w stronę ekranów.

– Imponujący występ – dodał Ashmed, strzepując piasek z czarnego jak noc garnituru. – A kto zwołał spotkanie? Zdaje się, że my wszyscy.

Beal przesunął wzrokiem po twarzach zgromadzonych, zatrzymując się na dłużej na Sealiah, która siedziała dokładnie po przeciwnej stronie stołu i

odziana w zwoje delikatnego niczym mgła jedwabiu wyglądała jak pustynna róża.

– Gdzie jest Oz? – zapytał Beal. .

– Niezbyt dobrze się dziś czuje – wyjaśni! Lev.

Czy to znaczy, że nie żyje? Raczej nie. Wieść o tym na pewno dotarłaby do Beala, a wszyscy biliby się o majątek i władzę po Ozie. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że Oz został poważnie pokiereszowany podczas ostatniego spotkania i teraz w ukryciu leczył rany.

– Widziałeś to nagranie? – zapytała Abby.

Beal spojrzał na ekran i szerokie, niemal panoramiczne ujęcie, na którym Eliot i Fiona biegli przez lunapark, omijając płomienie i spadające ze wszystkich stron części karuzel i kolejek górskich. Bliźnięta ścigał nasłany przez Ligę i miotający ogniem zabójca.

Film wyglądał zupełnie tak samo, jak materiał zdobyty wczoraj w Kalifornii przez Uriego. Musiał się dowiedzieć, w jaki sposób te zdjęcia dostały się w ręce Zarządu, i postanowił, że po spotkaniu sprawdzi zabezpieczenia swojej sieci komputerowej.

– Oczywiście, że widziałem – odpowiedział.

Wreszcie dotarło do niego, dlaczego cała ta sytuacja wydaje mu się dziwna: nikt się nie kłócił. Nie było żadnych awantur i różnic w poglądach sprowokowanych przez bliźnięta. Normalnie w takiej chwili krew już dawno by się poliała – zwłaszcza po tym, jak na poprzednim spotkaniu tak sprytnie skłócił wszystkich członków Zarządu.

Uśmiechnął się i popatrzył na Abby, a następnie na Leva.

– Cóż, chyba zgodzicie się, że ich skuteczność w

starciu z bojownikiem Ligi była autentycznie spektakularna. Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia w sprawie naszego następnego kroku.

Miał nadzieję, że te słowa rozniecą zażartą dyskusję między tą dwójką, która nigdy i w żadnej sprawie nie zgadzała się z sobą. Ale oni nic nie powiedzieli.

– Rzeczywiście – rzekł Ashmed, odwracając się z uśmiechem ku Sealiah, która wciąż siedziała bez ruchu i spokojnie patrzyła na Beala.

– Aa – ciągnął Ashmed. – Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, że wspólnie zdecydowaliśmy, że skoro Oz jest niedysponowany, powinna go zastąpić droga kuzynka Sealiah.

Beal skinął głową, ale jego usta stały się suche jak otaczająca go pustynia. Czy ten zgubny spokój był jej sprawką? Z pewnością należało to do jej stylu – wkraść się po cichu i poderżnąć przeciwnikowi gardło, zanim ten się zorientuje, co się dzieje.

– Jeśli nie macie nic przeciwko, chciałabym jeszcze raz wysłuchać ścieżki dźwiękowej – powiedziała Sealiah.

Abby nacisnęła guzik na pilocie i w namiocie rozbrzmiało urocze solo skrzypcowe: muzyka Eliota Posta. Gra chłopaka była wyraźnie lepsza niż wtedy, kiedy Beal słyszał go ostatnio. Starożytne nuty rozbudzały dawno zapomniane emocje, aż oddech ugrzązł mu w gardle i przewodniczący przypomniał sobie stare dobre czasy, gdy był młody i zanim życie tak bardzo się skomplikowało.

Nowa fraza w melodii przywiodła mu na myśl dziewczynki. Jej pojawienie się rozbudziło gdzieś daleko organy, które odpowiedziały swoim dźwięcznym tonem.

– Wspaniale – wyszeptał.

– Taa – potwierdził Lev. – Mógłbym tego słuchać cały dzień.

Ashmed chrząknął.

– Chciałbym prosić o zaprotokołowanie: ta piosenka i następujące potem ożywienie karuzeli stanowią dowód na to, że młody Eliot należy do nas.

Abby się sprzeciwiła:

– Odpowiednio wyszkolony i dysponujący pewną mocą śmiertelnik mógłby zrobić to samo. Jedyinie...

– ... jedynie kuszenie Eliota może cokolwiek ostatecznie udowodnić – dokończył za nią Lev. – Powinniśmy się z tym pospieszyć.

– Moja agentka jest na miejscu gotowa do akcji – zapewniła Sealiah.

– Więc na co czeka? – głos Beala zabrzmiał twardziej, niż było to jego intencją.

Sealiah zmrużyła oczy i odrzekła:

– Wszystko dokona się dziś wieczorem. Jeśli plan się powiedzie, Eliot zostanie skuszony, wyrwany z ochronnych objęć Ligi i przejęty przez nas albo jako martwy śmiertelnik, albo jako pełen życia piekielny.

Dłoń Beala zacisnęła się wokół nadajnika. O wiele prościej byłoby uruchomić zegar odliczający czas do detonacji, ulotnić się, korzystając z jakiejś wymówki, i zacząć działać samodzielnie. Przemoc zawsze stanowiła łatwiejsze wyjście niż podstęp. Ale jego plan zakładał ważną rolę do odegrania dla już śmiertelnego ojca Eliota, Louisa. Beal mógłby przyspieszyć swój następny ruch albo, co było nawet lepsze, opóźnić ich akcję.

– Piętnastolatek – odezwała się Abby i figlarnie oplótła ogon skorpiona wokół małego palca u dłoni –

zatruty hormonalnie przez zbliżające się dojrzewanie i nęcony przez kusicielkę Sealiah...

– Ta... – zamruczał Lev. – To będzie niezła zabawa oglądać, jak ją ustawi.

– Co masz na myśli? – Beal poluzował palce wokół detonatora. Wiedzieli coś, o czym on nie miał pojęcia.

– Jaką szansę może mieć Eliot?

– Mniej więcej taką samą, jaką miała Fiona Post, by przeżyć twoje kuszenie. – Sealiah skinęła głową w kierunku ekranów.

Abby nacisnęła jakiś guzik i na wszystkich ekranach pokazało się to samo nagranie: Fiona siedząca w środku płonącego labiryntu luster obok otwartego pudełka w kształcie serca. Abby wykonała zbliżenie, a potem nacisnęła kolejny guzik.

– Teraz na obraz nałożony jest filtr eteryczno-spektralny.

Na ekranie ukazały się niewidoczne linie mocy przypominające połyskujące tęcze i cienie. Fiona przejechała po nich dłonią, a potem wyciągnęła ze swego ciała nic.

– Mam gęsią skórę za każdym razem, kiedy to oglądam – wyszeptał Lev. – Smarkula jest już niemal profesjonalistką.

Fiona spróbowała odciąć linię mocy od pudełka ze słodyczami, ale bezskutecznie. Oczywiście. Nici uzależnienia, gdy raz już się w kogoś wczepią, nigdy nie puszczają. Ale Fiona się nie poddawała. Wyciągnęła na zewnątrz część siebie – tę, do której przyłączyły się czekoladki – i ją przecięła.

– To jej apetyt – wyjaśniła Abby. – Nie potrafiła

oprzeć się twojej sile, więc wycięła z siebie to, co czyniło ją słabą i zależną.

– A do tego potrzeba sporo odwagi – dodał Lev.

Beal patrzył na powtórkę filmu i ledwo wierzył własnym oczom. Nikt nigdy nie uwolnił się spod działania przygotowanego przez niego kuszenia, zwłaszcza po tym, jak już raz się uzależnił.

– Zauważ – podjęła Sealiah – że słabsze z dzieci zdołało przewyciężyć pokusę pomimo twoich najlepszych starań.

Beal zjeżył się na te słowa. Miał ochotę podejść do kuzynki i zacisnąć dłonie na jej kształtnej szyi.

– Rzeczywiście – powiedział. – Ale należy się z tego tylko cieszyć, prawda? Przecież uzyskaliśmy kolejny dowód ich mocy.

Ashmed uniósł palec.

– Wstrzymaj się z takimi wnioskami. Przedyskutujemy to za chwilę. Oderwanie się Fiony od czekolady i jej odporność na kuszenie pokazują w istocie, że genetycznie przynależą do Ligi... Ale jeśli ma w sobie choć kroplę krwi Louisa, ta wcześniej czy później ją zdeprawuje.

– A wtedy będzie nasza – dodała Abby z oczyma przekrwionymi od żądz walki.

– Ustalmy, o czym właściwie rozmawiamy – odezwała się Sealiah, kładąc ręce na blacie. Zachowywała się tak swobodnie, że Beal poczuł się, choć tylko przez chwilę, jakby to ona, a nie on, zajmowała najważniejsze miejsce przy stole. Jakby to ona przewodniczyła zebraniu.

– Pactum pax immortalis, nasz pakt o neutralności – ciągnęła Sealiah – mówi, że żadna z rodzin nie może

szkodzić interesom drugiej strony ani krzywdzić fizycznie jej członków. I tu liczy się nawet najmniejsze draśnięcie. Prawniczy żargon nie zostawia w tej sprawie żadnej luki.

– Chyba – wtrącił Lev – że obie strony wyrażą zgodę na starcie.

– To była jedyna dziura w prawie – przyznała Sealiah. – Jedyna do tej pory. Jeśli któreś z dzieci – lub oboje – ma mieszane pochodzenie, może wyrządzać krzywdę komukolwiek zechce, a my przy jego pomocy możemy zaatakować Ligę.

Ashmed sięgnął po pilota i nacisnął inny guzik. Na ekranie pojawiło się nagranie przedstawiające Fionę i Eliota zagonionych w kąt przez płonące szczątki lunaparku.

– W tym momencie dopada ich żywiący się płomieniami wysłannik Ligi.

Fiona zrobiła krok do przodu. Jej słowa zostały zagłuszone przez trzaski ognia, ale jej ton i postawa wyraźnie wskazywały na to, że dziewczyna rzuciła napastnikowi wyzwanie. Zrobiła kolejny krok i mężczyzna zaatakował. W tym momencie dłonie dziewczyny wykonały szybki zamazany ruch. Chwilę później Fiona wciąż stała, a napastnik upadł rozcięty na pół.

– Uwielbiam ten kawałek – szepnęła Lev. – Puść to jeszcze raz.

– Imponujące – odezwała się Abby.

– Tę właśnie moc możemy powiększyć i wykorzystać – powiedział Ashmed. – Wyobraźcie sobie, jak wspierani przez naszą rodzinę Fiona i Eliot odnajdują gdzieś w ciemnej uliczce Henry'ego Mimesa. Jakie szanse ucieczki miałyby w takiej sytuacji nawet Błazen? Jakie

szanse mieliby oni wszyscy?

Zgromadzeni pokiwali głowami. Jedyne Beal pozostał niewzruszony. Działali zbyt szybko i wszystko wskazywało na to, że pierwsi zagarną Eliota. Musiał ich jakoś powstrzymać.

– Jest tylko jeden problem – oznajmił.

Członkowie Zarządu zwrócili ku niemu spojrzenia.

– Rzucaliśmy kośćmi, by ustalić warunki. Zgodziliśmy się, że przeprowadzimy trzy próby kuszenia, by dokładnie przetestować bliźnięta. Oczywiście chciałbym przyspieszyć bieg spraw, ale – wzruszył ramionami – kości zadecydowały.

W tej kwestii rodzina nigdy się nie spierała: jeśli kości zostały rzucone, ustalone przez nie warunki pozostawały w mocy na zawsze. Nikt nie próbował już ich ominąć. Co prawda Beal właśnie próbował zrobić coś takiego z Louistem, ale jego plan opierał się na pewnej formalnej różnicy: Louis był śmiertelnikiem. Ich reguły już go nie dotyczyły.

Lev westchnął.

– Właśnie o tym dyskutowaliśmy, kiedy wszedłeś. Co wybrać na ich trzecie kuszenie.

Beal nacisnął guzik na detonatorze, z powrotem go zabezpieczając, i wsunął go do ukrytej kieszeni. Wpadł mu do głowy nowy pomysł.

– Kiedy oglądałem ten film, pomyślałem o ich pierwszej próbie. Wygląda na to, że bliźnięta razem są silniejsze. Proponuję – jeśli próba Sealiah zawiedzie – w trzecim kuszeniu rozdzielić dzieci. Dzięki temu będzie nam łatwiej je zgarnąć.

Ashmed w zamyśleniu postukał się palcem w

wargę– Jak dokładnie zamierzasz zrobić te rzeczy jednocześnie?

– Dolina Nowego Roku.

– A, tak. – Ashmed zagapił się w jakiś odległy punkt.

– Trzeba czasu, by ją przygotować – stwierdziła Abby. – Wszystkie drzwi do tamtego miejsca zostały zamknięte, kiedy odszedł Szatan⁵⁵.

– Czy istnieje lepsze miejsce, by się zagubić? – zapytał Beal. – Czy dolina kiedykolwiek zawiodła w rozdzielaniu kochanków, krewnych lub przyjaciół? A nawet jeśli bliźniętom uda się zostać razem, znajdują się przynajmniej poza zasięgiem Ligi.

– Zgadzam się – powiedział Ashmed. – To miejsce ma jeszcze dodatkowy plus: wyczyści ich pamięć. Łatwiej nam będzie ukształtować ich na naszą modłę.

– Wiem, od czego trzeba zacząć. – Lev wstał i wzruszył ramionami, a ciężkie łańcuchy na jego szyi zakołysały się. – Znam gościa, który maluje drzwi. Ruszę tę sprawę.

Beal popatrzył na kuzyna. To było najdziwniejsze zebranie Zarządu, w jakim kiedykolwiek uczestniczył!. Nikt się nie klócił, nikt (z wyjątkiem niego) nie prowadził podwójnej gry...

Coś się zmieniło. I to dzieci stworzyły nową

⁵⁵ Lucyfer, Belzebub, Mefistofeles i tak dalej często mylnie utożsamiani są z Szatanem. Tymczasem Szatan (a dokładniej szatan) był początkowo, przed upadkiem piekielnych, jedną z rang funkcjonujących pośród niebiańskich zastępów. Przez tysiąclecia stał na czele gromady zbuntowanych aniołów, aż tak zirytowały go klótnie i wojny wśród podopiecznych, że opuścił ich, by odkrywać nieznanne światy. Zwolnione wówczas przez niego stanowisko pozostało nieobsadzone (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XIII, *Siły piekielne*, *op.cit.*).

dynamikę. Członkowie Zarządu zawsze knuli i walczyli z sobą o władzę, a teraz po raz pierwszy działali wspólnie. Czy ta dwójka może ich zjednoczyć? Beal zastanowił się przez chwilę nad tym i jego serce rozgrzało się na myśl o bliźniętach prowadzących rodzinę – i oczywiście potajemnie przez niego kontrolowanych – do walki z nieśmiertelnymi.

SPELNIONE MARZENIE ELIOTA POSTA

Eliot przeżuwał kawałek pizzy cztery sery Razem z Julie siedzieli pod eukaliptusem w parku Franklina. Wcześniej rozłożyli sobie koc, a dookoła to, co się zwykle zabiera na piknik. Chmury sprawiły, że upał nie dawał się tak bardzo we znaki, a wiatr dmuchał w takim kierunku, że odsuwał smród z zakładów przerobu odpadów Oro w drugą stronę. Tylko on, najładniejsza dziewczyna w mieście i obiad złożony z przyniesionego z pizzerii jedzenia. Życ, nie umierać.

Julie wlała winogronowy sok do plastikowego kubka i podała Eliotowi. Pociągnął łyk... i zachłysnął się tak, że płyn prawie wypłynął mu nosem. Julie się roześmiała.

– Przepraszam. To pinot noir z restauracji. Powinnam cię uprzedzić.

Wino spowodowało, że w piersiach Eliota rozlało się ciepło.

– OK. Nic się nie stało.

Oczywiście istniała reguła dotycząca alkoholu.

Reguła 62: Żadnego alkoholu, piwa, wina ani innych płynów na bazie spirytusu. Zabronione jest zwłaszcza korzystanie z wszelkich sfermentowanych produktów w połączeniu ze śpiewem lub tańcem (patrz odpowiednio:

reguła 34 i 36). Wyjątki stanowią substancje spożywane w celach leczniczych i przepisane przez dyplomowanego lekarza.

Eliot przełknął kolejny łyk i tym razem się nie zakrztusił. Napój był okropny, to jednak nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, by dobrze wypaść w oczach Julie.

Dziewczyna nałała wina też do swojego kubka i szybko je wypila. Trunek zabarwił jej usta na krwistoczerwono.

Wyglądała dziś świetnie, choć była ubrana inaczej niż zwykle w restauracji: w obcisłe sprane dżinsy, klapki i koszulkę z nadrukowanym latającym skarabeuszem i słowem „Podróż”. Eliot przypomniał sobie, że niedawno nazwał Fionę skarabeuszem, i ten zbieg okoliczności wydał się mu zabawny. Nigdy by nie zgadł, że Julie też interesowała się entomologią.

Jej włosy również wyglądały dziś nieco inaczej: ułożone mniej starannie, swobodnie zwisały po bokach twarzy. Odgarnęła je za ucho i ten zwykły gest spowodował, że jego serce zaczęło bić szybciej. A może wywołało to wino.

Nie musieli się nigdzie spieszyć, nie czekała ich dziś żadna praca. Kiedy Eliot przyszedł do restauracji, Julie już czekała na niego na chodniku. Lokal był zamknięty. Napis na drzwiach informował o właśnie odbywającym się remoncie.

Wydało mu się dziwne, że nikt nie powiedział im o tym wcześniej, ale nie miał zamiaru się skarżyć z powodu wolnego dnia, który mógł spędzić z Julie i, co było równie istotne, bez nieustannie pilnujących go Fiony, babci czy

Cee. Poczul się tak, jakby udało mu się wywinąć od czegoś nieprzyjemnego. To było nowe i całkiem pociągające doznanie.

Uśmiech Julie miał w sobie coś tak przebiegłego, że Eliot zastanawiał się, czy dziewczyna sama nie zaaranżowała zamknięcia „U Ringo”. Głupia myśl. To właściciele podejmują takie decyzje. A jeśli restauracja należałaby do krewnych Julie, ta na pewno nie mieszkałaby w kompleksie Hillcrest Apartments. Tamto miejsce leżało w fatalnej dzielnicy.

Jaki był jej dom? Wtedy, w Różowym Króliku próbowała mu coś powiedzieć, ale nie potrafiła.

– Bardzo dziś jesteś poważny. – Uderzyła go w ramię. – Rozchmurz się. Mamy wolny dzień.

– Trochę się przejmuję.

– Fiona? Zauważyłam oczywiście, że przyszedłeś sam do pracy. Czy wszystko u niej w porządku?

Wzruszył ramionami. W rzeczywistości nie martwił się o siostrę i czuł się przez to winny. Obiecał, że zostanie z nią dopóty, dopóki będzie go potrzebować. A już dziś rano wyszedł z domu, gdy spała po długiej nocy, którą spędziła w łazience, wymiotując. Co sobie pomyśli, kiedy się obudzi, a jego przy niej nie będzie? Poradzi sobie. Prawie na pewno.

– Fiona ma gripę żołądkową.

Julie zmarszczyła nos.

– Zapomniałam jej wczoraj powiedzieć, żeby koniecznie umyła ręce. Kiedy zajmujesz się usadzaniem gości, dotykasz tych wszystkich brudnych kart dań, które przechodziły przez niejedne palce. Można zgarnąć naprawdę paskudne zarazki.

Eliot pokiwał głową. Świetnie. Teraz myślał o siostrze i kolejnej heroicznej próbie, podczas której oboje zginą, gdyż Fiona się rozchorowała.

– Wiem, czego nam brakuje – powiedziała Julie.

– Zagraj coś.

Sięgnęła do jego plecaka i wyciągnęła kalosz oraz ukrytą w nim Jutrzenkę. Eliot wziął but, troszkę zły, że Julie dotknęła jego skrzypiec. Czy mówił jej, gdzie je trzyma? Nie pamiętał. Wypił jeszcze jeden łyk wina, z trudem je przelękając. Chyba musiał jej kiedyś powiedzieć.

Pogłaskał cienie słojów na drewnie. Wyglądały jak płomienie i przypomniały mu o poprzednim wieczorze i o tym, jak cały lunapark nagle ożył. Czy to Millhouse włączył zasilanie, czy może sprawiła to piosenka Eliota? Szalona myśl, ale nie mógł się od niej odpędzić.

– Lepiej nie – zrezygnował.

Uśmiech Julie zbladł.

– O, jasne.

Przez chwilę siedzieli w ciszy przerywanej jedynie przez szelest poruszanych ciepłą bryzą leżących na ziemi liści eukaliptusa. Wczoraj w nocy Fiona opowiedziała mu, jak wujek Aaron pokazał jej cięcie. To musi być okropne uczucie wiedzieć, że potrafi się przeciąć wszystko. A potem Fiona znów zaczęła płakać, przypominając sobie śmierć okropnego Millhouse'a i to, jak rozszczepiła go na pół. To była najbardziej obrzydliwa rzecz, jaką Eliot kiedykolwiek widział. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak musiała się z tym czuć jego siostra.

Odstawił kubek, nagle tracąc całą ochotę na picie. A już na pewno na krwistoczerwone wino.

– Wciąż myślisz o Fionie?

– Tak... I o innych dziwaczkich rodzinnych sprawach.

– Rozumiem cię doskonale – westchnęła Julie. – Czasem nawet pogoda wymarzona na piknik, butelka wina i fajny chłopak nie mogą sprawić, że zupełnie o nich zapomnę.

Czy naprawdę nazwała go „fajnym”? Ale już było za późno. Już zdążył zrujnować dzień swoim melancholijnym nastrojem. Może jednak wcale nie było to takie złe. Może da mu to okazję, żeby z nią poważnie porozmawiać. Spróbować pomóc.

– A jak to jest u ciebie? To znaczy, jaka jest twoja rodzina?

Julie zagapiła się na liście i przygryzła wargi. Potem otworzyła usta i zaraz je zamknęła, kręcąc głową. Oczywiście, najpierw to on powinien jej coś opowiedzieć o swoich kłopotach.

– Znam to uczucie. Czasem myślę, że nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzyłby nawet w połowę rzeczy, które dzieją się w naszym domu. Na przykład babcia przygotowała dla nas i wydrukowała ciągnącą się przez osiem stron listę reguł. W sumie sto sześć zasad.

Dziewczyna podniosła wzrok zadziwiona.

– Brzmi jak więzienie. Jakim cudem pamiętasz choćby połowę z nich?

Eliot wzruszył ramionami. Pewnie, że je pamięta. Reguły towarzyszyły mu od chwili, kiedy nauczył się czytać. Zupełnie jakby on i Fiona byli jakimś sprzętem, którego użytkowanie wymaga instrukcji.

– Moi wujkowie i ciocie to osobna historia. – Co

mógł o nich powiedzieć? Sam nie miał pewności, kim naprawdę są. – To jakby przerysowane wersje zwykłych krewnych. A przy tym zdecydowanie mało przyjemne. Mam wrażenie, że ja i Fiona jesteśmy bezustannie przez nich popychani.

Julie odwróciła wzrok i szybko zamrugowała. Nie patrząc na niego, podciągnęła koszulkę, odsłaniając kawałek ramienia. Trzy sine ślady palców odcisnęły się na jej bladej skórze.

– Od macochy – powiedziała to tak cicho, że ledwie ją usłyszał. – Nie ja jedna obrywam. Mam trzech braci. Jeden z nich został zrzucony ze schodów. – Zamilkła na chwilę. Dzielnie próbowała powstrzymać łzy, ale i tak potoczyły się po jej policzku. – Policjanci uwierzyli jej, kiedy powiedziała, że po prostu upadł.

Eliot delikatnie położył rękę na jej plecach. Nie trzeba mieć do czynienia z bogami i diabłami, by mieć zagmatwane życie. Wystarczyła jedna zła osoba.

Odwróciła się ku niemu i ramiona chłopaka zamknęły się wokół niej. Wtulona w jego piersi rozplakała się. Chciałby wiedzieć, co powinien powiedzieć, by poczuła się lepiej. A może gnębiło ją coś, czego nie zdołają naprawić żadne słowa?

– Hej, już wiem. Co powiesz na to, żebym ci coś zagrał?

Wyprostowała się i skinęła głową, jednocześnie ocierając twarz wierzchem dłoni.

– To byłoby cudowne.

Eliot wyjął Jutrzenkę i smyczek. Na próbę przeciągnął kciukiem po strunach. Mikroskopijne drgania przebiegły przez cały instrument. Coś podszeptęło mu, że

dokładnie tego chciała Julie już wcześniej i że cała ta łzawa scena miała na celu doprowadzenie do tego. Po chwili się zreflektował: jak mógł tak pomyśleć? Julie miała poważne kłopoty, a poza tym taka miła dziewczyna nigdy by nie manipulowała nim w takiej drobnej sprawie. Eliot zaczerwienił się, zawstydzony swoimi podejrzeniami. Kontakty z Radą robią z niego paranoika.

Położył skrzypce na ramieniu i uniósł smyczek. Rozpoczął od znajomej dziecięcej melodii – *Wrzawy śmiertelnych*. Nuty pod jego palcami jednak szybko przekształciły się w coś mrocznego. Cienie rzucane przez eukaliptusy pogłębiły się i Eliot nagle znalazł się w niewielkim kręgu przytłumionego światła. Z całego świata została tylko klęcząca obok Julie.

Nie zamierzał tego grać. Chciał, by melodia była lekka i radosna, by rozweseliła dziewczynę. Spojrzał na jej mokrą od łez twarz. To w niej mrok miał swoje źródło. Muzyka służyła tylko jako szkło powiększające, pokazujące jej duszę. Usłyszał słowa, które w jego wyobraźni zawsze towarzyszyły tej melodii:

Leżysz martwa, dawno pochowana.

Światłem czy mrokiem ukołysana?

Ogień i ból to owoce grzechu.

Tylko samotność – brak już uśmiechu.

Docisnął palce, kierując Jutrzenkę z powrotem ku tonacji durowej. Piosenka stała się lekka i skoczna. Poruszał stopami w jej takt i znów poczuł radość życia. Zza chmur wyjrzało słońce. Wiatr dmuchnął i setki wąskich liści uniosły się w powietrze i zatańczyły wokół nich w rytmie melodii. Julie roześmiała się z zachwytem.

***Na dzieci czekają kary i nagrody.
Groźny błysk gromu bądź światło pogody.
Dobre czy złe – za krótkie jest życie.
Śmierć nie uwalnia, wciąż cierpisz w niebycie.***

Eliot poczuł ucisk w żołądku. Piosenka nie brzmiała tak, jak chciał: radosne i mroczne nuty łączyły się w zupełnie zaskakujący dla niego sposób. Przed chwilą świeciło słońce, ale mógł przysiąc, że na niebie widział też gwiazdy.

Z głębi ziemi niósł się grzmot. Jakaś ukryta siła przebudziła się i próbowała akompaniować Eliotowi, wywołując w nim instynktowne pragnienie ucieczki i ukrycia się⁵⁶.

Zakończył melodię szybką ozdobną frazą. Julie zaczęła klaskać i zawołała:

– Cudowne!

Gwiazdy na niebie zbladły. Ziemia ucichła, a wiatr i liście się uspokoiły. Eliot wypuścił powietrze z płuc. Miał wrażenie, że muzyka walczyła z nim, znów uciekała od niego niczym żywa i rozumna istota.

Julie przysunęła się bliżej i popatrzyła mu w oczy.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam tak niezwykłego chłopca jak ty – wyszeptała.

⁵⁶Zakład przerobu odpadów Oro nie ucierpiał w pożarze, który spustoszył Del Sombre, ale i tak wkrótce później go zamknięto, gdyż Agencja Ochrony Środowiska wskazała go jako źródło wielu zanieczyszczeń. Pracownicy Oro twierdzili, że tak naprawdę zakład nie powodował żadnych skażeń, a powód dziwnych zjawisk objawiających się w okolicy: zmutowanych jaszczurek, rys w ziemi i wypływających ścieków - znajdował się w pobliskim parku Franklina. Wielu twierdziło, że w parku nocami w rytm jakiejś niesłyszalnej melodii tańczyły duchy. Informacje te jednak nie zostały nigdy potwierdzone, a agencja objęła region kwarantanną (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XI, *Mitologia rodziny Postów*, op.cit.).

Eliot nie miał pojęcia, co powiedzieć. W głowie kołatały mu się jedynie zdania w stylu „Też cię bardzo lubię”, a każde następne było coraz bardziej idiotyczne. Więc zamiast się odezwać, po prostu się uśmiechnął. Może stoickie milczenie okaże się skutecznym rozwiązaniem?

– Słuchaj... – Przysunęła się jeszcze bliżej. – Już od dawna planuję coś zrobić. Miałam nikomu o tym nie mówić, ale... ale wtedy poznałam ciebie. – Wyprostowała się, a na jej twarzy pojawiła się koncentracja.

– Mnie możesz powiedzieć. – Odłożył Jutrzenkę i sięgnął po dłoń Julie.

– Wyjeżdżam – wyszeptała. – Opuszczam restaurację, Del Sombre, moją głupią macochę. Wszystko.

Eliot nie mógł pojąć, że ktoś mógł tak po prostu to zrobić.

– Kiedy?

– Mam kilku znajomych w Los Angeles. Pojadę tam jeszcze dziś wieczorem, zanim macocha upije się i mnie też zrzuci ze schodów. – Zamknęła oczy i spod jej powiek popłynęły łzy. Uwolniła dłoń z uścisku Eliota i otarła policzki.

– Rozumiem – odezwał się cicho.

– Naprawdę? – Wyglądała na autentycznie zaskoczoną. – Myślałam, że będziesz próbował mnie przekonać, żebym została.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, ale jeśli uważasz, że musisz to zrobić, to pewnie tak jest. Gdybym nie wiedział, że znajdą mnie, gdziekolwiek pojadę, też bym się stąd wyrwał.

Złapała go za rękę.

– Pojedź ze mną. Mam już załatwioną pracę i mieszkanie. Możemy to zrobić razem.

Takie rzeczy zdarzały się Eliotowi tylko w marzeniach. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Oczywiście, że chciał z nią uciec, z najładniejszą, najmilszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał, i jasne, że bardzo chciał się znaleźć daleko od Del Sombry – od reguł i od babci. Ale jakaś jego drobna część jednak by za nią tęskniła. A także za Cee i oczywiście siostrą.

Kto pomógłby Fionie? Jak sama przetrwałaby trzecią heroiczną próbę? A może wcale go nie potrzebowała? Skoro potrafiła wszystko przeciąć, czy coś mogło ją powstrzymać?

Eliot przypomniał sobie, jak płakała na podłodze łazienki, tak słaba, że ledwo mogła podnieść głowę. Potrzebowała go. Ale czy tak samo nie był potrzebny Julie?

Poza tym wciąż zapominał o jednym: ucieczka wcale nie zwolni go z trzeciej próby. Wujek Henry i pozostali już raz go znaleźli. Jak trudne może być powtórzenie tego dla kogoś dysponującego takim majątkiem i wpływami? Choć miał w zanadrzu kilka atutów.

Dotknął gładkiej powierzchni Jutrzenki i ostrożnie wsunął ją z powrotem do kalosza.

– Gdybyś tylko mogła przesunąć wyjazd o kilka dni – powiedział. – W tym czasie wyjaśniłoby się sporo skomplikowanych spraw u mnie w domu.

– Nie mogę. Boję się. – Mocniej ścisnęła jego dłoń.

Eliot o niczym bardziej nie marzył, jak o ucieczce z nią – i nie tylko dlatego, żeby wyrwać się od kłopotów. U

celu coś by na niego czekało: nowe życie. Ale to nie mogło się udać. Miał zbyt wiele obowiązków, zbyt wiele spraw, za które był odpowiedzialny. A wciąganie Julie w jego rodzinne problemy mogło się okazać strasznym błędem. Skoro wujek Aaron i ciocia Lucia byli gotowi zabić jego i Fionę, czy zawahaliby się przed skrzywdzeniem Julie, gdyby stanęła im na drodze?

Dziewczyna wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po policzku.

– Rozumiem. I nie niszczy sobie wszystkich komórek mózgowych, rozmyślając o tym bez przerwy. – Sięgnęła po butelkę i naląła im więcej wina. – Po prostu miło spędzić ze mną to popołudnie.

Podawała mu pełny kubek. Upił nieco. Tym razem trunek smakował lepiej.

– I tylko... – zawahała się.

– Co?

– Przyjdź się ze mną pożegnać. Wieczorem na dworcu autobusowym. Wpół do szóstej.

Eliot błyskawicznie przestawił w myślach punkty swojego planu zajęć, zwykle absolutnie nienaruszalne. O czwartej trzydzieści zadzwoni z pizzerii do Cee i wyjaśni, że musi posprzątać jeszcze jedną salę. Tym sposobem będzie miał czas mniej więcej do szóstej.

– Jasne. Pewnie, że przyjdę.

Wyobraził sobie, że też pakuje do plecaka dodatkowy zestaw ubrań, który zawsze trzymał w swojej szafce „U Ringo”, spotyka się z Julie na dworcu i ucieka od wszystkiego. A kilka godzin później znajdują się w Los Angeles, dwoje ludzi pośród milionów. Wujek Henry nigdy by ich nie znalazł.

Julie dopiła wino i przysunęła się.

– Ciii... Już ci mówiłam – szepnęła. – Nie myśl tyle.
Wziął jej twarz w dłoń i przyciągnął ku swojej.

Granica między rzeczywistością a fantazją zamazała się. Marzenie Eliota się spełniało. Nie wiedział dokładnie, co się stanie po tym, jak spotka Julie dziś wieczorem na dworcu, ale miał stuprocentową pewność co do tego, co zrobi teraz.

Pocałował ją.

CO ZOSTAŁO ODCIĘTE

Fiona leżała na podłodze łazienki. Jej żołądek był twardy i wklęsły jakby wyjęto jej wnętrzności. Może właśnie tak się stało?

Przeturlała się na bok i otworzyła oczy. Przykrywał ją koc, a pod głową leżała poduszka.

Teraz sobie przypominała... Eliot przyniósł te rzeczy wczoraj w nocy, kiedy powiedziała, że się stąd nie ruszy. Była za słaba, by wstać i zrobić sześć kroków, które dzieliły ją od sypialni.

W pewnym momencie pojawiła się też Cee i usiłowała wepchnąć jej do gardła jakieś domowe lekarstwa, ale jedyne, co uzyskała, to kolejna fala wymiotów.

Babcia nie zajrzała do niej ani razu i po raz pierwszy w życiu Fiona zastanawiała się, czy babcia naprawdę była ich babcią, a nie jakąś opiekunką wybraną przez ich matkę przed śmiercią. Jasne, wyglądała jak Fiona i inni członkowie rodziny, ale nawet wujek Henry okazał im więcej uczuć – a przecież i z jego strony wciąż groziło im niebezpieczeństwo.

Potrzebowała, by ktoś ją teraz przytulii i pocieszył. Potrzebowała matki. Ale to pragnienie tliło się w jej umyśle jak płomień odległej świeczki, trzepoczący i niemal gasnący w porywach huraganu ostatnich wydarzeń. Nie było nikogo, kto mógłby się nią zaopiekować, i

wiedziała, że to się nie, zmieni.

Wolno wstała. Jej ciało ważyło chyba połowę tego co wczoraj. Bała się tego, co zobaczy, ale odwróciła się w stronę lustra. Spojrzała z niego na nią wychudzona dziewczyna o przekrwionych, szeroko otwartych oczach, włosach jak szcurze gniazdo i skórze koloru kredy. Ale czy można się spodziewać lepszego wyglądu po kimś, kto ma wkrótce umrzeć?

Odkręciła kran, napełniła dłoń wodą i uniosła do ust. Udało jej się niemalże odruchowo przełknąć maleńki łyk, który jednak nie zaspokoił pragnienia. Opryskała twarz, odgarnęła do tyłu włosy i zawiązała je w supeł – wyglądało to okropnie, ale przynajmniej kosmyki nie wpadały jej w oczy.

Położyła dłoń na brzuchu, próbując wyczuć, co dzieje się w środku. Jej ciało było ciche i spokojne. Ataki z nocy minęły. Nie była głodna, choć od kilku dni nie jadła nic normalnego. Śniadanie wydawało się jej w tej chwili równie abstrakcyjnym pojęciem jak logarytmy.

Wczorajszej nocy jej organizm został oczyszczony z każdej zjedzonej wcześniej pralinki. Wydawało się to niemożliwe, ale musiała pochłonąć dziesięć lub może nawet dwanaście warstw z pudełka w kształcie serca, tylko to wyjaśniało ogromną ilość tego paskudztwa – zjełczalej i skrzepłej czekolady o posmaku gorzkiego syropu – które się z niej wylało.

Oblizwała wargi. Poczowała kakao i jej gardło na nowo zacisnęło się w odruchu wymiotnym. Ale nie. Wszystko było pod kontrolą. Przyklękła, podniosła koce i złożyła je. Miała te wełniane pledy od dziecięciu lat i setki ręcznych prań zdążyły je już zmiękczyć. Nie chciała ich stracić, co

na pewno by się stało, gdyby zostawiła je tutaj. Była na to reguła:

Reguła 16: Zabrania się trzymania rzeczy osobistych w nieporządku. Każdy przedmiot tworzący bałagan (każda sterta czy stos) zostanie po dwudziestu czterech godzinach bez żadnego uprzedzenia usunięty na stałe z mieszkania.

Ta zasada pojawiła się na liście, gdy Fiona i Eliot mieli cztery lata. Babcia nazywała ją regułą „jeśli nie sprzątniesz swojego bajzlu, wszystko wyrzucę”. To była okropna groźba i naprawdę się starali, ale mieli zaledwie cztery lata... Trudno im było cały czas utrzymywać porządek. Mniej więcej w tamtym czasie Eliot stracił więc swoją kolekcję kapsli, a Fiona spinacze do wieszania prania, z których budowała zamki. Wszystkie te skarby zabrała babcia, zmuszając ich, by patrzyli, jak wrzuca je do zsypu.

Plakali, błagali, obiecywali poprawę, ale skutek był taki, jakby próbowali prosić słońce, by nie zachodziło. Na to, że ich słowa w ogóle dotarły do babci, wskazywał jedynie fakt, że w końcu powiedziała: „Następnym razem bardziej się postarajcie”.

Jedynym wyjątkiem od reguły 16 były książki. Tych nigdy nie wyrzucano, ale jeśli babcia natknęła się na zostawione w nieładzie tomy, zabierała je do biura i tyle je widzieli. Gdzieś w niedostępnym babcinym gabinecie znajdowały się więc *Małe kobiety* Louisy May Alcott oraz *Wszystkie stworzenia duże i małe* Jamesa Herriota, zabrane Eliotowi i Fionie, gdy mieli siedem lat.

A skoro już mowa o brakujących rzeczach... To co się stało z Eliotem? Obiecał, że będzie przy niej na wypadek, gdyby go potrzebowała. A w tej chwili chętnie by z kimś porozmawiała, nawet jeśli tym kimś miałby być jej brat.

Wyrzała na korytarz. Mieszkanie wyglądało na puste i tylko z kuchni docierał zapach spalenizny. Fiona domyśliła się, że Cee gotowała swój osławiony rosół – zawierający spaloną skórę kurczaka i inne takie smakowitości – specjalnie dla niej.

Eliot pewnie zajął się skrzypcami lub znalezioną w piwnicy książką. Typowe. Jej złość jednak szybko wyparowała i Fiona zaczęła się zastanawiać, czy brat nie wpakował się w jakieś tarapaty. Może rozpoczęła się trzecia próba i zdecydował się zmierzyć z zadaniem samotnie. Nie, nawet on nie był aż tak głupi. Ale co, jeśli Rada źle oceniła ich wysiłki podczas drugiej próby? Jeżeli chciała go przesłuchać? Jeśli go zabrano?

Fiona przypomniała sobie z najdrobniejszymi szczegółami to, co musieli zrobić. Na nowo przeżyła chwilę, kiedy wcisnęła gumową opaskę w ubranie Millhouse'a, a połyskująca nitka przecięła brudną niebieską tkaninę, skórę, tkankę i kości i przedostała się na drugą stronę jego ciała.

Niczego jednak nie czuła. Pamiętała, że poprzedniej nocy płakała z tego powodu i działań, do jakich zmusiła ją Rada, ale dziś rano nie czuła żalu. Wciągnęła powietrze i zmusiła się, by skupić uwagę na terażniejszości.

Eliot zapewne poszedł na swoją zmianę w restauracji. Trudno było sobie wyobrazić, że babcia pozwoliłaby mu zostać w domu. Jej etyka pracy

wymagała, by bliźnięta, jeśli tylko któreś z nich nie miało temperatury bliskiej czterdziestu stopniom, stawiały się „U Ringo” każdego dnia (oczywiście jak dotąd żadne z nich nie miało takiej temperatury).

Bieg myśli Fiony nagle się zatrzymał. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że coś było bardzo nie w porządku. Babcia wcale nie domagała się, by Fiona poszła dziś do pracy. Czy to znaczyło, że była naprawdę chora? A przecież jeśli nie liczyć dziwnej pustki w środku, wcale nie czuła się inaczej niż zwykle.

Podeszła do drzwi pokoju Eliota i zapukała. Nikt nie odpowiedział, więc weszła do środka. Eliota nie było, podobnie jak jego płóciennego plecaka. Rozejrzała się i natychmiast wyczuła, że coś się tu zmieniło... Zupełnie jakby dostrzegła różnice między dwoma rysunkami. Jeszcze sekunda i już wiedziała: na półce stała nowa książka – gruby, oprawiony w szarą skórę tom, który nie pasował tu tak bardzo, że równie dobrze mógłby wysyłać czerwone sygnały świetlne. To była znaleziona w suterenie *Mythica improbiba*.

A przecież kazała mu trzymać książkę w piwnicy. Jeśli babcia ją tu zobaczy... To co wtedy? Zabierze ją? Ukarze ich? I co z tego? Może brat miał rację, że się zbuntował i trzymał *Mythica* w pokoju, a nawet jej o tym nie powiedział. Był bardziej przebiegły, niż podejrzewała, i w jakiś sposób go za to podziwiała.

Podeszła do półki. Nawet na sam widok tej książki dostawała gęśiej skórki. Czuła, że tom ją przyciąga, ale jednocześnie wywołuje wstręt, jakby był magnesem, który nie potrafił się zdecydować, w którą stronę ma działać.

Zamknęła za sobą drzwi, znów podeszła do półki i

przejechała palcem po grzbiecie książki, czując mrowienie. Przypominało jej to o chwili, kiedy pierwszy raz dotknęła pudełka z czekoladkami. Czy książka też była pułapką? Jeśli tak, już wiedziała, jak sobie z nią poradzić. Kilka cięć i zamieni się w stosik konfetti.

Sięgnęła po tom i usiadła na łóżku. Otworzyła go i zaczęła przerzucać świetnie zachowane pergaminowe kartki. Pewnie pochodził z piętnastego wieku, a może nawet był starszy. Znacznie starszy. Takie książki były niesłychaną rzadkością, więc pomimo obaw, jakie w niej wzbudzał, obchodziła się z nim z pietyzmem.

Na niektórych stronach widziała grekę, na innych łacinę i język arabski, a jeszcze na kilku dostrzegła prymitywne piktogramy, których nie rozpoznawała. Całość była naprawdę dziwna: tworzyła jakby zbiór historii albo pamiętnik, a niejedną spójną opowieść.

Fiona zauważyła wetknięty w książkę niewielki kawałek papieru. Na zaznaczonej nim stronie znajdował się drzeworyt przedstawiający potwora kłującego widłami przerażonych wieśniaków. Podpis głosił, że był to diabeł.

A więc Eliot szukał informacji o rodzinie ich ojca! Niezły pomysł. Przecież ci krewni mogli również pojawić się w ich życiu. Na samą myśl o tym Fiona poczuła lęk. Zmarszczyła nos, patrząc na obrazek. To nie mógł być prawdziwy portret. Raczej spaczony obraz ich rzeczywistego wyglądu... jeśli w ogóle istnieli.

Znalazła kolejną zakładkę i spojrzała na wskazaną przez nią stronę. Zwierała historię o wikingach w Nowym Świecie. Rysunki przedstawiały bohaterskie bitwy, Indian i syreny. Wyglądały jak jedna z fantazji, którym jej brat tak często się oddawał.

Przerzuciła kilka kolejnych kartek z wykresami gwiazd i długimi akapitami pisma klinowego, aż jej uwagę przykuła efektowna, bogato zdobiona ilustracja. W delikatnym obramowaniu z czerwieni i złota stała naga kobieta, a wokół niej gromadziły się leśne zwierzęta: niedźwiedzie, wilki, lisy, wiewiórki, króliki, zięby i jastrzębie. Kobieta wyciągała ręce w stronę zwierząt, jakby pozwalając im się powąchać albo – w ten sposób też można to było interpretować – błogosławiąc je.

Nie tak dawno Fiona widziała u kogoś dokładnie taki sam gest. Próbowwała sobie przypomnieć, u kogo, ale bezskutecznie. Przetłumaczyła łaciński tekst, który znalazła po drugiej stronie obrazka:

***Pani Natura namaszcza leśne zwierzęta
i przynosi im w darze ostre pazury,
dobry węch, czujny słuch i bystry wzrok,
a także pocałunek zimowego snu.***

Fiona włączyła lampkę przy łóżku Eliota i ilustracja rozświetliła się złotem i głębokimi kolorami. Twarz Pani Natury była świetnie uchwyconym portretem – portretem cici Dallas.

Natychmiast zamknęła książkę. Jedną rzeczą było przyglądać się eleganckiemu przedstawieniu nagiej kobiety, a zupełnie inną patrzeć na pozbawioną ubrania własną cicię... Na dodatek mogącą się poszczycić takimi kształtami, przy których Fiona wyglądała jak, cóż, niezbyt zgrabna, dopiero co przechodząca dojrzewanie piętnastolatka.

Przycisnęła książkę do piersi. Jej policzki płonęły. To tylko obrazek. Malarz mógł go narysować – i

upiększyć – w dowolny sposób. Ale znów otworzyła książkę, tym razem skupiając się na towarzyszącym ilustracji tekście.

Opowiadał historię Pani Natury i jej przygód w Lesie Cieni. Pomagała zwierzętom zwodzić myśliwych, na swojej drodze spotkała też kilku leśników, rybaków i kowali, z których każdy się w niej zakochawał.

A potem każdy z nich... Fiona uważnie przeczytała ten fragment opowieści, nie mogąc sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek wcześniej widziała te łacińskie słowa. Kontekst jednak nie pozostawiał wątpliwości: ciocia Dallas uprawiała z nimi seks. Dużo seksu.

Dziewczyna przerzuciła jeszcze jedną stronę i zobaczyła kolejną ilustrację: Dallas i ciocia Lucia tańczyły wokół słupa majowego. Na marginesie znajdowała się odręczna notka greką:

***Pory roku kręcą się w kolo, Kioto, Lachesis,
Antropos.***

***Z radością przymiemy tylko dwie siostry.
O trzeciej, Śmierci, chętniej zapomnimy⁵⁷.***

Wzmianka o Siostrze Śmierci sprawiła, że po ramionach Fiony przeszedł dreszcz. Lachesis – imię to brzmiało dość podobnie do Lucia. A Kioto? Żadnego podobieństwa do Dallas. Lecz przecież babcia przedstawiła ją najpierw jako ciotkę Claudię i dopiero później Dallas ją poprawiła. Zresztą co to za imię – Dallas?

Fiona zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo to było

⁵⁷ Trzy Mojry, greckie boginie przeznaczenia - od najmłodszej do najstarszej: Kioto, Lachesis i Antropos - przyp. red.

dziwne: wizerunki dwóch kobiet – jej ciotek, jak one same twierdziły – umieszczone na tej stronie pięć stuleci temu. Czyżby *Mythica* była falsyfikatem? Sprawiała wrażenie autentycznej średniowiecznej księgi. Nawet pachniała zbierającymi się przez wieki na niej kurzem i pleśnią.

A jeśli to są jej ciotki?

Z ciężkim tomem w ręku poszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Otworzyła książkę na stronie z rysunkiem Pani Natury, uniosła ją do lustra i sama przysunęła do niego twarz. Kobieta wyglądała dokładnie jak ciocia Dallas. I jak Fiona. Obie miały takie samo wysokie czoło i podobne oczy (tęczówki Dallas wydawały się tylko trochę bardziej zielone). Ich włosy kręciły się w ten sam sposób, choć loki kobiety na obrazku były jasne i wyglądały milion razy lepiej niż Fiony.

Przerzuciła kilka kartek i porównała swoją twarz do obrazu cioci Lucii, widniejącej na kolejnym rysunku. Znów zauważyła podobieństwa: te same usta, broda, ale... Przekartkowała z powrotem. Bardziej podobna była do cioci Dallas... Claudii... Clotho... jakkolwiek brzmiało jej prawdziwe imię.

Członkowie tej rodziny kłamią w tyłu kwestiach. Czy Dallas mogła ją oszukać, podając się za jej ciotkę? Fiona nie miała wątpliwości, że były spokrewnione, ale może zamiast ciotką Dallas, była dla niej kimś innym?

Dotknęła w lustrze jej odbicia. Czy mogła być jej matką?

Dallas z pewnością miała duże szanse, by mieć dzieci, jeśli zachowywała się tak, jak mówiła księga. Ale dlaczego w takim razie powiedziano im, że ich matka nie żyje, jeśli to nie było prawdą? Nie chciała ich? A może

powodem była próba utrzymania ich tożsamości w sekrecie? Oddała ich „babci”, by ta wychowała ich z dala od rodziny dla ich bezpieczeństwa? I czyż Dallas nie pojawiła się, kiedy najbardziej jej potrzebowali? Nauczyła ich, jak odczytywać przyszłość z nici. Czy to nie przypominało zachowania zaniepokojonej matki?

A Fiona uciekła, kiedy tylko dowiedziała się, jak mało czasu jej zostało. Głupota. Powinna zostać i porozmawiać z Dallas. Mogłaby się tyle dowiedzieć. A może to wszystko było tylko fantazją? Może Dallas jednak była ich ciotką, a ich prawdziwa matka od dawna nie żyła.

Dotknęła ilustracji, a potem położyła książkę na kolanach i delikatnie ją zamknęła. Jej serce przepęliła tęsknota. Już sama myśl o matce wywoływała ból. A przecież został jej – zgodnie z przepowiednią nici – niecały dzień życia. To na tym powinna się teraz skupić. Miała przed sobą ostatnią próbę.

Odniosła książkę do pokoju Eliota i postawiła ją na półce. Kiedy wyszła na korytarz, usłyszała dochodzące z kuchni pobrząkiwanie garnków. Może powinna porozmawiać z Cee? Prababcia zawsze była gotowa jej wysłuchać. Ale czy mogła zrozumieć to, co teraz działo się w jej życiu? Szkoda, że nie mogła pogadać z Eliotem.

Westchnęła, weszła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Wszystkie jej problemy kręciły się wokół nici: po pierwsze, nić biegnąca od czekoladek i żerająca ją jak pasożyt, po drugie, nić urywająca się i wskazująca tym samym jej bliską śmierć, i wreszcie to, co Fiona zrobiła tamtego wieczoru w labiryncie luster: odcięcie części siebie.

A może to ostatnie było tylko złudzeniem. W końcu

chwile wcześniej mocno uderzyła się w głowę. Dotknęła bolącego miejsca i skrzywiła się. Pod palcami wyczuła guz i przyschnięty strup.

A co, jeśli widziała te mityczne nici tylko pod hipnotyzującym wpływem Dallas lub w wyniku szoku związanego ze wstrząśnieniem mózgu? Mogła się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób.

Zrzuciła z siebie osmalone i brudne ubrania i włożyła wygodne spodnie od dresu i koszulkę. Z gumki w spodniach wyciągnęła nitkę, oderwała kawałek i zaczęła się jej uważnie przyglądać.

Gdyby chciała, mogłaby za jej pomocą przeciąć wszystko, ale skupiła się na czymś innym – musiała wprowadzić swój umysł w zupełnie inny stan: skupiony... ale nie do końca, jak wtedy gdy nagle zaczyna się widzieć podwójnie. O, właśnie tak: jednym końcem nić jakby połączyła się z jej wnętrzem, a z drugiej strony urywała się ledwie kawałeczek od miejsca, w którym dziewczyna ją trzymała. I już nie była elastyczna. Stała się czerwona i pulsująca. Na jej końcu pojawiła się kropla krwi. Krwi niosącej w sobie życie Fiony.

A więc – jeśli tylko nie śniła znów na jawie i nie miała halucynacji – ta sztuczka naprawdę działała. Trochę przestraszona, ale i podekscytowana sięgnęła dwoma palcami do nici i przejechała wzdłuż niej, aż dotarła do licznych węzłków, które kawałek dalej zamieniły się w regularny splot. Kiedy go dotknęła, wrażenia śmignęły wzdłuż jej ręki: słony smak pepperoni z pizzerii, kurz starych książek, od którego zadrapało ją w gardle, ostra sosnowa woń środków czystości produkowanych przez Cee i miękkość pranych setki razy wełnianych koców. To

był wzór, który towarzyszył jej przez ostatnich piętnaście lat: sen, mycie, praca i nauka – cykl powtarzany bez końca.

Przesunęła palce z powrotem ku węzełkom. W jej życiu wplotły się teraz ciemne włókna: zimne, śliskie i gdzieniegdzie lepkie. Przywodziły na myśl jedno słowo: zło. Obok nich jednak znajdowały się włókna z czystego złota, a także jedno ze skóry, wydzielające lekki zapach motocyklowych spalin. Robert. To było całe jej życie.

Ale gdy jej palce przesunęły się dalej, w stronę, jak przypuszczała, teraźniejszości, natrafiły na narośl.

Skoncentrowała się i dostrzegła, że od tego momentu w jej życiu pojawia się spiralna rurka przypominająca żyłę – jeden jej koniec był połączony z ciałem dziewczyny, a drugi, równo ucięty, zwisał bezwładnie. To była nić, którą ucięła zeszłej nocy.

Co właściwie sobie zrobiła, próbując uwolnić się spod wpływu czekolady? Zakreśliło się jej w głowie i poczuła się tak, jakby znów miała się rozchorować. Puściła rurkę. Może powinna odnaleźć odciętą część i spróbować skleić ją w całość?

Znów przesunęła rękę, szukając luźnej nici. Rozplątywanie włókien okazało się trudniejsze, niż przypuszczała. Im bardziej się cofała, tym bardziej nici sztywniały, jakby zastygły w betonie.

Dostrzegła srebrną nitkę, która biegła przez całą długość splotu. Wcześniej jej nie widziała. Włókno to było tak mocno splecione z pozostałymi – i z jej życiem – że niemal się z nimi zlewało. Ale na samym początku skomplikowanego wzoru srebrna nić odłączała się od innych, stawała się postrzępiona, zniszczona i prawie

rozerwana.

Dotknęła jej delikatnie i odkryła, że wytrzymałością dorównywała metalowemu drutowi. Była zimna, czysta i nieskazitelna. To musiała być nić babci.

Jej koncentracja osłabła, Fiona nie miała już siły dłużej przyglądać się splotom. Było ich zbyt wiele, by przebić się przez wszystkie. Cokolwiek jednak odcięła poprzedniego wieczoru, będzie musiało pozostać odcięte. A poza tym co mogłaby zrobić, nawet gdyby odnalazła drugą końcówkę? Nie wiedziała, jak zszywać, umiała tylko ciąć.

Usłyszała pukanie. Po chwili zza drzwi dobiegł jej drżący głos Cee:

– Złotko? Mam dla ciebie rosół.

– To świetnie – powiedziała Fiona i zaczęła wstawać, choć te słowa nigdy tak naprawdę nie opuściły jej ust. Twarz dziewczyny zdrętwiała, a gdy ta próbowała się podnieść, świat zawirował wokół niej i ugięły się pod nią nogi.

Podłoga nagle znalazła się tuż przed jej oczami. Głowa uderzyła o dywan, odbiła się i wszystko zamieniło się w głęboką czerń. Fiona była pewna, że już nigdy nie oprzytomnieje.

CZEŚĆ VI

TRZECIA BOHATERSKA PRÓBA (I PRZEMIANA ELIOTA POSTA)

SYMFONIA EGZYSTENCJI

Eliot stał przed swoją szafką „U Ringo”. Nie wiedział, na co się zdecydować. Mógł uciec z Julie i zacząć życie od nowa albo zostać w domu i stawić czoło problemom, w rezultacie pewnie dając się zabić.

Minęła godzina, odkąd zostawił Julie w parku. Powiedziała, że korzystając z nieobecności rodziców, chce zabrać z domu kilka drobiazgów, ale Eliot przeczuwał, że coś było bardzo nie tak.

Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić na policję. Nie rozwiązałyby jego problemów, ale być może pomogłyby Julie. A może to nie kłopoty Julie sprawiały, że czuł się nieswojo. Wystarczyło, że pomyślał o swoich: następnej heroiczej próbie i chorej Fionie. W rzeczywistości to właśnie było najważniejszą kwestią – zdecydować się, o kogo bardziej się martwić:

o Julie czy o siostrę.

Przyszedł do restauracji na wszelki wypadek: jeśli naprawdę miał wyjechać z Del Sombry, potrzebował dodatkowych ubrań, które tu trzymał. Na dole szafki leżały starannie złożone sztruksowe spodnie uszyte przez Cee. Jeśli kraciaste sztruksy kiedykolwiek znów staną się modne, będą jak znalazł.

Żałował, że nie miał przy sobie *Mythica improbiba*, którą zostawił u siebie w pokoju. Czytanie historii rodzinnych bardzo go wciągnęło, zwłaszcza

opowieści o krewnych ze strony ojca.

Według *Mythica* upadłe anioły dzieliły się na trzynaście klanów, których przywódcami byli na przykład Szatan, Lucyfer, Belzebub, Lewiatan i Asmodeusz. Imiona te brzmiały dla niego jak pogrzebowe dzwony – znajomo, ale przeszywająco do szpiku kości.

Eliot się zaśmiał. Kogo próbował oszukać? No, kogo? Ucieczka z Julie była tylko kolejnym szalonym snem na jawie. Fiona go potrzebowała. W pojedynkę nie poradzi sobie z trzecią próbą. Niezależnie od tego, jak bardzo go to kusilo, Eliot nie mógł uciec od odpowiedzialności i zostawić siostry samej.

Zatrzasnął z hukiem drzwi szafki, wściekły na to, marzenie o nowym życiu z Julie już na zawsze pozostanie tylko fantazją, i pomaszerował z powrotem do jadalni.

Stoły i krzesła usunięto. Plastikowe płachty przykrywające bar sałatkowy i maszynę do rozlewania napojów cicho zaszeleściły, kiedy zamykał za sobą drzwi do kuchni. Chłopakowi wydało się, że wśród cieni coś się poruszyło.

– Jest tam kto? – wyszeptał niepewnie.

Nikt nie odpowiedział. Eliot szybko przeszedł do holu. Nie uśmiechało mu się samotne przebywanie w jadalni.

Sięgnął po telefon i wykręcił numer babci. Powinien już wcześniej zadzwonić, żeby sprawdzić, jak się czuje Fiona. Pewnie miała grypę żołądkową albo po prostu zaszкодziło jej coś, co zjadła – biorąc pod uwagę zdolności kulinarne Cee, było to bardzo prawdopodobne.

Kiedy jednak teraz o tym pomyślał, skojarzył, że nie widział, by Fiona przez ostatnie dwa dni jadła

cokolwiek oprócz tych głupich czekoladek. Nic dziwnego, że zaczęła wymiotować.

W słuchawce usłyszał sygnał. Nie było zajęte, ale nikt nie odbierał. Z jadalni wciąż docierał do niego szelest plastikowych pokryć, chociaż teraz nie mogło tam już być żadnego przeciągu – zamknął przecież wszystkie drzwi. Odłożył słuchawkę, precyzyjnie się przez frontowe drzwi i pozwolił, żeby się za nim zatrzasnęły. Nie oglądając się za siebie, szybko pomaszerował Midway Avenue.

Zwykła droga do domu bez towarzystwa siostry nagle zaczęła mu się wydawać niebezpieczna. Mimo to, kiedy mijał alejkę, w której widywali Louisa, zatrzymał się.

– Hej! Louis! – zawołał w stronę ciemnego zaułka.

Chciał z nim porozmawiać. Zapytać o muzykę. Ostatni raz, kiedy grał na Jutrzence, pod jego stopami zadrżała ziemia, a melodia uwolniła się spod jego kontroli. Ale to pewnie jakieś szaleństwo. Nawet ekscentryczny Louis uznałby, że chłopak zwariował.

Robiło się ciemno, zbyt szybko jak na zwykły letni wieczór. Midway Avenue była kompletnie pusta. Eliot wyobrażał sobie, że pośród cieni czają się wszystkie demony, o których czytał w *Mythica*. Tak czy inaczej zdecydował się wejść w alejkę.

Dookoła leżały stopy pudełek po pizzy, kawałków ciasta, papierków po hamburgerach, pustych, zakręconych butelek, ale ani śladu po Louisie. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, zobaczył graffiti na murze z pustaków. Nie zwykle, wykonane sprejem litery, lecz narysowane kredkami, piórem czy nakapane farbą linie, miniaturowe okręgi, luki i trójkąty.

Wyglądało to na kompilację dowodu geometrycznego, rysunkowej zagadki i poezji i przypominało te strony *Mythica improbiba*, których Eliot nie umiał rozszyfrować.

Poczuł pod stopami zbierający się ładunek elektryczny, jakby za chwilę miało nastąpić wyładowanie. Spojrzał w dół. Dziwaczne wzory pokrywały też asfalt. Czy to Louis je narysował? W niektórych miejscach sprawiały wrażenie, jakby wielokrotnie tworzono je na nowo, przemieniając poplątane symbole w burzę abstrakcji.

Ale jedno miejsce było zupełnie inne. Równoległe linie i znajdujące się między nimi kropki i luki tworzyły coś, co Eliot rozpoznał jako zapis nutowy. Chciał go dotknąć, lecz zdał sobie sprawę, że tylko go zamaze.

Kiedy wpatrywał się w dziwną pięciolinię, odniósł wrażenie, że niektóre znaki wnikają w asfalt, podczas gdy inne unoszą się nad powierzchnią. Zamrugał. To musiało być złudzenie wywołane zapadającym zmierzchem.

Nagle mur oświetliło odbicie błyskawicy, a po chwili rozległ się grzmot. Eliot nawet nie drgnął. Całą jego uwagę pochłonęła zapisana na asfalcie muzyka.

Zaczynała się prosto, potem jednak melodia stawała się coraz bardziej złożona. Chociaż końcówka była praktycznie nieczytelna; zapis ginął w chmurze różowej kredy. Wyglądało to tak, jakby kilkakrotnie zapisywano tam nuty, zamazując stare, aż wreszcie ktoś pełen frustracji podjął ostatnią próbę zanotowania melodii.

Chłopak wrócił do początku utworu. Zorientował się, że to *Wrzawa śmiertelnych*, pierwsza piosenka, której nauczył go Louis. Zanucił, podążając palcem wzdłuż nut.

Szybko pojawiały się nowe frazy i urozmaicenia, z których sam korzystał w swoich kompozycjach. Pod koniec muzyka stała się dzika. Nie pasowała stylem do wcześniejszych fragmentów. Brzmiała jakby... fałszywie.

Eliot gapił się na tę część zapisu. Zagęszczenie kropek i łuków wymagało od muzyka niewiarygodnie skomplikowanych i szybkich ruchów dłoni. Potrzebowałby chyba ośmiu palców, żeby to zagrać. W końcu – kiedy utwór zbliżał się do kulminacji – wszystko się rozpadało. Ostatnie frazy ginęły w chaosie na pół wymazanych bazgrołów Louisa.

Eliot marzył o tym, by usłyszeć całość. Może za bardzo się starał. Może powinien się zrelaksować, tak jak pokazała mu ciocia Dallas, pozwolić umysłowi unosić się swobodnie, a muzykę traktować jak równorzędnego partnera. Kiedy jednak próbował wprowadzić się w taki stan, na asfalcie pojawiły się pierwsze krople deszczu.

Wpadł w panikę i kucnął nad liniami, starając się je ochronić przed spłukaniem. Nie mógł jednak przykryć wszystkiego. Chwytał leżący obok karton, chcąc wykorzystać go jako parasolkę, ale zanim zdążył to zrobić, kilka kropli spadło na rysunki. Eliot zamarł.

Krople rzeczywiście zmyły część pospiesznych bazgrołów Louisa, ale jednocześnie same... zaczynały przypominać nuty. I to właściwe nuty.

Chłopak z fascynacją przyglądał się kolejnym pojawiającym się kroplom. Tak. Słyszał w głowie muzykę... Ten ostatni fragment, tym razem brzmiący dokładnie tak, jak powinien. Znów wyobraził sobie, że słyszy śpiew chóru. Tym razem jednak czyste dziecięce głosy zastąpiły pełne paniki zawodzenia:

*Nic nie pozostało i ciemność zapadła.
Muzyka echa wielokrotne rodzi.
Bóg leży samotny i w proch się obraca.
Ciemność i Śmierć – ich władza nadchodzi.*

Ta muzyka była niebezpieczna; Eliot czuł to głęboko w kościach. Miała w sobie rozmach symfonii, a w jej treści – już o tym wiedział – zawierało się wszystko.

Wrzawa śmiertelnych zaczynała się dość prosto. Mówiła o stworzeniu, młodości, niewinności. Środkowa część opowiadała o życiu, miłości i starzeniu się, a ostatnia dotyczyła końca. Końca życia pojedynczego człowieka. Cieplarnianej śmierci wszechświata. Końca dni.

Kolejne krople uderzały w asfalt, rozpuszczając nuty. Ale to już nie miało znaczenia. Symfonia zdążyła się wypalić w umyśle Eliota. Nie sądził, by kiedykolwiek znalazł w sobie tyle odwagi, żeby zagrać ją w całości, ale wiedział też, że nigdy jej nie zapomni.

Deszcz przemoczył mu koszulę. Cienie otoczyły alejkę i znów miał wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Zostawił za sobą rozplywające się arcydzieło i powędrował w stronę chodnika. Promienie słońca z trudem przedzierały się przez gęstniejące chmury. Na horyzoncie błyskało. *Trzy* siedzące na liniach telefonicznych kruki zakrakały i odleciały. *Wrzawa śmiertelnych* wciąż odbijała się echem w głowie Eliota. A co, jeśli to wszystko było prawdą? Jeśli po danym nam życiu – jednym, jedynym – nie następowało już nic? Na zawsze nic? Dlaczego więc miał nie wykorzystać swojego najlepiej, jak potrafił? Szukać miłości i przygód dopóty, dopóki jest to możliwe? Jutro może być już martwy.

Tak naprawdę z dużym prawdopodobieństwem jutro będzie martwy.

Nie wiedział, na co się zdecyduje. Był jednak pewien, że pójdzie na dworzec autobusowy, by jeszcze raz zobaczyć się z Julie... Nawet jeśli miałby ją tylko pocałować na pożegnanie.

ZOSTAWIONY NA LODZIE

Eliot wszedł do poczekalni dworca autobusowego w Del Sombrze gotowy rozpocząć nowe życie. Przy automacie z batonikami stało dwóch długobrodych hipisów, koło wejścia do toalet siedział mężczyzna w czarnym garniturze o twarzy zasłoniętej gazetą.

Julie jednak nie było.

Eliot usiadł na jednej z drewnianych ławek i zerknął na zegar nad kasami – do odjazdu ich autobusu zostało jeszcze dziesięć minut.

Wyobraził sobie, że stoi na rogu ulicy gdzieś w Hollywood i gra na skrzypcach albo nawet na gitarze. Czy można tak zarobić na życie? Na pewno w Los Angeles przechodnie są miłsi i hojniejsi niż w Del Sombrze. Mieszkańcy takiego wielkiego miasta po prostu muszą być miłsi. Inaczej okropnie działaliby sobie na nerwy, stłoczeni tak blisko siebie.

Dostałby pracę w klubie. Grałby na scenie, a publiczność głośno by go oklaskiwała... Zmusił się, żeby przestać. Kolejna pusta fantazja. Zostać gwiazdą nie jest tak łatwo. Wymagałoby to ciężkiej pracy, ale myślał, że ma szansę... zwłaszcza z Julie przy boku.

Na zewnątrz zrobiło się dziwnie ciemno. Uliczne lampy rozsyłały wokół siebie drżące pomarańczowe stożki światła. Eliot wyciągnął skrzypce i przejechał palcem po strunach. Hipisi odwrócili się do niego, a mężczyzna w

garniturze odłożył gazetę. Chłopak zagrał kilka nut ze środkowej części symfonii.

Chłopcy, dziewczęta biegniecie zbyt szybko.

Koło życia nie chce stawać.

Wkrótce dorośniecie i grzechy poznacie.

Wtedy dopiero zacznie się zabawa!

To była najlepsza część. Warto żyć. Trzeba wykorzystywać szanse... Inaczej nigdy nie zdobędzie się szczęścia.

Po raz pierwszy poczuł, że może samodzielnie kierować własnym życiem. Bez reguł. Bez babci. Bez nikogo, kto mówiłby mu, co ma robić.

Ale poczuł też ukłucie na myśl o Fionie i trzeciej heroicznej próbie. Siostra na pewno sobie poradzi bez niego, lecz i tak ciężar tej decyzji go przygniatał.

Przecież chodziło o niego. I o jego życie. Jego i Julie.

Zostało pięć minut. Gdzie się podziewała?

Znów dotknął strun skrzypiec. Odegrał kilka nut z piosenki Julie, fragment, który opisywał nadzieję w jej życiu. Promienie słońca na chwilę przedarły się przez chmury.

Przestał grać i z powrotem włożył Jutrzenkę do gumowego futerału. Hipisi i facet w garniturze wsiedli do autobusu. Kierowca wyszedł z łazienki i zatrzymał się przy Eliocie.

– Wsiadasz, kolego, czy na kogoś czekasz?

– Chyba i jedno, i drugie.

– Ruszamy dokładnie o siedemnastej trzydzieści.

– Kierowca poprawił czapkę.

– Jasne.

Zegar na ścianie pokazywał 5:28.

Julie musiała być gdzieś blisko. Prawie ją wyczuwał.

Wstał i wyrzwał na zewnątrz dworca. Nikogo nie zobaczył. Pobiegł z powrotem do środka, stanął w progu damskiej toalety i wyszeptał:

– Julie? Jesteś tam?

Nikt nie odpowiadał. Wtedy usłyszał za sobą dźwięk otwierających się drzwi poczekalni. Odwrócił się z nadzieją, która wypełniała mu serce jak balon... Ale to był tylko wychodzący z budynku kierowca. Mężczyzna wsiadł do autobusu i spojrzał pytająco na Eliota. Ten wzruszył ramionami. Kierowca kiwnął głową, zamknął drzwi i uruchomił silnik. Zasyczały zwalniane hamulce i pojazd wytoczył się na ulicę Vine, a po chwili zniknął za rogiem.

Nie przyszła. Eliot pomyślał, że spełnił się najgorszy scenariusz: coś jej się stało w domu. Ale oczywiście było też inne, bardziej prawdopodobne wyjaśnienie: Julie zdążyła wyjechać już wcześniej. Bez niego.

Poczuł się jeszcze bardziej zdruzgotany. Jego serce i płuca zacisnęły się tak, że ledwie mógł oddychać.

Może już w parku o tym zdecydowała? Nie poszła do domu, tylko od razu na dworzec i o czwartej wsiadła do autobusu jadącego do Oakland. Pewnie w końcu zdała sobie sprawę, jakim dziwakiem jest Eliot... Bo dlaczego dziewczyna taka jak Julie Marks w ogóle chciała mieć z nim coś wspólnego? To nie miało żadnego sensu.

Nie rozumiał niczego poza jednym: pół godziny temu zdecydował się na porzucenie rodziny. Jeśli tylko

sprawy potoczyłyby się inaczej, zostawiłby Fionę samą w opałach.

Załamany, samotny i pełen poczucia winy zwiesił głowę i wyszedł z dworca w kierunku jedyne miejsca, gdzie wiedział, że zostanie przyjęty. Do domu.

DRUGA ŚMIERĆ JULIE MARKS

Julie Marks szła powoli w kierunku dworca autobusowego. Starannie wybrała ubrania na tę okazję: czarną koszulkę z kilkoma dżetami (oczywiście z głębokim dekoltem), obcisłe dżinsy i czarne wysokie buty. Nic krzykliwego, ale też nie nazbyt skromnego. Na pewno nic, czemu mógłby się oprzeć piętnastolatek.

Ta chwila była kulminacją jej starań z ostatnich trzech dni. Trzech wspaniałych dni, które spędziła żywa i wśród światła. Chciała, by to się nigdy nie skończyło.

Sprytnie zdobyła zaufanie Eliota, odgrywając jego przyjaciółkę, kokietkę, wreszcie zranionego ptaka. Teraz chłopak zrobi wszystko, o co tylko go poprosi.

Spodziewała się, że aby odzyskać wolność, będzie musiała wykonać jakieś trudne zadanie. Tymczasem kuszenie młodego Posta przypominało łowienie ryb, które już wcześniej ktoś wyciągnął z wody.

Zwolniła. Eliot jednak był dla niej miły, i to w zupełnie inny sposób niż mężczyźni, z którymi miała do czynienia... kiedy jeszcze była żywa. Ale przecież o to właśnie chodziło. O zakład, który pozwoli jej uciec z piekła i wygrać nowe życie. Teraz nie mogła się już wycofać.

Podeszła do drzwi dworca i złapała za klamkę. W środku zobaczyła trzech ludzi. Ten z gazetą był agentem piekielnych. Lepiej udawać, że go nie dostrzega. Jeśli

weszłaby w drogę komuś z nieodpowiedniego klanu, mogłaby zostać zmieciona z powierzchni ziemi, zanim zdążyłaby pisnąć. Dwóch hipisów nie rozpoznawała. Pewnie byli zwykłymi podróżnymi, choć akurat w Del Sombrze zawsze należało zachowywać ostrożność.

Na ławce pośrodku poczekalni, mały i nierzucający się w oczy, siedział Eliot. Nic dziwnego, że nie zauważyła go od razu.

Jeszcze jej nie zobaczył. Znów wyglądał jak Bambi w reflektorach nadjeżdżającej osiemnastokołowej ciężarówki. Boże, czy naprawdę mogła mu to zrobić? Czy nie zniszczyła już życia wystarczająco wielu ludziom? Zaczynając od siebie?

Potarła ramiona. Ślady po igłach były teraz niewidoczne, ale nadal bolały. Głos mamy zaszeptał w jej głowie: „Miałaś już swoje życie, dziecko. Wywaliłaś je do kosza, przedawkowując przy jakimś śmietniku w Atlancie. Biały śmieć, w każdym znaczeniu tego słowa”.

Tak, zrobi to. Raz się już zabiła i w rezultacie wpadła z deszczu nie tyle pod rynnę, ile w autentyczne płomienie. Teraz miała szansę, żeby się stamtąd wydostać.

Popatrzyła na swoje odbicie w szybie i poprawiła włosy. Wyglądała jak idealna słodka przynęta.

W poczekalni Eliot wyciągnął skrzypce. Zagrał kilka dźwięków. Szkło w drzwiach zadrżało. Julie cofnęła rękę. Jej buty zastukały o chodnik, rwąc się do tańca. Delikatne włoski na szyi się uniosły. Dziewczyna reagowała, jakby była jego instrumentem. Jakby grał na niej. Nie, dzisiaj nie mogła na to pozwolić... Śmierć jest do kitu. Teraz była żywa i planowała taką pozostać.

Poruszyła głową, chcąc pozbyć się niepotrzebnych

myśli, i otworzyła drzwi. Eliot jednak znów zagrał i melodia zmieniła jej ramiona w galaretkę. Stała bezsilna i słuchała. Grał jej piosenkę.

Za pomocą kilku nut wyczarowywał całą jej przeszłość: rodziców, którzy w sumie nie byli tacy źli, tylko niczego nie rozumieli, przyjaciół obiecujących nowe życie i kradnących wszystko, co miała, miesiące spędzone na ulicy, kiedy musiała robić okropne rzeczy, i... koniec. „Biały śmieć, w każdym znaczeniu tego słowa”.

Ale Eliot potrafił stworzyć nowe zakończenie. Przewrócił wszystko na drugą stronę i sprawił, że w jej sercu pojawiło się coś, czego nie czuła od dzieciństwa. Nadzieja.

Czy mogła jeszcze ją mieć? Naprawdę? Kiedyś w to wierzyła, ale potem w jej życiu zjawilo się tyle bólu. Odkryła jednak, że pewne rzeczy uśmierzają cierpienie, jak wino, kokaina, potem heroina. Działały świetnie. Kilka kieliszków albo jeden zastrzyk i zadanie wykonane. Ból odchodził, ale jej życie nie zmieniało się nawet na jotę... Jedynie nadziei ubywało. Aż w końcu zniknęła zupełnie.

Czy teraz znów ożyła? Czy Julie naprawdę miała szansę, by zrobić coś dobrego, choć tyle już zniszczyła? Jak śmiał rzucać jej w twarz coś takiego? Nadziei nie czerpało się z piosenek. A tacy jak ona nie mogli się łudzić, mogli tylko przyjmować to, co przynosił im los, i... I co? Przedawkować? Umrzeć? Pójść prosto do piekła?

Eliot skończył efektownym pasażem i schował skrzypce do futerału. Niezależnie od tego, co podpowiadał jej rozum, znów wypełniała ją nadzieja, dawała ciepło, siłę, pocieszenie. Od dawna uważana za martwą, teraz, pod wpływem muzyki Eliota rozkwitła na nowo.

– Nie, nie, nie – wyszeptała do swojego odbicia w drzwiach. – Nie rób tego sobie, panno Julie Katherine Marks. Nie jesteś przecież aż taka głupia.

Położyła rękę na piersi. Niestety spryt i rozsądek nie mogły zmienić tego, co czuła. Z całego serca pragnęła, by istniało inne wyjście. Inne życie. Inna miłość. Ogarnęło ją wrażenie, jakby w środku nie kończącej się nocy wzeszło słońce. Mogła sprawić, żeby ta transcendentna, pełna nadziei chwila trwała zawsze. Czysta magia.

W trakcie tych kilku cudownych sekund Eliot dał jej więcej, niż kłamliwa Królowa Maków mogła oferować jej przez całą wieczność. Sealiah na nowo podarowała jej ciało, ale to Eliot Post sprawił, że znów czuła się naprawdę żywa. Wiedziała, że jeśli teraz go zdradzi, to wrażenie zginie na zawsze. A to może się okazać gorsze niż śmierć.

Julie przycisnęła dłoń od szyby i w przepełnionym nadzieją sercu poczuła ukłucie żalu. Nie mogła się nawet pożegnać z Eliotem. Co miałaby mu powiedzieć? A poza tym musiała pamiętać o ubranym na czarno facecie. Na pewno by ją zobaczył.

Odwróciła się więc i szybko odeszła, zanim przysłoby jej do głowy zmienić zdanie. Rozejrzała się po ulicy i zauważyła plymouth duster z 1974 roku. Właśnie czegoś takiego potrzebowała. Samochód był niemal w całości przerdzewiały, ale miał silnik V-8 i nie zamontowano w nim żadnego porządnego alarmu.

Wybiła boczną szybę i dostała się do środka. Połączyła kabelki zapłonu i obudziła auto. Cała operacja nie trwała nawet dziesięciu sekund. Wcisnęła gaz do dechy. Im większa odległość będzie ją dzielić od tej dziury tym lepiej. Ale czy naprawdę może się jej udać? Sealiah

nie była przecież wszechmocna. Przynajmniej nie w świecie, gdzie świeciło słońce. Tutaj jej rodzaj miał pieniądze i wpływy, ale do brudnej roboty potrzebował ludzi takich jak Julie. Jeśli dziewczyna odjedzie wystarczająco szybko i wystarczająco daleko, ucieczka może się powieść. Taką miała nadzieję.

Włączyła radio. Z głośników popłynął głos Elvisa zawodzący o czystych sercach i podłym życiu. Witaj w klubie, Królu.

Po dwudziestu kilometrach wjechała na autostradę wiodącą wzdłuż wybrzeża. Zdecydowała, że musi pozbyć się dusterą i znaleźć coś innego. Tam – zobaczyła migający neon z chowającą się za linię horyzontu pomarańczową kulą i rząd zaparkowanych harleyów. Nad barem wisiał napis: „Tawerna Ostatniego Zachodu Słońca”.

Dobrze знаła takie miejsca. Wśród ich stołów bilardowych, szaf grających i rozrzuconych na betonowych posadzkach trocin przemieszanych z upuszczanymi przez klientów orzeszkami czuła się jak w domu.

Znalazła zacienione miejsce na parkingu i wyłączyła silnik. Wyszła z samochodu i pomaszerowała do damskiej toalety. Przed planowanym spotkaniem z Eliotem już raz się malowała, lekko i delikatnie. Ale żeby wejść do baru, znaleźć tam opiekuna i kolejny transport, potrzebowała prawdziwych barw wojennych.

Rozgarnęła włosy. Nałożyła grubą warstwę szminki, której kolor wywołałby u jej mamy głębokie rumieńce. Westchnęła i lustro przed nią zaparowało. Jak to by było, gdyby mogła zostać z Eliotem już na zawsze?

Gdyby mogła słuchać jego gry każdego dnia?

A gdyby tak po prostu powiedziała mu prawdę? Czyby jej wybaczył? Co ważniejsze, czy uwierzyłby jej i zdołał ją ochronić?

Sealiah wspomniała o jego rodzinie, tak potężnej, że piekielni musieli się mocno nagimnastykować, żeby stworzyć sobie choćby szansę na porwanie chłopaka. A więc jego male, zaniedbane i leżące w centrum światowej nudy mieszkanie było pewnie najbezpieczniejszym miejscem, do jakiego mogła się teraz udać. Czy jednak jego rodzina chociaż jej nie wysłucha? Agentki wroga? I jeśli Sealiah tak bardzo się ich obawiała, to czy Julie też nie powinna mieć powodów do lęku?

Należało się nad tym wszystkim dobrze zastanowić, ale nie miała na to czasu. Eliot już pewnie wrócił do domu. Jeśli chciała wprowadzić w życie ten szalony plan i powiedzieć mu prawdę, musiała działać szybko. Starła szminkę. Zdecydowała: wraca do Del Sombry.

Może i oszalała pod wpływem piosenki Eliota, ale chciała dać prawdzie szansę... Nawet gdyby miało ją to zabić.

Weszła z powrotem na parking. Grupka stojących przy barze facetów zauważyła ją i któryś coś do niej krzyknął, ale zignorowała ich. Udało jej się wyrwać w ostatniej chwili. Tak łatwo było znów wpaść w stare koleiny. A przecież wiedziała już, dokąd by to ją zaprowadziło.

Pobiegła w stronę dusterą, unikając spojrzeń tamtych gości. Usłyszała ich zbliżające się kroki.

Otworzyła samochód, wsiadła do niego i zaraz zatrzasnęła drzwi. W lusterku zobaczyła, jak mężczyźni

zatrzymali się, coś do siebie powiedzieli, a potem szybko, niemal biegiem wycofali się w stronę baru.

Julie odetchnęła. Niewiele brakowało.

Zabawne. Zdawało jej się, że w powietrzu unosi się zapach ich skórzanych kurtek, a przecież nie podeszli aż tak blisko.

Uniosła dłoń. Zobaczyła, jak się trzęsie, i siłą woli spróbowała powstrzymać dygotanie. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, było uznanie jej przez patrol policyjny za pijaną.

Drobna ręka schwyciła ją za ramię.

– Nie ma powodów do drżenia, maleństwo – zagruchał jedwabny głos.

Julie podskoczyła. Obok niej, idealnie nieruchoma i milcząca, siedziała Sealiah, Królowa Maków, Władczyni Wielobarwnych Dżungli, Pani Bólu. Miała na sobie spodnie ze skóry węża i za dużą kurtkę motocyklową. Woń gadziej skóry i perfum była obezwładniająca.

Julie odwróciła się i pociągnęła za klamkę, ale Sealiah szarpnęła ją do siebie, niemal wyrwijając jej ramię ze stawu.

– Myślę, że na dziś masz już dosyć uciekania. – Królowa Maków puściła rękę dziewczyny.

Kiedy Julie była mała, rodzice zmuszali ją do oglądania filmów przyrodniczych (żeby w ten sposób przynajmniej częściowo nadrobiła opuszczone lekcje). Pamiętała, co działo się, kiedy lew albo stado hien dopadało gazelę. Uciekające zwierzę ryczało i wymachiwało kopytami, ale w pewnym momencie poddawało się. Jego oczy zachodziły mgłą i pozwalało, by drapieżniki zaczęły pożerać je żywcem. Tak jakby mózg

rozpoczął swoje wyłączenie, zanim jeszcze zupełnie zniknęła z niego świadomość. Właśnie tak czuła się teraz Julie. Uwięziona. Czekaająca na śmierć. Dziwnie spokojna.

A może wciąż tliła się w niej podarowana przez Eliota nadzieja? Omal nie parsknęła śmiechem. Jedno głupie uczucie na pewno nie pomoże jej się wydostać z takich tarapatów. To idiotyczne, że przez chwilę w to uwierzyła.

– Od razu lepiej – powiedziała Sealiah. – Cieszę się, że zdecydowałaś się być rozsądna. Mam kilka pytań.

– Tak, pani. – Bądź uprzejma. Mama zawsze powtarzała Julie, że uprzejmość zaprowadzi ją dalej niż uroda.

– Nie jestem na ciebie zła. Podziwiam twój upór.

– Sealiah uważnie wpatrywała się przez chwilę w dziewczynę. – Chcę wiedzieć, dlaczego wyjechałaś. Według wszelkich raportów miałaś już młodego Eliota Posta w garści.

– Tak, pani. Tak było. – Julie nie odważyła się skłamać.

– Dziewczyna taka jak ty nie przestraszyłaby się byle czego. Nie pojawili się żadni agenci Ligi. Dlaczego uciekłaś w momencie, gdy zwycięstwo było już tak bliskie? – Sealiah dotknęła szyi Julie zaostrzonym paznokciem i uniosła jej podbródek.

Dziewczyna nie miała wyjścia, musiała spojrzeć w szmaragdowe oczy pięknej Królowej Maków. Jej rysy przypominały Julie drapieżnego kota, zwinnego i groźnego.

– Nie mogłam mu tego zrobić.

– Przecież się nie zakochałaś. Wiem, że jesteś na to

zbyt bystra.

Julie starała się ukryć swoje uczucia. Nie chciała dzielić się nimi z tym potworem. Słowa jednak same popłynęły z jej ust:

– Coś mi dał – wyszeptała.

Dłoń Sealiah zawędrowała między piersi Julie. Serce dziewczyny biło szybko i nieregularnie, jakby ktoś je właśnie wyrывał. Zaczęła głęboko oddychać, ale to nie pomagało.

– Słyszę... – szepnęła Sealiah. – Piosenka napisana specjalnie dla ciebie. Potężna magia. O tak, niezwykły dar. – Cofnęła rękę i wytarła ją w spodnie. – Czy wiesz, że większość ludzi przeżywa całe życie, nigdy nie doświadczając czegoś takiego? Prawie ci zazdroszczę, dziecino.

Julie w obronnym geście skrzyżowała ręce na piersi.

Sealiah znów położyła jej dłoń na ramieniu, tym razem nie zaciskając palców, jedynie Jekko wbijając paznokcie w skórę.

– Nie winię cię. Na twoim miejscu pewnie spróbowałabym tego samego.

– Naprawdę?

– Widzę, że się starałaś. Kto mógł przewidzieć, że chłopak wykaże się takim sprytem.

Julie znów poczuła nadzieję. W głowie słyszała muzykę Eliota.

– A więc mogę...

– ... odejść? – Dłoń Sealiah mocno zaplotła się wokół ramienia Julie. – Oczywiście, że nie. Powiedziałam, że rozumiem, a nie, że jestem kompletną idiotką.

Nadzieja dziewczyny przygasła do malutkiej iskierki. Wciąż się tliła, ale już nigdy nie miała zapłonąć tak jak wtedy, gdy Eliot pierwszy raz jej zagrał.

– Nie ma się co tak przejmować. Lubię cię. Przybyłam zaoferować ci proste wyjście.

Sealiah otworzyła kieszonkę w drzwiach samochodu, wyciągnęła z niej skórzany portfel i rozwinęła jedną z zakładek. W środku były gumowa rurka i strzykawka. Julie wpatrywała się w nie z przerażeniem.

– Nie... – wyszeptała.

– Najlepszy gatunek. Sama nadzorowałam produkcję.

– Ja... nie mogę.

Dziewczyna usiłowała się odsunąć, ale Sealiah trzymała ją w żelaznym uchwycie. Spod zaciśniętych na jej ramieniu paznokci popłynęła strużka krwi.

– Są gorsze sposoby, moja droga. O wiele gorsze. Następnym razem nie będę taka łaskawa.

Julie przestała się wrywać i dotknęła zimnej jak lód strzykawki. O nie. Nigdy. Nie mogła jednak już zabrać dłoni z powrotem. Strzykawka obiecywała tak wiele. Zabrałaby ból, pozwoliła zapomnieć... choćby na chwilę.

– Musisz to zrobić sama – powiedziała Sealiah. – Nie mogę ci pomóc. Te rzeczy rządzą się swoimi zasadami⁵⁸.

Tak samo jak przedtem Julie zabije się sama. Moje serce niech się złamie.

⁵⁸ Kiedy Sealiah była jeszcze aniołem, uczyła ludzkość uprawiać ziemię. Po przejściu na ciemną stronę podarowała ludziom mak i wyjaśniła im jego wszystkie nikczemne zastosowania. Od tej pory ma w swojej władzy tych, którzy grzeszą opiatami i od nich umierają (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XIII, *Sily piekielne*, *op.cit.*).

Pozwoliła, by rzeczywistość zastygła wokół niej jak beton. Sama ustaliła warunki umowy. I wiedziała, że nie da się ich zmienić niezależnie od tego, jak sprawy się potoczą. Zaryzykowała życie i duszę i przegrała jedno i drugie.

Podniosła rurkę. Jak ta na pół zjedzona gazela musi w końcu odejść. W lepszy lub gorszy sposób, ale ostatecznie.

Mechanicznym ruchem przewiązała sobie przedramię. Żyły wyraźnie się zarysowały.

Nienawidziła siebie za to, że ulegała tak łatwo. Nawet w ostatnich chwilach nie stać jej było na odwagę. Bo ciągle była jakaś nadzieja, prawda? Nie powinna się poddawać bez walki. Powinna... Ukłucie.

– Ciii – wyszeptała Sealiah. – Już dobrze.

Piosenka Eliota ucichła. Julie ogarnął bezwład. Sealiah przygarnęła ją do siebie.

Poddając się kolejnym falom euforii, dziewczyna uroniła ostatnie w życiu Izy. Jej serce zwolniło. Kiedy otoczyła ją ciemność, poczuła, że Królowa Maków przytulają i kołyszczą do snu.

LEKARSTWO NA SMUTKI

Eliot widział już przed sobą bawarską fasadę Oakwood Apartments, ale wcale mu się nie spieszyło, by wejść do środka. Nie chciał stać na zewnątrz, ale nie chciał też znaleźć się w domu. Czuł się tak, jakby ktoś wyjmował mu wnętrzności łyżeczką.

Julie odeszła.

Zza chmur dotarł do niego odległy grzmot i zaczęło kropić. Na horyzoncie pojawiły się błyskawice.

Dlaczego poprosiła, żeby z nią pojechał, jeśli tak naprawdę tego nie chciała? Czy to możliwe, że od początku tylko się nim bawiła?

Przeszedł przez leżące na chodniku potłuczone szkło. Chyba ktoś wybił szybę w samochodzie.

Chociaż może i lepiej, że nie wiedział, dlaczego zrezygnowała. Zastanawiał się, czy przypadkiem ktoś jej nie zmusił do wcześniejszego wyjazdu. Może przeżywa to tak samo jak on. Rozdzielił ich po prostu okrutny los.

Zaczął śnić na jawie, wyobrażać sobie, że odkrywa wskazówki dotyczące miejsca pobytu Julie, rozwiązuje zagadki, walczy ze złoczyńcami, którzy... Wpadł na stojącego na chodniku mężczyznę.

– Och, przepraszam pana.

– Co cię tak gryzie, młody człowieku?

Eliot spojrział zdziwiony, bo rozpoznawał głos, ale już jego właściciela nie.

Facet był tak wysoki jak babcia i szczupły, ale jakimś cudem zajmował całą szerokość chodnika. Miał już swoje lata. W jego czarnych, zaczesanych do tyłu i opadających na ramiona włosach dało się zauważyć siwe pasma. Był ubrany w czarne spodnie i chabrową koszulę, której żywy kolor pasował do błysku w jego oczach. Buty z krokodylej skóry i płaszcz z wielbłądziej wełny wyglądały na bardzo drogie.

– Równie dobrze mógłbyś odgrywać na Jutrzence pieśń żałobną. Tak nisko trzymasz głowę, że zaraz zaczniesz nią szorować po chodniku.

Mężczyzna pochylił się, parodiując postawę Eliota.

Chłopak go rozpozna!: to był bezdomny Louis, choć teraz całkowicie odmieniony.

– Wygląda pan...

Louis uśmiechnął się do niego, błyskając idealnie białymi zębami.

– Zupełnie inaczej niż obsikany włóczęga i pijak z bocznej alejki sprzedający krew na litry, żeby kupić jakiś mocny alkohol, który pozwoli mu zapomnieć o beznadziejnej, pełnej bólu egzystencji?

– Chciałem po prostu powiedzieć, że wygląda pan dobrze – odpowiedział Eliot.

– Cóż, dziękuję. – Uśmiech Louisa nieco przybladł.

– Powinieneś uważniej patrzeć, gdzie idziesz. Jakiś nieostrożny kierowca mógł cię rozjechać.

Zabawne. Chłopak dopiero teraz zdał sobie sprawę, że odkąd wyszedł z dworca, nie widział ani jednego samochodu czy przechodnia. Zupełnie jakby wszyscy mieszkańcy Del Sombry wyjechali na wakacje.

– Przykro mi, że na pana wpadłem. Myślałem o

kimś.

– Nigdy dwa razy nie przepraszaaj za to samo. To oznaka słabości, a nie uprzejmości. Poza tym nic się nie stało. Jesteś młodym człowiekiem, któremu zdarza się głęboko zamyślić. To godne podziwu, nie usprawiedliwiania się.

– Powiedzmy...

– Opowiedz mi o niej.

– Skąd pan wie...?

Louis przyłożył dłoń do piersi.

– Sam wiele razy miałem takie uczucia wymalowane na twarzy. – Wskazał na ulicę za sobą. – Szedłem w tamtym kierunku. Potowarzyszysz mi? Moglibyśmy porozmawiać.

Eliot spojrział w stronę domu. Babcia i Cee pewnie zastanawiały się, gdzie jest. Fiona też na niego czekała. Ale Eliot także miał swoje potrzeby. Teraz akurat musiał porozmawiać z kimś o Julie.

– Dobrze – zgodził się. – Lecz mam tylko kilka minut.

– Wystarczy.

Louis odwrócił się i ruszył szybkim krokiem przed siebie. Chłopak podbiegł, żeby za nim nadażyć.

– Więc tak, chodzi o dziewczynę. Myślałem, że ona i ja... – słowa ugrzęzły Eliotowi w gardle. – Ale nie przyszła.

Uśmiech zniknął z twarzy Louisa. Nadał wargi.

– Zaczekaj – powiedział i zatrzymał się. Położył Eliotowi na piersi swoją długą dłoń, jakby był lekarzem.

– Twoje serce wciąż bije – wyszeptał. – Jest zranione, lecz ma w sobie dużo siły. Przeżyjesz. Odwrócił

się i poszedł dalej, ale już wolniej. – Może teraz trudno ci w to uwierzyć – ciągnął – lecz za tydzień ból osłabnie. Za miesiąc ciągle będzie dotkliwy, ale stanie się już bardziej wspomnieniem niż rzeczywistością.

Chłopak prawie mógł w to uwierzyć. Louis wyglądał na kogoś, kto wie, co mówi. Z całą pewnością miał już do czynienia z kobietami.

– Ona była wyjątkowa... Inna niż wszystkie. Nigdy wcześniej taka dziewczyna nawet na mnie nie spojrzała.

– Była ładna?

– Najpiękniejsza, jaka kiedykolwiek przyjechała do Del Sombry.

– Naprawdę? – Louis podrapał się po brodzie. – Śliczna i nowa w tym mieście? – Zmarszczył brwi, jego twarz przybrała mroczny wyraz. – Oczywiście musieli spróbować cię skusić.

Eliotowi nie podobała się mina Louisa. Widział go już szalonego i zagubionego. Widział, jak w pełnym zachwyty skupieniu gra na Jutrzence. Ale nigdy wcześniej nie pomyślał, że może być niebezpieczny... Dopiero teraz, gdy ujrzał żar w jego oczach.

– Znalazłem muzykę, którą mi pan zostawił – Eliot zmienił temat, wyrwając Louisa z pochmurnego zamyślenia. – W alejce. Wyrysowaną kredą na chodniku – wyjaśnił chłopak. – Odnalazłem ją tuż przed tym, zanim zmył ją deszcz.

Louis uśmiechnął się, ale można było odnieść wrażenie, że myśłami był gdzie indziej.

– Fascynujące – powiedział. – Ale z siebie szczęściarz.

Zapadający mrok zalał ulicę cieniami, chodnik

zmienił się w plątaninę ponurych ciemnych kwadratów. Louis położył Eliotowi rękę na ramieniu.

– Zanim pójdziemy dalej, porozmawiajmy o tamtej muzyce.

Ukląkł koło chłopaka, narysował na chodniku kilka linii i nuty między nimi. To była dziecięca rymowanka, której wcześniej go nauczył.

– „Wrzawa śmiertelnych” – powiedział Eliot.

– W istocie. To pierwsza część „Sinfonia di esistenza”, co po włosku znaczy „Symfonia egzystencji”.

– Widziałem też resztę, środek, a nawet sam koniec, chociaż był trochę zamazany. I tak dałem radę odczytać nuty.

Na twarzy Louisa nie było już nawet śladu uśmiechu.

– Naprawdę?

– Jasne.

Wymalowane kroplami deszczu nuty wciąż płonęły w pamięci Eliota. Melodia była niesamowicie skomplikowana, ale próbował zanucić jej uproszczoną wersję, żeby przekonać Louisa, że ją zna. Mężczyzna podniósł palec.

– Nie ma potrzeby. Widzę ją w twoich myślach palącą się niczym ognisko.

Spojrzał chłopakowi głęboko w oczy. Eliotowi przypominało to przesywający na wskroś wzrok babci, kiedy była z czegoś niezadowolona. Tyle że tym razem chodziło o coś innego. Louis był autentycznie dumny.

– Udało ci się coś, czego nawet ja nie umiałbym dokonać. – Ścisnął chłopaka za ramię. – Już teraz jesteś ode mnie lepszy.

– To niemożliwe. – Eliot poczuł wypływające mu na policzki rumieńce. Zmieszany tym, zaczerwienił się jeszcze bardziej.

– Nie bądź skromny. Nigdy. Ludzie zawsze będą próbowali umniejszyć twoją wartość. Nie pomagaj im w tym. – Louis wyglądał na nieobecnego. – Tak, skrzypce. Oczywiście struny. Powinienem przewidzieć, że odziedziczysz wielki talent.

– Nie rozumiem, proszę pana. Prze...

Eliot miał zamiar znów przeprosić, ale przypomniał sobie wcześniejsze nauki Louisa. To przez babcię i Cee bez przerwy czuł się czegoś winny. Zawsze traktowały go jak małego dobrego chłopczyka. Może Louis miał rację. Może powinien zacząć doceniać swoją wartość?

– Kiedy gram, czuję się, jakby...

– Jakby cały świat cię słuchał? Jakby towarzyszyły ci niebo i ziemia? Jakby wszechświat był twoją publicznością?

Eliot potaknął.

– Tak, i nawet więcej. Szczury w kanałach ściekowych, organy w wesołym miasteczku...

– Wiem. Słyszałem każdą nutę przyniesioną przez wiatr.

To było niemożliwe. Louis zmyślał. Ale to przecież on na początku pokazał mu, jak grać na Jutrzence, to on wyzwolił jego talent. Na pewno nie był zwykłym człowiekiem. Ale na czym dokładnie polegała jego niezwykłość?

Różnił się od wujka Henry'ego, babci czy pozostałych członków rodziny. W ogóle różnił się od wszystkich, których Eliot do tej pory spotkał, czy to

szalonych, czy trzeźwo stąpających po ziemi.

– Kim pan jest? – zapytał piskliwym szeptem, jakby łamał w ten sposób jakąś fundamentalną regułę rządzącą wszechświatem.

Usta Louisa poruszały się, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. W końcu udało mu się powiedzieć:

– Jestem kimś, komu bardzo na tobie zależy. – Westchnął. – Najwyraźniej nawet bardziej, niż mi się zdawało.

Spojrzał w górę. Wzrok Eliota podążył jego śladem.

Cienie, które zdawały się pochłaniać chodnik, podkradały się coraz bliżej.

– Nie mamy wiele czasu. Musimy rozważyć pewne plany. – Louis znów spojrzał na chłopaka, z trudem ukrywając emocje. – Część z nich wymaga zmiany.

– Podniósł się i odwrócił w stronę nadchodzącej ciemności. – Muszę zaprowadzić cię do domu, o tej porze nie powinieneś już przebywać w tej części miasta.

Eliot nie chciał iść do domu. Louis tak świetnie znał się na muzyce. Może wiedział też coś o rodzinie? O Radzie? Jak to możliwe, że ktoś, kto mieszkał na ulicy, w ogóle miał o czymś pojęcie?

– Wie pan, co się dzieje, prawda? Rodzina, próby...

– Nigdy nie mógłbym cię okłamać. Tak, wiem, przynajmniej po części.

– Kim pan tak naprawdę jest?

Louis pociągnął Eliota za sobą. Był silniejszy, niż na to wyglądał. Zmusił chłopaka do energicznego marszu tam, skąd przyszedli.

– Miałem już tyle imion... – Louis obejrzał się do tyłu. – Wystarczy, że będziesz wiedział, że jestem twoim

przyjacielem. Być może jedyną osobą na świecie, która przedkłada twoje bezpieczeństwo nad własne.

– Proszę, niech mi pan powie więcej. Potrafię być świetnym słuchaczem.

– Jestem pewien, że posiadasz również i ten rzadki talent. – Louis się zatrzymał. – Ale... dotarliśmy na miejsce. Dalej nie wolno mi iść.

Stali dokładnie tam, gdzie wcześniej Eliot wpadł na mężczyznę. Ciemność za nimi wydawała się jeszcze mroczniejsza. Jakby część Del Sombry zniknęła, pochłonięta przez pustkę.

Przecież to nie mogło być prawdą.

Lampy nad ich głowami oświetlały migotliwym blaskiem Midway Avenue aż do Oakwood Apartments, ale latarnie wzdłuż drogi wiodącej z powrotem do „U Ringo” były zepsute. Co do jednej.

– Tak wiele chciałbym ci powiedzieć – Louis przechylił głowę, jakby coś usłyszał – ale nie ma na to czasu. Już po ciebie idą.

Wreszcie ktoś chciał Eliotowi coś wyjaśnić.

– Więc niech mi pan powie – poprosił. – Szybko.

– Ufasz mi? – Usta Louisa zacisnęły się w pojedynczą białą linię.

Oczywiście, że tak – chłopak już chciał potwierdzić, ale jakieś wewnętrzne przeczucie kazało mu powstrzymać cisnące się na usta słowa. Uważnie przyjrzał się Louisowi, jakby widział go po raz pierwszy. Wcześniej rysy mężczyzny zasłaniały kępki włosów i niedbale podgolony zarost, ale teraz dostrzegał, że Louis miał ostry, zadarty nos i odstające uszy... Zupełnie jak on. Czy mogli być spokrewnieni?

– Ufasz mi? – Louis powtórzył pytanie.

Eliot cofnął się o krok.

– Nie... tak. Przykro mi, ale nie wiem.

Louis kiwnął głową.

– Cieszę się, że mi to mówisz. Chciałbym, żebyśmy zawsze byli z sobą szczerzy. Zawsze. A co podpowiada d instynkt?

– Że chciałbym.

– No, no... – Twarz Louisa pojaśniała. – Mogę ci powiedzieć jedną rzecz. – Delikatnie postukał Eliota w pierś. – Masz tu wielką siłę, choć oczywiście kapryśne kobiety zawsze ci będą sprawiać kłopoty. Ale to się nie liczy. Twoja siostra też jest silna, choć inaczej.

Razem tworzycie coś więcej niż sumę swoich talentów. Zostań przy niej, przynajmniej na razie.

– Przy Fionie? Co ona ma z panem wspólnego?

– Och, niestety wszystko.

Louis spojrzał na rozciągającą się przed nimi ulicę. Spośród cieni Midway Avenue nagle, niczym rakieta, wyskoczył czarny kształt. Pomarańczowe światło lamp odbijało się w błyszczącej karoserii i chromowanych felgach.

Samochód jechał wprost na Eliota. Louis objął chłopaka ramieniem i okrył go swoim eleganckim płaszczem.

Teraz, kiedy samochód był już blisko, Eliot zobaczył srebrny znaczek V-12 na masce i zastygł złapany w światła halogenowych reflektorów. Opony z piskiem i dymem prześlizgnęły się po asfalcie, a limuzyna zatrzymała się milimetry od krawężnika.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się z impetem.

Ze środka wyskoczył Robert. Nie podszedł jednak do chodnika, tylko trzymał się swojej strony samochodu.

– Odsuń się od tego typu – rzucił do Eliota.

Chłopak zamrugał, wracając do siebie po szoku.

Przed chwilą został prawie rozjechany.

– Co ty wyprawiasz? Mało brakowało, żebyś nas zabił! – zawołał.

Robert pokręcił na to głową, ale widać było, że nie zwracał na Eliota specjalnie uwagi. Jego oczy były wbite w Louisa.

Mężczyzna odwzajemnił spojrzenie. Uniósł rękę, drugą wciąż obejmując Eliota w pełnym troski geście.

– Odejdź od tego faceta – powtórzył Robert. – Jest po ciemnej stronie mocy.

Eliot nie do końca rozumiał. O jakie strony mocy chodziło? Może to znowu jakieś powiedzenie rodem z kultury popularnej, które byłoby jasne dla każdego normalnego nastolatka, ale nie dla niego?

– W tym epizodzie – odrzekł Louis – nie jestem po żadnej stronie. – Puścił Eliota i cofnął się o krok. – Mam jednak lepsze rzeczy do roboty, więc pozwolicie, że się z wami na razie pożegnam.

– Zaczekaj – powiedział Eliot. – Mieliliśmy porozmawiać.

– Wkrótce tak się stanie. Obiecuję.

– Nie słuchaj go – wtrącił się Robert. – Tacy jak on potrafią tylko kłamać. Wsiadaj do samochodu.

– Nie! – krzyknął Eliot do Roberta. Złość w jego głosie zaskoczyła ich obydwu.

Po przetrwaniu dwóch heroicznych prób Eliot wiedział, że ma w sobie wystarczająco dużo silnej woli,

żeby przeciwstawić się nawet nadludzko opanowanemu Robertowi.

– Jedź z nim – szepnął Louis. – Pamiętaj, co ci powiedziałem.

– Myślę, że jestem już wystarczająco duży, żeby decydować o sobie – odparł Eliot.

– Jesteś – przytaknął Louis. – Ale wydaje mi się, że twój młody przyjaciel kierowca chce ci coś powiedzieć.

Robert oblizał wargi.

– Eliot, musisz ze mną pojechać – wyszeptał. – Chodzi o Fionę. Jest w szpitalu... umierająca.

TRAGICZNA DIAGNOZA

Eliot stał przy łóżku Fiony i trzymał ją za prawą rękę. Cee, w identycznej pozycji po drugiej stronie, ścisnęła lewą dłoń chorej, uważając, by nie poplątać rurek kroplówki.

Dziewczyna wyglądała, jakby straciła całą krew. Jej bezwładna, zimna jak lód ręka była jakby lżejsza niż normalnie. Eliot nigdy, nawet w najgorszych koszmarach nie wyobrażał sobie, że jego siostra, zwykle tak silna i energiczna, może sprawiać wrażenie takiej kruchej.

Rozejrzał się, mając nadzieję, że ktoś mu wyjaśni, co się stało.

W rogu tej przeznaczony dla jednego pacjenta szpitalnej sali stał Robert ze skrzyżowanymi ramionami i oczyma wpatrzonymi w Fionę. Cała jego zwykła brawura i opanowanie na nic nie mogły mu się teraz przydać. Babcia przeglądała z uwagą leżące na łóżku notatki lekarza. Gdyby Eliot nie zostawił dziś rano siostry samej, gdyby był przy niej, kiedy go potrzebowała, może mógłby jakoś temu zapobiec.

Babcia podniosła wzrok.

– To nie twoja wina – powiedziała sucho do niego i znów zagłębiła się w lekturę. – U Fiony zdiagnozowano poważne niedożywienie i odwodnienie.

– Jak to możliwe? – zapytał. – Przecież jadła... – Czekoladki. Całe garście.

Czy ktoś je zatrul? Eliot zawsze miał wrażenie, że coś z nimi było nie tak.

Babcia zignorowała go i nadał czytała zapiski lekarza:

– Zaordynowano dożylnie nawadnianie i dokarmianie za pomocą kroplówki, ale nic to nie daje. Jej organizm odmawia przyjmowania pokarmów i wody.

Eliot wiedział, że to niemożliwe. Takimi sprawami rządziła chemia na poziomie komórek, a nie świadome decyzje.

– Chodzi o coś więcej niż czysty problem medyczny, prawda? – wyszeptał.

– Najlepiej skupmy się na przekazywaniu Fionie pozytywnej energii naszymi myślami. – Cee pochyliła się i dotknęła jego ramienia, próbując go pocieszyć.

Babcia odwróciła się w stronę wyjścia na korytarz. Upuściła notes na łóżko, a w jej ręku nagle pojawił się skalpel.

Drzwi otworzyły się i stanęli w nich ciocia Lucia i wujek Henry. Obydwoje zatrzymali się w progu, wpatrując się z zadziwieniem w ostrze w ręku babci. Eliot był podobnie zaskoczony. Nigdy nawet nie przypuszczał, że babcia może wyglądać aż tak groźnie.

Przez dłuższą chwilę nikt nawet nie drgnął. Wreszcie wujek Henry wyszeptał:

– Audrey, błagam. Tym razem przyszliśmy, żeby pomóc.

– To takie typowe – dorzuciła Lucia, mrużąc oczy.
– Czy naprawdę musisz zabić wszystkich, którzy cię kochają?

Babcia westchnęła. Skalpel zniknął z jej dłoni. Eliot

nie zauważył, co się z nim stało.

Lucia podeszła do Audrey i uściskała ją. Babcia niechętnie odwzajemniła ten gest. Wujek Henry zaś skinął głową w stronę Roberta, a potem podszedł do Eliota, kładąc mu dłonie na ramionach.

– Dowiedzieliśmy się, co się dzieje, i przyjechaliśmy tak szybko, jak tylko się dało – powiedział.

– Udusiłabym Dallas za to, że tak wcześnie pokazała im nici – wymamrotała pod nosem Lucia.

– Fiona nie miała wyboru – stwierdziła babcia. – Pojawiły się czynniki zewnętrzne. Jeśli nie dokonałaby cięcia, nie wytrzymałaby nawet do tej chwili.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? – zażądał Eliot.

Babcia przeszyła go wzrokiem, ale chłopak postanowił się nie poddawać tym niemym naciskom i nawet nie mrugnął.

– Sam widziałeś – odrzekła babcia. – Tamtego popołudnia, kiedy Dallas pokazała wam nici, zobaczyliśmy koniec Fiony. Zostało jej już tylko kilka godzin życia. Nikt nie może nic zrobić, żeby to zmienić.

Eliot oniemiał. Nie umiał sobie wyobrazić życia bez siostry.

– To nie musi być do końca prawdą. – Lucia odsunęła na bok wyniki badań i lekarskie notatki i zmusiła babcie, żeby na nią spojrzała. – Wydaje się nam, że znamy sposób na to, by ją uratować.

Babcia uniosła brew, pierwszy raz dając znak, że jest w ogóle zainteresowana tym, co mają do powiedzenia.

– Tak – potwierdził Henry. – I ma to związek z trzecią heroiczną próbą bliźniąt.

JEDNO JABŁKO DZIENNIE

Fiona była powietrzem. Była pyłem i światłem rozproszonym tak bardzo, że jej myśli swobodnie unosiły się na wietrze. A potem jej umysł stał się tak ciężki, że zaczął ją przygniatać. Każdy oddech sprawiał jej wielką trudność.

Otworzyła oczy.

Leżała na dziwnym obcym łóżku. Po jednej stronie stała skryta w cieniu babcia, po drugiej, oblana wpadającym przez otwarte okno światłem księżycy, ciocia Lucia. Ich dłonie poruszały się nad kołdrą. Na pogniecionej pościeli wiły się poplątane różnokolorowe nici, skórzane paski, kawałki plastikowej żyłki, błyszczące włókna jedwabiu i pasma czystego złota. Pośród nich można było zauważyć jeszcze dziwniejsze wzory, składające się z dymów, cieni, poszarpanego drutu kolczastego...

Fiona spróbowała usiąść i zdała sobie sprawę, że cała ta plątanina pochodzi z jej wnętrza. Babcia i Lucia otworzyły jej ciało – wyciągnęły wnętrze na zewnątrz i rozłożyły w sterty. Teraz pociągały za kawałki włóczki i zawiązywały na niej węzłki. Każde szarpnięcie mocno ją bolało.

Ogarniały ją nudności. Nabrała powietrza, by krzyknąć. Ale nagle sploty włóczki zniknęły. Babcia i Lucia poprawiły kołdrę^ wprawnymi dłońmi wygładzając

zgniecenia.

Co to było? Koszmar? Nie wydawało jej się. Tę samą włóczkę widziała wcześniej w labiryncie luster. To był ten sam materiał, podstawowa substancja życia, której przyglądała się, zanim... zanim co? Zanim straciła przytomność?

Na pewno nie spodziewała się, że kiedykolwiek znów się obudzi.

Dotknęła pulsującego bólem czoła.

– Czy przewróciłam się? – zapytała.

Rozejrzała się dookoła, a jej wzrok wreszcie odzyskał ostrość.

Obok babci staj Eliot. Usiłował przysunąć się jeszcze bliżej łóżka. N[^] jego twarzy malował się lęk. Fionę ogarnęła irytacja, gdy przypomniała sobie, że wcześniej zostawił ją sainą, ale i tak wyciągnęła do niego dłoń. Uścisnął ją.

Zza Eliota wychylała się Cee, uśmiechając się i wykręcając ręce.

– Myśleliśmy, że cię straciliśmy, skarbie.

Babcia rzuciła Cecilii złowrogie spojrzenie i ta się cofnęła.

Serce Fiony zadrżało, gdy zobaczyła w rogu pokoju Roberta. Stał ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i wyglądał, jakby czuł się bardzo nieswojo. Zasalutował jej, udając, że nic specjalnego się nie stało, że Fiona leży tu, bo urwała jej się skórka przy paznokciu. Zdradzały go jednak oczy podbiegłe krwią i nerwowo spoglądające na wujka Henry'ego.

Wujek zasiadł w stopach łóżka. Założył nogę na nogę i zdawał się kompletnie nie przejmować dziwaczną

sytuacją. Jego obecność, a także cioci Lucii przeraziła dziewczynę. Czy Rada znów coś postanowiła w ich sprawie?

– Co się dzieje? – zapytała Fiona.

– Skoro czuje się na tyle dobrze, żeby zadawać pytania – oznajmił Henry – uważam, że powinniśmy jej powiedzieć.

– Odbudowałyśmy twoje siły – wyjaśniła łagodnie Lucia.

– Myślę... myślę, że widziałam. Sploty.

Lucia i babcia spojrzały po sobie, a potem babcia stwierdziła:

– To dobrze, że widziałas. A więc wiesz, że kiedy wcześniej się pocięłaś, uszkodziłaś wzór.

Fiona przytaknęła.

– Usunęłaś swój apetyt – ciągnęła Lucia – kiedy uwalniałaś się od... czynników zewnętrznych.

Czekoladki, to o nich mówiły. Ręka Fiony powędrowała do gardła.

– Musiałam – wyszeptała.

– Oczywiście – potwierdziła babcia. – Nikt nie wątpi w słuszność twojej decyzji. Ale miała ona konsekwencje.

– Nadmierny apetyt może być szkodliwy – rzekła Lucia. – Lecz jego brak grozi...

– ... śmiercią – powiedziała bez emocji babcia. – Teraz twoje ciało odmawia przyjmowania wody i pożywienia.

Eliot zacisnął rękę na dłoni siostry. Dziewczyna widziała, że on też był przerażony.

– Wszystko będzie w porządku – szepnęła do niego.

Ale sytuacja na razie wcale na to nie wskazywała.

Mimo to Fiona nie miała zamiaru ujawniać swojego strachu. Instynktownie rozumiała, że okazywanie słabości w obecności tyłu członków rodziny byłoby błędem.

– Czyli właśnie to Dallas próbowała mi wtedy pokazać – powiedziała. – Moja nić, a przynajmniej jej część wiodąca w przyszłość, była bardzo krótka. Trochę krótsza niż dzień.

Rozejrzała się po pokoju, szukając wzrokiem Dallas – jej ciotki, a może nawet matki. Niestety nie było jej tutaj.

– Już nawet nie dzień – dodała babcia. – Sześć godzin, może mniej.

– Dałyśmy ci przynajmniej siłę, żebyś mogła spędzić pozostały ci czas w jak najlepszej formie.

Cee wydała z siebie zawodzący dźwięk, ale na szczęście powstrzymała się od szlochu. Gdyby ktokolwiek w tym pokoju się rozpląkał, Fiona pewnie też zaczęłaby rozpaczać.

– Kicha – podsumowała.

– Dobrze powiedziane – odrzekł Henry i niespodziewanie szeroko się uśmiechnął. – Ale nie martw się. Mamy plan.

Złożył ręce, jakby zaciskał w nich niewidzialną kulę. Zaczął nimi poruszać w przód i w tył, udając głęboką koncentrację, a potem zaskoczenie. Z rozmachem otworzył dłonie i pokazał wszystkim zielone i lekko cętkowane jabłko odmiany Granny Smith. Podał je Fionie.

– Dziękuję, wujku Henry, ale nie jestem głodna.

– Henry, naprawdę... Raz mógłbyś się zachować poważnie – powiedziała Lucia.

Henry wzruszył ramionami i ugryzł owoc.

– W ten sposób chcą nam pomóc – szepnęła Eliot.

– To ma związek z trzecią próbą.

W jego głosie było słycać napięcie. Ostrzegwał ją, że na pewno chodzi o coś poważniejszego niż zjedzenie wyczarowanego przez iluzjonistę owocu.

– Zwykle jabłko na nic ci się nie zda – wyjaśniła Lucia. – Potrzebujesz złotego jabłka.

Fiona spojrzała na Eliota, ale ten pokręcił głową. Odwróciła się znów do Lucii.

– Czy to jakaś specjalna odmiana?

– Naprawdę wszystko musiałaś przed nimi ukrywać, Audrey? – westchnęła ciocia.

Babcia przechyliła głowę, spoglądając z góry na siostrę.

– Najwyraźniej nie wszystko... Gdybym się lepiej starała, nie wplątałiby się w takie tarapaty.

– Drogie panie, proszę, odłóżcie kłótnie na później.

– Wujek Henry zastukał w swój zegarek. – Ziarna czasu umykają.

– Wyjątkowo masz rację, Henry. – Lucia wygładziła sukienkę i odwróciła się z powrotem do Fiony.

– Złote jabłka, które będziesz musiała znaleźć, nie są dostępne na targu. Te owoce mają w sobie potężną, zdolną uratować życie moc. Ich wartość jest tak wielka, że toczono już o nie wojny⁵⁹.

⁵⁹ Tak zwane złote jabłka występują w wielu mitologiach. Nordycy Azowie zachowywali dzięki nim nieśmiertelność. Bogini niezgody Eris rzuciła kiedyś takie jabłko z napisem „Dla najpiękniejszej” pomiędzy Herę, Atenę i Afrodytę, co w efekcie doprowadziło do wybuchu wojny trojańskiej. Celtyckie legendy opowiadają o tym, że jedno złote jabłko może wyżywić człowieka przez cały rok. Niektórzy mitohistorycy uważają, że baśniowe złote jabłka były w istocie pomarańczami (które pozostawały w obszarze śródziemnomorskim nieznanne aż do XI wieku). W wielu językach słowo

Fiona z trudem przełknęła ślinę. Myśl o zjedzeniu czegokolwiek sprawiała, że zbierało się jej na wymioty.

– Gdzie jest haczyk? – zapytała. „

– Widzę, że mimo ostatnich wydarzeń nie straciłaś bystrości umysłu. To dobry znak. – Wujek Henry poklepał ją po kolanie. A ponieważ babcia z oburzeniem popatrzyła na tak otwarte wyrażanie czułości, szybko cofnął rękę. – Tak, oczywiście jest haczyk.

Stojący po drugiej stronie pokoju Robert nerwowo przestępował z nogi na nogę.

– Wiele lat temu – podjęła opowieść Lucia – pozwoliliśmy kawałkom jednego z jabłek wpaść w niepowołane ręce⁶⁰.

– Powzięliśmy więc pewne kroki, żeby nie dopuścić do takiej sytuacji ponownie. – Wujek Henry wskazał na sufit. – Umieściliśmy je wśród gwiazd.

– W krążącym na orbicie pojemniku – dodała Lucia.

– Niemożliwym do wykrycia.

– Okazało się jednak – ciągnął Henry – że nie wzięliśmy pod uwagę tego, ile w przestrzeni kosmicznej lata wytworzonego przez ludzi złomu. Kolizje w końcu wytrąciły pojemnik z orbity i skierowały z powrotem w

„pomarańcza” etymologicznie pokrywa się z wyrażeniem „złote jabłko” (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. IV, *Mity podstawowe*, *op.cit.*).

⁶⁰ Jedną ze słabiej znanych miejskich legend jest opowieść o tym, jak w późnych latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych XX w. w wolnym obiegu pojawiły się cząstki magicznego jabłka. Ludzie, którzy je zjedli, później założyli wytwórníę płytową i firmę komputerową z logo tego owocu. Wielu badaczy powątpiewa w prawdziwość tej historii, ale inni uważają, że olbrzymi sukces finansowy, tempo i skalę wzrostu obydwu korporacji można spokojnie nazwać „magicznymi” (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne*, *op.cit.*).

stronę Ziemi.

– A więc jest gdzieś zakopany? – zapytał Eliot.

– W jakimś powstałym po uderzeniu kraterze. A my musimy go znaleźć.

– Już go znaleziono – odpowiedział Henry. – Nie staraliśmy się go odzyskać, bo wiedzieliśmy że ci, którzy go teraz mają, nie zdołają go otworzyć nawet przez tysiąc lat. Zbiornik jest przechowywany w superbezpiecznym miejscu: w Centrum Testów Powietrznych Sił Zbrojnych w Nevadzie⁶¹.

– Powietrznych Sił Zbrojnych? Amerykańskich?

– zapytała Fiona.

Wujek Henry przytaknął.

– Na pewno jest więc strzeżony – stwierdził Eliot.

Henry lekceważąco machnął ręką i westchnął.

– Tak... Bunkry, strażnicy, szkolone psy, może nawet patrole niewidzialnych dla radarów helikopterów.

– Na tym będzie polegać wasza trzecia heroiczna próba – oznajmiła Lucia. – Macie dostać się do bazy, wykraść z niej jabłko, a potem... zjeść kawałek, żeby uratować Fionie życie.

– Albo dać się zastrzelić, próbując zrobić to wszystko – wymruczała dziewczyna.

– Może się nam udać – szepnął do niej Eliot.

Potaknęła.

Nawet przez chwilę nie wierzyła, że mają jakiegokolwiek szanse. Tu nie chodziło o jednego szaleńca w wesołym miasteczku ani nawet gadającego krokodyla, lecz o bazę wojskową z setkami uzbrojonych strażników, elektronicznymi gadżetami i specjalistami szkolonymi w

⁶¹ Inaczej zwanym Groom Lake, Krainą Marzeń albo Strefą 51 - przyp. red.

wyszukiwaniu intruzów takich jak ona i Eliot. A może mimo wszystko mogło im się udać?

Umiała przeciąć wszystko – płoty z drutu kolczastego, mury z pustaków, a pewnie nawet drzwi do skarbcza wykonane ze wzmacnianej stali. I czy coś mogło powstrzymać muzykę Eliota?

Tak czy inaczej Fiona nie ufała wyjaśnieniom wujka Henry'ego, że jabłka zostawiono w bazie dlatego, że nic im tam nie groziło. Domyślała się, że po prostu nawet Liga nie była w stanie się tam dostać.

Robert wyprostował się i zrobił krok w stronę Fiony.

– Pozwólcie mi... – Odchrząknął i spróbował jeszcze raz: – Pozwólcie mi pojechać tam zamiast niej. Zdarzało się już, że testowanym pozwalano korzystać z pomocy wybranych zastępców.

– Nie – odrzekła Lucia, wpatrując się w kierowcę zimnym wzrokiem.

Robert zatrzymał się w pół kroku.

– Podoba mi się ten chłopak – powiedziała do Henry'ego babcia. – Odważny, uprzejmy. Niestety wszyscy twoi kierowcy mają wynikające z brawury skłonności samobójcze.

Robert pobladł. Henry uśmiechnął się do niego, jakby chłopak był szczeniakiem próbującym zaatakować dorosłego potężnego mastifa.

– Dziękujemy, Robercie, ale musimy odmówić. Wysyłanie przedstawicieli wchodzi w grę wyłącznie w wypadku członków Ligi, a nie jej potencjalnych członków.

Robert kiwnął głową i wycofał się w róg.

– Muszę was zostawić i zająć się kilkoma sprawami

– powiedziała babcia. – Za pół godziny powinniście być gotowi do wyjścia.

– Dobrze, babciu – chórem odpowiedzieli Fiona i Eliot.

Dziewczyna była zirytowana. Znowu pokornie wypełniali rozkazy. Wpatrywała się w wychodzącą z pokoju babcie ze złością.

– Moglibyśmy konać, a ona i tak by nam nie pomogła – rzuciła. – Zresztą tak samo jak każde z was.

– Są pewne zasady, moja droga – odrzekł wujek, spoglądając na Lucię. – I wszyscy musimy według nich postępować.

Lucia westchnęła głęboko.

– Dobrze, podwieź ich w pobliże bazy – powiedziała do Roberta, nie patrząc na niego. – Ale to wszystko, co możemy zrobić.

Fiona mogła zrozumieć Lucię i wujka Henry'ego... do pewnego stopnia. Za pomocą swoich tradycyjnych brutalnych metod Rada chciała się dowiedzieć czegoś o bliźniętach. Ale dlaczego babcia była taka zimna i bezwzględna?

– Nienawidzę jej – oznajmiła Fiona.

Cee przysiadła na łóżku koło prawnuczki.

– Kochanie, nie możesz tak mówić.

– Kiedy to prawda.

Usta Cee drżały, kiedy szepnęła:

– Inni też poświęcali się, robili okropne rzeczy. Nie tylko ty zostałeś zmuszona do tego, żeby wyciąć kawałek siebie. – Oczy Cecilii zaszyły łzami. – Być może nigdy nie zrozumiesz do końca babci, ale powinnaś wierzyć, że robi wszystko z myślą o waszym dobru. Zawsze tak było.

Fiona kiwnęła głową. Już nigdy jej nie zaufa. Nie będzie w stanie. Nie po piętnastu latach kłamstw. Woląla jednak uniknąć kłótni z kochaną Cee. Poza tym musiała przemyśleć to, czego się właśnie dowiedziała: babcia też się kiedyś okaleczyła. Co sobie odcięła? Poczucie humoru? Zdolność do współczucia?

– Powinien im pan opowiedzieć o tamtych – odezwał się Robert do wujka Henry'ego. – Są blisko. Eliot rozmawiał z jednym z nich, kiedy po niego przyjechałem.

Lucia zrobiła krok w stronę Roberta.

– Lepiej przyprowadź samochód, kierowco, póki jeszcze możesz to zrobić.

Robert przełknął ślinę i potulnie wyszeptał:

– Tak, proszę pani.

Rzucił Fionie niepewne spojrzenie i szybko wyszedł z pokoju.

– O jakich tamtych? – zapytała Fiona. – O drugiej rodzinie?

Oczy cioci Lucii otwarły się szeroko.

– Z kim rozmawiałeś? – tym razem Fiona zwróciła się do Eliota.

Twarz chłopaka przybrała zacięty wyraz.

– Z Louisem. Wydaje mi się, że Robert ma rację. Louis jest chyba z tamtej rodziny.

Fiona roześmiała się, choć bolał ją od tego brzuch.

– Niemożliwe. Bezdomny, brudny, szalony i kradnący pizzę Louis?

– Cicho, dziecko – wujek Henry pokręcił głową.

– Nawet jeśli to jest prawda, nie mówi się w ten sposób o własnym ojcu.

PIASEK I MGŁA

Eliot, Fiona i wujek Henry siedzieli na tylnym siedzeniu prowadzonej przez Roberta limuzyny. Przejechali wzdłuż wybrzeża Kalifornii i teraz podążali przez pustynię Mojave.

Eliot chciał zapytać wujka o Louisa jeszcze w szpitalu, ale ciocia Lucia odezwała się pierwsza, zasypując Henry'ego potokiem włoskich słów. Chłopak nie znał tego języka, co nie przeszkodziło mu jednak się domyślić, że na razie nie ma co liczyć na dalsze informacje o tamtej rodzinie. Typowe.

Kolejny raz ukrywali przed nimi to, co najważniejsze. Tak jakby wiedza o ojcu i jego rodzinie mogła teraz w jakikolwiek sposób zaszkodzić Fionie i Eliotowi. Teraz, kiedy właśnie mieli po raz trzeci w ciągu tego tygodnia stawić czoło śmiertelnemu zagrożeniu.

Gapił się przez okno. W oddali migały światła Las Vegas, które wyglądało jak wesołe miasteczko. Ta myśl sprawiła, że po jego plecach przebiegł dreszcz. Ledwo minął dzień od ich uwięzienia na płonącym złomowisku, uratowania Amandy Lane i zabicia Millhouse'a. Czy to naprawdę wydarzyło się tak niedawno, poprzedniej nocy? Czuł, że jest teraz zupełnie kimś innym.

Potężne wibrowanie karmionych paliwem cylindrów maybacha zmieniło się w łagodne drżenie.

– Zwolnimy nieco, proszę pana – oznajmił Robert.

– Zbliżamy się do bazy. Nie jestem pewien, co ich radar może wykryć.

– Słusznie – odpowiedział wujek Henry. Przez chwilę wydawał się lekko zagubiony, aż wreszcie zapytał:

– O czym mówiłem?

– Opowiadałeś o zabezpieczeniach wokół bazy – przypomniała mu Fiona. Siedziała wyprostowana, choć zwykle się garbiła. Była blada i wyglądała na osłabioną, ale z jej twarzy biła determinacja.

– Zacznę od początku. – Wujek Henry zakręcił trzymaną w rękę elegancką szklanką. Kostki lodu uderzyły o ścianki. Ostro zapach tajemniczego alkoholu sprawił, że Eliot się skrzywił. – Przede wszystkim teren wokół bazy jest regularnie patrolowany przez wyposażonych w noktowizory strażników. Trzeba będzie też ominąć komputerowo sterowane czujniki wykrywające ruch i ciepło. Monitorują one całą okolicę, wykorzystując teleskopowe obrazy. Nie można dopuścić do tego, żeby wywołały alarm, ale będzie to bardzo trudne.

Eliot zastanawiał się, czy Henry miał już bezpośrednio do czynienia z tymi zabezpieczeniami. Wyjątkowo dużo o nich wiedział.

– Jeśli zostaniecie wykryci – ciągnął wujek – wojskowi z bazy odpowiedzą uderzeniem na masową skalę, wysyłając pojazdy terenowe, a nawet, jeśli zostanie to uznane za konieczne, helikoptery zwiadowcze.

– Nie moglibyśmy się ukryć w jakiejś ciężarówce?

– zasugerował Eliot.

Wujek Henry spojrzał na niego z poażowaniem.

– Każdy wjeżdżający na teren bazy pojazd jest ważony. A na granicach dokładniej strzeżonych obszarów

używa się również urządzeń prześwietlających. Mają też szkolone psy, które oszukać jest jeszcze trudniej niż maszyny.

– Założmy, że jakimś cudem dostaniemy się na teren bazy – powiedziała Fiona. – Co nas tam czeka?

Wujek Henry od niechcienia machnął ręką.

– Wysokie ogrodzenia, zaminowane przejścia, kamery rejestrujące każdy ruch i oczywiście świetnie zorganizowany zespół bojowy, którego zadaniem jest pozbycie się potencjalnych intruzów. Ci ludzie będą uzbrojeni po zęby i nie zawahają się strzelać tak, by zabić.

Eliot poczuł chwilowy przyptyw paniki, ale szybko się uspokoił. Zdawał sobie dobrze sprawę ze śmiertelnego zagrożenia, ale z jakiegoś powodu już nie wywoływało to w nim paraliżującego lęku. W jego duszy grały teraz brawura i gotowość na ryzyko, które jeszcze kilka dni temu pojawiały się wyłącznie w jego fantazjach.

– Gdzie są jabłka? – zapytał.

– Ależ jestem roztrzępany. Oczywiście, ten drobiazg jest najważniejszy. – Wujek Henry zerknął na swój drink i odstawił go na bok. – W budynku 211, który wygląda na zwykły biurowiec, ale tak naprawdę jest zamaskowanym skarbcem. – Sięgnął do kieszeni i rozwinął wyciągniętą z niej fotokopię. Widniało na niej coś przypominającego jajo Faberge wyposażone w delikatną niczym biżuteria elektronikę i ze znakami w piśmie klinowym. – Pojemnik umieszczony niegdyś na orbicie – wyjaśnił.

Fiona wskazała palcem twardą zewnętrzną powłokę.

– Z czego jest zrobiony?

– Z ceramicznego stopu odpornego na promień

lasera, wybuch bomby czy dowolne ostrze wyprodukowane przez człowieka.

– Czy dam radę go przeciąć?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Będziesz musiała spróbować. Pojemnik jest zbyt ciężki, żebyście zdołali go we dwoje unieść.

– Zostało pięć minut! – zawołał z przedniego siedzenia Robert.

Światła Las Vegas dawno zniknęły. Jechali teraz pełną drogą. Reflektory limuzyny wyławiały z ciemności łodygi bylicy i chmury pyłu.

– **Tyle** wiadomości o bazie powinno nam wystarczyć – powiedział Eliot. – Chciałbym jednak dowiedzieć się więcej o naszym ojcu.

Wujek Henry wyjął chusteczkę i przetarł nią kąciuki ust.

– Cóż, wyrwało mi się jedno zdanie. Nie powinienem wam nic o tym mówić. Tak naprawdę tę rozmowę musicie przeprowadzić z babcią.

– A gdzie ona jest? – zapytała Fiona.

– Zajmuje się kilkoma sprawami – odrzekł Henry.

– Śledzili was źli ludzie, nie mogliśmy im na to pozwolić.

– To nie są źli ludzie – powiedział Eliot ze złością.

– Nie traktujcie nas jak małe dzieci. Wiemy, że chodzi o drugą rodzinę. Chcę, żebyś opowiedział nam więcej o Louisie Piperze.

Wujek Henry wyrzwał przez okno.

– Pewnie już o tym wiecie – zaczął cicho. – Louis poznał waszą matkę podczas karnawału w Wenecji. Opowiadałem wam o karnawale? Noszą tam takie maski

i...

– Opowiadałeś – przerwał Eliot. – Przestań unikać najważniejszego tematu. Wszyscy przekonywali nas, że nasz ojciec nie żyje, a teraz okazuje się, że jest nim jakiś bezdomny. Jak to się stało?

Henry gwałtownie przesunął się do tyłu na siedzeniu, aż skóra obicia zaskrzypiała.

– Eliot, drogi chłopcze – wyszeptał. – Wiesz, co zrobiłyby ze mną twoja babcia i ciocia Lucia, gdybym wam o tym opowiedział?

Rodzeństwo zgodnie wpatrywało się w niego. Wujek Henry zamrugął, a potem z głębokim westchnięciem powiedział:

– No dobrze, życie jest zbyt krótkie, żeby ukrywać takie tajemnice. – Pochylił się do przodu. – Wasza matka czuła, że Louis jest dla was zagrożeniem, ale wciąż go kochała i nie potrafiła tak po prostu go zabić. Idiotyczne, moim zdaniem. – Dopił swój drink. – Tak więc po prostu odebrała mu moc i zesłała w niższej postaci do świata śmiertelnych.

– Dlaczego nikt nam nie zaoferował takiej możliwości? – zapytała Fiona. – Wolalabym być normalna niż martwa.

Słowa siostry sprawiły, że Eliot poczuł ściśnięcie w żołądku. Kochał muzykę. Czy miał jednak do niej naturalny talent, czy ta zdolność miała pochodzenie nadprzyrodzone? Czy warto było dla niej ryzykować życie?

– Przykro mi – powiedział wujek Henry z niezwykle poważną jak na siebie miną – ale tylko wasza matka umiała wykonać taką sztuczkę. Nigdy nie podzieliła

się tą umiejętnością z Ligą ani z nikim innym.

– A więc Louis jest teraz zwykłym człowiekiem?

– zapytała Fiona.

– Człowiekiem tak, ale na pewno nie zwykłym.

Wciąż dysponuje wiedzą wielu pokoleń i jest blisko związany z tamtą rodziną, co czyni go niebezpiecznym. Lepiej, żebyście go unikali. A już z całą pewnością nie ufajcie jego słowom.

– Bo nie zależy mu na naszym życiu? – odgryzł się Eliot. – I mógłby posłać nas w niemal samobójczą misję, żeby sprawdzić, do której rodziny należymy?

Wujek Henry opuścił wzrok. Wyglądał na zranionego.

– Czy nie złamałem wszystkich możliwych zasad, żeby wam pomóc?

Eliot poczuł, że złość powoli z niego uchodzi. Już miał zamiar powiedzieć, że jest mu przykro, że kiedykolwiek zwątpił w dobre intencje wujka, ale zmienił zdanie i milczał. Przypomniawszy sobie radę Louisa, że nie powinien bez przerwy przeproszać. Zresztą czy wujkowi naprawdę zależało na nim i Fionie, czy tylko próbował ich wykorzystać?

Robert wyłączył reflektory, zwolnił i zatrzymał limuzynę na poboczu.

– To tutaj – oznajmił. – Najkrótsza droga do Strefy 51 prowadzi na południowy zachód. Jakies dziesięć kilometrów. Przykro mi, ale bliżej już się nie da podjechać.

Wysiadł z samochodu i otworzył drzwi po stronie Fiony. Rodzeństwo wyszło na zewnątrz. Było zimno. Wujek Henry wręczył im ciepłe kurtki.

– Dzięki – powiedział Eliot, wkładając swoją.

Fiona objęła Roberta.

– Dziękuję za wszystko – wyszeptała mu do ucha.

– Jeśli już cię nigdy nie zobaczę... to... Chciałam tylko powiedzieć, że...

Ich czoła się dotknęły. Robert coś odpowiedział. Eliot nie usłyszał jego słów, ale widział, że Fiona pokręciła głową. Zmieszany, odwrócił głowę. Czuł się niezręcznie, patrząc, jak jego siostra klei się do kierowcy, lecz rozumiał ją. Gdyby była tu Julie, zachowywałby się dokładnie tak samo. Spojrzał na południowy horyzont. Miał nadzieję, że Julie bezpiecznie dotarła do Los Angeles.

– Zbierajcie się – rzucił wujek Henry. – I pamiętajcie o waszych poprzednich sukcesach. Wiem, że macie szansę.

Eliot potaknął. Zarzucił plecak na plecy, upewniając się, że Jutrzenka jest w nim bezpieczna i że zapakował latarkę.

Fiona oderwała się od Roberta i pomaszerowała na pustynię. Jej brat zawahał się i spojrzał ostatni raz na wujka Henry'ego i jego kierowcę, który trzymał oba kciuki uniesione, a potem ruszył za nią.

– Hej! – krzyknął półgłosem. – Zaczekaj.

Fiona, zamiast zwolnić, zaczęła iść jeszcze szybciej i po chwili dotarła do twardego dna wyschniętego jeziora.

– Nie musiałabym czekać, gdybyś nie był taki

Partula turgida.

Eliot pamiętał tę nazwę. ***Partula turgida*** – ładnie ubarwiony, ale wyjątkowo powolny gatunek ślimaka, który wyginał kilkanaście lat temu... Czyżby dlatego, że

był taki ślamazarny? Zaczepkę Fiony można było różnie interpretować, ale on nie miał siły na myślenie nad ciętą ripostą. Zamiast tego zapytał siostrę o to, czym się naprawdę martwił:

– Jak się czujesz?

Szła w milczeniu przez kilka chwil, aż wreszcie odpowiedziała:

– Chyba dobrze. Choć trochę dziwnie. Tłudno to wytłumaczyć, po prostu jestem wkurzona.

– Na kogo?

– Nie wiem. – Westchnęła. – Na wszystkich. Na babcię – za to, że jej na nas nie zależy, a przynajmniej tego nie okazuje. Na Henry'ego, Lucię i całą Radę za to, że przez nich tu wylądowaliśmy. I jest jeszcze Louis... Nie wiem, czy powinno mi być go żal, czy mam być wściekła, że nigdy nie powiedział nam, kim naprawdę jest.

Coś poruszyło się w zaroślach. Eliot sięgnął po latarkę i włączył ją. Zając przeskoczył nad krzakiem i zniknął w ciemnościach. Chłopak odetchnął i wyłączył latarkę, mając nadzieję, że nikt ich nie zauważył.

– Myślisz, że Louis cały czas siedział w tej alejce tylko po to, żeby mieć nas na oku? – zapytała Fiona.

– Czy to nie dziwaczne?

– Wydaje mi się, że mu na nas zależy. I nie ma w tym nic dziwnego.

Chciał jej powiedzieć, jak bardzo Louis, którego spotkał wcześniej tego wieczoru, różnił się od znanego jej włóczęgi, ile było w nim siły, ale nie wiedział, od czego zacząć. A poza tym, czy nie powinien zachować tamtej rozmowy w tajemnicy?

– Jeśli jest jednym z upadłych aniołów, mogę się

założyć, że to Lucyfer – dodał. – Znalazłem to imię, razem z innymi, w *Mythica improbiba*.

– Louis Piper – szepnęła Fiona – Lucyfer. Nawet pasuje.

– To imię jednego z władców trzynastu piekielnych klanów. *Mythica* wymienia też inne: Lewiatan, Asmodeusz, Belzebub, Mefistofeles. To mogą być nasi kuzyni.

– Dziwne uczucie. Czy... – Usta Fiony poruszały się przez chwilę, nie wydając żadnego dźwięku. Wreszcie stwierdziła: – To głupie.

– Co?

– Czy czujesz się jak jakiś bóg? Albo anioł?

Szli w milczeniu. Eliot zastanawiał się nad pytaniem siostry.

Blask księżyca uczynił z pustyni blady, srebrzysty pejzaż. Dookoła panował idealny spokój. Zabawne, że niedaleko przed nimi znajdowała się pełna tajemnic baza wojskowa. W podobny sposób Eliot myślał o swoim życiu: kilka dni temu wydawało się takie zwyczajne, a teraz okazało się, że jest pełne przeszkód, pól minowych i strażników, których musiał unikać.

Co by się stało, gdyby wujek Henry ich nigdy nie znalazł? Czy razem z Fioną dalej mieszkaliby u babci, uczyli się w domu i pracowali po kilka godzin dziennie w restauracji? Co wydarzyłoby się potem?

– Nie – odpowiedział w końcu. – Nie czuję się nikim specjalnym.

– A więc wciąż jesteś zwykłym, zupełnie niezmiennym Eliotem Postem?

– Do zwykłego trochę mi brakuje – westchnął.

– Normalne życie znam tylko z książek, ale to tylko teoria. Nie mam żadnych przyjaciół. Wystarczyłoby mi, gdybym mógł chodzić do szkoły i doświadczać tego, co wszyscy inni w naszym wieku.

Tej nocy taka perspektywa wydawała się astronomicznie odległa. Sytuacja, w której się znaleźli, miała tyle wspólnego z normalnością, że Eliot równie dobrze mógłby sobie wyobrazić, że razem z Fioną spacerują teraz po powierzchni Księżyca.

– A ty? – zapytał.

– Nie wiem, jak mam się czuć, skoro wszystko, co mi opowiadano, okazało się kłamstwem. Czy babcia naprawdę jest naszą babcią, a Henry . naszym wujkiem? Nasz ojciec podobno jednak żyje, a w dodatku jest wcieleniem zła. Czy to możliwe, że nasza matka też nie umarła? Czy ja w ogóle jestem tą osobą, za którą się uważałam?

– Myślisz, że możemy nie być rodzeństwem?

– Nie, tył[^]szczęścia to nie mam – wymruczała pod nosem. Nagle zatrzymała się. – Ciii. Słyszysz?

Eliot wyteżył słuch. Gdzieś po prawej stronie po dnie jeziora jechał jakiś samochód. I to duży. Kolejny dało się słyszeć z lewej, a dwa następne na wprost przed nimi.

– Nie sądzę, żeby to były standardowe patrole, o których wspomniał wujek – szepnęła Fiona. – Jest ich za dużo i otaczają nas. To nie może być przypadek.

– Uciekamy?

– Nie. Zagraj coś.

Eliot odsunął się od siostry.

– Jak to? Co miałbym zagrać?

– Nie wiem... Udało ci się spowodować, że miliony

szczurów zaprowadziły nas do Souhka. Nie możesz zatrzymać w miejscu kilku jeepów? Albo jakoś nas ukryć?

Eliot potarł dłonie, zastanawiając się. Gdy ostatnio wyjął skrzypce, muzyka chciała przejąć nad nim kontrolę, a to go nieco niepokoiło.

– Może coś mam... – szepnął. – Coś, czego się dopiero nauczyłem. Ale nie wiem, czy dam radę.

Fiona ścisnęła go mocno za ramię.

– Lepiej zdecyduj się szybko, mała *Partula turgida*.

Jej sarkazm był jak ukłucie żądłem – sugerowała, że jeśli zostaną schwytani, będzie to z winy Eliota. Miał ochotę się odegrać, mówiąc, że zawsze może po prostu przeciąć wszystkie pojazdy na pół, jeśli podjadą zbyt blisko. Wiedział jednak, że miała rację. Czas Fiony nadejdzie, kiedy dotrą do bazy. Tam jej umiejętności pozwolą im dostać się do skarbcza i przeciąć powłokę pojemnika. Tłitaj wszystko zależało od niego.

Był na siebie zły, powinien o tym pomyśleć, kiedy szli przez pustynię, zamiast zastanawiać się nad rodziną.

Wyciągnął Jutrzenkę i oparł ją na ramieniu. Struny drżały w oczekiwaniu.

– Stań za mną – nakazał siostrze. – Blisko, ale tak, żebyś nie wchodziła mi w drogę.

Przyłożył smyczek do strun i zagrał.

Nie miał czasu, by rozpoczynać od dziecięcej rymowanki. Dźwięk silników był coraz wyraźniejszy. Ominął *Wrzawę śmiertelnych* i przeskoczył od razu w sam środek symfonii, której nuty zobaczył w alejce Louisa – do części, w której muzyka stawała się coraz bardziej pokręcona i skomplikowana.

Grał coraz szybciej, jego palce przesuwaly się po rozedrganych strunach z taką zwinnością, że stały się niewyraźnymi plamami. Kierował nim instynkt. Czuł nuty w sobie, pojawiały się w jego głowie tak samo, jak wcześniej ukazywały się na chodniku. Muzyka – niczym dzikie zwierzę – wymykała się spod jego kontroli.

Powietrzem wokół zaczęły szarpać podmuchy wiatru. Piasek uderzał go w twarz, a chmury zasłoniły księżyc. Czuł zapach oceanu i wodorostów, słyszał w ciemności głosy, których nie wydawały ludzkie gardła. W jego umyśle rozbrzmiewał śpiew:

Mkną przez życie za marzeniem.

Chore żłudy świata czują.

Sens umyka, nie powraca.

Przekłęci bez końca wędrują.

Wibracje skrzypiec nakładały się na siebie, a echa zawisły w gęstniejącym powietrzu. Brzmiało to tak, jakby Eliotowi akompaniował cały rząd grających z szaloną energią instrumentów.

Zobaczył w myślach kolejny, jeszcze bardziej skomplikowany fragment symfonii. Wymagane układy palców rozciągały się do niemożliwych długości.

Melodia stawała się coraz mroczniejsza, wplatały się w nią cienie i ból tak silny, że chłopak nie mógł jej dalej grać. Dźwięki zaczęły go przerażać. Tyle musiało wystarczyć.

Przerwał... a raczej próbował przerwać. Muzyka zyskała własną osobowość i przejęła nad nim władzę. Grał dalej, a niższe nuty w molowej tonacji same prowadziły jego palce.

Nie tak miało być. To on tworzy muzykę. Nie instrument.

Walczył o kontrolę, próbując usztywnić palce, docisnąć je mocno do gryfu, tak by przestały się poruszać.

Jutrzenka wygięła się. Eliot poczuł, że w drewnie pojawiają się miniaturowe pęknięcia. Naciskał jednak coraz mocniej. Musiał odzyskać władzę...

Jedna ze strun pękła i skaleczyła go w palec. Natychmiast opuścił skrzypce. Zaczął ssać ranę, chcąc powstrzymać upływ krwi.

Fiona przysunęła się bliżej i szepnęła:

– Co ty zrobiłeś?

W powietrzu wokół nich kłębiła się mgła i błyszczący w świetle księżycy piasek. To nie była chmura. Kolejne warstwy tumanu nakładały się na siebie.

Kiedy Eliot przechylił głowę i zobaczył prowadzące przez mgłę korytarze... Takie same jak w lustrzanym labiryncie. Tyle że ściany tych falowały, otwierały się i znów zamykały węzowymi ruchami.

– W tej symfonii pojawiły się słowa – odpowiedział cicho siostrze. – Mówiły o wędrowce bez końca... Może właśnie przez coś takiego. Tak mi się wydaje.

– Cudownie – wysyczała. – Prosiłam o coś, w czym moglibyśmy się schować, a nie utknąć i się zgubić.

W otaczającej ich bezdźwięcznej burzy pojawiły się światła: niewyraźne plamy kolorów. Niektóre poruszały się w ich kierunku. Słyszeli też nawołujących się mężczyzn, najwyraźniej zagubionych we mgle.

– Są blisko – szepnęła Fiona – ale chyba nas nie widzą.

Eliot zmrużył oczy. Wydawało mu się, że widzi

czyjaś sylwetkę, ale po chwili jej kształt zmienił się w szkielet. Wyszczierzona czaszka wpatrywała się w chłopaka⁶². Mrugnął, ale obraz nie zniknął, jak się tego spodziewał. Zamiast tego we mgle pojawiły się kolejne dziwne kształty: pazury, oczy oraz duży poruszający się zarys, który mógł być cieniem olbrzymiego dinozaura.

Eliot bał się. Więcej, był przerażony, ale jakoś zmusił się do racjonalnej oceny sytuacji.

Wizje składały się tylko z pary i pyłu. Nie miał wątpliwości, że z łatwością mogliby przejść przez ten mgielny labirynt. Ale był też pewien, że słyszał dobiegające z oddali krzyki. Prawdziwe krzyki.

Przejechał paznokciem wzdłuż pozostałych strun Jutrzenki, które wydały z siebie skrzeczący dźwięk. Na wprost przed nimi otworzył się wąski korytarz. Mgła po jego obu stronach zdawała się niemal gotować.

– Tędy – powiedział i ruszył pierwszy.

Tak jak w labiryncie w wesołym miasteczku starał się cały czas patrzeć pod nogi, podnosząc wzrok tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne. Fiona szła tuż za nim.

Wkrótce znaleźli się na niewielkim, ale wolnym od oparów wzgórzu. Za nimi rozciągało się falujące w księżycowym świetle morze z mgieł, z którego głębi docierały migające światła i odgłosy strzałów.

– Co tam się dzieje? – zapytała Fiona. – Wydawało mi się, że dostrzegłam jakieś... stwory.

Eliot dawno nie widział siostry tak przerażonej jak

⁶² „Sprowadź trzykroć przekłete morze mgieł. Stań na piaskach, fiordach albo dziewiczym pastwisku. Zła skaza nadejdzie. Zaginione duchy odnajdą tylko zemstę” - źródło: *Akt skruchy Różanej Wiedźmy*, ojciec Sildas Pobożny, *op.cit.*

teraz.

– Nie wiem – przyznał. – Coś próbowało przejąć kontrolę nad moją muzyką. Walczyłem z tym, ale zanim... zanim wygrałem, sprowadziłem tutaj to wszystko.

Miał nadzieję, że chodziło o jakąś sztuczkę opartą na złudzeniach optycznych, że wywołana przez niego mgła nie rani ludzi, którzy się w niej znaleźli. Nie chciał jednak tam wracać, żeby się o tym przekonać.

Fiona zagryzła wargi.

– Trudno, stało się... Ale może już więcej tego nie rób. Jak twój palec?

Skaleczenie było głębokie, ale już nie krwawiło. Za to mocno bolało.

– Przeżyję.

Przed sobą widzieli już ogrodzenie bazy lotniczej. Wzdłuż podwójnej siatki kończącej się u góry drutem kolczastym stały groźnie wyglądające wieże strażnicze. Dalej znajdowały się budynki i hangary. Jeepy i transportery humvee wyjeżdżały z dużą prędkością przez główną bramę, ale żaden nie kierował się w stronę wzgórza, na którym stali.

– Myślę, że stąd mogę już nas poprowadzić – powiedziała Fiona. – Przecięcie siatki będzie łatwe, ale może uruchomić alarm. – Zerknęła z powrotem na unoszącą się za nimi mgłę. – Nie ma jednak co z tym czekać. Powinniśmy wykorzystać zamieszanie.

Na niebie, dokładnie nad ich głowami pojawiła się jaśniejsza kula przypominająca nieduże słońce. Wokół zerwał się gwałtowny wiatr i obsypał ich piaskiem. Eliot spojrział w górę, osłaniając oczy przed światłem potężnego halogenowego reflektora.

Źródłem blasku był wiszący bezgłośnie w powietrzu ciemny helikopter. Wysypywały się z niego sylwetki mężczyzn wyglądających jak drobne pająki wiszące na jedwabnych sznurkach.

– Nie ruszać się! – z głośników dotarł do nich potężny głos. – Inaczej otworzymy ogień! Na kolana. I ręce na głowę.

PIERWSZY MORALNY DYLEMAT ELIOTA POSTA

Eliot czuł się okropnie. Nie zdali trzeciego testu. Fiona wkrótce umrze, on zresztą pewnie też zaraz po tym, jak wpadnie w ręce Rady. Trudno sobie wyobrazić, żeby mogło im pójść gorzej.

Siedział w małym pokoju o zielonych ścianach. Prawą rękę przykuto mu kajdankami do metalowego stołu. Naprzeciwko wisiało duże lustro. Miejsce koło niego zajął wojskowy lekarz, który przedstawił się jako Miller. Miał włosy koloru piasku i zmarszczki w kącikach oczu.

– Całe szczęście, że w porę mogłem się tym zająć – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Widzisz tę czerwoną linię zaczynającą się przy twoim palcu? Masz już niezłe zakażenie.

To nie mogło być zakażenie, a przynajmniej Eliot nigdy nie słyszał o zakażeniu, które rozszerzałoby się w takim tempie.

– Faktycznie, szczęściarz ze mnie – stwierdził, nie ukrywając sarkazmu.

Komandosi z policji wojskowej schwytali go, związali, założyli mu na głowę kaptur i rozdzielili z Fioną.

Zanim przywieźli go tutaj, zdążyli jeszcze go obfotografować i zdjąć mu odciski palców.

Kiedy czekał w celi, aż ktoś po niego przyjdzie, jego palec i ręka nagle spuchły. Po chwili pojawiła się na nich czerwona kreska, szybko postępująca w górę wzdłuż

żyły odpromieniowej na ramieniu. Eliot był na siebie wściekły. Po skaleczeniu odruchowo wsadził palec do ust i pewnie tak się zaczęła ta dziwna infekcja.

Natychmiast zaprowadzono go do tego pokoju, a chwilę później przyszedł tu doktor Miller. Wyczyścił ranę, pobrał chłopakowi krew, wstrzyknął antybiotyki i leki zapobiegające tężcowi. Nic jednak nie pomagało – czerwona linia stale się wydłużała i sięgała już prawie łokcia.

Eliot przeczytał *Praktyczny podręcznik chirurgii i pierwszej pomocy* Marcellusa Mastersa od deski do deski, więc zdawał sobie sprawę, że poważne zakażenie może zagrozić życiu, ale wiedział też, że zwykle jego objawy są zupełnie inne.

– Czy myśli pan, że to sepsa? – zapytał lekarza. Ten spojrzał na niego, a jedna z jego brwi wyraźnie zadrżała.

– Nie – uśmiechnął się. – Nie masz gorączki. Zerknął znów na ramię Eliota i uśmiech zniknął z jego ust.

– A więc bakteremia? Albo zapalenie tkanki łącznej?

– dopytywał się chłopak.

Miller pokręcił głową, zamrugnął i spojrzał ze zdziwieniem na Eliota. Nie pierwszy raz chłopak zaskakiwał jakiegoś dorosłego znajomością fachowych terminów.

– Zabierzemy cię do znajdującego się na terenie bazy szpitala. Pojedziesz tam razem z młodą damą, z którą cię znaleźliśmy.

A więc Fiona też miała iść do szpitala. Czy znowu była chora?

Zamek szczęknął, drzwi się otwprzyły i do środka

wszedł kolejny mężczyzna. Na przymocowanej do jego munduru naszywce widniało nazwisko Freeman.

Wyglądał na wściekłego, jego napięte rysy podkreślały małe, świdrujące czarne oczy. Mógłby konkurować z babcią, jeśli chodzi o intensywność spojrzenia. Dwie kreski na naramiennikach wskazywały, że miał stopień kapitana.

Położył na stole plastikową torbę z dużym napisem: „Materiał dowodowy”. W środku był plecak Eliota, latarka oraz owinięte folią bąbelkową skrzypce i smyczek.

Chłopak odruchowo chciał dotknąć Jutrzenki, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Co z nim? – zapytał Freeman Millera.

– Wszystko pod kontrolą. Chcę jednak na wszelki wypadek zabrać obydwójce do szpitala. – Miller lekko skinął głową.

– A dziewczyna?

– Test na toksyny dał wynik negatywny. Nie możemy jednak ustabilizować ciśnienia krwi. Karetka jest już w drodze, ale kilka razy musiała się zatrzymać. Dużo się dzieje tej nocy.

Freeman chrząknął i wreszcie spojrzał na Eliota, jakby dopiero go zauważył.

– Gapisz się na mnie, młody człowieku. Czyżbym wyglądał zabawnie?

– Nie, proszę pana.

Eliot już miał odwrócić wzrok, gdy zorientował się, że Freemanowi chodziło właśnie o to. Odbывała się tu mentalna walka i jeśli Eliot zacząłby się wpatrywać w podłogę, przyznałby tym samym, że Freeman ma nad nim władzę. Wciąż więc patrzył na oficera i swobodnie

rozsiadł się na krześle, starając się naśladować, najlepiej jak umiał, Roberta Farmingtona.

Freeman wydał wargi.

– Możesz udawać twardziela, nie ma sprawy. Nie potrzebujemy cię. Dziewczyna wszystko już powiedziała.

Pozór wyluzowania błyskawicznie opuścił Eliota. Wyprostował się.

– Po wypisaniu ze szpitala – ciągnął Freeman – czeka was długa podróż autobusem do obozu Nellis, federalnej placówki więziennej.

Chłopak stracił resztki opanowania. Otworzył usta, żeby powiedzieć, że nie chcieli z Fioną nikomu zaszkodzić, że potrzebowali tylko jednego przedmiotu... lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Freeman chciał po prostu wyciągnąć z niego zeznania.

– Moja siostra nigdy by panu nic nie powiedziała – oznajmił. – A poza tym piętnastolatków nie można wsadzić do więzienia federalnego.

Freeman zapisał w notesie: „Siostra, piętnaście lat”.

– Może ci się wydawać, że to żarty – warknął oficer – ale mieliście szczęście, że w ogóle przeżyliście tę noc. Oprócz tego, że mógł was ktoś zastrzelić, kiedy bez pozwolenia znaleźliście się na ściśle strzeżonym terenie, przeszliście przez obszar, na którym testuje się rakiety i gdzie składowane jest zużyte paliwo... Dokładnie przez środek wielkiej chmury toksycznych oparów.

Kłamał. Eliot nie miał żadnych wątpliwości, choć nie wiedział, skąd pochodzi ta pewność. Ryzyko postrzału – owszem, mogło być autentyczne. Ale testy rakietowe? Coś tu się ewidentnie nie zgadzało. Po pierwsze, to Eliot stworzył mgłę swoją muzyką. A po drugie, coś w głosie

Freemana zabrzmiało fałszywie, kiedy o tym opowiadał. Lecz po co miałby mówić nieprawdę? Może nie umiał wyjaśnić nagłego pojawienia się letnią nocą chmury na środku pustyni? I co w tej mgle było tak ważnego, że zdecydował się kłamać⁶³?

Eliot przypomniał sobie krzyczących w ciemnościach mężczyzn i wszystkie dziwaczne rzeczy, które widział: pazury, szkielety, olbrzymie cienie.

– Czy ktoś został ranny?

– Tak. – Spojrzenie Freemana stało się jeszcze bardziej intensywne. – Straciłem dwóch ludzi. Nie znaleźliby się w tamtym miejscu, gdyby nie musieli was szukać.

To faktycznie była wina Eliota, ale w inny sposób, niż myślał Freeman. Chłopak próbował przełknąć ślinę, lecz zaschło mu w gardle. „Straciłem dwóch ludzi”. Czy to znaczyło, że zginęli? To był wypadek. Jak mógł przewidzieć, jaki efekt wywoła jego muzyka?

Wiedział jednak, że będzie groźna, choć koncentrował się jedynie na niebezpieczeństwach

⁶³ Tamtego letniego popołudnia na poligonie sil powietrznych w Nellis podczas testów raketowych zdarzył się rzekomo wyciek toksycznych odpadów paliwowych. Uważano, że uwolnione opary szybko się rozproszą, ale lokalna inwersja ciśnienia sprawiła, że dość długo pozostały przy gruncie w dużym zagęszczeniu. Kiedy wieczorem wojskowe patrole przeszły przypadkowo przez powstałą chmurę, żołnierze zaczęli mieć halucynacje, a podobno nawet strzelać do siebie nawzajem. Gdy opary przesunęły się ponad trzecim oddziałem centrum testów lotniczych, kilkunastu członków tamtejszego personelu trzeba było umieścić w szpitalu. Pięciu z nich ostatecznie zmarło. Przed świtem chmura dotarła do pobliskiego miasteczka Rachel. Mieszkańcy opowiadali później o martwych wstających z grobów i spacerujących po ulicach oraz o kosmitach, którzy uciekli ze Strefy 51 (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XI, *Mitologia rodziny Postów*, *op.cit.*).

grożących jemu i Fionie. Nie zastanawiał się nad wpływem muzyki na znajdujących się wokół nich ludzi.

– Przetransportuj ich – rzucił Freeman do lekarza.

– Kiedy tylko stan chłopaka się ustabilizuje, wznowimy przesłuchanie. – Potem zapytał Eliota: – Chcesz zadzwonić do rodziców?

Chłopak pokręcił głową.

– Tak myślałem – wymruczał pod nosem Freeman.

– I tak ich szybko znajdziemy.

Dwa lata temu podczas policyjnej akcji w lokalnym supermarkecie Eliotowi i Fionie wyrobiono identyfikatory zawierające ich zdjęcia i odciski palców. Miały się przydać na wypadek, gdyby ich porwano. Teraz pewnie pozwolą Freemanowi ustalić ich tożsamość i skontaktować się z babcią. Prawie się roześmiał. Jakie to miało znaczenie? Myślał jak dawny Eliot Post, martwił się, że wpadnie w kłopoty, podczas gdy... Fiona była umierająca.

Teraz już nie mieli żadnych szans, żeby dostać się do złotych jabłek.

Nagle jego wzrok padł na Jutrzenkę. A może jednak?

Skrzypce owinięto w kilka warstw plastiku, ale Eliot wciąż widział wryte na nich misterne wzory, które błyszcząły, jakby otaczały je płomienie. Dostrzegł zwoje pękniętej struny. Czy z trzema strunami w ogóle dało się grać? Pewnie jakoś by sobie poradził. Zmieniłby niektóre fragmenty *Symfonii egzystencji*.

Freeman i doktor Miller zaczęli rozmawiać o innych rannych, ale uwaga Eliota była teraz całkowicie skupiona na skrzypcach. To nie w braku struny tkwił problem. Leżał on w nim. Tym razem przyzwanie grą

mgły będzie jego świadomym wyborem, a nie decyzją podjętą nagle pod wpływem okoliczności. Teraz dobrze rozumiał konsekwencje.

Będzie potrzebował gęstszej mgły. W bazie znajdowało się więcej ludzi, przed którymi musiał się ukryć. Dwóch siedziało obok niego w pokoju.

Żeby ją wytworzyć, musiałby sięgnąć dalej w głąb symfonii, do mrocznych miejsc, które wywoływały w nim lęk, i przywołać stamtąd... coś okropnego.

Ludzie wykonujący swoje zwykłe codzienne obowiązki zostaną nagle otoczeni przez trujące wyziewy i kryjące się w nich potwory. Zagubią się w ustawicznie zmieniających układ korytarzach. Może nawet umrą. A on będzie za to odpowiedzialny.

Wiedział, że chodziło o życie Fiony. Lecz czy mógł ryzykować zdrowie tak wielu, aby uratować ją jedną?

Taki był wybór. W dodatku należał do niego.

Ale równie dobrze mógł strzelać z karabinu w zatłoczonym pomieszczeniu.

A może o to właśnie chodziło w tej próbie. W poprzedniej Fiona musiała zabić Millhouse'a, teraz przyszła kolej na niego.

Musiał podjąć decyzję: zabijać albo zostać zabitym, przeżyć albo zginąć. Dobro albo zło.

Freeman sięgnął przez stół i odpiął mu kajdanki.

– Pora iść, miody człowieku. Chyba że masz nam jeszcze coś do powiedzenia.

Eliot wciąż się zastanawiał, wciąż balansował na cienkiej granicy między jedną a drugą możliwością. Wreszcie zdecydował.

– Wiem, że kłamiecie w sprawie mgły – wyszeptał.

– Nie było żadnych testów, żadnych oparów paliwa. Nie macie pojęcia, co tam się zdarzyło. Aleja wiem.

– Tak? – Freeman patrzył na niego jak na coś, co właśnie wygrzebał sobie ze szpary między zębami.

– Co więcej, mogę wam pokazać, jak to zrobiłem.

Freeman i doktor Miller spojrzeli po sobie.

– Jeśli dowiedzielibyśmy się, z jakim cholerstwem mamy do czynienia – powiedział Freemanowi na ucho doktor – mógłbym postawić właściwą diagnozę.

– Dobrze – zgodził się niechętnie kapitan. – Opowiedz nam o tym.

– Muszę wam pokazać.

Eliot sięgnął do leżącej na stole torby z materiałem dowodowym.

Pulsowanie w jego skaleczonej dłoni osłabło, kiedy dotknął Jutrzenki. Miał wrażenie, że on i instrument byli dla siebie stworzeni, i to ich rozdzielenie powodowało ból.

– Muszę zagrać na moich skrzypcach.

ZŁOTE JABŁKO

Kiedy wszystko się zaczęło, Fiona była w karetce. Leżała na noszach, a obie ręce miała mocno przywiązane do boków.

Mgła otoczyła pojazd niczym nadpływająca fala. Temperatura spadła poniżej zera.

– To dziwne – rzucił kierowca za siebie do sanitariusza.

Włączył światła, ale nic to nie dało. Gęste jak grochówka opary stały się jeszcze bardziej nieprzeniknione.

– Wiesz coś o tym drugim dzieciaku, na którego czekamy? – zapytał sanitariusz.

– Eliot? Czy on też ma jechać ze mną? Coś mu jest?

– przestraszyła się Fiona, ale ratownik nie zwracał na nią uwagi.

Co mu zrobili? Wierciła się w więzach, lecz nie mogła uwolnić rąk.

Coś uderzyło w karetkę, a grochówka za oknem zawirowała i zaczęły się w niej rysować kształty przypominające ramiona ośmiornicy.

Fiona miała okropne przeczucie, że Eliotowi musiało się coś stać... Coś znacznie gorszego niż kilka brutalnych szarpnięć ze strony oficerów sił powietrznych, którzy go schwyтали.

W oddali rozległy się męskie krzyki i echa

wystrzałów. Sanitariusz chwycił apteczkę i wyskoczył na zewnątrz, zostawiając Fionę i... uchylone tylne drzwi karetki.

Mgła przystanęła na progu pojazdu, ale w końcu powoli wlała się do środka, szorując po podłodze, jakby nagle zyskała ciężar.

Fiona szarpnęła się więzach. Były mocno zaciśnięte, ale nie dbała o to – musiała się uwolnić. Skryła kciuki w dłoniach, starając się uczynić nadgarstki jak najwęższymi. Znów spróbowała się uwolnić, zapierając się nogami o bok pojazdu. Jedynym efektem było to, że obtarła sobie skórę i wcisnęła dłonie głębiej w krępujące ją rękawy.

– Ej! – krzyknął z przedniego siedzenia kierowca.

– Przestań!

Usłyszała, że odpiął pas. Zanim jednak zdołał się podnieść, przednia szyba rozbiła się na kawałeczki, karetką zakołysała się, a kierowca zaczął krzyczeć. Coś wyciągało go z samochodu. Chwilę później do uszu Fiony dotarł najpierw jakby mlask, a potem trzask łamanych kości.

Nie mogła się odwrócić, żeby zobaczyć, co się dzieje. Z jej umysłu wyparowały wszystkie rozsądne myśli. Szarpała się i wrywała, aż wreszcie uwolniła prawą rękę. Zobaczyła na niej krew. Własną. Ale to nie miało znaczenia.

Mgła wewnątrz karetki drapała pazurami nosze. Fiona odpięła rzepy wokół lewej ręki. W jej głowie kołatała się tylko jedna myśl: nić. To była jej jedyna szansa, jedyna potencjalna przewaga.

Gorączkowo obejrzała poliestrowy koc, którym ją

wcześniej przykryto. Nie znalazła żadnego włókna nadającego się do wyciągnięcia.

Naddarła brzeg swojej koszulki. Od razu pokazało się kilka luźnych nitek. Chwyciła jedną, wyciągnęła dłuższy kawałek i napięła go między palcami.

Wzdłuż boku noszy przesuwało się powstałe z oparów ramię szkieletu. Zakrzywione, wystające kości szorowały o metal, próbując coś chwycić.

Dawna Fiona Post zaczęłaby krzyczeć, zamarłaby z przerażenia albo zamknęła oczy i miała nadzieję, że koszmarna wizja po prostu zniknie. Ale czas dziecięcych lęków dawno już minął. Widok upiornej ręki usiłującej ją złapać wywołał w Fionie tylko jedno uczucie: wściekłość.

Kilka razy machnęła napiętą nitką, przecinając kość na drobne kawałki, które zaraz ulotniły się w delikatnych wstążkach dymu.

Przez chwilę siedziała bez ruchu, próbując uspokoić serce i zastanowić się, co ma robić dalej. Wtedy usłyszała odległe dźwięki.

Muzyka brzmiała jak tuzin skrzypiec, których echa przenikały przez mgłę, tu i tam... wokół karetki... nigdzie. To była piosenka Eliota, choć teraz bardzo różniła się od pierwotnej wersji. Oprócz zwykłych słodkich nut były w niej też jęki przypominające odgłos wiadra gwoździ wysypanych na szkolną tablicę.

Mgła poruszyła się, potem stężała, ale jej część wyparowała, tworząc tunel. Na jego drugim końcu pojawiła się idąca w kierunku karetki niewyraźna sylwetka ze skrzypcami w rękach i odwijającym się z jednej dłoni kłębkim bandaży.

Eliot podniósł wzrok. Zobaczył Fionę i zaczął ku

niej biec. Jego siostra zaś zrobiła coś, co nie zdarzyło się jej, od kiedy skończyła pięć lat: rzuciła się bratu w ramiona.

Uściskał ją jedną ręką. Odsunęła się. Radość na widok Eliota nie mogła zmienić tego, że przytulając się do niego, czuła się co najmniej dziwnie. Poza tym był jakiś inny. Fiona zignorowała tłoczące się w otaczającej ich mgłę potwory i skupiła wzrok na bracie. Wzdłuż jego ramienia biegła czerwona kreska zakażenia, a po jej obu stronach widniały liczne siniaki.

– Zrobili ci krzywdę! – wybuchnęła gniewem.

– To nic. – Eliot przekręcił rękę, ukrywając ranę.

To na pewno nie było nic, ale Fiona postanowiła na razie o nic więcej nie pytać. Mieli poważniejsze problemy.

– Co tu się dzieje? Znowu sprowadziłeś mgłę. Wiesz, że zabija ludzi?

Posłał jej tak złowrogie spojrzenie, że pod jego wpływem pewnie nawet babcia by się wzdrygnęła.

– Tak, wiem. Chcesz znaleźć złote jabłko czy nie?

Nigdy wcześniej nie widziała, by się tak zachowywał. Zwykle był całkowicie nieszkodliwy, chyba że ktoś już naprawdę przyparł go do muru. A i nawet wtedy... Cóż, po prostu nigdy nie przyszyłoby jej do głowy, by łączyć brata ze słowem „groźny”. Aż do tej chwili.

Coś musiało mu się stać. A może to z całym światem coś się stało, a Eliot odmienił się wraz z nim?

– Chcę – powiedziała wreszcie. – Chodźmy go poszukać.

Chłopak kiwnął głową, odwrócił się i podniósł rękę, by zacząć grać. Fiona patrzyła z fascynacją, jak czerwona kreska i siniaki na jego przedramieniu znikają.

Wykonał nowy utwór, delikatny i powolny. W głowie Fiony pojawiła się wizja malutkiego listka usiłującego sięgnąć do światła słonecznego. Otaczały go kwiaty, brzęczące pszczoły i dojrzewające owoce. Dziewczyna poczuła zapach miodu. i smak...

– ... jabłka – szepnęła.

Myśl o jedzeniu, choćby nawet w postaci jabłka, sprawiła, że żołądek dziewczyny wykręcił się ze wstrętem. Zebrała się w sobie, przełknęła ślinę i to wrażenie minęło.

Mgła w odpowiedzi na muzykę znów się poruszyła, tworząc przed nimi nową ścieżkę. Eliot ruszył nią do przodu, nie przestając grać. Fiona poszła za nim.

Talent brata ją zadziwił, ale zachwyt nad jego umiejętnościami szybko ją opuścił, kiedy tuż obok nich zobaczyła galopującego na koniu bezgłowego jeźdźca z mieczem w dłoni. Po drugiej stronie ścieżki szybował niewyraźny, przypominający rekina kształt wielkości sporego holownika. Z oddali dochodziły do nich głuche odgłosy wybuchów i podobne do dźwięku pękającej prażonej kukurydzy trzaski serii z karabinów.

Fiona przysunęła się do brata i zobaczyła, że po jego policzkach płyną łzy, ale nie przestawał grać. Chciała dotknąć jego ramienia i jakoś go pocieszyć, ale bała się, że wytrąci go z rytmu. Zresztą co mogła mu powiedzieć, żeby poczuł się raźniej? Kiedy ona zabiła Millhouse'a, zraniła też swoją duszę i żadne słowa nie zdołają tej rany zablźnić.

Ścieżka przez mgłę doprowadziła ich do betonowego chodnika. Zatrzymali się przed podwójnymi stalowymi drzwiami. Widniał na nich numer 221.

– To tutaj – oznajmił Eliot.

Fiona zrobiła krok do przodu, zaciskając w dłoni zwiniętą nić. Drzwi wyglądały na grube, przy zamku wzmacniały je dodatkowe metalowe płyty. Na ścianie obok świecił elektroniczny blok klawiszy i czytnik kart.

Jak miała przeciąć płaskie drzwi za pomocą rozciągniętej między dłońmi nici? A może nie musiała używać do tego dwóch rąk? Wujek Aaron powiedział, że zdoła przeciąć każdą przeszkodę, jeśli tylko odpowiednio nastawi swój umysł. Nigdy nie kazał jej trzymać sznurka w obu rękach.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i złapała bawełniane włókno między kciuk a palec wskazującym prawej ręki. Skoncentrowała się na nim tak bardzo, że cały świat dookoła pobladł i zniknął. Puściła jeden koniec. Nić pozostała sztywno zawieszona w powietrzu, zmieniona w niemal niewidzialną linię siły.

Nie spuszczając z niej wzroku, Fiona przesunęła ją ku drzwiom i włożyła w stal niczym rozgrzaną do czerwoności igłę w kostkę masła. Poruszyła linią, kreśląc nią szeroki krąg, a potem się cofnęła.

Drzwi wpadły z wielkim hukiem do środka jeszcze chwilę wcześniej niedostępnego dla nich pomieszczenia, które okazało się wypełnionym mgłą korytarzem. Eliot wpatrywał się w nie i pojedynczą nitkę w ręku siostry z otwartymi ustami.

Cięcie uspokoiło Fionę. Sprawilo jej przyjemność, choć cały czas była świadoma okropnych rzeczy, które działy się wokół niej. Czuła, że mogłaby oddawać się temu zajęciu całymi dniami.

Nagle dookoła rozległo się wycie alarmów, a wewnątrz budynku 221 zaczęły migać czerwone światła.

– Którędy? – zapytała Fiona, usiłując przekrzyczeć syreny.

Eliot zagrał kilka nut „jabłkowej” piosenki. Mgła zadrżała i otworzyła przed nimi przejście skręcające w lewo na pierwszym rozgałęzieniu korytarza.

Fiona szła pierwsza, trzymając przed sobą rozciągniętą nić. Z mgły wpatrywały się w nią pozbawione ciała i odbijające się w czerwonych błyskach ślepiea. No, chodźcie tu, jeśli się tylko odważycie.

Skąd przyszła jej do głowy taka myśl? Ostatnie, czego teraz potrzebowała, to kolejna konfrontacja. Chciała, by mgielne stwory zostawiły ją w spokoju, A może jakaś jej część miała ochotę coś jeszcze przeciąć? Miała ochotę walczyć?

Podążali skomplikowaną trasą prowadzącą do piwnic, mijając kolejne potężne stalowe drzwi, niektóre z blokami klawiszy, inne z czytnikami odcisków palców, jeszcze inne grube jak ściany bankowych skarbców. Eliot zatrzymał się w końcu przed niewielkimi owalnymi drzwiami umieszczonymi pośrodku betonowego muru. Na ścianie obok znajdował się skaner optyczny wraz z wydrukowanymi instrukcjami opisującymi, w jaki sposób urządzenie rozpoznaje siatkówkę stojącej przed nim osoby.

– To te – stwierdził Eliot, wyęzając wzrok i próbując rozszyfrować zasady.

Potrzebował okularów? Fiona też zaczęła czytać, ale po chwili przerwała. Tej nocy nie zatrzyma jej żaden czujnik ani zamek.

Wyciągnęła przed siebie nić, skupiła się i przewlekła ją przez mikroskopijne włókna

superbezpiecznych drzwi. Stal, tytan, stopy węglowe – nic nie mogło stawić jej oporu.

Przejechała ostrą linią wzdłuż krawędzi otworu i razem z Eliotem wepchnęli drzwi do środka.

Zobaczyli pomieszczenie wielkości całej restauracji „U Ringo”. Wypełniały je rzędy sięgających aż do sufitu półek, na których stały skrzynki, sejfy i wielkie metalowe beczki. Na większości widniały naklejki ostrzegające przed radioaktywnością lub zagrożeniem biologicznym. A najczęściej jednym i drugim.

Eliot podszedł bez wahania do stojącej na jednej z dolnych półek beczki i powiedział:

– Tutaj.

Fiona obejrzała się na korytarz za nimi. Na szczęście nie ścigały ich żadne potwory ani żandarmeria. A może to wcale nie był dobry znak? Przecież musiał być jakiś powód, dla którego nikt nie zareagował na wyjące dokoła alarmy. Czy wszyscy żołnierze byli martwi?

Podczas pierwszej próby Fiona wołała zaryzykować własne życie, niż skrzywdzić Souhka. Potem zamordowała Perry'ego Millhouse'a, a teraz Eliot wywołał zabójczą mgłę. Pozuła, jak uciekają z niej siły. Oparła się o framugę. Jej czas zbliżał się do końca.

Kulejąc podeszła do beczki i odcięła pokrywę.

W środku, zapakowane w styropian, leżało duże metaliczne jajko. Rodzeństwo przeturlało beczkę na środek pomieszczenia, żeby móc się lepiej przyjrzeć jej zawartości.

Jajko miało matowy srebrny kolor, a jego wierzch pokrywała gruba warstwa lakieru. Z bliska było widać wytrawione w metalu linie, żyłki tworzące oplatającą

pojemnik pajęczynę. W pewnych miejscach wzory wyglądały jak łodygi ozdobione pączkami orchidei, w innych jak nadrukowane schematy układów scalonych. Niektóre powtarzały się niczym regularna struktura kryształu, aby w końcu zaokrąglić się w zbiory komórek uchwyconych w chwili podziału, z chromosomami zaplątanymi jak palce zaciśniętych dłoni. Kunszt wykonania zdobień zaparł Fionie dech w piersi.

– Na co czekasz? – rzucił Eliot. – Otwórz to.

– Żal niszczyć coś takiego.

Ale w końcu Fiona nałożyła na czubek pojemnika петельkę nici. Może uda jej się odciąć samą końcówkę, nie uszkadzając przy tym zbyt mocno cudownego jajka⁶⁴.

Pociągnęła. Nic zaczęła się zagłębiać w metal, ale zaraz coś ją zatrzymało.

Chwilę wcześniej Fiona bez trudu przecięła stalowe drzwi, które miały wytrzymać wybuch bomby, a jajko okazało się mocniejsze? Miała wrażenie, że jest żywe, że walczy z nią.

Ale tu chodziło też o jej życie. Nie miała wyboru. Po prostu musiała dostać się do środka.

Zacisnęła palce na nici i utrzymując pełną koncentrację, przesuwała ją tak, jakby usiłowała

⁶⁴ Jaja te były dziełem rosyjskiego jubilera Petera Carla Faberge. Powstało ich pięćdziesiąt siedem. Jedno, nazywane Hypnagogią, nigdy nie zostało ukończone. Z pozostawionych przez Faberge'a notatek wynika, że wysłał on ekspedycję nad rzekę Podkamienna Tlinguzka, gdzie w 1908 roku zdarzyła się słynna katastrofa. Hypnagogia została wykonana z kawałków metalu znalezionych podczas tamtej wyprawy w niesionym przez rzekę mule. Faberge pisał: „Zdaje się być po części metalem, po części żywą istotą, po części światłem”. Po rewolucji październikowej jubiler opuścił Rosję, a wszystkie inne jego notatki, ilustracje oraz niedokończona Hypnagogia zaginęły (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne*, *op.cit.*).

przepiłować jajo. Krople potu wystąpiły jej na czoło i zaczęły napływać do oczu. W końcu wytrawione na powierzchni metalu linie ustąpiły, a pętla przeszła przez jajo na wylot, zmieniając się z powrotem w zwykły fragment nici. Powietrze z sykiem wpadło do hermetycznie zamkniętego pojemnika.

Żyły i kwiaty wyrysowane na jaju zaczęły się kurczyć niczym płonący papier, po czym szerniały i znikły, a metal stał się biały, jakby nagle się utlenił. Eliot przysunął się do Fiony i obydwójce zajrzeli do środka.

Pośród fałd czarnego aksamitu leżało jedno niewielkie żółte jabłko z drobnym ogonkiem i pojedynczym listkiem. Zostało już kilkakrotnie ugryzione, ale miąższ wciąż był biały i apetyczny.

– To wszystko? – zapytał rozczarowany Eliot.

– A czego się spodziewałeś? Powiedzieli nam, że mamy znaleźć jabłko. O dziwo, znaleźliśmy je.

Kiedy jednak Fiona wyciągnęła owoc z pojemnika, zobaczyła, że jego skórkę pokrywały równe złote i srebrne paski, gdzieniegdzie udekorowane rubinowymi i szmaragdowymi plamkami. Jabłko przypominało raczej dzieło mistrza jubilera niż coś, co wyrosło na drzewie. Było twarde i zimne, pachniało miodem i cytrynami.

Dziewczynie napłynęła do ust ślinka. Po raz pierwszy od dłuższego czasu miała ochotę zjeść coś innego niż czekoladę.

– O co chodzi? – niecierpliwił się Eliot. – Gryź.

– Chciałabym... i na tym polega cały problem. Tak samo miałam ochotę na czekoladki, bardziej niż na wszystko inne. I zobacz, jak to się skończyło. Wszystko, czego tak mocno chcę, okazuje się dla mnie szkodliwe.

Eliot spojrział na nią zdziwiony.

– Czuję się, jakby ktoś mną manipulował – powiedziała. – Jakby ktoś zmuszał mnie do czegoś i zmieniał w kogoś, kim nie chcę być.

– Czy to i tak nie jest lepsze niż bycie martwym?

– Twarz Eliota pomarszczyła się ze zmartwienia. To nie było pytanie retoryczne.

– Nie wiem – wyszeptała Fiona. – To skomplikowane. Nie chodzi tylko o uniknięcie śmierci. Chodzi o to, żebym żyła tak, jak tego chcę. Nie mam zamiaru zostać następną Lucią albo Henrym... czy Aaronem.

– Albo babcią. – Eliot pokiwał głową.

– Albo babcią.

Chłopak przejechał ręką po swoich włosach.

– Już nie mogę myśleć. – Westchnął i usiadł na podłodze. Rozprostował dłoń, odłożył skrzypce i odepchnął je od siebie. – Jestem przekonany, że tu zginęli dziś ludzie... A właściwie to ja ich zabiłem, żebyś mogła zjeść to jabłko. – W jego głosie było słycać nerwowość.

– Jeśli nie byłaś pewna, czy w ogóle tego chcesz, trzeba się było zastanowić wcześniej.

Eliot miał rację. Musieli zdobyć jabłko, nie było innej możliwości. Co nie zmieniało faktu, że teraz stała przed wyborem. Jeśli zje owoc, zrobi to tylko dlatego, żeby się uratować, i będzie musiała pogodzić się z wynikającymi z tego konsekwencjami. Czy wszystko więc nie zdecydowało się już wcześniej? Ciocia Dallas pokazała jej nic przeznaczenia. Jej życie miało się urwać. Teraz. A może mogła wybrać inną ścieżkę? Życie zamiast śmierci? Bycie kimś innym niż reszta rodziny. Kimś nowym.

Ponownie się narodzić.

Wciągnęła głęboko powietrze do płuc i zdecydowała. Uniosła jabłko do ust i ugryzła mały kawałeczek.

PRZEKROCZENIE PRZEPISÓW

Tym razem Robert chyba posunął się za daleko. Wiedział jednak, że pan Mimes będzie go bronił. W końcu wcześniej kazał mu chronić Fionę i nie spuszczać jej z oczu.

Najlepiej naginać reguły, kiedy nikt nie patrzy. Czasami jednak trzeba je złamać jawnie... Ba, żeby tylko złamać: niekiedy trzeba kilka razy przejechać po nich samochodem, potem spalić to, co z nich zostanie, i rozsypać prochy.

Jeśli tylko pozwoliliby mu wyjaśnić...

Siedział na metalowym składanym krzeselku z boku sali gimnastycznej. Pan Mimes kazał mu tu czekać. Było mu niewygodnie, a na dodatek musiał wyjść do toalety, ale nie ruszał się z miejsca. Rozkaz to rozkaz. Bujał się więc lekko w przód i w tył i czekał, aż pan Mimes i ten, na którego mówili Gilbert, skończą koszykarski pojedynek jeden na jednego.

Pan Mimes rozebrał się do szortów. Był szczupły, ale jego tors pokrywała imponująca muskulatura. Miał ciało pozbawione owłosienia, czym różnił się od Gilberta, który bardziej przypominał niedźwiedzia brunatnego niż człowieka.

Właśnie minął przeciwnika, skozłował piłkę między jego nogami i wykonał idealny rzut. Kiedy piłka trafiła do Gilberta, ten powoli, lecz systematycznie

przesuwał się po boisku dopóty, dopóki nie znalazł się o kilka kroków od linii rzutów za trzy punkty. Wtedy ustawił się i wycelował. Piłka nakreśliła w powietrzu luk i wpadła do kosza bez dotykania obręczy. Trafił tak już szósty raz, łatwo wygrywając z Mimesem.

Gdyby Robert nie wiedział, kim są gracze, mógłby odnieść wrażenie, że ogląda normalny pojedynek między dwoma facetami. „Jeśli zaczniesz myśleć o nich jak o zwykłych ludziach” – przypomniał sobie słowa swego pierwszego szefa – „znajdziesz się w tarapatach”.

Mimes wytarł się ręcznikiem, uściśnął Gilbertowi rękę i rzucił:

– Grając w ten sposób, psujesz sobie całą zabawę.

– Raczej tobie – uśmiechnął się Gilbert.

Za murami położonej na wyspie posiadłości pana Mimesa szalała ulewa. Morze Egejskie przemieniło się w miotającą pianą kipiela, a cały amfiteatr Rady znalazł się pod wodą. Właśnie dlatego dziś musieli spotkać się w środku. Robert jednak nie miał pojęcia, dlaczego Mimes wybrał salę gimnastyczną, kiedy miał do dyspozycji trzy duże sale balowe. Może po prostu lubił trzymać innych w niepewności? Pewnie z tego samego powodu kazał Robertowi siedzieć na tym głupim krzeselku.

Większość członków Rady zebrała się już na otaczających boisko trybunach: pan Cornelius, śliczna Dallas, której kocie spojrzenia sprawiały, że serce Roberta zaczynało bić szybciej, potężny i ciemnoskóry pan Kino oraz siedzący osobno i jak zwykle ponury pan Aaron.

Było jeszcze coś poza pogodą i miejscem obrad, co sprawiało, że to spotkanie wydawało się jeszcze dziwniejsze. Pojawili się na nim członkowie Ligi, których

Robert widział pierwszy raz w życiu. Na oko wyglądali zwyczajnie: biznesmen, japońska uczennica, filmowa gwiazdka w okularach przeciwsłonecznych, opalony surfer, otyły fan futbolu amerykańskiego w średnim wieku, bibliotekarka, biegaczka popijająca z bidonu, dziewczynka z kucykami... Od zwykłych ludzi różniła ich tylko jedna rzecz, która już nie zaskakiwała Roberta u nieśmiertelnych. Ich sposób bycia sięgał daleko poza zwykłe opanowanie czy pewność siebie. Zawsze sprawiali wrażenie, jakby patrzyli na ludzi z góry albo w ogóle ich nie zauważali.

To zebranie musiało być bardzo ważne, skoro przybyło na nie tylu członków Ligi. I świadomość tego nie poprawiała samopoczucia siedzącego samotnie na krześle Roberta. Chłopak miał złe przecucia. Chociaż pan Mimes będzie go pewnie bronił...

Robert poszukał wzrokiem szefa, licząc na jakiś drobny uspokajający gest z jego strony. Wiedział, że Mimes go lubi. I odwzajemniał tę sympatię, na ile to było możliwe, biorąc pod uwagę ich formalne zależności. Zaczął niemal myśleć o panu Mimesie jak o... no dobrze, może nie jak o ojcu, ale – powiedzmy – wujku.

Audrey Post i Lucia Chase wkroczyły do hali i zajęły miejsca obok Dallas. Widok tych trzech niesamowitych kobiet siedzących razem sprawił, że Roberta przeszedł dreszcz. Miał wrażenie, że jakaś ważna część wszechświata właśnie wskoczyła na swoje miejsce.

Mimes upuścił piłkę, która potoczyła się w bok.

– Rewanż później?

– Szkoda się męczyć. – Gilbert pokręcił głową.

Obydwaj zajęli miejsca w najniższym rzędzie

trybun. Żaden nawet nie spojrział na Roberta.

Lucia zadzwoniła srebrnym dzwonkiem.

– Niniejszym ogłaszam rozpoczęcie sesji Rady Ligi Nieśmiertelnych. Wzywam do gotowości do sądenia i bycia sądzonym. *Narro, audio, perceptum*. Zakładam, że wszyscy przeczytali raport.

Dookoła rozległy się potwierdzające mruknięcia.

– Jeśli nie ma żadnych sprzeciwów – ciągnęła Lucia – uznamy trzecią heroiczną próbę bliźniąt za zakończoną sukcesem. Przejdźmy do dyskusji nad ich rodowodem.

Robert nie rozumiał. Myślał, że skoro Fiona i Eliot wykonali zadania, to byli bezpieczni. Czy nie tak się umawiano?

– Sądzę, że są po naszej stronie – powiedział Aaron, podnosząc się z miejsca. – Fiona ma serce szlachetnej wojowniczkii. Ewidentny wpływ matki.

Audrey Post uniosła brew.

– I trzeba pamiętać o złotym jabłku – wtrąciła Dallas. – Ugryzła kawałek. To powinno zamknąć dyskusję. Przecież w tamtym momencie skończyło się jej życie śmiertelniczki i weszła pomiędzy nieśmiertelnych.

Lucia wyciągnęła jabłko z fałdów swojej zielonej sukni. Na skórcie owocu widać było ślady zębów.

– Zgadzam się – powiedziała.

Audrey spojrzała na pana Mimesa i zapytała:

– Pozbyłeś się śladów?

– Oczywiście. Odciski palców, zdjęcia, oświadczenia świadków, nagrania... Wszystko to zostało usunięte z bazy Nellis i zniszczone.

– A więc jedyną pozostającą do rozstrzygnięcia

kwestią jest los chłopaka – stwierdził Cornelius.

– Ta mgła – westchnął Kino. – Żadne z nas nie mogłoby przywołać czegoś tak przepelnionego złem.

Aaron spojrzał na niego ze złością.

– Chłopak przeszedł wasze próby. To powinno świadczyć na jego korzyść.

– Przypominam, że próby miały nam służyć wyłącznie do lepszego poznania ich charakterów – wyjaśniła Lucia. – Nasz osąd powinien się opierać na tym, co zaobserwowaliśmy. Piekielni przeszliby próby tak samo łatwo jak nieśmiertelni. Interesuje nas raczej to, w jaki sposób udało im się to osiągnąć.

– Kolejna luka w tak zwanych regułach – burknął Aaron.

Audrey Post wstała i spojrzała mu prosto w oczy.

– Mylisz się. Znam ich pochodzenie lepiej niż ktokolwiek inny... Zresztą to nigdy nie było kwestią sporną. Tożsamości tych dzieci nie warunkują ani geny, ani wychowanie. W ostatecznym rozrachunku Eliot i Fiona sami decydują, kim się staną.

Robert pochylił się. A więc rodzeństwo będzie mogło wybrać, do której rodziny chce należeć? Dlaczego nikt im tego wcześniej nie powiedział?

Audrey i Aaron mierzyli się wzrokiem. Zapadła martwa cisza. Kiedy Robert tak na nich patrzył, zakreśliło mu się w głowie. Miał wrażenie, że stoi na wąskim pomoście i obserwuje dwie zderzające się w dole olbrzymie rzeki, których widok wywoływał zachwyty przemieszane z przerażeniem. Nie miał pojęcia, kim jest Audrey Post. Zresztą wolał się nad tym nie zastanawiać. Wiedział, że może to doprowadzić do koszmarnych

wniosków.

– Nie kochasz ich, Audrey? – zapytał Aaron, który w różnych okresach historii nosił inne imiona: Czerwony Jeździec Apokalipsy, Ares Enyalios, Auriga, Lancelot, Król Świętego Gaju.

– W moim sercu nie ma już miejsca na miłość. Pozostało w nim tylko poczucie obowiązku, żeby ich chronić. – Audrey odwróciła wzrok i powoli usiadła.

– Nawet jeśli to oznacza poświęcenie jednego dla bezpieczeństwa drugiego.

Robert nie wierzył własnym uszom. Poświęcenie? Czy miała na myśli zabicie Fiony albo Eliota? To były słowa rodem ze średniowiecza. Chociaż wielu z tu zgromadzonych idealnie pasowało do tamtego okresu. Musiał ostrzec Fionę.

Mimes odchrząknął.

– Uważam, że ostatecznych wyjaśnień dostarczą nam reakcje bliźniąt na pokusy piekielnych. Została jeszcze jedna.

Machnął ręką w kierunku dużego ekranu umieszczonego nad boiskiem pośrodku hali, na którym pojawił się migający obraz – zdjęcie zrobione przez Roberta w parku Franklina Eliotowi i jego dziewczynie, Julie Marks. Duży teleobiektyw sprawił, że fotografia była trochę ziarnista, ale nadrabiała to udaną kompozycją. Dwoje zakochanych w sobie dzieciaków jedzących piknik na trawie. Niewinna scena. Tyle że Robert przeprowadził drobne śledztwo. Zabrał z restauracji odciski palców dziewczyny i odkrył, że była zarejestrowana w danych policyjnych jako oskarżona o drobne kradzieże i posiadanie narkotyków. Znalazł też jej akt zgonu z 1981

roku. Przedawkowała heroinę.

– Informacje o wysłanej przez piekielnych uwodzicielce – wyjaśnił Mimes – znajdziecie też w moim raporcie. Eliot na razie opierał się kuszeniu, ale pokusy tradycyjnie występują trójkami. – Podniósł trzy palce w górę, podkreślając wagę wypowiedzianych słów.

– Proponuję, żebyśmy poczekali i zobaczyli, jak poradzą sobie z tym ostatnim wyzwaniem.

– Dodatkowe dane zawsze są przydatne – zgodził się Cornelius.

– Ale to narazi bliźnięta na niebezpieczeństwo – odpowiedziała Lucia.

– Nas zresztą też – dodał Kino.

– Niebezpiecznie będzie tak czy inaczej – oznajmił Gilbert. – Co za różnica? Powinniśmy zdecydować o ich losie na podstawie tego, co już wiemy.

– Myślałem, że powinniśmy ich chronić przed tamtą rodziną – odezwał się Robert. I zamarł, kompletnie zaskoczony.

Nie miał zamiaru... Nawet nie wiedział, jak doszło do tego, że wypowiedział te słowa na głos. Słuchał debaty Rady w takim skupieniu, że stracił kontakt z rzeczywistością i zapomniał o pierwszej zasadzie obowiązującej kierowców: trzymaj język za zębami.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na niego. Jego serce stanęło. Po chwili zaczęło znów bić, ale w szalonym, panicznym tempie.

Już na poprzednim zebraniu upomnieli go, żeby siedział cicho. Wiedział, że Rada nie zwykła się powtarzać.

Mimes głęboko westchnął.

– Prawie zapomniałem, a tu proszę. Najpierw powinniśmy zająć się tą sprawą.

– Zgadzam się – mruknęła Lucia. – Odłóżmy na chwilę kwestię bliźniąt. Kierowca Henry'ego zbłądził. Rada musi zdecydować o tym, jaką karę mu wymierzyć.

Zbłądził – w ten sposób mówiono czasem o tych, którzy łamali zasady. Robert wiedział, co czekało takich ludzi. Jednemu przez całe wieki wyszarpywano wątrobę. Innych zamieniano w marmurowe posągi, które później rozbijano w drobny żwir, przeznaczony do wysypania na podjeździe czyjejs. posiadłości.

Poprzedniej nocy Robert wyciął szefowi numer. Mimes zostawił go samego, więc o wschodzie słońca pojechał w okolice bazy, żeby zabrać stamtąd Postów. Fiona czekała na niego, a za jej plecami leżała ukryta we mgle baza. Na twarzy dziewczyny malowała się ulga zmieszana z przerażeniem, ale przede wszystkim wyglądała jak ktoś, kto potrzebuje, żeby go zaraz odwieźć do domu.

Robert spojrzął z nadzieją na pana Mimesa. Ten zacisnął szczękę i pokręcił głową. Chłopak poczuł się tak, jakby ktoś dźgnął go w pierś. Zachowanie jego zwierzchnika nie pozostawiało wątpliwości – Mimes nie miał zamiaru go bronić.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć. – Lucia wzięła do ręki raport i otworzyła go na ostatniej stronie.

– Próba mogła zostać uznana za nieważną z powodu interwencji pana Farmingtona. Według zasad bliźnięta powinny się wydostać z bazy bez pomocy z zewnątrz.

– Znów zerknęła do raportu i dodała: – Poza tym

istnieją reguły zabraniające kierowcom prywatnych kontaktów z członkami Ligi... Nawet z jej potencjalnymi członkami.

– Słyszałem – dodał Mimes – że mogło nawet dojść do pocałunku.

Robert nie wierzył własnym uszom. To jakaś pomyłka, a może chodzi o żart? Pan Mimes sam kazał mu się tak zachowywać. No dobrze, nie mówił nic o całowaniu, ale wszystko inne... Chciał wstać i coś powiedzieć, ale nie dał rady się ruszyć. Nagle stał się zbyt słaby, żeby podnieść się czy choćby otworzyć usta.

Mimes podszedł do niego i wyszeptał:

– Bardzo mi przykro. Muszę cię poprosić o zwrot kluczyków.

Robert poczułby się lepiej, gdyby ktoś uderzył go w głowę młotem. Kluczyki były symbolem jego zawodu. A prowadzenie samochodu było całym jego życiem.

– Wyrzuca mnie pan?

Mimes wyglądał na mocno przygnębionego, kiedy brał kluczyki z trzęsącej się ręki Roberta.

– Wyrzucić... Tak, najlepiej w przepaść. To nawet niezły pomysł – Lucia głośno zastanawiała się nad losem kierowcy.

– Wystarczy. – Mimes odwrócił się do niej. – Zgadzam się, że chłopak złamał kilka zasad, ale ostatecznie nikomu nie zaszkodził. Zamknijmy go po prostu na kilkaset lat, żeby mógł to sobie dokładnie przemyśleć.

– Zawsze byłeś zbyt łagodny dla służby. – Lucia pokręciła głową. – Ale dobrze, jeśli nikt się nie sprzeciwia...

Kilkaset lat? W zamknięciu? Wolność była dla Roberta wszystkim. Jeśli nie będzie mógł podróżować, czuć owiewających twarz podmuchów powietrza, oglądać nowych miejsc... – wołał umrzeć.

– Zaczekajcie – wtrąciła się Audrey Post. – Chłopak był zawsze dla mnie miły. Apeluję o złagodzenie wyroku.

– Audrey prosząca o łaskę? – uśmiech wykwitł na twarzy Mimesa. – Czy mamy się spodziewać, że słońce zaraz pociemnieje, a księżyc wybuchnie płomieniami?

Audrey spojrzała na Henry'ego z wściekłością, a ten od razu spowaźniał.

– Dobrze, skróćmy ją do pięćdziesięciu lat w odosobnieniu – powiedział pojednawczo. – Wróćmy teraz do poważnych spraw.

– Postanowione. – Lucia zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem.

Robert w końcu znalazł siły na to, żeby wstać. Chciał się odezwać. Zaufał panu Mimesowi. Myślał, że zwierzchnik naprawdę go rozumie, a nawet że się o niego troszczy. Ale co mógł im powiedzieć? Czy miał donieść na pana Mimesa? Nie. Mimo wszystko nie chciał tego zrobić. Nie był kablem, nie zniży się do poziomu swoich oskarżycieli. Zamiast tego tylko wpatrywał się w Mimesa, w jednym spojrzeniu starając się zawrzeć całą swoją złość, rozczarowanie i rozterki.

Tamten nawet nie drgnął. Kiedy wybrzmiał dźwięk dzwonka, świat zacinął się wokół Roberta tak mocno, że chłopak przestał cokolwiek widzieć, czuć, aż wreszcie stracił oddech.

NOCNY POCIĄG

Sealiah założyła nogę na nogę, zapadła się głębiej w zdobione aksamitne siedzenie i poluzowała wysokie buty. Pozwoliła stukotowi kół pociągu ukołysać swoje nerwy.

Witraże w okienkach na dachu wagonu rzucały dziwne półtęcze, pochodzące od bezustannie zachodzącego w tej części piekła słońca. Za ołowianymi oknami po lewej stronie przemykała usiana wzgórzami o płaskich grzbietach pustynia. Krążące w górze stada padlinożerców czekały, aby pochwycić każdego, kto spróbowałby ucieczki. Od czasu do czasu na niebie pojawiał się pikujący ku ziemi płonący kadłub samolotu pasażerskiego i spektakularnie w nią uderzał. Idealny obraz na pocztówkę.

Zawsze bardzo lubiła przejażdżki Królewskim Księciem Koronnym. Dzisiaj już takie pociągi nie powstawały. Ani się nie rozbijały⁶⁵. Chwilę spokoju

⁶⁵ Dwór austriacki zamówił Królewskiego Księcia Koronnego, żeby upamiętnić arcyksięcia Rudolfa, co było niecodziennym wyborem, zwłaszcza że w tamtych czasach sądzono, iż arcyksiążę popełnił wraz z kochanką samobójstwo (późniejsze śledztwo wykazało, że raczej padli ofiarą morderstwa). Przy budowie pociągu na niczym nie oszczędzano, gdyż miał stać się symbolem bogactwa i luksusu przełomu stuleci. Podczas swojej pierwszej podróży Królewski Książę Koronny stanął w ogniu, maszyniści stracili nad nim kontrolę i pojazd runął w dół jednego ze zjazdów górskiej linii Alberg, co zakończyło się katastrofą. Wielu twierdzi, że podczas nowiu na niebie można ujrzeć płonący pociąg mknący z

jednak psuła Sealiah obecność Julie Marks, nerwowo wiercącej się na sofie obok. Biedactwo nie umiało rozkoszować się otaczającym ją luksusem. Za bardzo bała się Sealiah, co w gruncie rzeczy było zrozumiałe. Ale większy lęk w dziewczynie wzbudzali pozostali pasażerowie, dlatego Julie nie ruszała się nawet na krok od swojej pani.

Członkowie Zarządu i towarzyszący im służby wracali do domu. Zbyt długo przebywali już w krainie światła; ich dusze i umysły były bliskie wyczerpania. To towarzystwo przeciętnych ludzi tak na nich wpływało. Dlatego zawsze musieli w końcu wrócić do domu, co wydawało im się jednocześnie przekleństwem i błogosławieństwem.

Lev leżał na dwóch zsuniętych sofach jak wyrzucone na brzeg morskie zwierzę. Sączył przez słomkę martini. Obok po podłodze toczyło się z brzękiem kilkanaście pustych szklanek. Pomarszczony Mulciber i Uziel nachylali się nad planszą bandyckich szachów. Tak jak należało się spodziewać, złoty chłopiec wygrywał. Jego grupy werbowników zapędziły dziwkę Mulcibera w sam róg szachownicy.

Abby i Ashmed siedzieli razem (ku irytacji Sealiah) i żywo dyskutowali o skarabeuszach. Do Sealiah docierały wyłącznie fragmenty ich zdań, coś o sekwencjach genetycznych, długowieczności i inwestycjach biotechnologicznych ulokowanych w La Jolli.

Miała nadzieję, że mała niszczytelka nie zabierze

szaleńczą prędkością w dół zbocza i usłyszeć krzyki jego pasażerów. Królewski Książę Koronny stał się znany jako Der Nachtzug, czyli Nocny Pociąg (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne, op.cit.*).

się zbyt szybko za Ashmeda. Nie to, żeby Abigail wiedziała, co z nim zrobić, kiedy wreszcie zwróciłby na nią uwagę. Ale Sealiah musiała zachować czujność. Nie miała zamiaru rezygnować ani ze wsparcia, ani politycznych przysług Ashmeda. Jeszcze nie teraz.

Sięgnęła ręką po Julie i przygarnęła ją do siebie. Dziewczyna opierała się, ale to tylko sprawiało Sealiah dodatkową przyjemność.

Oczy Julie otaczały czarne obwódki, jej skóra przybrała grobowy odcień. Ramiona pokrywały siniaki. Piękno śmiertelnych było bardzo nietrwałe. Wiek, nadmiar słońca czy wiatru, za mało snu, śmierć – wszystko to mogło sprawić, że zniknie.

– Słuchaj uważnie – szepnęła dziewczynie do ucha.

– Mogą cię jeszcze przesłuchiwać. Nie kłam. Od razu się domyślą i bardzo im się to nie spodoba. Ale nie mów też wszystkiego. Rozumiesz? – Puściła dziewczynę.

Ta spojrzała na nią ze złością, kiwnęła głową i zaczęła pocierać obolałe ramię. W jej oczach ciągle czaiła się iskra buntu.

Sealiah czuła, że serce Julie wciąż bije, że nadal jest w nim nadzieja. Czy dziewczyna zdawała sobie sprawę z wielkości daru Eliota Posta? Nawet Sealiah nie do końca rozumiała konsekwencje obdarzenia nieprzemijającą nadzieją kogoś, kto był na wieki potępiony. Julie Marks warto obserwować.

Zawyła pociągowa syrena i wyraźnie zwolnili. Królewski Księżę Koronny wjechał na zadaszoną stację. Chmura dymu i iskier otoczyła wagon.

Na stacji stało kilka innych pociągów. Niektóre z nich były złożone i bogato zdobione, inne unosiły się w

powietrzu nad magnetycznymi szynami, a jeden wyglądał jak kupa złomu. Właśnie z tego ostatniego wyłoniła się ciemna sylwetka. Kiedy zbliżała się do Księcia Koronnego, wszystkie inne cienie rozstępowały się na boki. Kiedy zaś postawiła stopę w wagonie Sealiah, cały pociąg się przechylił.

Kotary z tyłu przedziału rozsunęły się i do środka ostrożnie wkroczył Uri. Ukłonił się wszystkim, ale na Sealiah wzrok zatrzymał dłużej. Z przyjemnością odwzajemniła jego palące spojrzenie. Wiedziała jednak, że cała historia z jej dawnym adiutantem wkrótce się skończy. I dobrze. Uri albo znów będzie należeć do niej, albo zniknie na zawsze. Tak czy inaczej uwolni się od tortur, jakie musi znosić przy boku Beala.

Spojrzała na Uziela, który właśnie zbijał zwykłym pionkiem jednego z władców handlu Mulcibera. Kiedy zaczyna się gra, trzeba się liczyć z utratą figur. Jeśli kogoś to martwi, nie powinien siadać do szachownicy.

Uri sięgnął do kieszeni czarnej jak noc sportowej kurtki i wyjął z niej małe elektroniczne urządzenie. Przejechał nim po ścianach wagonu, szukając podsłuchów. Potem wyciągnął z szerokich fałd ubrania płonący trybularz, zakołysał nim, powąchał i uważnie przyjrzał się kształtom, w jakie ułożył się unoszący się w powietrzu dym. Kiedy już się upewnił, że w wagonie nie czają się żadne wrogie urządzenia czy zamiary, wyszedł z powrotem na peron.

Chwilę później do pociągu wkroczył Beal. Jego pelerynę z piór pokrywały żarzące się drobinki popiołu, które w tej części pustyni regularnie spadały z nieba. Uri ostrożnie zmiotł szczotką iskry. Pióra nastroszyły się pod

jego dotykiem.

Beal przyjrzał się obecnym i potarł zawieszony na swojej szyi Charipirar, szafir wielkości pięści, będący symbolem jego klanu. Tak ostentacyjna demonstracja mocy sprawiła, że Sealiah miała ochotę zedrzeć klejnot z jego szyi i wgnieść go w podłogę.

Te puste krainy były częścią jego królestwa, stanowiły dla niego zbyt silne wsparcie, żeby Królowa Maków mogła zrealizować takie marzenie. Ale dołączył do nich dopiero tutaj. Nie zdecydował się, żeby wcześniej podróżować razem z nimi. Nieomyślny znak, że chciał się z nimi zmierzyć – tylko na swoim terenie. Najwyraźniej jego siła słabła.

Uśmiechnęła się i przechyliła głowę. Odwzajemnił uśmiech, wyszczerzając zęby. Kiedy rozpoznał Julie Marks, spoważniał.

– A więc twoja starannie wybrana kusicielka zawiodła?

– Wszystko jest opisane w raporcie Sealiah – rzucił Lev, wychylając kolejną lampkę martini. – Nie czytałeś?

Beal spojrział na Uriego, który wyszeptał mu coś do ucha, a potem kiwnął głową, zmarszczył brwi i przeszedł wzdłuż przedziału, a następnie usiadł naprzeciwko Sealiah i Julie.

– Są jakieś problemy – wyjaśnił – z uaktualnieniem mojej sieci komputerowej.

Abby otworzyła zaciśniętą dłoń i wypuściła złotego skarabeusza. Potem odwróciła się do Beala i powiedziała:

– Dziewczyna miała już Eliota w garści, ale wycofała się w ostatniej chwili.

– Wygląda na to – zauważył Ashmed – że odezwało

się w niej sumienie.

– Naprawdę? – Beal pochylił się do przodu. – Mimo że przebywała w Dolinie Maków?

Julie wcisnęła się głębiej w siedzenie, próbując uciec przed bijącym od Beala smrodem padliny.

– To nie tak, proszę pana... Nie do końca.

Mulciber i Uziel, wyraźnie zainteresowani, podnieśli spojrzenia znad bandyckich szachów.

– To jak to było? – Beal położył dziewczynie rękę na kolanie i nacisnął.

Julie krzyknęła.

– To przez jego muzykę – odrzekła, z trudem powstrzymując się od płaczu.

Powietrze w tej pustynnej krainie było tak gorące, że łyzy i tak natychmiast wysychały, zostawiając na policzkach słone plamy. Sealiah czuła, że serce Julie bije jak szalone, a przecież powinno już dawno się zatrzymać.

– Mogłam dostarczyć wam Eliota – ciągnęła Julie – ale po tym, jak dla mnie zagrał, wszystko się zmieniło.

– Słyszeliśmy jego grę – odrzekł Beal. – Ale gdyby chodziło o moją duszę...

– Było warto – wyszeptwała Julie cichutko. – Miałam wrażenie, że w tle śpiewają jakieś głosy.

Sealiah zamarła. Julie nie powiedziała jej wcześniej o tym drobiazgu. Byłoby zdecydowanie lepiej, gdyby i teraz zachowała go dla siebie.

– To brzmiało – głos dziewczyny drżał – jak chóry anielskie.

Wszyscy w wagonie przerwali swoje działania i spojrzeli na Julie. Kiedyś każde z nich umiało tak śpiewać. To wspomnienie było bardzo odległe, ale wciąż ważne i

zbyt bolesne, żeby je przywoływać publicznie.

Sealiah zagryzła wargi tak mocno, że poczuła w ustach smak krwi. W jej umyśle pojawiła się nowa możliwość: a co, jeśli Eliot faktycznie jest jednym z nich, tyle że nieskażonym grzechem? Ani śmiertelnym, ani nieśmiertelnym, nie do końca też piekielnym, bo przecież nigdy nie skazanym na potępienie.

Beal roześmiał się, przerywając zapadłą w wagonie ciszę.

– Idiotyczne przesady. Też miałem takie sny, kiedy byłem małym chłopcem. Nie są niczym więcej niż głupotą, z której w pewnym momencie się wyrasta.

– Zacisnął dłoń na kolanie Julie. Kość pękła.

Dziewczyna zwinęła się w kłębek przy boku Sealiah. Królowa Maków otoczyła ją ramieniem, nie mogąc się zdecydować, czy udusić Julie, uciszając ją na zawsze, czy chronić ją, żeby wyciągnąć z niej później więcej informacji.

Na pustynnym horyzoncie zaczęły się zbierać chmury. Jechali teraz w dół zbocza, Królewski Księżę Koronny nabierał prędkości. Za oknami przemykały pokręcone drzewa obrosnięte mchem i bluszczem. Wreszcie wjeżdżali na terytorium należące do Sealiah.

– Chciałbym chyba – rzekł Beal, wyglądając na zewnątrz – dokładniej przebadać to dziecko. Sekcja może pokazać, gdzie leży jej problem.

Sealiah opuściła szybę. Siarczane opary wdarły się do środka. Julie zaczęła się dusić i kaszleć, ale smród szybko osłabł i wagon wypełnił się zapachem wiciokrzewu, wanilii i gnijących roślin.

Krajinę Sealiah porastała parująca, wilgotna dżungla

pełna cieni, kapiących trucizną kolców i kwitnących dzikich kwiatów.

– Wydaje mi się – zagruchała w odpowiedzi Królowa Maków – że trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, panie przewodniczący. – Wypełniała ją świadomość potęgi jej królestwa i doprowadzała jej krew do wrzenia. – Teraz już nie jestem w nastroju do dzielenia się czymkolwiek.

Beal otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale tylko wyjrzał znów na zewnątrz i potaknął, uznając, że Sealiah wygrała tę potyczkę. Wstał i wygładził pelerynę.

– Potrzebuję drinka.

Podszedł do baru z napojami i nalał sobie whisky. Mulciber i Uziel wrócili do szachowej rozgrywki, jednocześnie nie spuszczać oka z Sealiah. Lev otarł pot z czoła i szyi.

– Czy jest tu klimatyzacja? – Podniósł się, przetoczył swoje ciężkie cielsko w stronę baru i kiwnął głową do Beala. – Też by mi się przydało coś takiego.

Tamten niechętnie nalał mu kieliszek.

– Jesteśmy już gotowi do akcji w Dolinie Nowego Roku – mruknął Lev. – Znalazłem gościa, który zajmuje się malowaniem drzwi. Zdobyłem też nawet jedną z tych antycznych mosiężnych klamek.

– Dolina? – zapytał Beal rozkojarzony. – O czym ty pleciesz?

– To był twój pomysł – wymamrotał Lev. – Rozdzielić bliźnięta, usunąć je z zasięgu Ligi.

– A tak – szepnął Beal. – Oczywiście. Chodzi o tamtą dolinę.

– Czy w Del Sombrze jest punkt równowagi? –

zapytał Ashmed. – To byłoby najlepsze miejsce na takie zadanie. Punkt równowagi przedłuża czas połowicznego rozpadu.

– Tawerna Ostatniego Zachodu Słońca – odpowiedziała Sealiah. – Kilka kilometrów za miastem. Odizolowana. Pomiedzy wieloma źródłami mocy.

– Wyślę tam swojego człowieka – oznajmił Lev.

– Chyba że przewodniczący ma jakiś inny pomysł.

Beal machnął ręką przyzwalająco.

Uri wpatrywał się w Sealiah, co biorąc pod uwagę obecność jego zawsze podejrzliwego pana, było raczej niebezpieczne. Przewodniczącego Zarządu jednak zajmowało nalewanie sobie kolejnej whisky.

Sealiah spojrzała na Uriego. Kciuk i palec wskazujący u jego lewej dłoni ułożyły się pod kątem prostym: w literę L. Co mogło to oznaczać? I jaka sprawa mogła być tak ważna, że Uri zaryzykował próbę przekazania sygnału w obecności Beala i innych? Przypomniała sobie ich ostatnią rozmowę. Uri powiedział jej wtedy, że Beal wierzył, iż ich kuzyn Louis żyje, ma się dobrze i mieszka w Del Sombrze. Czy Beal współpracował z Louisem? To brzmiało mało wiarygodnie, ale w większość spraw związanych z rodzeństwem Postów było trudno uwierzyć. A może sygnał Uriego oznaczał, że sprawy potoczyły się niepomyślnie?

Sealiah ostrożnie rozejrzała się po wagonie. Abby i Ashmed znów o czymś rozprawiali, odwróceni do niej plecami. Beal i Lev koncentrowali się na swoich drinkach, nie zwracając na nią uwagi. Uziel przestawił swojego prawnika na szachownicy, szykując się do ostatecznego

ataku i chichocząc z zadowolenia. Tylko Mulciber wciąż na nią patrzył jednym ze swoich przekrwionych oczu. Cóż, nawet ten stary nietoperz nie mógł bez przerwy jej obserwować i jednocześnie skupiać się na grze.

Westchnęła, oparła się wygodnie i delikatnie wzruszyła ramionami, dając tym samym znak Uriemu, że potrzebuje od niego dalszych wyjaśnień. Ułożone w literę L palce sługi Beala zawinęły się w dół. Wskazujący podłogę kciuk nie pozostawiał złudzeń. Złe wiadomości.

Sealiah poczekała, aż Mulciber skoncentrował się na obronie swojej królowej dziwek, a wtedy wykonała zaciśniętymi palcami szybki gest sugerujący ucinanie. Przekaz był jasny: „Nakłoń Louisa, żeby przyjął nasz punkt widzenia. Jeśli się nie uda, zlikwiduj go”. Uri kiwnął głową. Przez chwilę jeszcze patrzył jej prosto w oczy z tęsknotą, żalem i rozpaczą. Miał świadomość, że to może być ich ostatnie spotkanie. Sealiah nie mogła tego znieść. Odwróciła głowę.

Najprawdopodobniej właśnie skazała na śmierć najlepszego przybocznego, jakiego kiedykolwiek miała. Ale czy istniało inne wyjście? Sojusz między Wielkim Kłamcą i Panem Wszystkich Istot Skrzydlatych stworzyłby zabójczą kombinację: umysł i siła w jednym. Nie mogła do tego dopuścić niezależnie od kosztów.

Zaczerpnęła głęboko powietrza – rozkoszując się bogatym zapachem rozwoju i rozpadu, złożoną wonią tysiąca kwiatów – a potem je wypuściła. Niech więc tak będzie. W grze traci się figury. Bez tego nie da ma zwycięstwa.

Pociąg zasyczał i zwolnił, wjeżdżając na stację porośniętą winoroślami. Cień zapewniały sięgające chmur

figowce bengalskie zwane banian.

– Nasz przystanek, moja droga – zwróciła się Sealiah do Julie.

Pomogła dziewczynie wstać. Połamane kości zatrzęszczały, a Julie zawyła z bólu.

– To akurat – zapewniła ją Sealiah – jest teraz najmniejszy z twoich kłopotów.

Odprowadziła kulejącą podwładną do drzwi w tyle wagonu.

– Drodzy kuzyni – oświadczyła, zwracając się ku pozostałym członkom rodziny – żegnam was. Będę niecierpliwie wyczekiwać naszego następnego spotkania. Może uświetnionego obecnością młodego pana Posta?

Lev podniósł kieliszek, żeby wznieść toast za powodzenie tego planu. Ashmed wstał, ukłonił się i powiedział: .

– Wkrótce się do ciebie odezwę, pani.

– Ależ oczywiście – uśmiechnęła się Sealiah i wciąż trzymając Julie pod ramię, opuściła Królewskiego Księcia Koronnego i wkroczyła do dżungli.

Dobrze było być znów u siebie. Powietrze wypełniały opary i zapach nektaru. Delikatne łądzki owinęły się wokół jej łydek i nadgarstka, rozkwitając orchideami i makami z radości, że powróciła ich królowa.

Skierowała się do znajdujących się obok stacji stajni, brutalnie ciągnąc za sobą stworzenie dawniej znane jako panna Julie Katherine Marks. Miała dużo do zrobienia. Testowanie nowej nadziei obecnej w sercu dziewczyny będzie na pewno bardzo przyjemne – ciekawe, jak dużo czulej opieki ze strony Sealiah to piękne uczucie przetrzyma.

CZEŚĆ VII

KOŃCÓWKA

ZAWSZE ZATRUTY

Louis wiedział, że tego wieczoru wszystko się rozstrzygnie. Musiał albo doprowadzić swojego syna przed oblicze Beala, albo pożegnać się z własną duszą i życiem. Żadna z tych możliwości specjalnie mu nie odpowiadała.

Spojrzał na swojego nowego rolexa cellinium. Umowa z piekielnym przewodniczącym Zarządu kończyła się już za dwanaście godzin.

Stał w wynajętym, znajdującym się pod sklepem z dewocjonaliami mieszkaniu, które oczywiście dostosował do swoich potrzeb. Dywany, oświetlenie i cała instalacja elektryczna zostały usunięte. Brakowało tu tylko idealnej w takich sytuacjach posadzki z rytualnie oczyszczonego bazaltu, ale i tak powinno wystarczyć.

To, że mieszkał pod sklepem z setkami krzyży, egzemplarzami Biblii i bezsilnie spoglądającymi na niego słodkimi porcelanowymi aniołkami, sprawiało mu przewrotną przyjemność. Na myśl o tym prawie zapomniał, że za kilka minut może być martwy.

Sprawdził znowu godzinę i spróbował wysiłkiem woli zwolnić bieg czasu. Niestety, w tej mizernej cielesnej powłóce nie dysponował wystarczającą mocą.

Dziesięć minut, góra trzydzieści – uważał, że tyle czasu mu zostało, zanim któryś z jego licznych kuzynów spróbuje zmienić pakt z Bealem, niszcząc po prostu słabe

ciało Louisa. Był gotowy. Niech próbują. Ostatni element zdrady, który zaraz miał się wypełnić, był w zasadzie formalnością. Dopiero potem zaczną się prawdziwie machlojki.

Uklęknął i sprawdził okrąg, wewnątrz którego stał. Wszystko było w idealnym porządku, średnica odpowiadała dokładnie rozmiarowi jego włoskich mokasynów.

Okrąg otaczały liczne wykwitające na ścianach, podłodze i suficie symbole i linie – lotos tysiąca łuków i zawijających się wokół siebie ciągów starożytnych liter. Tak jak zwykle w przypadku planów Louisa rysunki nie były tym, na co wyglądały.

Znowu dokładnie obejrzał okrąg, delikatnie naciskając i gładząc kolejne symbole. Nawet biorąc pod uwagę swoją świeżo odzyskaną siłę, musiał być bardzo ostrożny. Ta sztuczka, której nauczył się od mistrza origami Ślepego Zhe⁶⁶, wymagała wielkiej delikatności.

Plany wewnątrz planów. Wszystkie te komplikacje zmniejszały szanse powodzenia rzeczywistych knowań Louisa, ale co mógł na to poradzić, mając tak niewiele mocy?

⁶⁶Ślepy Zhe był jednym z buddyjskich mnichów, którzy w VIII wieku sprowadzili do Japonii sztukę produkcji papieru. Po tym, jak wykonał szczególnie wierną (i nieszczególnie atrakcyjną) figurkę origami przedstawiającą matronę klanu Soga, został uwięziony i skazany na śmierć. Kiedy książę regent Shótoku Taishi dowiedział się o całej sprawie, natychmiast pospieszył uratować Zhe, ale trzymany w dobrze strzeżonej głębokiej na dziesięć metrów studni mnich zniknął. Nigdy więcej go nie widziano. W 1899 roku odkryto jednak napisane przez Zhe *Błyszczące wodne zwoje*, a wraz z nimi zaginioną technikę zginania mokrego papieru, a także diagramy, które współcześni matematycy dopiero zaczynają odszyfrowywać (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VIII, *Mity wschodnie, op.cit.*).

TYzęsły się mu ręce. Długie blizny znaczyły nadgarstki. Tak jak każda wiedza, sztuczka Zhe miała swoją cenę – połowę znaków na podłodze wykonano kredą i mazakami, druga jednak została zapisana krwią.

Nie znosił swojego słabego ciała. Ale czy to nie ulotna delikatność niegdyś porwała jego serce? I czy nie wyjaśniała tego, co teraz czuł wobec Eliota? A może to tylko przejściowa słabość? Jak każda fascynacja.

Nie, był dumny ze swojego syna. Chłopak natknął się na fragment wirtuozerskiej symfonii i zdołał ją samodzielnie dokończyć. Zresztą czego innego powinien się spodziewać po swoim dziecku?

Zacisnął dłoń w pięść tak mocno, że aż strzeliły stawy. Uczucie do Eliota krążyło w jego duszy jak toksyczny koktajl. Miłość!? Najpierw do Boga, potem do kobiety, którą uważał za idealną, a teraz do syna. Czy nauczka, jaką dostał, była mała? Z miłości nigdy jeszcze nie wyniknęło nic dobrego. Może istniały jakieś antybiotyki, które raz na zawsze wyleczą go z tego uczucia. Lepiej jednak, żeby je znalazł, zanim jego kończyny dopadnie gangrena.

– Mówisz do siebie? – zapytały cienie. – To oznaka szaleństwa.

Louis spojrział w górę. Ciemność w rogu przybrała kształt potężnie zbudowanego mężczyzny. Część cieni uformowała szerokie rysy i zacięte, błyszczące oczy Samończyka. Postać podeszła dwa kroki bliżej. Jej czarne buty zatoneły w wyrysowanych na posadzce symbolach, jakby betonowe fundamenty były błotem.

Urakarabameel, Mistrz Cieni i Szeptów. Jego obecność zaskoczyła Louisa. Spodziewał się raczej kogoś

reprezentującego trzecią stronę i usiłującego zerwać pakt z Bealem, a nie chłopca na posyłki Pana Wszystkich Istot Skrzydlatych. A może Uri był jednym i drugim? Jego dusza należała do Beala, ale serce mogło być wciąż własnością Królowej Maków.

Odetchnął z ulgą. Uri działał jak zwykły szachowy goniec. Poruszał się z morderczą skutecznością, ale wyłącznie po liniach prostych. Łatwych do przewidzenia.

Samoanczyk wskazał dłonią płataninę symboli.

– I to miało powstrzymać mnie od skръcenia ci karku?

Louis się zaśmiał.

– Zwykła ostrożność, kuzynie. Wiesz, jak to jest, polityka i członkowie Zarządu próbujący do ostatniej chwili przechytryć się nawzajem.

Uri zmrużył oczy z niezadowoleniem.

– Zgaduję, że przyszedłeś wyłącznie po to, żeby omówić interesy – stwierdził Louis. – Szkoda, w dawnych dobrych czasach mogliśmy gadać godzinami.

– Nigdy z sobą nie gadaliśmy. – Uri podszedł bliżej, z wysiłkiem przedzierając się przez labirynt symboli. – Przypominam sobie jedynie, że wciąż usiłowałaś mnie rozdrażnić. Im krócej będę z tobą rozmawiać, tym lepiej.

Louis udał, że czuje się zraniony. Może jednak Uri czegoś się w końcu nauczył. Spojrzał uważnie na kuzyna, próbując wypatrzeć przy jego sercu charakterystyczny kształt ukrytego w pochwie ostrza. Ciągle tam było. Saliceran, wiecznie zatruty, osławione ostrze Sealiah, żywy kawałek metalu, który rozkoszował się zabijaniem niemal tak bardzo jak jego właścicielka. A leżał obok

najważniejszego organu naiwnego Uriego.

– A więc – Louis wyprostował się – do interesów, mój lakoniczny antropofagu.

Uri zmarszczył czoło. Louis uznał, że powinien się raczej posługiwać monosylabami. Nie ma powodu, żeby torturować szczeniaka.

– Twój nowy pan zmienił termin – oznajmił Uri.

– Nakazuje ci rozpocząć natychmiast. Masz uwięzić Fionę w Dolinie Nowego Roku, a potem przyprowadzić tam Eliota.

– Macie dostęp do Doliny Nowego Roku? Ciekawe...

– Louis błysnął swoim sztandarowym uśmiechem, za którym ukrył nagły przypływ niepokoju. – Nie sądziłem, że Beal może zmienić warunki umowy. Zawarty wcześniej pakt wiąże obie strony. Rzuciliśmy kośćmi...

– Jakby w tym pakcie można było mówić o dwóch stronach...

Oczywiście z punktu widzenia Beala Louis był zbędny. Nawet zamienienie go w krwawą plamę nie złamałoby umowy.

– Rozumiem – odrzekł Louis. – Ale byłoby łatwiej, gdybym zrozumiał, jakie są przyczyny pośpiechu. W Del Sombrze jest tylu nieśmiertelnych i piekielnych, że ledwo się mogą ruszyć, żeby któremuś nie nadepnąć na palec albo na pazur.

– Sprawy się pokomplikowały – ostrożnie wyjaśnił Uri, ważąc każde słowo. – A co, jeśli powiedziałbym ci, że inni woleliby, żeby ci się wcale nie spieszyło z młodym paniczem Eliotem? I że mogliby zaoferować równie hojną nagrodę jak Beal?

O to więc chodziło. Uri przybywał z konkurencyjną propozycją. Ktoś chciał, by Louis zdradził Beala. Wciąż się uśmiechał... jego myśli zaś galopowały. Aby otworzyć przejście do Doliny Nowego Roku, członkowie Rady musieli współpracować. Już samo to było niepokojące. Jeśli kuzyni faktycznie działają wspólnie, nic ich nie powstrzyma. Wydawało mu się jednak, że wszystko toczy się jak zwykle: pozornie przyjazne podwójne układy, od czasu do czasu sztylet wbity w plecy – rekiny wyczuwające w wodzie zapach świeżej krwi.

Nie przewidział skali zamieszania, jakie Eliot i Fiona wywołają wśród piekielnych klanów. Bliźnięta okazały się znacznie groźniejsze, niż podejrzewał – co sprawiało, że jego decyzja była łatwiejsza. W końcu jeśli już miał grać, czemu nie iść na całego?

Uri znów z wysiłkiem zrobił kilka kroków, zbliżając się do kręgu Louisa. Symbole i linie na betonie ciągnęły się za nim, zaplątane wokół jego kostek, stawiając coraz większy opór. Samończyk chrząknął.

– Więc jak będzie?

– Nie mogę przystać na twoje żądania. Na żadne z nich. Wypełnię swoje zobowiązania względem Beala zgodnie z początkową umową. I w ustalonym w niej czasie.

Mięśnie Uriego naprężyły się, a jego potężne dłonie mocno zacisnęły. Nawet powietrze zdawało się drżeć od napięcia wywołanego olbrzymim wysiłkiem Samończyka.

– Dałem ci szansę, Louis. Możesz przeżyć. Jeśli odmówisz, nie pozostawisz mi wyboru.

Louis roześmiał się. Pomysł, że Uri mógłby

naprawdę uratować mu życie, wydawał się nader komiczny.

– Jeśli odmówię? Zrobię znacznie więcej, kuzynie.

Tamten zatrzymał się, na jego twarz wypłynął rumieniec. Trzeba mu przyznać, że próbował przeniknąć machinacje przeciwnika.

– Dlaczego mówisz mi coś takiego? Czyżbyś...

Sztuczny uśmiech Louisa zniknął.

– Czyżbym miał zamiar zaraz zrobić z tobą to, co planowałeś zrobić ze mną, kiedy tu przybywałeś?

Uri rozejrzał się dookoła. Stał pośród gęstwiny linii i symboli, w które sam się spletał. W końcu zrozumiał, że wcześniej patrzył nie w tym kierunku, gdzie powinien.

Louis pozwolił zakrzywionym warstwom przestrzeni wrócić na swoje miejsca i ujawnić prawdziwą geometrię pomieszczenia. Zwykła perspektywa nagle przechyliła się...

... i podłoga, na której stał Uri, nie leżała już płasko pod jego stopami, ale uniosła się i otoczyła go ze wszystkich stron.

Samończyk znalazł się wewnątrz gładkiego cylindra, uwięziony jak owad w pajęczynie drobnych linii, symboli i liter. Louis patrzył teraz na niego z góry przez wąski otwór zaprojektowanego przez siebie kokonu.

– Nie uda ci się po niczym wspiąć, ścianki są idealnie gładkie – oznajmił.

Uri gapił się ze wściekłością na niego. Jego oczy nabiegły krwią, na usta wystąpiła piana. Mięśnie urosły do gargantuicznych rozmiarów.

Louis otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale się zawahał. Nie chciał dłużej prowokować Uriego.

Byłoby to równie rozsądne jak wejście na tory kolejowe i pytanie się nadjeżdżającej lokomotywy, czy ma odwagę podejść bliżej. Ale nie umiał się powstrzymać.

– Salomon też ich używał, pamiętasz? Butelek Kleina, z ich pozbawioną tarcia powierzchnią w kształcie wstęgi Móbiosa. Uwięził tak wszystkie irytujące go dzinny i już więcej nikt o nich nigdy nie usłyszał.

Uri ryczał i szarpał się, ale tylko bardziej zaplątywał się w lepiałe się więzy kodów, które Louis wypisał na podłodze. Aż wreszcie jeden z napiętych sznurów symboli, narysowany żółtawą kredą (której użycia przy przygotowywaniu rytuałów zwykle odradzano), pękł. Kropki i greckie litery umocowane na pękniętej lince zatrzęsły się i rozsypały, znikając w kłębach zielonego dymu.

Satysfakcja zwycięzcy momentalnie wyparowała z twarzy Louisa. Uri obnażył zęby, po części się uśmiechając, po części zgrzytając nimi. Chwycił obiema dłońmi drżący sznur i mocno pociągnął. Złożona z poplątanych obrazów konstrukcja ugięła się, ale broniła się przed atakiem dopóty, dopóki sznur się nie uwolnił, a cała butelka Kleina się nie rozsypała.

Setki narysowanych krwią, mazakami i pastelową kredą geometrycznych symboli rozlały się po podłodze w potężnej fali czerwieni, czerni i bladych kolorów tęczy.

Louis upadł pod uderzeniem oswobodzonej mocy. Uri nadal stał. Wirujące wokół szaleństwo kolorów zdawało się nie robić na nim wrażenia, jakby był zbudowany z granitu. Trzema potężnymi krokami znalazł się przy Louisie.

Ten zaczął wyjaśniać, że wszystko, co się

wydarzyło, było wynikiem nieporozumienia. Zanim zdążył jednak wypowiedzieć pierwsze zdanie, Samończyk uderzył go gigantyczną pięścią.

Kolejność i siła odczuć były dokładnie takie, jakich Louis się spodziewał: cios o mocy młota pneumatycznego, wybuch bólu niczym eksplozja bomby atomowej, półprzytomne wrażenie odpływania, wreszcie brutalny powrót do rzeczywistości wywołany upadkiem na betonową posadzkę.

Zamrugął, usiłując powstrzymać napływające do oczu krwawe łzy. Przetoczył się dalej. Był ledwo świadomy, ale wiedział, co go za chwilę czeka. Krew i śluz kapały mu z nosa na dłonie. Razem z nimi pojawił się też pomysł na to, jak się wydostać z sytuacji, w jakiej się znalazł. Kichnął, plamiąc sobie ramiona skrzepami i wydzieliną, i w ostatniej chwili odturlał się przed kolejnym ciosem.

Stojący nad nim Samończyk zasłaniał wszystko. Jego ostatnie uderzenie jednak nie było wymierzone do końca na poważnie. Jeśli tylko by chciał, Uri mógł zgruchotać każdą kostkę w ciele Louisa. Ale przywiązanie do gry w kotka i myszkę ze swoimi ofiarami było w nim zbyt silne. Louis podziękował w duchu za głupotę kuzyna.

Uri chwycił go za ramiona i postawił z powrotem na nogi. Louis szukał rzeczy, której potrzebował do wykonania być może ostatniej w życiu sztuczki. Dojrzał ją prawie natychmiast: lekka wypukłość pod koszulą Samończyka.

Podniósł dłonie, trzymając je tuż przy piersi, aby ten gest wydawał się stuprocentowo niegroźną, żalną prośbą o litość. Biorąc pod uwagę to, kto stał naprzeciwko,

błaganie o łaskę nie miało żadnego sensu, ale musiał ustawić swoje zabrudzone krwią, potem i słuzem ręce w odpowiedniej pozycji.

Widział już, jak Uri zabija. Wiedział, że Samończyk lubi być blisko wijącej się w agonii ofiary, czuć woń jej przerażenia i lęku.

Zgodnie z przewidywaniami objął Louisa i uściśnął brutalnie. Nie spieszył się. Na początek Louis stracił tylko dopływ powietrza do płuc. Jego kości zatrzeszczały, ale żadna się nie złamała. Mógł wytrzymać w tej pozycji jakieś dziesięć sekund, zanim straci przytomność albo pęknie mu kręgosłup. Najgorsze jednak było to, że Uri cuchnął jak mokry pies.

Louis kopnął kilka razy powietrze, mając nadzieję, że zaspokoi to na chwilę dziką naturę Samończyka. Jednocześnie przesuwał powoli, centymetr po centymetrze coraz bardziej śliskie od potu ramiona po piersi kuzyna. Wreszcie dotknął opuszkami twardej skórzanej pochwy, a po chwili samego Salicerana.

Już tylko kawałeczek.

Zacisnął dłoń na rękojeści. Uri zastygł, a jego oczy rozszerzyły się w szoku. Wiedział już, że popełnił błąd, ale co mógł teraz zrobić? Jeśli puściłby Louisa, ten natychmiast wyciągnąłby zatrute ostrze. Zachował się więc w jedyny możliwy sposób – zacisnął ramiona jeszcze mocniej.

Cały kręgosłup Louisa zatrzeszczał, ale dodatkowa siła tylko przyspieszyła ruch jego wilgotnych rąk w kierunku sztyletu.

Kiedy chwycił Salicerana i wydobył go z pochwy, lekkim skrętem dłoni spowodował, że ostrze przecięło

jedwabną koszulę i zakrzywioną końcówką zahaczyło o szyję Uriego. Tam, gdzie dotknęło skóry, pojawiła się czarna kreska. Po chwili z rany wykwitły pęcherze, a czerwone linie trucizny zaczęły wykreślać bieg naczyń krwionośnych na szyi Samończyka.

Uri zaczął krzyczeć. Uwolnił Louisa, który upadł bezwładnie na podłogę, a sam chwycił się za gardło.

Louis jakimś cudem nie wypuścił sztyletu z ręki. Nerwowo łapał powietrze. Czarne plamy, które pojawiły mu się wcześniej przed oczami, powoli znikaly.

O bólu wywoływanym przez pocałunek Salicerana opowiadano legendy. Jego ostrze miało długość połowy męskiego przedramienia. Niegdyś stanowiło część potężnego miecza, który podczas pierwszej wielkiej wojny rozpadł się po uderzeniu w najpotężniejszy nienaruszalny obiekt. Pozostałe jego kawałki leżały pośród gwiazd, a ostatni wiecznie lkał tłustym jadem, pachnącym wiciokrzewem i migdałami. Na zdobiących Salicerana warstwach damasceńskiej stali wyryto runy tak stare, że nawet Louis nie umiał ich odczytać.

Uri rzeził i z trudem chwycił powietrze. Trucizna sięgała coraz głębiej, rozdymając jego szyję niczym balon.

Louis nie powtórzył błędu kuzyna. Bez wstępów, wygłaszania mowy, przytaczania cytatów i najmniejszego wahania wbił bestii sztylet w oko. Samończyk zawył. Jego ręce zaczęły się miotać na ślepo, szukając ostatniej rzeczy, którą mogłyby schwycić i zmiażdżyć. Louis się cofnął. Uri zamrugał jedynym pozostałym mu okiem i upadł na beton z taką siłą, że pomieszczenie zatrzęsło się w posadach. Konwulsje szarpnęły nim raz i drugi, ale po chwili wydał z siebie ostatnie długie westchnienie i

zneruchomiął.

– Przykro mi, kuzynie – wyszeptał Louis.

Naprawdę było mu przykro. Uri autentycznie kochał Sealiah. Może i chorym, niewolniczym uczuciem, ale i tak zasługiwało ono na przetrwanie. Choćby po to, aby obie strony mogły przez nie wiecznie cierpieć.

– Tak ci będzie łatwiej – powiedział do leżącego na posadzce ciała. – Z takich związków nic nigdy nie wychodzi. Uwierz mi, mam w tej sprawie trochę doświadczenia.

Louis czuł się, jakby pękły mu dokładnie wszystkie kości. Ból był szczególnie dotkliwy wzdłuż kręgosłupa.

Wiedział jednak, że wkrótce minie. Kiedy tylko dokończy rytuał i wyciągnie z fizycznej formy Uriego trzymające się jej kurczowo resztki mocy, zaleczenie kontuzji i obrażeń stanie się dziecinnie proste.

Sięgnął do szyi Samończyka, żeby sprawdzić puls, ale była za bardzo opuchnięta. Zdjął mu więc ostrożnie jeden z butów i dotknął tętnicy biegnącej koło kostki. Nie wyczuwał żadnego ruchu, ciepła ani innych oznak życia. Trucizna Salicerana powaliła już królów, papieży, nieśmiertelnych i anioły – w sumie właśnie do tego celu została stworzona.

Nachylił się nad piersią Uriego, odpiął od niej pochwę Salicerana i schował zatruty sztylet do środka. Przekreślił go kilka razy w dłoniach. Zastanawiał się. Saliceran dawał mu nowe możliwości. Ale co tak naprawdę mógł zrobić? Starcie z Urim było jak walka matadora z mamutem – dziwaczny pojedynek, chociaż biorący w nim udział człowiek miał szanse ujścia z życiem. To, o czym teraz myślał, przypominało raczej

wyzwanie rzucone przez komara nadjeżdżającemu pociągowi. Chyba że Louis okaże się niewiarygodnie sprytny...

Wziął do ręki szmatę i zakrył najpierw to oko Uriego, które pozostało w całości, a potem drugie. Pogłaskał go po głowie. Zastanawiał się, czy nie powinien czegoś powiedzieć, żeby uczcić pamięć kuzyna. Ale jakich słów mógłby użyć? Mówić o tym, że Uri był wiernym żołnierzem? Że walczył do końca? Czy raczej że zachowywał się jak śliniący się szczeniak, bezmyślnie podążający tropem swojej właścicielki? Zdecydował, że minuta ciszy będzie najwłaściwsza.

Przekonany, że dopełnił już odpowiedniego rytuału i wyraził tym samym do końca szacunek, na jaki zasługiwał kuzyn, zdjął mu kurtkę, z trudem ściągając ją z martwych umięśnionych ramion.

Kurtka, niczym nie kończąca się chusteczka iluzjonisty, okazała się uszyta z tyłu warstw materiału, że wystarczyłoby go na cyrkowy namiot. Miała setki, jeśli nie tysiące wewnętrznych kieszonek. Krawcy z rodziny Scalagari przeszli samych siebie.

Louis przejechał dłonią wzdłuż jedwabnej podszewki. Drżącymi palcami grzebał w kolejnych kieszeniach, wyciągając z nich mistyczne pieczęcie, zabawkową magiczną kulę udzielającą odpowiedzi na zadane pytania, sekstans i zwinięty atlas gwiazdny.

– Nie, nie, nie – wyszeptał.

Od nowa przeszukał kurtkę, tym razem znajdując grubą tekturową teczkę z dokumentami. W środku były raporty dotyczące Postów i mówiące o nowo odkrytym talencie muzycznym Eliota oraz, co ciekawsze,

umiejętności przecinania, zdobytej przez Fionę. Louisa przeszedł dreszcz. Dziewczyna najwyraźniej odziedziczyła wiele po matce.

Znalazł też opis codziennych zajęć bliźniąt: pracy w restauracji, pieszych powrotów przez miasto do domu, długich nudnych godzin spędzanych w ponurym mieszkaniu Audrey. Choć najwyraźniej ostatnio sporo się zmieniło, bo zdjęcia z kamer przemysłowych pokazywały Eliota spacerującego ze śliczną blondynką. Z niepewnej miny i nieśmiałych spojrzeń chłopca jasno wynikało, że to właśnie ona skradła mu serce. Najwyraźniej chłopak dziedziczył po nim skłonność do zadawania się z niewłaściwymi kobietami. Louis westchnął. Musi znaleźć czas na to, żeby wyszkolić syna, jak ma sobie radzić w kontaktach z groźniejszą płcią.

Dalej znalazł fotografie Fiony zsiadającej z motocykla i spacerującej po lesie w towarzystwie tego samego młodego mężczyzny, który poprzedniej nocy przyjechał po Eliota. Jedno ujęcie pokazywało, jak całują się na chodniku. Chłopakowi poświęcono zresztą osobną koszulkę z dokumentami, zawierającą wszystkie niezbędne dane i informacje. Nazywał się Robert Farmington, był jednym z kierowców Ligi. Ciekawe. Całował Fionę? Musiał być buntownikiem skłonny do łamania reguł. Louisowi od razu się to spodobało. Przejechał palcami po obrazie twardej, przystojnej twarzy Roberta.

– Nadasz się – zamruczał pod nosem, odchrząknął i wyszeptał: – Robert Farmington. – Potem powtórzył głośniej: – Robert Farmington. – Wreszcie podniósł głos o pół oktawy: – Robert Farmington. – Dobrze, dokładnie tak

brzmiał wczoraj jego głos.

Pora ruszać do roboty. Louis miał konkretne rozkazy. Musiał przypieczętować los kilku osób i dotrzymać piekielnego paktu. Najpierw zajmie się córką. Tak jak tego od niego oczekiwano, zastawi na nią pułapkę w Dolinie Nowego Roku.

Czuł się trochę winny. Nie dlatego, że miał ją zamiar uwięzić w królestwie cieni – być może na zawsze – ale ponieważ nie czuł do niej tego, co do Eliota. Pewnie za bardzo przypominała mu jej matkę. Nieważne. Kiedy już Fiona znajdzie się w dolinie, będą mieli całą wieczność na to, żeby nadrobić rodzinne zaległości.

Louis znalazł telefon komórkowy Uriego, odszukał numer do mieszkania Postów i wcisnął „Połącz”.

Kiedy już skończy z Fioną, zajmie się Eliotem. Niezależnie od tego, co sam planował, musiał zdradzić swojego syna i doprowadzić go przed Bealą.

Usłyszał w słuchawce sygnał. Chwilę później ktoś po drugiej stronie odebrał telefon.

– Halo? – odezwał się. – Hi Robert Farmington. Czy mogę rozmawiać z Fioną?

TELEFON ZWIASTUJĄCY KŁOPOTY

W pokoju Fiony panował bałagan. Wszędzie walały się jej rzeczy. W rogu leżał stos brudnych ubrań. Jeśli ktokolwiek nadal pilnowałby przestrzegania reguły 16, wszystko to zostałoby wyrzucone na śmietnik.

Zabawne. Dlaczego martwiła się takimi drobiazgami po tym, jak przeszła trzy próby, podczas których groziła jej śmierć? Chodziło o zasadę.

Podniosła z podłogi tomik z opowieściami o starożytnym Rzymie i położyła go z powrotem na półkę. Książkom należało się lepsze traktowanie. Następnym razem, kiedy będzie wściekła, wyładuje się na czymś, co naprawdę na to zasłużyło.

To właśnie było tego ranka najdziwniejsze – nie czuła żadnych emocji. Odkąd pocięła się w labiryncie w wesołym miasteczku, stała się niemal obojętna na smutek, przerażenie czy nawet radość. Tylko złość ogarniała ją jak na zawołanie. Marne pocieszenie. Nie mogła spędzić reszty życia wściekła na wszystkich i wszystko.

Gdy zamykała oczy i usiłowała się skupić, docierał do niej promyk nadziei i szczęścia. Razem z Eliotem przeszli testy Ligi. Teraz jej członkowie powinni ich zaakceptować. A może nie? W wyobraźni niemal słyszała, jak krewni obradują nad ich losem.

Przynajmniej próby się skończyły. Nie czekają jej już żadne niespodziewane wypadki w środku nocy.

Dotknęła swojego antycznego globusa i przekreśliła go tak, by mieć przed oczami Pacyfik i Mikronezję. Czy tak właśnie wyglądała umiejętność beznamietnego obserwowania zdarzeń, którą zdawała się posiadać babcia? Cee powiedziała Fionie, że babcia też kiedyś dokonała na sobie cięcia. Dziewczyna jednak nie sądziła, by wtedy chodziło o apetyt. Ile mogło istnieć na świecie wiecznie pełnych pudełek przeklętych czekoladek?

Przypomniała sobie o tym, co wprawiało ją w dobry nastrój. Wybrała ze stosu brudnych ubrań spodnie od dresu, przedarła je i wyciągnęła pojedynczą bawełnianą nitkę.

Przecinanie. Tylko to może spowodować, że znów coś poczuje. Bo przecinanie dawało jej coraz więcej przyjemności.

Naciągnęła nitkę i skoncentrowała się. Włókno skręcało się na końcach, stając się coraz ostrzejszym, aż prawie zniknęło, zmieniając się w linię siły wywołującą fale w otaczającym je powietrzu.

Fiona rozejrzała się po pokoju, szukając czegoś, co mogłaby zniszczyć. Książki, maszyna do pisania, meble – na wszystkich tych rzeczach jej zależało. Westchnęła. Ostatnie, czego potrzebowała, to więcej bałaganu. Rozluźniła dłonie i nic opadła. Może lepiej nie czuć nic, niż cieszyć się niszczeniem czegoś wartościowego.

Bawiła się jeszcze przez chwilę nitką, zawijając ją sobie wokół dłoni. Przypomniało jej to, jak Dallas pokazała jej sztuczkę pozwalającą zobaczyć swoje życie... i jak dostrzegła jego koniec.

Wpatrywała się w nic, starając się na zmianę wyostrzać jej obraz i gubić go, jakby pojawiał się tylko w

kąciku jej pola widzenia. Nic rozmyśla się na wiele włókien, stając się wzorem, który z jednej strony sięgał daleko w przeszłość Fiony, a z drugiej docierał do jej przeszłości.

Splot w części opisującej przeszłość wyglądał mniej więcej jednakowo, nie licząc drobnego frędzelka łączącego go z terażniejszością. Ten był tak bardzo przetarty, że zdawało się, że zaraz pęknie. Fiona przyjrzała mu się bliżej. Mikroskopijne niteczki owijały się wokół niego, splatały, tworząc most łączący wczorajszy dzień z dzisiejszym. Jej życie miało się skończyć dokładnie w tym miejscu. Nie... Zmrużyła oczy. Ono się naprawdę skończyło. Biegące z przeszłości włókno było cieniutkie i w końcu znikало – i gdyby nie nowe niteczki, zostałyby ostatecznie ucięte.

Drżącymi palcami dotknęła tego fragmentu nici. Błyszczał jak złoto, a w dotyku sprawiał wrażenie ciepłego i zrobionego z drewna. Wyczuwała też mocne i regularne tętno.

To musiał być efekt zjedzenia złotego jabłka. Jedno życie się skończyło... A teraz? Zaczęło się nowe? Dostała kolejną szansę? Czy stało się coś innego, czego jeszcze nie rozumiała? Czymkolwiek to było, przenikało jej terażniejszość i rozciągało się dalej. Znów miała więc przeszłość.

Z ciekawością, ale i ostrożnością przyjrzała się nowej nici. Włókno tworzyło splątana tkaninę rozdzielającą się na zmierzające w różnych kierunkach części. Gdzieś w tym chaosie dostrzegła łądzki ozdobione małutkimi listkami i kwiatami jabłoni. Co oznaczała ta wielość ścieżek? Że jej przyszłość nie jest

jeszcze ustalona? Zauważyła sporo szybko urywających się odgałęzień i uznała, że ich koniec należy rozumieć dosłownie. Większość włókien jednak ciągnęła się dalej i znikiała pośród cieni.

Niepewnie przesunęła dłoń w stronę tej części splotu, wyczuwając szorstkość drewna i cegieł, musujące bąbelki szampana. W jej nosie zakręciło się od zapachu perfum, a w uszach zabrzmiał śmiech. Też się uśmiechnęła. Wyglądało to na imprezę i miała nadzieję, że faktycznie się jej przytrafi.

Dalej jednak wrażenie diametralnie się zmieniło. Poczowała mróz, twardey bruk, śliską kleistość krwi, woń siarki i ognia. Zupełnie jej się to nie podobało.

Puściła nici. Podniosła z podłogi maszynę do pisania, papiery i książki na wypadek, gdyby w pokoju pojawiła się babcia. Wrzuciła ubrania do kosza na brudy i wyszła na korytarz. Nie chciała już dłużej w samotności zmagać się ze swoimi myślami.

Zapukała do pokoju Eliota i weszła do środka – a raczej spróbowała wejść. Drzwi były zamknięte.

– Sekundkę – powiedział Eliot, po czym otworzył je kluczem. – A, to ty. – Spojrzał z powrotem na swoje łóżko. – Wejdz. Tylko zamknij za sobą drzwi.

Od kiedy to Eliot zamykał się w swoim pokoju? Chociaż Fiona też zaczęła ostatnio to robić. Każde z nich miało teraz coś do ukrycia. Co, jak sądziła, nie było dobrą oznaką. Ale na razie zostawiła ten temat i zrobiła to, o co brat ją poprosił.

Eliot usiadł na krawędzi łóżka i odsunął koc, odsłaniając skrzypce. Fiona zauważyła, że wymienił pękniętą strunę i instrument wyglądał jak nowy.

Zastanawiała się, skąd wzięła nową.

Eliot dotknął na chwilę skrzypiec i odwrócił się do okna, wpatrując się w pustą przestrzeń. Ręce trzymał teraz złożone na kolanach, a na jego twarzy malował się ból. Fiona domyślała się, jakie myśli i obrazy przebiegały przez jego głowę: ostatnia noc, mgła, krzyki tych wszystkich ludzi... a potem ich agonie. Przypomniła sobie, jak na początku usiłowała sobie racjonalnie wytłumaczyć to, co zrobiła Perry'emu Millhouse'owi. Powtarzała sobie, że została postawiona w sytuacji bez wyjścia, że musiała chronić siebie, Eliota i dziewczynkę. Nic jednak nie mogło zmienić tego, że zabiła człowieka. A przecież tak naprawdę w momencie unicestwienia tego potwora poczuła satysfakcję. Eliotowi zaś nie było to dane. Ludzie w bazie sił powietrznych nie byli tacy jak Millhouse. Jeśli podczas ostatniej próby heroicznej ktoś zasłużył na miano potwora, to raczej ona i Eliot.

Usiadła koło brata na łóżku i westchnęła.

– Jak się czujesz? – zapytał. – Możesz jeść?

– Rano przełknęłam trochę płatków. Smakowały jak trociny, ale przynajmniej nie zwróciłam. Wypiłam też trochę wody.

– A co z jabłkiem? Wyczuwasz jakąś różnicę?

– Nie, niespecjalnie. Ta sama stara ja.

– To dobrze, nie? – Eliot kiwnął głową.

Nie wyglądał na zbyt przekonanego, więc Fiona spojrzała na niego pytająco.

– Wiesz – wyjaśnił – wszystko, co nam się przydarzyło w ciągu tych dni od urodzin, okazuje się inne, niż wyglądało na pierwszy rzut oka. Prezenty mają nieoczekiwane konsekwencje, nowo poznana rodzina,

zamiast się nami opiekować, wystawia nas na śmiertelnie groźne próby. Tak jest ze wszystkim. – Przejechał dłonią po drugim ramieniu. Czerwone kreski i siniaki, które Fiona widziała na jego ręce wczoraj, nie zniknęły. Zakażenie? Trucizna? Powinien pokazać to lekarzowi.

Eliot zauważył zatroskane spojrzenie siostry i odwrócił się tak, żeby nie widziała jego ręki.

– To nic takiego. Zwykle zadrapania.

– Nieprawda, wyglądają na coś poważniejszego – wyszeptła, ale nie dodała nic więcej.

Eliot zachowywał się tak, jakby coś ukrywał. Tak samo jak ona wcześniej pudełko z czekoladkami.

Zerknęła na skrzypce. Płomienny wzór na pudle i struny, które zdawały się wibrować, choć nikt ich nie dotykał, sprawiały niepokojące wrażenie. Chciała powiedzieć Eliotowi, że może powinien je na jakiś czas odłożyć, że nawet najlepsze rzeczy w nadmiarze okazują się szkodliwe, ale zrezygnowała. Zbyt dobrze wiedziała, jak był do nich przywiązany. Postanowiła tylko, że na razie będzie się uważnie przyglądać ramieniu brata.

– Babcia już wróciła? – zapytał, chcąc zmienić temat, ale Fiona postanowiła udąć, że tego nie dostrzega.

Pokręciła głową.

– Pewnie będziemy musieli iść do pracy.

– Restauracja jest zamknięta na tydzień. Zmieniają wystrój.

Wiadomość przyjemnie zaskoczyła Fionę. Może zadzwoni do Roberta? Może jej życie będzie wyglądać normalnie – choćby przez kilka godzin?

– Spotkasz się z Julie?

Eliot się wzdrygnął, a jego twarz przybrała jeszcze

żałośniejszy wyraz.

– Ona wyjechała – szepnął. – Musiała opuścić miasto... i nie wydaje mi się, żeby miała zamiar wrócić.

– Och.

Fiona nie była pewna, czy cieszyć się z tego, czy martwić. Eliot ewidentnie podobał się Julie, ale było w niej, dokładnie tak samo jak w jego skrzypcach, coś dziwnego, co budziło w niej niepokój. Chciała powiedzieć bratu, że wszystko będzie dobrze, że jakoś przeboleje wyjazd dziewczyny. Bo w końcu okazało się, że nie są mięczakami – przetrwali próby, które przygotowała dla nich Liga.

Oczywiście nie zapomniała o tym, jaką cenę zapłacili za przetrwanie. Zmienili się jak pionki, które przedostały się na drugi kraniec szachownicy. A może już na zawsze pozostaną pionkami w rękach Ligi? Zacisnęła pięść tak mocno, że aż zbiały jej kostki. Gniew łatwo wypływał na powierzchnię jej myśli. Głęboko westchnęła i rozluźniła dłoń.

Wtem rozległ się dzwonek stojącego w jadalni telefonu. Skoczyli na równe nogi.

– To na pewno babcia – rzucił Eliot.

– Założę się, że Rada podjęła decyzję – potaknęła Fiona.

Oboje szybko znaleźli się przy drzwiach i wyskoczyli na korytarz. Z trudem łapiąc równowagę na śliskim drewnianym parkiecie, pobiegli do jadalni. Ale powoli idąca w stronę telefonu Cee miała do niego znacznie bliżej i to ona podniosła słuchawkę.

– Tak?... Dzień dobry, panie Farmington. Tak, Fiona jest w domu. Czy dzwoni pan prywatnie, czy z jakąś

poważną sprawą?

Robert do niej zadzwonił? Jeśli chodziło o coś poważnego, to na pewno miało to związek z Radą. Może zdecydowała, że rodzeństwo trzeba postawić przed kolejną próbą? Robert zawsze zdawał się przynosić złe wieści... Ale jeśli powie, że dzwoni prywatnie, Cee może po prostu odłożyć słuchawkę. Reguła 99: żadnych prywatnych telefonów.

Robert odpowiedział Cee. Fiona nie usłyszała, jakie dokładnie padły słowa – w miejscu, gdzie stała, jego głos był ledwie słyszalny. Cee jednak zaśmiała się i zarumieniła (Fiona nie zdawała sobie sprawy, że to wciąż możliwe), a potem podała słuchawkę prawnuczce.

Zaintrygowany Eliot przysunął się bliżej.

– Halo? – Fiona ledwo mogła wydobyć głos z siebie.

– Jak się masz, mała? – Głos brzmiał tak jakby Robert był całkowicie zrelaksowany. Jakby siedział gdzieś na plaży, popijając w słońcu jakiś koktajl.

Fiona odruchowo niemal spojrzała w lustro, by upewnić się, że dobrze wygląda. Co za dziecinne zachowanie! Zebrała się w sobie i odpowiedziała:

– W porządku. Co zadecydowała Rada?

Robert się zawahał.

– Jeszcze nic... Ale wyskoczyło coś nowego.

Teraz jego ton nie był już taki swobodny. Pojawiła się w nim lekka nerwowość.

– Możemy się spotkać?

To, w jaki sposób zapytał – tak bezpośrednio, z taką prośbą w głosie – spowodowało, że w sercu Fiony rozlała się fala ciepła. Odsunęła się od Eliota i Cee, zasłaniając

słuchawkę dłonią.

– Myślę, że tak. O co chodzi?

– Nie mogę powiedzieć przez telefon. Linia może być na podsłuchu.

Nie wiedziała, kto mógłby ich podsłuchiwać, ale była pewna, że Robert wie, o czym mówi.

– OK. Więc gdzie i kiedy?

– Za dziesięć minut będę na rogu Midway i Vine. – Po chwili wypełnionej znaczącą ciszą szepnął: – Przyjdź sama. To, co mam, jest tylko dla ciebie.

Gorąca ekscytacja, jaką dziewczyna czuła jeszcze przed chwilą, wyraźnie ostygła. Spojrzała na Cee i Eliota, którzy niecierpliwie się w nią wpatrywali. Robertowi na pewno chodziło o to, by nie przywodziła ani babci, ani Cee. Eliota to nie dotyczyło. A może... może to miała być randka? Bała się zapytać. Nie przy uważnie nasłuchującej Cee.

Poza tym nie wiedziała, co myśleć o tym, że Robert chciał się z nią spotkać akurat wtedy, kiedy Rada debatowała nad losem jej i Eliota. Oczywiście chwila sam na sam sprawiłaby jej przyjemność, ale okoliczności wydawały się jakoś nieodpowiednie. No i nie mogła tak po prostu zostawić brata. Nie w takim depresyjnym nastroju. , – Fiona, jesteś tam?

– Tak. Będę na rogu za dziesięć minut.

– Fajnie, mała. Do zobaczenia. – Rozłączył się.

Fiona gapiła się w słuchawkę. Od kiedy Robert mówił do niej „mała”? Nie podobało jej się to.

– No i? – zapytał Eliot.

– Idziemy się przejść. Lepiej zabierz plecak. Może się przydać.

Wyraz głębokiego zaintrygowania na twarzy chłopaka zamienił się w kamienną powagę. Zrozumiał: może im grozić niebezpieczeństwo i... może będzie musiał znów grać na skrzypcach. Chwilę się zastanawiał, potem kiwnął głową i pobiegł z powrotem do swojego pokoju.

– Przejść? Ale gdzie? – zapytała Cee, wykręcając dłoń.

Fiona bez słowa przeszła do kuchni, a prababka za nią.

– Czy chciałabyś może, kochanie, żebym przygotowała wam jakąś przekąskę przed wyjściem?

Fiona otworzyła lodówkę i sięgnęła na półkę z warzywami po pęczek szparagów obwiązany fioletową gumką. Przypomniała sobie, jak za pomocą podobnej recepturki przecięła Millhouse'a. Zamrugała, żeby pozbyć się okropnego obrazu, i zdjęła gumkę.

Odwróciła się do Cee, wypróbowując sprężystość opaski.

– To nic poważnego, ale musimy tam iść z Eliotem sami – wyjaśniła, chociaż była pewna, że jest dokładnie odwrotnie. Wszystko bowiem wyglądało nie tak, jak powinno. – Jeśli nie wrócimy za pół godziny, zadzwoń do babci.

Cee położyła dłoń na piersi i zaczęła ciężko oddychać. Jej oczy rozszerzyły się i zrobiła krok w stronę dziewczyny.

– Nie możecie tak po prostu wyjść.

Fiona puściła jeden koniec gumki. Opaska z trzaskiem uderzyła w jej dłoń. Cee odruchowo sięgnęła ręką do gardła.

– Ależ możemy – ton Fiony wykluczał dalszą

dyskusję. Zupełnie jak babci.

Eliot czekał już na siostrę w jadalni z plecakiem przerzuconym przez ramię. Nie oglądając się za siebie, pomknęli korytarzem i zbiegli po schodach.

– Co dokładnie powiedział Robert? – zapytał Eliot.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Jeśli miałabym zgadywać – odrzekła Fiona – to o spore kłopoty.

DRZWI DO NOWEGO ROKU

Eliot siedział z tyłu maybacha exelero wujka Henry'ego i zastanawiał się nad tym, co było nie tak w całej sytuacji.

Kiedy Robert podjechał, żeby ich zabrać, hybryda limuzyny i samochodu wyścigowego wyglądała wyraźnie gorzej niż zwykle. Lustrzany chrom stracił połysk, tył karoserii był ubrudzony błotem. A co najciekawsze, na antenie na masce pojawiła się żółta kulka z rysunkiem uśmiechniętej twarzy. Eliot był pewien, że wcześniej nie widział tej ozdoby – ani nawet anteny.

Fiona oczywiście siedziała z przodu. Próbowwała rozmawiać z Robertem, ale ten powiedział, że musi się skoncentrować na drodze, a wszystko wyjaśni jej, kiedy będą na miejscu. Przyglądając się jego działaniom, Eliot pomyślał, że chyba dałby sobie radę z prowadzeniem samochodu, jeśli zaszłaby taka konieczność. Babcia oczywiście nigdy mu nie pozwoliła spróbować. Razem z Fioną jednak czytali o pojazdach i wiedzieli wszystko o silnikach, skrzyniach biegów, a także przekładniach. Patrzył, jak Robert operuje dźwignią, pedałem gazu i hamulcem. Wyglądało to na niezbyt skomplikowane.

Wyjrzał przez okno. Mknęli autostradą numer 1. Powierzchnia oceanu mieniła się pod złotym kalifornijskim słońcem.

Dlaczego jeszcze nie dojechali? Minęło już dziesięć

minut od wyjazdu z Del Sombry, a Robert mówił, że to blisko. Samochód wujka Henry'ego powinien w takim czasie dotrzeć na drugi koniec stanu.

Zapach w limuzynie też wydawał się chłopcu podejrzany. Wcześniej czuć w niej było skórę, whisky i papierosy, a teraz – przenikającą wszystko kwaśną woń. Chociaż Fiona nic nie mówiła, więc może tylko on to sobie wyobrażał.

Ale wrażenie, że nie wszystko jest w porządku, miało też dobre strony. Próby rozstrzygnięcia, co jest nie tak, zajmowały umysł Eliota i pozwalały mu nie myśleć o poprzedniej nocy, muzyce, mgłę i zagubionych w niej i krzyczących z bólu ludziach. Krzyczących z bólu i... umierających.

Był pewien, że niektórzy z nich zginęli. I to z jego winy. Z powodu jego wyboru, decyzji, za które był odpowiedzialny.

Ale jeśli zachowałby się inaczej, Fiona już by nie żyła. Co by teraz myślał, mając świadomość, że mógł ją uratować i tego nie zrobił? Czy to też nie byłoby zabójstwo? Westchnął. Tak czy inaczej kogoś skazałby na śmierć. I chyba lepiej, że to nie była jego siostra.

– O – powiedział Robert. – Dojechaliśmy.

Samochód skręcił w wysypiany żwirem podjazd. Wiszący w górze neon świecił napisem: „Tawerna Ostatniego Zachodu Słońca”. Eliot wyciągnął szyję i zobaczył rozsypujący się budynek z czerwonym blaszanym dachem. Na parkingu przed wejściem stało kilka nie najnowszych samochodów i rząd motocykli. Dookoła wałały się śmieci i puste butelki.

– Wygląda na to, że mają sporo klientów –

zauważyła Fiona. – Podają tu śniadania?

– Raczej nie – burknął w odpowiedzi Robert. Zaparkował limuzynę jak najdalej od innych samochodów i motocykli i powiedział: – W środku jest coś, co koniecznie musicie zobaczyć.

– Zaczekaj. – Fiona położyła mu dłoń na ramieniu. Było widać, że czuje się nieswojo. – Teraz nikt nas nie podsłuchuje. Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi. Czy coś nam grozi?

Robert pogłaskał dłoń dziewczyny, wziął ją w swoją i pocałował.

– Grozi? Tak i nie, kochanie. Chodzi o waszego ojca.

Fiona skrzywiła się.

– Powinieneś nam powiedzieć, zanim tu przyjechaliśmy. – Zabrała rękę.

– Nie pomogłabyś mu, gdyby tego potrzebował?

– zapytał Robert.

– Nie wiem. Jest taki dziwny. – Fiona założyła ręce na piersiach. – A poza tym, czy on kiedykolwiek zrobił coś dla nas? Tylko nas śledził i zachowywał się jak umysłowo chory.

– Ja mu pomogę – oznajmił Eliot i otworzył drzwi auta.

Chciał dać Louisowi szansę. Może i ich ojciec był włóczęgą, szaleńcem i członkiem rodziny piekielnych, ale okazał Eliotowi więcej ciepła i zaufania niż wszyscy inni „bliscy”.

– W tej chwili go tu nie ma – wyjaśnił Robert.

– A przynajmniej nie całkiem. Ale ma kłopoty i możecie mu pomóc... Oczywiście, jeśli zechcecie. –

Zerknął na Fionę i zmarszczył brwi. – Najprościej będzie, jeśli wam pokażę, o co chodzi.

– Chodźmy więc – odezwał się Eliot wyraźnie zniecierpliwiony.

Wziął swój futerał i czekał na ruch Roberta, ale ten odwrócił się do Fiony i zapytał:

– Więc jak?

Dziewczyna głośno wypuściła powietrze.

– No dobrze. Nie mogę przecież pozwolić bratu pójść tam samemu.

Dotknęła gumowej opaski na nadgarstku, otworzyła drzwi i wysiadła.

Cała trójka pomaszerowała w stronę Tawerny Ostatniego Zachodu Słońca. Weszli do środka przez podwójne wahadłowe drzwi.

Wewnątrz było ciemno. Mrok rozświetlały jedynie neony z nazwami piw, światła stojącej w rogu szafy grającej, małe lampy wiszące nad stołami bilardowymi i mrugający w kącie telewizor. Podłogę pokrywała warstwa trocin i łupinek po orzeszkach ziemnych. Cuchnęło piwem. Nie ogoleni mężczyźni ubrani w dżinsowe albo skórzane kurtki przerwali swoje aktualne zajęcia (odstawili kufle) i spojrzeli na Fionę.

Robert stanął przed dziewczyną, próbując zasłonić ją przez ciekawskimi oczami, i kiwnął głową w stronę barmana. Ten wskazał na tył baru.

Siedzący przy stolikach mężczyźni wrócili do rozmów i przestali zwracać uwagę na nowo przybyłych. Choć nie wszyscy. Kilku wciąż gapiło się na dziewczynę.

– Nie daj się tym dupkom wyprowadzić z równowagi – szepnął Robert i dodał: – Tędy. – Po czym

ruszył w stronę tylnych drzwi.

Eliot i Fiona poszli za nim, starając się nie patrzeć na klientów baru. Ci jednak byli tak interesujący, że Eliot nie mógł się powstrzymać, żeby nie zerkać co chwilę w ich stronę. Widząc dziesiątki tatuaży, wyobrażał sobie swoje ramiona pokryte celtyckimi węzłami, płomieniami, plemiennymi spiralami. Podobała mu się ta silniejsza, twardsza wersja siebie.

Gdy dotarli do tylnych drzwi, Robert wsunął klucz w opatrzony wielką zasuwą zamek. Przekręcił go, a metalowy bolec odskoczył i wszyscy troje przeszli na drugą stronę. Robert znalazł włącznik światła i nad ich głowami zamigotała pojedyncza fluorescencyjna żarówka.

Znaleźli się w magazynie wypełnionym beczkami po piwie i skrzynkami z butelkami. Było zimno. Stalowe drzwi po prawej stronie prowadziły do chłodni. Kolejne, umieszczone w tylnej ścianie, zamknięto na łańcuch, na którym wisiała kłódka. Nad ich futryną widniał zabrudzony napis „Wyjście”.

Robert zamknął za sobą drzwi do baru.

– Czy właśnie tutaj chciałeś mnie zabrać samą?

– szepnęła do niego Fiona.

– Jak to „samą”? – zapytał Eliot.

– Nieważne. To, co powinniście zobaczyć, jest tu dalej – powiedział Robert, odsuwając na bok pudła.

Podłoga była zasłana starymi kalendarzami. Eliot wyjął latarkę, włączył ją i przyjrzał się im bliżej. Jeden, z 1979 roku, zdobiły fotografie okoni, na drugim, z 1963 roku, widniały podrasowane pojazdy, a na trzecim, z 1932, różne kryte mosty. Wszystkie były otwarte na grudniu.

Robert przetoczył ostatnią baryłkę.

– To tutaj – rzucił, odsłaniając w ceglany murze drzwi.

Nie były jednak prawdziwe, tylko namalowane, i to nie najlepiej. W zasadzie składały się z nabazgranego czarnym mazakiem zarysu futryny wypełnionego czerwono-brązową farbą, której plamy i nierówne pociągnięcia sugerowały szorstką drewnianą powierzchnię.

Eliot podszedł bliżej. Nie był pewien, ale nagle zaczęło mu się wydawać, że farba jest tak naprawdę zaschlą krwią. W ścianę wetknięto też mosiężną klamkę, która wisiała pod dziwnym kątem, jakby w każdej chwili mogła odpaść.

– Czy to jakiś żart? – zapytał Eliot.

– Absolutnie nie. – Robert otarł pot z czoła. – Przejście prowadzi do Doliny Nowego Roku. Myślę, że właśnie tam znajduje się wasz ojciec. To bardzo niebezpieczne miejsce. Musicie tam pójść i go odnaleźć.

Fiona wydała z siebie gniewny pomruk.

– Dopiero co przeszliśmy trzy próby, podczas których mogliśmy zginąć. Nie mam zamiaru ryzykować życia ani swojego, ani Eliota dla mężczyzny, któremu nie chciało się nawet przyznać, że jest naszym ojcem.

Robert wyglądał na zaskoczonego i zranionego jej słowami.

– Nie bądź taka pewna – wtrącił się Eliot. – Może miał ważny powód, by nam tego nie mówić.

– Na przykład jaki?

– Cóż, wystarczy pomyśleć o babci. Mogę się założyć, że się jej bał.

Fiona wydeła wargi.

– I co, po prostu przyglądał się nam z ukrycia, starając się, żeby nic się nam nie stało? Nie wierzę w to. Należy do drugiej rodziny. Na pewno czegoś od nas chce.

Robert oparł się o ścianę i patrzył na dziewczynę ze złością, ale ona tego nie zauważała. Coś z nim było nie tak. Tak samo jak z samochodem wujka Henry'ego. Eliot wyraźnie wyczuwał, że kierowca nie był dziś sobą.

– Powinniśmy dać Louisowi szansę, żeby mógł nam wszystko wytłumaczyć – odezwał się do siostry.

Czekał na jej odpowiedź, ale Fiona wpatrywała się w skupieniu w namalowane drzwi. Potrafiła być taka oschła jak babcia, zdarzało się jednak, że zaskakiwała Eliota.

– OK, w sumie masz rację – wyszeptała w końcu.

– Otwórz przejście. Zobaczymy, jak wygląda ta dolina.

Twarz Roberta się rozjaśniła.

– Podjęłaś dobrą decyzję. Rodzina jest najważniejsza.

– Podniósł rękę w ostrzegawczym geście. – Cofnijcie się troszkę. Nie wiem, co tam zastaniemy.

Stanął przed namalowanymi drzwiami i chwycił za klamkę.

Farba na murze zaczęła trzaskać jak gwałtownie zamarzająca woda. Nierówno narysowane mazakiem krawędzie wyprostowały się. Kolejne cegły zaczęły pękać i wyskakiwać ze swoich miejsc w ścianie, a strzelające w powietrze kamienne odpryski uderzyły Eliota w gołe ramiona. Fluorescencyjne światło w pomieszczeniu zgasło i zastąpiła je blada poświata wydobywająca się zza namalowanej futryny.

Robert nacisnął klamkę, usiłując otworzyć drzwi. Zaparł się stopą o ścianę i pociągnął.

Eliot poczuł, że wszystko dookoła się przechyla, jakby cały pokój, w którym stali, tracił równowagę... Podłoga uniosła się pod takim kątem, że chłopak odniósł wrażenie, że zaraz wpadną w głęboką dziurę.

Fiona przysunęła się do brata i złapała mocno gumkę. Eliot czuł w powietrzu wibracje, jakby wokół nich unosiły się tysiące drżących igiełek. Przestrzeń zdawała się rozmywać i tracić ostrość.

– Nici – szepnęła Fiona. – Widzisz je?

– Nie – odpowiedział, też szeptem. – Ale czuję.

Robert zamruczał. Jego skórzana kurtka rozdarła się wzdłuż jednego ze szwów. Syk przedostający się przez szczeliny przy futrynie zmienił się w ryk nadciągającej wichury. Robert w końcu zdołał otworzyć drzwi.

Wir powietrza, mgły i śniegu wpadł do środka. Po chwili wszystko się uspokoiło i zrobiło się bardzo zimno. Eliot widział mgiełkę swojego oddechu.

Razem z Fioną podeszli bliżej, żeby zobaczyć, co czeka ich za progiem. Wyjście nie prowadziło na zaplecze Tawerny Ostatniego Zachodu Słońca ani nawet na zewnątrz lokalu, ani do żadnego innego miejsca, które leżało w słonecznej Kalifornii. Po drugiej stronie dostrzegli oblodzone drzewa i głębokie zasy. Była noc. Na niebie wśród migocących gwiazd drżała zorza, malująca firmament na fioletowosrebrny kolor. W lesie leżała wioska. Wieże kościoła i dachy zdobiły bożonarodzeniowe światełka, japońskie papierowe lampiony i tysiące świeczek. Eliot słyszał śmiech i śpiewy, dźwięk rogów, okrzyki zachwyty, radości i protestu,

pękające szkło. W powietrze eksplodowały fontannami iskier fajerwerki. Chłopak poczuł też zapach korzennego cydru i świeżych pierników. Wciągnął do płuc lodowate powietrze i przeszły go dreszcze. Fiona też się zatrzęsła.

Robert zdjął skórzaną kurtkę i okrył dziewczynę.

– W Dolinie Nowego Roku – wyjaśnił – trwa wieczna impreza. Jej uczestnicy są tu uwięzieni na zawsze, wciąż na kilkanaście sekund przed północą 31 grudnia.

– Kim oni są? – wyszeptał Eliot. Nie chciał podnosić głosu, żeby nie usłyszał go nikt z wioski. Miał przeczucie, że lepiej tego unikać.

– To ludzie, którzy się zagubili. Wypadli z czasu – odpowiedział równie cicho Robert. – Tu zbierają się wszystkie zapomniane chwile, a zegary tykają do przodu i do tyłu, do tyłu i do przodu, nigdy tak naprawdę się nie przesuając. Nie sięgając ani w teraźniejszość, ani w przeszłość.

– A jak trafił tu Louis? – zapytała Fiona.

Podeszła do drzwi, wyciągając rękę i chwytając w nią kilka płatków śniegu.

– Odwiedził dolinę już dawno temu. Spodobało mu się i... zawsze chciał tu wrócić. Zresztą każdemu się tu podoba. – Robert oblizał wargi i rozejrzał się po pokoju. – Dzieci, nie macie ochoty same zobaczyć, jak tam jest?

Eliot miał. Kusilo go, żeby ulepić śnieżkę i rzucić nią siostrze w szyję. Wyobrażał sobie, jak biegają i ześlizgują się po śnieżnych zboczach. Mogliby dołączyć do imprezujących. Cydr na pewno jest pyszny. Świetnie by też było się wreszcie zrelaksować. Tylko jak długo potrwałby relaks w miejscu, gdzie czas nie biegnie?

Fiona ruszyła w stronę drzwi, ale Eliot położył jej

rękę na ramieniu.

– Zastanów się – wyszeptał.

Pokręciła głową, próbując oczyścić umysł.

– To dziwne, lecz przez chwilę chciałam wejść do środka – czy też na zewnątrz, gdziekolwiek to jest – i sama się przyjrzeć temu miejscu.

Spojrzeli po sobie, bez słów sygnalizując sobie nawzajem zaniepokojenie całą sytuacją. Coś tu było nie tak. A w zasadzie wszystko: dolina, obecność w niej ich ojca, tawerna, samochód wujka Henry'ego, a nawet Robert... jego zachowanie i słowa. Obrócili się do chłopaka, ale ten zniknął. Stał teraz za nimi. Eliot nie widział go wyraźnie. Fluorescencyjna lampa wprawdzie zgąsła, ale wpadające przez drzwi światło powinno wystarczyć. Robert jednak zdawał się ukrywać pośród cieni.

Eliot odniósł wrażenie, że kierowca miał teraz na sobie płaszcz. Z jednej strony nie było w tym nic niestosownego – w końcu w pomieszczeniu zapanował dokuczliwy chłód – ale z drugiej nie widział, żeby Robert przyniósł z sobą jakieś dodatkowe ubranie – a przecież nie mógł go skryć pod skórzaną kurtką.

– Nazwałeś nas dziećmi – zauważyła Fiona.

– Cóż – odchrząknął Robert. – W końcu jesteście ode mnie trochę młodszy, moja droga.

– Dlaczego chcesz, żebyśmy pomogli Louisowi?

– zapytał Eliot. – Wczorajszego wieczoru tłumaczyłeś mi, że powinienem się trzymać od niego z daleka i że wszystko, co mówi, to kłamstwa.

Drzwi do baru za plecami Roberta niespodziewanie zadrżały od uderzeń.

– Ojciec zawsze powie ci prawdę, mój chłopcze. Zawsze. – Robert odwrócił się i ocenił stan framugi. – Wydaje mi się jednak, że czas na rozmowy się skończył.

Do odgłosu walących w drzwi pięści dołączył teraz krzyk:

– Otwierać! I to natychmiast!

Robert przysunął się do Fiony i Eliot zobaczył, że faktycznie był teraz ubrany w elegancki płaszcz z wielbłądziej sierści... Zupełnie taki jak ten, który miał na sobie wczoraj Louis.

Drzwi rozleciały się w drzazgi i do magazynu wpadło trzech mężczyzn w skórzanych kamizelkach. Jeden miał z sobą kij baseballowy, drugi – zakrzywiony sztylet, a trzeci – strzelbę. Ten z kijem zawarczał:

– Chcemy się upewnić, że nikt nie próbuje oszukać pana Buana.

– Zachowując się przy okazji z gracją i wycuciem – skomentował Robert.

Mężczyźni wyglądali na zaskoczonych. Robert szepnął szybko do rodzeństwa:

– Zajmę się tym.

Spojrzał na stojące dookoła kartony i beczki po piwie i wykonał jedną ręką dramatyczny gest. Poły płaszcza z wielbłądziej sierści pofrunęły poruszone tym zamachem, tylko wzmacniając efekt. Niczego nie dotknął, ale nagle cały stos opakowań i baryłek rozsypał się po magazynie: lawina aluminium, tektury i porozbijanych butelek pogrzebała trzech intruzów i zasłoniła przejście do baru.

Robert odwrócił się do Fiony i Eliota.

– Nie mamy wiele czasu, to nie zależy ode mnie.

Oto, co powinniście zrobić.

Fiona trzymała między dłońmi naciągniętą gumową opaskę. Teraz, kiedy Robert podszedł bliżej, nieco ją rozluźniła, ale wciąż była gotowa do ataku.

– Co tu się właściwie dzieje? – zażądała odpowiedzi.

– Musimy to wiedzieć, zanim cokolwiek zrobimy.

– Ależ dowiedcie się, moja droga.

Robert wykonał uspokajający gest dłonią, przysunął się do dziewczyny i ostrożnie położył jej na ramieniu dłoń, bez przerwy się uśmiechając. Zdawał się nieść przed sobą ten uśmiech jak tarczę... Eliot już gdzieś to widział.

– Louis?!

Robert odwrócił się do młodszego chłopaka i jego twarz spoważniała.

– Widzę, że masz oko do szczegółów. Na pewno jeszcze nieraz ci się przyda.

Zakręcił Fioną i bezceremonialnie popchnął ją – tak mocno, że jej stopy oderwały się od podłogi – przez otwarte przejście do doliny. Dziewczyna wpadła w najbliższą zaspę, przeturlała się kawałek, a potem wściekła wypluła śnieg, krzyknęła i zaczęła się podnosić. Eliot zrobił dwa kroki w jej stronę, ale Robert chwycił go za kołnierz i przyciągnął z powrotem do siebie. Zatrzasnął za Fioną drzwi. Mosiężna klamka spadła na betonową posadzkę.

Eliot strząsnął z siebie trzymającą go rękę, podbiegł do klamki, wcisnął ją z powrotem w ścianę i usiłował przekręcić. Do tego jednak potrzebny był zamek, a nie kilka pokruszonych cegieł.

– To nic nie da – zapewnił go Robert.

Eliot obrócił się na pięcie. Krew szybko pulsowała mu w skroniach.

– Kim jesteś? Robertem? Louisem? A może jeszcze kimś innym? – Sięgnął do plecaka po Jutrzenkę.

Robert chwycił go mocno za ramię. Był silniejszy, i to sporo, od syna, więc z łatwością wykręcił mu rękę tak, żeby nie mógł wziąć do niej skrzypiec. Otworzył szeroko oczy na widok czerwonej kreski zakażenia biegnącej wzdłuż przedramienia Eliota.

– Ach, obawiam się, że to ryzyko zawodowe wpisane w los wszystkich prawdziwych muzyków. Kłopotliwe, ale do rozwiązania.

Eliot wpatrywał się w twarz stojącego przed nim człowieka. Wyglądał dokładnie tak jak Robert, ale zachowywał się jak Louis i wiedział, że skaleczenie zostało spowodowane przez pękniętą strunę skrzypiec.

Jeśli to Louis, to dlaczego udawał? Dlaczego po prostu nie przyszedł do niego i nie wyjaśnił, czego potrzebuje? Eliot przecież by go wysłuchał. Ale Fiona nie. A jeśli odkryłaby go babcia? Eliot wołał sobie nie wyobrażać, czym skończyłaby się obecność tych dwojga w tym samym pokoju.

– Cii. – Robert przechylił głowę, wyraźnie nasłuchując.

Zza ścian magazynu dało się słyszeć liczne kroki i zachrypnięte szept. Drzwi z napisem „Wyjście” zatrzęsły się, jakby ktoś w nie kopnął, ale wytrzymały uderzenie.

– Czuję, że w twojej głowie gotuje się od setek pytań – powiedział Robert – ale nie mamy na to czasu. Musimy działać.

– A Fiona? – Eliot odwrócił się do wymalowanych

drzwi. – Jeśli myślisz, że ta bariera powstrzyma moją siostrę, lepiej zastanów się jeszcze raz.

– Tak, wiem, że potrafi ciąc. Ale będzie się musiała wykazać niezłym sprytem, żeby odkryć, co trzeba przeciąć, aby wydostać się z doliny.

– Dlaczego ją tam wepchnąłeś? – domagał się odpowiedzi Eliot.

– Bo musiałem. – Robert w końcu go puścił. – Taka była umowa – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. Sięgnął do kieszeni i wręczył Eliotowi kluczyki do samochodu i telefon komórkowy. – Chodź ze mną.

Pomaszerował ku drzwiom chłodni. Otworzył je i wszedł do środka, przywołując Eliota gestem. Ten odwrócił się w stronę wymalowanego na ścianie przejścia. Dotknął je, ale teraz czuł pod palcami tylko cegły. Wyobrażał sobie, jak po drugiej stronie Fiona szuka sposobu dostania się tu z powrotem. Musiał tu zostać i jakoś jej pomóc... Ale jak miał to zrobić?

Zajrzał do swojego plecaka i zatrzymał wzrok na Jutrzence. Mógł przywołać mgłę pełną koszmarnych stworów, ale nawet wtedy pewnie nie dałby rady znaleźć przejścia do Fiony. Tylko Robert – Louis – czy też kimkolwiek tak naprawdę był ten gość – wiedział, jak przedostać się na drugą stronę.

– Idziesz? – Robert zawołał do niego z progu chłodni.

Czy Fiona nie zamarznie? Czy przetrwa tam dopóty, dopóki Eliot nie sprowadzi jakiejś pomocy? Wahał się, nie wiedząc, co zrobić.

– Zaufaj mi – powiedział gość wyglądający jak Robert. – To dla nas wszystkich jedyne wyjście. Nigdy cię

nie okłamałem i teraz też mówię prawdę.

Eliot wierzył w to, ale paradoksalnie to wcale nie powodowało, że bardziej mu ufał.

W magazynie rozległ się huk wystrzału. W tylnych drzwiach pojawiło się kilkanaście drobnych dziur. Wybór Eliota wydawał się z każdą chwilą coraz bardziej ograniczony. Zaczerpnął więc głęboko powietrza i wszedł do chłodni.

Robert pobiegł do kolejnych drzwi, znajdujących się w głębi pomieszczenia i pokrytych w całości lodem. Wydawało się, że żeby się przez nie przedostać, będą potrzebować czekana, ale mocne kopnięcie spowodowało, że wypadły z zawiasów.

Do środka wlało się zaskakująco silne światło słoneczne, oślepiając Eliota.

– Tam jest samochód – wskazał Robert.

Chłopak zmrużył oczy. Pokancerowany lincoln town car ze świeżo zamalowanymi błotnikami stał tam, gdzie wcześniej Robert zaparkował maybacha. Tylko żółta kulka z rysunkiem uśmiechniętej twarzy wciąż wisiała na antence.

– Biegiem! – krzyknął mężczyzna.

A więc ten pojazd też nie był tym, na co wyglądał. Eliot spojrzął na trzymane w ręku kluczyki, ciągle niezdecydowany, czy powinien zostawiać Fionę.

– Później będziemy mogli sobie nawzajem pomóc – wyszeptał Robert – ale teraz musisz już stąd jechać. W przeciwnym razie nie dożyję nawet dzisiejszego wieczoru.

Delikatnie, ale też zdecydowanie popchnął Eliota w stronę słonecznego blasku. Chłopak zamrugał i zaraz zobaczył grupkę mężczyzn wybiegających z za rogu

budynku. Wymachiwali kijami bilardowymi i nadtłuczonymi butelkami. Robert pobiegł im naprzeciw.

W powietrzu zahuczało od wystrzałów. Robert gwałtownie się uchylił, ale nie zwolnił. Rzucił się na napastników, powalając od razu pierwszych trzech. Eliot poczuł, że serce podskakuje mu do gardła. Robert czy Louis, kimkolwiek był ten facet, miał zamiar poświęcić swoje życie, żeby Eliot mógł uciec. Musiał mu jakoś pomóc – grą na skrzypcach, a może nawet taranując ich samochodem.

Ale po chwili Robert podniósł się, a trzech napastników pozostało na ziemi.

Eliot pobiegł do samochodu. Ucieknie – zarówno od gości z baru, jak i od tego przebierańca – a potem zadzwoni do wujka Henry'ego albo babci i wróci tu, żeby uratować Fionę.

Zatrzymał się tuż przy bocznych drzwiach lincolna. Były otwarte. Wślizgnął się do środka, włożył kluczyki do stacyjki i przekręcił je. Silnik niemrawo się obudził. Zerknął za siebie, żeby zobaczyć, co się dzieje z Robertem. Teraz tamten wyglądał inaczej, miał dłuższe, poprzetykane siwizną włosy, wyostrome rysy. Przypominał... Louisa.

Napastnicy cofnęły się o kilka kroków. Pół Robert, pół Louis pogroził im palcem i roześmiał się. Ale uśmiech na jego twarzy szybko przemienił się w grymas, kiedy zobaczył kolejnych wybiegających z tawerny mężczyzn. Znów zaśmiał się, ale tym razem mrocznie... Jakby wcale nie był człowiekiem.

Eliot miał przeczucie, że zaraz wydarzy się coś bardzo złego. I o dziwo, miał nawet ochotę zostać i

przyjrzeć się jatce. Zacisnął jednak dłonie na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły mu palce. Zazgrzytał zębami i wcisnął gaz.

Lincoln wyskoczył z parkingu. Eliot zakręcił kierownicą i z piskiem opon wyjechał na drogę.

LOS PRAWDZIWEGO ROBERTA FARMINGTONA

Robert siedział w kucki w rogu i płakał.

Myślał, że już z tego wyrósł. Ostatni raz płakał, kiedy miał kilka lat, jeszcze zanim jego rodzice się rozeszli. Zabawne, prawie już nie pamiętał, jak wyglądał tata. Mama zawsze twierdziła, że Robert jest do niego podobny.

Uśmiechnął się i wytarł łzy. Nie wiedział nawet, co właściwie sprawiło, że zaczął ryczeć jak małe dziecko. Choć w sumie mógł przebierać między powodami.

Uderzył kilka razy pięścią w gładkie metalowe ściany. Musiał się jakoś pozbierać i zachować trzeźwość umysłu przez kolejny dzień. Kolejny dzień... żeby wszystko mogło się zacząć od nowa.

Rada skazała go na przebywanie w tej pojedynczej celi przez pięćdziesiąt lat. A przynajmniej tak mu się wydawało. Nie pamiętał wszystkiego dokładnie, podczas zebrania stracił przytomność. Potem obudził się w celi. Od tamtej chwili nikogo nie widział. Ile miesięcy minęło? Dwadzieścia? Trzydzieści? Zgubił już rachubę. Ale może o to w tym chodziło: o rozmycie poczucia czasu, by więzień zapomniał, kim jest, i powoli osuwał się w szaleństwo.

Próbował robić znaki odpowiadające kolejnym dniom, ale ściany pomieszczenia wykonano z idealnie gładkiej stali, a on nie miał żadnego narzędzia, którym

mógłby je porysować.

Cela była kwadratowa, o długości boku dziesięć kroków. Sufit wisiał na wysokości około dziesięciu metrów. U góry, poza zasięgiem Roberta, znajdowało się małe okienko, przez które dochodził do niego dźwięk rozbijających się o nabrzeże fal, ale nigdy głosy czy choćby krzyki mewy mogących dotrzeć do towarzysztwa. Światło się zmieniało, dzięki temu odróżniał dzień od nocy. Czasem przez okienko wpadały krople deszczu – jedyne przypomnienie o wolności i jedyne świadectwo tego, że za ścianami celi istniał świat.

Były już chwile, kiedy chciał z tym po prostu skończyć, ale nawet to nie wyglądało na możliwe. Miał na sobie wzmacniany plastikiem papierowy kombinezon, którego nie można było podrzeć. Toalety i zlewu w rogu nie dało się napełnić taką ilością wody, żeby się w niej utopić. Nie było też żadnych prześcieradeł, z których mógłby zrobić sznur; tylko bardziej miękkie kawałki podłogi i poduszka. Pomyśleli o wszystkim. Nie pozwoliliby przecież, żeby jakieś drobne niewygodne samobójstwo zepsuło im zabawę.

Ale mroczne myśli opanowały go tylko na kilka dni. I teraz wstydził się, kiedy sobie o tym przypominał. Nigdy nie uważał się za mięczaka szukającego najłatwiejszego wyjścia.

Próbując znaleźć jakiś sposób obrony przed rzeczywistością, zrobił jedyną rozsądną rzecz, jaką mógł – zaczął ją ignorować. W swojej głowie miał tyle wolności, ile zapragnął. A ponieważ nigdy nie lubił marzyć na jawie, skupił się na wspomnieniach.

Najpierw przypominał sobie wszystkie

nieprzyjemne chwile: kolejnych chłopaków mamy odgrywających rolę jego ojczymów, przestępców, wśród których się obracał, pracując w różnych dziwnych miejscach w Europie, długie samotne noce. Zmusił się jednak też do tego, żeby myśleć o dobrych sprawach: o Marcusie i szkoleniu na kierowcę, jakie przechodził pod jego opieką na torze wyścigowym w Thunderhills, o jeździe harleyem wzdłuż wybrzeża Meksyku, o Fionie i o tym, jak wyglądała i pachniała, kiedy trzymał ją w ramionach tamtej ostatniej nocy w Nevadzie. Zastanawiał się, czy dziewczyna w ogóle go pamięta.

Metalowe drzwi zadrżały od pukania. Robert zamarł. Serce zaczęło mu walić jak szalone. Kolejna halucynacja? Już wcześniej słyszał w celi głosy. Musiał zacząć śpiewać, żeby je zagłuszyć, i w końcu go opuściły. Z zewnątrz dotarły do niego słowa:

– Robert? Mogę wejść?

Wypowiedział je ludzki głos, ale minęło już tak wiele czasu, że Robert z trudem rozpoznawał ten dźwięk.

Z wysiłkiem podniósł się na nogi i wygładził kombinezon.

– T... – odkaszlnął. – Tak, jasne.

Drzwi przypominające wejście do krypty uchyliły się i do środka weszła ostatnia osoba, jakiej Robert się tu spodziewał: pan Mimes. Mimo wielkiego zaskoczenia nie umknęło mu to, że drzwi nie zostały zatrzaśnięte – wolność była o kilka kroków.

Mimes miał na sobie czarne spodnie i elegancką koszulę z perłowymi guzikami. Jego srebrne włosy były gładko zaczesane do tyłu i tylko jeden kosmyk uciekł spod grzebienia i zwisał luźno nad czołem. Pachniał

papierosami i cytrusowymi kobiecymi perfumami.

– Proszę, wybacz mi mój strój. Tańczyłem całą noc. Musiałem przecież utrzymywać pozory. Mam nadzieję, że nie pomyślałeś, Robertcie, że o tobie zapomniałem.

– Zapomniał pan...? – Chłopaka aż swędziały dłonie, żeby zacisnąć je na szyi dawnego pana.

Podszedł nieco bliżej, ale zawahał się. Tak bardzo tęsknił do towarzystwa kogokolwiek, z kim mógłby porozmawiać. Nawet jeśli miałyby to być osoba, przez którą się tu znalazł. Pozwoli więc mu mówić przez jakiś czas, a potem go udusi.

– Ależ proszę, Robertcie, oszczędź sobie tych teatralnych zachowań. Przyszedłem się pogodzić. – Mimes rozejrzał się po celi i wyraźnie się skrzywił. – Bardzo dobrze pamiętam te ściany.

– Był pan tu uwięziony?

– To inna długa historia. Tak czy inaczej wiem, jak bardzo dołujące może być to miejsce. Mam nadzieję, że jakoś się trzymasz...

– Pyta pan, czy nie straciłem jeszcze zmysłów? – Robert poważnie się zastanowił. – Wydaje mi się, że nie. To znaczy... chyba czuję się normalnie, oczywiście jeśli pan naprawdę stoi tu przede mną.

Mimes wyciągnął z kieszeni misternie zdobione mahoniowe puzderko i wyjął z niego papierosa.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

– Prawdę mówiąc, mam. Szkodzą pana zdrowiu, a przede wszystkim nie mogę znieść smrodu tego paskudztwa.

Mimes spojrział zdziwiony na Roberta i się uśmiechnął.

– Słusznie. – Wyrzucił papierosa. – Często zapominam, jaki to obrzydliwy nałóg. – Teraz sięgnął po srebrną piersiówkę, odkorkował ją, pociągnął łyk i podał Robertowi. – Na znak zgody, chłopcze. Proszę, przyjmij ją.

Owszem, Robert chciał wziąć buteleczkę. I rzucić ją Mimesowi w twarz. Zamiast tego po prostu przysunął ją do ust i przechylił.

W środku nie było whisky czy koniaku, ale płynny, luksusowy jedwab, który eksplodował ciepłem w jego piersi i wypełnił całe jego ciało. Dym przemknął przez jego myśli i rozjaśnił je. Podobnie jak jego umysł i zmysły.

Wciągnął powietrze do płuc. Czuł się, jakby robił to po raz pierwszy.

– Nic nie pomaga tak, jak odrobina somy, żeby się rozruszać. – Mimes zabrał flaszeczkę. – Ale trzeba uważać, żeby nie przesadzić.

Robert oblizwał wargi, czując na języku smak ostatnich kropelek napoju. Iskrzyło się w nich od elektryczności, bąbelków szampana i delikatnych muśnięć przypominających mu o ostatnim razie, kiedy pocałował Fionę. Fiona. Ciekawe, gdzie teraz jest. I co ważniejsze, co Liga z nią zrobiła, kiedy on siedział tu zamknięty?

– Jak długo już tu jestem? – zapytał. – Nie mogło jeszcze minąć pięćdziesiąt lat.

Mimes kiwnął głową, chcąc dać Robertowi do zrozumienia, że wie, jakie tortury musiał znieść. Zerknął na zegarek, policzył na palcach i oznajmił:

– Jedenaście godzin.

Robert musiał zebrać wszystkie siły, żeby utrzymać

się na nogach. Nie umiał pogodzić tych słów z rzeczywistością, której doświadczył. Miał wrażenie, że przebywał w celi od miesięcy... Może od lat. Dotknął swojego policzka. Był gładki. Jeśli siedziałby tu od tak dawna, na pewno miałby już długą brodę. Na jego twarzy zaś nawet nie pojawił się zarost.

– Wyobraź sobie, co stałoby się z twoim umysłem po roku – wyszeptał Mimes. – A co dopiero po pięćdziesięciu latach.

Chłopak miał ochotę krzyczeć, rzucić się w stronę otwartych drzwi i wybiec na zewnątrz, zanim zamkną się z powrotem. Jakimś cudem jednak się opanował, skrzyżował ręce na piersiach i oparł się o ścianę.

– O co więc chodzi? Przyszedł pan trochę się nade mną popastwić? Czy przeprosić za to, że zadał mi pan cios w plecy?

Mimes dziwnie się zaśmiał, wziął kolejny łyk z flaszeczki i wsunął ją z powrotem do kieszeni.

– Nic z tych rzeczy, chłopcze. Przyszedłem pomóc ci uciec.

Robert musiał to przemyśleć. Dlaczego szef miałby go najpierw zwolnić i zamknąć w tej celi, a potem organizować jego ucieczkę? Czy Mimes próbował go w coś zrobić? Nie chciał sobie nawet wyobrazić, jak postąpiłaby z nim Rada, gdyby przyłapała go na próbie ucieczki. Jeśli jednak szef chciał jego śmierci, mógłby do niej z łatwością doprowadzić – zwłaszcza że większość członków Rady wyraźnie miała ochotę podciąć Robertowi gardło.

Rada. To o nią tu chodziło. Robert przypomniał sobie teraz ostatnie zebranie ze wszystkimi szczegółami.

Sporo mówiono o traktacie między Ligą a piekielnymi klanami, słynnym Pactum pax immortalis. Członkowie rodziny nie tylko zwyczajnie nie chcieli pomóc Eliotowi i Fionie, lecz także nie mogli się wtrącać do planów piekielnych. Dopóki Robert pracował dla pana Mimesa, dopóty to ograniczenie dotyczyło też jego.

Mimes spojrzał na zegarek.

– Teraz już rozumiesz? Czy muszę ci to wyłożyć jak kawę na łąkę?

– Rozumiem. Teraz mogę im pomóc.

Na ustach byłego szefa Roberta pojawił się przelotny uśmiech.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Cały gniew, jaki Robert odczuwał względem Mimesa, wyparował. Musiał przyznać, że to było bardzo sprytne – ten facet zawsze wyprzedzał wszystkich o trzy posunięcia.

– Gdzie są moje rzeczy?

Mimes schylił się i sięgnął po małą lekarską torbę.

– Pozwoliłem sobie przywieźć ci ubrania i kilka drobiazgów.

Robert przejrzał szybko rzeczy. Znalazł skórzaną kurtkę, czystą koszulkę, porządnie uprasowane dżinsy i wyczyszczone buty. wyslizgnął się z papierowego kombinezonu i przebrał. Znowu prawie czuł się jak człowiek.

W torbie był też jego glock . 29, trzy magazynki z amunicją, telefon komórkowy, kluczyki do motocykla, portfel, plik banknotów i mosiężny kastet. Ten ostatni widział pierwszy raz w życiu, ale na wszelki wypadek wsunął go na dłoń.

– Pomyślałem, że może ci się przydać. – Kiwnął głową Henry.

Ramię i dłoń chłopaka rozgrzała dziwna moc bijąca z metalu.

– Faktycznie. Dziękuję.

Telefon Roberta zadzwonił, zaskakując go tak bardzo, że prawie wypuścił go z rąk.

– Nikomu pan nie powiedział...

Mimes pokręcił głową i uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Proponuję, żebyś odebrał.

Robert miał złe przeczucie, ale posłuchał polecenia.

– Halo?

– To dziwne. Nawet nie wybrałem numeru – usłyszał głos Eliota. – Robert? To ty?

– Mmm, tak.

Eliot Post był ostatnią osobą, którą Robert podejrzewał o to, że mogła do niego zadzwonić.

Przez dłuższą chwilę w słuchawce zalegała cisza.

– Eliot? Jesteś tam jeszcze?

– Jestem. Czy widziałeś się ze mną kilka minut temu?

Mimes pochylił się, uważnie nasłuchując.

– Uwierz mi, kilka minut temu nie miałem żadnych szans z nikim się widzieć. Wpadłeś w jakieś kłopoty?

– Można tak powiedzieć. Ale zacznijmy od początku. Jak to możliwe, że połączyłem się z tobą? Ty, a przynajmniej ktoś wyglądający jak ty, dał mi ten telefon. Po prostu go włączyłem i po chwili usłyszałem twój głos.

Mimes podniósł palec.

– Zaczekaj chwilkę – powiedział Robert do Eliota.

– Zostałeś sklonowany – wyjaśnił Mimes. – Ktoś

skopiował cię tak dokładnie, że odtworzył nawet drobne aspekty twojej psychiki. Tylko tak można wyjaśnić pojawienie się tamtej osoby i telefonu, który najwyraźniej ma identyczną elektronikę.

– Jak to możliwe?

Mimes wzruszył ramionami.

– To nie powinno się zdarzyć. Jedyne dwie istoty umiałyby zrobić coś takiego, ale już nie żyją. Chyba że jedna z nich nie jest aż tak martwa, jak myślałem, co stwarza wiele interesujących możliwości. – Dał Robertowi znak dłonią, żeby wrócił do przerwanej rozmowy.

– Jakiego rodzaju masz kłopoty? – zapytał niedawny więzień.

– Za dużo wyjaśniania przez telefon. Musiałem porzucić samochód. I tak jakoś dziwnie jeździł. Myślę, że mnie ścigają.

W głosie Eliota brzmiało przerażenie, ale też jakby obawa nie tylko o własną skórę. Chodziło o coś więcej.

– Zaczekaj. Jeszcze raz – powiedział Robert. – Prowadziłeś samochód?

– Tak mi kazałeś. A raczej ten inny Robert. Nie wiem. Może to był Louis.

– Louis? Louis Piper?

Wyglądało na to, że zdaniem Mimesa jest to możliwe, gdyż przytaknął.

– Myślę, że to był on – odrzekł Eliot. – Tyle się wydarzyło i teraz Fiona jest uwięziona w tamtym miejscu.

Jasne, Fiona. Jeśli Eliot znalazł się w kłopotach, to ona na pewno też.

– Gdzie jesteś?

– Dziesięć minut jazdy na południe od miejsca,

które nazywa się Tawerna Ostatniego Zachodu Słońca, przy autostradzie numer 1.

– Dobrze. Nigdzie się nie ruszaj. Przyjadę tam jak najszybciej. Do nikogo więcej nie dzwoń.

Eliot zawahał się, a potem odrzekł:

– W porządku... Tylko się pośpiesz.

– Jeśli którakolwiek z rodzin jest w to zamieszana – oznajmił Mimes, gdy Robert się rozłączył – to faktycznie nie ma czasu do stracenia.

– Zgadzam się. – Robert wyciągnął rękę. – Niech mi pan da kluczyki. Będę musiał ukraść maybacha.

Uśmiech kota z Cheshire pojawił się na twarzy Mimesa. Robert chciał tak wiele powiedzieć swojemu dawnemu szefowi... Głównie to, że żałował, że kiedykolwiek w niego zwątpił. Nie było jednak na to czasu. Fiona i Eliot musieli znaleźć się w naprawdę dramatycznej sytuacji.

Wybiegł na zewnątrz. Nigdy wcześniej nie sprawdzał, jaką maksymalną prędkość osiąga maybach. Teraz się dowie.

ZADECYDOWANE PRZEZ KOŚCI

Eliot siedział na krawędzi fotela. Robert zwolnił i maybach nie poruszał się już z taką zawrotną prędkością.

– Tamten zjazd – wskazał Eliot. – Przynajmniej dwudziestu facetów uzbrojonych w noże i pistolety.

Robert – prawdziwy Robert – kiwnął głową, ale nie spuszczał oka z drogi. Przynajmniej Eliot miał nadzieję, że tym razem to naprawdę był on. Mówił i poruszał się jak Robert. Promieniował nawet swoją zwykłą aurą superopanowanego twardziela. A jego pierwsze słowa w chwili, kiedy się spotkali, brzmiały: „Gdzie jest Fiona?”.

Eliot trzymał na kolanach Jutrzenkę. Czy mógł znów użyć muzyki, żeby kogoś zabić? Sama myśl o tym zmroziła mu krew w żyłach. W samoobronie, owszem. Aby uratować Fionę? Raz już przecież tak się stało. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się specjalnie, zanim zaczynał grać. Teraz już zawsze będzie to robił. Przejechał palcem po wypolerowanej drewnianej powierzchni skrzypiec. Kiedy ich dotykał, ból w ramieniu znikał, a palce stawały się nawet sprawniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Ten drugi Robert – Louis – widział jego ramię i ślady trucizny. Co powiedział? „Kłopotliwe, ale do rozwiązania”.

Robert zjechał z drogi i grube opony maybacha zaszorowały po żwirowym podjeździe do Tawerny Ostatniego Zachodu Słońca.

– No to jesteśmy – szepnął kierowca.

Wszystko wyglądało tak samo jak za pierwszym razem: przed frontem stało zaparkowanych kilkanaście harleyów i półciężarówek, błydy neon migotał wewnątrz ciemnego zajazdu. Ale Eliot dostrzegł kilka istotnych różnic: powybijane szyby w oknach, dziury po kulach na masce jednego z samochodów, zapach dymu z delikatną nutą siarki.

Robert otworzył drzwi.

– Zostań tu.

Eliot wymownie spojrzał na starszego chłopaka. Robert chyba żartował. Skoro nie powstrzymał go ani prastary krokodyl, ani gość, który ni z tego, ni z owego stawał w płomieniach, ani baza lotnicza pełna żołnierzy, to teraz nie miał zamiaru słuchać mądrości typu: „To zbyt niebezpieczne”.

– No dobrze. – Robert pokręcił głową. – Tylko trzymaj się za moimi plecami.

Wsiadł z samochodu z pistoletem gotowym do strzału. Eliot ruszył za nim.

Z tawerny nie dochodziły żadne dźwięki, ani muzyki, ani nawet pojedynczego głosu. Robert zatrzymał się przed werandą i przyjrzał żwirowi na podjeździe. Widniała na nim duża plama na pół zakrzepłej krwi. Przełknął ślinę, rozejrzał się na boki i poszedł dalej, ale już wyraźnie wolniej.

Eliot okrążył kałużę krwi, próbując ominąć ją wzrokiem. Niezbyt mu się to udało, widok karmazynowobrunatnej plamy był zbyt wciągający. Z trudem oderwał od niej spojrzenie, przerażony własną fascynacją.

Robert podniósł rękę i zatrzymał się w wejściu do tawerny. Zjrzał do środka, by za chwilę wyjść i oznajmić:

– Jest bezpiecznie. Nikogo nie ma w domu⁶⁷.

Weszli razem do knajpy. Wewnątrz było dziwnie cicho. Nie działała żadna z lamp, tylko kilka białych neonówek przy barze wciąż niepewnie migotało. Stoły i krzesła zostały rozbite w drzazgi. Co ciekawe, butelki za barem wciąż były w całości. Na ladzie stało nawet kilka pełnych kieliszków.

Czy tych wszystkich zniszczeń mógł dokonać Louis przebrany za Roberta? Wzrok Eliota skupił się na parze leżących na barze kości. Wyglądały jak drobne rubiny... Dokładnie tak jak te, którymi wujek Henry kazał mu rzucać na pierwszym spotkaniu Rady. Poczul nieodpartą ochotę, by ich dotknąć.

– Gdzie jest ta sala z namalowanymi drzwiami?

– Robert wciąż rozglądał się uważnie dookoła, jakby spodziewał się, że zaraz ktoś albo coś wyskoczy na nich z któregoś ciemnego kąta.

– Przy barze.

Chłopak podszedł ostrożnie do wyłamanych drzwi. Odsunął na bok stos rozrzuconych przez Louisa beczek, WRZAWA ŚMIERTELNYCH kartonów i butelek, ale pod spodem nie było śladu po trzech mężczyznach, którzy wcześniej przyszedli tu po Fionę i Eliota. Robert rozejrzał się po magazynie, skupiając uwagę na drzwiach z dziurą po kuli i

⁶⁷Chociaż Tawerna Ostatniego Zachodu Słońca została tamtego wieczoru kompletnie zniszczona, policjanci znaleźli na miejscu szczątki sześciu osób. Odkryty odcięty palec odpowiadał danym jednego z bramkarzy, który okazał się poszukiwanym listem gończym przestępcą. Nigdy jednak nie odnaleziono żadnego z właścicieli zaparkowanych przed tawerną samochodów (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XI, *Mitologia rodziny Postów*, op.cit.).

sprawdzając, że wciąż są zamknięte na zasuwę. Potem wszedł na chwilę do chłodni, a na koniec zamknął dokładnie prowadzące do niej drzwi.

– Przeście było tutaj.

Eliot podszedł do ściany i przejechał dłonią po pomalowanych ceglach. Przypomnił sobie, jak przebrany Louis popchnął Fionę na drugą stronę i zatrzaskał za nią drzwi. Temperatura w dolinie nie przekraczała zera. Fiona mogła już mieć hipotermię.

Eliot nie rozumiał, czemu Louis to zrobił. Czy chciał ochronić w ten sposób Fionę przed osiłkami z baru? Jeśli tak, to czemu nie przepchnął też Eliota? Ale dał wcześniej siostrze swoją kurtkę, jakby naprawdę się o nią troszczył. To nie miało sensu.

– Teraz to tylko farba i cegły, ale wejście było dokładnie tu.

– Wiem.

Robert wsunął pistolet do kabury. Wpatrywał się w leżącą na podłodze kłamkę, jakby obawiając się jej dotknąć. Na szczęście nie pytał, jak to możliwe. Wierzy! Eliotowi. Zapewne pracując dla wujka Henry'ego widywał takie rzeczy regularnie. Chociaż zawsze i wszędzie potrafił zachować zimną krew, jednocześnie wydawał się bardzo ludzki. Eliota pocieszało to, że można być narażonym na kontakt z tymi wszystkimi szaleństwami i wciąż pozostać mniej więcej normalnym, fajnym człowiekiem. Nie to, co reszta jego rodziny. Okrutnicy i kłamcy – co do jednego.

– Jak to jest pracować dla Henry'ego?

– Co? – Robert wyglądał na zaskoczonego pytaniem.

– Nie ma teraz czasu na takie rozmowy. Musimy

znaleźć sposób na ściągnięcie twojej siostry z powrotem.

Eliot potaknął, ale nie porzucił tematu.

– Tak naprawdę chciałem zapytać, czy on jest dobrym człowiekiem.

Robert westchnął.

– Najlepszym. – Na jego twarzy pojawiły się emocje. W końcu oderwał wzrok od przejścia. – Naprawdę, najlepszym. Przez większość czasu nie rozumiem połowy z tego, co mówi czy robi, ale zawsze był wobec mnie w porządku, nawet więcej niż w porządku. Uratował mi życie, i to pewnie niejedyn raz.

Eliot zdawał sobie sprawę, że Robert nie mówi mu wszystkiego, ale już w tych słowach wyczuł tyle prawdy, że był usatysfakcjonowany.

Odwrócił się z powrotem do ściany. Podniósł z posadzki wykonaną z litego mosiądzu i wypolerowaną kłamkę. Wetknął ją w mur dokładnie tam, gdzie była wcześniej, ale nic się nie stało.

– Kiedy Louis otwierał przejście, wyglądało na to, że drzwi się zablokowały. Potrzeba było sporo siły, żeby je poruszyć. Może spróbujemy we dwóch?

– Słyszałem o takich rzeczach, ale nie miałem wcześniej z nimi do czynienia. – Robert ostrożnie przejechał palcem wzdłuż zarysu framugi. – Myślę, że potrzeba tu czegoś więcej niż siły mięśni.

– Na przykład czego?

Robert wzruszył ramionami.

– Magia to raczej twoja działka.

Magia? Babcia postarała się, by przekonać Eliota i Fionę, że nic takiego nie istnieje, że wiara w nią to wyłącznie efekt niezrozumienia naturalnych zjawisk przez

prymitywne umysły. Właśnie dlatego zamazała wszystkie nieodpowiednie fragmenty w ich książkach. Żeby nie nadwerżyły zdolności logicznego myślenia rodzeństwa.

Ale jak wyjaśnić to wszystko, czego był świadkiem? Souhka? Millhouse'a? Uzyskanie kontroli nad szczurami? Sprawił, że ogień do niego śpiewał. Stworzył mgłę pełną koszmarów... Może babcia zakazała im czytania baśni i legend, bo były prawdziwe. I niebezpieczne.

Nieważne, jak to nazwiemy – realnością, fantastyką, mitem, nauką. Tak jak mówiła im ciocia Dallas, niektóre sprawy trzeba po prostu zaakceptować, żeby móc skomunikować się z tą częścią własnego umysłu, która nie posługuje się językiem. Nauczyć się jej używać, kontrolować ją, zanim... ona przejmie władzę nad nami.

– Dobra – szepnął Eliot do Roberta. – Daj mi kilka sekund, spróbuję coś wymyślić.

Oparł Jutrzenkę na ramieniu i dotknął smyczkiem strun. Zaczął wystukiwać rytm zgodny z uderzeniami swojego serca. Słabe wibracje oczyściły jego umysł z wszystkich niepotrzebnych myśli. Wystarczy, że skomponuje utwór dla Fiony. Melodia ich wtedy poprowadzi.

Zebranie jednak całej swojej wiedzy o siostrze i ujęcie jej w formie dźwięków, które będą mogli usłyszeć inni, wydawało mu się niewłaściwe. Muzyka dawała mu władzę nad tymi, o których grał. Nikt nie powinien mieć takiej kontroli nad Fioną.

Zdecydował, że najpierw popracuje nad przejściem. Systematycznie, kroczek po kroczeniu. Najpierw odkryje

sposób, żeby pojawiły się drzwi, a potem otworzy je i odnajdzie siostrę po ich drugiej stronie.

Pomyślał o zaśnieżonej dolinie, trwającej w niej imprezie, o śmiechu, śpiewach i towarzyszącej im muzyce. Słyszał już tę melodię wcześniej (pomimo reguły 34) – każdego Nowego Roku dochodziła do jego pokoju przez cienkie ściany Oakwood Apartments. Zanucił kawałek ale szybko przerwał. Pamiętał tylko pół zwrotki. Odwrócił się do Roberta.

– Znasz tę piosenkę? – zapytał.

– Jak każdy. – Robert wyglądał na zdziwionego.

– Zaśpiewasz ją dla mnie?

– Nie chciałyś, żebym cokolwiek śpiewał.

– Muszę ją usłyszeć, żeby przywołać drzwi.

Robert wzdrygnął się, rozejrzał dookoła, potem westchnął, odchrząknął i zaczął śpiewać.

***Kto raz przyjaźni poznał moc, nie będzie trwonić słów
Przy innym ogniu w inną noc do zobaczenia znów***⁶⁸

Melodia była dość prosta. Eliot powtórzył ją na Jutrzence, potem rozwinął, dodał frazę odpowiadającą padającemu śniegowi i ozdobnik opisujący wybuchające nad alpejską wioską fajerwerki.

Cegły w murze zaczęły pękać. Temperatura w pomieszczeniu spadła w okolice zera.

Eliot wprowadził do melodii warstwę harmonii, która kojarzyła mu się ze śmiechem, jaki usłyszał w

⁶⁸ Oryginalny tytuł *Auld lang syne* oznacza „Dawno, długo temu” albo „Kiedy, jeśli nie teraz”, ale wcześniejsze jego interpretacje sugerują znaczenie bliższe „Pewnego razu”. To ostatnie wyrażenie (albo, jak mówią niektórzy, inwokacja) otwierało baśnie już od XTV wieku (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. V, *Mity podstawowe*, cz. II, *op.cit.*).

dolinie. Dołożył kilka nut przedstawiających blask księżyca na śniegu i oświetlającą nocne niebo zorzę polarną.

Drzwi stały się wyraźnie grubsze: już nie były warstwą farby na murze. Teraz widzieli przed sobą prawdziwe drewno i żelazne zawiasy. Wetknięta w zaprawę między cegłami mosiężna kłamka zagrzechotała i uniosła się z głośnym brzęknięciem.

Eliot grał coraz szybciej. Przysunął się do drzwi.

Kłamka zaczęła się powoli obracać.

Muzyka jednak niespodziewanie się zmieniła: jedna z nut, zamiast zgodnie z wolą Eliota udać się w górę pięciolinii, opadła. Znowu to – melodia wyrwała się spod kontroli. Zły, zacisnął mocniej dłonie na Jutrzence, niemal się z nią siłując. Skaleczony palec pulsował z bólu. Eliot czuł, jak gorąca trucizna przeciska się przez żyły w nadgarstku.

A jeśli muzyka wiedziała coś, o czym on nie miał pojęcia? Może lepiej pozwolić jej unieść się tam, gdzie chce go poprowadzić?

Niechętnie rozluźnił dłonie. Muzyka przekształciła się w skoczną przygrywkę, a stopy Eliota zaczęły wystukiwać wesoły rytm. Nastrój jednak wciąż się zmieniał i szybko stał się bardziej mroczny. Szczęście ustąpiło miejsca melancholii, przyjemność – bólowi. Melodia niby wciąż była ta sama, ale teraz wykrzywiła się w coś przerażającego.

Mechanizm zamka stuknął i drzwi się szeroko otworzyły.

Eliot przestał grać i położył dłoń na strunach. Chyba nie powinien dłużej dać się unosić muzyce.

Robert wpatrywał się w otwarte przejście. Jego oddech zmienił się w chmurkę, kiedy powiedział:

– Dobra robota.

Świat po drugiej stronie drzwi Wyglądał jak wnętrze śnieżnej kuli. Gruba migocząca warstwa bieli pokrywała wzgórza i lasy. W dali wciąż było widać wioskę oświetloną świecami i błyszczącymi łańcuchami bożonarodzeniowych lampek. Ludzie śpiewali tę samą noworoczną pieśń, a kiedy skończyli, w niebo wystrzeliły fajerwerki. Wszystko wydawało się takie samo jak wcześniej. Identyczne. Jak w *deja vu*.

Na śniegu przy przejściu, gdzie upadła Fiona, wciąż widniało wgłębienie. Przysypane świeżo spadłymi płatkami ślady stóp pokazywały, że dziewczyna krążyła wokół tego miejsca przez dłuższy czas.

– Pewnie próbowała przedostać się z powrotem – stwierdził Robert – albo w ogóle nie mogła znaleźć drzwi. Bo to może się okazać wcale nie takie proste.

Przeszukał leżący obok stos gruzu, wyciągnął z niego łom i zaklinował nim drzwi.

Jak długo Fiona wałęsała się po dolinie? Eliot sięgnął dłonią na drugą stronę. Płatki śniegu, które na niej wylądowały, nie topniały nawet po kilku sekundach. Było bardzo zimno. Schował rękę do kieszeni, zaciskając zeszywniałe palce.

– Ślady prowadzą do osady – zauważył Robert.

– Na pewno nic się jej nie stało.

Eliot nie był taki pewien. Nie umiał ocenić, jak daleko leży wioska. Zakrywający wszystko śnieg sprawiał, że wydawała się jednocześnie bliska i odległa.

– Lepiej poszukajmy dla ciebie kurtki – stwierdził

Robert.

W kieszeni Eliota rozległ się dzwonek. Chłopak aż podskoczył. Telefon Roberta zadzwonił w tej samej chwili. Obydwaj wyciągnęli komórki.

– Pan Mimes powiedział mi, że to tak naprawdę ten sam telefon – wyjaśnił kierowca. – Pewnie to do mnie.

– Jak to ten sam?

Robert zignorował pytanie Eliota i odebrał telefon:

– Tak? – Jego twarz natychmiast pociemniała.

– Nie, nie ma go tu. – Najwyraźniej miał zamiar się rozłączyć.

– Zaczekaj. To do mnie? – Eliot nacisnął zieloną słuchawkę na swoim aparacie.

Robert wyglądał na bardzo niezadowolonego.

– Halo?

– Mój chłopcze... – z malutkiego głośniczka wydobywał się głos Louisa. – Możesz poprosić pana Farmingtona, żeby przestał podsłuchiwać naszą rozmowę? Wydaje mi się, że Ligę obowiązują w tym względzie jakieś zasady.

Robert wciąż trzymał telefon przy uchu. Pokręcił głową. Eliot rzucił mu spojrzenie, jakiego nie powstydziałaby się babcia. Robert zmarszczył brwi, ale powoli odłożył komórkę i skrzyżował ręce na piersi.

– Świetnie – oznajmił Louis. – Plotki mogą być bardzo szkodliwe. Czasami trzeba wręcz kogoś zabić, żeby je powstrzymać.

– To ty byłeś ze mną wcześniej, prawda? – zapytał na poły wściekły, a na poły zaintrygowany Eliot.

– Oczywiście.

– Powiedziałeś, że nigdy mnie nie okłamiesz.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. Potem Louis odrzekł:

– Nie okłamałem cię. Czy choć raz powiedziałem, że jestem Robertem? Myślisz, że twoja siostra pojechałaby z nami, gdybym pojawił się we własnej osobie?

Miał rację, Fiona na pewno by się na to nie zgodziła.

– Ale dlaczego przyprowadziłeś nas do tego przejścia? Po co ja w ogóle z tobą rozmawiam?! Fiona może właśnie gdzieś zamarza... I to przez ciebie!

Eliot dotknął kciukiem klawisz rozłączenia, ale z jakiegoś powodu nie dał rady go nacisnąć. Z głośnika dotarło do niego syczące westchnienie.

– Twoja siostra jest całkowicie bezpieczna. Wszystkie jej potrzeby zostaną zaspokojone. Tamta dolina może być jedynym miejscem, gdzie nie dotkną jej pewne zdarzenia, jakie nastąpią tej nocy.

Nie dotkną jej pewne zdarzenia? Czyżby Rada miała jakieś plany związane z rodzeństwem? Albo krewni ze strony piekielnych... Złość Eliota natychmiast osłabła i ciekawość wzięła górę nad irytacją.

– Jesteś moim ojcem, prawda? – Tym razem przerwa była bardzo długa i chłopak myślał, że połączenie się urwało. – Prawda? Jest pan tam?

– Musimy tej nocy coś razem zrobić – oznajmił Louis, nie odpowiadając na pytanie. – Twoja siostra nie może w tym uczestniczyć. Nie będę nic więcej wyjaśniać przez telefon. Musisz się ze mną spotkać. Wtedy wszystko ci opowiem.

– Nie wydaje mi się. Zostaję tu, żeby ratować Fionę. – Eliot zawahał się. Wypowiedzenie kolejnych

słów przyszło mu z trudem. – Nie ufam ci, Louis. Nigdy mnie nie okłamałeś, ale mam przeczucie, że nie byłeś też ze mną do końca szczery.

– Zbyt wiele prawdy jest niezdrowe dla dorastających chłopców. Powiem ci jednak jedną rzecz: Eliot, jeśli tej nocy nie będzie cię przy mnie, z całą pewnością jej nie przeżyję.

– Jak to? Dlaczego?

– Zbyt wiele szczegółów, żeby omawiać je za pośrednictwem tego urządzenia – rzucił Louis. – Poza tym słuchawka strasznie nagrzewa mi ucho. Na ciebie też tak działa?

– Powiedz mi.

– Nie. Spotkaj się ze mną, mój chłopcze. Na tyłach „U Ringo”. W alejce. O zmroku.

– Ale...

– Pozwolę ci samemu zdecydować, czy warto mi uratować życie.

Dźwięk w słuchawce oznaczał, że połączenie się urwało.

– Louis? Louis?!

Eliot wpatrywał się w telefon. Dlaczego każdy dorosły, z którym rozmawiał, doprowadzał go do rozpaczki? A już na pewno każdy z jego krewnych. Zaciśnął dłoń na komórce tak mocno, że aż trzęsło mu się ramię.

– Nie wiem, co ci powiedział – szepnął Robert – ale na pewno nie powinieneś go słuchać. Jest groźny.

– Wiem.

Eliot był tak wściekły, że po raz pierwszy w życiu nie mógł myśleć. Miał ochotę krzyknąć. Louis wybrał

najgorszy moment, żeby obciążyć go taką odpowiedzialnością. Ale też dał mu coś, czego nigdy wcześniej żaden dorosły mu nie zaoferował: wybór. Wszyscy zawsze mówili mu, co ma robić: Rada, babcia... Może tylko nie Cee, ale ona się nie liczyła. Teraz sam miał wybrać: pomóc siostrze albo pomóc komuś, kto prawdopodobnie jest jego ojcem.

Może, tak jak powiedział Robert, Fiona po prostu poszła do wioski i teraz popija cydr przy jakimś ognisku. A Louis? Czy naprawdę zginie, jeśli Eliot do niego nie pojedzie?

– Mam nadzieję, że nie rozważasz poważnie jego słów.

Robert miał lepszy słuch, niż Eliot sądził, jeśli faktycznie udało mu się coś usłyszeć.

– Nie ma mowy, żebym cię zawiózł do tego dziwaka – ciągnął Robert. – Chcesz pomóc jemu, a nie swojej siostrze? Jeśli tak, to możesz wracać do Del Sombry piechotą.

– Nie mów mi, co mam robić. – Złość Eliota zogniskowała się na kierowcy. – Nie potrzebuję twojej pomocy. Pół kilometra stąd jest przystanek. Mogę złapać tam autobus i będę w Del Sombrze przed zmrokiem.

Robert otworzył usta, zamknął je i westchnął.

– Masz rację. W sumie to sprawa rodzinna. Zrób tak, jak czujesz, że powinienes. Ja pójdę szukać Fiony. Ale jeśli pójdziesz ze mną, potem zawiozę cię, gdzie tylko będziesz chciał.

To nawet brzmiało rozsądnie, lecz Eliot nie miał pojęcia, ile czasu może im zabrać znalezienie siostry. A co, jeśli zgubią się w dolinie?

Robert odwrócił się i ruszył z powrotem do głównego pomieszczenia tawerny.

– A teraz co robisz? – zapytał Eliot, idąc za nim.

Robert zatrzymał się przy barze i zgarnął ze stojącej na nim miseczki garść precelków. Przyjrzał się im, najwyraźniej niezbyt zadowolony z tego, co widzi.

– Jesteś głodny? W takiej chwili?

– Nie o to chodzi.

Robert wszedł za ladę i zaczął przeszukiwać kolejne szafki. Wyciągnął z nich dużą torbę z precelkami.

– Jaś i Małgosia.

– Co?

– Szlak z okruszków. Mam wrażenie, że Fiona nie umiała znaleźć drzwi, choć pewnie stała tuż przy nich.

Eliot wiedział, że imiona Jaś i Małgosia muszą się wywodzić z jakiejś mitologii czy popkultury i że on na pewno nie zna tej historii, ale domyślił się z kontekstu, co oznacza szlak z okruszków.

Robert ruszył do przejścia do doliny.

– I jak będzie? Idziesz ze mną czy nie?

Eliot naprawdę nie wiedział, co zrobić. Musiał pomóc Fionie; to było jego obowiązkiem. Ale Louis powiedział, że dziewczyna będzie tam bezpieczna. A Eliot w to wierzył... do pewnego stopnia. Przynajmniej uważał, że Fiona tam nie umrze. Wierzył też Louisowi, kiedy ten oświadczył, że zginie, jeśli dziś w nocy Eliot nie stawi się przy nim. Brzmiało to absurdalnie, ale coś w jego tonie pozwalało sądzić, że może jest w tym ziarno prawdy. Poza tym Louis zostawił mu wybór...

Eliot czuł się rozdarty. Jego wzrok padł na bar i leżące na nim dwie kostki. Nie mógł oderwać oczu od ich

błyszczących czerwonych ścianek.

Podszedł bliżej i dotknął ich. Były plastikowe, nie specjalnego, ale szybko się rozgrzały od jego palców. Wziął je w garść i potrząsnął. Sprawilo mu to przyjemność. A może powinien im pozwolić zdecydować, skoro sam tego nie potrafił?

Zagrzechotał nimi w zaciśniętej dłoni. To takie proste. Jeśli suma wyrzuconych cyfr będzie parzysta, pójdzie z Robertem szukać Fiony. Jeśli nieparzysta, pomoże Louisowi.

– Co robisz? – W tonie Roberta pojawił się niepokój.

– Nie mamy czasu na zabawę.

– To nie zabawa – wyjaśnił Eliot, a jego własny głos wydał mu się obcy, jakby starszy, głębszy i mroczniejszy. – To nigdy nie była zabawa.

Rzucii kośćmi.

Odbiły się kilka razy, mknąc po ladzie, wirując ku jej brzegowi, a potem zatrzymały się, zmieniając życie Eliota na zawsze.

Szóstka i jedynka. W sumie siedem. Nieparzysta. Pojedzie na spotkanie z ojcem.

KRAINA NIGDY

Fiona wyciągnęła ręce nad ogniskiem, wykręcając zmarznięte palce. Płomienie ogrzewały, ale nie tak, jak się spodziewała, patrząc na grube szczapy drewna. Czowała się, jakby stała przed sześćdziesięciowatową żarówką.

Znalezienie ogniska, wokół którego nie wirowali ubrani w togi tancerze, zabrało jej sporo czasu. Tli i ówdzie stały też metalowe koksowniki, w których paliły się śmieci, ale przy każdym z nich gromadzili się trzymający w rękach butelki wina imprezowicze. Czy nikomu nie było tak zimno jak jej?

Naciągnęła wyżej kołnierz skórzanej kurtki Roberta i przyjrzała się otaczającym ją ludziom. Wielu z nich tańczyło i może właśnie to sprawiało, że nie marzli. A także obfitość dostępnego jedzenia. Grupa łyżwiarzy wirowała w rytm szybkiego disco. Trochę dalej, pod olbrzymim namiotem dostrzegła prawdziwy parkiet, na którym elegancko ubrani mężczyźni i kobiety tańczyli walca. Fiona miała ochotę tam pójść, ale bała się, że jej strój jest nieodpowiedni. Stawiła już czoło olbrzymiemu krokodylowi, przekradła się do wnętrza pilnie strzeżonej bazy wojskowej, ale jeśli chodziło o jej wygląd... wciąż była tchórzem.

Stoły aż ugiwały się od owiniętych w plastry bekonu przystawek, apetycznie skwierczących nad puszkami z paliwem turystycznym. Stosy pokrojonego w

kostki sera leżały wokół lodowych łabędzi, a koktajli z krewetek wystarczyłoby pewnie na wypełnienie niewielkiego oceanu. Widok tac z oblanymi czekoladą truskawkami sprawił, że Fiona musiała powstrzymać odruch wymiotny.

Koło niej przebiegło kilku chłopców o twarzach ukrytych pod maskami. Mieli na sobie kubraki i podbite futrem peleryny. W rękach trzymali szable i kufle z piwem. Śmiali się do siebie, krzyczeli i obrzucali śnieżkami. Jeden z nich, w masce lwa, prawie przewrócił się, gdy spojrzał na Fionę. Uśmiechnął się, a na twarz dziewczyny wystąpiły rumieńce. Chłopak jednak dostrzegł już kogoś innego. Zapomniał o Fionie, upuścił trzymaną w rękę śnieżkę i pobiegł dalej. Może to i lepiej. Liczyła na jego ewentualną pomoc, ale nie podobał się jej głodny błysk w jego oczach.

Zauważyła teraz kilka par spacerujących ramię w ramię. Niektóre z nich zatrzymywały się w cieniu, szukając innych sposobów na rozgrzanie się. Dziewczyna odwróciła wzrok, zmieszana.

Wielu ze świętujących było dziwnie ubranych. Niektóre kobiety miały wysoko upięte, starannie ułożone włosy i sukienki, jakie równie dobrze mogłaby włożyć Cee na jakiś przedwojenny kotylion. Inne miały suknie z cekinami, które błyszcząły niczym zanurzone w rtęci. Sporo dziewczyn i chłopaków wybrało bluzy z nadrukowanymi dwiema albo trzema greckimi literami (dla Fiony nie miały one jednak żadnego sensu).

W tej wiosce musiały być setki ludzi, a ona czuła się tu całkowicie sama. Skrzyżowała ręce na piersi, próbując ochronić się przed zimnem. Dobrze, że miała na

sobie skórzaną kurtkę Roberta. Pewnie uratowała jej życie.

Przypomniała sobie, jak się tu dostała, i na nowo się rozzłościła. Robert. Jeśli jeszcze kiedyś go dopadnie, to... Cóż, w zasadzie nie wiedziała, co dokładnie mu zrobi, ale na pewno go to nie ucieszy.

Wypchnął ją przez tamte drzwi. Kiedy wygrzebała się z zasy i odwróciła w stronę tawerny, jej już nie było. Jak również Roberta, Eliota i – co najważniejsze – drogi powrotnej. Szukała jej, ale w śniegu nie leżała nawet łupinka od orzecha.

Nie miała wyboru. Czują7 że jest ostry mróz, a jedynym miejscem, gdzie mogłaby się schronić, była wioska. Namioty, beczki z piwem, rozwieszane na budynkach o stromych dachach bożonarodzeniowe lampki – wszystko to czyniło miłe i przytulne wrażenie.

Przestała się zastanawiać, kiedy usłyszała, jak wszyscy zaczęli śpiewać tę starą sentymentalną piosenkę o innym ogniu i innej nocy chyba już stutysięczny raz, od kiedy się tu znalazła. A jak dawno temu to było? Miała wrażenie, że upłynęło zaledwie kilka minut, ale wiedziała, że to nieprawda.

Zabrzmiały rogi i trąby. Niebo wypełniły fajerwerki, konfetti i kolorowe serpentyny. Wszyscy dziwni imprezowicze zaczęli radośnie pokrzykiwać, ścisnąć się i całować z osobami stojącymi obok. Fiona cieszyła się, że koło niej nikogo nie ma. Ci ludzie byli szaleni.

Usłyszała trzeszczący śnieg. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z chłopakiem w masce lwa.

– Moja pani – powiedział z silnym szkockim akcentem, kłaniając się z rozmachem. – Proszę, pozwól mi

dotrzymać sobie towarzystwa. Nikt nie powinien być samotny tej nocy wszystkich nocy.

Potem chłopak zrobił coś bardzo dziwnego. Podszedł do niej z szeroko rozłożonymi ramionami, jakby chciał ją objąć.

– Ej! – Fiona podniosła rękę i zatrzymała intruza.

Wyglądał na zaskoczonego, ale uśmiech nie zszedł mu z ust. Odrzucił do tyłu głowę i zasłonił oczy.

– Ach, słusznie. Właściwa chwila już minęła, prawda? Wobec tego, zdaje się, będziemy musieli trochę poczekać.

– Kim jesteś? – Fiona dotknęła gumowej opaski na swoim nadgarstku. Co robi, jeśli ten gość znów spróbuje ją pocałować? Przekroi go na pół?

– Jestem lord Jeremy Covington z Covingtonów z Galloway.

Płynnym, eleganckim gestem ujął jej dłoń i uniósł do ust. Dotyk jego warg spowodował, że Fionę przeszedł dreszcz. Jeszcze kilka tygodni temu byłaby gotowa zabić, jeśli ktoś by się nią w ten sposób zainteresował. Teraz jednak nie miała pojęcia, co zrobić. Jak sobie radziły wszystkie te dziewczyny, które miały to na co dzień? Wyrwała mu rękę.

– Miło cię poznać. Nazywam się Fiona Post. Co to za miejsce?

– Kraina Nigdy. Dolina Nowego Roku.

– Tyle też wiem. Ale gdzie to jest?

Przez chwilę się zastanawiał, po czym kiwnął głową, jakby dopiero teraz zrozumiał, o co jej chodzi.

– Jeśli się nie mylę, zanim ogłosiliśmy

niepodległość, stanowiliśmy część czyścica⁶⁹ – ⁷⁰.

– Czyścica? – zdziwiła się Fiona. Nigdy nie słyszała o takim miejscu, co biorąc pod uwagę jej encyklopedyczną wiedzę geograficzną, było raczej zastanawiające. – Czy to w Europie Wschodniej?

Lord Jeremy roześmiał się.

– O nie. Pomyśl panna jeszcze raz. Czyścicie? Przestrzeń pomiędzy niebem a piekłem?

O tych dwóch miejscach Fiona oczywiście słyszała. Wątpiła jednak, by ta wioska rzeczywiście leżała między nimi. Chociaż... było to dokładnie tak samo niewiarygodne jak inne rzeczy, które im się przydarzyły od ostatnich urodzin.

– A więc jest waćpanna tu nowa? – Uśmiech zniknął z twarzy Jeremy'ego. Chłopak wyglądał teraz na zatroskanego.

– Można tak powiedzieć. Jak wydostać się z czyścica?

– Ha, tak jak wcześniej mówiłem, to nie jest

⁶⁹ Sycylijski nawigator Ignacio Balermo (1211-1258) wrócił z wyprawy do Afryki, twierdząc, że pożeglował poza krawędź ziemi i odkrył zarówno początki nieba i piekła, jak i leżące między nimi krainy czyścicowe. Przepytywany przez przedstawicieli Kościoła zeznał, że z czyścica można dotrzeć do wielu lądów. Wyraził też chęć powrotu

do dokładniejszego przebadania tego miejsca. Kościół zaprzeczył jego twierdzeniu i ogłosił, że z czyścica można się dostać wyłącznie do nieba. Ignacio odwołał swoje zeznania, ale i tak został wkrótce spalony na stosie. Jego mapy (które rzekomo skonfiskowano i również spalono) trafiły później do rąk żyjącego w trzynastym wieku benedyktyna Sildasa Pobożnego (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. II, *Boskie inspiracje*, *op.cit.*).

⁷⁰ „Tu znajdziesz smoków, Minotaurów, gigantów, świętych, grzeszników, grozę dla zagubionych i objawienia dla odważnych” - notatka poprzedzająca część kartograficzną *Mythica improbiba*.

dokładnie czyściec. Mieszkańcom doliny nie spodobały się tamtejsze zasady, rytualne pieśni, oczyszczający ogień i tak dalej. Co za stek bzdur!

– A więc ktoś zdecydował, że lepiej po prostu zorganizować imprezę? – rzekła Fiona, rozglądając się dookoła.

– Precyzyjnie mówiąc, bal sylwestrowy. Jedyna drobna niedogodność jest taka, że nigdy nie udaje nam się dotrzeć do samej północy. Czasami wszystko zaczyna się naprawdę bardzo dobrze, ale zawsze w jakimś momencie przyjęcie się urywa. – Jeremy westchnął.

– I nie dotyczy to tylko zabawy. Nic tutaj nie jest do końca satysfakcjonujące: trunki, jedzenie... – Jego oczy znowu rozbłysły. – Nawet panny. Może panna chciałaby spróbować czegoś? Lampkę szampana?

Fiona cofnęła się o krok, nagle czując się raczej niepewnie tak blisko lorda Jeremy'ego Covingtona.

– Nie mam wprawy w picie szampana, więc dziękuję. Szukanie satysfakcji może się okazać uzależniające.

– To prawda. – Chłopak przysunął się do Fiony. – Ale to nie zmniejsza związanej z nim przyjemności.

Z wioski zaczął znów dochodzić śpiew kobiety. W powietrze wystrzeliły puste butelki.

– No i proszę. – Jeremy sięgnął za poły swojego kubraka i wyciągnął pogniecioną gałązkę jemioli. – Czy znasz panna stary zwyczaj całowania się w sylwestra?

– Nie sędzę.

Jeremy zbliżył się do niej z zaskakującą szybkością, objął ją i zaczął się nachylać nad jej twarzą. Fiona nie wiedziała, co zrobić ani co powiedzieć. Jej ciało za to

zdawało się mieć sprecyzowany pogląd. Szybko i jak najmocniej kopnęła kolanem lorda Jeremy'ego Covingtona z Covingtonow z Galloway w krocze. Mężczyzna przestał się uśmiechać i głośno wypuszczając powietrze z płuc, upadł w śnieg.

– Podziwiam twój temperament, panienko – wycharczał.

Palce Fiony naciągnęły gumkę. Naprawdę wolałaby tego nie robić, ale nie wiedziała, jak bardzo Jeremy ma zamiar rozwinąć ideę tradycyjnego sylwestrowego całusa. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie mogła być pewna ani tego, czy lord Covington jest żywy, czy martwy, ani czy jest człowiekiem.

Jeremy podniósł się. Głód w jego oczach się wyostrzył. Ale dokładnie w tej samej chwili na jego lwiej masce rozbiła się twarda śnieżka. Siła uderzenia sprawiła, że kark Jeremy'ego odgiął się do tyłu, jego stopy oderwały się od ziemi i lord kolejny raz poleciał w śnieg.

Fiona odwróciła się, żeby zobaczyć, kto ją uratował.

Dziesięć kroków dalej stał Robert Farmington. Mosiężny kastet na jego dłoni błyszczał w księżycowym świetle. Właśnie ubijał następną śnieżkę.

– Robert! Co robisz? Już wystarczy.

W pierwszym odruchu chciała sprawdzić, co się stało Jeremy'emu, a przynajmniej upewnić się, że oddycha, ale po chwili przypomniała sobie, przez kogo się tu znalazła. Podeszła do Roberta, zaciskając w dłoni gumową opaskę – nie była pewna, czy może mu ufać choć trochę bardziej niż lordowi.

Musiał się zorientować, że nie miała ochoty na

zarty, bo natychmiast upuścił śnieżkę. Wtedy Fiona zauważyła dwie całkowicie nielogiczne rzeczy. Po pierwsze, Robert miał na sobie skórzaną kurtkę tę samą, co ona – łącznie z naszywką z orłem i przetarciami na prawym rękawie. Po drugie, trzymał w ręku wielką torbę z precelkami.

– Tak się cieszę, że cię odnalazłem. – Zrobił krok w jej stronę. – Nie masz pojęcia, jak długo cię już szukam. To miejsce jest takie...

– Zostań tam, gdzie jesteś. Najpierw lepiej wyjaśnij mi, dlaczego wypchnąłeś mnie wtedy przez drzwi.

Robert zatrzymał się.

– To akurat jest proste. To nie byłem ja.

Opowiedział jej, jak Louis Piper oszukał rodzeństwo, rozdzielił je, a potem zwałił Eliota z powrotem do Del Sombry. Fiona czuła, jak w żołądku rośnie jej kula strachu. Wszystko pasowało. Teraz rozumiała, dlaczego Robert zachowywał się w tawernie tak dziwnie. I te dwie sklonowane kurtki... Nie dziwiło jej też, że jej głupi brat przy pierwszej okazji pobiegł ratować ich rzekomego ojca i tym samym tylko wpędził się w jeszcze większe kłopoty.

Jeremy zajączał i przeturlał się na śniegu, potrząsając głową. Potem zaśmiał się i powoli podniósł.

– Masz silne ramię – powiedział do Roberta. – Ale nic mi nie jest.

Z nozdrzy lwiej maski wypłynął strumyczek krwi.

– Proszę się cofnąć – nakazał Robert, zaciskając dłoń z kastetem w pięść.

Jeremy zerknął na niego, a potem na Fionę.

– Ach, rozumiem. – Ukłonił się dziewczynie. –

Przepraszam, młoda damo. Nie miałem pojęcia, że przyszłaś na bal z eskortą.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby się bawić – warknął Robert. – Chodź, Fiona, zabieramy się stąd. – Potrząsnął torbą z precelkami. – Zostawiłem za sobą szlak.

– Szlak z okruszków? – zainteresował się Jeremy.

– Do przejścia?

– Wiesz coś o tym? – zapytała Fiona.

– Znam ten mit – odpowiedział Jeremy. – Tak jak legendę o jednorożcu przemykającym z jednego miejsca w drugie i nigdzie nie przebywającym dłużej niż chwilę. Już łatwiej gonić płatki śniegu. – Delikatny uśmiech powrócił na jego wargi. – Ale skoro macie szlak z okruszków, to wszystko może się okazać prostsze. W tej kramie baśń jest prawdziwie potężna.

– Fiona – szepnął Robert, wyciągając do dziewczyny rękę. – Chodźmy stąd. Mam złe przeczucie.

Fiona się przez chwilę wahała. Ale chłopak wyglądał jak Robert i, co więcej, czuła się przy nim jak przy prawdziwym Robercie. Przy bohaterze. Wzięła więc jego ciepłą i silną dłoń.

– Cieszę się, że po mnie przyszedłeś – wyszeptwała.

– Znalazłbym cię wszędzie. Nieważne, co bym musiał w tym celu zrobić. – Skinął głową w kierunku szlaku z precelków. – Wkrótce zakryje je śnieg. Musimy się spieszyć.

Jeremy bez słowa pobiegł w kierunku reszty imprezy wiczó w, czym Fiona była nieco rozczerwona. Bo choć lord najpierw sprawiał sympatyczne wrażenie, potem wręcz przeciwnie, to na koniec znów zachowywał się miło. Dlaczego chłopcy musieli być tacy dziwni?

Na błyszczącym śniegu precelki były bardzo dobrze widoczne, ale po kilkudziesięciu krokach, tak jak to przewidział Robert, świeżo spadły śnieg zaczął je przykrywać. Wkrótce szlak zniknął.

– Nie martw się – powiedział Robert. – Powinniśmy być prawie na miejscu.

– Zaczekaj. Czy w ogóle widziałeś drzwi, kiedy znalazłeś się po tej stronie?

Robert pokręcił głową.

– Pamiętałem jednak, żeby je oznaczyć. Rozsypałem na progu dwie garście precelków.

– Których teraz nie damy rady znaleźć, bo będą tak samo jak wszystko inne zasypane śniegiem.

Zmarszczył brwi.

– To co chcesz wobec tego zrobić? Zacząć przeczesywać kolejne zasy w poszukiwaniu każdego precelka?

Fiona usłyszała kroki. Odwróciła się i zobaczyła, że w ich stronę biegnie Jeremy razem z grupą przyjaciół. Wszyscy mieli na sobie maski: nosorożca, strusia, hieny i goryla. Robert wyciągnął pistolet.

– Broń nie będzie ci potrzebna – wy sapął Jeremy.

– Przyszliśmy wam pomóc. Pewnie zgubiliście szlak, co? My umiemy go znaleźć.

– Jasne – rzucił Robert, nie opuszczając broni. Jeremy skinął w stronę swoich sześciu towarzyszy, wskazując im leżące przed nimi zasy. Ci natychmiast rozproszyli się i zaczęli pojedynczo przeszukiwać śnieg. Młody lord kiwnął głową do pozostałej dwójki, tym razem pokazując, że mają pobiec z powrotem do wioski.

I ten rozkaz został bezzwłocznie wypełniony.

– Może pozwólmy im pomóc, przecież to nam nie zaszkodzi – zasugerowała Fiona.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł – szepnął Robert.

– Tutaj! – zawołał chłopak w masce nosorożca.

– Znalazłem.

– Dobra robota – pochwalił go Jeremy. – Niech reszta do niego dołączy. Może znowu dopisze nam szczęście.

Fiona przyglądała się chłopcom. Jeśli okaże się, że nie mają przyjaznych zamiarów... Było ich siedmiu i obawiała się, że nawet wraz z Robertem nie byłiby w stanie się przed nimi obronić, a przynajmniej nie bez użycia śmiertelnej broni. Zadrżała. Znaleźli się jednak tak daleko od ognisk w wiosce, że wkrótce po prostu pewnie zamarzną. Nie mieli . wyboru.

– A gdzie pobiegła tamta dwójka? – zapytał Robert, w końcu opuszczając pistolet.

– Po pomoc oczywiście – wyjaśnił Jeremy. – Jeśli chcemy mieć jakiegokolwiek szanse, to... Zresztą nieważne. Wiesz, co mam na myśli.

Fiona i Robert też szukali szlaku. Wkrótce dołączyli do nich kolejni ludzie z wioski: chłopcy w maskach, mężczyźni w smokingach, grupa ubranych w skóry Indian, kilkanaście dziewcząt z kotylionu, za którymi ciągnęły się fałdy krynolinowych spódnic. Teraz już kilkadziesiąt osób przekopywało zasy, usiłując dostrzec w nich okruszki.

Jeremy pobiegł naprzód, jakby wyczuł, gdzie prowadzi niewidzialna ścieżka. Odkrył szeroki krąg hojnie rozsypanych precelków, najwyraźniej oznaczający

przejście z Doliny Nowego Roku do Tawerny Ostatniego Zachodu Słońca. Drzwi jednak nie było.

Jeremy, Robert i Fiona zaczęli obmacywać powietrze.

– Obawiam się, że to ślepa uliczka – szepnął rozczarowany Jeremy. – Mamy pecha.

Dookoła nich zgromadził się już spory tłum, razem może z pięćdziesiąt osób. Wyraźnie dało się wyczuć ich niezadowolenie. Nie chodziło wcale tylko o to, że chcieli pomóc Robertowi i Fionie. Nieustająca noworoczna zabawa mogła się wydawać bardzo przyjemna, ale po spędzeniu połowy wieczności na picciu, tańczeniu i kto wie czym jeszcze mieszkańcy doliny musieli być potwornie znudzeni. Chcieli się stąd wydostać równie mocno jak Fiona.

– Może powinniśmy wrócić do ognisk – szepnął Robert do Fiony – zanim zamierzniemy i miejscowi zdenerwują się na poważnie.

– Nie mam zamiaru teraz rezygnować. To musi być gdzieś tutaj.

Fiona zdjęła z nadgarstka gumową opaskę i rozciągnęła ją przed sobą, starając się jak najbardziej skupić myśli. Powietrze zaczęło drżeć i trzeszczeć, kiedy przesunęła tnącą krawędź do przodu. Stojący dookoła ludzie cofnęli się o kilka kroków. Chłopak w masce nosorożca wyszeptał:

– Wiedźma!

To wszystko jednak zniknęło, kiedy Fiona skoncentrowała się na swojej linii siły. Niczego nie widziała, ale czuła wybrzuszenia, drobne wypukłości, fale, jakby całą atmosferę przenikały nici. Może tak było. Jeśli

jej życie reprezentowała rozpięta między przeszłością a przyszłością włóczka, to czemu nie miało tak być z resztą świata?

Jej umysł znalazł się w specyficznym, rozluźnionym stanie, o którym wspominała ciotka Dallas. Cały wzór doliny stał się jasny i oczywisty: proste nici uplecione w pionie i poziomie. Niczym się nie wyróżniały. Tylko jedna zwracała uwagę. Fiona przysunęła się bliżej i zobaczyła, że jest tak naprawdę zagięciem w poza tym zupełnie gładkiej powierzchni – czymś w rodzaju kieszonki ukrytej przed ludzkim okiem.

Jej myśli zawinęły się wokół tej szczeliny i ujrzała tkaninę przedstawiającą obite żelazem otwarte drzwi. Po ich drugiej stronie pośród cieni, światła księżycy i pajęczyn widziała beczki po piwie i kartony z butelkami. Krawędzie tkaniny jednak były naddarte; materiał pruł się w szybkim tempie. Cokolwiek chciała zrobić, musiała się spieszyć – wkrótce gobelin z wizerunkiem przejścia zniknie zupełnie.

Przecięła nici utrzymujące drzwi w ich obecnym położeniu, pociągnęła je do siebie, przekreśliła i położyła płasko na materiale odpowiadającym tej stronie świata. To jednak tylko przyspieszyło tempo rozpadu tkaniny. Może powinna odłożyć je z powrotem?

Czyjaś ręka dotknęła jej ramienia. Zamrugła i z powrotem znalazła się na mrozie.

Robert stał obok niej, wpatrując się w miejsce, które jeszcze chwilę temu było puste. Teraz widniały tam drzwi; otwarte, ale też szybko blednące.

– Tędy! – krzyknął chłopak w masce nosorożca. – Są otwarte! Pospieszcie się wszyscy, przebiegamy!

Tłum ruszył do przodu, przepychając się obok Fiony i Roberta, rozdzielając ich i przewracając Fionę w śnieg. Robert próbował pomóc jej się podnieść, ale przebiegające obok dziewczyny z kotylionu to uniemożliwiły. Nagle obok Fiony coś eksplodowało. Huk przypominał wystrzał z armaty.

Zapadła cisza i po chwili mroźne powietrze przeszył dźwięk wyciąganej z pochwy stali. Tłum cofnął się i rozstał.

– Wystarczy już tego, hołoto. – Jeremy trzymał w jednej ręce dymiący pistolet skałkowy, a w drugiej szablę. – Puszczamy panią przodem.

Zatknął pistolet za pas i podał Fionie rękę. Dziewczyna przyjęła ją i wstała.

– Dziękuję.

Jeremy nisko się jej uklonił, nie zważając na złe spojrzenie Roberta.

Fiona zerknęła na mieszkańców doliny. Wyglądali na podekscytowanych i zniecierpliwionych, ale teraz patrzyli na nią z szacunkiem. Była ich może nawet i setka, a kolejni biegli przez śnieg, chcąc dołączyć do zgromadzenia.

Dziewczyna wiedziała, że nie ma czasu na zastanawianie się, co stanie się z nimi wszystkimi po drugiej stronie. Odwróciła się ku bledącym drzwiom, wstrzymała oddech i przekroczyła próg.

Było ciemno, ale wiedziała, że się jej udało, bo przestała odczuwać zimno. W ciepłym kalifornijskim powietrzu unosił się zapach starych kartonów.

Do magazynu akurat wszedł policjant. Kiedy zobaczył wbiegające przez drzwi w ścianie dziewczyny w

sukniach balowych, zrobił bardzo dziwną minę. Po chwili w pomieszczeniu pojawił się też Robert. Wziął Fionę pod rękę i poprowadził w stronę chłodni.

– Hej! – krzyknął do nich policjant. – Proszę się zatrzymać!

Było już za późno. Nikt nie miał zamiaru na nic czekać. Przez namalowane drzwi do tawerny wbiegali kolejni mieszkańcy doliny: lord Jeremy Covington ze swoim towarzystwem, Indianie, mężczyźni w smokingach, kobiety w sukniach z cekinami, myśliwi na koniach, zapijaczeni obwiesie, trupa kłownów. Wpadali na siebie nawzajem, nie zwracając uwagi na policjanta. Uciekali od razu z tawerny, po drodze chwytając jeszcze beczki i butelki.

– Będzie ich więcej – szepnął Robert do Fiony. – Dużo więcej. Pora się stąd zabierać.

Wyprowadził Fionę przez chłodnię na parking.

Jeremy i jego zamaskowani przyjaciele szarpali się z policjantami na tarasie przed wejściem. Kilku mężczyzn w smokingach zaś zajęło miejsca w radiowozach i rozsiało się na harleyach i po prostu odjechało.

Fiona zrobiła krok w stronę Jeremy'ego.

– Nic mu nie będzie – uspokoił ją Robert. – Pamiętaj, mamy własne problemy. Eliota. I Louisa.

Dziewczyna zatrzymała się. Robert miał rację.

Wsiedli do maybacha. Robert uruchomił silnik i samochód z piskiem opon wyskoczył z parkingu, objijając dwa radiowozy blokujące wyjazd.

– Mogę skorzystać z twojego telefonu? – zapytała Fiona.

Robert wyciągnął komórkę i dziewczyna wystukała

numer do domu. Po dwóch dzwonekach ktoś odebrał.

– Halo, Cee? Czy babcia jest w domu? Nie? Przekaż jej więc wiadomość... Tak, zaczekam, ale pospiesz się.

Robert wcisnął gaz do deski. Przyspieszenie wgniotło Fionę w fotel.

– Będziemy w Del Sombrze dosłownie za chwilę – powiedział.

Fiona zerknęła na zachodzące słońce.

– To dobrze, bo właśnie tyle czasu zostało jeszcze Eliotowi.

SZTUCZKA W ZANADRZU

Eliot maszerował wśród wydłużających się cieni. Po Midway Avenue w Del Sombrze jeździło zaskakująco wiele samochodów; sporo też parkowało przed Różowym Królikiem.

Usłyszał dochodzące z baru śpiew i muzykę, ale chociaż miałby ochotę wejść do środka i ich posłuchać, nie miał na to czasu. Zrobiło się już późno, a musiał znaleźć Louisa przed zachodem słońca.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, minął wciąż zamknięte drzwi „U Ringo” i skręcił w alejkę na tyłach restauracji. Zanim jednak tam dotarł, zatrzymał się i wyciągnął z plecaka Jutrzenkę. Zacisnął i rozprostował kilka razy dłoń. Czy znowu dopadnie go zakazanie? Jak Louis je nazwał? Ryzykiem zawodowym?

Zaczerpnął głęboko powietrza. Żałował, że musi się spotkać z Louistem sam. Wierzył w to, że życie jego ojca było w niebezpieczeństwie, ale na samą myśl o tym, że będzie miał do czynienia z drugą rodziną, jego zapal do niesienia mu pomocy wyraźnie malał. Wszyscy: Souhk, Rada, *Mythica improbiba*, nawet Robert – ostrzegali go przed tamtymi. Czy naprawdę byli upadłymi aniołami, wcielonym złem, czy to tylko propaganda?

Wyobraził sobie, że jest bohaterem pojawiającym się w ostatniej chwili, aby uratować swojego dawno zaginionego i uwięzionego w średniowiecznym zamku

ojca. Dojdzie na pewno do pojedynku na rapiery... A może będzie tam też Julie czekająca na to, żeby i ją uwolnił.

Zmusił się, żeby przestać. Uciekanie w świat marzeń tylko odwracało jego uwagę od tego, co działo się naprawdę. A poza tym pasowało raczej do małego chłopca. Najwyższy czas, żeby z tego wyrósł.

W alejce cienie były gęste niczym czarny aksamit. Po śmieciach nie zostało nawet śladu. Wzdłuż uliczki ustawiono świece. Ich migocące płomyki tańczyły na ścianach.

Louis stał tyłem do Eliota i przyglądał się wynikom swojej pracy: wyrysowanym kredą łukom, kropkom i zygzakom, które pokrywały wysoki na dwa piętra mur, ciągnęły się po asfalcie i sięgały ściany po drugiej stronie alejki. Wzór przypominał olbrzymi kokon stworzony ze starożytnych symboli i figur geometrycznych. Linie zdawały się zasysać światło i sprawiać, że cała scena stawała się mroczna. Od patrzenia na tę plataninę Eliot dostawał gęsiej skórki – po części z obrzydzenia, po części dlatego, że wydawała mu się znajoma, po części od unoszącego się w powietrzu ładunku elektrycznego.

Przyjrzał się Louisowi, który zawsze wydawał mu się dziwnie bliski. Nawet wtedy gdy myślał, że mężczyzna jest zwykłym bezdomnym. Miał wielką ochotę podbiec do niego i go uściskać, a potem powiedzieć, że przez całe życie marzył o tym, że zaginiony ojciec pojawi się w cudowny sposób w jego życiu na nowo. I że zawsze w to wierzył. Powstrzymał się jednak. Nie miał innego wyjścia.

Louis należał do rodziny. A żaden z krewnych, których Eliot do tej pory spotkał, raczej nie był życzliwie nastawiony do niego i Fiony. Tak naprawdę już trzy razy

prawie dali się zabić rodzinie.

Louis przechylił głowę i głęboko odetchnął.

– A więc przyszedłeś.

Odwrócił się do Eliota. Jego uśmiech drżał od emocji.

– Wszystko w porządku? – To było najgłupsze pytanie, jakie Eliot zadał tego tygodnia. Oczywiście nie wszystko było w porządku. Louis wyraźnie powiedział, że tej nocy może umrzeć.

– Tak, teraz, kiedy tu jesteś. – Louis zaczął się bawić kawałkiem kredy, który trzymał w ręku. – Musisz mi tylko zaufać. Proszę, tej jednej nocy zaufaj mi. Będą się tu dziać dziwne rzeczy. I niebezpieczne.

Żołądek Eliota zaczął się wykręcać na drugą stronę. Bardzo chciał zaufać Louisowi, ale instynkt krzyczał do niego: „Uciekaj! Jeśli życie Louisa jest w niebezpieczeństwie, to czy sam nie ryzykujesz bardziej?”. Wyprostował się. Skoro dotarł już tak daleko, to teraz nie stchórzy.

– Powiedz, co mam robić.

– Taka odwaga – wyszeptał Louis. – Ewidentnie po matce.

– Chcesz, żeby ci przy tym pomóc? – Eliot wskazał płataninę linii.

– To tylko szkic. – Louis upuścił trzymaną w ręku kredę. – Na dzisiaj wystarczy.

– Wystarczy do czego?

– To obwód elektryczny. – Louis zaczął wskazywać różne symbole. – Zwoje transformatorów, kondensatory, zapalnik. Razem powinny umożliwić prosty transfer mocy.

Eliot zmrużył oczy próbując się doszukać w

rysunku jakiegoś sensu, ale nie mógł się skupić. Przyszedł tu, żeby uratować Louisowi życie i zadać mu jedno pytanie.

– Czy jesteś moim ojcem?

Louis długo przyglądał się chłopakowi, jakby sam chciał to wiedzieć.

– Tak. Jestem twoim ojcem – powiedział w końcu.

– Louis Piper, Lucyfer, Gwiazda Poranka, Książę Ciemności... To wszystko moje imiona. W naszych żyłach płynie ta sama krew. – Rozłożył szeroko ramiona w zapraszającym geście. – Nie czujesz tego?

Eliot rzeczywiście czuł, że to prawda. Wiedział, że Louis nie kłamie. Jakiś pierwiastek przez piętnaście lat nieobecny w jego życiu nagle wskoczył na swoje miejsce. Chłopak zrobił krok w stronę ojca. Nie widział przed sobą diabła z drzeworytu, lecz Louisa, czystego, trzeźwego i czekającego na niego z rozłożonymi ramionami. Widział swojego ojca. Mimo wszystko zawahał się. Wiedział, że Louis nie kłamał, ale wiedział też, że nie powiedział mu całej prawdy. A to też przecież jest rodzaj oszustwa.

– Zostawiłeś nas, kiedy byliśmy niemowlętami.

– Zostawiłem? O nie, mój chłopcze. – Louis opuścił rękę. – Moje zniknięcie to wyłącznie sprawka waszej matki.

– Opowiedz mi o tym. Ze szczegółami. Proszę.

Louis zerknął na zegarek i westchnął.

– Teraz chcesz o tym rozmawiać? O niej? Wiesz, że znam połowę tajemnic wszechświata, i chcesz słuchać akurat o tamtym romansie, o mojej chwilowej utracie rozsądku? – Pokręcił głową. – To tak rozczarowująco normalne.

Eliot otworzył usta, chcąc wycofać swoje pytanie. Tak bardzo zależało mu na opinii ojca. Ale nie, postanowił, że nie pozwoli, aby znowu ukryto przed nim prawdę.

– Opowiedz mi – w jego głosie brzmiała teraz żelazna determinacja. – Nikt nigdy nie mówi o mojej matce. Tak jakby wciąż żyła... i wszyscy się jej obawiali.

– Wciąż żyła? – Przez twarz Louisa przemknął wyraz zdziwienia. – Dopiero teraz zaczynam widzieć, jak daleko posunięta była cała konspiracja względem ciebie i Fiony. – Rozpogodził się. – Dobrze więc. Cóż mogę powiedzieć? Spotkaliśmy się, zakochaliśmy się w sobie, zrobiliśmy to, co zwykle robią zakochani, w wyniku czego na świecie pojawiliście się ty i twoja siostra.

– Tyle że to nie miało prawa się zdarzyć, tak? Ludzie należący do tych dwóch rodzin, do Ligi i do piekielnych, nie powinni się nawet darzyć sympatią, a co dopiero...

Louis zmarszczył brwi.

– A więc powiedziano ci o Pactum pax immortalis? Jak miło ze strony Ligi... – Odchrząknął. – Na początku nie wiedzieliśmy, kim tak naprawdę jesteśmy. A więc wspólnie podróżowaliśmy. Spędziliśmy dwa miesiące w Paryżu, miesiąc w Rzymie, Stambule, Kairze, Nepalu, wreszcie w San Francisco... To był najlepszy okres w moim życiu. I gdy wszystko potoczyło się zgodnie z prawami biologii, wasza matka zaczęła podejrzewać, że mogę nie być do końca tym, za kogo mnie uważała.

– To znaczy? – zapytał Eliot.

– Nie być zwyczajnym człowiekiem. Błękitnokrwista rodzina, z której pochodziła, ma pewne...

nazwijmy to trudności techniczne w reprodukcji ze zwykłymi śmiertelnikami.

Eliot chciał zapytać o kuzynów ze strony matki, o których wspominała ciocia Lucia. Skoro tamtej rodzinie tak trudno było mieć dzieci, to skąd się oni wzięli?

– Mnie też omamiły uczucia – ciągnął opowieść Louis. – Gdybym wiedział, kim była... – Zaśmiał się.

– Taka ślepotą wskazuje na to, że musiałem być autentycznie zakochany. Jak inaczej bowiem wyjaśnić tak kosmicznie idiotyczne zachowanie? Ech, jak to mówią, wszystko to już dawne dzieje.

Eliot nie rozumiał, jak Louis mógł z jednej strony mówić, że ją kochał, a po chwili twierdzić, że tak bardzo tego żałuje.

– A więc ona cię nie kochała?

– Ależ oczywiście, że mnie kochała. Która kobieta mogłaby się mi oprzeć? – Louis uklonił się lekko ceniom. – Kiedy jednak odkryła moją piekielną naturę, pomyślała, że będę chciał porwać cię i twoją siostrę. Nasza rodzina ma fatalną i w dużej części niezасłużoną reputację. Chociaż, prawdę mówiąc, kto uwierzyłby mężczyźnie w takiej sytuacji? I jak można winić kobietę za impulsywne, wywołane burzą hormonów działanie?

– Pozbawiła cię więc mocy.

– Kobięcy gniew może być niewiarygodnie ostry. Zawsze o tym pamiętaj, chłopcze. Już lepiej, żeby mnie zabiła. Przynajmniej nie musiałbym się pławić w morzu ludzkiego współczucia i uzalania się nad sobą.

Louis skrzyżował ręce na piersi i zacisnął dłonie, jakby na nowo odczuwał tamte emocje. Eliot miał ochotę pocieszyć ojca, tak samo jak on pocieszał go po zniknięciu

Julie.

– Wróciłem jednak do ciebie i Fiony – kontynuował Louis. – Gdzie indziej miałem się podziąć? Wasze istnienie było jedyną rzeczą, która wciąż stanowiła dla mnie jakąś wartość. Skoro nie mogłem już dłużej być z przeznaczoną mi kobietą... przynajmniej chciałem przyglądać się wam i wspominać miłość, która mnie kiedyś z nią łączyła.

Eliot czuł, że to część opowieści. Czubek góry lodowej zanurzonej w oceanie oszustw i niedopowiedzeń. Louis wcześniej powiedział mu, że zawsze będzie z nim szczerzy, ale chłopak domyślał się, że szczeroci będzie tylko tyle, żeby można było się za nią wygodnie schować.

– I?

– Ico?

– I gdzie jest haczyk? Z wami sprawy nigdy nie są proste i jasne, prawda? Czy przygotowaliście jakieś próby i testy dla mnie i Fiony? Czy ta strona rodziny posługuje się innymi sztuczkami?

Na twarzy Louisa pojawił się uśmiech, szeroki i szczerzy.

– Oczywiście, że jest haczyk. Zawsze jest.

Spojrzał w niebo pozbawione jakiegokolwiek światła. Słońce zaszło, kiedy rozmawiali, a na firmamencie nie mrugały żadne gwiazdy.

Eliot coś poczuł, tajemnicze przyciąganie, które szarpnęło go za serce. Nagle zaczął mieć trudności z oddychaniem.

Zmrużył oczy i w ciemności za plecami Louisa zobaczył jakąś sylwetkę. Cień kogoś, kto musiał tu być przez cały czas, przysłuchując się ich rozmowie, albo

dopiero teraz zmaterializował się w mroku.

Kiedy niewyraźna postać zrobiła krok do przodu, płomienie świec pochyliły się w jej kierunku.

Był to mężczyzna, ale większy niż ktokolwiek, kogo Eliot do tej pory widział. Górował nad Louisem tak samo jak ten nad Eliotem i w jego obecności ojciec chłopca przypominał małe dziecko. Mężczyzna roztaczał wokół siebie aurę majestatu, jakby wszystko, na co spojrzął, podlegało jego rozkazom. Miał na sobie pelerynę ze strusich, sowych, orlich i pawich piór, która sprawiała wrażenie doczepionych do pleców skrzydeł. Jego naga klatka piersiowa była potężnie umięśniona. Szyję oplatał mu rzemyk, na którym wisiał oszlifowany szafir wielkości grejpfruta.

Wzrok Eliota na chwilę utonął w wodnych głębinach szlachetnego kamienia, ale po kilku sekundach chłopak spojrzął na twarz przybysza. Jego rysy były ostre i miały w sobie coś ptasiego, choć jednocześnie sprawiały wrażenie idealnych i pięknych. Eliot czuł, że patrzy na kogoś obdarzonego wielką potęgą. Z jednej strony czuł obrzydzenie, z drugiej miał ochotę podejść bliżej i zanurzyć się w aurze mocy roztaczanej przez mężczyznę.

Podświadomie wiedział, kim jest ta istota. Ta wiedza wydawała się zakodowana w jego DNA – przybysz niewątpliwie należał do rodziny.

Louis padł na asfalt.

– Wszyscy sławią imię Belzebuba, Pana Wszystkich Istot Skrzydlatych, Księcia Fałszywych Bóstw, i drżą przed jego mocą.

Belzebub zrobił krok nad Louisem, nawet na niego nie spoglądając.

– Nasz młody Eliot Post – rzekł, a jego gładki głos odbił się potężnym echem w głowie Eliota. – Nie masz pojęcia, jak bardzo czekałem na to, by cię poznać.

Chłopak jakimś cudem zdołał wydobyć z siebie jakieś słowa:

– A więc... kim pan jest? Moim wujkiem?

Belzebub roześmiał się, aż wszystkie kości Eliota się zatrzęsnęły.

– O nie, wtedy Louis byłby moim bratem. A na myśl o takiej ewentualności mam ochotę podciąć sobie gardło. Powiedzmy, że jestem twoim kuzynem. To stosunkowo najbliższe prawdy. Będziesz zresztą miał niewiarygodnie wiele czasu na to, żeby studiować nasze drzewo genealogiczne.

Eliotowi nie podobało się wyrażenie „niewiarygodnie wiele czasu”. Pamiętał jednak o dobrym wychowaniu i odpowiedział:

– Miło mi pana poznać.

Wargi Belzebuba lekko wykrzywiły się w irytacji.

– Nigdy mnie nie okłamuj, młody człowieku.

– Ja... przepraszam.

– Nic się nie stało – odrzekł Belzebub łagodnie.

– Na naukę właściwego zachowania jeszcze przyjdzie czas. Najpierw jednak – wyciągnął z przyczepionej do pasa pochwy zakrzywione ostrze – musimy załatwić pewną drobną formalność.

– Formalność? – głos Eliota wyraźnie osłabł.

Wykonane z czarnozielonego obsydianu ostrze zostawiało za sobą w powietrzu sznur cieni. Na jego widok umysł chłopaka opuściły wszelkie myśli i instynkt przejął kontrolę: Eliot zaczął się cofać w kierunku wyjścia

z alejki.

W tej samej chwili cegły i pustaki uwolniły się z trzymającej je na miejscu zaprawy, zakręciły w powietrzu, zderzyły i na nowo uformowały mur, tym razem blokujący wyjście z uliczki.

Eliot wpatrywał się w Belzebuba. Teraz nie miał dokąd uciec. Nie miał co zrobić. Pan Wszystkich Istot Skrzydlatych opuścił wyciągniętą dłoń.

– Musimy oddzielić twoje śmiertelne ciało od ducha. Jeśli okażesz się tego godny, dołączysz do mnie w mojej krainie. Jeśli nie... Cóż, trochę zabolj.

Podniósł obsydianowy nóż i ruszył w kierunku chłopaka. Uszy Eliota wypełniał huk własnego tętna napędzanego adrenaliną. Jego oczy skupiały się na odbiciu jego twarzy w wypolerowanym ostrzu. Widział zbliżającą się śmierć.

Louis odchrząknął.

– Mój panie, proszę o chwilę uwagi.

Belzebub zatrzymał się, skrzywił i przechylił głowę, nie racząc nawet spojrzeć na Louisa.

– Odważasz się odzywać, robaku?

Louis powoli się podniósł.

– Niestety tak.

Belzebub zakręcił się na pięcie i stanął przed Louistem. Pióra jego peleryny nastroszyły się.

– Rozdarcie cię na dwie części sprawi mi niezwykłą przyjemność, aktualnie śmiertelny kuzynie.

Louis wyglądał, jakby wcale się nie bał. Podniósł palec wskazujący i powiedział:

– Raczej nie robiłbym tego na twoim miejscu. Zapomniałeś o czymś.

Dłoń Belzebuba zadrżała, z trudem powstrzymując ostrze od przepołowienia Louisa.

Eliot miał ochotę krzyczeć z radości. Oczywiście Louis miał w zanadru jakąś sztuczkę, pułapkę, w którą złapie Belzebuba i uratuje swojego syna.

– Nasza umowa wymagała ode mnie – ciągnął Louis – żebym rozdzielił rodzeństwo i dostarczył ci chłopaka. Czy nie dotrzymałem jej?

Belzebub opuścił nóż.

– Zanim przejmiesz dostarczony towar, musisz wypełnić swoją część kontraktu i dokonać wypłaty.

Belzebub roześmiał się.

– Jasne, Louisie, jak mogłem zapomnieć. – Dotknął ostrzem jego ramienia i wyszeptał: – *Votum de Vir fio a vermibus epulum*⁷¹.

Włosy Louisa zabłyszczały hebanem i żywym srebrem. Wyprostował się i nagle zaczął wyglądać o dwadzieścia lat młodziej.

– Cała moc, jaka tylko może być dostępna śmiertelnikowi. Ciesz się nią, póki możesz – wymruczał Belzebub – i nigdy więcej nie stawaj nam na drodze.

– Będzie tak, jak mówisz. – Louis uśmiechał się od ucha do ucha. – Proszę, Panie, kontynuuj, co przerwałeś.

Eliot nie mógł uwierzyć własnym uszom. Louis faktycznie miał w zanadru sztuczkę, ale wykorzystał ją przeciwko niemu. Oszukał go, nakłonił do tego, żeby przyszedł tu sam, a potem sprzedał za jakąś moc?

Chłopak nie bał się. Krew gotowała mu się w żyłach, palce drżały ze zniecierpliwienia. Nigdy wcześniej nie był taki wściekły.

Belzebub odwrócił się ku niemu i podniósł czarne

ostrze.

Chłopak stał wyprostowany z Jutrzenką na ramieniu.

71 Tłumaczenie z łaciny: „Modlitwa człowieka staje się uczcą dla robaków” – przyp. red.

ZBUNTOWANY

– Czyżbyś miał jednak trochę charakteru? – szepnął Belzebub, opuszczając nieco ostrze. – Świetnie. Myśleliśmy, że to twoja siostra jest wojownikiem.

– Bo jest. Tak samo jak ja.

Nie kłamał. Strach nie był mu obcy. Bał się zarówno wcześniej, jak i teraz. Ale udało mu się też przeżyć trzy bohaterskie próby, udowodnił swoją wartość w testach, które przygotowała jedna rodzina. Teraz przysłała kolej, by to samo pokazać drugiej stronie.

– Chętnie zobaczę, na co cię stać – odrzekł Belzebub, jakby czytając w jego myślach.

Eliot uniósł smyczek i zagrał środkową część *Symfonii egzystencji*. Wzdłuż alejki zaczęły sunąć mgielne obłoki i po chwili Eliota i Belzebuba rozdzieliła zasłona gęstych jak zupa oparów.

Olbrzym kilka razy przeciął mieczem wijące się wokół niego smugi, ale jego wysiłki nie dały żadnego efektu. Wkrótce został przez nie szczelnie otoczony.

Eliot, nie przestając grać, zaczął się wycofywać z alejki. Przy odrobinie szczęścia mogło mu się udać dotrzeć do tylnych drzwi „U Ringo”, wślizgnąć do środka restauracji i uciec. Stawać do walki w sytuacji, gdy zostało się przypartym do muru, to jedno, a głupio mierzyć się z kimś, kiedy istniała możliwość uniknięcia starcia, to zupełnie inna sprawa.

We mgle wokół Eliota ślizgały się węże, wily się kłębowiska macek, mrugały pozbawione ciał oczy, a czyjaś upiorna dłoń pociągnęła chłopaka za koszulę. Ze środka chmury zabrzmiał śmiech Belzebuba. Mgła zafalowała i widmowe stworzenia zawirowały zaniepokojone, by chwilę później zaczął je rozwiewać nadchodzący nie wiadomo skąd wiatr.

Potężny podmuch pchnął Eliota do tyłu, aż uderzył plecami o zamykający alejkę mur. Przez moment widział jeszcze we mgle upiornego bezgłowego jeźdźca, powietrzne rekiny i skupiska gigantycznych bakterii, a potem wszystkie te zjawy zniknęły, zostawiając po sobie tylko drobne, unoszące się w powietrzu wirujące kłęby dymu.

Belzebub stał z peleryną rozciągniętą w dłoniach. Eliot mógłby przysiąc, że jej poły zamieniły się w prawdziwe skrzydła, ale mrugnął i znów miał przed oczyma tylko pióra.

– Dziecinne sztuczki – ocenił Belzebub. – Ale czego innego można się spodziewać po dziecku? – Kiwnął mieczem w stronę chłopaka. – Chodź tu. Inaczej nie będę miał wyjścia i zmuszę cię do podejścia bliżej, a gwarantuję ci, że wolałbyś tego uniknąć.

Eliot odsunął się od muru i stanął wyprostowany. Poczul w sobie rosnącą irytację, która przysłoniła strach.

Louis kulił się w odległym rogu alejki. Obserwował całą sytuację, ale nie okazał żadnej ochoty na przyjscie chłopakowi z pomocą. W pewnej chwili nawet się uśmiechnął, jakby przed jego oczami toczyła się partia szachów.

Eliot zgiął rękę, czując krążącą w środku i

pulsującą bólem trucizną.

– Dziecinne sztuczki? – wyszeptał. – W takim razie zobaczymy, co powiesz na to.

Przyjechał smyczkiem po strunach. Jutrzenka wydała z siebie pojedynczą przeciąglą nutę, a ból w ręce chłopaka zniknął. W alejce rozbrzmiał ostatni fragment Symfonii egzystencji – część mówiąca o śmierci wszystkich istot żywych. O śmierci wszechświata.

Oczy Belzebuba rozszerzyły się.

Muzyka płynęła wolno i miarowo, kradła światło z powietrza, zatapiając świat w ciemności. Eliot poczuł, że przestrzeń wokół niego marszczy się w miarę tego, jak melodia wysysała siłę ze struktury rzeczywistości.

Wyobraził sobie czarną dziurę, która wciąga w swój bezdenny środek planety, gwiazdy i całe galaktyki. Koniec wszystkiego... Świat zgnieciony do neutronowej gęstości.

Przechylił skrzypce, kierując ich dźwięk wprost na Belzebuba.

Z muru otaczającego alejkę wypadły cegły. Popękał asfalt. Eliot poczuł, że Ziemia drży i przesuwa się na swojej osi.

Belzebub zacisnął zęby i ruszył w stronę chłopaka. Zareagował jednak zbyt późno. Mury zawały się, a powietrze przecięły cegły, pustaki i stalowe rury, które ledwo omijając Eliota, pofrunęły w stronę jego przeciwnika.

Kamienie i metal uderzyły Belzebuba, eksplodując w obłokach pyłu. Olbrzym zrobił niepewny krok do tyłu i uniósł ręce, by osłonić głowę, ale to nie mogło mu pomóc. Przygniotły go całe tony gruzu, zapadające się w sobie pod

wpływem ogromnej siły grawitacji.

Eliot przestał grać. Wyteżył wzrok, ale i tak widział przed sobą tylko chmurę pyłu. Kamyki i kawałki asfaltu wciąż turlały się w stronę miejsca, gdzie jeszcze chwilę temu stał Belzebub. Wreszcie powietrze trochę się oczyściło.

Pośrodku zniszczonej alejki znajdowała się sterta kamieni i złomu, sięgająca mniej więcej połowy wzrostu Belzebuba. Pan Wszystkich Istot Skrzydlatych z pewnością musiał zostać przez nią zgnieciony jak robak. Nawet teraz usypisko wciąż drżało, a jego masa zapadała się w sobie.

Gdy osiadły kolejne warstwy pyłu, Eliot zobaczył, że otaczające alejkę mury wciąż stały, choć miały strukturę pajęczyny. Po chwili chłopak zrozumiał dlaczego. Wzór narysowany kredą pozostał nietknięty. Nawet w miejscach, gdzie odpadły cegły, linie drgały w powietrzu niczym nici pajęczyny. Szkice na ziemi również ocalały, choć całe fragmenty asfaltu zostały wyrwane.

Louis przetrwał zawieruchę i tak jak wcześniej czaił się w rogu alejki. Jego ręka przejechała po murze, jakby udzielając mu mocy i stabilności. Wciąż coś knuł, co się Eliotowi bardzo nie podobało.

Z wnętrza „U Ringo” dobiegało go syczenie. W powietrzu oprócz zwykłego gazu z miejskiej instalacji dało się wyczuć woń siarki. Poza tym usypisko z kamieni nie przestawało drgać i trzeszczeć, ale teraz można było odnieść wrażenie, że coś w jego wnętrzu się rozpycha, usiłuje się wydostać na zewnątrz.

Eliot odwrócił się i przez dziury w zamykającym alejkę murze zaczął gramolić się na drugą stronę. Zerknął

za siebie i krzyknął do Louisa:

– Tędy! Pośpiesz się!

Louis próbował go sprzedać. Nie zasługiwał na to, by go ratować, ale wszystkie pytania i wątpliwości chłopaka kręciły się właśnie wokół niego. Jeśli umrze, Eliot już nigdy niczego się nie dowie.

Ale Louis uśmiechnął się i pokręcił głową. Eliot wbił w niego gniewne spojrzenie. Nie mógł nic zrobić, jeśli Louis wołał śmierć.

Przedostał się przez wyrwę między cegłami i znalazł na Midway Avenue.

Przed wejściem do Różowego Królika stała spora grupa ludzi gapiących się na alejkę i wskazujących na nią palcami.

– Hej! – zawołał jeden z nich.

Eliot rozpoznał w nim barmana, który kilka dni temu pozwolił mu zagrać na gitarze.

– Nic ci się nie stało?

– Rura z gazem! – odkrzyknął chłopak. – Pękła!...

Wybuch rzucił go na ziemię. Leżał rozpląszczony na ulicy, usiłując złapać oddech, a nad jego głową fruwały kawałki cegieł.

Próbując otrząsnąć się z szoku, sięgnął po Jutrzenkę, która upadła tuż obok. Płomienie wystrzeliły ku niebu, rozświetlając ciemność i rzucając wokół długie, drgające, nawet jakby radośnie tańczące cienie. Mury otaczające alejkę zostały zupełnie zburzone, podobnie jak większa część „U Ringo”. Ocalałe fragmenty budynku stały w ogniu.

Nad ruinami górowała spowita w płomienie sylwetka Belzebuba. Ciało Pana Wszystkich Istot

Skrzydlatych pokrywały łuski, a jego dłonie i stopy zakończone były ostrymi pazurami. Skrzydła sięgały na wysokość dwóch pięt. Składały się ze szkieletu obciągniętego czarną membraną i porośłego kolorowymi jak tęcza piórami, które przywodziły na myśl późnojurajskiego archeopteryksa. Oczy Belzebuba płonęły niebieskim ogniem o odcieniu dokładnie takim, jakim połyskiwał wiszący u jego szyi szafir.

Ludzie zgromadzeni przed Różowym Królikiem zaczęli krzyczeć i rozbiegli się. Nawet barman, który już szedł w stronę Eliota, by mu pomóc, uciekł w popłochu.

Kilka dni temu chłopak zrobiłby dokładnie to samo. Ale teraz wstał i delikatnie zagrał na Jutrzenie.

– Koniec tych sztuczek – zagrmiał Belzebub, unosząc jedno ramię ku niebu. – Twoje ciało będzie należeć do mnie, nawet jeśli później zostanie pożarte przez tysiące innych istot.

Eliot podążył wzrokiem za wzniesioną ręką tamtego, ale jedyne, co widział, to odbijające ogień chmury i pierwsze gwiazdy, które zabłyśły na niebie, a potem zniknęły. Poczul jakieś przesunięcie w powietrzu – nie tyle wiatr, ile otaczające go ze wszystkich stron poruszenie.

Zobaczył lądującego na swoim ramieniu komara i instynktownie uderzył go dłonią. Tyle że o tej porze roku, późnym latem, w suchej i pozbawionej zbiorników wodnych Del Sombrze nie było żadnych komarów. Eliota nagle ogarnęły złe przeczucia. Znów spojrział w niebo. Chmury owadów fruwały wokół pomarańczowych lamp ulicznych. Kilka os przeleciało tuż obok jego twarzy, a zaraz za nimi stado wróbli. Chwilę później ciemność

przeciął płonący latawiec i zdalnie sterowany samolocik, który pewnie odciąłby Eliotowi głowę, gdyby chłopak w porę się nie uchylił.

Powietrze odmieniło się, zgęstniało od owadów, ożywiło od trzepotu skrzydeł, unoszącego się wokół pyłu i rozżarzonych iskier. Eliot usłyszał chrobot miliardów żądnych krwi insektów zbliżających się ku niemu w upiornej spirali. Wiedział, co robić. Przyłożył smyczek do strun Jutrzenki i szybko przebiegł palcami całą skalę, docierając do najwyższej nuty. Pozwolił, by trwała, drząc i rozchodząc się dookoła.

Wysoki ton sprawił, że rój się ożywił, zabrzączał głośniejsze i rozsypał się na wszystkie strony – owady zaczęły atakować się nawzajem.

Palce Eliota dotykały jedynie zamazanego zarysu struny, a dźwięk przeskoczył w jeszcze wyższe rejestry, zamieniając się w przeszywający noc pisk, wciąż wyższy i wyższy, aż wreszcie zanikający, bo przechodzący w ultradźwięki nie rejestrowane przez ludzkie ucho. A Eliot wciąż ciągnął go w górę, aż wreszcie w kościach poczuł wybuch nuty, po której nie istniało już żadne wyższe brzmienie.

Szyby w oknach samochodów stojących wzdłuż Midway Avenue, których wcześniej nie zniszczył wybuch, rozprysły się na drobne kawałki. W górze drobne korpusy żuków, os i pszczoł pękały, jakby rozsadzane od środka. Ich resztki spadały z nieba jak deszcz. Stada sępów i zieb wlatywały wprost w ściany budynków.

Eliot wciąż grał tę nutę, aż poczuł się tak, jakby zaraz miała mu pęknąć czaszka. Na betonowym chodniku pojawiła się głęboka rysa. Farba odchodziła ze ścian i

pobliskich samochodów. Wszystko, co widział, stało się beznadziejnie zamazane.

Przestał grać. Czuł mrowienie w całym ciele. Z nosa i oczu płynęły mu strużki krwi. Otarł je dłonią.

Belzebub osłaniał uszy rękoma i krzyczał. Kiedy nieco odzyskał równowagę, spojrzał na Eliota płomiennym wzrokiem.

– Dobrze, młody kuzynie – wysyczał. – Okazałeś się godnym przeciwnikiem. Będę cię więc odpowiednio traktować – dodał i ruszył ku wyjściu z alejki, odpychając na boki zagradzające mu drogę samochody.

Eliot uniósł smyczek, by znowu zagrać.

Skrzydła Belzebuba wystrzeliły do przodu, wrywając Jutrzenkę z uścisku chłopaka i przewracając go na plecy. Skrzypce wpadły do kanału ściekowego i Eliot nie miał szans, by do nich dotrzeć, zanim Belzebub go dopadnie. Ale wciąż nie chciał się poddać, nie miał zamiaru dać przeciwnikowi satysfakcji z oglądania swojego strachu.

Belzebub roześmiał się i uniósł pazury.

– Chodź.

W ułamku sekundy chłopak zobaczył, co by się stało, gdyby wykonał to polecenie. To była koszmarna wizja, pełna ognia, z Eliotem wiodącym piekielnych na wojnę... i milionami istnień ginącymi z jego powodu.

Już wcześniej zabił, by ocalić Fionę, ale nigdy nie pomógłby Belzebubowi w jego dziele zniszczenia. Nawet za milion lat.

– Nie sądzę.

Pan Wszystkich Istot Skrzydlatych spojrzał na niego gniewnie.

– Więc dobrze.

Odchylił do tyłu jedną z uzbrojonych w pazury rąk, przygotowując się do uderzenia. Eliot patrzył mu prosto w oczy. To miał być jego ostatni akt buntu.

Na granicy jego pola widzenia pojawiło się coś nowego: ledwie dostrzegalny, czarny jak noc i połyskujący chromowanym srebrem kształt. Przemknął obok szybko, stanowiąc zaledwie zamazany kontur...

.. . zamieniający się w należącego do wujka Henry'ego maybacha exceler-4X, który rozjechał Belzebuba.

OSTATNIE CIĘCIE

Maybach uderzył w coś wielkości sporego słonia. Przy prędkości, którą osiągnęła prowadzona przez Roberta limuzyna, Fiona zobaczyła tylko ciemny kształt i parę ogromnych skrzydeł. Zbyt dużych dla jakiegokolwiek stworzenia, które mogło istnieć na tym świecie.

Siła zderzenia pociągnęła ją do przodu, a ułamek sekundy później pas bezpieczeństwa gwałtownie przerwał ten ruch.

Samochód wzbił się w powietrze, a pasażerom towarzyszyło dziwne wrażenie poruszania się przy jednoczesnym doznaniu stanu nieważkości. Pojazd zarył przodem w jezdnię. Metal rozdarł się, wydając z siebie okropny dźwięk i uwalniając fontanny iskier. Wokół Fiony eksplodowały poduszki powietrzne.

Było ciemno. Dzwoniło jej w uszach. Nie mogła się ruszyć. Po chwili powróciło jej czucie i zorientowała się, że przypięta pasami do fotela wisi do góry nogami.

Robert wyciągnął ją na zewnątrz i pomógł stanąć obok rozbitego auta. Spojrzał jej w oczy i coś powiedział, ale nie rozumiała ani słowa. Otarł sobie krew z rozerwanej wargi i powtórzył:

– Wszystko w porządku?

– Tak – odrzekła wolno. – Tak sędzę.

Wyścigowa limuzyna wujka zmieniła się we wrak.

Kratka na przodzie wgniotła się aż do deski

rozdzielczej. Kawałki silnika leżały porozrzucane wzdłuż całej ulicy. Sama Midway Avenue przypominała linię frontu. Wszędzie było szkło. Budynek płonął. Fiona zobaczyła swojego brata próbującego wydostać się z kanału ściekowego.

– Eliot! – Zrobiła niepewny krok w jego stronę, ale zaraz się zatrzymała.

Ze środka ulicy uniosła się ciemna masa cieni. Dziewczyna mrugnęła. Nie, to tylko ubrany na czarno mężczyzna. Zdołał się dopiero oprzeć na jednym kolanie, ale to wystarczyło, by się zorientowała, że był wyższy niż budynek Różowego Królika oraz że... miał skrzydła.

Olbrzym odwrócił się i spojrzał na nią oczami, w których płonął niebieski ogień. Rozłożył skrzydła i zawołał głosem, przez który przenikały krzyki setki ludzi błagających o łaskę. Poczowała, że krew odpływa z jej ciała. Myślała, że już nigdy nie będzie się bać po tym, co przeżyła w ostatnich dniach. Ale myliła się. Ta istota wzbudzała w niej lęk, jakiego jeszcze nigdy nie odczuwała.

– Nie ruszaj się – powiedział do niej Robert. – Muszę z nim skończyć, zanim wstanie na równe nogi.

Zacisnął pięść i kastet na jego palcach zabrzączał mocą.

Zaatakował podnoszącą się z ziemi bestię, uderzając ją pięścią w brzuch tak silnie, że oderwała się od ziemi i poleciała do tyłu na plecy. Podszedł do leżącego ciała i poprawił kastet, szykując się do ostatniego ciosu, który zmiażdżyłby przeciwnikowi głowę.

Olbrzym jednak złapał go za ramię i rzutem judo cisnął w powietrze z taką łatwością, jakby chłopak ważył

tyle co szmaciana lalka.

Robert poszybował obok Różowego Królika i uderzył w stalowy słup ulicznej lampy. Opadł bezwładnie na chodnik i leżał bez ruchu.

Fiona zrobiła krok w jego stronę – mógł mieć złamany kręgosłup – ale bestia zagroziła jej drogę.

– A więc udało ci się uciec nawet z doliny? Cudownie. W takim razie dopiero teraz czeka cię prawdziwy test.

Dziewczyna zamarła, rozpoznając coś w tych płonących na niebiesko oczach. To nie był zwykły potwór, lecz jakiś ich krewny. W tej chwili jednak nie miało to znaczenia. W jej głowie kołatała się jedna myśl: ocalić Roberta i Eliota. Pokonać olbrzyma.

Cały strach zniknął. Jej krew się zagotowała.

– Koniec z próbami i testami. – Rozciągnęła gumową opaskę w naprężoną linię. – To dzieje się naprawdę.

Jej serce waliło tak, jakby zaraz miało wybuchnąć. Nie czekała, aż tamten zaatakuje. To ona wykonała pierwszy ruch, rzucając się w jego stronę i trzymając przed sobą tnącą krawędź.

Olbrzym w pierwszej chwili wyglądał na zaskoczonego, potem na rozbawionego. Ruszył w kierunku Fiony, dwoma krokami połykając dzielący ich dystans.

Jedno z jego skrzydeł wysunęło się do przodu o wiele szybciej, niż Fionie wydawało się to możliwe. Zobaczyła przymocowane do niego ostrogi służące do rozrywania ciała. Przesunęła opaskę prostopadle do niego i pozwoliła, by siłą pędu zrobiła resztę.

Linia gładko przeszła przez przeszkodę. Końcówka skrzydła upadła na asfalt, a w powietrzu zawirowały pióra i uniósł się przytłaczający zapach miedzianej krwi. Dziewczyna poczuła uderzenie adrenaliny. Widok krwi ani jej nie przestraszył, ani nie odrzucił. Sprawił, że chciała walczyć dalej.

Zakręciła się na pięcie i ustawiła w pozycji gotowości do ataku. Ale potwór dysponował nie tylko skrzydłami. Jego walka dopiero się zaczynała.

Bestia zawyla z bólu i wściekłości. Fiona dostrzegła tylko zamazany ruch, gdy lewa pięść przeciwnika przecięła powietrze i uderzyła ją w piersi z siłą pneumatycznego młota. Świat eksplodował, przed jej oczami pojawiły się czarne gwiazdy. Pofrunęła kilka metrów do tyłu i uderzyła głową o asfalt. Poturlała się jeszcze kawałek po rozbitym szkłe i wreszcie zatrzymała na zderzaku stojącej na ulicy półciężarówki.

W przeciwieństwie do sennej dezorientacji, jakiej doznała w chwili, gdy maybach najechał olbrzyma i przekoziółkował, teraz pozostawała w stu procentach świadoma-tego, co się z nią działo. Czuła ziarnistą strukturę asfaltu, ostre kawałki szkła i wreszcie impet uderzenia w twardej metalowy zderzak.

Po takim upadku jej wszystkie kości powinny się połamać i rozetrzeć na proszek, ale ona stwierdziła jedynie, że jej krew zaczęła szybciej płynąć, roznosząc do poszczególnych komórek ciepło i bezgraniczny gniew.

Wstała. Jej umysł ledwie zarejestrował, że choć szare dresy miała całe podarte, na ciele nie było choćby draśnięcia. Jedyne, o czym myślała, to dalsza walka. Znów ruszyła w stronę bestii, która na jej widok wyszczerzyła

kły i roześmiała się. To rozłościło Fionę jeszcze bardziej.

Olbrzym gotował się do ataku – uniósł skrzydła i wbił w dziewczynę ogniste spojrzenie.

– Czujesz moc płynącej w tobie krwi? Jesteś jedną z nas. Urodziłaś się, by walczyć, ciąć i zabijać. Możesz się ze mną zmierzyć albo się do mnie przyłączyć, a wtedy nauczę cię, jak zawsze czuć się w ten sposób.

Fiona zatrzymała się. Nigdy wcześniej nie miała w sobie tyle siły. Sprawiało jej to ogromną przyjemność, bo nikt nie będzie mógł już jej mówić, co ma robić. Teraz sama pokieruje swoim życiem. Ale wtedy przypomniała sobie, że już kiedyś doświadczyła dokładnie tego samego.

Opuściła rękę.

Kiedy zjadła pierwszą czekoladkę z pudełka w kształcie serca... Cudowny smak w ustach i przypływ mocy. Wrażenie, że mogła dokonać absolutnie wszystkiego. Zupełnie tak jak teraz.

A co by się stało, gdyby zawsze czuła się w ten sposób? W jej życiu nie byłoby już miejsca dla Roberta, Eliota czy prawdziwej rodziny. Zająłaby miejsce pośród morderców i kłamców, wśród gruzów i ruin. Eliot... Zupełnie o nim zapomniała.

Rozejrzała się i zobaczyła brata, jak oddala się, kulejąc. Nie uciekał, szedł po leżące nieco dalej skrzypce.

Fiona przesunęła się na skraj Midway Avenue. Olbrzym też się przemieścił, tak że odległość między nimi pozostała taka sama.

– Więc jak będzie? – wyszeptał. – Nigdy mnie nie pokonasz.

Fiona wciąż się cofała, choć nie spuszczała bestii z oka. Wreszcie dotarła do brata i jedną ręką oplotła go w

pasie.

– Dzięki – powiedział Eliot.

Razem pokonali kilka ostatnich kroków dzielących ich od skrzypiec.

– Może i sama cię nie pokonam – odezwała się Fiona do bestii – ale we dwoje już mamy szansę.

Olbrzym pokręcił głową.

– Skoro tego chcecie...

Uderzył skrzydłami – raz, drugi i trzeci – wywołując wiatr, który utworzył trąbę powietrzną, porywającą papier i szkło oraz żarzący się popiół. Dachy pobliskich sklepów rozpadły się na kawałki i zamieniły się w chmury odłamków tworzące wiszące słupy ognia. Powietrze w uszach Fiony pękło z trzaskiem. Wiatr pociągnął ją w stronę kłębówiska.

Eliot przyłożył smyczek do strun i zagrał długą trzeszczącą nutę. Zawierucha wokół rodzeństwa nieco się uspokoiła i Fiona odzyskała równowagę.

Bestia ryknęła i wysunęła ku nim skrzydła. Wiatr zmienił kierunek. Rozpalony jak wnętrze pieca powiew uderzył z siłą huraganu wprost w chłopaka i dziewczynę.

Eliot osłonił twarz przed spadającymi na niego odłamkami szkła. Fiona próbowała chronić brata swoim ciałem, ale pęd powietrza odciągał ją od niego. Podmuchy były tak silne, że musiała się nachylić, by ustać na nogach. Ale i tak kilka sekund później upadła na ulicę. Nad jej głową wył wiatr, który stał się jeszcze gorętszy. Wyraźnie słyszała w nim śmiech bestii.

Przesunęła ręką po asfalcie, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Tuman mógł w każdej chwili porwać ją w górę.

Powietrze tuż przy ziemi było stosunkowo spokojne, ale tak przerzedzone, że trudno było oddychać. Musiała coś zrobić. Wściekłość, którą wcześniej czuła, gdzieś jednak odpłynęła. Zaczepnęła głęboko powietrza. Jej płuca płonęły. Nie mogła jasno myśleć. Czy zbliża się jej koniec? Z trudem uniosła głowę. Wokół nich wirowało tornado ognia i pyłu. Z tyłu Eliot zaciskał ręce na przymocowanej masywnymi śrubami do chodnika skrzynce pocztowej. Gdyby tylko udało jej się do niego dostać... Cee powiedziała, że razem są silniejsi...

Opuściła głowę, nie mogąc się poruszyć. Ogarnęła ją ogromna słabość.

Ale wiatr nagle ustał. Dysząc, spróbowała wstać. Udało jej się podnieść na kolana, ale zaraz ciężka stopa opadła jej na plecy, zmuszając, by znów klapnęła na ziemię.

– Tak lepiej – wyszeptał olbrzym. Sięgnął ku dziewczynie i przejechał czarnym pazurem po jej nadgarstku.

Zamarła. Spodziewała się zobaczyć ranę, ale bestia jedynie przecięła jej opaskę, a następnie wyrwała ją z uścisku Fiony.

Olbrzym poderwał dziewczynę i pociągnął w stronę Eliota. Kopnął skrzypce chłopaka, nachylił się nad nimi i przejechał pazurami po strunach, które momentalnie pękły, wydając z siebie przypominające eksplozję trzaski. Złapał wciąż oddychającego, ale już nieprzytomnego Eliota i przerzucił go sobie przez ramię. Dopiero wtedy postawił Fionę na ziemi.

Dziewczyna ledwo miała siłę, by utrzymać się na nogach. Ze zdumieniem zobaczyła, że stoi przed nią nie

ogromny skrzydlaty potwór, ale człowiek. Był wysoki, miał nagą klatkę piersiową i zarzuconą na ramiona pelerynę z piór. Na jego szyi wisiał skórzany rzemyk z hipnotycznie błyszczącym szafirem rozmiaru pięści. Położył rękę na jej ramieniu, zacisnął mocno i pchnął ją do przodu.

– Koniec żartów – powiedział. – Pora wracać do domu.

Poprowadził ją w stronę „U Ringo”, a raczej tego, co zostało z Pałacu Amerykańskiej Pizzy, czyli tylko dwóch zrujnowanych i osmalonych fragmentów ścian. Reszta budynku zamieniła się w stertę odłamków i powykęcanych rur. Nad gruzowiskiem unosił się zapach oliwy i pieczonego czosnku. Zresztą wszystkie budynki przy Midway Avenue były w mniejszym lub większym stopniu zniszczone. Część z nich stała w ogniu.

W oddali rozległy się syreny.

A co z Oakwood Apartments? Czy Cee i babcia były bezpieczne? Gdyby do ich mieszkania, tak starego i wypełnionego po brzegi książkami, dostał się ogień, żadna brygada strażacka nie zdołałaby go ugasić.

Spróbowała się wyrwać mężczyźnie, ale on jeszcze mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu, aż naciągnięte stawy trzasnęły.

Zatrzymali się pośrodku tego, co kiedyś było alejką. Kawalki otaczających ją murów z cegieł i pustaków przetrwały, choć wyglądały, jakby zaraz miały się zawalić. Na ich powierzchni narysowano kredą linie, które żarzyły się na różowo, żółto i turkusowo. Podobne luki i symbole płonęły też na podziurawionym asfalcie. Kiedy Fiona postawiła nad nimi stopę, po jej nogach przepłynął prąd.

Mężczyzna położył Eliota obok niej. Chłopak podniósł się, potrząsając głową, jakby próbował się wybudzić ze złego snu. Zaraz jednak olbrzym trzy razy opasał ich grubym, brzęczącym łańcuchem. Kiedy ich związał, cały czas trzymał ręce Fiony unieruchomione za jej plecami. Eliot usiłował się wywinąć, ale łańcuch był mocno zaciśnięty. To tylko rozłościło Fionę. Czuła dotyk brata, jego łokieć między swoimi żebrami.

– Musimy się stąd wydostać – wyszeptał Eliot. – To Louis narysował ten diagram. Powiedział, że przenosi moce, ale...

– Louis. – Fiona splunęła za siebie. – Jakby on wszystko wiedział. Jeśli jeszcze nie zauważyłeś, to wydostanie się stąd nie będzie takie łatwe.

Eliot zamrugał. Popatrzył na ruiny wokół i stojącego przed nimi mężczyznę.

– Belzebub – powiedział. Co dziwne, w jego głosie nie było strachu.

Fiona pomyślała, że to imię brzmi znajomo, jakby znała je przez całe życie. Spojrzała prosto w zadziwiająco niebieskie oczy mężczyzny.

– Co chcesz z nami zrobić?

Belzebub wyjął z futerału wyszczerbiony obsydianowy nóż. Błyszczące ostrze miało długość przedramienia Fiony.

– Teraz oddzielę śmiertelne ciało od waszych dusz. Wreszcie zobaczymy, kim naprawdę jesteście... Nieśmiertelnymi czy piekielnymi.

Fiona bezskutecznie próbowała się wyrwać z łańcuchów, ale wywołało to jedynie uśmiech zadowolenia na twarzy Belzebuba, który uniósł nóż, a potem

znieruchomiął, przyglądając się rodzeństwu. Następnie wysunął przed siebie palec i wskazując po kolei na każde z nich, zaczął:

– Ene, due, rike, fake...

Pierwszy raz w życiu Fionie nie przeszkadzało to, że Eliot był tak blisko. Musiał istnieć jakiś sposób ucieczki. Czy mogła wykorzystać oplatający ich łańcuch jako krawędź, którą można coś przeciąć? Nie... Nawet jeśli udałoby jej się tego dokonać, istniało ryzyko, że pokaleczyłaby siebie i brata. A może powinna spróbować użyć łańcucha do przecięcia jego samego? Nie potrafiła się jednak odpowiednio skoncentrować.

Wolną ręką odnalazła dłoń Eliota i ścisnęła ją.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął do niej brat.

– Jakoś się z tego wyplączemy.

– Pewnie – odpowiedziała. – Wiem. Razem mamy szansę, prawda?

– I wybieram ciebie. – Palec Belzebuba wskazał Fionę. – Jak zawsze panie mają pierwszeństwo.

Fiona wyprostowała się. Miała ochotę splunąć w uśmiechniętą twarz Belzebuba, ale nagle jej usta zupełnie wyschły. Wstrzymała oddech. Jej powieki opadały, ale zmusiła się, by trzymać oczy otwarte. Usłyszała hałas: łamane kości i trzask rozrywanych mięśni, pękającą skórę. Wciągnęła powietrze, zamarła... Ale niczego nie czuła.

Belzebub stał tuż przed nią, obsydianowy nóż wciąż tkwił w jego uniesionej dłoni. Lecz inne ostrze wbiło mu się w plecy, dźgając go na wylot tak, że wystawało na wysokości mostka. Przypominało zakrzywiony czubek przełamanego miecza.

Belzebub spojrział w dół, a jego uśmiech zniknął,

gdy zobaczył czarną truciznę rozprzestrzeniającą się szybko po jego piersi. Musiał go pchnąć ktoś stojący z tyłu.

– Louis! – krzyknął Eliot.

Z cienia Belzebuba wyłonił się Louis Piper, rzekomy ojciec Fiony.

– Zdrajca – wyszeptał Belzebub, a bąbelki krwi pojawiły się na jego ustach.

– Dziękuję, kuzynie – oparł Louis. – Z radością przyjmuję ten komplement, nie wątpiąc w szczerość twoich intencji.

Fiona nie mogła tego zrozumieć. Louis był pozbawionym mocy śmiertelnikiem, włóczęgą, który kradł pizzę ze śmietnika... i na pewno nigdy nie wyglądał jak stojący przed nimi czysty, pewny siebie mężczyzna, który właśnie ich uratował.

– Tata? – wyszeptała.

Louis odwrócił wzrok w ich stronę. Jego spojrzenie złagodniało na krótką chwilę.

– A, dzieci. Zaraz się wami zajmę. Muszę jeszcze dokończyć kilka spraw...

Belzebub zacisnął zęby i za pomocą obsydianowego sztyletu wypchnął złamane ostrze z powrotem przez swoje ciało. Oczy Louisa się rozszerzyły.

– To niemożliwe – powiedział.

Na usta Belzebuba powrócił uśmiech.

– Myślisz, że się nie przygotowałem?

Czarne linie trucizny pokrywające jego piersi niczym mapa dróg skurczyły się do punktu i po chwili zupełnie zniknęły.

– Że kiedy Sealiah po raz pierwszy stanęła przed

Zarządem – ciągnął Belzebub, sięgając do pleców i wyciągając ostrze z nieprzyjemnym, chlupoczącym dźwiękiem – nie zacząłem od razu szukać antidotum na ten słynny jad?

Louis po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co powiedzieć. Belzebub popatrzył na złamany miecz, który trzymał teraz w ręku.

– Takie zabawki należą do dawnych czasów. Nie do współczesnego świata, gdzie tak łatwo o dostęp do wysokiej klasy laboratoriów.

Wymierzył Louisowi mocny policzek.

Tamten ledwie zdążył unieść ramię, by ochronić się przed ciosem. Na niewiele się to zdało. Uderzenie posłało go na drugą stronę resztek muru z pustaków.

– Nie! – krzyknął Eliot.

Brew znowu szybko zaczęła krążyć w ciele Fiony. Dziewczyna była wściekła. Nikt nie miał prawa robić takich rzeczy jej krewnym.

Jedną rękę miała wolną. Musiała coś znaleźć, żeby pociąć tego potwora.

– Twój sentymentalizm jest zaskakujący – Belzebub zwrócił się w stronę dziury w murze, z której przed sekundą wypadł Louis. – Zbyt długo byłeś człowiekiem. Gdybyś tylko mógł się zobaczyć. Zabicie ciebie wyjdzie ci na dobre. Jeszcze mi podziękujesz. – Belzebub znów odwrócił się do Fiony i Eliota. – Mam jednak najpierw ważniejsze rzeczy do załatwienia.

Dziura w jego piersi zasklepiła się. Po czymś, co powinno być śmiertelną raną, została niewielka blizna. Ale przecież można się było tego spodziewać. Belzebub nie był śmiertelny.

Fiona pomyślała, że może i ona nie mogła umrzeć.

Eliot trącił ją łokciem. Zirytowana, odwróciła wzrok od ostrza i spojrzała na brata.

Eliot na coś patrzył... Ale nie na sztylet Belzebuba, tylko klejnot wiszący u jego szyi. Brat znów uderzył ją łokciem – mocno – i wyraźnie skinął głową w stronę wisiora.

Spojrzała tam. Trudno było oderwać wzrok od wspaniałego szafiru, ale kiedy wreszcie to zrobiła, zrozumiała, co Eliot próbował jej przekazać.

Teraz to było oczywiste: klejnot wisiał na rzemyku. A rzemyk otaczał szyję Belzebuba.

Jej wolna ręka wystrzeliła do góry, a palce zacisnęły się na skórzanym pasku. Fiona już na zawsze zapamięta uśmiech Belzebuba. Tak czarujący i tak złowrogi. I promieniujący przekonaniem o własnej potędze i pewnością, że są na jego łasce.

Już nikt nigdy nie zrobi tego błędu. Jej uwaga była napięta jak struna. Tnąca krawędź zmaterializowała się w chwili, gdy dziewczyna dotknęła rzemyka.

Fiona pociągnęła z całej siły. Rzemyk wokół szyi Belzebuba zamienił się w zaokrąglone ostrze gilotyny, gładko tnąc skórę, ciało i kości, aż wreszcie zwiśł swobodnie po drugiej stronie.

Uśmiech olbrzyma zamarł. Przez chwilę wyglądał niemal spokojnie, wciąż trzymając w ręku narzędzie, które miało zadać Fionie śmierć... A potem głowa Belzebuba, Pana Wszystkich Istot Skrzydlatych stoczyła się z jego ramion.

SPOTKANIE RODZINNE

Głowa Belzebuba spadła na asfalt, potoczyła się kawałek i zatrzymała z oczami zwróconymi w stronę gwiazd. Jego korpus klapnął na ziemię jak pusty płaszcz.

Eliot uchylił się, spodziewając się, że tryśnie krew, ale z rozciętej szyi wypłynęła tylko pojedyncza strużka, a potem wypełzły z niej robaki, które natychmiast poderwały się do lotu. Chmura komarów i much zakręciła się wokół ciała, po chwili zamieniając się w delikatne smugi dymu i zupełnie rozwiewając.

Wszystko zdarzyło się tak szybko. Jeszcze kilka sekund i to Fiona z Eliotem leżeliby martwi na ziemi. Eliot odwrócił wzrok od okropnego widoku.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Fiona nie odpowiedziała. Zamiast tego jeszcze mocniej zacisnęła palce na skórzanym rzemyku. Pełnym bólu wzrokiem wpatrywała się w leżącą obok głowę Belzebuba.

– Nie miałaś wyjścia. Musiałaś to zrobić. Uratowałam nas.

– Oczywiście, że musiałam to zrobić – ucięła dalszą dyskusję. Wreszcie odwróciła spojrzenie.

– Przepraszam. Po prostu wygląda na to, że zawsze tnę i zabijam... Może do tego zostałam stworzona.

Horyzont rozświetliła eksplozja. To wybuchła stacja benzynowa na końcu Vine Street. Eliot zakasłał. W

powietrzu poczuł kwaśny zapach dymu. Pociągnął za łańcuch.

– Lepiej nas stąd wyciągnij.

Fiona niezdarnie szarpnęła skreconą za plecami ręką.

– Zrób mi trochę miejsca.

Eliot wypuścił z płuc powietrze, starając się stać się jak najmniejszym, ale porzucił te wysiłki, gdy zobaczył, że Louis przeczołguje się przez dziurę w murze.

– Louis! – krzyknął. – Pomóż nam!

Tamten nawet na nich nie spojrział. Podszedł prosto do zwłok Belzebuba i rozłożył nad nimi ramiona.

Ciało Fiony napięło się, jakby szykowało się do walki. Louis jednak wciąż stał o kilka kroków od nich. Jego usta poruszyły się, ale Eliot nie tyle usłyszał słowa, ile wyczuł je w powietrzu. Cały świat znieruchomiał, nasłuchując tych bezgłośnych dźwięków.

Kredowe linie na murze i ulicy zamigotały i rozświectliły się. Łuki rozciągnęły się, symbole nabrały życia. Transfer mocy. Louis wcześniej wyjaśnił, że rysunki służyły właśnie do tego.

Kreda paliła się teraz niczym magnezja – iskry tańczyły na liniach. Eliot poczuł, jak moc dociera również do niego, sprawiając, że jego włosy stają dęba, przez każde ściętno przechodzi mrowienie, a ciało wydaje się przepełnione nią do granic możliwości. Jakby tonął w mocy.

Fiona gwałtownie wciągnęła powietrze. Ona też to czuła. Chociaż Eliot nie sądził, by ta moc była przeznaczona dla nich. Linie kredy najjaśniej błyskały w pobliżu Louisa. W powietrzu wokół niego rozbrzmiewały

trzaski, a cała jego sylwetka była skąpana w świetle. Jego ciało rozciągnęło się, palce wydłużyły, paznokcie zaostrzyły, a na głowie pokazały się zakręcone rogi. Z tyłu zakołysał się haczykowaty ogon, a z pleców wyrosły nietoperze skrzydła, które rozwinęły się, zakrywając gwiazdy i pograżając świat w czarnej jak smoła ciemności.

Przepływ energii nagle ustał. Linie z kredy zasyczały i rozpadły się w pył.

Ojciec stanął przed rodzeństwem. Znów wyglądał tak jak przedtem: szykowny i elegancki w płaszczu z wielbłądziej wełny. Była tylko jedna różnica – teraz sprawiał wrażenie, jakby cały świat należał do niego.

– Wreszcie – westchnął Louis. – Dobrze być z powrotem.

Fiona stęknęła i w końcu uwolniła drugą rękę. Jednym ruchem przecięła pętające ją i Eliota łańcuchy. Louis popatrzył na nią, zatrzymując na dłużej wzrok na szafirze w jej dłoni.

– Widzę, że nie potrzebujecie mojej pomocy.

– Niczego od ciebie nie potrzebujemy – oznajmiła

Fiona.

– Jesteś dla niego niesprawiedliwa – odezwał się Eliot. – Dźgnął Belzebuba, zaryzykował życie, by nas uratować.

– Ta... pewnie – powiedziała Fiona.

– Nie, nie – Louis zwrócił się do syna. – Twoja siostra ma prawo być zła, zwłaszcza na mnie. To przeze mnie znaleźliście się w niebezpieczeństwie. Zapewniam was jednak, że konflikt z obiema rodzinami możecie przeżyć tylko z pomocą ojca. I to tylko takiego ojca, który odzyskał pełny status piekielnego.

Rodzeństwo wymieniło spojrzenia. Czy to, co widzieli chwilę wcześniej, było prawdziwą postacią ich ojca? Jak z drzeworytu w *Mythica improbiba*?

Eliot chciał się dowiedzieć tylu rzeczy.

– Przynajmniej go wysłuchajmy – szepnęła do siostry.

Fiona opuściła ręce.

– Obie rodziny mają zamiar was wykorzystać – wyjaśnił Louis. – Być może jestem jedyną osobą, która pragnie waszego dobra... A to dlatego, że was kocham.

Fiona prychnęła. Żaden ich krewny – z wyjątkiem Cee – nigdy nie powiedział Eliotowi czyjej, że ich kocha. Kiedy Louis wymówił te słowa, w uszach chłopaka zabrzmiały one niemal jak obcy język.

– Chodźcie ze mną. – Louis wyciągnął dłonie. – Nie będzie żadnych reguł. Pamiętajcie, że razem jesteśmy silniejsi.

– Jak prawdziwa rodzina? – zapytała Fiona z niedowierzaniem, ale i zaciekawieniem.

– Tak – odpowiedział Louis z mocą.

Eliot zobaczył na twarzy siostry sprzeczne emocje. Sam też nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Jeśli w ciągu ostatnich dni czegoś się nauczył o swojej rodzinie, to tego, że zawsze musi zachowywać rozwagę i ostrożność. Z krewnymi nic nie było takie, jakie się wydawało. Ale Louis był jego ojcem. A to zmieniało sytuację. Ufał mu, a przynajmniej chciał mu ufać.

– Co myślisz? – zapytał siostrę.

– Nie... nie wiem.

Louis przywołał ich, wciąż stojąc z otwartymi ramionami. Jego uśmiech rozjaśnił cienie, ale po chwili

zniknął z jego twarzy, gdy spojrział w stronę Midway Avenue, za ruiny i płonące budynki.

– Oczywiście musiałś się teraz pojawić – wymamrotał. – Typowo kobiecy brak wyczucia czasu.

Eliot i Fiona odwrócili się. Z cienia wykuśtykał Robert. Pomagała mu... babcia.

Fiona chciała pobiec do rannego Roberta. Zrobiła jednak tylko jeden krok w jego stronę i zatrzymała się, czując fale oddziaływania przebiegającego między babcią a Louisem. Byli jak dwa bieguny magnesu – jednakowo silne, choć przeciwnie skierowane. Fiona nie wiedziała, do którego z nich podejść.

– Zaczekaj. – Eliot dotknął jej ramienia. Pewnie czuł to samo.

Nawet pośród płomieni i zgliszcz babcia wyglądała tak jak zawsze. Miała na sobie jedwabną bluzkę w kolorze khaki, sprane dżinsy i wysokie buty. Cee powiedziała im kiedyś, że Audrey ma sześćdziesiąt dwa lata, teraz jednak sprawiała wrażenie kobiety pozbawionej wieku.

Kiedy jej spojrzenie spoczęło na zwłokach Belzebuba, a potem na Louisie, wyprostowała się tak, że zdawała się jeszcze wyższa niż zazwyczaj. Jej krótkie srebrne włosy połyskiwały jak aureola, rysy twarzy – na której malował się wyraz spokojnej nienawiści – mogły być wyrzeźbione z alabastru.

– Znajdź nam jakiś transport – rzuciła do Roberta.

– Tak, proszę pani.

Chłopak pokuśtykał na bok, zerkając na Fionę i kiwając ku niej głową, jakby dając znak, że wszystko będzie dobrze... Tyle że w jego oczach czaiła się niepewność.

– Jesteś bardziej urocza, niż zapamiętałem – odezwał się Louis.

– Odsuńcie się od tej potworności – powiedziała babcia do Fiony i Eliota – zanim wyrządzi więcej szkód.

Dziewczyna patrzyła to na babcię, to na ojca. Tych dwoje najwyraźniej się rozpoznało, ale w ich spojrzeniach było coś więcej niż wspomnienie przelotnej znajomości.

– Wy się znacie?

– Czy się znamy? – Usta Louisa wykrzywiły się w diabelskim uśmiechu. – Ależ oczywiście. Pytanie brzmi, czy wy wiecie, kim jest ta kobieta.

– To nasza babcia – odpowiedział Eliot, ale nieco niepewnie.

Fiona też poczuła, że to stwierdzenie miało się z prawdą. Czy naprawdę wszystko, co im mówiono, było kłamstwem?

– Kim jesteś? – Fiona zapytała Audrey.

Tamta stała w milczeniu.

– Pozwólcie więc, że dokonam niezbędnej prezentacji – oznajmił Louis.

– Nie odważysz się – wysyczała babcia.

– Audrey Post – ciągnął Louis, ignorując jej groźbę.

– Nazywano ją Błądą Amazonką, Tą, Która Przecina Nić Życia, najstarszą z Mojr, Atropos... To kobieta, w której zakochałem się prawie szesnaście lat temu. Eliot, Fiona, pozwólcie, że przedstawię wam waszą matkę.

Ostatnie słowo ojca zadudniło w uszach Fiony niczym kościelne dzwony. Matkę?

Wściekłe spojrzenie, jakim babcia – nie, mama – obdarzyła Louisa, jej wyraz twarzy... Tak, wszystko

świadczyło o tym, że Louis właśnie zdradził jej największą tajemnicę. Ich największą tajemnicę.

Fiona kochała ją. Podziwiała. Ale to bolało bardziej niż próby, cięcie, zatrucie czekoladą czy cokolwiek innego, co przeżyła w ciągu ostatnich dni. Jej matka! Tak długo marzyła o tym, że jednak żyje. Ile razy szlochała przed snem, czekając, aż ją przytuli i pocieszy? Przez całe życie ją opłakiwała... Niepotrzebnie. Matka przez cały ten czas była przy niej. I kłamała.

Fiona chciała się dowiedzieć więcej, ale coś w niej umarło i nie potrafiła zmusić swoich ust do mówienia. Jej brat miał w sobie więcej siły.

– Ale dlaczego? – wyszeptał.

– Dzieci, już raz wyraźnie powiedziałam – rzekła Audrey zimnym jak lód tonem. – Odsuńcie się, żebym mogła zlikwidować tego potwora.

– Nie. – Głos Fiony zabrzmiał cicho, ale zaraz nabrał mocy: – Nie odsuniemy się, zanim nie wyjaśnisz nam, dlaczego kłamałaś. Nie kochałaś nas?

Audrey cofnęła się o krok. Wyglądała, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

– To nie jest pytanie, na które można szybko odpowiedzieć.

– Ależ proszę, Audrey – odezwał się Louis, krzyżując ręce. – Więcej śmiałości. Nie możemy się doczekać, by poznać powody tego słodkiego oszustwa.

Audrey wyprostowała się i wąskimi jak szpary oczami spojrzała na Louisa.

– To prawda. Jestem waszą matką. Wszystko, co zrobiłam, zrobiłam, bo nie miałam innego wyjścia. I niczego bym nie zmieniła... Z wyjątkiem jednego błędu,

kiedy oszczędziłam tego, który nie zasługiwał ani na moją miłość, ani łaskę.

– Łaskę?! – Louis się roześmiał. – W takim razie, moja pani, naprawdę nie chciałbym doświadczyć twojego gniewu.

– Chodźcie, dzieci – powiedziała Audrey z nagle zaczerwienioną twarzą. – To nie jest odpowiednia chwila na taką rozmowę.

Fiona poczuła, że świat zawirował wokół niej. Jej matka. Stojąca tuż obok. Chciała do niej podbiec i wykrzyczeć, że to było tak bardzo niesprawiedliwe. Ale oparła się tylko o Eliota. To prawda, przez większość czasu może i nie przepadała za swoim bratem, wciąż ją złościł i bez przerwy pakował ich w kłopoty, ale przynajmniej wiedziała, kim był. Nigdy w życiu jej nie okłamał. Spojrzeli na siebie. Eliot skinął głową, tym samym przekazując siostrze, że czuje to samo co ona.

Fiona zwróciła się ku matce. Świat wokół płonął, ale rodzeństwo nie zamierzało się stąd ruszać, zanim nie usłyszy odpowiedzi.

– Nigdy nie było dobrego czasu, żeby o tym dyskutować. Powiedz nam. Teraz.

Wąskie brwi Audrey zakrzywiły się w łuki.

– To, młoda damo, brzmiało niemal jak groźba.

– Niemal? – wyszeptała Fiona. – Pozwól więc, że wyjaśnię: to była groźba. Jeśli usłyszymy od ciebie jeszcze jedno polecenie lub kolejne kłamstwo, natychmiast odejdziemy z ojcem. On przynajmniej chce z nami rozmawiać.

Louis klasnął w dłoń.

– Świetne ultimatum, moja droga. Ma w sobie też

niecio ironii. Cudownie!

Audrey stała bez ruchu, przez dłuższą chwilę zastanawiając się, aż wreszcie odezwała się do Fiony:

– Dobrze. Powiem ci prawdę. Całą prawdę. – Opuściła wzrok, nie mogąc dłużej znieść uporczywego spojrzenia Fiony. – Odcięłam swój instynkt macierzyński – wyszeptała – wszystkie te uczucia... Musiałam.

Przymus domowych reguł, dyscyplina... Żadna prawdziwa matka nie potrafiłaby zmusić do tego swoich dzieci. Tak bardzo was kiedyś kochałam, że nie było niczego, czego mogłabym wam odmówić.

Fiona pamiętała niezliczone chwile, kiedy tęskniła do miłości matki – zamiast niej dostawała reguły, obowiązki domowe lub lekcje historii. Jej oczy wypełniły się łzami, przez głowę przemknęło kilkanaście obrazów Audrey.

– Gdybym nie wymyśliła tego oszustwa – ciągnęła Audrey – gdybyście wcześniej odkryli waszą tożsamość i talenty, oni znaleźliby was już dawno. A wy nie bylibyście przygotowani, by stawić czoło rodzinom. Twierdzenie, że jestem waszą babką, i utrzymywanie, że wasi rodzice zginęli, było jedynym sposobem, by utrzymać was w izolacji i przy życiu.

Z punktu widzenia czystej logiki to miało sens. Oziębła babcia zamiast matki, konieczność życia jak pustelnicy – tym sposobem Fiona i Eliot nauczyli się polegać na sobie nawzajem, a nie na opiekuńczym rodzicu. Może właśnie to dało im szansę na przeżycie starcia z rodzinami piekielnymi i nieśmiertelnymi. Ale w głębi serca Fiona nie mogła znaleźć chęci na przebaczenie.

– Musicie jej dać kolejną szansę – wyszeptał Louis.

– Wszyscy robiliśmy okropne rzeczy, myśląc, że posłużą one czyjemuś dobru. – Spojrzał na Audrey. – Nawet teraz nie umiem cię nienawidzić, moja droga.

TVvarz Audrey zadrżała od ledwie powstrzymywanych emocji.

– Kolejną szansę? – szepnęła Fiona. Jak mogła przebaczyć matce, skoro w jej sercu zostały tylko zimny żal i wrząca wściekłość?

Eliot dotknął jej ramienia.

– To koniec. Skończyły się ich testy i próby. Rodziny – zerknął na Louisa – ujawniły się. Teraz możemy wszystko zacząć od nowa.

Fiona przypomniała sobie, co Cee powiedziała tamtej nocy w szpitalu: że Audrey też dokonała na sobie cięcia i że wiele dla nich poświęciła. Czy odcięcie miłości do swoich dzieci było właśnie tym poświęceniem? Co zostało Audrey? Tylko świadomość macierzyńskiego obowiązku? Fiona nie potrafiła sobie wyobrazić, jak jej matka musiała się wtedy czuć. Czy to, co zrobiła, było dowodem największej miłości, czy nędznej słabości charakteru? A może i jednego, i drugiego?

– Dobrze – szepnęła do Audrey, a potem odwróciła się do Louisa: – Koniec z tym. Nikt nie będzie walczyć o mnie i o Eliota jak o jakieś trofea. Przetrwaliśmy trzy próby i testy, które przygotowała dla nas druga rodzina. Zasłużyliśmy, by traktowano nas, jeśli nie jak nieśmiertelnych czy piekielnych, to przynajmniej jak dorosłych.

Eliot zbliżył się do niej, dając znak, że w sporze z rodzicami stoi po jej stronie. Zarówno Audrey, jak i Louis przez dłuższą chwilę milczeli.

– Wspaniale! – wydyszał wreszcie mężczyzna.

– Prawdziwie imponująca bojowość. Jestem z was dumny.

Fiona nie była pewna, czy Louis z nich nie drwi. Ale to, co myślał, nie miało znaczenia. Wyjawiała to, co ona i Eliot czuli, i to było najważniejsze.

– Oczywiście – odpowiedziała Audrey. – Będzie tak, jak mówicie.

– I reguły – dodał Eliot. – Musimy wprowadzić zmiany na liście.

Audrey zacisnęła wargi. Słowa Eliota wcale jej się nie podobały, ale i tak potaknęła.

Fiona wreszcie poczuła, że coś się na dobre zamknęło. Stare życie się skończyło, a nowe miało się dopiero zacząć. Wcale nie miała pewności, że będzie lepsze, ale przynajmniej będzie się toczyć na ich warunkach.

– Chodźmy – zwróciła się do Eliota.

– O, tak, chodźcie – podjął Louis. – Ale dokąd? Moja propozycja wciąż jest aktualna. Macie drugą rodzinę, która nie może się doczekać, by was poznać. A ten...

– wykonał wulgarny gest w stronę sflaczałych zwłok Belzebuba – ... już się nie liczy.

– Nie sędzę, by... – zaczęła Fiona.

– Przed wami stoją otworem nowe światy – ciągnął Louis. – Nowe krainy, których zobaczenia i zdobycia nigdy sobie nawet nie wyobrażaliście.

Fiona spojrzała na brata i wolno pokręciła głową. Chłopak potwierdził gestem jej wybór.

– Nie odmawiamy – zwrócił się Eliot do Louisa.

– W tej chwili jednak nie jesteśmy gotowi na twoją

propozycję. Pewnie trochę nam zajmie zdecydowanie, kim jesteśmy i gdzie jest nasze miejsce na tym świecie. Dopiero później możemy stawić czoło drugiej rodzinie.

– Rozumiem – westchnął Louis. – Bardzo mądrze. Zawsze jednak będę na was czekał. Przywołajcie mnie, a przyjdę.

Zrobił krok w stronę cienia rzucanego przez jedyną wciąż stojącą w alejce ścianę. Na pożegnanie uklonił się Audrey.

– Moja pani, wyrazi głębokiego żalu z powodu tego, że sprawy nie ułożyły się inaczej.

Audrey zacisnęła zęby.

– Jeśli jeszcze kiedyś cię zobaczę, jeśli dowiem się, że zbliżyłeś się do Fiony i Eliota... znajdę cię, Louis, i tym razem pozbawię czegoś więcej niż mocy.

Mężczyzna roześmiał się.

– Nie mogę się doczekać tego spotkania. Czy już wspominałem, jak bardzo wciąż cię podziwiam i kocham?

Kłaniał się i kłaniał, cały czas zatapiając się w cieniu, który rozciągał się na szerokość tylko kilkudziesięciu centymetrów, aż wreszcie ich ojciec, Louis Piper, Lucyfer, Książę Ciemności zniknął zupełnie.

– Do widzenia, tato – szepnęła Fiona, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś za nim nie zatęskni.

Po chwili wszyscy ruszyli w stronę Midway Avenue.

Eliot podbiegł do swoich skrzypiec, wyciągnął je ze studzienki i mocno przycisnął do piersi. Na widok instrumentu Audrey zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała.

Del Sombra ginęła – wszystkie budynki były albo

już kompletnie zniszczone albo wciąż pożerane przez płomień. Na skraju miasta widać było migające światła i kłęby pary, ale centrum nikt nawet nie próbował go ratować.

Wzdłuż ulicy sunął samochód terenowy, rozpychając na boki stojące na jego drodze auta. Gdy zatrzymał się, ze środka wychylił się Robert i otworzył Fionie drzwi.

– Jedźmy – powiedziała Audrey.

Fiona po raz ostatni spojrzała na miejsce, w którym spędziła całe swoje życie. „U Ringo”, Różowy Królik, a dalej, w głębi ulicy, stojący w ogniu i dymiący budynek Oakwood Apartments. Jej książki. Jej rzeczy. Wszystko, co tworzyło jej dawne życie – stracone.

– Ale dokąd? – zapytał Eliot.

– Daleko stąd. – Audrey położyła dłonie na ramionach córki. – To miejsce dobrze nam służyło, ale teraz już go nie potrzebujemy.

Fiona wdrapała się do samochodu. Nie wiedziała, gdzie wylądują ani co przyniesie im los, ale przynajmniej będzie z Eliotem i matką, a gdzieś tam będzie nawet czekać na nich Louis. Niezależnie od tego, jak byli niezwykli, niebezpieczni, dziwaczni czy nienormalni, stanowili i zawsze stanowić będą rodzinę.

CZĘŚĆ VIII

NOWA ROZGRYWKA

DECYZJE

Eliot i Fiona skryli się przed słońcem w zadaszanej wnęce, z której można było, siedząc na marmurowej ławce, w spokoju podziwiać połyskujące Morze Egejskie. Obok stał posąg mężczyzny z głową słonia.

Eliot uśmiechnął się do wyrzeźbionego stworzenia i nieśmiało mu pomachał. W końcu mógł to być ich jakiś daleki kuzyn.

Wujek Henry zaproponował, by poczekać w bogato umeblowanych pokojach jego posiadłości, ale oni czuli się lepiej tutaj, na świeżym powietrzu.

– Jak myślisz, jak długo to potrwa? – zapytała Fiona.

Eliot wzruszył ramionami. Być może Rada Ligi nigdy nie zdecyduje, że należą do rodziny. Jak mogliby przyjąć ich jako swoich? Przecież ich ojcem jest Louis, Książę Ciemności, i są genetycznie spokrewnieni z takim potworem jak Belzebub. Nie podzielił się jednak tymi wątpliwościami z siostrą, gdyż próbując przewidzieć zachowanie tej rodziny, mógł jedynie stwierdzić, że jest całkowicie nieprzewidywalne.

– To niesprawiedliwe – wymamrotała Fiona. – Zostawiają nas tutaj na czas obrad. Powinniśmy być przy nich obecni.

– Jakby ktokolwiek z Rady miał zamiar nas słuchać.

Fiona pokiwała głową i westchnęła.

Tuż poza obramowaniem wnęki, w której się skryli, znajdowała się skalna wyspa, a na niej amfiteatr, gdzie obradowała Rada. To tam bliźnięta po raz pierwszy spotkały Lucię, Aarona i pozostałych, to tam rozpoczęły się ich bohaterskie próby. A teraz w ich imieniu przemawiała tam Audrey.

Po tym, jak przez całe życie Eliot nazywał ją babcią, nie mógł tak po prostu zacząć myśleć o niej jak o mamie. Zdecydował, że dopóki nie uporządkuje swoich uczuć, będzie do niej mówił po imieniu. Poza tym zupełnie nie mógł pojąć całego tego gadania o odcięciu uczuć macierzyńskich. Fiona zdawała się rozumieć tę sprawę lepiej, ale nie chciała o niej rozmawiać. Zresztą nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej widział siostrę równie cichą jak teraz.

Przyjrzał się jej uważnie. Kiedy tu przyjechali, służba wujka Henry'ego już na nich czekała. Ktoś przyniósł Fionie sukienkę – jedwabną, na ramiączkach – ktoś inny pomógł upiąć włosy. Eliot nigdy nie zdawał sobie sprawy, że jego siostra mogła wyglądać tak dziewczęco... a nawet ładnie. Wiedział, że to, co przeżyli, zmieniło ich. Dlatego czuł się tak, jakby siedział obok zupełnie obcej osoby.

Fiona dostrzegła jego wzrok.

– Co? – zapytała.

Gdy nie odpowiedział natychmiast, zaczęła poprawiać sukienkę i nagle stała się dawną Fioną, spiętą i skrepowaną niezależnie od tego, w co była ubrana.

– Nie możesz mówić? – zainteresowała się. – Doskwierają ci pneumatolity? Biorąc pod uwagę

wszystkie rzeczy, które sobie wypychasz do kanałów nosowych, to nic dziwnego.

Słowo „pneumatolity” znaczyło: kamienie w płucach. Zupełnie niezła obelga, zwłaszcza z ukrytym dodatkowym przytykiem do dłubania w nosie.

– Musisz się podciągnąć z tafonomicznych procesów mózgowo-czaszkowych – odpowiedział. – Choć oczywiście musi ci być trudno myśleć z twoją dolegliwością.

Fiona zmarszczyła czoło, próbując rozgryźć łamigłówkę. Oczywiście rozumiała poszczególne słowa. „Tafonomiczne” pochodziło od „tafonomii”: nauki o powstawaniu skamieniałości. A więc odwołanie do tafonomicznych procesów mózgowo-czaszkowych było niczym innym jak nazwaniem jej skamieniałą głową. Eliotowi należał się też dodatkowy punkt za uszczypliwą uwagę o tym, jak trudno jej się myśli.

Dzięki tej wymianie złośliwości świat przez chwilę znów wydawał się normalny: bez bogów i upadłych aniołów.

– Niezłe – przyznała Fiona i zacisnęła wargi, rozmyślając nad kolejną zniewagą, ale zanim zdążyła powiedzieć słowo, padł na nich cień zbliżającej się sylwetki.

To była Audrey, jak zawsze majestatyczna i zdystansowana, choć w jej spojrzeniu można było dostrzec coś nowego. Odrobinę czułości? A może to tylko wiatr dmuchnął jej w oczy?

– Już pora – powiedziała. – Chodźcie.

Eliot zerwał się na równe nogi. Jego żołądek ścisnął się ze zdenerwowania, ale niezależnie od wyniku obrad

chciał mieć to już za sobą.

Audrey wyciągnęła rękę i poprawiła kołnierzyk jego koszulki polo, którą – podobnie jak granatową bluzę i spodnie khaki – Eliot dostał od wujka Henry'ego. Wszystko pachniało nowością i idealnie na niego pasowało, co było dziwnym doznaniem po tym, jak całe życie nosił rzeczy uszyte przez Cee.

Przeszli zadaszonym chodnikiem. Po jednej jego stronie rozciągała się wspaniała posiadłość wujka Henry'ego z jońskimi kolumnami i ozdobnymi przeszklonymi drzwiami, a po drugiej kipiał ocean i szybowały swobodnie mewy.

– Mam kilka pytań – Eliot zwrócił się do Audrey.

– O rodzinę, o ciebie, o nas.

– Teraz będzie na to czasu pod dostatkiem – usłyszał w odpowiedzi.

Czy to znaczyło, że Rada zdecydowała na ich korzyść? Czy też Audrey w ten sposób próbowała uchylić się od odpowiedzi? Matka przystanęła i spojrzała na ich nieufne miny.

– Przepraszam, że musieliście przez to przejść. Próby... – odwróciła wzrok. – Wszystko.

Eliot nigdy wcześniej nie słyszał, żeby z jej ust padło słowo „przepraszam”. Zrobiło mu się jej żal. Choć nie potrafił powiedzieć dlaczego – przecież to ona okłamywała ich przez całe życie. Ale Audrey, jego matka, zapewne też cierpiała.

Wziął jej dłoń i uścisnął ją. Matka odwzajemniła gest. Fiona westchnęła, ale za chwilę też złapała Audrey za rękę.

Szli tak razem, aż dotarli do kamiennego mostu

łączącego posiadłość wujka Henry'ego z wyspą. W przeciwieństwie do pierwszego razu, kiedy tędy szli, Eliot prawie nie zwracał uwagi na buzującą pod ich stopami kipieli. Szybko znalazł się po drugiej stronie i stanął na ciemnym piasku. Po chwili dołączyły do niego Fiona i Audrey.

Kiedy wspięli się na wzgórze, usłyszeli wiele głosów. Eliot zatrzymał się na widok amfiteatru wypełnionego mniej więcej dwustu ludźmi. Zgromadzeni nagle zamilkli, odwrócili się i wbili spojrzenia w nowo przybyłych. Dopiero teraz chłopak zaczął się naprawdę bać.

A więc nie tylko Rada miała zdecydować o ich losie. Wyglądało na to, że wszyscy członkowie Ligi Nieśmiertelnych przybyli na sąd na rodzeństwem.

Obserwowany przez tak wiele par oczu Eliot poczuł się onieśmielony i zażenowany, ale po chwili wyprostował się, podniósł wzrok i popatrzył zuchwale. Niech go sądzą.

Było to przedziwne zgromadzenie: reprezentantów każdej rasy, mężczyzn i kobiet, młodych i starych, pięknych i brzydkich, ubogich i nieprawdopodobnie bogatych, rolników i królów. Niektórzy byli zupełnie nadszy, inni otulili się futrami, jakby marzli. Większość jednak wyglądała jak ludzie, których mógłby spotkać gdziekolwiek na ulicy. Zwyczajnie. A przynajmniej prawie zwyczajnie. Ale wciąż mieli w spojrzeniu coś takiego, jakby stali ponad chłopakiem i pod mikroskopem przyglądali się każdej jego wadzie.

Eliot głęboko odetchnął. Zerknął na Fionę. Wyglądała na przestraszoną, ale i gotową do zmierzenia się z tym, co ich tu czekało.

Zeszli po stopniach między milczący tłum. Z każdym ich krokiem temperatura spadała, a kiedy stanęli wreszcie pośrodku amfiteatru, zdawało im się, że powietrze ściał mroz.

Rada rozsiadła się na kamiennych płytach: ciocia Lucia w powiewnej czerwonej sukni, wujek Aaron ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i poważną miną, zapatrzony w swoje notatki i ekrany przenośnych komputerów Cornelius, Gilbert o złotych, jakby mieniących się włosach, uśmiechnięta ciocia Dallas i jeszcze jeden ze starszych Rady, ciemnoskóry wysoki mężczyzna w cylindrze, który wyglądał, jakby właśnie zjadł kilka cytryn. Nigdzie jednak nie było widać wujka Henry'ego.

Nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Eliot przysunął się do siostry – tak że stali tuż obok siebie, ramię przy ramieniu – przełknął ślinę i zwrócił się do Rady:

– Pomyślnie przeszliśmy wasze trzy próby. – Jego głos był cichy, ale zaskakująco pewny siebie. – Souhk został pokonany.

– Amanda Lane uratowana z rąk Perry'ego Millhouse'a – powiedziała Fiona.

– A złote jabłko zdobyte – dokończył Eliot.

– Czekaliśmy już wystarczająco długo. – Fiona nerwowo pociągnęła za gumową opaskę na nadgarstku.

– Przez piętnaście lat nie wiedzieliśmy, kim jesteśmy i do jakiej rodziny należymy.

Audrey położyła ręce na ich barkach.

– W imieniu Eliota i Fiony Postów niniejszym składam prośbę, by Rada przyjęła ich do grona Ligi

Nieśmiertelnych.

Ciocia Lucia popatrzyła na bliźnięta, a potem rozejrzała się po amfiteatrze.

– Pomimo nieobecności niektórych członków – odezwała się – mamy kworum. Rozpatrzmy więc tę prośbę. Siostró, dołącz do nas jako świadek naszych sądów.

– Wskazała kamień po swojej prawej stronie.

Audrey ścisnęła ramiona rodzeństwa, dodając im odwagi, a potem usiadła między członkami Rady. Na szczycie schodów pojawił się wujek Henry.

– Proszę o wybaczenie – powiedział do publiczności, ignorując kilka nieprzyjaznych spojrzeń i machając do tych, którzy uśmiechnęli się na jego widok.

– Musiałem się zająć ostatnimi niezbędnymi drobiazgami. – Ukłonił się Eliotowi i Fionie. – Witajcie, dzieci.

Usiadł na ostatnim wolnym kamieniu na lewo od cioci Lucii i usiłował wygładzić pognieciony smoking.

Lucia spójrzała na niego z irytacją zmieszaną z pobłażliwością, jakby musiała znosić wybryki Henry'ego od tysięcy lat. Spośród fałd sukni wyciągnęła dzwoneczek i potrząsnęła nim trzy razy. Delikatne srebrzyste dźwięki rozlały się echem po całym amfiteatrze.

– *Niniejszym ogłaszam rozpoczęcie obrad Rady Starszych Ligi. Wzywam do gotowości do sądenia i bycia sądzonym. Narro, audio, perceptum.*

Eliot zastanawiał się, czy gdyby Rada przyjęła ich w swoje szeregi, ich życie stałoby się łatwiejsze. A może czekałyby ich kolejne próby i przygody? A jeśli Rada nie przychyliła się do ich prośby? Poczł swędzenie w ręce –

trucizna paliła żyły. Szkoda, że nie miał przy sobie Jutrzenki.

Ciocia Lucia odwróciła się do Fiony.

– Fiono Paige Post, udowodniłaś, że jesteś nieustraszoną wojowniczką i nie poddajesz się nawet w obliczu najgorszych przeciwności. Z tego powodu, a także dlatego że zdołałaś wchłonąć kawałek złotego jabłka, ogłaszamy cię... boginią.

Podążyła Fionie srebrny pączek róży.

Dziewczyna wzięła go do ręki i kwiat natychmiast się otworzył. Jego pyłek pobłyskiwał jak brylantowy pył, a w powietrzu uniósł się zapach bzu i miodu.

– Zapraszam cię, byś dołączyła do swoich krewnych w Zakonie Niebiańskiej Róży – powiedziała Lucia.

– Jest taka piękna – szepnęła Fiona. – Dziękuję.

– Dygnęła. – Tak, oczywiście akceptuję zaproszenie.

Eliot znów zaczerpnął głęboko powietrza. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że na czas przemówienia Lucii przestał oddychać.

Dallas doskoczyła do Fiony, uściskała ją, pocałowała, pociągnęła i usadziła na kamieniu obok siebie. Aaron również podszedł i ucisnął dłoń dziewczyny. Fiona wyglądała na podekscytowaną i szczęśliwą, ale kiedy jej wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem brata, radość natychmiast znikła z jej twarzy.

Eliot stał teraz sam. Lucia po chwili zwróciła się ku niemu:

– Eliocie Zachariaszu Poście. – Jej rozkazujący ton uciszył publiczność. – Pokazałeś, że potrafisz wykorzystać

spryt i zachować jasność myśli w sytuacji chaosu i nadeciągającej śmierci. Udowodniłeś też swoją niesłabnącą lojalność w stosunku do siostry. Z tego powodu oraz z powodu innych twoich doniosłych czynów ogłaszamy cię.... nieśmiertelnym bohaterem.

Chłopak uśmiechnął się, ale grymas zastygł mu na twarzy. Bohater? Nie bóg, jak jego siostra? Przez całe życie fantazjował o tym, że kiedyś się stanie bohaterem. Więc dlaczego oświadczenie Lucii tak go rozczarowało? Jakby sytuowało go gdzieś pomiędzy zwycięstwem a porażką.

Lucia zrobiła krok w jego stronę i wyciągnęła zawieszony na łańcuszku amulet – oko ze złota i lazurytu, które wyglądało jak z egipskiego hieroglifu.

– Ofiaruję ci Oko Horusa i zapraszam w szeregi Bractwa Nieśmiertelnych Bohaterów.

Eliot sięgnął po amulet, ale się zawahał. Coś tu nie pasowało. I to nie dlatego, że Fionę ogłoszono boginią, a jego zaledwie bohaterem (choć oczywiście nieco go to zirykowało). Coś innego sprawiło, że rosło w nim podejrzenie, iż jego miejsce wcale nie jest wśród tej rodziny.

Jeszcze wczoraj mogli go zabić, jeśli tylko zawiódłby podczas próby. Wciąż mogli to zrobić, zgładzić jego i Fionę, jeżeli choćby połowa z tego, co opowiedziała im o ich zwyczajach Audrey, była prawdą.

Lucia trzymała w ręku wyciągnięty amulet i wyglądała na zmartwioną.

– Chodź, dołącz do znakomitego grona, do Gilgamesza, Herkulesa, Artura i Beowulfa. Wszyscy oni są nieśmiertelni. A ty jesteś im równy. Jesteś ich

krewnym.

Eliot czuł na sobie spojrzenia setek oczu. Jego dłonie drżały. Wystarczyłoby, żeby po prostu sięgnął po ofiarowaną rzecz. Nie – to zrobiłby dawny Eliot Post. Przestraszony i trzymający się w cieniu siostry. Dobry chłopiec, który zawsze słuchał poleceń. Ale on już był kim innym.

Wreszcie zrozumiał, po co były te wszystkie przepychanki, sprawdziany i kłamstwa. Próbowano na niego wpłynąć, ale w ostatecznym rozrachunku decyzja należała tylko do niego. Mógł przystąpić do Ligi albo odszukać ojca i wejść do tamtej rodziny. Nieśmiertelny lub upadły anioł – obie te możliwości niosły z sobą zagrożenia. Ale czy istniała trzecia opcja? Sposób, by stać się niezależnym od obu rodzin?

Popatrzył po widowni, po twarzach pełnych oczekiwania, okrucieństwa, zaciekawienia i nadziei. Jego wzrok w końcu spoczął na siostrze. Fiona nachyliła się, zdumiona i zmieszana z powodu jego milczenia. Wyglądała, jakby chciała podejść i pomóc mu w rozwiązaniu problemu – niezależnie od tego, na czym polegał. Ciocia Dallas i Aaron nie pozwolili jej na to.

Zrozumiał, że jeśli nie dołączy do Ligi, być może już nigdy więcej jej nie zobaczy. Ale życie bez Fiony? Bez słownikowych obelg, wyścigów, ciągłej rywalizacji?

Może nie byłoby wcale takie złe. Lecz Cecilia powiedziała przecież, że razem są silniejsi – a podczas ostatnich dni to zdanie wielokrotnie się sprawdziło. Ile razy któreś z nich umarłoby, gdyby nie było przy nim tego drugiego?

Eliot poczuł, że jeszcze będą potrzebować siebie

nawzajem, by zmierzyć się z tym, co ich czeka w przyszłości... A w związku z tym znoszenie niezmiennie wysokiej irytacji wywoływanej obecnością Fiony było małą ceną do zapłaty.

– OK – wyszeptał, a potem powiedział głośniej:

– Zgadzam się. Dołączę do was.

Ciocia Lucia nachyliła się, by zawiesić łańcuszek z amuletem na jego szyi. Uprzedził ją, biorąc go do ręki.

– Dzięki.

Kiwnęła głową, nie rozumiejąc, o co mu chodzi, ale oddała mu Oko.

Eliot nie zamierzał nosić niczego na szyi. Nie po tym, jak widział, co się przydarzyło Belzebubowi. Odwrócił się i uniósł amulet tak, by wszyscy mogli go zobaczyć. W całym amfiteatrze rozległ się aplauz. Fiona podbiegła do brata i objęła go. Wreszcie wszystko się skończyło. W końcu będą mogli odpocząć i wieść życie choć w części szczęśliwe i normalne... Przynajmniej przez jakiś czas. Taką miał nadzieję.

Otoczyli ich pozostali: Gilbert, wujek Henry, Cornelius i inni, których Eliot nigdy wcześniej nie widział. Obejmowali go, ściskali mu ręce, cały czas coś mówiąc, tak że z ich jednoczesnych wypowiedzi nie mógł zrozumieć ani słowa.

Lucia zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem.

– Spokój! Spokój! – zawołała.

Tłum ucichł.

– Dobrze – oznajmiła. – Widzę, że nie zdołamy omówić już dziś żadnej innej sprawy.

– Pozostało tylko świętowanie! – krzyknął wujek Henry. – Przygotowałem w moim skromnym domostwie

uczę i muzykę. Zapraszam wszystkich.

Wśród zgromadzonych wybuchła nowa, jeszcze głośniejsza fala okrzyków i aplauzu. Lucia potrząsnęła dzwonkiem, ale tym razem wszyscy ją zignorowali i Eliot ledwie dosłyszał jej głos:

– Niniejszym ogłaszam obrady Rady Starszych za zamknięte.

Bogowie i boginie, bohaterowie i nieśmiertelni każdego rodzaju wstali, bijąc brawo i wnosząc radosne okrzyki. Wszyscy ruszyli do środka amfiteatru, by uściskać bliźnięta.

– Poznacie dziś tak wielu krewnych – powiedział wujek Henry, biorąc rodzeństwo pod ramiona. – Teraz zaczną się prawdziwe próby i testy: rodzinna polityka.

Lucia przedostała się w ich pobliże.

– A co z twoim zbiegłym kierowcą? Trzeba go ukarać.

– Już się tym zająłem – zapewnił wujek. – Mogę ci obiecać, że nic w całej historii tortur nie dorówna karze, jaka spotka Roberta Farmingtona za jego przestępstwa.

Eliot i Fiona spojrzeli na siebie z przerażeniem.

KONIEC LATA

Fiona przechyliła się w stronę Roberta i jego ramiona zaplotły się wokół niej.

Stali przy barierce *Zagubionej Chimery* i patrzyli na falujące wokół Morze Karaibskie. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale Fiona zdążyła już trochę popływać, pobawić się z delfinami i zjeść śniadanie. Zapowiadał się kolejny wspaniały dzień spędzony na pływającej wokół Bahamów łodzi wujka Henry'ego.

– Czy to musi się skończyć? – zapytała.

– Nie – odpowiedział Robert. – Po prostu zamknij oczy. Już na zawsze będziemy tu razem.

Fiona zazwyczaj nie szukała pocieszenia w fantazjach, ale tym razem zrobiła wyjątek i przymknęła powieki.

– Pamiętasz, jak przeczesywaliśmy plażę? – wyszeptał jej do ucha. – Szklane kulki z rybackich sieci, które wtedy znalazłaś?

– Spacer o północy – wyszeptała w odpowiedzi.

– Wychodzące na brzeg żółwie. Nurkowanie przy rafie.

– Plaża z czerwonym piaskiem. Myślę, że przed nami nigdy nikogo tam nie było.

Robiła rzeczy, o których kiedyś tylko czytała. Jej życie nagle zaczęło wyglądać tak, jak zawsze o tym marzyła: podróże, przygody i oczywiście Robert – silny,

opalony, przystojny, niezmiennie nonszalancki i na luzie. Właśnie tak zapamięta ten tydzień. Zmieniłaby tylko jedno. Zerknęła na przedni pokład, gdzie w hamaku zawieszonym między grotmasztem a bezanmasztem bujał się, lekko pochrapując, wujek Aaron.

Była pewna, że ich obserwował. Zawsze to robił, wywiązując się z roli przyzwoitki, jaką powierzył mu wujek Henry. Przez cały tydzień odezwał się ledwie kilka razy. Większą część czasu chyba po prostu przespał, ale zdawał się mieć specjalny talent do znajdowania się tuż za rogiem albo zaraz za następną wydumą, gdzie czekał i czuwał, by ona i Robert nie wpakowali się w tarapaty.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, Fiona zdała sobie sprawę, że kłopoty rodzinne mogą mieć namacalne konsekwencje, zwłaszcza dla tych, którzy przypadkiem znaleźli się w pobliżu.

Del Sombreg zrównał z ziemią pożar. Nikt nie zginął, ale kilkadziesiąt osób zostało rannych, a wiele domów, firm, sklepów i restauracji bezpowrotnie zniszczonych. Wujek Aaron miał ich jednak na oku z powodu potencjalnych kłopotów zupełnie innego rodzaju.

Fiona i Robert pływali razem w zatoce, spacerowali, trzymając się za ręce, wymieniali ukradkowe pocałunki... i to wszystko, choć dziewczyna rozpaczliwie chciała czegoś więcej. Ale może ten przeciągający się i kontrolowany romans wcale nie był taki zły. Sytuacja między nią a Robertem mogła się... skomplikować.

Złapała chłopaka za rękę i przyciągnęła do siebie tak, że oboje opierali się teraz o barierkę.

– Czy wciąż będziesz pracował dla wujka Henry'ego?

– Chyba tak. Jeśli tylko pan Mimes zdoła przeforsować ten pomysł na zebraniu Rady. – Robert wskazał na łódź. – Zdaje się, że powinienem odbywać teraz karę.

– Może na trochę zniknąłbyś im z oczu?

Robert uśmiechnął się.

– Co? I utyc tutaj na tych rajskich wyspach? To nie dla mnie. Tu nie ma dróg, a ja nie mógłbym żyć bez jazdy.

– Pogłaskał jej dłoń. – Nie martw się. Pan Mimes nie pozwoli, by coś mi się stało.

Fiona nie miała co do tego takiej pewności, ale rozumiała, że Robert nie zgodzi się, by ktokolwiek ograniczał jego swobodę. Nikt nie mógł mu mówić, co powinien robić. I to była jedna z tych rzeczy, które Fiona w nim podziwiała.

Dotknęła zaczepionej o ramięczko bikini róży. Nie była pewna, czy to prawdziwy kwiat czy sztuczna biżuteria, gdyż ozdoba przypominała jednocześnie srebrny przedmiot i żywy organizm. Fiona nigdy się z nią nie rozstawała, a róża wydawała się odporna na działanie słońca, wody i wiatru, i wciąż pozostawała tak samo pachnąca jak w chwili, kiedy ją dostała od ciotki Lucii. Za każdym razem, gdy wdychała woń kwiatu, uśmiechała się i przypominała sobie, że coś udało jej się osiągnąć. I że należy teraz do Ligi.

Jej palce zaplotły się wokół palców Roberta.

– Są pewne zasady dotyczące kierowców chodzących na randki z członkami Ligi – powiedziała.

– Niektóre zasady stworzone są po to, by je łamać.

– Robert łagodnie pogłaskał jej palce.

Fiona odsunęła dłoń i położyła ją obok na barierce

– blisko jego ręki, ale już jej nie dotykając.

– Nie jestem pewna.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał, nagle poważniejąc.

– To znaczy...

Fiona nie mogła wydusić z siebie słów. Wcześniej stawała twarzą twarz ze śmiercią, bogami i diabłami, ale to było trudniejsze. Musiała jednak to powiedzieć, nawet jeśli nie ze względu na siebie, to na Roberta.

– To znaczy oczywiście spędzanie z tobą w ten sposób kolejnych dni byłoby cudowne, ale to na pewno nie potrwa zbyt długo. Liga zawsze będzie obecna tuż obok, będzie nas obserwować i z mojego powodu wciągać cię w swoje gierki.

Robert spojrzał na dziewczynę, ewidentnie dotknięty jej słowami. Odwróciła wzrok.

– Nie mówię, że to koniec. Wprost przeciwnie: to dopiero początek czegoś między nami... Tylko nie jestem jeszcze pewna czego. Potrzebuję trochę czasu, żeby zdecydować, jak to ma wyglądać.

Robert uniósł jej podbródek, tak że musiała spojrzeć mu w oczy.

– Rozumiem. Martwisz się że wpakowałem się w to po samą szyję. I że łatwo mnie będzie zranić.

– Dokładnie tak – wyszeptała Fiona.

Przez twarz Roberta przemknął cień, jakby chłopak przypomniał sobie coś nieprzyjemnego. Za chwilę jednak jego rysy znów się rozluźniły, kiwnął głową i wypuścił z płuc powietrze.

– Może masz rację.

Znów odwrócili się w stronę oceanu i w milczeniu

patrzyli na pieniaące się fale. Co mogli jeszcze powiedzieć? Fiona chciała być z Robertem, ale była gotowa z niego zrezygnować, jeśli z jej powodu miałyby mu się stać coś złego.

To nie było sprawiedliwe. Czuła, że bierze udział w wielkiej rozgrywce szachowej z setkami figur – cioć, wujków, kuzynów – i że dopiero zaczyna się uczyć zasad bardzo ekscytującej, ale również niebezpiecznej gry. Nie mogła wciągać w to Roberta.

A co z Audrey? Gdzie było jej miejsce na szachownicy? Czy chroniła Fionę i Eliota tylko dlatego, że taki miała obowiązek? Czy może w jej sercu zostało choć trochę uczuć wobec nich? Na czym właściwie polega bycie boginią? Czy oznacza kompletną izolację? Odcięcie się od emocji?

Fiona zaczęła badać własne uczucia. Po tym, jak odcięła swój apetyt, wzruszenia przychodziły jej z trudem. Sytuacja poprawiła się nieco, gdy ugryzła złote jabłko, ale wciąż musiała się skoncentrować, by poczuć ciepło na myśl o Robercie czy też znowu doświadczyć pragnienia ochrony Eliota. A Audrey? Audrey przywoływała w niej myśl o utracie... Ale także nadzieję, że między nimi jeszcze się jakoś ułoży.

Wszystkie te niejasne emocje skierowane były ku dobrej stronie jej rodziny. A co z ojcem, Louistem, i pozostałymi upadłymi aniołami?

Fiona nachyliła się i zaczęła szperać w swojej torbie. W środku znajdowały się słomkowy kapelusz, kostium do pływania, wodoodporny aparat fotograficzny, jo-jo od wujka Aarona i wreszcie skórzany woreczek. Wyciągnęła z niego szafir Belzebuba.

Kamień skurczył się do rozmiaru jajka, a dziewczyna pozwoliła mu bujać się swobodnie na rzemyku nad powierzchnią wody. Był piękny i niemal hipnotyzował swoim urokiem. Spojrzała w jego głębię. Klejnot miał setki ścianek, z których każda była precyzyjnie ucięta, ale razem nie tworzyły żadnego wzoru. Rozbłyskiwał błękitem płomienia, otwartego nieba i nieskończonego oceanu. Bezcenny kamień, ale i ęoś więcej. Nosiła go, aby wciąż jej przypominał o drugim odgałęzieniu rodziny, której samo istnienie jeszcze bardziej komplikowało jej życie. Co zrobiliby Robertowi, gdyby dowiedzieli się, że jest jej chłopakiem? Jego życie nieustannie byłoby zagrożone.

– Co chcesz z tym zrobić? – zapytał Robert, wskazując na klejnot.

Pozwoliła, by szafir opadł na sam koniec rzemyka.

– Mogłabym go wrzucić do oceanu. Niech ryby zajmą się całym złem, jakie ma w sobie.

– Niezły pomysł. – Robert wbił wzrok w połyskujące ścianki kamienia.

To byłoby takie łatwe – zapomnieć o Louisie i pozostałych. Ale tym sposobem wyrzuciłaby z pamięci również część siebie. Louis był przecież jej ojcem. W jej żyłach krążyła jego krew. Upadłe anioły stanowiły jej rodzinę, choć wciąż nie czuła się na siłach, by zaakceptować ten fakt.

Pociągnęła za sznurek, szybkim pewnym ruchem złapała szafir i włożyła go z powrotem do torby.

– Nie zamierzam o tym myśleć – powiedziała Robertowi. – Nie dzisiaj.

Wujek Aaron przekręcił się na hamaku. Zerknął na

horyzont.

– Samolot wkrótce tu będzie – oznajmił.

Fiona westchnęła. Wakacje się kończyły. Za dwie godziny learjet wujka Henry'ego wyląduje na jego prywatnym pasie startowym i zabierze ją do prawdziwego świata. Oparła się o Roberta. Razem patrzyli, jak czerwone niebo rozjaśnia się od wschodzącego słońca. Delfiny wystawiły nosy nad powierzchnię wody i zawołały do nich.

– Wciąż mamy trochę czasu, by popływać – powiedziała Fiona.

Robert ściągnął koszulę i wskoczył do oceanu. Dziewczyna zaraz do niego dołączyła, rozpryskując wokół siebie wodę i śmiejąc się. Podpłynęła do Roberta i mocno go pocałowała.

Audrey, jej brat, nieśmiertelni oraz podstępni piekielni – wszyscy oni będą musieli jeszcze trochę zaczekać. Przeczynała, że czekają ją kłopoty i że te wakacje będą musiały jej wystarczyć na bardzo długo.

ŻYCIE POŚRÓD KLAMSTW

Eliot położył pudełko na stercie innych, wypełnionych książkami. Zdjął pokrywkę i zobaczył trzy tomy serii *Świętego Hawthorna zebranej wiedzy o roślinności w Nowym Świecie i jeszcze dalej*. Gdzie schował pozostałych pięć? Pokój hotelowy był zapchany niemal jednakowymi kartonami.

Chłopak poprawił na nosie nowe okulary. Chyba nigdy się do nich nie przyzwyczai, ale musiał przyznać, że teraz świat nie wydawał się już taki zamazany.

Aż zamrugał na widok swojego odbicia w lustrze nad komodą. Westchnął. Druciane oprawki sprawiały, że wyglądał młodziej, ale też chyba bardziej głupio. Jego przemiana w kompletnego oferwę zakończyła się.

W progu stanęła Cee.

– Skończyłam katalogowanie pokoju szóstego – powiedziała. W drżących rękach trzymała notatnik.

Eliot zamknął pudełko.

– To było ostatnie. Myślę, że na tym kończymy dziś wieczorem.

– Wieczorem? – Cee zerknęła przez okno. – Jest już prawie ranek.

Eliot też wyrzwał na zewnątrz. W oddali na wschodzie, na tle jaśniejącego nieba ostro odcinały się ciemne sylwetki budynków śródmieścia kalifornijskiej Alamedy. Był tak zajęty, że nie zauważył, że minęła cała

noc.

Nikt mu tu nie przeszkadzał. Cee i Audrey wynajęły wszystkie pokoje w tym małym hotelu przy bocznej drodze. Zdecydowały, że tu przechowają rzeczy, które uratowały się z pożaru.

Nadal nie wiedział, w jaki sposób Cee udało się to wszystko zapakować i przewieźć. Czasem miał wrażenie, że razem z Audrey już dużo wcześniej zaplanowały i przygotowały przeprowadzkę.

Wszystkie cenne książki ocalałe z Oakwood Apartments zostały skatalogowane, owinięte w papier i umieszczone w odpowiednio oznaczonych pudełkach. Rozpakowanie tego wszystkiego i poukładanie w dwudziestu pokojach, jakie mieli do dyspozycji, zajęło im prawie pięć dni.

– Myślę, że zasłużyliśmy na odpoczynek. – Cee poklepała go po dłoni. – Odśwież się trochę, a potem pójdziemy na śniadanie do restauracji.

Eliot kiwnął głową. Jedynym plusem pożaru i zniszczenia ich mieszkania było to, że Cecilia przestała gotować. A restauracja niedaleko ich hotelu serwowała rano jajecznicę, smażony boczek i litry świeżego soku z pomarańczy – prawdziwy raj.

Ruszył w stronę swojego obdrapanego pokoju, by zmyć z siebie kurz z książek, ale zaraz przystanął. Nie lubił, gdy ktoś nim w ten sposób kierował, choćby to była Cecilia. Od chwili kiedy oficjalnie znalazł się w szeregach Ligi, nie znosił, gdy ktokolwiek mówił mu, jak ma postąpić, nawet jeśli chodziło o jakiś drobiazg. Dla jasności: wcześniej też tego nie lubił, ale nie buntował się tak jak teraz. Czy tę zmianę spowodowało uznanie go za

nieśmiertelnego bohatera, czy może zwykłe dorastanie?

Zawrócił i pomaszerował do Cee.

– Gdzie jest Audrey?

Chciał zapytać: „Gdzie jest mama?”, ale te słowa ciągle nie mogły mu przejść przez gardło. Już samo powstrzymanie się, by nie nazywać Audrey babcią, było wystarczająco trudne. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić, że jego matka (a także ojciec) żyła.

– Myślałem, że będzie spędzała z nimi więcej czasu – powiedział. – Że wreszcie staniemy się rodziną.

– Wreszcie staniemy się rodziną? – Cee wyglądała na zdumioną. – Zawsze nią byliśmy. Zresztą rodziną nie można się stać tak po prostu, z dnia na dzień.

Eliot zmarszczył brwi i nie pozwolił Cee odwrócić swojej uwagi od istoty pytania.

– Gdzie ona jest? – zapytał ponownie.

– Chodź, odprowadź mnie do pokoju. – Złapała go pod ramię i Eliot pomógł jej przejść wolnym krokiem przez zadaszony chodnik hotelu. – Twoja matka zajmuje się sprawami związanymi z Ligą.

To były przynajmniej jakieś informacje. Na wszystkie wcześniejsze pytania Eliot otrzymywał odpowiedzi w stylu „wyjechała” albo „jest zajęta”. Cecilia straciła zwykłą czujność, więc miał zamiar dowiedzieć się więcej.

– Czy Rada znów obraduje?

Cee kiwnęła głową.

– Dallas, siostra twojej matki, zrezygnowała ze swojego miejsca, więc trzeba wybrać kogoś na jej miejsce. Żadna niespodzianka. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak ktoś obdarzony taką mocą może być aż tak

nieodpowiedzialny. – Cee przyłożyła palce do ust, jakby zaskoczona własną zuchwałością.

Eliot spróbował spojrzeć jej w oczy, ale natychmiast odwróciła wzrok.

– Czy to znaczy, że Audrey nie będzie teraz przez cały czas? I że wciąż, tak jak wcześniej, będą nas otaczać tajemnice i sekrety?

Cee westchnęła.

– Tajemnice i sekrety będą istnieć zawsze, mój drogi. Tak już jest urządzony nasz świat.

Zaraz, zaraz... Eliot przypomniał sobie dokładne brzmienie ostatnich słów Cee. Powiedziała: „Dallas, siostra twojej matki”. Ale skoro Cee była jego babcią, to czy ciocia Dallas i ciocia Lucia – razem z Audrey – nie były jej córkami? Czy nie powinna więc powiedzieć po prostu „Dallas” albo nawet „moja Dallas”? Już od dawna podejrzewał, że Cecilia naprawdę nie była ich prababcią ani babcią, ale nigdy nie zastanawiał się nad tym dłużej. Była w końcu jedyną osobą, która kiedykolwiek okazała mu i Fionie jakieś uczucia. Co tylko zwiększało jego podejrzenia co do jej pokrewieństwa z rodziną Postów.

Pochylona ze starości, zawsze drżąca, z szalem ciasno owiniętym wokół szyi wcale nie wyglądała jak Audrey, wujek Henry czy ktokolwiek z Ligi. Jej rysy były jakby bardziej zaokrąglone, pomarszczone... bardziej ludzkie. Ale dlaczego Audrey miałyby jej pozwolić na to, by udawała ich krewną?

– Kim jesteś? – wyszeptał Eliot.

Cecilia przestała się trząść i uśmiechnęła się.

– Zawsze będę twoją Cecilią, mój drogi chłopcze. Kocham cię bardziej niż ktokolwiek na świecie.

– A więc nie jesteś...

Cecilia położyła chłopakowi palec na ustach, uciszając go.

– Czy naprawdę chcesz wiedzieć?.

– Prawda jest zawsze najlepsza, przynajmniej tak powiedział Louis.

Cee roześmiała się, co zabrzmiało jak szelest suchych liści.

– Piekielni i ich przekłeta ironia – zamruczała. – Czy prawda jest zawsze dobra? A co, jeśli powoduje ból i zniszczenie? Czy nie zdarzyło ci się skłamać, by kogoś nie zranić?

Nachyliła się nad Eliotem.

Chłopak nagle poczuł zapach oceanu i dymu, a na skórze powiew wiatru. Wyobraził sobie, że znalazł się na stopniach pradawnej świątyni, a obok stoi Cecilia, patrząca na wypełniony wodą basen, z płonąca wiązką szalwi w jednej ręce i zakrzywioną gałęzią w drugiej. Wyglądała na znacznie młodszą, niemal w wieku Eliota, i miała kruczoczarne włosy opadające aż do talii.

Mrugnął i obraz zniknął. Stara i drżąca Cee znów stała obok i głaskała go po ramieniu. Jak zawsze pachniała mydłem i wybielaczem.

Tym razem ciekawość nie zwyciężyła nad rozsądkiem. Miał już dosyć zmagania się z prawdą. Chyba mógł pozwolić komuś po prostu go kochać. Bez wypytywania przyjąć to uczucie jak wyjątkowy dar. Bo przecież to był dar.

Razem z Fioną żyli w kłamstwie przez piętnaście lat i wcale nie było to takie złe. W końcu ochroniło ich przed krewnymi, a może nawet ocaliło im życie.

Kłamstwa mogły więc mieć jakiś ceł, nie były jedynie metodą czynienia zła.

Śliska teoria. Eliot nie był pewien, czy rozumie wszystkie jej konsekwencje, ale wiedział, że kocha Cecilie, i nie chciał, by to się kiedykolwiek zmieniło.

– OK – wyszeptał. – Prababciu.

Cee objęła go drżącymi ramionami, a on odpowiedział ostrożnym uściskiem. Po chwili odsunęła go delikatnie i otworzyła drzwi swojego pokoju.

– Przyjdź po mnie za pół godziny. Zjemy razem śniadanie.

– Dobrze.

Pomachał jej i wrócił do siebie. Rozejrzał się po odrapanym i zakurzonym pokoju, który sprawiał wrażenie klatki, złapał plecak i znów wyszedł na zewnątrz.

Słońce wciąż jeszcze nie wzeszło, a patrząc na szaroróżowy horyzont Eliot domyślił się, że zanim wstanie dzień, minie jeszcze dwadzieścia minut.

Wspiał się po drabinie przeciwpożarowej na posypany żwirem dach hotelu. Widział stąd kilkanaście billboardów, świecące znaki barów szybkiej obsługi i zanurzone w mgle wzgórza. Chciał zebrać myśli i pooddychać powietrzem, które nie pachnie gnijącym papierem. Brakowało mu dawnego życia. Nie nudy, nie kompletnej niewiedzy lub znęcania się Mike'a, ale ludzi. Pewnie już nigdy nie zobaczy Johnny'ego. Robert podobno też gdzieś się ukrył. Fiona spędzała wakacje u wujka Henry'ego. A Julie? Pewnie już zadomowiła się w Los Angeles i bez niego wie dzie jej się bardzo dobrze.

Westchnął. Nie mógł wrócić do przeszłości. Nie mógł udawać (nawet w swoich nowych okularach), że

wciąż był dawnym, wiecznie zaczytanym Eliotem Postem. Nie po tym, jak przeżył trzy śmiertelne próby, pokonał upadłego anioła i został ogłoszony nieśmiertelnym bohaterem.

Wyciągnął z kieszeni Oko Horusa. Ciężki złoty amulet połyskiwał w bladym świetle świtu. Sprawiał, że Eliot czuł, że dokonał czegoś naprawdę nadzwyczajnego. Ale wciąż nie zawiesił go na szyi i wcale nie był pewien dlaczego.

Schował amulet do spodni, słysząc, jak stuka, uderzając o leżące w jego kieszeni kości. Zatrzymał je na pamiątkę wydarzeń w Tawernie Ostatniego Zachodu Słońca. Od tego czasu kilka razy rzucił nimi dla eksperymentu. Z początku sprawiało mu to przyjemność, ale wkrótce przestał, bo przypominały mu o drugiej gałęzi rodziny. Najchętniej po prostu wyrzuciłby ze świadomości wszystkich krewnych: nieśmiertelnych i piekielnych. Bał się, że pogubi się w ich intrygach i w wyniku tego narazi na śmierć kolejnych niewinnych ludzi.

Wyobraził sobie, że ostatnie wydarzenia nigdy nie nastąpiły i był teraz razem z Julie: jeździli na nartach w szwajcarskich Alpach, a potem odpoczywali, kąpiąc się w gorących źródłach, zupełnie odizolowani od świata.

Ale nie powinien już zachowywać się tak dziecinnie. Nie mógł sobie pozwolić na fantazjowanie. Jeśli nie będzie twardo trzymać się rzeczywistości, nie skupi się na grożących zewsząd niebezpieczeństwach, któreś z nich wpadnie w kłopoty.

Przypomniał sobie szykującego się do ataku Belzebuba, połyskujący zakrzywiony obsydianowy nóż gotowy do oddzielenia duszy Eliota od jego ciała. W

końcu rodzeństwo pokonało upadłego anioła... w dużej części dzięki chłopakowi i jego muzyce.

Wyciągnął z plecaka skrzypce. Cee kupiła mu na nie futerał, poobijany i zniszczony, ale o wiele lepszy niż kalosz, w którym wcześniej je trzymał. Jutrzenka pomimo wszystkich przygód wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Idealnie wypolerowana, z napiętymi i nastrojonymi strunami. Lecz była przecież czymś więcej niż przedmiotem z drewna i włosia. Kiedy jej struny pękły, nocą odrosły na nowo.

Dotknął delikatnie pudła i rozprostował rękę. Truczizna wciąż pulsowała mu w dłoni. Chciał powiedzieć o tym komuś z Ligi, ale miał wrażenie, że zdradzi w ten sposób tajemnicę. Nie, nawet więcej: poczuł, że jeśli Rada kiedykolwiek się o tym dowie, rozprawi się z nim. Poza tym ręka nie bolała go aż tak bardzo, a kiedy grał – prawie w ogóle.

Kiedy tak zastanawiał się nad swoją grą, zdał sobie sprawę, że talent częściowo zawdzięcza wyobraźni: słyszał chór głosów towarzyszący starym piosenkom, kiedy grał *Wrzawę śmiertelnych*, widział dokazujące wokół słupa majowego dzieci, podczas *Symfonii egzystencji* zobaczył śmierć całego świata. A więc może marzenia nie przynależą tylko dzieciom. Okazały się pierwszym krokiem do transformacji fantazji w rzeczywistość.

Oparł Jutrzenkę o ramię i przyłożył smyczek do strun. Sześć kruków krążących nad jego głową zaskrzeczało i wylądowało na skraju dachu. Zamachały skrzydłami, jakby bijąc brawo, potem uspokoiły się i wbiły w niego spojrzenia czarnych błyszczących oczu.

Eliot zrobił krok do tyłu. Nie wiedział, co to za

ptaki (oprócz tego, że należały do zwykłego gatunku kruków). A może były posłańcami rodziny? Lub po prostu lubiły muzykę?

Czymkolwiek były, Eliot zdecydował, że nie powinien zachowywać się wobec nich niegrzecznie. Ukłonił się im z eleganckim wymachem ręki, powtarzając gest, który widział u Louisa, kiedy ten pozdrowiał publiczność podczas gry.

Rozpoczął od prostej wersji *Wrzawy śmiertelnych*, ale zaraz potem jego myśli popłynęły ku Julie Marks i jej piosence. Muzyka stawała się coraz bardziej smutna i niebo zakryły chmury, ale Eliot szybko przeszedł do nadziei – upiększając kolejne takty, improwizując, starając się pogłębić niesione przez melodię dobre uczucia i życząc Julie, by jej życie stało się lepsze i szczęśliwe.

Poczuł, że pęka mu serce, a jego zawartość wlewa się w muzykę, osładzając każdą nutę i sprawiając, że piosenkę wypełniła taka tęsknota, że powietrze ledwo mogło ją unieść...

Cały świat wstrzymał oddech.

Wschód słońca eksplodował nad horyzontem i wypełnił powietrze kolorami i światłem⁷¹. A Eliot grał i grał. Kruki skrzeczały i uderzały skrzydłami. A Eliot grał dla Julie. Dla całego świata. Grał jak szaleniec. Grał, gdyż

⁷¹ Wschód słońca wzdłuż południka 121 nastąpił tego dnia o sześć minut dwadzieścia trzy sekund wcześniej, niż powinien. Początkowo uważano, że to tylko efekt odbitego od chmur światła, ale wkrótce napłynęły relacje o wcześniejszym wschodzie z miejsc, gdzie nie było zachmurzenia: z Seattle, Waszyngtonu czy Lompoc w Kalifornii. Zjawisko to do dziś pozostaje niewytłumaczone i stało się podstawą legendy o rodzinie Postów. To był pierwszy (choć nie ostatni) publiczny pokaz umiejętności Eliota (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XI, *Mitologia rodziny Postów*, *op.cit.*).

muzyka sprawiała, że czuł się szczęśliwy.

JEZABEL

Sealiah spięła ostrogi i jej andaluzyjska klacz Incitata stratowała służących otwierających bramę willi Doze Torres. Spod podkutych stała, rozbijających bruk kopyt posypały się iskry.

Królowa Maków pognąła na złamanie karku w dół wijącej się górskiej drogi, aż znalazła się w Dolinie Aromatów. Ściągnęła lejce, by zatrzymać konia i na własne oczy zobaczyć to, o czym poinformowali ją strażnicy. Incitata uniosła przednie nogi i prychnęła zirytowana rozkazem zwolnienia, mimo to usłuchała.

Tam, na horyzoncie, odwieczne mgły i mrok zakipiały, a szarość rozświetliła się srebrem. Wschodziło słońce.

W niemal każdym innym miejscu byłoby to normalne zjawisko. Do Makowych Krain Piekła jednak słońce nie miało dostępu. Przez tysiąclecia ziemia Sealiah była zanurzona w półmroku, spowita w mgle i oparach, a ciepło utrzymywało się tu dzięki efektowi cieplarnianemu. Orchidee królowej doskonale rozwijały się w cieniu i w parnym klimacie. Nie zniosłyby bezpośredniego działania promieni słonecznych.

Sealiah zmrużyła oczy przypatrując się początkowi świtu, niewidzianemu tu od czasów, kiedy po wielkiej wojnie objęła panowanie nad tymi ziemiami. Cóż innego mógł on zapowiadać, jeśli nie nadchodzącą inwazję?

Niech próbują. Królowa Maków była znakomicie przygotowana.

Zamknęła oczy i poczuła na twarzy ciepło odległego słońca. Zwodniczo przyjemne. I bliskie. Jakby dochodzące zza sąsiedniego wzgórza.

Skinęła głową w stronę dżungli. Winorośl i pnącza rozstały się. Incitata potrucała nowo powstałą ścieżką przez gęstwinę, kierując się ku pobliskiemu wzniesieniu. Wyczuwając podekscytowanie swojej pani, dżungla zwróciła ku niej świeżo rozwinięte kielichy kwiatów, które rozpyliły w powietrzu kropelki nektaru i toksyczne wonie.

Sealiah dotarła prawie na szczyt wzgórza i pociągnęła lejce Incitaty. Zatrzymała się nieco poniżej najbardziej rozjaśnionego przez słońce obszaru. Nie rośło tu nic z wyjątkiem samotnego drzewa – piekielnej spirali. Królowa Maków zagryzła wargę, zaskoczona tym, że światło odnalazło to miejsce. Ale to tylko potwierdzało jej podejrzenia i związek wschodu słońca z bliźniętami Post, a zwłaszcza z Eliotem.

Rosnące w jej królestwie piekielne spirale stanowiły prezenty dla tych, którzy obrazili ją w szczególny sposób. Mała spiralna sadzonka oplątywała się wokół swojej ofiary i szybko rozwijała w dojrzałe drzewo, karmiąc się jej cierpieniem, pieszcząc ją, wyginając, ciągnąc, rozpychając dopóty, dopóki w jej uścisku stawała się zupełnie nierozpoznawalna... przynajmniej jako człowiek. W chwili gdy drzewo osiągało swoją w pełni ukształtowaną postać, z uwięzionego pozostawała jedynie sterta tkanki, podartych ścięgien i sproszkowanych kości⁷².

⁷² Leszczyna diabła (znana również jako piekielna spirala). Gatunek wymarły. Najbliższym krewniakiem jest zdobiona leszczyna poskręcana (*Corylus avellana* „*Contorta*”). Według ustnych przekazów pod koniec

Wewnątrz tego konkretnego drzewa znajdowała się tak poskręcana, że ledwie mogła oddychać, Julie Marks, a właściwie resztki jej ciała. W gąszczu wygiętych pędów otworzyło się pojedyncze niebieskie oko.

– Witaj, Pani Bólu – powiedziała Julie i wybuchnęła prowokacyjnym albo po prostu szalonym śmiechem.

W normalnych okolicznościach za taką bezczelność Sealiah spaliłaby drzewo i znajdującą się w jego środku ofiarę, ale tym razem potrzebowała czegoś więcej niż chwilowa satysfakcja.

Ochłonęła więc i stwierdziła, że odwaga dziewczyny była godna podziwu.

– Witam i ciebie, karmo dla robaków – powiedziała Sealiah.

– Czego chcesz?

– Zmniejszyć twój ból.

– Słyszałam już te słowa – wyszeptła Julie. – To nie ma sensu. Ból zawsze wraca.

– Tym razem będzie inaczej. Odkryję przed tobą drogę do źródła twojego cierpienia: do młodego panicza Eliota.

– Eliota? – Cała zuchwałość wyparowała z głosu

XVIII w. diabeł znalazł się w Ohio, by targować się o ludzkie dusze. Miał tak dużo pracy, że w końcu usnął ze zmęczenia pod leszczyną. Zły duch czarta wypaczył nasiona drzewa, które wypuściły pędy

oczarnej korze i w ciągu jednej nocy zarosły obszar o powierzchni siedmiu akrów, chwytając w pułapkę wiewiórki i sarny i zgniatając je na śmierć. Nadzór nad usunięciem tej diabelskiej trucizny powierzono Johnowi Chapmanowi (Johnny'emu Pestka Jabłka). PO kilku nieudanych próbach i dwóch ofiarach śmiertelnych Chapman zarządził spalenie całego lasu, posypanie ziemi solą, a następnie wykopanie jej

wrzucenie do rzeki Olentangy (*Świętego Hawthorna...*, *op.cit.*).

Julie. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła, potem wyszeptwała: – Słyszę go. Ty też? Woła mnie.

Powietrze wokół drzewa jeszcze pojaśniało. Liście piekielnej spirali zdrzżały. Sealiah usłyszała cichą melodię graną na skrzypcach. Nuty tęsknie wołały z ogromnej odległości. To była piosenka, którą Eliot skomponował dla dziewczyny: najpierw smutna, a potem nagle rozbudzająca się do życia, głośniejsza, a teraz nawet przepełniona... nadzieją.

Słońce weszło. Chmury rozstały się. Promienie z pełną mocą rozlały się po wzgórzu. Niewidziane tu od tysięcy lat światło spowodowało, że każde skrzydlate stworzenie w przerażeniu wbiło się w powietrze, każde zwierzę pełzające czmychnęło w poszukiwaniu schronienia, a poplątane winorośle zwiędły. Z piekielnej spirali zaczęła się wydobywać para. Po chwili drzewo pękło z trzaskiem i z długim westchnieniem, strząsnęło z siebie liście i umarło.

Zęby w ustach Julie Marks wygięły się w krzywy uśmiech. Poskręcane palce dziewczyny wysunęły się w stronę słońca... w stronę jej ukochanego i muzyki, która rozlała się triumfująco po Dolinie Aromatów.

Sealiah zamrugała pod wpływem nieproszonej jasności, wściekła na chłopaka, który śmiał wtargnąć do jej krainy. Jednocześnie była pełna podziwu, że miał wystarczająco wiele mocy, by tego dokonać. Tak, Eliot Post dysponował ogromną mocą, ale nie miał doświadczenia. Tym sentymentalnym pokazem zdradził swoje plany – błąd, którego za wszelką cenę starałby się uniknąć nawet młodzieńki piekielny.

Światło stało się jasne jak w samo południe,

dźwięki skrzypiec rozbrzmiały potężnie, ale zaraz przycichły, a potem dochodziły do nich z coraz większej oddali, aż wreszcie w przypominającej efekt Dopplera zmianie częstotliwości osunęły się powoli w ciszę.

Horyzont pokryły chmury. Słońce zniknęło za wzgórzem i cała dolina pociemniała. Julie westchnęła, przyglądając się martwemu już drzewu. Jej uśmiech również zdawał się blaknąć.

– Czy to wyglądało tak, jak chciałaś? – zapytała Sealiah.

Julie wyglądała na zupełnie zmartwioną.

– Nawet nie wspominaj o nim. Już wybrałam Eliota, nie ciebie. On nie zapomniał o mnie. Wciąż mam nadzieję.

Nadzieja w piekle. Co za niecodzienny i przerażający pomysł. Nawet Sealiah nie torturowałaby w ten sposób swoich podwładnych. To byłoby zbyt okrutne.

– Rzeczywiście, nie zapomniał.

Julie się roześmiała.

– Musi cię to doprowadzać do szaleństwa. To, że przychodzi po mnie.

Sealiah mogłaby wyjaśnić dziewczynie, jak bardzo się myli, gdyby jej nie potrzebowała. Ślepa wiara zawsze balansuje na cienkiej linii i kilka nieprzemyślanych słów może ją z łatwością zdusić.

– Owszem, słyszałam jego muzykę – odezwała się.

– Widziałam też słońce. Przez chwilę. Ale czy jest coś więcej? Czy Eliot na pewno tu idzie? Czy w ogóle grał dla ciebie?

– Dla mnie! Pewnego dnia przyjdzie – oświadczyła dziewczyna, ale w jej głosie pobrzmiwało już zwątpienie

– dowód na to, że Julie Marks nie była kompletną idiotką.

– Oczywiście, że tak – powiedziała Królowa Maków. – Wszyscy mężczyźni przecież tak robią: biegną na pomoc ukochanej kobiecie. Czy inni nie robili tak dla ciebie? Nawet po tym, jak ich opuściłaś?

Julie milczała.

– Jestem pewna, że docenił twoją szlachetność i że codziennie będzie grał ci serenady. Bo cóż mogłoby odwrócić jego uwagę? Z pewnością nie spotkał do tej pory żadnej innej kobiety.

Usta Julie zadrżały.

– Kłamiesz.

– Dziecko, kłamie, tylko mówiąc prawdę.

Julie Marks знаła męską naturę. Wiedziała, że nawet rycerski Eliot Post nie pozostanie takim na zawsze. Od czasu do czasu zagra dla niej, ale jego uczucia zbledną, a ona stanie się wspomnieniem. Aż w końcu chłopak kompletnie o niej zapomni tak jak wszyscy inni. Wtedy Julie znów będzie sama, jej przepelnione nadzieją serce pęknie tak jak jego fizyczna forma.

Po czarnej korze piekielnej spirali popłynęły łzy. Sealiah dotknęła ich opuszkami palców, które potem podniosła do ust. Posmakowała smutku.

– Może jest dla ciebie szansa.

Julie zamrugała, odpędzając łzy, i spojrzała na królową podejrzliwie.

– Co z oczu, to z serca. Tak jest w przypadku każdego mężczyzny. Dlatego musisz być przy nim.

Julie zamknęła oczy.

– Idź stąd – wyszeptała. – Już... już nie mogę tego słuchać.

– Nie rozumiesz mnie. Oferuję ci nowy układ.

– Taki jak wcześniej? – zapytała wzburzona Julie.

– Wcześniej moje warunki były zbyt szczodre.

Błąd, którego nie powtórzę. Tym razem nie będzie żadnego targowania, żadnego rzucania kośćmi. Musisz zostać moją, nie tylko duszą, ale też sercem i umysłem. Całą sobą.

Julie zamrugała szybko, zastanawiając się.

Sealiah podziwiała w niej to, że dziewczyna wciąż myśli, choć jej ciało uginało się od bólu, a serce właśnie zostało złamane. Można było się po niej wiele spodziewać.

– Czy będę mogła opuścić piekło? Wrócić do Eliota?

– To miejsce już zawsze pozostanie twoim domem. Będę cię wysyłać tam, gdzie będziesz akurat potrzebna. Ale twoje główne obowiązki będą związane z Postem. Z pewnością go zobaczysz.

Julie poruszyła się pod przygniatającym ją pniem drzewa. W jakimś ludzkim odruchu próbowała uciec od tego, co nieuchronne. Wciąż zatruwała ją nadzieja. W końcu jednak znieruchomiała, a potem, po długiej chwili milczenia, wyszeptała:

– Dobrze, zrobię to. Weź wszystko, co mam.

– Nawet nadzieję? – zapytała Sealiah.

– Tak bardzo boli – z ust dziewczyny wydostało się chropowate westchnięcie. – Tak.

– Musisz się stać moją niewolnicą. Moją zabawką, gotową na każde moje skinienie. Albo, jeśli zajdzie taka potrzeba, moim narzędziem zniszczenia.

– Tak.

– Paktu bezwzględnej służby nie można odwołać.

Po jego zawarciu będziesz moja już na zawsze. Ale mogę ci obiecać, że znów zobaczysz Eliota.

– Tak – wyszeptła Julie tak cicho, że Sealiah ledwie ją słyszała.

– Dobrze więc.

Królowa dotknęła piekielnej spirali. Martwe drewno rozszczepiło się i pokruszyło. Skóra i połamane kości, w które zamieniła się Julie, upadły u jej stóp.

Incitata prychnęła i cofnęła się o kilka kroków. Jej wrażliwy węch najwyraźniej został mocno podrażniony.

Sealiah zsiadła z klaczy i uklękła, tak że jej cień padł na Julie, skrywając ją przed resztkami gasnącego już światła i pogłębiając ciemność wokół niej do zupełnej czerni. Królowa Maków zdjęła rękawice i dotknęła dziewczyny. Ta wzdrygnęła się i zadrżała, ale na wycofanie się było już za późno.

Sealiah wyszeptła pradawne słowa, słowa, które ostatnio wypowiedziała Urakabameelowi, i myślała, że już więcej nie będzie miała do tego okazji. Nacięła skórę na swoim ramieniu paznokciem. Kropla jej cennej krwi wypłynęła i przylgnęła do niej, jakby płyn tak przepelniony mocą i życiem nie chciał się z nią rozstawać. Dotknęła swą krwią zniekształconego ciała Julie, nie przerywając recytowania słów rytuału. Zielonoczarne kropla powiększyła się, aż pokryła całą sylwetkę dziewczyny, wypalając słabości i pochłaniając wszystko, co niedoskonałe.

Julie Marks krzyknęła. To był ostatni krzyk, jaki kiedykolwiek z siebie wydała. Jej ciało i kości uformowały się na nowo. Cienie otuliły drżącą postać.

Sealiah odpięła guzik bluzki i wyjęła gnieżdżący się

w jej pępku szmaragd. Na jego ściankach wyłobiono znaki runiczne jej klanu. Rozszczepiwszy kamień, jedną z wyciętych płaszczyzn przytknęła do dłoni dziewczyny, próbując wcisnąć w nią jak najgłębiej jej palce.

Julie się opierała, ale nic to nie dało. Kamień zagnieździł się w jej dłoni na stałe. Odtąd będzie świadczył, że dziewczyna przynależy do klanu Sealiah. Da jej też władzę – śmiercionośną i przerażającą. Sprawi, że Julie stanie się jedną z nich.

– Wstań – rozkazała Sealiah.

Cień u jej stóp usłuchał i uniósł się.

Dziewczyna miała na sobie czarną jak najciemniejsza noc aksamitną pelerynę z kapturem, przy krawędziach ozdobioną wijącymi się winoroślami i orchideami. Jej skóra była nieskazitelnie śnieżnobiała, jakby nigdy nie wystawiona na działanie słońca. Spod niej przebijały wyraźnie pulsujące niebieskozielone żyły. Miała atletyczną, ale jednocześnie kusząco kobiecą figurę. Jej palce kończyły się ostrymi i pomalowanymi na czerwono paznokciami, a błyszczące platynowe włosy wiły się, oddając cześć piekielnej spirali, która jeszcze do niedawna więziła ją w sobie. Oczy Julie miały kolor nefrytu i tyle intensywności, że jedno ich spojrzenie mogło usidlić każdego młodego mężczyznę. Była tak piękna, że żadne słowa nie mogłyby oddać jej urody.

Sealiah poczuła ukłucie zazdrości, ale zaraz przypomniała sobie, że cały ten powab był jej dziełem.

– Już nie jesteś Julie Marks – oznajmiła. – Narodziłaś się na nowo jako agentka piekielnych i od tej pory będziesz się nazywać Jezabel⁷³.

⁷³ Podobnie jak tytuł Szatana imię Jezabel określa pozycję w szeregach piekielnych i w danej chwili może je nosić tylko jedna istota. Hierarchiczny

Jezabel upadła na ziemię przed Sealiah.

– Pani, rozkazuj swojej najwierniejszej służącej.

Królowa Maków położyła dłoń na głowie dziewczyny, gotowa, by w zależności od kaprysu pogłaskać ją bądź zgruchotać jej czaszkę o leżący obok kamień.

– Wstań – wyszeptała. – Mamy zaproszenie na przyjęcie.

układ owych tytułów pozostaje jednak w większości niejasny (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. XIII, *Sity piekielne*, *op.cit.*).

WYMIANY

Louis stał na pokładzie widokowym ponaddwustometrowego luksusowego transatlantyku *Próżność*. Zachodzące słońce właśnie zanurzyło się w wodach Oceanu Indyjskiego, a morświny ścigały się w falach piany, jaką statek zostawiał za sobą⁷⁴.

Przyjęcie, które wydał, by uczcić swój powrót, rozpoczęło się dzień wcześniej w Szanghaju i na razie nie było widać żadnych oznak jego końca. Przeciwnie, zabawa jakby rozkręciła się z nową siłą i zamieniła w cudowny pływający festiwal rozpusty.

Louis jednak dostał wiadomość, że Zarząd zamierza zjawić się na jego statku w celu obycia nagłych obrad.

W dłoni trzymał Krwawą Mary. Był kompletnie pijany, kiedy dotarła do niego nowina o tym „zaszczyście”, ale natychmiast przypomniał sobie, że w tej rodzinie chwilowe osłabienie zdolności umysłowych zazwyczaj

⁷⁴ *Próżność* (jeśli jest to prawdziwa nazwa statku) nie pojawia się w żadnym spisie jednostek wodnych. Wprawia w zakłopotanie inżynierów, gdyż zdaje się posiadać najnowocześniejszy sprzęt (radary i anteny satelitarne), ale również elementy, które dokładnie pasują do - znanych ze zdjęć - statków *USS Cyclops* (zaginionego w 1918 r. w Trójkącie Bermudzkim), *Graf Zeppelin* (jedynego lotniskowca wyprodukowanego przez nazistowskie Niemcy w czasie II wojny światowej), *Andrea Doria* (zatopionego w 1956 r.), a także do wież wiertniczych używanych przy wydobyciu ropy. *Próżność* często opisywano jako najdroższą i najpaskudniejszą łajbę, jaka pływała po morzach

oceanach (*Bogowie pierwszego i dwudziestego pierwszego wieku*, t. VI, *Mity współczesne, op.cit.*).

poprzedza koniec egzystencji.

A więc... natychmiast musiał wytrzeźwieć.

Odwrócił się do wielkiej sali balowej i popatrzył, jak jego kuzyni, kuzynki i ich świty tańczą i piją jego bezcennego szampana i koniak. Nowa porcelana została sprowadzona helikopterem, gdyż mniej więcej godzinę wcześniej wszystkie talerze rozbito w szaleńczym uniesieniu wywołanym greckim tańcem. Niegdyś Louis przyłączyłby się do nich, ale teraz zabawa wydawała mu się jałowa. Uczestnicy przyjęcia przede wszystkim napawali się upadkiem Beala. Nikt nie szepnął gospodarzowi nawet słówka z gratulacjami z okazji jego powrotu. Cóż, uradowani i pijani kuzyni łatwo mogą popełnić błędy, a on chętnie z tego skorzysta.

Zobaczył Mulcibera, który stał przy bufecie i z zaciekawieniem dotykał wszystkich wyłożonych kanapek, choć żadnej nie spróbował. Louis pomachał staremu rzędzie. Ku jego zaskoczeniu Mulciber uśmiechnął się w odpowiedzi. W dawnych czasach, zanim w jakikolwiek sposób by się z nim powitał, już próbowałby wbić mu sztylet w plecy.

Najwyraźniej śmierć Beala wprowadziła wszystkich w dobry nastrój. W końcu cóż może być bardziej pobudzającego od walki o władzę pozostałą po zniknięciu dawnego przewodniczącego Zarządu? **Tyle** że nie było o co walczyć.

Moc Beala pulsowała teraz w żyłach Louisa, co było rezultatem jego mistrzowskiego planu, w którym wykorzystał swoje dzieci jako przynętę. Jak zareagowałyby jego krewni, gdyby się o tym dowiedzieli? Rozerwaliby go na strzępy w napadzie zazdrości? A może oklaskivaliby

jego odwagę i pomysłowość?

Louis zacisnął pięści. Tak, przejął moce Beala, ale nie wszystkie. Część rozproszyła się w eterze – normalne drobne straty towarzyszące każdemu transferowi – ale część trafiła też do Eliota i Fiony, którzy znaleźli się na linii przeniesienia. Bliźnięta zapewne posmakowały części duszy Beala, co może w przyszłości wiele skomplikować.

Na pokład wtoczył się Oz i opadł na barierki obok Louisa. Śmierdział wypitym winem.

– Rozmyślasz, o wspaniała Gwiazdo Zaranna?

Twarz Oza osłaniał bandaż. Miał na sobie kostium siedemnastowiecznego dworzanina, składający się z żabotu i złotej brokatowej kamizelki oraz srebrnych spodni ze spandeksu i butów na wysokiej podeszwie, pasujących gwieździe rocka. Ze swoimi ćwiekami i garniturem od Armaniego Louis wyglądał przy nim bardzo konserwatywnie.

– Jak można myśleć z tym wszystkim za plecami?

– Louis machnął ręką w stronę bawiącego się tłumu.

– Powodów do świętowania jest więcej, niż ci się wydaje – wybełkotał Oz. – Na naszej grupie dyskusyjnej właśnie pojawiło się coś takiego. – Wręczył Louisowi przenośny komputer, cały klejący się od kawioru.

U dołu ekranu przesuwiał się pasek z kursami akcji i najświeższymi wiadomościami. Pośrodku znajdował się jednak następujący tekst:

Pilne ogłoszenie. Wzywamy do gotowości do sądenia i bycia sądzonym. Narro, audio, perceptum. To jest oficjalne obwieszczenie o

zmianie statusu. Rada Starszych Ligi Nieśmiertelnych orzeka, że Fiona Paige Post zostaje powołana do Zakonu Niebiańskiej Róży. Eliot Zachariasz Post zostaje wprowadzony do Bractwa Nieśmiertelnych Bohaterów. Powyższe zmiany są natychmiastowe i nieodwołalne. Zachwycajcie się i ciescie się tymi wspaniałymi wydarzeniami! Zgodnie z Pactum pax immortalis żadne osoby czy organizacje nie mogą wpływać na prawny, społeczny czy polityczny status wyżej wymienionych, którzy odąd podlegają jurysdykcji i ochronie...

– I co powiesz na to? – zapytał Oz.

Louis nie wiedział, co o tym właściwie myśleć, więc uzbroił się jak w tarczę w swój zwykły promienny uśmiech.

– Spodziewałeś się czegoś innego?

Oz zmarszczył brwi, słysząc tę niezobowiązującą odpowiedź. Stało się jasne, że przyszedł tu, by wydobyć jakieś informacje z Louisa, zakładając, że ten doskonale orientuje się w sprawach związanych ze swoimi dziećmi.

– Mówi się, że dziewczyna walczyła z Bealem twarzą w twarz – Oz urwał, a jego oblicze rozluźniło się, jakby nagle zwrócił uwagę na coś innego.

Louis podążył spojrzeniem za jego wzrokiem i zobaczył zbliżającą się ku nim Abigail.

A więc Zarząd wreszcie się zebrał, co – sądząc z miny Abigail – mogło przynieść Ozowi wyjątkowo nieprzyjemne niespodzianki. Czy pierwszym punktem

obrad będzie usunięcie go z Zarządu? Kuzyn okazywał głupotę w ogóle tu się zjawiając. A może wakat po nim zostanie oferowany Louisowi...

Oz wylał resztki zawartości swojego kieliszka za burzę.

– Wybacz, kuzynie. Potrzebuję dolewki. – Zmył się.

– Abigail. – Louis rozłożył ręce w geście powitania, ale również zapewnienia, że nie ma zamiaru wdawać się w walkę.

Kuzynka miała na sobie strój ze złotych sznurków, które owijały się wokół jej szczupłej figury albinoski. Sznurki drgały, jakby były żywe. Na ramionach kobiety usadowiły się żuki rozmiaru piłki do koszykówki, napastliwie machające czułkami w stronę Louisa.

Abigail uśmiechnęła się jak dziecko, co – jak Louis wiedział – mogło znaczyć wszystko: od radości ze spotkania z nim po zapowiedź brutalnego ciosu. Ku jego uldze podała mu dłoń do pocałunku.

W wypadku każdej piekielnej taki gest byłby zaproszeniem do skorzystać z jej wdzięków, ale prób oczarowania Niszczycielki nie należało podejmować bez poważnego zastanowienia się, więc Louis tylko sięgnął po jej drobną dłoń i pocałował ją w niezwykle szarmancki sposób.

– Łobuzie – wyszeptała Abigail, lekko się rumieniając. – Tak się za tobą stęskniłam. Musimy nadrobić stracony czas.

– Musimy – odpowiedział Louis, czując, jak jego oddech i puls przyspieszają.

Powstrzymał swoje podekscytowanie.

Sprzymierzenie się ze słodką kuzyneczką Abby było niebezpieczne w każdych okolicznościach, a tym bardziej teraz, kiedy nie znał aktualnego rozkładu sił w rodzinie. Zanim nie dowie się więcej, zawieranie sojuszy będzie się wiązać z wysokim ryzykiem.

– Dotarły do ciebie najnowsze wiadomości? – zapytał, zmieniając temat.

Uśmiech Abigail lekko przygał.

– Tak... tamto. Cały Zarząd upił się ironią ich posunięcia – westchnęła.

– W samej rzeczy – oznajmił Louis. Teraz on usiłował wyciągnąć z kuzynki jakieś informacje. – Liga obwieszcza, że bliźnięta należą do niej, jakby to cokolwiek znaczyło.

Statek przechylił się i zakołysał na idealnie spokojnej powierzchni oceanu. Louis rozejrzał się i dostrzegł źródło wytrącenia *Próżności* z równowagi: od strony bufetu toczył się w ich stronę Lev.

Abigail wykrzywiła się z niezadowoleniem i gestem próbowała odgonić nadchodzącego kuzyna. Ten jednak całkowicie ją zignorował.

– Louis! – Objął odzyskanego krewnego potężnym ramieniem. – Dobrze cię znowu widzieć, stary.

Louis powstrzymał wzdrygnięcie się. Na potężnej szyi Leva nie było tak dla niego charakterystycznej biżuterii, ale wciąż miał na sobie ten sam poliestrowy dres, w którym Louis widział go szesnaście lat temu. Po zapachu można się było zorientować, że przez cały ten czas właściciel nie uprał go ani razu.

Lev przyniósł z sobą srebrny talerz wypełniony przystawkami i parującym mięsem. Wepchnął do ust kilka

kawałków, ale za chwilę zreflektował się i podsunął tacę Abigail. Ta wzięła kawałeczek mięsa, powąchała i ugryzła drobny kęs.

– Smakuje dziczyznę. Co to jest?

– Nasz dawny przewodniczący Zarządu – odpowiedział Lev, przeżuując i uśmiechając się. Zwrócił talerz w stronę Louisa.

Ten uniósł dłoń.

– Dziękuję, ale nie skorzystam. Jetji tylko tych, których kocham.

– Jak chcesz – powiedział Lev. – Rozmawiacie o Lidze? Wygląda na to, że właśnie pomogli nam w rozstrzygnięciu naszego problemu.

– Zgadzam się – rzekła Abigail ściszym głosem.

– Najpierw zabójstwo Beala, a teraz ogłoszenie ich nieśmiertelnymi. Czy potrzebujemy więcej dowodów na to, że rodzeństwo może złamać traktat o neutralności?

Podwójne pochodzenie. A więc o to im chodzi. Jak Louis mógł nie domyślić się tego wcześniej? Teraz rozumiał, dlaczego tak bardzo interesowali się jego dziećmi. Zamierzali ich użyć do zaatakowania Ligi – a może nawet nie tylko do tego.

Musiał dobrze przemyśleć wszystkie możliwości i wynikające z nich konsekwencje. Oraz obrócenie ich na własną korzyść.

Louis tak się zamyślił, że wcale nie dostrzegł nadejścia następnego kuzyna – Ashmeda, który wziął Abby pod ramię. Architekt Zła miał na sobie grafitowy garnitur i nienaganny srebrny krawat – strój zbyt skromny na przyjęcie, ale idealny do tego, by budować autorytet niezbędny podczas posiedzenia Zarządu.

Styl Ashmeda był ponadczasowy, a jednocześnie subtelny i efektywny. Uważał, by zawsze trzymać się w pewnym oddaleniu od centrum władzy, w wyniku czego miał niewielu wrogów. Jeśli tylko by tego zapragnął, mógłby teraz zostać przewodniczącym Zarządu.

– Louis – powiedział, sięgając po dłoń powracającego na łono rodziny kuzyna, zanim ten mógł ją schować.

W jego uścisku nie było serdeczności, jedynie siła mająca zademonstrować jego wyższość. Po dłuższej chwili Ashmed puścił rękę Louisa i skinął głową w stronę Leva.

Louis wciąż się uśmiechał, ale jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Wszyscy zdawali się przyjaźnie nastawieni. Jak to możliwe? Normalnie powinna już się odbyć przynajmniej jedna burda. Czy to powab wojny i totalnej zagłady zjednoczył wszystkie klany? W powietrzu czuć było zmianę: być może koniec starego świata i początek nowego, w którym to oni będą odgrywać główne role. I z jakiegoś powodu ta perspektywa sprawiła, że Louis poczuł się niepewnie.

– Jesteśmy gotowi, by rozpocząć obrady – oświadczył Ashmed. – Louis, chciałbym, żebyś do nas dołączył.

– Oczywiście.

Abigail i Lev wymienili znaczące spojrzenia.

– Pójdę po trochę jedzenia i picia – mruknął Lev, oddalając się. – Podczas tych dyskusji można umrzeć z głodu.

Abigail uśmiechnęła się do Louisa, z wdziękiem uwolniła z objęcia Ashmeda i również odeszła. Louis ruszył za nią, ale Ashmed dotknął jego ramienia.

– Chwileczkę, kuzynie – wyszeptał. – Ktoś jeszcze chciałby z tobą porozmawiać.

Wskazał na zakryty zasłoną balkon po drugiej stronie ogromnego basenu.

– Uważaj na siebie – dodał, a potem oddalił się, zostawiając rozmyślającego nad tym niejasnym ostrzeżeniem Louisa.

Louis poczuł ulgę. Spodziewał się jakiejś konfrontacji, a przebywanie tak długo pośród krewnych bez utoczenia choćby jednej kropli krwi wydawało mu się nienaturalne. Zasłonięty balkon stanowił łatwe miejsce na przygotowanie pułapki, ale Louis nie zamierzał rezygnować. Chciał sprawdzić swoje nowe moce.

Przygotował się na takie sytuacje. Był uzbrojony i opancerzony – w końcu czyż nie nazywał się największym kłamcą? Szarlatanem najwyższej klasy?

Ruszył po tekowym pokładzie w stronę balkonu, a z każdym krokiem jego pewność siebie rosła. Niech tylko czekający tam napastnik go dotknie – roześmiał się, niezmiernie z siebie zadowolony. Zwolnił jednak, gdy od zasłony dzielił go ledwie metr. Poczuł obezwładniający zapach wanilii i maków.

Tkanina rozstała się, odsłaniając kształtną sylwetkę Sealiah.

– Wejdz. Mamy sprawy do omówienia. – W jej głosie brzmiała beznamiętna wrogość.

W przeszłości wiele ich łączyło: milenia zauroczeń, rozlanej krwi i otwartych wojen. Zanim Louis znalazł prawdziwą miłość, tańczył razem z nią po odwiecznej orbicie nienawiści i pożądania. I Królowa Maków była jedną z nielicznych osób, które mogły go czymś

zaskoczyć. Louis powinien się domyślić, że ten podstęp był przygotowany właśnie przez nią. Spośród wszystkich krewnych miała najbardziej oczywisty powód do wendety. Czyż nie zabił jej ukochanego Uriego? Przynajmniej nie będzie nudno.

Zaczerpnął głęboko powietrza i wszedł do środka.

Zielona aksamitna kotara natychmiast za nim opadła.

Na nakrytym czerwonym obrusem stole płonęło sześć srebrnych świec. Sealiah stanęła po jego drugiej stronie, obok posługującej dziewczyny. Miała na sobie ozdobny koronkowy strój, który wyglądał po części jak suknia ślubna, a po części jak koszula nocna i wabił każdym swym skrawkiem. Służąca była odziana w czerń kontrastującą z jej platynowymi lokami i jasną skórą.

Louis nie dostrzegł na drewnianej podłodze czy zasłonie żadnych znaków runicznych. Nie wyczuwał też żadnego zagrożenia w zacienionych kątach. W jakim wobec tego celu Sealiah miałyby go tu zwabić, jeśli nie szykowała na niego zasadzki?

W każdym razie towarzysząca jej dziewczyna była ślicznym stworzeniem. Przyciągającym uwagę. Jej włosy były zbyt jasne, a twarz zbyt piękna, by Sealiah wybrała ją po prostu na służącą, a sylwetka miała w sobie taką doskonałość, której nie można znaleźć w zwykłym człowieku. Może to ona właśnie była pułapką?

Widział ją już wcześniej, ale zupełnie nie potrafił skojarzyć gdzie i kiedy. Obrócił sygnet na palcu tak, by owalny diament zeskanował jej postać. Chciał przyjrzeć się jej później dokładnie.

Prawie niedostrzegalnie uklonił się Królowej

Maków – nie z braku szacunku, ale dlatego że nie chciał nawet na chwilę tracić jej z oczu. Największy komplement.

– Niech wszystko niszczy pod twoim dotykiem – odezwał się.

– Kłamstwa i pozdrowienia, kuzynie – odpowiedziała.

Pod stołem coś zaszeleściło. Louis uśmiechnął się, ale lewą rękę przesunął ku pochwie, w której spoczywał Saliceran.

– Załatwmy to szybko. – Sealah zmrużyła oczy.

– Moja krew gotuje się już na sam twój widok.

Czy mógł coś powiedzieć, jednocześnie jej nie prowokując? Nie był głupcem, nie miał więc zamiaru zaprzeczać, że zabił Uriego. Zamiast tego po prostu oświadczył:

– Umarł godnie.

To było wystarczająco bliskie prawdy. Uri zginął, próbując oszukać Louisa na polecenie swojej pani. Czy taki koniec nie stanowił szczytu marzeń gigantycznego szczeniaka?

Sealah westchnęła i jakby trochę się rozluźniła. Skinęła głową w stronę swojej towarzyszki.

– Jezabel, pokaż kuzynowi, co mu przyniosłyśmy.

Dziewczyna wyciągnęła spod stołu plastikowy pojemnik do przechowywania zwierząt. Z jego wnętrza zamrugała do Louisa para żółtozłotych oczu.

– Masz coś, co należy do mnie – powiedziała Sealah.

– Chcę tego z powrotem.

Oczywiście miała na myśli Saliceran, ostrze, które

mogło zabić zarówno każdego z piekielnych, jak i nieśmiertelnych. A więc niezależnie od tego, jakie potworności czaiły się wewnątrz klatki, Louis dobrowolnie nie odda legendarnej broni. Czy miała go za głupca?

Sealiah przejechała paznokciem po pudełku, wywołując okropne skrzywienie. Stworzenie w środku zakwiliło.

– Kiedy nas opuścisz – oznajmiła z pogardą – pozwoliłam sobie zaopiekować się twoim „zwierzątkiem”.

Odwróciła klatkę, tak że jej drzwiczki znalazły się naprzeciwko Louisa.

Wyliniały czarny kot zasyczał i splunął, dysząc tak bardzo, że nie dało się stwierdzić, gdzie kończy się jego węglowe futro, a zaczyna cień. Amberflaksus, kot Louisa.

Uśmiechnął się, by ukryć panikę. Amberflaksus był jedyną istotą w całym wszechświecie, którą mógłby nazwać przyjacielem. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że zwierzę mogło przeżyć jego upadek do śmiertelności.

– Zastanawiałam się, czy nie zatrzymać go dla siebie – zagruchała Sealiah. – Wiesz, jak uwielbiam koty.

To była prawda. Ale Królowa Maków uwielbiała je tylko w postaci drobno pokrojonych, podsmażonych kawałków podanych z pierożkami wonton.

– Uwierz mi – Louis próbował nadać swemu głosowi nonszalanckie brzmienie – nie chcesz tego kocura. Sika na wszystko. Zostawia ślady pazurów na meblach. Wieczorami trzeba go wciąż wypuszczać na zewnątrz.

– Zadziwiające podobieństwo do właściciela. Ostrze, Louis. Połóż je na stole. Wymienimy się.

Chciała prostej wymiany? A więc wyrachowana

Sealiah nie była jednak nieomylna. Nie miała pojęcia, czym ten kot naprawdę był ani co potrafił zrobić.

Louis wydał z siebie głębokie, udawane westchnienie. Odegrał scenę wielkiego żalu, gdy wyciągał ostrze i kładł je obok klatki. Jedną rękę wciąż trzymając na rękojeści Salicerana, drugą otworzył drzwiczki i sięgnął po wijącego się Amberflaksusa. Kot warknął, wystawił pazury i położył uszy po sobie. Louis pogłaskał stworzenie, które w zamian ugryzło jego dłoń.

– Już. – Szorstko uspokoił zwierzę. – Już, już.

Sealiah wzięła Salicerana, popatrzyła na przełamane ostrze, z powrotem schowała broń do pochwy i ukryła ją w fałdach ubrania.

– Żadnych gróźb? – zapytał Louis. – Ostrzeżenia, bym nigdy nie wchodził ci w drogę? Choćby niedbałej próby zadania ciosu w serce?

– Nie wiedziałam, że wciąż je masz. Tak czy inaczej, żadnych gróźb ani przemocy. Musimy wziąć udział w obradach Zarządu. Przed nami jeszcze bardzo długi taniec, zanim nasza muzyka się skończy.

Louisowi wcale się to nie podobało. Sealiah wiązała z nim jakieś plany. Jak zawsze. Zanotował w pamięci, by przy pierwszej nadarzającej się okazji złożyć ślub celibatu. A może nawet zostać eunuchem.

– Nie mogę się tego doczekać. – Ukłonił się. Tym razem niżej i z wielkim szacunkiem.

Amberflaksus próbował się wyrwać z rąk Louisa, ale ten trzymał go mocno. Służąca uchyliła przed swoją panią zasłonę z tyłu pomieszczenia, po czym obie wyszły na zewnątrz, zostawiając Kłamcę tylko ze swoim zwierzątkiem.

Louis pogłaskał kota po głowie i ten wreszcie się uspokoił, choć wciąż wbijał pazury w rękaw jego garnituru.

– Nieszczęsne zwierzę – powiedział Louis i mocno nim potrząsnął. – Przestań. Musimy dopilnować tylu rzeczy. Sprawy rodzinne.

Kot znieruchomiał.

Dlaczego Louis w ogóle się tym wszystkim przejmował? Jakaś jego część pragnęła pójść w ślady wielkiego Szatana, który – zde gustowany – opuścił rodzinę dawno temu. Ale trzymało go tu kilka spraw. Kiedyś kochał, naprawdę kochał kobietę, która mu dorównywała. Teraz go nienawdziła. Lecz czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Udowodnił, że nawet dla takich jak on miłość była możliwa. Być może zdarzy się ponownie? Musiał również pamiętać o swoich dzieciach.

Wyszedł na zewnątrz. Ignorując trwające wciąż przyjęcie, spojrzął na gwiazdy rozświetlające niebo.

Czy kochał Fionę i Eliota? Już teraz zapominał, co czuł, gdy jako śmiertelnik przypatrywał się im, jak każdego poranka idą do pracy. Być może tylko przesiąknięte moczem, marne i przemijające ciało mogło odczuwać takie wzruszenia. Bo czyż nie ryzykował ich życia, by przejąć moc Beala? Nawet użył swojego syna jako przynęty. Czy tak zachowałyby się kochający ojciec? A może chodziło o desperackie przedsięwzięcie mające na celu zjednoczenie się ze swoją młodą rodziną, pokonanie przeciwności losu i uratowanie ich wszystkich?

Ale czy w ogóle kochał te dzieci? Czy wiedział, co znaczyło to słowo? Czy może tylko przyciągała go do nich władza i moc, które reprezentowali? Czy te dwie rzeczy:

miłość i chęć wykorzystania – mogły istnieć obok siebie?

Louis zmarszczył brwi i przestał głaszać Amberflaksusa. Kot trącił nosem jego rękę i zamruczał.

Dla reszty świata Louis mógł być Wielkim Kłamcą, ale nigdy nie potrafił oszukiwać samego siebie. Nie mógł uniknąć tej decyzji: pewnego dnia będzie musiał wybrać między miłością do córki i syna a pragnieniem, by wykorzystać ich do zdobycia władzy nad klanem piekielnych. Nie musiał jednak podejmować tej decyzji teraz.

Podszedł do srebrnej tacy z kieliszkami ze spienionym szampanem. W toaście uniósł jeden z nich w stronę swojej gwiazdy – królującej na pociemniałym horyzoncie Wenus – w myśli życząc Fionie i Eliotowi szczęścia... Jeśli nie na zawsze, to przynajmniej w tej chwili.

Niech się cieszą życiem, zanim rozpęta się piekło.

WYROKI

Audrey siedziała na składanym krześle otoczona przez rodzinę i nigdy wcześniej nie czuła się tak nieszczęśliwa.

Nawet po rozstaniu z Louistem, kiedy odkryła, że ją oszukał, a jego miłość była tylko grą, jej ból był tysiąc razy mniejszy. Wina Louisa nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Dziś jednak musiała skazać niewinnych... i na dodatek tak jej bliskich.

– Dobrze to przemyślałam – wyszeptała. Ale nie mogła nawet na nich spojrzeć. To było takie trudne.

– Gdy tylko zaakceptowali swoje miejsca pośród nas – powiedziała – razem z Corneliusem zaczęliśmy studiować prądawne kodeksy, od tablic pochodzących z Księgi Rodzaju po *Pactum pax immortalis*. Wniosek może być tylko jeden: czeka nas anihilacja.

Nienawidziła siebie za to, że jej głos brzmiał tak słabo. To na pewno nie sprawi, że jej opinia będzie bardziej przekonująca. Od tej chwili zależało tak wiele, iż nie mogła sobie pozwolić na luksus w postaci uzalania się nad sobą.

Wreszcie podniosła wzrok i wyprostowała się, czując, jak wracają jej siły.

Rada zebrała się ponownie w należącem do Henry'ego pokoju Szarego Lotosu. Pozbawione ozdób betonowe ściany, niski sufit i nagie żarówki mogły

przysłonić wyjątkowość tego miejsca, ale Henry stworzył to prywatne pomieszczenie do medytacji, odnawiając znajdujące się w sercu Ameryki i zakopane głęboko pod ziemią dawne centrum dowodzenia nuklearnego. Ułożone wokół warstwy przeciwpodśluchowego sprzętu oraz tony kamieni zapewniały, że żadne wypowiedziane tu słowo nie mogło wydostać się na zewnątrz. Doskonała lokalizacja na tajne spotkanie, na którym zostaną ustalone dalsze losy świata.

Pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć składanych krzeseł, na których siedzieli członkowie Rady. Henry, Kino, Aaron, Gilbert oraz Lucia i Dallas przybyli, by słuchać i osądzać.

– Anihilacja... – powtórzył Henry, wypuszczając z ust chmurę niebieskiego dymu. – A myślałem, że to ja mam skłonności do dramatyzowania. – Brzmiał jednak nieszczerze i jego próba rozluźnienia atmosfery była skazana na niepowodzenie.

Nie wyglądał też najlepiej. Jego poźółkłe od nikotyny palce drżały, a pognieciony smoking stracił swą świeżość trzy dni wcześniej.

Dallas wstała z krzesła i pomaszerowała w róg pomieszczenia, trzymając ręce złożone na piersiach.

– Nie próbuj zmieniać tematu – oznajmiła, nadeptując stopę Audrey. – Nie mogę uwierzyć, że to robisz! Jestem twoją siostrą!

Wyglądała śmiesznie w swojej udającej uniform minisukienki i zielonym berecie. Komu usiłowała zaimponować takim strojem?

– Nikt nie myśli, że bierzesz to na poważnie – odpowiedziała jej Audrey zimnym tonem. – Osobiste

odczucia nie odgrywają tu żadnej roli. .

– Ależ wręcz przeciwnie – odrzekła Dallas podniesionym tonem. – Kocham ich i zrobię wszystko, by ich chronić.

– Niestety – wyszeptła Lucia – na tym polega problem. – Wyrównała fałdy swojego garnitur.

– Musimy myśleć trzeźwo i ocenić sytuację obiektywnie.

Lucia siedziała obok Audrey i stworzyła z nią zjednoczony front, co zdarzało się niezwykle rzadko. Siostry nigdy się w niczym nie zgadzały, ale tym razem nawet Lucia dostrzegła powagę sytuacji. A może to właśnie Audrey wreszcie przyjęła punkt widzenia reszty rodziny.

– Głosujmy, wtedy wszystko się wyjaśni – ciągnęła Lucia. – Niech ci, którzy chcą pozostania Dallas w Radzie, podniosą rękę.

Dallas uniosła dłoń, zaraz po niej zrobił to samo Aaron, który miał na sobie swój bojowy strój: dzinsy, kowbojki i T-shirt z napisem „VIVA LUCHA LIBRE”⁷⁵.

– Kto jest przeciw?

Kino, Lucia, Gilbert, a nawet Cornelius, który z niezachwianą konsekwencją zachowywał neutralność we wszystkich rodzinnych konfliktach – wszyscy oni podnieśli rękę.

– Wstrzymuję się. – Henry spuścił wzrok.

Dallas trzymała głowę dumnie uniesioną.

– Popelniacie błąd.

– Decyzja zapadła – powiedziała Lucia. – Jeśli

⁷⁵ „*Lucha libre*” znaczy „wolna walka”. Nazwa ta odnosi się do meksykańskich zapasów w maskach, uprawianych w krajach hiszpańskojęzycznych - przy. red.

musisz, zostań tu i przysłuchuj się obradom, ale powstrzymaj się od zabierania głosu, chyba że zostaniesz o to poproszona.

Dallas otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Jej oblicze pałało czystą nienawiścią do sióstr.

Audrey zrobiło się jej żal. Trudno było obwinać Dallas za nadmiar uczuć, zwłaszcza w tym konkretnym przypadku, Tylko że emocje ją zaślepiły. Teraz Audrey popatrzyła na Aarona, który nie spuścił oczu, lecz hardo odwzajemnił spojrzenie. Wiedziała, że przekonanie Pana Wojny, by zmienić raz przyjęty punkt widzenia, stanowi poważne wyzwanie. Dzisiejsza decyzja jednak musi zapaść jednogłośnie.

Kino, Strażnik Wrót Śmierci, na jej znak skinął głową ze zrozumieniem. Wstał, wciągnął głęboko powietrze i zwrócił się do Aarona:

– Sytuacja wymaga od nas dobrze przemyślanej strategii. Przyjacielu, mnie również nie podoba się ten wniosek. – Na jego twarzy, do tej pory beznamietnej jak maska, pojawiło się wzruszenie. – Te dzieci zrobiły na mnie duże wrażenie, a także poruszyły serce, które, jak mi się zdawało, od dawna uodporniło się na uczucia.

Gilbert położył dłoń na ramieniu Aarona.

– Ale nie możemy ignorować faktów.

Aaron wzdrygnął się, zrzucając z pleców rękę Gilberta.

– Fakty – wysyczał. – Zasady. Manipulujecie nimi, jak wam wygodnie.

Cornelius też wstał i choć sięgał Kino tylko do pasa, jego postawa wydawała się jeszcze bardziej dramatyczna. Zawsze zachowywał spokój i milczenie.

Zagłębiany w swoich wykresach i tablicach był niemal niewidoczny wśród innych bujnych osobowości Rady.

Ale Stwórca Czasu był z nich najstarszy, a może i najpotężniejszy.

– Masz rację – powiedział Aaronowi. – Rzeczywiście często tak robią. Ja jednak doszedłem do tej samej konkluzji nie z powodu politycznych machinacji, lecz posługując się czystą, bezwzględną logiką.

Aaron zamknął oczy i osunął się na oparcie krzesła. Jego gniew wyraźnie opadł.

– Dobrze, powiedz mi to jeszcze raz, starcze.

– Te dwa podmioty... – zaczął Cornelius.

– Eliot i Fiona – wtrącił Aaron. – To nie są podmioty. Mają imiona.

Przez chwilę Cornelius wyglądał na zmieszanego, ale zaraz odzyskał pewność siebie.

– Oczywiście, wybacź mój błąd. Zaprosiliśmy Fionę, by dołączyła do wspaniałego Zakonu Niebiańskiej Róży, a Eliota – do równie imponującego Bractwa Nieśmiertelnych Bohaterów. Ich zgoda spowodowała, że umowa się uprawomocniła.

– To tylko słowa – wymamrotał Aaron.

– O nie – powiedział Gilbert. – Przyjęcie symboli zakonu i bractwa jest aktem opisanym w pradawnych dokumentach. Nie może ich dotknąć żaden śmiertelnik czy piekielny... Jedynie nieśmiertelny.

– A więc są nieśmiertelnymi. – Aaron zapatrzył się gdzieś w przestrzeń. W jego głosie zabrzmiało zrozumienie, ale nie było w nim słyhać żadnej radości.

Kino usiadł obok niego i nachylił się do przodu.

– Jest jeszcze kwestia piekielnego władcy

Belzebuba.

– Na własne oczy widziałam, jak stali nad jego ciałem – powiedziała Audrey. – Dopiero co zginął, a Fiona wciąż trzymała w dłoni narzędzie, którym zadała mu śmierć.

– Nie mogliby tego zrobić, gdyby należeli do naszej rodziny – odezwała się Lucia. – Traktat obejmuje wszystkich nieśmiertelnych, w Lidze i poza nią. Obowiązuje każdego bez wyjątku.

– Nie mogli więc zrobić tych dwóch rzeczy. – W głosie Henry'ego pojawiła się nadzieja.

– Chyba że... – wyszeptał Aaron. – Chyba że są jednocześnie nieśmiertelnymi i piekielnymi.

Cornelius usiadł.

Zapadło milczenie, które trwało tak długo, jak jeszcze nigdy w całej historii obrad Rady. Wewnątrz hermetycznie szczelnego pomieszczenia cisza była tak nieznośna, że Audrey miała ochotę zacząć krzyczeć. Pomyślała, że to chwila spokoju przed Armagedonem.

Wreszcie odezwał się Henry:

– A więc są czymś nowym. Tak jak bogowie byli nowi dla poprzedzających ich tytanów. – Rzucił przepaszające spojrzenie w stronę Corneliusa. – Przykro mi, że o tym wspominam. Wiem, że sprawia ci to ból.

Cornelius uniósł dłonie i odwrócił wzrok, ale jednocześnie kiwnął głową, dając znać Henry'emu, by ten kontynuował.

– Tytanów trzeba było zniszczyć – mówił dalej Henry. – Zabić lub zostać zabitym... Ale to były inne czasy.

– Tak, inne – potwierdził Kino. – Teraz jesteśmy w

większym niebezpieczeństwie. Musimy nie tylko konkurować z piekielnymi, ale również powstrzymać potencjalny rozłam wewnątrz naszej rodziny.

Wojna z upadłymi aniołami mogłaby się stać prawdziwym kataklizmem. Aby Liga miała szansę przetrwać, musiała działać zjednoczona. Audrey wiedziała, że spory, nawet z tak szlachetnego powodu, oznaczały ich koniec.

Lucia wyciągnęła dwie alabastrowe tuby do przechowywania zwojów. Potrząsnęła nimi, wydobywając znajdujące się wewnątrz pergaminowe kartki i wyrównała je. Aaron spojrział na wypisane na pergaminie tytuły i pobladł. Henry również popatrzył na dokumenty, zamknął oczy i westchnął.

– Aaron, stary druhu – powiedział Kino. – Słusznie pogardzasz naszą polityką. Ona zawsze stanowiła największą słabość Ligi. Powoduje, że działamy wolno. – W celu wzmocnienia efektu uderzył palcami w pergaminowe kartki. – Ale ta decyzja nie ma związku z żadnymi politycznymi gierkami i pozwoli nam na stanowczość. Jeśli ta okaże się niezbędna.

– A może chciałbyś, żebyśmy na nowo wrócili do tej dyskusji, gdy nadejdzie krytyczna chwila? – zapytała Lucia.

– Najlepiej z nas wszystkich znasz potęgę armii piekielnych – wyszeptala Audrey. – Jaką mamy szansę, jeśli się podzielimy?

– Ty, właśnie ty – powiedział Aaron. – Jak możesz się na to zgodzać?

Audrey poczuła, jakby ktoś rozdierał ją od środka.

– A jak mogłabym stać beczynnice?

Lucia wyciągnęła srebrne pióro, zawahała się na moment, a potem podpisała oba dokumenty.

■ – Już. Jestem pierwsza. Wszyscy musimy podpisać, w przeciwnym razie w Lidze nastąpi rozłam.

– Nie – powiedziała Dallas błagalnie. – Proszę, siostry, nie róbcie tego.

– Ostrzegałam cię – odezwała się Lucia, obrzucając Dallas zabójczym spojrzeniem. – Złamanie zasad odpowiedniego zachowania...

– Daruj sobie, Lucia. Te dzieci są drogie nam wszystkim – Henry przeciął dyskusję między kobietami.

Odwrócił się i przyjrzał się pergaminom. Po policzkach popłynęły mu łzy. Poruszył ustami, próbując coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić z siebie żadnego dźwięku. Sięgnął po pióro i podpisał oba dokumenty. Wrócił na swoje krzesło, ukrył twarz w dłoniach i cicho zapłakał.

Jako kolejny sygnaturę złożył Cornelius: nie wypowiadając nawet słowa. Gilbert zawahał się i zerknął na Aarona, ale po chwili też złożył podpisy. Następny był Kino, który szybko nakreślił swoje inicjały, a potem podał kartki i pióro Aaronowi.

Ten w milczeniu przeczytał każdą linijkę, mrugając gwałtownie, by utrzymać uwagę. Wreszcie opuścił kartki.

– Audrey, jeśli naprawdę tego chcesz, zrobię to. Wiem, że ta strategia jest rozsądna, ale w moim sercu... Ja też zawsze starałem się chronić to, co kocham. Ale tego... Tego zwyczajnie nie mogę zrozumieć.

– Po prostu podpisz się – odpowiedziała mu Audrey łagodnym tonem.

Aaron zacisnął z całej siły dłoń wokół pióra, ale

wreszcie ustąpił i podpisał. Wypuścił powietrze z płuc i rzucił papiery na kolana Audrey. Podszedł do Dallas i objął ją, próbując się uspokoić.

Wszyscy spojrzeli na Audrey. Drżącą ręką wzięła pióro. Ta chwila miała zdecydować o tym, co ich czeka: destrukcja z rąk ich wrogów czy wojna domowa, która mogła rozbić Ligę. To wszystko było jej winą. Miała obowiązek naprawić swoje błędy. To ona wydała na świat Eliota i Fionę. A jeszcze tydzień temu przysięgała, że zabije każdego, kto zagrozi jej dzieciom.

Owszem, odcięła więzy miłości, ale nie macierzyński obowiązek i czujność – jedno z najdawniejszych i najpotężniejszych instynktów rodzicielskich. Co takiego tak radykalnie zmieniło jej postrzeganie? Eliot i Fiona. Kiedy zobaczyła ich stojących obok ojca – godnego pogardy tchórza Louisa Pipera, Wielkiego Kłamcy – wreszcie zdała sobie sprawę, że byli również jego dziećmi, nieśli w sobie jego diabelskie dziedzictwo i byli prawowitymi spadkobiercami piekielnych posiadłości Księcia Ciemności.

Czy byli czymś więcej niż po prostu bogowie i anioły? Czy byli stworzeniami nowego rodzaju, zwiastunami nowej ery? Ery oświecenia... Czy może tej, która zapowiada koniec wszystkich dni? Liga musi się przygotować na obie ewentualności.

A więc dlaczego miałyby nie podpisać?

O, jak bardzo żałowała, że już nie są po prostu Eliotem i Fioną Postami, że wciąż nie mieszkają w swoim starym domu, gdzie mogła ich uczyć, chronić, być w ich pobliżu i patrzeć, jak dorastają niczym zwyczajne dzieci. Ale to było tylko niemożliwe do zrealizowania marzenie –

teraz i wtedy, mimo że się łudziła. Gdyby istniał sposób – jakkolwiek – by dzieci przetrwały, zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby dać im szansę. Wiedziała jednak, że aby tego dokonać, musiałyby balansować na cienkiej jak ostrze żyletki linii między dwiema rodzinami. Nie mogła już dłużej temu zaprzeczać. Przyłożyła czubek pióra do dokumentu Fiony. Na pergaminie zebrała się kropelka atramentu.

– **Tylko** w razie konieczności – Audrey wyszeptwała.

– W razie absolutnej konieczności.

Złożyła swój podpis: symbol nieskończoności przekreślony poziomą linią.

Podniosła kartkę z imieniem Eliota. I usłyszała skądś muzykę, drżącą i błagającą, która jednak zaraz ucichła. To tylko jej wyobraźnia, a może poczucie winy.

– Tak mi przykro.

Podpisała również i ten pergamin.

Jedyne co pozostawało, to wpisać datę i oba dokumenty się uprawomocnią, staną się nieodwracalnymi deklaracjami Ligi Nieśmiertelnych. Być może nigdy do tego nie dojdzie, ale jeśli będą potrzebować tego okropnego narzędzia, będzie na nich czekać.

Po raz pierwszy od tysiącleci łzy zmały jej wzrok i sprawiły, że cały pokój aż zawirował wokół niej. Powstrzymała je jednak, gwałtownie mrugając, i jej spojrzenie padł na potworny nagłówek dokumentu:

WYROK ŚMIERCI

OSTATNIA URODZINOWA NIESPODZIANKA

Fiona podniosła tekturowe pudełko i rzuciła je na podnośnik z tyłu ciężarówki firmy przeprowadzkowej.

– Nienawidzę tego – powiedziała bratu.

– Ja też. – Eliot otarł pot z twarzy. – Cee powiedziała, że nie ma mowy o wynajęciu pomocników do przenoszenia rzeczy. Nie ufa im.

– Jasne, mogłam się domyślić – wymamrotała Fiona.

Na parkingu hotelu stały jeszcze całe setki pudełek, a obok nich sześć ciężarówek czekających, by je nimi wypełnić. Nikogo oprócz nich tutaj nie było, więc Fiona oczywiście musiała pomóc bratu. Nie miała nawet okazji, by zmienić swoje eleganckie wakacyjne ubrania.

Wyjechała tylko na pięć dni, ale to wystarczyło, by Eliot wydawał się jej teraz obcy. I to nie tylko z powodu nowych okularów (które sprawiały, że wyglądał na starszego i poważniejszego). Był milczący, jakby ukrywał milion niedawno poznanych tajemnic. Jedno się jednak nie zmieniło – wciąż ją denerwował. Wystarczyło, że znalazła się obok i do skwaru jednego z ostatnich dni lata dołączyło ciepło jego ciała.

– Więc gdzie dokładnie leżą moje ubrania? – Odkleiła taśmę z pudełka.

– Nie tutaj – odpowiedział zirytowany. – Cee oznaczyła wszystko kolorami. Rzeczy z twojego pokoju

mają zielone kółka.

Zielone kółka, czerwone gwiazdy, czarne ukośniki – dlaczego po prostu nie napisali na paczkach jej imienia?

Eliot zeskoczył z podnośnika. Wyciągnął rękę, by pomóc zejść siostrze. Ta jednak zignorowała ten gest i sama sobie poradziła. Wygładziła nową sukienkę, którą kupił jej Robert, ale zdołała w ten sposób jedynie pobrudzić śliczny batikowy wzór. Westchnęła. Cee ze swoim domowej roboty mydłem z pewnością zniszczy tkaninę.

Robert. Tak bardzo chciała, by tu był. Nie odwiózł jej. Powiedział, że przez jakiś czas nie może się pokazywać. Wcale mu się nie dziwiła, w końcu Rada wciąż była na niego wściekła. Ale obiecał, że odezwie się za kilka dni. Mimo to Fiona zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy.

Eliot przeglądał kolejne sterty, wreszcie znalazł właściwe pudełko i przyciągnął je ku siostrze. Fiona nie mogła zrozumieć, w jaki sposób Cee zdołała wynieść wszystkie te książki z Oakwood Apartments, zanim budynek doszczętnie spłonął.

– To twoje. – Eliot postawił pudło obok niej.

Fiona rozdarła taśmę i otworzyła karton. W środku zobaczyła wciśnięty między książki stary globus. Przejechała dłonią po pomarszczonej powierzchni kuli ziemskiej i uśmiechnęła się. Cieszyła się, że globus nie przepadł. Brakowałoby jej go. Przez tyle czasu reprezentował jej marzenia o podróżach w nieznanne miejsca.

I teraz te marzenia się spełniły, przynosząc więcej niespodziewanych konsekwencji, niż wydawałoby się to

możliwe.

– Popatrz. – Eliot wyciągnął ***Praktyczny podręcznik chirurgii i pierwszej pomocy*** Marcellusa Mastersa.

– Nieźle, co? – Wyglądał, jakby właśnie znalazł skarb zakopany przez piratów.

Fiona uważała, że nic w tej sytuacji nie było niezłe. Ich stary dom został zniszczony. Musieli się przeprowadzić, a jej brat zachowywał się jak małe dziecko.

– Co ci dolega? – zapytał. – Dysleksja dysejdetyczna?

Ta obelga była dość subtelna. Przymiotnik „dysejdetyczny” odnosił się do formy dysleksji związanej z trudnościami przy odczytywaniu całych wyrazów, jakby za każdym razem widziało się je po raz pierwszy. Innymi słowy, Eliot pytał, czy miała problemy ze rozumieniem tekstu z powodu uszkodzenia mózgu. Jakby nie czytała dwa razy szybciej niż on.

Zwinęła dłonie w pięści i zacisnęła zęby. Złość wzbierała w niej jak potężna fala przypyływu. Poczwała, jak rośnie w jej wnętrzu, a potem opada. Już nauczyła się przeczekiwać. Od walki z Belzebubem przenikająca wszystkie emocje czerwona fala pierwotnej krwi nachodziła ją coraz częściej. Wiedziała jednak, że wystarczy kilka sekund, a wściekłość minie. Tak naprawdę zresztą nie była zła na Eliota, który po prostu zachowywał się jak zwykle. Więc co nią powodowało? Może widok ***Praktycznego podręcznika chirurgii i pierwszej pomocy*** i to, że przenosili te wszystkie książki, wciąż jak posłuszne dzieci robiąc wszystko, co tylko

nakazały im Audrey i Cee. Czy zupełnie nic się nie zmieniło?

Wzięła z rąk brata cienki tom i przejechała palcami po jego zniszczonej okładce. Czytała go przynajmniej trzy razy. Nauczyła się wszystkich stosowanych w nagłych wypadkach technik, które powinien znać każdy osiemnastowieczny medyk obecny na polu bitwy. Jeszcze kilka tygodni wcześniej myślała, że ta wiedza nigdy się jej nie przyda.

– Jeśli już dysleksja, to na pewno nie dysejdetyczna – oznajmiła. – Chociaż podejrzewam, że mogę mieć uszkodzenie mózgu od przebywania tak blisko 1, 4-diaminobutanu toksycznego.

Eliot przekrzywił głowę, zastanawiając się nad jej słowami.

Fionę w końcu ogarnęło wrażenie swojskości, jakby wróciła do domu. Wymiana obelg przypominała powrót do dzieciństwa, chociaż tak naprawdę od czasów, kiedy ich życie wyglądało normalnie, minęło zaledwie kilka dni. Włożyła książkę z powrotem do pudła i zakleiła je od nowa taśmą.

– OK – powiedział Eliot. – Poddaję się. Co to jest 1, 4-diaminobutan?

– Musisz odświeżyć sobie „Przewodnik po autopsji”. To putrescyna. Powstaje w wyniku rozkładu ciała. Ma swój udział również w halitosis.

Eliot zacisnął usta, rozczarowany, że nie znał tej nazwy.

– Halitosis zaś... to cuchnący oddech.

– Wiem, co to jest halitosis – wymamrotał.

Słownikowe obelgi były dziecinną zabawą, ale

zwycięstwo w niej wciąż sprawiało Fionie przyjemność.

Eliot sięgnął leniwym ruchem po rozpiskę ładunku ciężarówki, udając, że przegrana w pierwszej rundzie nic nie znaczyła.

– Ta jest już w połowie pełna – powiedział. – Będziemy musieli zostawić trochę wolnego miejsca. Ma się tu zmieścić jeszcze kilka nowych mebli, które mamy zabrać po drodze.

– Po drodze dokąd? – zapytała Fiona, nachylając się ku bratu.

Wskazał na sam dół kartki z rozpiską.

– Hi jest adres.

Nazwa ulicy nic Fionie nie mówiła, ale pod nią widniało wyraźne pisane: „San Francisco”.

– Przeprowadzamy się do miasta?

W San Francisco będzie zupełnie inaczej niż w Del Sombrze. Tysiące, setki tysięcy ludzi, egzotyczne restauracje, biblioteki, muzea! Jej entuzjazm jednak szybko wyparował, kiedy zdała sobie sprawę, że setki tysięcy ludzi oznaczają setki tysięcy nieznanomych.

– Może wcale tam nie zamieszkamy – odezwał się Eliot. – San Francisco to port. Nasze rzeczy mogą popłynąć statkiem w dowolne miejsce na świecie.

– Ktoś powinien nas zapytać, gdzie chcemy się przeprowadzić.

Cee wyjrzała z hotelowego pokoju na parking. Oślepiąca słońcem zawołała:

– Eliot! O, Fiona, wróciłaś! – Zamachała koronkową chusteczką, żeby upewnić się, że ją dostrzegli. – Chodźcie, dzieci. Wszystko jest już prawie gotowe.

Cee wyglądała jak zawsze. Miała na sobie tę samą

co zwykle własnoręcznie uszytą ciemnobrunatną sukienkę o kroju sprzed stu lat. Fiona pomyślała z ulgą, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Razem ruszyli w stronę hotelu, najpierw powoli, po chwili jednak Eliot spróbował wysunąć się do przodu, więc Fiona zerwała się do biegu i zostawiła brata z tyłu, pierwsza dopadając drzwi, w których wcześniej pojawiła się Cee. Zatrzymała się, ciężko dysząc.

W środku było ciemno i chwilę potrwało, zanim oczy dziewczyny przywykły do mroku.

– Co jest prawie gotowe?

Cee przeszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Fiona zdołała tylko zobaczyć stojące na szafce przy zlewie odświętne porcelanowe talerze i srebrną zastawę.

– O, nie – westchnął Eliot za jej plecami.

– Chyba nie zaczęła znowu gotować? – wyszeptała dziewczyna.

Cee wyszła z łazienki, uważając, by nie dostrzegli niczego, co było w środku. Podreptała do Fiony i uściśniła ją drżącymi rękoma.

– Skarbie, tak się za tobą stęskniłam. Te pięć dni ciągnęło się jak rok. O, opaliłaś się! Wyglądasz... cudownie. I nowa sukienka? – Gdy przyglądała się ubraniu Fiony, na jej twarzy pojawiła się podejrziliwość.

– Cóż, mogłabym ją tutaj nieco poszerzyć i trochę wydłużyć, bo jest skandalicznie krótka. – Pociągnęła Fionę za sobą do pokoju. – Wejdz, wejdz. Usiądz.

Eliot rozsunął kotary, wpuszczając do pomieszczenia trochę światła. Fiona mogła się wreszcie dobrze rozejrzeć. Z pokoju usunięto łóżko, a na jego miejscu postawiono cztery krzesła i stół nakryty ich

starym obrusem i ozdobnymi serwetkami. Pod oknem znajdowała się zavalona stertami książek komoda.

Cee świetnie się udało odtworzyć jadalnię z ich spalonego mieszkania.

– Jest... dokładnie tak, jak było – wykrztusiła z siebie Fiona.

– Pomyślałam, że chcielibyście jeszcze raz zobaczyć to miejsce – wyszeptała Cee. – Żeby się z nim pożegnać.

Fiona uścisnęła ją.

– Dziękuję ci, Cee. Dziękuję!

Aż do tej chwili dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo będzie jej brakować mieszkania, w którym toczyło się jej dawne życie. Tak naprawdę nie знаła niczego innego. Przyszłość rysowała się niejasno i Fiona poczuła się, jakby utraciła korzenie.

– To jest super. – Eliot przeciągnął dłonią po komodzie i przeczytał tytuły ułożonych na niej tomów.

– Hej, znalazłem nasze urodzinowe prezenty!

Wyciągnął swój *Wehikuł czasu* i podał Fionie należącą do niej książkę Verne'a *Z Ziemi na Księżyc*. Fiona wzięła ją w dłonie z ostrożnością i szacunkiem.

– Prawie zapomniałam.

– Najlepsze jeszcze przed wami – zapewniła Cee.

– Co masz na myśli? – Fiona odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, że ktoś stanął w otwartych drzwiach. Nie widziała twarzy przybysza, ale i tak wiedziała, kim jest.

– Dzień dobry, mamó – powiedziała.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, dzieci

– odpowiedziała Audrey.

Audrey miała na sobie prostą, białą bawełnianą sukienkę. Eliot nigdy wcześniej nie widział jej ubranej na białło i z jakiegoś powodu przebiegł go dreszcz. Z bladą skórą i rozświetlonymi słońcem srebrnymi włosami sprawiała wrażenie, jakby zeszła z jakiegoś antycznego arrasu. Przychodziło mu do głowy tylko jedno dobrze ją opisujące słowo: królewska. Wyglądała jak bogini.

Weszła do pokoju i niesamowite wrażenie osłabło. Może i była boginią, królową i tak dalej, ale też, a nawet przede wszystkim, jego matką. Tak.

Podszedł do niej z otwartymi ramionami, ale zawahał się, zanim ją uściskał. Mama stała nieruchomo i wyglądała na zmieszaną tą próbą okazania uczucia. Wreszcie rozłożyła ręce i przyciągnęła go do siebie.

Był to niemal prawdziwy uścisk. Gdyby zamknął oczy, mógł sobie wyobrazić towarzyszące mu ciepło i czułość.

Zakołysała nim, a potem delikatnie odepchnęła. Podeszła do Fiony i ją też objęła. Ale ten delikatny gest różnił się od tego, którym chwilę wcześniej obdarzyła Eliota. Między Fioną a Audrey powstała niewidzialna bariera – nic złego, po prostu wynik nowo powstałego uczucia wzajemnego szacunku.

– Gdzie byłaś? – zapytał Eliot.

– Zajmowałam się ostatnimi przygotowaniami do podróży – odparła Audrey. – Przecież nie możemy mieszkać w hotelu do końca życia. Dziękuję wam i tobie, Cecilio, za zapakowanie wszystkiego do ciężarówek.

– Gdzie jedziemy? – zapyta! Eliot.

Cee chrząknęła.

– A, tak – odpowiedziała Audrey. – Potem to

przedyskutujemy. Wydaje mi się, że Cecilia chciałaby wam najpierw coś pokazać.

Cee uśmiechnęła się, poszła do łazienki i wróciła z pudełkiem na ciasto.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochane dzieci!

Na twarzy Fiony ukazała się panika, ale Cee szybko otworzyła pudełko i pokazała dziewczynie, co było w środku: ciasto marchewkowe.

– Nie martw się – wyszeptała prababcia. – Wiem. Jest bez czekolady.

Fiona poczuła ogromną ulgę.

Cee położyła ciasto na stole. Z kieszeni wyjęła trzydzieści świeczek i po kolei wbiła je w lukier.

– Nie dokończyliśmy naszego przyjęcia – powiedziała Audrey – Nie mogłam pozwolić na to, żeby wasze urodziny minęły w ten sposób.

Eliot nie mógł uwierzyć, że kobiety faktycznie o tym pamiętały.

– A teraz ogień. – Cee otworzyła pudełko zapalek, wyciągnęła jedną z nich i podpaliła drżącą ręką świeczki. Płomień odbił się w jej ciemnych oczach.

– Może lepiej... – zaczął Eliot.

– Pozwól, że ja to zrobię, Cecilio – Audrey weszła mu w słowo z uśmiechem. »

Cee kiwnęła głową i podała jej zapalną. Audrey szybko się z tym uporała.

– A teraz – odezwała się, odwracając się do Fiony i Eliota – pora, by pomyśleć o nowych urodzinowych życzeniach.

Eliot i Fiona zrobili krok do przodu. Chłopak

spojrzał na siostrę. Jakie będzie jej życzenie? Więcej czasu spędzonego z Robertem? Nowe ubrania? Nie, miał przeczucie, że chciała tego samego, co on.

Skinęła do niego porozumiewawczo głową i oboje nachylili się, wciągając w płuca powietrze.

Eliot życzył sobie matki, która by go uwielbiała, ojca, który będzie z niego dumny, siostry, z którą mógłby się droczyć i wspólnie przeżywać nowe przygody, gromady ciotek, wujków i kuzynów... Rodziny, prawdziwej rodziny.

Pewnie nie wszystko ułoży się doskonale, ale czyż nie jest tak w każdej rodzinie?

Dmuchieli. Płomienie zamigotały i zgasły – z wyjątkiem jednego, który rozpalił się na nowo. Fiona i Eliot szybko dmuchieli jeszcze raz, tym razem skutecznie. I wystarczająco szybko, by uznać, że się udało.

– Zjedzmy – powiedziała Fiona. – Po raz pierwszy od tygodni jestem głodna.

– Cudownie. – Zachwycona Cee klasnęła w dłonie.

– Przyniosę talerze.

– Zaczekajcie – wtrąciła Audrey. – Musimy jeszcze coś zrobić.

– Oczywiście, ależ jestem niemądra – załamała ręce Cee. – I taka otumaniona. Jak mogłam zapomnieć o najważniejszej rzeczy?

Otworzyła szufladę komody i wyciągnęła z niej dwie paczki zawinięte w brązowy papier.

– Wasze pozostałe prezenty – oświadczyła Audrey.

Cee położyła paczki na stole, jedną przed Eliotem, drugą przed Fioną. Umiejętność pakowania nie była jej najmocniejszą stroną: prezenty włożyła po prostu do

zwykłych toreb na zakupy zamkniętych spinaczem.

Żołądek Eliota ścisnął się z podniecenia. Podniósł paczkę. Była lekka i miękka. Ubrania. Na pewno. A sądząc z wielkości paczki, w środku musiało być ich naprawdę sporo. Czy biorąc pod uwagę wszystkie ostatnie zmiany, mógł marzyć, by były to ubrania ze sklepu? Może nawet dzinsy, w których wyglądałby normalnie, a nawet nieźle.

– Otwórzcie – zachęciła ich Cee. – Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć wasze miny.

Eliot próbował ostrożnie odpiąć zszywacze i nie zniszczyć torby. Fiona niecierpliwie oderwała górę swojej, zajrzała do środka i uśmiechnęła się.

– Jakie miękkie – wymruczała, ale zaraz na jej twarzy pojawiło się zmieszanie.

Eliot też przedarł papier. Tak jak myślał: kupione w sklepach ubrania. Wyprasowane i dokładnie złożone spodnie: pofałdowane w kolorze khaki i niebieskie wełniane. Co prawda nie dzinsy, ale i tak milion razy lepsze niż to, co przez lata szła mu Cee. Poczul się trochę winny z powodu tych myśli. Cee naprawdę się starała.

– Nie rozumiem – powiedziała Fiona, wyciągając rajstopy, buty, spódniczkę w kratę i białą elegancką bluzkę.

Eliot też dostał białą koszulę z długim rękawem, mokasyny i nawet nowe skarpety. Na spodzie torby znalazł jeszcze niebieską bluzę. Wyciągnął ją. Kieszonka na piersi była ozdobiona godłem. Między wstęgami i zawijasami znajdowała się tarcza, a nad nią hełm i miecz, pośrodku warcząca głowa wilka, ozdobiony skrzydłami znak V i złoty skarabeusz. Poniżej leżał zwinięty w kulkę

śpiący smok. Pod tym wszystkim umieszczono napis: „PAXINGTON INSTITUTE EST. 1642”.

Eliot miał wrażenie, że ziemia uciekła mu spod nóg. Cieszył się z nowych ubrań, ale przeczuwał, że wiąże się z nimi coś niedobrego.

Fiona wyciągnęła ze swojej torby marynarkę ozdobioną identycznym godłem. Zerknęła na brata ze zmartwioną miną.

– Ee... bardzo ładne – powiedział. – Naprawdę ładne. Ale co oznaczają te wzory i napisy?

– To mundurki – oznajmiła z uśmiechem Audrey.

– Mundurki? – wyszeptła Fiona.

Znów wszystko się zmieniło. Eliot ledwie zaczął się orientować w nowej sytuacji, a tutaj...

– Pomyślałam, że po tym wszystkim, przez co przeszliście – wyjaśniła Audrey – po tym, jak pokonaliście zarówno nieśmiertelnych, jak i piekielnych, jesteście gotowi na prawdziwe wyzwanie.

Eliot i Fiona stanęli obok siebie i spojrzeli na matkę. Chłopak miał wrażenie, że czekało ich coś, do czego ani on, ani Fiona nie byli gotowi, coś, co gruntownie przetestuje ich zdolności i wystawi na próbę ich lojalność względem siebie i rodzin. Wkrótce miał odkryć, że miał rację.

– Paxington Institute to szkoła – wyjaśniła Audrey.

– Liceum.